

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1872.

Tom pierwszy.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1872.





De. II. 1.

Дозволено Цензурою

Варшава 21 Декабря 1871 года

к. 35/46

KONGRES MIĘDZYNARODOWY

ANTROPOLOGICZNY I ARCHEOLOGII PRZEDHISTORYCZNEJ,

odbyty w Bononii od 1 do 8 października 1871 r.,

opisany przez członka kongresu *Alexandra hr. Przeddzieckiego*.

Byłto piąty z porządku kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologii przedhistorycznej. Związek tych kongresów utworzył się na zjeździe geologów w mieście portowym włoskiem *La Spezzia*, odbytym w r. 1865 pod przewodnictwem profesora *Capellini*. W następnym 1866 roku odbył się pierwszy kongres archeologii przedhistorycznej, w mieście *Neuchatel* w Szwajcaryi; w r. 1867 drugi w *Paryżu* w czasie Wystawy Powszechnej, na której zgromadzone były liczne i ważne okazy paleontologiczne i archeologiczne; w 1868 roku trzeci kongres odbył się w *Anglii*; w r. 1869 czwarty w *Kopenhadze*, otwarty w obecności króla duńskiego *Chrystyana IX*, i całej rodziny królewskiej, a pamiętny zebraniem się wszystkich znakomitości w nauce archeologicznej i wspianiem ich przyjęciem ze strony dworu, miast, a nawet włościan Danii. Na tym kongresie ja sam jeden z Polaków byłem, tak jak i na poprzednich kongresach archeologii ogólnej w Antwerpii (1867 r.), i w *Bojm* (w roku 1868), i miałem już zaszczyt reprezentować na nim c. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie. W *Kopenhadze* naznaczono przyszły kongres we Włoszech w mieście Bononii na rok 1870. Z powodu wojny francuzko-niemieckiej musiano odłożyć zjazd uczonych na rok bieżący, i 1 października 1871 otwarty został piąty kongres archeologii przedhistorycznej w *Bononii*.

W wilią tego dnia wieczorem zgromadzili się przybyli ze wszystkich niemal krajów Europy członkowie, w jednej ze sal Starego Uniwersytetu (*Archiginnasio*), ozdobionej jak cały ten gmach na wewnątrz, malowanemi herbami przed wiekami uczącój się w Bononii młodzieży. Tam oczekiwał już na nich sędziwy prezes kongresu hr. Gozzadini, witając się z dawniej już znajomymi i zabierając znajomość z innymi. Liczba członków kongresu doszła do 235ciu. Najliczniejsi byli Włosi (160, a w tém 66 Bonończyków), Francuzów było 23, Duńczyków 15, Szwajcarów 7, Szwedów 6, Belgijczyków 5, Hiszpanów 2, Holendrów 2, Portugalczyk 1, Anglik 1, Węgier 1, Dalmata 1, Niemców 5, Polaków 6 pod rubrykami Niemiec i Rosyji: J. I. Kraszewski, Jan Zawisza z Warszawy, hr. Węsierski z W. Ks. Poznańskiego, Brochocki i Zienkowiec, dwóch inżynierów osiadłych we Włoszech i ja. W téj liczbie znajdowało się także 10 dam, małżonek lub córek członków kongresu, które opłaciwszy składkę 12 franków brały udział w posiedzeniach kongresu, jakotéż i w wycieczkach archeologicznych. Jedna z nich tylko z własnego prawa zasiadała na kongresie, panna *Mestorf* z Hamburga, która dzieła archeologiczne Nilsona z języka szwedzkiego na niemiecki przełożyła. Najznakomitsi uczeni, którzy po większej części znajdowali się już także na kongresie w Kopenhadze byli pp.: *de Quatrefages* i *de Mortillet* z Francyi, *Worsaae* i *Japetus Steenstrup* z Danii, *Dupont*, dyrektor Muzeum nauk przyrodniczych w Brukselli, *Virchow* z Berlina, *Desor* i *Karol Vogt* z Szwajcaryi; z Włochów: hr. *Gozzadini*, prezes, *Capellini*, sekretarz generalny, *Nicolucci*, *Scarabelli*, (który pierwszy, bo w r. 1850 zaczął zajmować się archeologią przedhistoryczną), *Pigorini*, hr. *Conestabile*, kanonik *Spano* (z Sardynii), ks. *Stoppani*, były minister *Minghetti* i t. d.

Prawie wszystkie téż znakomitości weszły do składu *bióra* czyli komitetu kongresowego złożonego z prezesa (zawsze miejscowego), prezesów honorowych, wice-prezesów, sekretarzów i członków Rady. Tych ostatnich według zwyczaju przyjętego na poprzednich kongresach, wybierano po jednemu z każdój narodowości; w Bononii żaden ze Słowian niedostał tego należnego mu ze zwyczaju zaszczytu. Wprawdzie był tylko jeden Dalmata i sześciu Polaków. Takież sam ostracyzm dotknął i Niemców, ponieważ znakomity nawet

uczony *Virchow* nie został ani wiceprezesem ani członkiem Rady. Przypisywano to niechęci Francuzów. Za to profesorowie bonoińscy wydali na cześć jego ucztę, mającą zarazem świadczyć o sympatyi Włoch dla narodu niemieckiego, którego *Virchow* był prawie jedynym, ale wielce znamienitym przedstawicielem w Bononii.

W niedzielę 1 października o godzinie 1 po południu, nastąpiło otwarcie kongresu archeologii przedhistorycznej w sali bibliotecznj uniwersytetu, przyozdobionj herbami wszystkich państw europejskich, oraz Stanów Zjednoczonych amerykańskich. Galerye na około sali zajęła publiczność za osobnemi biletami wejścia. Dla *bióra* przygotowana była estrada, na której mieściła się także katedra dla mówców. Naprzeciw stały na podniesieniu złożone fotele, przygotowane dla następcy tronu włoskiego ks. Humberta. Wejściu prezesa i członków *bióra* towarzyszyła muzyka: *Hymn narodów*, ułożony przez *Maestro Antonelli*, z powiązanych z sobą w jedną całość hymnów narodowych, wśród których brzmiała także i Marsylianka.

Prezes hr. Gozzadini otworzył kongres piękną mową, czytaną w języku francuzkim, przyjętym jako język urzędowy kongresu. Przywitał przybyłych ze wszystkich stron świata gości w tój Bononii, przezwanj *mater studiorum*, do której przodkowie ich w minionych wiekach, przybywali dla odbycia nauk pod sztandarem miasta, na którym zapisany był wyraz: *Libertas*. „Takim sposobem, mówił hr. Gozzadini, *Kopernik*, jeden z tych wzniosłych cudzoziemców, którzy się w Bononii uczyli, mógł pierwszy odbudować prawdziwy systemat świata! Przebiegając gmach dawnego uniwersytetu, w którym on czerpał naukę, ujrzycie odmalowane po ścianach dla wiecznej pamięci, herby i nazwiska współziomków, a może i przodków waszych. Herby te i nazwiska pilnie uczącj się przed wiekami młodzieży, pozostały najsympatyczniejszymi i najznamienitszymi pomnikami tego miasta. Młodzież ta przybywała z dalekich krajów, gdy wierzchem lub na wozach, powoli i pracowicie odbywano podróże. Panowie przebiegliście te same odległości szybkim pędem pary i oszczędziliście sobie, jeżeli nie utrudzenia, to przynajmniej wiele tego czasu, który jest dla was skarbem najdroższym. Dlatego téż błogosławię postępowi, który podobnie

jak czas, nie zatrzymuje się nigdy. Przybywacie ze skarbami nauki do tego miejsca, z którego je przodkowie wasi czerpali. Witajcież nam, witajcie panowie!

„Słusznie obralście Włochy dla dyskusowania o trudnych zadaniach nowój jeszcze nauki, której celem jest dotrzeć do najdawniejszych czasów bytu człowieka na ziemi, i poznać jego przedhistoryczne koleje. Włochy przedstawiają ku temu nieprzerwany ciąg *stacyj ludzkich* wraz z produktami odwiecznej przemysłowości. Posiadamy *kościodajne jaskinie* i narzędzia wyrobione z epoki *archeolitycznej* (z łej epoki kamienia), *palafity* (budowle na palach), i grobowiska z epoki *neolitycznej* (kamienia szlifowanego). Stopniowe przejścia z epoki kamienia do epoki brązu objawiają się w *palafitach*, *torfowiskach*, *terramarach* (odwiecznych śmietnikach) i *grobowiskach*. Te ostatnie doprowadzają do *epoki żelaza*. Tak więc na stałym lądzie i na wyspach włoskich doskonale przedstawione są wszystkie trzy epoki przedhistoryczne, wraz z stopniowym przejściem z jednych do drugich, i otwarte jest pole do porównań i studyow nad nimi.“

W dalszym ciągu mowy swojej hr. Gozzadini wymienił uczonych Włochów, którzy te *stacye przedhistoryczne* badali. Już cesarz August wedle Swetoniusza, poszukiwał groty z krzemienia ciosane, nazywając je orężem bohaterów: *arma heroum*. W XVI wieku *Mercati* także groty z krzemienia przypisywał przedpotopowym ludziom. Dopiero w 1850 r. *Scarabelli* zwrócił uwagę uczonych na groty i narzędzia kamienne z okolicy Imoli; a lubo nie zważano na to odrazu, wkrótce ważne odkrycia tego rodzaju w Danii i odkrycia *palafitów* szwajcarskich pobudziły innych uczonych włoskich, jakimi są: Gastaldi, Strobel, Pigorini, Stoppani, Capellini, Rosa, de Rossi, do usilnej i gorliwej pracy, której owoce obejrzeć będzie można na *Wystawie paleoetnograficznej*, zebranej ze wszystkich miejscowości włoskich na stałym lądzie i na wyspach, a urządzonj gorliwym staraniem generalnego sekretarza kongresu, profesora *Capellini*, pod opieką rządu włoskiego, który assygnował odpowiednie na to fundusze.

Mowę swą zakończył hr. Gozzadini wezwaniem do badania nietylko włoskiej krainy, ale i wszystkich innych, w których odkryto ślady przedhistorycznego człowieka, a zamknął ją następnemi słowy:

„*Nowa nauka* nie dawno dopiero daje znaki życia, ale postępuje z szybkością równą pędowi pary. Dajcie jej panowie nowy popęd, przydajcie do niej siły umysłowe, równe najsilniejszym lokomotywom, które nie znają przeszkód. Niech coraz prędzej, prędzej bieży pociąg nauki. Żyjemy w wieku telegrafów, który wolny ruch potępia.

„Kilku śmiałych pionierów nauki zatknęło już na pokładach trzeciorzędnych sztandar przedpotopowego człowieka; utrzymajcie go na tém stanowisku, posuńcie starożytność człowieka o tyle setek wieków, ile jej dotychczas przyznają. Uczynicie tym sposobem piąty kongres przedhistoryczny pamiętnym na wszystkie czasy, a będzie on stanowił znamienitą epokę w naukowych rocznikach Bononii, która dziś, dzięki wam, panowie! odzyskuje jak najsłuszniej dawne miano *uczonoj (dotta)*!“

Dalsze sprawozdanie moje o kongresie bonońskim wyjaśni, o ile czynności kongresu odpowiedziały tak szumnie przesadzonym pochwalnym zachętom sędziwego prezesa.

Po nim zabrał głos prefekt bonoński hr. Bardesono, jako upoważniony przez ministra oświecenia Correuti do zastąpienia go w oświadczeniu uznania króla i narodu włoskiego, za cześć wyrządzoną Bononii przez zebranie się kongresu w tym grodzie. Wynurzył przytém żal ministra, że mu sprawy Stanu nie pozwoliły przybyć osobiście na otwarcie kongresu. Zapowiedział nakoniec przybycie za parę dni ministra i ks. Humberta następcy tronu.

Worsaae w imieniu króla duńskiego, który z tradycyjnych zasad dynastji, zajmuje się i opiekuje nauką archeologii, przywitał członków kongresu, dziękując im za ostatnią bytność w Kopenhadze i pozdrowił piękny kraj włoski i знаmienity uniwersytet bonoński.

Hr. *Gozzadini* podziękował w imieniu kongresu.

Sekretarz generalny *Capellini* odczytał nazwiska kilkunastu członków, delegowanych przez Rządy lub Ciała Naukowe, pomiędzy któremi wymienioném także było c. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Na tém skończyło się pierwsze posiedzenie. Na wieczorném posiedzeniu miały nastąpić wybory *bióra* czyli komitetu.

Pierwój jednak udali się wszyscy do sal kliniki, w których urządzona była *Wystawa paleoetnograficzna* z całych

Włoch. W oszklonych płytkich szafach wzdłuż ścian na pochyłych półkach, a po części i w oszklonych biórkach pośrodku sal ustawionych, złożone były w najpraktyczniejszy sposób wykopaliska i zbiory muzealne lub prywatne, przysłane ze wszystkich krain włoskich, od podnóża Alp aż do wyspy Sycylii, a także z Sardynii i z Elby. Z wyspy Sardynii przysłano wielce ciekawe modele cyklopejskich domów w kształcie ostrokęgów, które nazwę *nuraghi* noszą i przypisywane są *Autochthonom* najdawniejszym téj wyspy, przedfenickim mieszkańcom. Przy każdym takim mieszkaniu znajduje się niedaleko grobowiec kamienny, z tych które tam zowią *grobami olbrzymów*. Sprzęty i narzędzia z krzemienia większych rozmiarów, na podobieństwo skandynawskich, i maluczkie najzupełniej podobne do znajdujących się na piaszkach *Grabówka* pod Płockiem, kamienne siekiery, młoty, krążki, narzędzia z rogów reniferów, jeleni, brązowe miecze, toporki (*celty*) i sprzęty do ozdoby służące w najrozmaitszych kształtach, zbiór bardzo liczny czaszek ludzkich, różnorodnych rassowych typów. Wszystko to stanowiło przebogatą całość, w której można było porównywać przedmioty podobne z innych krajów i nabrać przekonania, że we wszystkich krajach przemysł pierwotnych nawpół dzikich mieszkańców na jeden i ten sam sposób umiał użytkować z rogów i kości zwierzęcych, z krzemienia i kamienia, dla opatrzenia ich w najniezbędniejsze narzędzia ku obronie i użytkowi powszedniemu służące. Z epoki brązu zaś w której już smak estetyczny wznosił się do potrzeby ozdobienia tych sprzętów i narzędzi, pierwowzory znajdują się już w wykopaliskach pelazgickich i etruskich, a pierwotnego ich pochodzenia należałoby śledzić u Fenicyan, Egipcyan i Hebrajczyków na Wschodzie. Muszę tu jednak nadmienić, że niektóre przedmioty przywiezione przezemnie do Bononii i przez dni kilka wystawione w sali posiedzeń kongresu, nie miały sobie równych w bogatych zbiorach *Wystawy paleoetnograficznej*, a pierwszy raz jako prawdziwe *unikaty* widziane były przez takich znawców, jak: *Worsaae*, *Virchow*, *Desor*, *Quatrefages* i *Mortillet*. Takimi były: 1) *topór z rogu renifera* czyli téż z *jelenia* (*cervus elaphus*), znaleziony w *palaficie Czeszewskim* (własność Muzeum archeologicznego przy uniwersytecie krakowskim), 2) *naramiennik brązowy* o jedenastu

kręgach wykopany w *Telkowicach* pod Buchwałdem (w Malborskiem), (własność Muzeum archeologicznego uniwersytetu krakowskiego), 3) *naszyjnik brązowy z wieszadłami*, wykopany w *Połowiu* (w Dziśnieńskim) (z mojego zbioru), 4) *korona promienista brązowa*, znaleziona w *Zalesiu* (w Czortkowskim), (własność muzeum Krakow. Towarzystwa Naukowego). *Morel-Fatio*, dyrektor muzeum archeologicznego w Lozannie wątpił o autentyczności tej korony, (dlatego może, że mało gdzie podobne się znajdują), dopóki go duńscy archeologowie nie zapewnili, że u nich przed niedawnymi czasy, kilka podobnych koron odkryto. Dotychczas zaś jedna tylko znana była w muzeum w W. Ks. Meklemburskiem w *Ludwigslust*, ale z przytępionemi i niższemi promieniami, a druga w Kopenhadze ale dęta; 5) *kulka ze szkła zielonego*, przegowata, całkiem zasklepiona, a do połowy napełniona białym przezroczystym płynem, w kształcie zupełnie różnym od łożawnie rzymskich.

W skrzyni obitej aksamitem czerwonym, leżało całkiem skurczone, zwapniałe ciało ludzkie, przysłane na Wystawę jako osobliwość przez rodzinę książęcą rzymską *Ludovisi-Buoncompagni*. Wedle tradycyi ofiarowane było w XVII wieku przodkowi tej rodziny, papieżowi Grzegorzowi XV, przez poselstwo Japońskie.

Zwracano szczególną uwagę na dwie wielkie tablice, na których uczony *Stefan de Rossi* (brat sławnego badacza napisów po katakumbach) odmalował: na jednej, wszystkie kształty narzędzi z epoki kamienia, na drugiej, z epoki brązu, jakie dotychczas we Włoszech znaleziono.

Z chlubą mogłem powiedzieć, że u nas w Krakowie od lat kilku już professor archeologii *Dr Łepkowski* ku pożytkowi słuchaczy swoich podobne tablice ułożył i starannie wykonać kazał.

Wedle drukowanego programatu, dni poświęcone kongresowi miały być podzielone na posiedzenia i na wycieczki archeologiczne. Dni: 2gi, 4ty i 6ty października przeznaczono na posiedzenia publiczne od południa do godziny 3ej i wieczorem od godziny 8ej do 10ej. Dzień 3ci października poświęcony wycieczce do Modeny i do *terramare* w Montale; 5ty do wykopalisk etruskich w Marzabotto; 7my do Rawenny, wślawionej grobem Dantego i pomnikami bizan-

tyńskimi, z epoki cesarza Honoryusza i króla Teodoryka. W dniach przeznaczonych na posiedzenia, trzeba było jeszcze umieścić uroczyste przyjęcie kongresu przez Muncypalność bonońską w dawnym uniwersytecie, i otwarcie umieszczonego tam Muzeum miejskiego; a także wycieczkę do wspaniałego cmentarza bonońskiego (niegdyś klasztoru Kartuzów) gdzie przed niedawnymi czasy podkopano się pod grobami chrześcijańskimi do rozległego grobowiska etruskiego.

Niewiele godzin czasu pozostawało na posiedzenia, a że wielu członków zapisanych było dla otrzymania głosu, na każdy z trzech dni przeznaczonych: pierwszy dla *epoki kamienia*, drugi dla *epoki brązu*, trzeci dla *epoki żelaza*; postanowiono: aby nikt dłużej kwadransa nie mówił lub nie czytał, albowiem wielu członków nie posiadających dostatecznie języka francuzkiego, musiało ratować się odczytaniem napisanych w tym języku notatek. Na każdym posiedzeniu ranném i wieczorném przewodniczyła inna znakomitość z pomiędzy prezesów honorowych lub wice-prezesów, której rzeczywisty prezes kongresu hr. Gozzadini przez grzeczność ustępował prezydencyi. Z tego powodu wkradał się nieporządek co do kolei zapisanych do głosu członków. Nie pomnąc na to, że *nauka nowa*, jak ją słusznie hr. Gozzadini we wstępnej mowie swojej nazwał, potrzebuje przedewszystkiem zebrania i porównania *faktów*, aby na nich dopiero opierać wnioski i teorye, komitet zapisywał na czele każdego posiedzenia nazwiska swoich członków, wprowadzie *znakomitości kongresowych*, ale którzy (za wyłączeniem jednak Włochów mówiących w sposób nauczający o własnych wykopaliskach) rozprawiali jakby na popis o przedmiotach, z których nie można było wyciągnąć żadnych praktycznych wniosków.

Sławny *Karol Vogt* zapuszczał się w paradoksalne twierdzenia, przechodząc nieraz granice nietylko zdrowego rozsądku, ale i poszanowania winnego słuchaczom i samemu sobie. Taką była rozprawa jego o *ludożerstwie*. Zaczął od tego, że dzikie narody, u których ludożerstwo jest zwyczajem, zwykle bywają bardziej wykształcone od tych, które tego zwyczaju nie mają. Ludożerstwo według Vogta, nie jest tylko materyalnym faktem, łączy się z niem myśl wyższa, przyswojenia sobie zalet zabitego nieprzyjaciela, przez pożarcie części ciała jego, odpowiedniej zaletom: odwagi, siły i t. p.

Serce musiało zatem być najcenniejszym pokarmem mistycznym. Tém dadzą się wytłumaczyć ofiary z ludzi bogom poświęcane; dlatego to dawni Meksykanie sercem ofiary ludzkiej mazali usta głównego bożka swego. Ztąd także poszło, że ludzie dla przyswojenia sobie niejako boskiej natury, przyszli do karmienia się bogami swoimi. I takimi bredniami sławny *Karol Vogt* zajmował ściśle wyrachowane chwile, przeznaczone na uczone dyskusyje czasu!

Pan *Garrigou* opisywał nowoodkryte *jaskinie kościodajne* w Pirenejach, a pan *Riviére* siedm takich jaskiń pomiędzy *Veutimiglia* i *Mentone*, z kośćmi zwierząt: *Bos urus*, *Rhinoceros*, *Cervus elaphus*, *Hyena* i t. d.; znaleziono przytém oczywiste ślady człowieka, jako: skorupy od muszli, narzędzia wyrobione z kości i krzemienia, i kupy popiołów, i węgli pozostałość po *czterech ogniskach*, piętrzących się jedno nad drugim, a przedzielonych konglomeratem od 1—2 metrów wysokości. W nieobecności uczonego profesora *Fraas* ze Stuttgartu, który nie mógł do Bononii przyjechać, *Desor* opowiedział o świeżem odkryciu przez *Fraasa* jaskini *Hohenfels* w Szwabii, w której oprócz kości zwierzęcych, znajdujących i po innych jaskiniach, odkryto kości i łapy ogromnego kota (felis), t. j. *lwa* albo *tygrysa*, a przytém kości jakiegoś rodzaju *antylopy konika*, w rodzaju dzisiejszych irlandzkich, ptasie kości, a mamutów i rynecerosów tylko kły i szczęki. Na wielu kościach są znaki wyraźnie ręką ludzką rzezane; znalazły się przytém narzędzia z krzemienia i czerepy od naczyń glinianych.

Następnie p. *Jan Zawisza* (obywatel z Warszawy, który od dwóch lat oddał się z zapalem geologii, paleontologii i archeologii) zdał sprawę z poszukiwań, jakie w lipcu b. r. odbył w *pięciu jaskiniach w Ojcowie*. Znalazł w nich ogromną ilość szczęk niedźwiedzi (*ursi spelaei*), a w jednej z nich zwanéj *Wierzchowską* ślad ogniska, na około którego wśród węgli i kości połupanych dla wydobycia szpiku, sterczały narzędzia krzemienne rozmaitych kształtów, czerepy od naczyń glinianych wraz z paciorkiem szklannym. Lubo nie można jeszcze z pewnością twierdzić, iż ludzie, po których sprzęty te pozostały byli spółcześni niedźwiedziom

przedpotopowym, w każdym razie należą do przedhistorycznej epoki kamienia (1).

Prosiłem o głos na chwilę, aby podać krótką wiadomość o jaskini w *Potoku*, w przedłużeniu gór Ojcowskich, jeszcze w roku 1852 odkrytej, a w której śród mułu kościodajnego (*limon ossifère*), znaleziono wielką ilość kłów i kości *mamuta*, *nosorożca*, *konia*, kilka odmiennych gatunków *jeleni* i *świń*, nareszcie *renifera*.

Wynurzyłem przytém żal, że nie mogę przedstawić najważniejszych okazów kongresowi, gdy na nieszczęście są w posiadaniu *uczonego profesora* (*Antoniego Wagi*) oddającego się namiętnie entomologii, który obiecuje kiedyś szczegółowe sprawozdanie o tém przed 19tu laty zrobioném odkryciu, wygotować.

Znakomity professor *Japetus Steenstrup* z Kopenhagi, uczynił zastrzeżenia co do połupanych kości zwierząt po jaskiniach; nie można w tém połupaniu bezwzględnie uznawać rękę ludzką, kiedy ono mogło być skutkiem innych, dla nauki obojętnych przyczyn.

O tak zwanych *terramarach* włoskich, mówili szczegółowo: *Pigorini*, książdz *Chierici*, *Vogt* i niektórzy inni; treść ich rozpraw znajdzie właściwe miejsce przy opisie wycieczki kongresu do *terramary* w osadzie *Montale* poza Modeną.

O *palafitach* przemówił dość krótko uczony *Virchow* (na posiedzeniu popisowém 4 października w obecności księcia Humberta, następcy tronu włoskiego i ministra oświecenia *Correnti*). — W ostatnich, jakie odkrył niedawno w okolicach *Wollina* i niegdyś sławnego miasta słowiańskiego *Winety*, znajduje *Virchow* podobieństwa do *terramarów* włoskich; sądzi jednak, że są już późniejsze od epoki brązu we Włoszech. Obszerniej i bardziej szczegółowo mówił hr. *Wurmbrand* (z Austrii) o niedawno odkrytym przez siebie palaficie na jeziorze *Attersee* niedaleko *Ischel*. Przedstawił kongresowi piękny zbiór narzędzi krzemienych, kamiennych i niektórych kościanych, pochodzących z tego palafitu, a także kilka czerepów glinianych, piękną obrączkę z *szlifowanego węgla kamiennego* i kilka śpilek brązowych.

(1) Odkrycie to opisał p. Zawisza w Bibliotece Warszawskiej, (zeszyt październikowy 1871), z dodaniem drzeworytów.

Na mnie przyszła kolej mówienia o dwóch *stacyach krzemiennych*, jakie w kraju naszym znamy; jednej w okolicach *Krzemięca* na Wołyniu, z której pochodzą piękne dzidy, grotty, kliny wielkich rozmiarów. Egzemplarze, jakie mi powierzył nasz znakomity *J. I. Kraszewski* wzbudziły ogólną ciekawość, a Duńczycy i Szwedzi uznali je za najzupełniej podobne do skandynawskich. Druga *stacya krzemienna*, przed rokiem dopiero odkryta pod Płockiem na obszarze piaszczystym, ciągnącym się pomiędzy dzisiejszym a dawnym brzegiem Wisły, przedstawia samé drobne okazy wyrobów krzemiennych, strzałki i nożyki, które służyć musiały do zaostrażania brzegów dzid kościanych. Drobne te okazy nadwiślańskie, z których mogłem zrobić ofiarę, rozebrane zostały przez p. Mortillet do Muzeum w St. Germain, przez dyrektorów Muzeów w Kopenhadze i Sztokholmie i przez prywatnych zbieraczy. *Palafit* na jeziorze Czeszewskim, najbardziej ku wschodowi posunięty, opisałem z widzenia po całkowitem prawie osuszeniu jego. Zwróciłem szczególniejszą uwagę na obszernie grodzisko, które mu ku obronie służyło. Dopełniłem nareszcie własnymi spostrzeżeniami dawniej już zrobionych opisów *palafitu Czeszewskiego* przez profesora Łepkowskiego, (który go najpierw rozpoznał jeszcze w 1863 r.) i przez Dra Libelta; przedstawiłem bogaty zbiór narzędzi z rogu reniferowego lub jeleniego i z kamienia; oraz naczyń glinianych, kości, szczęk i zębów zwierzęcych, których część już dawniej znaleziona, jest własnością Muzeum archeologicznego uniwersytetu krakowskiego. Z pomiędzy tych narzędzi, *wielki topór* z rogu reniferowego czy też jelenia (*cervus elaphus*) okazał się być *unikatem*, (jakem to już wyżej powiedział). Podługowaty otwór w tym toporze uważali jednak znakomici zuawcy, nie wiem, czy słusznie, jako narzędziem śpiżowém wyrznięty. Dwa ułamki czaszek ludzkich, znalezionych pomiędzy palami jeziora Czeszewskiego, chociaż oczywiście bardzo stare, nie przedstawiały dość charakterystycznych cech do ich dokładnego ocenienia; *Quatrefages* sądzi jednak, że je do *brachycefalów* zaliczyć wypada.

Wspominałem potem o sąsiedniém grobowisku w Dobierzewku, i o pochodzących z niego naczyń glinianych w drobnych rozmiarach, z których jedno odznaczone nóżką

nakszałt kopyta, dalej o brązowym naszyjniku, o brązowym naramienniku i o brązowej koronie, które przez dni kilka wystawione były w sali posiedzeń. Nareszcie co do *kulki szklanej napelnionej cieczą*, którą hr. Eustachy Tyszkiewicz *Łzawnicą* nazywa, a których dotychczas bardzo mało na Litwie i w Polsce znaleziono, żądałem objaśnienia od uczonych członków kongresu, ale żadnemu z nich nie była dawniej znana; jako szklanéj, chciano przyznać pochodzenie rzymskie. Mogłoby się to wytłumaczyć przez stosunki handlowe, jakie dawniej Fenycyanie a późniéj Rzymianie z morzem bursztynowém (Bałtyckim) przez kraje nadodrzańskie i nadwiślańskie prowadzili. Rozprawę moją załączam w całości, jako dodatek do niniejszego sprawozdania.

Dr. *Montelius*, jeden z kustoszów muzeum sztokholmskiego objaśniał piękny zbiór rytowanych starożytności skandynawskich, które należéć będą do dzieła jego jeszcze niewydanego.

Dr Hildebrand, syn dyrektora muzeum sztokholmskiego, czytał rozprawkę o spinkach (*fibulae*) z epoki brązu, objaśniając ją rytowanymi tablicami, należącymi do niewydanego jeszcze dzieła.

O rozprawie nadesłanej przez p. Haspelina z Finlandyi, zdawał sprawę Vogt. W krainie téj znajduje się mnóstwo narzędzi kamiennych i krzemienych, oraz z epoki żelaza; bardzo mało z epoki brązu. Krzemienia w brusach niema wcale we Finlandyi, narzędzia krzemienne muszą pochodzić ze Skandynawii. Zdanie to potwierdził Dr Hildebrand.

Na posiedzeniu popisowém 4 października, przygotowaném dla ks. Humberta, mówili: *Pigorini* (o *terramarach*), *Conestabile*, *Desor*, *Worsaae*, *Virchow*, *Vogt*. Oprócz specjalnego wykładu p. *Pigorini*, jedno tylko przemówienie hr. *Conestabile* o pierwszych mieszkańcach Italii, było prawdziwie zajmujące. Wspominał o wielkiej emigracyi aryjskiej z Azji do Europy i o poczwórném nawiedzeniu pod-alpejskiego półwyspu przez tak zwanych Aborygenów, Umbrów, Pelazgów i Etrusków. Ci ostatni po zawiązaniu federacyi 12tu miast w środkowej Italii, przebyli Apenińskie góry i założyli nową północną federacyę etruską, ze stolicą *Felsina* (dzisiejszą Bononią). Nowo odkryty w Egipcie napis świadczy, że państwo etruskie kwitnęło już na 15 wieków przed erą chrze-

ściańską. Na pytanie czyli mieszkańcy *terramarów* dawniejsi są od Etrusków, nikt nie umiał odpowiedzieć stanowczo. *Desor* wypowiedział tylko nadzieję, że dalsze studia nad *terramarami* rozwiążą zapewne zadanie co do ich mieszkańców.

Na posiedzeniu 6 października uczony *Nicolucci* czytał ważną rozprawę o starożytności człowieka w Italii; o bytności jego wcześniejszej od migracji aryjskiej, świadczą ślady człowieka znalezione w pokładach czterorzędnych i w *miocenie*. Charaktery odróżniają się od typów z czasów historycznych. Czaszki są daleko mniejsze, ale kości świadczą o silniejszym rozwinięciu muskulatury. Czaszki z epoki brązu, co do kształtu swojego zbliżają się już do dzisiejszych, co uważać można jako rzeczywiście *postępek*.

Professor *Mantegazza* wniósł, aby na przyszłym kongresie zwrócono pilniejszą uwagę na konstrukcję *czaszek ludzkich*. Dotychczas nader trudno jest odróżnić narodowości wedle kształtu czaszek, ponieważ tak w przedhistorycznych jak i w późniejszych czaszkach znajdują się najróżniejsze typy. Dowodem tego są świeże wykopaliska w Sardynii i na wyspie *San Antioco*, a nareszcie piękny zbiór *czaszek ludzkich* ze wszystkich krain włoskich na *Wystawie paleoetnograficznej*.

Z tej wierniej treści rozpraw kongresowych łatwo osądzić, czy rozwiązane zostały jakie ważne zadania *nowej nauki*, lub czy nawet postawione zostały tak, aby na przyszłych kongresach, doczekały się rozwiązania. Przybyły wiadomości o kilkunastu nowych odkryciach archeologicznych i paleontologicznych po całym obszarze europejskim; a nade wszystko przybyło *doświadczenie* z porównania przywiezionych z najodleglejszych stron okazów archeologicznych, z przedmiotami zgromadzonymi na wspaniałej *Wystawie paleoetnograficznej* z całych Włoch i z wykopalisk, których członkowie kongresu byli świadkami w *Montale* za Modeną, w *Marzabotto* i *Certosa*.

Dnia 3go października kongres w całym komplecie wyruszył z rana osobnym pociągiem drogi żelaznej do *Modeny*, a ztamtąd przygotowanymi pojazdami, po cztery osoby w każdym, do osady *Montale*, odległej o godzinę drogi od *Modeny*. Przy kościele miejscowym znajdują się owe włoskie *terramare*, rozkopane na kilkanaście stóp głębokości dla oka-

zania rozmaitych warstw, z których się składają. Są to po prostu *śmietniki*, nie kilku pokoleń, ale kilku rass ludzi po sobie żyjących, coś nakszaft nadmorskich *Kökenmedingów* duńskich. Nazwisko *terramara* pochodzi od *terra marna* (ziemia marglowa), nazwy nadanej przez okolicznych rolników, którzy używali jako nawozu téj ziemi, napełnionej azotem i fosfatem wapna. Na samym spodzie *terramary* sterczą jeszcze pale, na których wśród wody lub bagna stawiane były pierwsze domy z chrustu obrzuconego gliną. Mieszkańce tych domów rzucali do wody wszystkie odpadki i okruchy ze swojego gospodarstwa, tak, że z upływem pewnego czasu podniosła się powierzchnia wody lub bagna, i musiano nowe pale wbijać dla budowania nowych szałasów; albo też dawne domostwo przemieniło się na zupełny śmietnik, na wierzchu którego po kilku wiekach inni ludzie nowe mieszkania dla siebie zakładali. Często bardzo w tych *terramarach*, (których najwięcej jest w dawnéj Emilii, w okolicach Modeny i Parmy) znajduje się jeszcze trzecia warstwa cywilizacji ludzkiej, w której już są wyroby gliniane malowane (etruskie), i pierwsze znaki monetarne *ces rude*, kawałki czyli *ruble spiżowe* (1). Dwie niższe warstwy zwyczajnie należą do epoki żelaza kute-go i brązu. *Terramara* w Montale, do której przystąpiliśmy z hakami, szpadlami, nożami, z czém kto mógł do odgrzebywania owych *odpadek* i *okruch* z czasów przedhistorycznych, okazywała tylko dwie warstwy: niższą między palami z epoki kamienia, wyższą z epoki brązu. Wydobywaliśmy z téj ziemi czerepy glinianych naczyń niepalonych, kości różnych zwierząt domowych, krążki kamienne w niższej warstwie, w wyższej zaś były już gliniane wyroby delikatniejsze, toczne lub wypalane; kilka rączek wyrabianych w kształcie wołowych rogów: konserwator muzeum w Ferrarze zdobył piękną śpilkę brązową. Cywilizacja mieszkańców tych *terramarów* (wedle zdania niektórych archeologów włoskich), poprzedza cywilizację etruską, której epokę kwitnienia naczynają na 10 wieków przed Chrystusem.

(1) Najjaśniej opisał *terramare* Emilijskie, uczony i sławny de Mortillet w dziele swoim: *Le signe de la Croix avant le Christianisme*, Paryż, 1866 roku.



W dniu 5tym października kongres udał się osobnym pociągiem drogi żelaznej wraz z ks. Humbertem, następcą tronu włoskiego do *Marzabotto*, miejscowości odległej o 27 kilometrów od Bononii, po drodze do Apeninów i Florencyi. W dolinie przerznietej rzeką Reno. wznosi się płaszczyna otoczona wieńcem gór, a tworząca dziś piękny park na około *willi* kawalera Józefa *Aria*, ośmdziesiąt kilku letniego staruszka, który w dniu dzisiejszym ugaszczal kongres i księcia. Na tej płaszczynie wśród parku ciągnie się rozległe grobowisko, albo raczej prawdziwe *miasto grobów* (*necropolis*) przernięte nakrzyż szerokimi, wybrukowanymi ulicami od północy na południe, od wschodu do zachodu. Od połowy XVI wieku znajdowano w miejscowości tej, całkiem ziemią przykrytej, posążki bronzowe i inne przedmioty kosztowne, które zwracały na siebie uwagę uczonych i spekulację przemysłowców. Ale dopiero w 1862 r. pod wpływem i za pomocą hr. Gozzadini, dzisiejszego prezesa kongresu, właściciel tego miejsca kawaler *Aria* zarządził systematyczne rozkopanie miasta grobów, i z wydobytych tam przedmiotów zaczął tworzyć dziś już arcybogate muzeum, ustawione w salach *willi* Marzabotto. Groby okazały się trojakiego rodzaju: 1) *cele* mniejsze i większe, ułożone z kamieni bez spojenia; te ostatnie przedzielone na mniejsze płaskimi ceglami; 2) *studnie grobowe*, w kształcie cylindrów, a niektóre w kształcie podługowatych amfor, głębokości od 2—10 metrów, a z otworem wązkim od 30 — 77 centymetrów, wykładane ostremi kamykami bez cementu; 3) *Grobowce w kształcie skrzyń*, jedne z kamieni łupanych, inne z cegieł wielkich z wierzchem na kształt ostrego dachu; inne nareszcie z wielkich płyt tufowych, a nad temi były słupy (*colonnate*, *stèles*, *cippes*), albo wielkie kule kamienne. We wszystkich tych rodzajach grobów znajdowano i całe szkielety i spalone kości.

Muzeum miejscowe, któreśmy zwiedzili, zawiera w sobie piętnaście *stel* z tafu z ozdobami architektonicznymi; wielkie płaskie cegły na 1 metr i 7 centymetrów długie, a 80 centymetrów szerokie, z wypukłością przedziurawioną pośrodku, za pomocą której gwóźdź o szerokiém zakończeniu przybijał cegłę do belki, inne cegły malowane w różnobarwne ozdoby; różnego kształtu naczynia czarne z czerwonymi deseniami, i czerwone z ciemno-brunatnymi; na niektórych

nie wielu, napisy charakterami staro-etruskimi; kręgi gliniane i szklane (zwane *fusarole*, *sprudelsteine*), lubo niektóre do zanurzenia sieci, a inne z pewnością na sznurkach zawlekane, za naszyjniki lub naramienniki służyły. Fiasze podługowate z alabastru lub szkła, do przechowania pachnideł służące (*Alabastra*). Dwie *cisty*, t. j. kosze okrągłe z obręczy śpiżowych złożone, do przechowania kości spalonych. Kilka tysięcy odłamków śpiżowych od 10 granów do 249 wagi, tak zwane *ces rude*, pierwszy początek monety. Do składu bronzu wchodził tam ołów w proporcji 36 do 100. Więcej jak 100 posążków bronzowych, przedstawiających bądź bóstwa, bądź ludzi. Niezliczone mnóstwo sprzętów i ozdób bronzowych, pomiędzy któremi 7 zwierciadeł w liściowatej oprawie, cały zbiór spinek (*fibulae*) najrozmaitszych kształtów, paciorki szklane i bursztynowe, pierścienie srebrne i złote ze skarobeuszami, naszyjniki, naramienniki, zauszniace, guziki, śpilki złote. Z kości zwierzęcych znalezionych w tém mieście grobów, rozpoznano niektóre, należące do *Bos brachycerus* (o małych rogach), do dwóch gatunków *kóz* z bardzo dużemi rogami; do dzikich psów i świń, których dziś w Italii już niema; inne należą do znanych po dziś dzień rodzajów koni, dzików, jeleni, sarn, owiec i t. d. Z poglądu na ogół wydobytych przedmiotów hr. Gozzadini wyprowadza wniosek, że mieszkańce Marzabolto należeli do narodu Etrusków, których państwo upadło w 4tym wieku od założenia Rzymu.

W obecności naszej otworzono kilka grobów (z rodzaju tych, co z łupanych kamieni sklepione). Leżały w nich całkowite szkielety z czaszką zawsze na bok skreconą; na obu rękach jednego z nich zawieszono były naramienniki bronzowe piękną zieloną patyną pokryte. Sędziwy właściciel Marzabolto, kawaler *Aria* i syn jego przyjmowali po królewsku, a przytém jak najuprzejmiej kongresowych gości. Gdy niepodobieństwem było w salach *willi* dać obiad na 300 osób (licząc w tém kilkadziesiąt zaproszonych nie kongresowych); stoły zastawione były w ogromnym namiocie, sprowadzonym z pod *Mont Cénis*, gdzie sporządzony był na uroczystość otwarcia tunelu. Powrót do stacyi drogi żelaznej nastąpił o zmierzchu przy pochodniach, z muzyką, przy rzesistém oświetleniu *willi* i gór okolicznych bengalskiemi ogniami, któ-

re jakby w czarodziejskich ramach, obejmowały zabytki odległej przeszłości i wrażały wspomnienia o nich w pamięci odjeżdżających gości.

Podobne do wykopaliska w Marzabolto odkryto przed dwoma laty w saméj Bononii na cmentarzu, a raczej *pod cmentarzem*, zwanym *Certosa* (od dawniej osiadłych tam Kartuzów). Tam udał się kongres w rannych godzinach dnia 6 października pod przewodnictwem uczonego i gorliwego inżyniera miasta p. *Zannoni*, który z etruskich grobów starożytnéj *Felsyny* utworzył już znakomite *Muzeum miejskie* w dawnym uniwersytecie (*Archigimnasio*). Muzeum to otwarte zostało uroczystie w naszej obecności jeszcze 2 października przez syndyka Bononii p. *Casarini*; zawiera w sobie całkowite groby ze szkieletami, z czaszką zawsze na bok skręconą, (jak gdyby oczy zmarłego zwrócone być miały w stronę mieszkania jego na ziemi). *Stele*, naczynia z gliny, z brązu, ozdoby i t. d. jak w muzeum willi Marzabolto. Perłą tego muzeum jest *urna bronzowa (situla)* zawierająca kości spalone, ale wspaniałe rzeźbione naokoło i w czterech obrazach przedstawiająca *uroczystość na cześć Marsa*.

Wykopaliska rozpoczęte zostały w kilku miejscach na placach wolnych pomiędzy kruzgankami *Certosy*, aż nareszcie podkopano się pod sklepy kościoła cmentarnego. Po wyjęciu posadzki kamiennéj i rozebraniu sklepień, otworzono nowe sklepy i w nich napotkano etruskie groby z całemi szkieletami lub ze spalonemi kośćmi. W naszej obecności wydobyto z bryły ziemi *ciste* czyli kosz, złożony z obręczy spiżowych a ozdobiony uszkami z zakończeniem nakształt *szyi łabędzich*. Obręcze te piękną zieloną patyną pokryte, odcisnęły się na przylegającej do nich ziemi; bryłkę téj ziemi z zielonym odciskiem udało się mi przywieźć niepokruszoną dla Muzeum archeologicznego krakowskiego. W koszu spiżowym wśród spalonych kości znaleziono kilka sprzętów spiżowych. Widok tych katakumb pogańskich, które w zagłębieniach oświetlone były świeczkami, zapełnionych robotnikami i ciekawszymi widzami, (gdy reszta z pozostałego na około otworu pawimentu kościelnego spoglądała) widok ten był prawdziwie malowniczym.

Ostatnia wycieczka miała miejsce dnia 7 października do Rawenny, dla obejrzenia wspaniałych kościołów bizan-

tyńskich, sięgających V wieku; grobowców Gallii Placydy (córci Teodozyusza) i cesarzów Honoryusza i Walentyniana III; grobowca Teodoryka, króla Gotów i późniejszego ale bardziej przemawiającego do wyobraźni grobu Dantego.

Wszystkie te wycieczki odbywały się osobnymi pociągami drogi żelaznej; wioski i miasta po drodze ubrane były w narodowe chorągwie. Ludność licznie zebrana po drogach i ulicach, witała kongresowych gości okrzykami *e viva!* W Modenie i Rawennie municypalność występowała na przywitanie kongresu; na mowę syndyka odpowiadał po francuzku który z członków *bióra* czyli komitetu. Uczty na osób 250 do 300 ze zbytkiem (mniej potrzebnym może) co do potraw i win, zastawione kosztem municypalności, dawały powód do nieskończonych toastów witających i dziękczynnych, w których *Karol Vogt* palmę pełnej niespodzianek rubasznosci prawie zawsze osiągnął.

W niedzielę dnia 8 października nastąpiło uroczyste zamknięcie kongresu przez prezesa hr. Gozzadini. Miejsce na kongres w r. 1872 obrano w Belgii, o co w imieniu rządu belgijskiego nastawał wymownie członek kongresu p. *Dognée*. Prezesem przyszłego kongresu ogłoszono sędziwego p. *d'Homaluis d'Halloy*. Dzień zakończył się wspaniałą ucztą, wyprawioną przez municypalność bonońską w pałacu prefektury niegdyś Legatów, a dawniej jeszcze udzielnych władców Bononii, pamiętnym długim więzieniem króla *Enzio*. Muszę tu dodać jeszcze, że z powodu tak bardzo ścieśnionego czasu, przezuaczonego dla rozpraw kongresowych, zaledwie pod koniec ostatniego posiedzenia wieczornego mogłem przedstawić kongresowi *projekt nowych map archeologicznych międzynarodowych* wypracowany przez kommissyę wyznaczoną przez oddział archeologiczny naszego Towarzystwa Naukowego. Ocenienie tego projektu poruczonem zostało trzem referentom dla przedstawienia sprawozdania o nim na przyszłym kongresie w r. 1872. Załączam tu przekład polski podanego projektu; jako drugi dodatek do niniejszego sprawozdania o kongresie Bonońskim.

DODATEK I.

O dwóch stacyach krzemiennych w ziemiach polskich, o palaficie Czeszewskim, o żalniku Dobieszewskim i okazach z epoki brązu, znalezionych w krajach dawniej Polski.

(Przemówienie Aleksandra hr. Przeddzieckiego na posiedzeniu wieczorném kongresu archeologicznego w Bononii w d. 4 października 1871 r.)

I.

Dwie stacye krzemienne.

Po wszystkich ziemiach polskich znajdują się pojedynczo rozrzucone narzędzia z krzemienia: młoty, kliny, dzidy i strzałki; ale dotychczas jedna tylko znana była stacya krzemienna na Wołyniu, w okolicy miasta *Krzemieńca*, którego nazwa oczywiście od *krzemienia* pochodzi. Przed laty czterdziestu, kiedy nikt jeszcze o epoce kamienia nie marzył, jako osobliwość zbierano na Wołyniu piękne wyroby krzemienne, z których bogaty zbiór utworzył sobie Dr. Pawłowski w Dubnie. Część tego zbioru przeszła wraz z innymi podobnego rodzaju narzędziami w posiadanie znakomitego autora *sztuki u Słowian* J. I. Kraszewskiego, który uprzejmie powierzył mi je dla okazania członkom kongresu. Znalezione, że tak są podobne do najpiękniejszych w tym rodzaju wyrobów skandynawskich, iż zaledwie wierzyć można, że nie pochodzą ze Skandynawii. Skoro zaś wiadomo jest, że te wyroby krzemienne pochodzą z okolic *Krzemieńca*, trzebaby chyba znaleźć przyczynę owego podobieństwa w osiedleniu się na Wołyniu Waregów, wychodźców ze Skandynawii.

Przed trzema miesiącami daném nam było zwiedzić drugą stacyę krzemienną na ziemiach polskich nad Wisłą pod Płockiem. Od miejscowości zwanéj *Grabówek* (w dobrach Gulczewskich, własności p. generała Bontemps), pasmo gór piaszczystych oddala się od dzisiejszego koryta Wisły, z któ-

rém się dopiero pod Wyszogrodem znowu łączy. Pomiędzy temi górami a Wisłą ciągną się wydmy piaszczyste, jak gdyby dawniejsze koryto rzeki, dziś jeszcze corocznie wylewami Wisły splukiwane (1). Miejscowość tę, rozciągłości kilkuset morgów, przerzynają bagna, strumyki, gajki; a na dzisiejszym brzegu Wisły na piaskach sterczą chaty wsi *Ośnica*. Gdy wiatr po tych piaskach powieje, cała powierzchnia pokrywa się drobnymi okrzesami krzemiennymi, w kształcie strzałek, małych dzid i nożyków, (które służyły zapewne do zaostrenia brzegów wielkich dzid kościanych). Nieobrobionych kamieni znajduje się tam bardzo mało, ale więcej *klocków* (*nucleus*), pozostałych po odbiciu od nich wyżej pomienionych narzędzi.

Z owymi krzemykami pomieszane są drobne czerepy z potłuczonych naczyń glinianych czerwonych i czarnych, stare żelazto, niektóre w kształcie ostrza od strzał i dzid, kawałki szkła z niedokwasem, paciorki gliniane i szklane, drobne kamyczki i szczególnego rodzaju żuźle i skamieniałości, i także muszle rzeczne w wielkiej obfitości.

Znaleziono w pośród tego iglicę bronzową i odłamki ozdób spiżowych, nareszcie bardzo piękny obuch (*celt*) bronzowy. Niemal wszędzie, a zwłaszcza pod wzgórzami piaszczystymi, znajdują się popielnice, często jedna drugą przykryte, z przystawkami; ale oprócz przepalonych kości, nic w sobie nie zawierają: w jednej tylko był krzemyk w rodzaju skałki.

We wsi Ośnicy odkopano w piasku grób ocembrowany granitowemi kamieniami na 4 stopy głębokości, 5 szerokości, a 7 długości, w którym znaleziono 8 popielnic całych i dwie zbutwiałe; w nich same tylko przepalone kości. Grób przykryty był trzema kamiennymi płytami. Niedaleko od tego grobu na stromym brzegu Wisły sterczała takiegoż kształtu skrzynia gliniana, zewnątrz czerwonej barwy z wyciśniętymi znakami drzewa, którém musiała być obłożona, a wewnątrz spalona na żuźel węglowy; lud nazywa ją *tliskiem*. Musiała służyć do palenia ciał (*ustrina*). Tak więc na tych

(1) Wiadomość o tej *stacy krzemiennéj* wydrukowana była w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc lipiec 1871 r., ale z wielu błędami tu sprostowanymi.

wydmach piaszczystych około 8 wiorst długości, rozciągała się ogromna osada przedhistoryczna, z której pozostały tylko grobowiska i ślady *stacyi krzemieńej*.

II.

Palafit Czeszewski,
najbardziej ku wschodowi posunięty.

Jezioro Czeszewskie leży pod 35^o długości, a 53^o szerokości w powiecie Wągrowieckim W. Ks. Poznańskiego, na południe od Nakła. Naokoło jeziora ciągną się błotniste łąki i torfiska, niegdyś wodą zalane. Dno jeziora stanowi pokład gipsu z muszli, który rozciąga się także pod torfiskami.

Przed laty 30 jezioro Czeszewskie miało 750 morgów (magdeburgskich) rozległości; dziś pozostało tylko 650, a powierzchnia jego zniżyła się o dwie stopy, od czasu jak wykopano rowy służące do osuszenia brzegów jeziora.

Podówczas (było to w 1863 r.) na wschodnim krańcu jeziora, u podnóża kurhana na stóp 30 wysokiego, a który wchodzi do składu wału okalającego grodzisko kilku morgów objętości, wystąpiły na widok zczerniałe dębowe pale powbijane na dnie jeziora, i podłogi od 10—12 stóp długości, na 4—5 szerokości. Były to pnie drzew różnego gatunku, spojone z sobą bez klinów ani jakiegobądź żelastwa, a tak silnie, że z największą trudnością można było je rozerwać. Rzędy palów powbijane były w półkole na przestrzeni około półtrzecia morga. Średnica wynosiła 250 kroków, a promień środkowy kroków 75. Pale te po większej części nachylone były od południowo-wschodniej strony ku północno-wschodniej.

Dawniej już rybacy napotykali pod powierzchnią jeziora pale, o które zaczepiały się ich sieci, a gdy udało się im takowe wyciągnąć, obracali je na opak. Teraz u właściciela Czeszewa, czcigodnego posła Dra Libelta, prezesa Towarzystwa Przyj. Nauk w Poznaniu, bawił jego zięć Dr Józef Łepkowski, dzisiejszy profesor archeologii w uniwersytecie krakowskim. P. Łepkowski rozpoznał w tych palach i tych po-

dłogach ślady budowli palowej (palafitu) na podobieństwo wstawionych już palafitów szwajcarskich. Cała przestrzeń pomiędzy palami po spuszczeniu jeziora okazała się pokryta kamieniami różnej wielkości, pomiędzy którymi leżały kości zwierzęce, ułamki rogów jelenich i niezliczone mnóstwo czerpów z gliny gruboziarnistój.

Znaleziono tam kilka młotów z kamienia nieszlifowanego, z których jeden z przewierconą do połowy dziurą, jedno tylko naczynie z gliny czarnej o jednem uchu, krążki gliniane, duży topór i kilka młotów z rogu jeleniego, jakby skamieniałością ocieźałego, nareszcie dwa ułamki czaszek ludzkich z cechami *brachycefalów*.

Większa część tych przedmiotów jest dziś własnością muzeum archeologicznego uniwersytetu krakowskiego a główniejsze okazy miałem sobie powierzone dla okazania ich na kongresie.

Professor Łepkowski i Dr Libelt podawali wiadomości o palaficie Czeszewskim w pismach publicznych krakowskich i poznańskich.

W dniu 13 września b. r. zwiedziłem sam palafit na jeziorze Czeszewskim, dziś już prawie cały na osuszonym brzegu jeziora, ale przykryty warstwą czarnoziemiu i trawy, nad którą sterczą na stopę wysokości tylko rzędy zczerniałych palów dębowych. Najbliższe brzegów pale powyciągane były przez chciwą na paliwo w bezleśnej okolicy ludność wiejską.

Dzięki uprzejmości dawnego i dzisiejszego właściciela Czeszewa pp. Karola i Pantaleona Libeltów (ojca i syna) przystąpiliśmy do odszukania zapadniętych podłóg. Wykopany szeroki rów od skrajnych rzędów pali, jeszcze obmytych falami jeziora, ku brzegowi na 20 stóp długości, odkrył podłogę, złożoną z pni brzoźowych, wierzbowych i innego gatunku drzew, jeszcze korą pokrytych, nickiedy nakrzyż ułożonych, a opartych na palach t. j. na pniakach dębowych od wierzchołka z lekka obciosanych i wierzchołkami do dna jeziora powbijanych. Spodnia część tych palów jeszcze zdrowa; wierzchnia jakby przepalona, a warstwy węgla i popiołu świadczą o pożarze, który zniszczył palafit Czeszewski, tak jak zniszczone były palafity szwajcarskie. Poszukiwania na przestrzeni pomiędzy palami wydobyły na wierzch niewielką ilość narzędzi kamiennych, z pomiędzy których ciężarek do

zarzucania sieci rybackich, z gliny niepalonej, a kształtu jajka z przewierconą dziurą, jakich dotychczas (tylko z palonej gliny) używają rybacy Czeszewscy.

Ale kości, rogów, szczęk i zębów zwierząt domowych nieprzeliczone mnóstwo, a także czerepów glinianych i gruboziarnistych i z pięknej polewanej czarnej gliny na podobieństwo etruskiej. Pomiędzy temi znalazłem ułamek drutu brązowego, który przypadkowo mógł dostać się na to miejsce z sąsiedniego grodziska.

W kurhanie nadbrzeżnym rozkopanym, znalazły się tylko ślady ogniska, przepalone kamienie, węgle i dwa czerepy z czarnej gruboziarnistej gliny.

III.

Żalnik Dobieszewski i okazy z epoki brązu, znalezione w krajach dawniej Polski.

O tysiąc kroków na północ od jeziora Czeszewskiego wznosi się lasem zarosłe wzgórze zwane *Babionka*. Okalają je dwa rzędy wbitych w ziemię kamieni, o dziesięć stóp równoległe od siebie idące a rozchodzące się u spodu dla oznaczenia granic gmin, z których składało się *opole*, dziś *okreg*. Cała okolica okryta jest grobowiskami pogańskimi, które lud nazywa *żale* lub *żalniki*. Są to zwykle pagórki, na których cztery większe bryły z granitu polnego, przykryte są kupką mniejszych kamieni. Pod kamieniami są popielnice, napełnione piaskiem ze spalonemi kośćmi; rzadko kiedy znajduje się w nich iglica lub śpilka brązowa (1).

O dwie mile na północ od Czeszewskiego jeziora przy wsi *Dobieszewko*, ciągnie się na 200 morgów rozległości, wzgórze piaszczyste, które jest ogromnym żalnikiem. Na najwyższej części znajduje się kilka kwadratowych przegródek, ułożonych z kamieni polnych wbitych w ziemię. Od nich rozchodzą się na wszystkie strony, jakby promienie z takichże samych kamieni; a pomiędzy nimi pagórki piaszczyste, w których na trzy stopy głębokości stoją popielnice, przykry-

(1) W sadzawce we wsi Czeszewie Dr Libelt znalazł piękny miecz brązowy, który znajduje się dziś w bogatym zbiorze księcia Władysława Czartoryskiego.

te drobnymi granitami polnemi. W tych popielnicach z płaskimi przykrywkami, mieszczą się spalone kości, a na około stoją przystawki najrozmaitszych kształtów i rozmiarów; niektóre z nóżką na kształt kopyta końskiego, inne w kształcie słoików, inne przedziurawione, jak gdyby sita lub kadzielnice. Znajdują się też i grzechotki gliniane; rzadko kiedy jaka śpilka lub inny sprzącznik brązowy (1).

Przedmiot dość rzadko znajdujący w pogańskich grobach litewskich a jeszcze rzadziej w polskich, jest *kulka ze szkła zielonawego*, pręgowata, całkiem zasklepiona, płynem białym przezroczystym do połowy napełniona, oczywiście *Łzawnica*, kształtu niezwykłego, odmiennego od rzymskiego *lacrimatorium*. Łzawnicę taką ze zbioru mojego przedstawiłem kongresowi wraz z niektórymi przedmiotami, które do wielkich rzadkości i prawie do *unikatów* należą. Takimi są:

1) *Wielki naramiennik brązowy*, złożony z 11 coraz większych kręgów, najpiękniejszą patyną pokrytych, które wprawione są z obu stron w rzeźbioną na wylot śpiżową tablicę; wykopany w Telkowicach, przy Buchwałdzie (w Malborskiem), dziś własność muzeum archeologicznego uniwersytetu krak. z daru J. I. Kraszewskiego, który drugi podobny naramiennik posiada.

2) *Naszynnik brązowy*, z sześcią rzeźbionymi wieszadłami o trzech kondygnacjach, wykopany w Połowiu (w Dziśnieńskim), dziś w moim zbiorze.

3) *Korona brązowa* o 12 promieniach (*corona radiata*) znaleziona w Zalesiu w Czortkowskiem, w Galicyi (z muzeum Tow. Nauk. Krak.). Korona podobna, ale z przytępionymi niższymi promieniami, znajduje się w muzeum w W. Ks. Meklemburskiem, w Ludwigslust; druga, ale dęta, w muzeum w Kopenhadze; od lat kilku dopiero więcej takich koron pokazało się w Danii.

Tak więc w przywiezionych przezemnie celnych okazach mogłem przedstawić kongresowi międzynarodowemu bogactwa polskich krajów z epoki kamienia i brązu.

(1) Równie ciekawy zbiór takich przystawek znaleziono w Nadziejowie pod Środą. Okazy te umieszczone są w muzeum T. P. N. Pozn., a po części w muzeum arch. uniw. krak.

D O D A T E K II.

Projekt nowych map archeologicznych międzynarodowych, przedstawiony kongresowi archeologicznemu w Bononii w dniu 6 października 1871 roku, przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego, Delegata C. K. Towarż. Naukowego Krakowskiego.

Oddawna kongresa archeologiczne zatrudniały się zadaniem układania map archeologicznych wszystkich krajów. Jedną z najznakomitszych jest mapa archeologiczna wyspy Rugii, odrysowana na wielką skalę. Najsłynniejszą jest także mapa Belgii przez p. *Vander Maele*. Jedna i druga mają jednak bardzo wielką niedogodność: brak jasności wśród zagmatwania znaków, mających przedstawiać archeologiczne pomniki lub zabytki. Brak ten jasności pochodzi głównie z dwóch następujących powodów: najpierw zabytki czasów przedhistorycznych pomieszane są na nich z zabytkami historycznymi przedchrześcijańskimi, średniowiecznymi a nawet z pomnikami świeckimi i kościelnymi z czasów najnowszych; co wszystko razem wzięte tworzy obraz statystyczny raczej, niż mapę archeologiczną. Po drugie, znaki mnemoniczne pomieszane są z literami początkowymi, mającemi także oznaczać zabytki archeologiczne; a gdy te odnoszą się tylko do jednego języka, nie mają zatem cechy międzynarodowej. Znaki te i litery jedną tylko farbą odcisnięte, nie odbijają się dość wyraźnie jedno od drugiego, aby utworzyć urozmaiconą a jednak harmonijną całość.

Z tego powodu c. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie powzięło zamiar wypracowania projektu do mapy archeologicznej, któraby przy większej praktyczności łączyła w sobie cechę *międzynarodowości*, gdyż brak takowej daje się czuć we wszystkich dotychczasowych mapach.

Kommissya wybrana na ten cel z grona Towarzystwa, a której miałem zaszczyt przewodniczyć, zajęła się czynnie wypracowaniem projektu do mapy archeologicznej przedhi-

storycznej, który to projekt podajemy obecnie pod sąd kongresu.

Uznaliśmy koniecznym oddzielić archeologię przedhistoryczną od epok następujących, z tém jednak nadmienieniem, że w naszym systemacie czasy przedhistoryczne w każdym z osobna kraju sięgają aż do epoki, w której pismo zastępuje ustną tradycyę; ta zaś w krajach północnych i wschodnich schodzi się zwykle z epoką wprowadzenia do nich wiary chrześcijańskiej.

Zajął nas zatem tylko czasy przedhistoryczne, w ten sposób określone; a tę pracę naszą mam zaszczyt oddać pod sąd kongresu międzynarodowego archeologii przedhistorycznej, ponieważ wchodzi w zakres działalności jego.

Przyjeliśmy podział na epoki *kamienia, brązu i żelaza*, wraz z podziałami dwóch epok kamienia i dwóch epok żelaza, z których pierwsza *kamienia dzikiego*, dochodzi do początków ludzkości, a ostatnia *żelaza rzeźbionego*, łączy się z czasami już historycznymi.

Podział ten nie przesądza jednak bynajmniej ściślejszej chronologii tych epok; służy jedynie do rozgatunkowania i do oznaczenia na mapie wykopalisk należących do każdej z wyż wzmiankowanych epok.

Projektujemy oznaczenie zabytków archeologicznych na mapie znakami mnemonicznymi, łatwymi do zrozumienia, a któreby mogły być przyjęte, jako znaki międzynarodowe. Projektujemy pięć epok przedhistorycznych oznaczyć pięcią odmiennymi farbami, aby jednym rzutem oka na mapę, pokrytą różnobarwnymi znakami, poznać można było, w których okolicach więcej pozostało śladów z czasów kamienia dzikiego, kamienia szlifowanego, brązu, żelaza kutego i żelaza rzeźbionego.

Należałoby może przybrać jeszcze szóstą farbę dla oznaczenia przedmiotów obco-krajowych (jako to: egipskich, fenickich, wschodnich, greckich i rzymskich), które się w krajach germańskich i słowiańskich znajdują w epokach przedhistorycznych dla tychże krajów. A więc projektujemy oznaczać:

- 1) Epokę kamienia dzikiego, kolorem *brunatnym*.
- 2) Epokę kamienia szlifowanego, kolorem *żółtym*.
- 3) Epokę brązu, kolorem *zielonym*.

- 4) Epokę żelaza kutego, kolorem *fioletowym*.
- 5) Epokę żelaza rzeźbionego, kolorem *niebieskim*.
- 6) Przedmioty obcokrajowe, kolorem *czerwonym*.

Skoroby te kolory zostały przyjęte, znaki mnemoniczne przedstawiające przedmioty archeologiczne, należałoby odbijać na mapie farbami odpowiedniami epokom, do których one należą.

Aby archeologom dać możność oznaczania na pierwszej lepszej mapie nowo odkrytych wykopalisk, wpadliśmy na pomysł wyróżnienia znaków mnemonicznych na małych pieczętkach, z dołączeniem do nich aparatu flaszeczek z farbami i poduszeczek do wcierania farb.

Później znalazł się sposób jeszcze prostszy przez zastąpienie farby papierami chemicznymi, które podłożone pod pieczątki, odbijają znaczki na mapie w odpowiednim kolorze.

Mamy zaszczyt przedstawić uczonym członkom kongresu próbkę naszego aparatu z pieczętkami, farbami i papierami chemicznymi, (których dostarczył litograf Edward Sieber z Wiednia).

Przez zastosowanie metody *self-helpu* do sporządzania map archeologicznych dla każdego kraju, lub każdej prowincji z osobna, bez wątpienia dałyby się nagromadzić bogate materiały do ułożenia ogólnej mapy, o ile być może, dokładnej.

Pozostaje nam jeszcze poddać pod sąd członków kongresu wybór znaków mnemonicznych, mających przedstawiać rozmaite kategorie przedmiotów archeologicznych; ilość ich mogłaby być powiększoną, zmniejszoną lub zmodyfikowaną, wedle uwag, jakich nastęrczy doświadczenie, jeśli kongres uzna za stosowne wyznaczyć kommisję, któraby się zajęła projektem, jaki mamy zaszczyt mu przedstawić:

- 1) Jaskinie kościodajne kość w jaskini.
- 2) Köckenmedyngi muszle.
- 3) Budowle palowe dom na palach.
- 4) Dolmeny dolmen.
- 5) Komory grobowe kurhan otwarty.
- 6) Mogiły, które w wielu krajach jak u Hebrajczyków, służyły za miejsca czci boskiej i ofiary, albotóż były

	pomnikami jakiegoś ważnego wypadku, albo strażnicami, albo zgłiszczami pogrzebowemi	mogła.
7)	Żalniki lub żale	popielnica.
8)	Kamienie runiczne	kamień z literą runiczną φ (m).
9)	Grodziska	ogrodzenie.
10)	Ołtarzyska	ołtarz.
11)	Bałwany pogańskie	bałwan o 4ch głowach.
12)	Zabytki budowli kamiennych	absyda.
13)	Kości ludzkie	czaszka.
14)	Kości zwierzęce	róg renifera.
15)	Narzędzia lub sprzęty z kamienia nieszlifowanego (dzikiego)	klin.
16)	Narzędzia lub sprzęty z kamienia szlifowanego	młot.
17)	Narzędzia lub sprzęty z brązu	cełt.
18)	Narzędzia lub sprz. z żelaza kutego	ostrze od strzały.
19)	Narzędzia lub sprzęty z żelaza szlifowanego	klucz.
20)	Wykopaliska numizmatyczne	pieniądz.
21)	Przedmioty obco-krajowe	orzeł rzymski.
22)	Pobojowiska	dwa miecze nakrzyż.

Do każdej mapy powinienby być dołączony alfabetyczny spis miejscowości, w których odkryte zostały wykopaliska, z dokładnym ich opisem. Spis taki stanowiłby zarazem klucz i dopełnienie do map archeologicznych każdego kraju i każdej prowincyi. Mam zaszczyt przedstawić kongresowi najnowszą mapę krajów, z których składała się dawna Polska. Mapa ta, na której oznaczone są głównie rzeki, góry i znaczniejsze tylko miasta, posłużyła nam za próbkę projektowanych map archeologicznych. Piórem dodane na nią zostały nazwy miejscowości, wstawionych wykopaliskami, a te oznaczone zostały znakami mnemonicznymi, wyciśniętymi kolorami odpowiedniami epokom, do których należą wykopaliska. Lubo próbka ta przedstawia się w mniej korzystnym świetle, łatwo może być wydoskonaloną za pomocą

ulepszeń, wprowadzonych tak do samego systematu jak i do zastosowania tegoż.

Mapa nasza powleczone jest *zieloną farbą* na płaszczyznach, gdy części górzyste pozostały *białe*. Może dałoby się na całej mapie bardzo jasnymi kolorami oznaczyć pokłady geologiczne ziemi, a na nich dopiero znaki archeologiczne odbijaćby można ciemniejszymi farbami.

Na początku naszego wieku uczony a znakomity filantrop polski ks. Staszic, ułożył i dał wysztychować wielce szczegółową mapę geologiczną dawniej Polski, z oznaczeniem na niej także wykopalisk kości zwierzęcych. Mapę tę mam zaszczyt przedstawić także uczonym członkom kongresu.

Kraków, 3 listopada 1871 r.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ
W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ,

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

CZEŚĆ PIĘRWSZA.

I.

Zdrada.

Dnia 4 maja 1840 roku, pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą wieczorem, sześciu ludzi szło przez wewnętrzny dziedziniec niewielkiego domu przy ulicy *Belgrano* w mieście Buenos-Aires.

Gdy przybyli pod krużganek, ciemny jak reszta domu, jeden z nich zatrzymał się i rzekł:

— Jeszcze jedna ostrożność!

— Ależ tym sposobem nie będzie końca tym ostrożnościom przez całą noc—odparł inny, widocznie najmłodszy ze wszystkich, u którego pasa wisiała długa szpada, nawpół ukryta pod fałdami płaszcza z błękitnego sukna, zwieszzonego na ramionach.

— Choćby najwięcej, zawsze będzie mało,—mówił pićrwszy— Trzeba żebyśmy nie wszyscy na raz wyszli. Jest nas sześciu. Najprzód wyjdzie trzech i uda się chodnikiem wprost, po chwili wyjdą trzej pozostali i boczną drogą zejną się z nami w ulicy *Balcarce*, gdzie się nasze drogi krzyżują.

— Dobra myśl!

— Niechże i tak będzie; ja idę naprzód z panem i Merlo z nami—rzekł młodzieniec ze szpadą do wynalazcy dobrej myśli.

I to mówiąc, odsunął zasuwę drzwi, otulił twarz płaszczem i puścił się z towarzyszami ulicą *Belgrano* w kierunku ku rzece.

Trzej pozostali wyszli o dwie minuty później i zamknąwszy drzwi domu, udali się w tymże samym kierunku w wskazaną sobie ulicę.

Pierwsi przeszli w milczeniu kilka staj drogi. Marlo zakapturzony w ponszu postępował naprzód. W końcu towarzysz młodzieńca ze szpadą, odezwał się półgłosem:

— Smutna to okoliczność, mój drogi! Po raz ostatni stąpamy po ulicach naszego miasta; za granicą wcielamy się do wojska na straszne narażone goje, i Bóg wie co nas czeka!

— Wiem to aż nadto dobrze; lecz krok nasz jest nieuchronny... Jednakże—dodał młodzieniec po kilku chwilach milczenia—jest ktoś na naszym bożym świecie, który odmiennie od nas rzeczy widzi!

— Jakto odmiennie?

— To jest, w jego pojęciu powinnością Argentynów pozostać w Buenos-Aires!

— Chociaż tu jest Rozas?

— Chociaż jest Rozas...

— A więc nie iść do wojska?

— Tak właśnie!

— Bał więc to tchórz albo federalista, *mashorquero!*

— Ani jedno, ani drugie. Owszem, odwagę posuwa on do zuchwałstwa, a serce to najczystsze, najszlachetniejsze w naszym pokoleniu...

— A cóż więc chce żebyśmy zrobili?

— Zdaniem jego wszyscy powinniśmy zostać w Buenos-Aires, bo w naszym mieście a nie w wojsku jest nieprzyjaciela którego zwalczyć trzeba... i przesłicznie wyrachował, że mniej nas ludzi padnie na ulicach w dniu rewolucji aniżeli na placu boju w ciągu czterech lub sześciu miesięcy, a z nie mniejszym prawdopodobieństwem powodzenia. Lecz dajmy temu pokój, bo w Buenos-Aires powietrze słyszy, światło widzi, a kamienie i pył powtórzą nasze słowa przed wrogiem i ciemną unitaryuszów.

Młodzieniec zamilkł i powiódł po przestrzeni dwoma czarnymi oczyma, których smętny wyraz godził się z badością lica, rozjaśnionego blaskiem dwudziestej szóstej wiosny życia.

W miarę jak się ożywała rozmowa w tym przedmiocie, i ku niskim brzegom rzeki się zbliżano, Merlo zwałniał kroku lub chwilowo przystawał, dla obtulenia się w swoje ponszo.

Przybyli do ulicy *Balcarce*.

— Tu mamy zaczekać na tamtych—rzekł Merlo.

— Czy jesteście pewni w którym punkcie mamy łódź znaleźć—spytał młodzieniec.

— Najzupełniej—odrzekł Merlo—Ułożyliśmy się, że was do niej doprowadzę i dotrzymam słowa, tak samo jak panowie dotrzymaliście umowy, wyliczając mi obiecane pieniądze, nie dla mnie, bo ja tak kraj kocham jak i kto inny, lecz dla ludzi którzy was odwożą do innej *bandy*... A zobaczycie panowie co to za ludzie!

Przenikliwy wzrok młodzieńca utkwiał w obliczu mówiącego, gdy wtém nadeszli trzej towarzysze na których czekano.

— Teraz musimy się nie rozłączać—rzekł jeden z nich.— Idźcie naprzód Merlo, prowadźcie nas!

Na to wezwanie Merlo wszedł w ulicę *Wenezunela*, zawrócił się w zaułek *San Lorenzo* i schodził w dół ku rzece, której fale przemykały się spokojnie po szmaragdowej oponie, pokrywającej z tej strony pobraża Buenos-Aires.

Noc była cicha, wątłym promykiem gwiazd oświecona, a chłodny powiew z południa zwiastował zbliżanie się zimowej pory.

Przy bladym gwiazd migotaniu ukazywała się la Plata, pusta i dzika jak *Pampa*. Fale jój bez gwałtowności, bez uderzania rozlewały się na płaskim brzegu, i szum ich wiać można było za naturalne oddychanie tego amerykańskiego olbrzyma, dźwigającego na barkach swoich trzydzieści francuzkich okrętów, w chwilach wypadków, które tu opisujemy.

Komukolwiek przyszła raz chętką przechadzać się w noc ciemną po nadbrzeżu Rio de la Plata, w miejscu tak zwanem *Padól* w Buenos Aires, ten mógł tylko poznać jak strona ta ma w sobie coś smętnego, melancholicznego, a wspaniałego zarazem. Wzrok tonie w beżmiernej przestrzeni jaką zajmuje rzeka, i zaledwie uchwycić może nie pewne światełka z którego ze statków w wewnętrznej przystani. Miasto o kilka staj drogi od brzegu, przedstawia się niekształtne, ciemne i ogromne. Żadne ludzkie brzmienie ucha nie dochodzi, jednotonny tylko i dziki poszmer fali ożywia ponuro to siedlisko samotności i posępnego smutku.

Lecz tacy co w stronę tę przybyli wśród nocy cieniów w celu opuszczenia kraju, gdzie rozkiełznana dyktatura skazywała na proskrypcję setki uczciwych mieszkańców, ci tylko znają wrażenie tych miejsc i tej godziny, w których mieli albo ginąć pod sztyłem federalnego potwora, gdyby ich wytropiono, lub pożegnać ojczyznę, rodzinę, miłość, jeżeli się uda szczęśliwie na słabą wsiąść łódkę, co w cudze zawiezie ich kraje, gdzie wolnym odetchnąwszy powietrzem ujmą broń do wojny domowej.

W epoce o której mówimy, jad terroryzmu zarażał umysły: stasza to choroba ducha, znana już i doświadczona w Anglii i we Francyi, o wiele dawniej niż ją Ameryka poznała.

Po więzieniach, *prokuratoryach*, rozstrzeliwaniach, zaczęły wchodzić w użycie oficjalne morderstwa dokonywane przez *Mashorkę*, ten klub bandytów, na który ze wstrętem patrzyliby pierwsi Kromwella stronnicy, ze zgrozą zwolennicy Marata.

Ten więc terroryzm który powszechnie oładnął umysły, musiał koniecznie wpłynąć na ducha tych ludzi idących w milczeniu i w nocną dobę brzegiem rzeki ku *Barakom* z zamiarem opuszczenia kraju, co było zbrodnią obrazy tyranii, którą nieuchronnie śmierć karała.

Któż oni są ci nocni milczący wędrowcy po dzikim nadbrzeżu pustkowiu?

Ten co naprzód idzie, to Juan Merlo, człowiek z ludu, z tego pospolstwa w Buenos-Aires, które z cywilizowanym światem zbratało się ubiorem, z dzikim *gaucho* wstrętem ku cywilizacji, ze stepową ludnością w *Pampas* obyczajem próżniactwa i włóczęgostwa, Widzieliśmy już że Merlo był przewodnikiem drugich.

O kilka kroków za nim szedł pułkownik Lynch, żołnierz z 1813 r., mąż dzielny, wysokiego wykształcenia, pięknej portacji.

Dalżej postępował znany nam młodzieniec o czarnych smętnych oczach, Dou Edward Belgrano, krewny dawnego generała tegoż nazwiska, właściciel mnogich posiadłości po rodzicach odziedziczonych; serce odważne i szlachetne, umysł hojnie od natury uposażony, wzbogacony nauką.

Następnie byli: Oliden, Riglos i Maisson, wszyscy Argentyni.

W takim porządku przybyli do tego punktu *Padolu* który się znajduje pomiędzy *Rezydencją* i nizkim trzęsawiskiem wychodzącym na *Baraki* przy ulicy *Reconquista*, to jest w położeniu równoległym domowi zamieszkanemu przez pana Mandeville, ministra Jéj Kr. M. Brytańskiej,

Tu Merlo zatrzymał się mówiąc:

— W tém miejscu miała łódź do lądu przybić.

Wszystkie spojrzenia pogrążyły się w ciemności, upatrując na rzece zbawczego statku. Lecz zdawało się że Merlo na lądzie go śledzi, gdyż wzrok jego skierował się ku *Barakom* a nie na wód obszar.

— Niema—rzekł—niema tutaj, trzeba trochę dalej podéjść.

Towarzystwo poszło za nim. Ale zaledwo dwie minut upłynęło, gdy pułkownik Lynch idący tuż za przewodnikiem, dostrzegł coś czerniącego się w odległości trzydziestu lub czterdziestu sążni, w kierunku w jakim podążali, i w chwili gdy się obracał ku towarzyszom dla udzielenia im swego spostrzeżenia, głośne: kto idzie! przerwało ciszę pustkowie, i nagłym przerażeniem wszystkie serca zdjęło.

—Nie odpowiadajcie—szepnął Merlo—postąpię nieco naprzód, może dojrzę ilu ich tam jest!

I nie czekając odpowiedzi poszedł o kilka kroków, a potem puścił się szybkim biegiem i jednocześnie gwiznął donośnie.

Na hasło to odpowiedział natychmiast głuchy i zatrzważający hałas; gwałtowny tentent konnicy, i w parę sekund pięćdziesięciu jeźdźców jak nagły z gór potok spadło na głowy nieszczęsnych zbiegów.

Pułkownik Lynch zaledwie miał czas wydobyć z pochwy pistolet; zanim zdążył dać ognia, runął na ziemię pod gwałtownym konia pchnięciem.

Maisson i Oliden wystrzelili oba, lecz wkrótce tak samo poupadali.

Riglos nadstawił ostrze sztyletu pod pierś najeżdżającego rumaka, ale nie mógł pod naciskiem jego na nogach się utrzymać,

potoczył się, a na niego wraz z wierzchowcem zwałił się jeździec. Ten ostatni wnet się podniósł i nóż jego trzykrotnie zanurzył się w piersi ofiary.

Lynch, Maisson i Oliden, tarzając się po ziemi, skrwawieni, stratowani końskimi podkopy, po kilku minutach passowania się, uczuli drapieżną rękę chwytającą za włosy, ostrze noża szukające ich gardła, a głos dziki i przeraźliwy podniecał, rozkazywał, miotał bluźnierstwa i obelgi... próżno się szamocą, krzyczą, bronią... nóż tnie po rękach, palce odpadają, potężne cięcia godzą w szyję, i wraz z potokami krwi kipiącej ulatują dusze ofiar niosąc do Boga skargi na morderców.

I podczas gdy zbójcy zsiadłszy z koni kupią się w około trupów dla obdarcia ich z pieniędzy i kosztowności, kiedy w ciemnościach i zgiełku téj straszliwej sceny wzrok i słuch nic rozróżnić nie zdoła; jednocześnie o sto kroków dalej mała kupka ludzi jakby jedno ciało wijące się i elastyczne, co sekunda to w inne przerabia się kształty i rozmiary: tam walczy Edward obskoczony przez czterech bandytów.

W chwili napadu ogólnego, młodzieniec chyżym w bok rzutem, jednym prawie skokiem o stóp piętnaście znalazł się na skrzydle konnego hufca, i tym sposobem uniknął pierwszego natarcia: lotna jego wyobraźnia w jednej sekundzie plan mu ten podała, i chwila ta starczyła mu na wydobywanie szpady z pochwy, na zdarcie z siebie płaszcz pod szyję spiętego i zarzucenie go na lewe ramię.

Nie uniknął wszakże wzroku napastników, pomimo ciemności nocnych przez które zaledwie się przedrzeć mogło gwiazd słabe mruganie. Kilku jezdnych dostrzegło go: z szybkością polotu myśli zwrócili swoje konie i wpadli na Edwarda z szablą w ręku.

Młodzieniec odgadł raczej niż dostrzegł ten obrot zbójców: wbiegł pomiędzy dwa konie, głowę osłonił lewem ramieniem w płaszcz grubo owiniętym i zatopił szpadę aż po rękojeść w pierś jeźdźca z prawej strony. Jeszcze trup z konia nie spadł, a już się Edward cofnął o dziesięć kroków, zawsze w kierunku miasta.

Widząc upadek towarzysza czterej rzucili się z tém większą zajadłością.

Edward usunął się szybko na prawo, i tegim razem trafił w głowę najbliższego siebie konia. Runak wstrząsł się, rzucił się raptownie w bok na drugiego, a jeździec sądząc go śmiertelnie ranym, zeskoczył by razem z nim nie upaść: inni posiadali zaraz za przykładem pierwszego nie wiedząc sami przyczyny.

Wtenczas Edward rzucił swój płaszcz i jeszcze o kilkanaście kroków się cofnął. Przez wyobraźnię jego przebiegła myśl ratowania się ucieczką; ale bieg szybki znuży go i sił pozbawi, bo prześladowcy jego znów na koń wsiądą i dościgną go niebawem.

Jeszcze ta uwaga jak mig błyskawicy przez myśl jego nie przemknęła, kiedy już napastnicy byli mu nad karkiem, trzech w szable zbrojni, czwarty ze zbójcekim nożem. Spokojny, nie uległy, silny i zręczny, Edward odbijał ich razy: oni go okrążali stara-

jąc się ścieśnić koto, i wszystkie ciosy w głowę wymierzać; on zastawiał się młynkiem i walcząc już zaczepnie już odpornie, wielkimi krokami usuwał się w stronę miasta.

Wściekali się zbrojcy nie pojmując jak jeden potrafi obronić się od kilku, a zażarci, odurzeni krwią i zjadłością nie spostrzegli się że już są o paręset kroków od reszty gromady oddaleni: udawał się plan który Edward powziął od pierwszej chwili napadu, ażeby ich rozłączyć i zgubić się w nocy cieniach.

Czuł on jednakże omdlewające siły i brak tchu w piersi. I przeciwnicy byli już znużeni, i po raz ostatni usiłowali okrążyć go z bliska, podniecając się wzajemnie szatańskiemi słowy; lecz w chwili gdy już go dosięgali, on machnięciem wyciągniętą ręką w prawo i w lewo, odstraszył ich od siebie i jak błyskawica z pośredka nich wypadł, znów kilka kroków ku miastu zyskując.

Bandyta z nożem stracił broń i część ręki pod ostrzem szpady Edwarda, a drugi słabnął od utraty krwi płynącej obficie z rany w głowie.

Mimo to wszyscy czterej nacierali zajadle i jeden rzucił się na Edwarda okręcając mu głowę ogromnym swoim ponszem, lecz sam wpadł na nadstawioną sztorcem szpadę, która mu serce przeszła. Edward tak oslepiiony nie stracił przytomności, uskokczył w tył i młynkując prawą uzbrojoną ręką, lewą zdierał ponsz z głowy: lecz w chwili gdy się już z pod tej wyzwał obłą, jeden pataasz pchnął go końcem w bok lewy, a drugi głębokie cięcie w prawe zadał ramię.

— Barbarzyńcy—krzyknął—nie zaniesiecie głowy mojej waszemu panu, aż dopóki całego ciała mojego na sztuki nie porąbiecie.

I zbierając resztki sił upadających, wymierzył dwa potężne pchnięcia ku najbliższemu przeciwnikowi; dwóch ludzi padło na raz, jeden z przeszżytą piersią, drugi Edward: po gwałtownym zamachu nie mogąc odzyskać równowagi potoczył się, ale nie stracił ani przytomności ani odwagi.

Ostatni dwaj zbrojcy którzy jeszcze walczyli, rzucili się na niego.

— Jeszcze żyw jestem!—zawołał Edward głosem strasznym i donośnym. Pierwszy to głos rozbrzmiewał się tak silnie w tych miejscach i przerwał ciszę tej sceny okropnej, i echa tego głosu powtórzyły się na dalekiej przestrzeni tych odludnych pustek.

Edward podniósł się nieco, oparł łokieć na piersi rozciągniętego obok siebie trupa i ze szpadą w lewej ręce kusił się jeszcze utrzymać nierówną walkę.

I w tym jeszcze stanie mordercy ostrożnie ku niemu się zbliżali. Jeden z nienacka ciął szablą w lewą nogę rannego, któremu jego położenie nie dozwoliło odbić razu. Pod wrażeniem tego cięcia Edward ostatniem wysileniem stara się wzmódz na nogi, lecz ręka drugiego bandyty porywa go za włosy, uderza głową o ziemię, kolano spada na jego piersi.

— Już mam cię unitaryuszu! jużś złapany—rzecze zbójca, i obracając się do drugiego, który młodzieńca za nogi uchwycił, woła o nóż dla ucięcia głowy.

Edward szamocze się jeszcze pod uciskającą go ręką, lecz ten ostatni wysiłek, wzmaga tylko wpływ krwi z ran głębokich.

Dziki, piekielny śmiech błysnął na twarzy bandyty, gdy nóż od towarzysza odbierał. Rozszerza się jego źrenica, nozdra rozdymają, wyszczerzają usta: lewą ręką szarpie włosy już prawie martwego młodzieńca, i zwracając na wznak twarz jego, wznosi nóż nad gardłem.

Lecz w chwili gdy rękę ściągał ku szyi, słysząc się dał cios nagły, i zbójca padł twarzą na ciało swej ofiary.

— I ty otrzymasz co ci się należy!—rzekł głos silny i spokojny człowieka, co jakby z nieba spadł, i ramię jego podniosło się nad głową ostatniego ze zbójców, który Edwarda za nogi trzymał; zagrożony zerwał się w gniewu oka i jak strzała pierzchnął w stronę rzeki.

Nieznajomy go nie ściga ani na jeden krok, ale się obraca tam gdzie stos rannych i trupów, a z ust jego wybiega imię Edwarda, wyrzeczone z wyrazem miłości i wątpienia! Podnosi ciało zbójcy upadłego na omdłą ofiarę, odkłada je na bok i przykłękając na ziemi dźwiga młodzieńca i głowę jego na pierś swoją składa i oddechu słucha.

— Jeszcze żyje! — rzecze, ujmuje dłoń i lekki uścisk ręki daje znak że ranny go poznał.

Wtenczas bez wahania głowę podnosi, wzrokiem w około niespokojnie powiódł i powstał: lewcm ramieniem w pół ujął Edwarda, i unosząc go w objęciach, szedł ku poblizkiemu rozdołowi gdzie stał dom pana de Maudeville.

Chód jego pewny i łatwy wskazuje iż stopa jego zna te strony. Lecz po niejakiem czasie zmuszony jest odetchnąć i składa rannego na piasku. Obaj krwią zbroczeni. Przykłada usta do ucha omdlałego:

— Edwardzie, to ja, Daniel, twój przyjaciel, twój brat Daniel.

Ranny lekko głową poruszył, otworzył nieco oczy. Omdlenie spowodowane zbytciem krwi wpływem zaczynało przemijać, chłodny powiew nocny orzeźwiał go.

— Uciekaj... ratuj się Danielu!—to były pierwsze słowa które zdołał wyrzec.

Daniel go uściskał.

— Nie o mnie tu idzie Edwardzie... ale potem o tém... otocz mi szyję lewą ręką silnie, jak tylko możesz... cóż u licha! czy się lewą ręką bijesz że w niej trzymasz szpadę? Ach biedny przyjacielu, bandyci porąbali ci prawą a mnie nie było przy tobie!

I mówą swoją chciał wywołać odpowiedź, jedno słowo, któreby mu dało poznać rzeczywisty stan rannego; może rany jego są niebezpieczne!... drżał na tę myśl.

Znów wziął go na barki i niósł w tym samym co wprzód kierunku. Z wielkiem wysileniem zdołał zejść ze swoim drogim ciężarem na dno rowu około pięciu stóp głębokiego, który nie dawno zaczęto kopać w odległości dwudziestu kroków od bocznego muru domu położonego na trzęsawisku: było to mieszkanie ministra Jéj Brytańskiego Mości.

Edward stanął na chwilę, lecz nogę miał przeciętą prawie do kości i w tej postawie kolana się zgięły.

Daniel posadził przyjaciela i oparł go o ścianę rowu.

— Gdzie jesteś ranny?—zapytał siłac się na spokoj w głosie, chociaż krew mu lodem się ścinała na przypuszczenie że rany Edwarda mogą być śmiertelne.

— Nie wiem... lecz tutaj czuję ból okropny—odrzekł młodzieniec przykładając rękę towarzysza do prawego ramienia i do lewej nogi.

Daniel odetchnął.

— Jeżeli tylko w tych miejscach masz rany, to jeszcze nie, mój drogi.

Uwolniony od srogiej niepewności, w radosnym uniesieniu przycisnął go do serca, lecz w tym uścisku Edward boleśnie krzyknął.

— Muszę mieć jeszcze... tak... mam tutaj ranę—rzekł wskazując na bok lewy—ale najbardziej noga mi dolega!

— Czekaj—rzekł Daniel—trzeba przynajmniej zatamować upływ krwi.

I chustką z kieszeni obwiązał mocno nogę, zdjął krawat z szyi i obandażował nim piersi rannego, we wszystkich słowach i czynnościach okazując najzupełniejszy spokój, na którym w istocie mu zbywało od chwili gdy się dowiedział o ranie w piersi, gdyż lękał się czy wnętrzości nie naruszone.

Cała ta scena odbywała się wśród ciemnej nocy, w głębi wąskiego i wilgotnego rowu. I jakby na urągowisko przyłączyły się nagle do niej dźwięki klawikortu: pan Maudeville dawał u siebie wieczorek.

— Ach!—rzekł Daniel kończąc opatrywanie—Jego Eks. ang. bawi się.

— Podczas gdy pod jego drzwiami mordują mieszkańców tego kraju!—zawołał Edward.

— Właśnie też dlatego się bawi. Minister angielski nie może być dobrym ministrem angielskim tylko o tyle, o ile wiernie przedstawia Anglię... a ta szlachetna pani tańczy i śpiewa na około trupów, niby hohentockie wdowy, z tą tylko różnicą że tamte robią to z żalu a ona z uciechy.

Uśmiechnął się Edward z tego pomysłu zrodzonego w dobrze mu znanéj bujnéj wyobraźni i chciał się odczwać, gdy nagle Daniel położył mu rękę na ustach.

— Słyszysz?—szepnął mu do ucha szukając omackiem szpady.

Nie mylił się; coraz wyraźniej słychać było stąpanie koni, a zaraz potem szmer głosów ludzkich doleciał do ucha dwóch przyjaciół. Odgłos przybliżał się i wreszcie rozróżnić można było słowa rozmawiających.

— Wiesz co—mówił jeden o kilkanaście kroków od rowu—skrzeszmy ognia i przy świetle cygara będziemy mogli porachować, bo ja nie chcę iść do portu, tylko do domu wróć.

Zabrzączały mosiężne pochwy, gdy dwaj jeźdźcy zsiadali z koni.

Prowadząc konie za lejce postąpili nad rów i usiedli o cztery kroki od Daniela i Edwarda.

Jeden z nowo przybyłych wyjął krzesiwo, zapalił hubkę, potem cygaro i rzekł do drugiego.

—Zobaczmyż: dawaj mi papierki po jednemu!

Drugi zdjął kapelusz, wy dobył z niego zwitek biletów bankowych i jeden z takowych podał towarzyszowi. Ten silnym pociągnięciem rozżarzył cygaro i światło zarzewia padło na bilet, nad który pochyliły się zbliżone ku sobie twarze nocnych wędrowców.

— Sto! —rzekł pierwszy.

— Sto!—powtórzył drugi, wypuszczając gesty kłęb dymu.

I taki sam przegląd odbył się z kolei na trzydziestu banknotach równiej wartości. A potem podzielili się, po 1500 pesos na każdego.

— Myślałem że będzie więcej!— rzekł człowiek z cygarem—gdybyśmy byli głowę ucięli tamtemu, brząkałibyśmy workiem złota.

— Gdzież ci unitaryusze podążali? do wojska Lavalla, nieprawdaż?

— Juźcić nie gdzie indziej. Szkoda tylko że wszyscy nie chcą iść, tobyśmy co noc taką gratkę mieli.

— Tak, a jeśli czasem Lawalle wkroczy i kto nas doniesie?

I cóż, jesteście podwładnymi, a jak zobaczymy że sprawa źle idzie, to w nogi. A tymczasem podjąłem się zabijać dla Restauratora i dlatego jestem w liczbie ludzi zaufania u komendanta.

— Rachuj na to! Niech-no zobaczy teraz że nas niema, będzie i mnie i tobie!

— O! alboż nie wysłał nas w tę stronę, drugich w inną, Diega z czterema po ulicach, na wyśledzenie tego co nam się wyślizną? A więc jutro powiemy żeśmy noc na poszukiwaniach strawili i nie nam nie powieć.

— Ja tam nie pójdę go szukać: powiadają że aż czterech przybyło na pomoc unitaryuszowi, bo gdzieżby tam jeden mógł tyłu pozabijać? Jadę do portu!

— Dobrze—rzekł drugi nie ruszając się z miejsca—jedź sobie, ja jeszcze dokończę cygaro i wróć do domu, a jutro o świcie przyjdę po ciebie i udamy się razem do głównej kwatery!

Tamten wsiadł na koń, zawrócił i pokłusował drogą do portu.

W parę minut potem, pozostały wy dobył woreczek, i wyjął z niego jakiś przedmiot który przybliżył do ognia swego cygara.

— Patrzcie! zegarek złoty!—rzekł—nikt nie widział jak go sobie wziętem i temi pieniędzmi co mi za niego dadzą nie podziele się z nikim.

— Oho! idzie - rzekł przykładając go do ucha—tylko że nie wiem... nie wiem jak poznać godzinę... to mądrość unitaryuszów... a ja to tylko wiem, że teraz godzina dwunasta i że...

— Że to godzina ostatnia twojego życia, łotrze, zbójcu!—krzyknął Daniel wymierzając mu silny raz w głowę, po którym bandyta padł na miejscu, nie wydawszy ani jęku.

Daniel wskoczył napowrót do rowu i uściśnął przyjaciela.

— Odwagi, odwagi Edwardzie, jesteś wolny, ocalony! Opatrzność zsyła nam to, czego jedynie potrzebowaliśmy... mamy konia!

Wyniósł Edwarda z rowu, z niesłychaném wysileniem i z czułą troskliwością wsadził go na konia, sam wskoczył z tyłu za nim, objął go rękoma, i wolnym stępem bocznemi ulicami jechał w odległą część miasta.

Skreślił w uliczkę błotnistą, czarną, między dwoma murami, gdzie nie ma innych domów jak cegielnie, i która prowadzi na odludne wzgórze, zkąd ścieżki spadziste zbiegają ku Barakom. Przechodnie w dzień nawet wołą nadłożyć drogi, aniżeli zapuszczać się na te bezdroża, zwłaszcza gdy grunt wilgotny. To właśnie dogadzało Danielowi i dlatego obrał tę drogę, którą zresztą znał jak najdokładniej. Zawrócił znów w tę i ową ulicę, również mało uczęszczane, popędził konia, żeby coprędzej wydostać się z tych miejsc przeklętych, aż wjechał w ulicę *Larga* pustą jak poprzednie.

Wreszcie przystanął, potoczył wzrokiem wokoło, i przekonawszy się że nic nie widać ani słyhać, podjechał chodnikiem ku domowi, z którego okien przebijało się światło z poza spuszczo-nych zazdrostek i gęstych firanek. Przybliżył konia do kraty, i wsunąwszy rękę pomiędzy zazdrostki, zadzwonił lekko w szyby. Nikt nie odpowiedział. Zapukał drugi raz, a wtenczas głos niewieści spytał bojaźliwie:

— Kto tam?

— To ja, Amalia, ja, brat twój.

— Daniel?—rzekł tenże sam głos z wewnątrz bliżej okna.

— Tak jest, Daniel.

I w tej chwili otworzyło się okno, zazdrostka się podniosła, i pochyliła się w kraty postać młodej kobiety czarno ubranéj. Lecz na widok dwóch mężczyzn na jednym koniu, cofnęła się jakby zdziwiona.

— Nie poznajesz mnie Amalio? Słuchaj: otwórz natychmiast drzwi od ulicy... ale nie budź służących, otwórz sama.

— Cóż to jest Danielu?

— Nie trać ani sekundy, Amalio, otwieraj póki pusto na ulicy; idzie mi o życie, więcéj niż o życie: czy teraz rozumiesz?

— O Boże!—zawołała kobieta, zamknęła okno, przebiegła pokój i sień, otworzyła drzwi i wybiegła na chodnik, mówiąc:

wejdź! z wyrazem tój szczytnój gotowości do ofiary, która w tkliwej niewieściój duszy jest dziełem nie wyrozumowania, ale natchnienia.

— Nie zaraz — odparł Daniel, który już zsiadł z konia, i nie puszczając uzdiennicy, trzymał w pół Edwarda i tak do drzwi domu się przybliżył.

— Zastąp mię Amalio, podeprzyj tego biédaka, bo sam iść nie może.

Amalia bez zawahania się, ujęła pod ramię Edwarda, który opierając się o drzwi, naprózno siłił się poruszyć zboląłą nogę.

— Dziękuję pani—rzekł głosem pełnym uczucia i słodyczy.

— Pan jesteś ranny?

— Trochę.

— O mój Boże!—zawołała Amalia—czując że jój ręce zwilgotniały krwią.

Przez tę chwilę Daniel wyprowadził konia na środek drogi, obrócił go w stronę mostu, puścił wodze, i silnie uderzył po grzbiecie płazem szpady. Koń nie czekał na powtórne hasło, kopnął się wprost przed siebie.

— Teraz wejdźmy!—rzekł Daniel, i wniósłszy Edwarda do krużganku, drzwi zaryglował. I znów ujął, wniósł do pokoju i złożył na sofie człowieka, któremu życie ocalił w tój krwawój nocy: człowiek ten pełen jeszcze ducha i siły moralnej, lecz ciało omdlałe, już o swojój mocy nie był w stanie się ratować.

II.

Ratunek.

Amalia wbiegła do małego gabinecciku tuż przy sali i wniosła małą alabastrową lampę, którą postawiła na okrągłym mahoniowym stole, pełnym kwiatów i książek.

Młoda kobieta, bliska krewna Daniela, była w tój chwili nadzwyczaj blada, skutkiem nagłego wstrząśnienia jakiego doznała. Lecz bladeść ta i pomieszanie nie ujmowało bynajmniej jój zachwycającej piękności. Odrzucone w tył pukle włosów jasno-kasztanowatych, okalały twarz dwódziesięcioletnią, czoło piękne i wyniosłe, oczy ciemne pełne wyrazu i uczucia, rysy precudne, a czarny ubiór zdawałby się obmyślanym dla podniesienia olśniewającej białości szyi i ramion, gdyby materya z jakiej te suknie były zrobione, nie zdradzała szat żałobnych.

Daniel zbliżył się do stołu, i ujmując w dłonie liliowe rączęta ślicznój kuzynki, rzekł:

— Amalio, zawsze ci powiadałem o młodzieńcu, z którym mię łączy najściślejsza, braterska przyjaźń: otóż on, mój Edward, to ten którego przyjmujesz w swój dom ciężko raunego. Ale rany

jego są *federalne*, są dziełem Rozasa, więc trzeba go leczyć, ukryć, ocalić.

— Ale cóż ja mogę zrobić Danielu?—spytała młoda kobieta wzruszona i obracając wzrok na sofę gdzie leżał Edward z trupią na twarzy bladością, przy której odbijały oczy czarne aksamitne i tegoż koloru włosy i zarost.

— Masz zrobić tylko jedną rzecz: czy wątpisz żem cię zawsze jak siostrę kochał?

— O nie, Danielu, nigdy o tém nie wątpiłam.

— Dobrze—rzekł młodzieniec dotykając ustami jej czoła— otóż co masz zrobić: zdać na mnie rządy przez całą tę noc, a jutro znowu będziesz władczynią swego domu i mojej osoby, jak zawsze.

— Rozrządzaj, rozkazuj co chcesz, ja i tak w tej chwili na żadną myśl zdobyć się nie potrafię.

— Otóż najpierwszy mój rozkaz: przynieś wina ocukrzonogo, ale sama, nie budź służących.

Amalia nie czekając aż brat domowi ostatnich wyrazów, pędem pobiegła do dalszych pokoi.

Daniel zbliżył się do Edwarda, któremu chwilowy wygodny spoczynek przyniósł znaczną ulgę, płuca odzyskały swobodniejszy oddech.

— To moja cioteczna siostra—rzekł Daniel—hoża wdówka, poetyczna tukumanka, o której ci tyle razy mówiłem, a która po powrocie z Tukumanu, od czterech miesięcy mieszka samotnie w tej willi. Może gościnność nie zadowolni cię, lecz mniemam, że oczy twoje będą zadowolone.

Edward się uśmiechnął, lecz natychmiast twarz jego spoważniała i zawołał:

— Ależ to okrucieństwo! narażamy ją. Strach zaraził tylu ludzi, że każdy szuka swego ratunku kosztem drugich. Jutro Rozas będzie wiedział gdzie jestem i ta młoda kobieta znajdzie się w tém samym co ja niebezpieczeństwie!

— Zobaczmy — odparł Daniel układając roztargany włos przyjaciela—ja jestem w swoim żywiole kiedy mię oskoczą trudności. I zamiast listownego zawiadomienia, gdybyś mię był dzisiajszego wieczora uprzedził o twojej wyprawie, stawiam sto przeciw jednemu, żebyś nie miał ani jednego draśnięcia.

— Ale jakeś ty wiedział w jakim miejscu miałem wsiąść na statek.

— Później o tém—odparł z uśmiechem Daniel.

W tej chwili Amalia weszła niosąc na porcelanowej tacy szklanke bordo z cukrem.

— Oh, moja przesłiczna siostrzyczko, bogowie odprawiliby Hebe a od ciebie przyjmowałyby nektar, gdyby cię ujrzeli w tej chwili. Dalej Edwardzie, wino cię pokrzepi zanim doktor przybędzie.

Podczas gdy podnosił głowę przyjaciela, i niósł do ust jego szklankę, Amalia miała czas przypatrzeć się po raz pierwszy ranemu, którego bladość i wyraz bólu na twarzy, dawały mu coś bardziej charakterystycznego, męskiego, szlachetnego; wyobraźnią młodej kobiety silnie uderzał widok tych dwóch ludzi okrytych błotem i krwią.

— A teraz—rzekł Daniel—czy stary Pedro w domu?

— Tak jest.

— Idźże do niego, obudź i powiedz niech tu przyjdzie... zaczekaj chwilę.. róbmy wiele rzeczy naraz, żeby zyskać na czasie; gdzie papier i atrament?

— Tam w gabinecie—rzekła Amalia wskazując na drzwi boczne i wyszła z sali.

Daniel wszedł do gabinetu, wziął świecę ze stołu, przeszedł do sypialni swojej krewnej, a ztamtąd do małego prześciankowego pokojeczka, gdzie się rozgospodarował w gotowni, krwią i błotem z rąk walał porcelany i kryształy.

— O!—zawołał przeglądając się w zwierciadle—gdyby mię tak Florencya widziała! myślałaby że się z piekieł wyrwał, i jak to ona umie uciekać w dąsach kiedy jej chce skraść pocałunek, teraz uciekłyby aż na *Pampę!*

Umył sobie ręce i obcierając, spostrzegł butelkę wina przy-niesioną dla Edwarda.

— Dobrze, oto doskonale bordo, muszę wnieść toast żeby dyabli wzięli Rozasa, żeby Edward wyzdrowiał, i żeby moja Florencya sprawiła się jutro dobrze z polecenia jakie otrzyma ode-mnie.

Wyrzucił z kubka kwiaty w miednicę, nalał sobie po brzegi, wychylił do dna, i pokrzepiony wrócił do gabinetu. Tam siadł przed małym eleganckim biurkiem a twarz jego wnet przybrała wyraz poważny, wcale niepodobien napozór do charakteru młodzieńca. Napisał dwa listy, zapieczętował i wrócił do sali, gdzie już zastał Amalią.

Wtejsze chwili otworzyły się drzwi, mężczyzna około lat sześćdziesięciu, wysoki, krzepki jeszcze, z siwym włosom, z białą brodą i wąsami. w spodniach i kaftanie z błękitnego sukna, wszedł z kapeluszem w rękę, w postawie pełnej uszanowania, które się przemieniło w zdumienie na widok Daniela stojącego na środku pokoju i leżącego na sofie człowieka krwią zbrozonego.

— Myślę mój Pedro, że krew dla was nie straszna. Nic też nie ma innego, jak tylko że mego przyjaciela bandyci ciężko poranili. Przybliżcie się. Jak długo służyliście razem z moim wujem pułkownikiem Saenz, ojcem Amalii?

— Czternaście lat panie; od bitwy pod Salta, do rozprawy pod Junin, gdzie pułkownik wyzionął ducha na moich rękach.

— Służyliście pod trzema dowódcami: Belgrano, San-Martin i Bolivar: którego najbardziej kochaliście i szanowali?

— Generała Belgrano, panie— odrzekł stary żołnierz bez wahania.

— Dobrze Pedro; otóż tu jesteśmy: Amalia i ja, córka i siostrzenica waszego pułkownika, a tutaj synowiec generała Belgrano, który w tej chwili potrzebuje waszej pomocy.

— Senior, ja nie nie mam do oddania krom mego życia, a to zawsze na rozkazy tych, w których płynie krew mego generała i mego pułkownika.

— Wierzę temu mój Pedro. Ale tu potrzeba nie tylko poświęcenia, nie tylko odwagi i roztropności, ale przede wszystkim tajemnicy.

— Rozumiem panie.

— To dosyć! Wiem że wasze serce znaczne, mężne. Idźcie więc i nie budząc nikogo, osiodłajcie jednego konia od powozu, jak najciszej podejdźcie go podprowadźcie, uzbrojcie się i przyjdźcie tu.

Weteran poniosł rękę do prawej skroni, jak gdyby był przed swoim generałem, zrobił pół obrotu w lewo i pomaszzerował dla spełnienia rozkazu.

W pięć minut zatętniały kopyta końskie, zaskrzypiały na zawiasach główne drzwi willi, i ukazał się na progu, w ponsz odziany, stary żołnierz z piętnastoletnich bojów.

— Wiecie gdzie mieszka doktor Alcorta?

— Za Ś-tym Janem.

— Dobrze. Więc pojedziecie do niego, będziecie dzwonić aż póki nie otworzą i wręczycie mu ten list; powiecie żeby się wybrał, a tymczasem sprowadzicie dla niego dyliżans, i wstąpicie także do mego domu, zadzwonić, służący mój czeka na mnie, otworzy natychmiast i jemu ten drugi list oddacie. Wszystko prędko i cichaczem.

— Dobrze panie.

— Jeszcze jedno. Dałem wam list do doktora Alcorta: tyś się wypadków może się wydarzyć po drodze, i potrzeba ażebyście dali raczej siebie zabić aniżeli wydrzeć ten list.

— Dobrze panie.

— To i wszystko. Teraz jest trzy kwadransy na pierwszą, o wpół do drugiej możecie być z powrotem wraz z doktorem Alcorta.

Żołnierz salutował jak poprzednio, wyszedł i w parę sekund szybki galop rozbudził echa odludnej ulicy *Larga*.

Daniel dał znak Amalii że chce z nią pomówić w przyległym gabinecie, i zanim udał się za nią, przystąpił do Edwarda zalecając by się nie ruszał aż do przybycia doktora.

— Widzisz jakiego ci wybrałem? bo też i kogóż mógłbym wezwać z takim zaufaniem w każdym względzie.

— Ależ mój Boże, narazisz jeszcze i doktora Alcorta—zawołał ranny. Dzisiejszej nocy uwziąłeś się żeby w moje nieszczęście wplątać innych. Moje życie zbyt mało waży na świecie, ażeby dla

niego narażać taką kobietę jak twoja krewna i takiego człowieka jak nasz mistrz.

— Paradny dziś jesteś mój Edwardzie. Krew ci uszła ranami, ale twoja powaga i twoja ogłędność zostały na swoim miejscu. Żadnemu z nich nie się nie stanie, a choćby i miało się co stać, wszak my dziś wszyscy należymy do pojedynku, w którym dobrzy stanowią jedność z dobrymi, a łotrzy z łotrami. Społeczeństwo nasze rozpadło się na zbójców i ofiary, i my co nie chcemy być zbójcami, samo z siebie wypada, że musimy stanąć w szeregu ofiar.

— Ależ Alcorta nie ściągnął na siebie podejrzeń, a sprowadzając go tutaj, możesz go silnie skompromitować.

— Edwardzie, głowa ci osłabła. Słuchaj: ty, ja, każdy młody z naszych przyjaciół, każdy człowiek należący do naszego pokolenia i wykształcony na uniwersytecie w Buenos-Aires, wszyscy jesteśmy żyjącą, ruszającą się kompromitacją doktora Alcorta. Jesteśmy jego idee w czynie; jesteśmy rozmnożeniem odbitekami jego enoty obywatelskiej, jego ludzkiego poczucia, jego myśli filozoficznej. Ze swojej on mównicy rozplómiął w sercach naszych zapał dla sprawiedliwości, dla wszystkiego co dobre, co wielkie. Nasi przyjaciele którzy dziś są przy Lavallu, co zrucili białe rękawiczki by oręż w dłoń ująć, oni są doktor Alcorta, Frias, to doktor Alcorta w wojsku, Alberdi, Gutierrez i inni, to doktor Alcorta w druku; ty sam krwią zbroczony, nie jesteś czém inném, jak wcielenie idei naszego profesora filozofii, i... ba! cóż ja za głupstwa prawię—zawołał Daniel na widok dwóch bujnych łez spływających po wybladłej twarzy przyjaciela.—No, no, nie mówmy już o tém. Pozwól; niech ja sam wszystko załatwię, a jeżeli nas ma dyabeł porwać, to niechże wszystkich razem, i dalibóg nie byłoby nam gorzej w piekle niż w Buyenos-Aires. Spoczniej, ja muszę rozmówić się z Amalią.

I pobiegł ku drzwiom, mrugając prędko ażeby powieką rozusić łzę, która się z serca mimo jego usiłowań wydobyła.

— Danielu—rzekła Amalia, skoro wszedł do gabinetu—nie wiem sama jak tu zrobić, jesteście oba pokrwawieni, potrzeba wam zmienić odzież, a ja nie mam nic prócz moich sukien.

— W których nam byłoby bardzo do twarzy, gdybyś nam także udzieliła trochę ze swojej piękności której masz do zbytku. Nie troszcz się, za chwilę będzie wszystko. Ale powiedz mi, jacy są twoi domownicy w których zupełne pokładasz zaufanie?

— Pedro, Teresa którą przywiozłam z sobą z Tukamanu, i mała Luiza.

— A więcej jakich masz?

— Kucharza, woźnicę i dwóch starych murzynów.

— Kucharz i woźnica są biali?

— Tak jest.

— Otóż jak tylko wstaną, zaraz z rana odprawisz ich, białych dlatego że biali, czarnych dlatego że czarni.

— Alboż myślisz...?

— Nie myślę, ale niedowierzam. Wiem że cię kochają, boś dobra, bogata i hojna. Ale strach silniejszy od twego uroku w takim położeniu jak jest nasze. Wenecya za czasów Rady dziesięciu, uzalifały się nad nami, widząc jak u nas poczyna sobie *Mas-horca*, która umie stwarzać nędzników, a od jednego nędznika zależy los i życie całej rodziny. Murzyni są upojeni pychą, biali spodleni i przedajni. Wśród spóółstwa jedna jest tylko klasa wyjątkiem: tą, są mulaci. Zwykle każda rassa mieszana, ma popęd do podniesienia się i ugodnienia, i dlatego właśnie prawie wszyscy mulaci są nieprzyjaciółmi Rozasa, wiedzą bowiem że unitaryusze to cywilizacya i oświata, do której oni podążają.

— Dobrze, odprawię ich jutro. Rozrządza j moim domem mojm mieniem.

— Nasze bezpieczeństwo i twoje wymaga tego, nie chcę żebyś osobą twoją przypłaciła szlachetną gościnność przyjacielowi memu udzieloną. Postaram się żeby jak najkrócej tu zabawił, tyle tylko ile doktor za nieodzowne uzna; dwa lub trzy dni najwięcej.

— Ależ to być nie może! jego rany może są niebezpieczne, przenoszenie mogłoby go zabić. Ja jestem niezależna, żyję samotnie, bo to się zgadza z mojm usposobieniem, rzadko odbieram odwiedziny moich nielicznych znajomych, a w lewem skrzydle zupełnie oddzielnem od moich pokoi, możemy urządzić mieszkanie dla Edwarda.

— Dzięki ci, dzięki, droga Amalia! Wiem dobrze iż w żyłach twoich płynie szlachetna krew mojej matki. Ale zobaczymy jak nam wypadnie zrobić, będzie to zależeć od wielu okoliczności, o których się jutro dowiem. Teraz potrzeba przygotować łóżko do umieszczenia rannego po pierwszym opatrzaniu.

— Chodź więc tedy! — odrzekła Amalia biorąc świecę, i przeprowadziła Daniela przez swoją sypialnię i pokój gotowalniany.

Korzystajmy z tej chwili aby obejrzeć siedzibę pięknej i wykwintnej Tukumanki.

Cała sypialnia wybita papierem aksamitnym w złote żyłki, naśladowujące grę światła pomiędzy blado niebieskawemi obłoczkami. Dwa okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec, przysłonięte frankami z musliu na jasno-błękitnym atlasie. Posadzka przykryta kobiercem włoskim, wzorzystym biało i zielono, a tak mięsistym i miękkim, że stopa tonie w nim jakby w puchu. W końcu pokoju przy ścianie oddzielającej sypialnię od gotowalnianego gabinetu, szerokie łóże francuzkie z rzeźbionego mahoni, przykryte atlasową kołdrą hiacyntowego koloru; na połyskujący jedwab' spadają śnieżne koronki kosztownego batystowej opony. Prostopadle nad łóżkiem na cienkiej srebrnej strzale przytwierdzona u sufitu mała marmurowa korona, a na niej niby wypukło-rzeźba z konchy pertowej naśladowująca wieniec z jaśminowych liści; od korony spadają fałdy kotary z indyjskiej gazy srebrem haftowanej, tak przezroczej, tak

powiewnej, iż rzekłbyś mgła lekka promieniem słonecznym roziskrzona. Pomiedzy łóżkiem a ścianą, mały stolik kwadratowy zielonym aksamitem przykryty, na nim kilka książek, krucyfiks złoty w hebanowej oprawie, sandałowce pudełko z pachnidłami i lampa alabastrowa z jedwabnym zielonym daszkiem. Po drugiej stronie łóżka, otomanka kryta błękitnym aksamitem w odciskane desenie, u stóp łóżka wielki fotel podobnie obity. A przed łóżkiem rozestany kobierczyk z futra królików, jak gronostaje biały, miękki jak jedwabie. Dalej biórko inkrustowane srebrem, i w dwóch rogach pokoju od ściany przytykającej do gabinetu, z kądem się do sali wchodziło, dwa piękne *veladores*, z alabastru w kształcie stosów, w których wnętrzu zapalone światło, oświecało tę samotną świątynię piękności. Na ostatku przy otomance mały stoliczek z pomarańczowego drzewa, a na nim taca z zastawą do herbaty na dwie osoby, wszystko z indyjskiej porcelany grubo złoconej. Trudno pominąć jeden jeszcze przedmiot, najponętniejszy może ze wszystkich ozdób tego pokoju: na białym futrze przed łóżkiem, para pantofelków z ciemnej kozłczej skórki, podbitych białym jedwabiem, długości najwięcej na sześć cali i odpowiedniej szerokości.

Pokój do ubierania się, tak samo wybity jak sypialnia i zielonym wyłożony kobiercem. Dwie wielkie mahoniowe szafy o drzwiach zwierciadlanych, po obu stronach przepysznej gotowalni, której kryształ i porcelany Daniel przed chwilą sprofanował. Naprzeciwko z polerowanej stali kominek w ramie z białego marmuru, a obok tegoż, również biała marmurowa wanna, do której woda przyływała rurami; przy niej fotel z indyjskiej słomy. W kącie mała elastyczna sofka, kryta białym adamaszkiem ze złotem i frendlami i podobnie zdobne dwa taborety przy ścianie. Dwie wielkie porcelanowe urny z bukietami świeżych kwiatów na małych stolczkach, a na czterech mahoniowych narożnikach w czterech kątach pokoju, błyszczą ośm kadzielnic złotych, wyrób peruwiański, przedziwny gustem wytwornym i kunsztowną rzeźbą. Sześć przepysznych krajobrazów, i cztery *jilgueros* w klatkach ze złoconego drutu: oto już wszystko w tej ustroju gdzie światło pada z dużego okna wychodzącego na ogród w głównym dziedzińcu i przysłoniętego muślinem na błękitnej materyi. Obok jednej z szaf, małe drzwiczki prowadzą do pokoiku w którym sypia Luiza, młoda dziewczyna, pełniąca najbliższą służbę przy swojej pani.

Do tego właśnie pokoiku gdzie Luiza śpi swobodnie, weszła teraz Amalia, wzięła klucz ze stołu, otworzyła drzwi wychodzące na dziedzińiec i przeszedłszy go z Danielem, znalazła się przy skrzydle przeciwnym jej mieszkaniu. Tu znów jak najciszej drzwi otworzyła i oboje weszli do umeblowanego pokoju.

— Tutaj mieszkał ktoś z rodziny mego męża, przybyły z Tukumanu, i przed trzema dniami odjechał, wszystko zatem znajdzie się co potrzeba dla Edwarda.

I sama rozkłada materace, wyjmując kołdry z szafy, urządza wszystko, podczas gdy Daniel starannie bada przyległy pokój i za

nim drugi jadalny: wyjście z tegoż na krużganek znajdowało się zupełnie na wprost drzwi od sali, któremi przed godziną wnosił Edwarda.

— Gdzie wychodzi to okno? — spytał wskazując na okno w pokoju przeznaczonym dla rannego.

— Na korytarz którym się wchodzi do willi od ulicy przez główne drzwi. Wiesz że cały budynek jest przegrodzony żelazną kratą, i gdy ta zamknięta, służący mogą przez te drzwi wychodzić nie potrzebując przebywać przez środek domu. Tędy wyszedł Pedro.

— Prawda, przypominam sobie... ale... słyszysz jakiś hałas?

— Tak, to konie cwałują... i serce jej biło gwałtownie.

— Może być, że to... zatrzymali się przed domem — rzekł nagle Daniel, prędko światło do drugiego wyniósł pokoju i otworzył szybkę w oknie.

Amalia stała blada jak lilia po słońca zachodzie.

— Ach! to oni... poczciwy, zacy Alcorta! — i Daniel pobiegł napowrót po świecę.

— W rzeczy samej był to stary weteran z wojny o niepodległość, i uczonego profesor filozofii, a zarazem lekarz i chirurg.

Pedro wprowadził go przez główne drzwi i przez żelazną kratę od której miał klucz.

— Dzięki, dzięki ci panie! — zawołał Daniel wybiegając na środek dziedzińca i ściskając silnie rękę przybyłego.

— Prętléj, zobaczmy biednego Belgrano — odparł doktor przerywając dziękczynienia. Przywiozłem wszystko co potrzeba do pierwszego opatrzenia, dacie mi tylko bandaże.

Amalia pędem pobiegła do swoich pokoi.

Daniel wziął z rąk Pedra szkatułkę z instrumentami, i zostawszy sam na sam z doktorem, uwiadomił go naprędce z jakiej strony wyszły sztylety, które zadaly rany ich przyjacielowi.

— Czyż sądzisz że się już tego nie domyśliłem? — odrzekł Alcorta, a ciemura smutku oblekła twarz jego bladą, szlachetną i melancholiczną. Był to człowiek najwyżej trzydziestu ośmiu lat.

Gdy weszli do sali, Edward zdawał się uśpionym; nie sen wszakże zamykał mu powieki, lecz zbyteczne sił wycieńczenie. Na odgłos wchodzących otworzył oczy.

— Bądź spokojny, to tylko doktor — rzekł Alcorta wzruszonym głosem, i siadając obok chorego, badał puls przez kilka sekund.

— Nie źle! — rzekł w końcu — trzeba go przenieść do jego pokoju.

W téj chwili weszła Amalia z bandażami.

— Seniora — rzekł doktor — potrzeba mi jeszcze miednicy z zimną wodą i gąbki.

— Wszystko przygotowane już w pokoju.

Wzrok Edwarda podniósł się z wyrazem uczucia i wdzięczności ku młodej kobiecie.

Natychmiast Alcorta i Daniel usadowili rannego w krzesło z poręczami i z pomocą Pedra przenieśli go do wyznaczonej mu sypialni.

Amalia została sama. Błada, znużona wrażeniami jakie téj nocy umysł jéj takim nawałem ogarnęły, padła na krzesło i drobnymi rękami zaczęła rozgarniać kędziory na skroniach, jak gdyby chciała tym sposobem rozproszyć w głowie ten zamęt myśli, który jéj wyobrażenia poplątał. W przeciągu jednéj godziny tyle uczuć i wrażeń przeszło przez jéj umysł, gościnność, niebezpieczeństwo, krew, poświęcenie, zajęcia praktyczne, litość, podziw. To aż nadto dla duszy nie nawykłej do wzruszeń gwałtownych i niespodziewanych, a przytém uposażonej od natury tkliwością bez granic i wyobraźnią poetycznie wrażliwą, na którą wzruszenia i wypadki życia w przeciągu jednéj minuty mogły tyle wpłynąć, ile na inne temperamata przez ciąg całego roku.

Podczas gdy Amalia zaczyna sobie zdawać sprawę ze swoich uczuć i myśli, w pokoju Edwarda, doktor po zbadaniu uspokajał obecnych co do stanu rannego. Na lewym boku szpada ześliznęła się po żebrach, nienaruszając piersi. Prawe ramię przebite cienką szpadą, łatwo da się zagoić. Najwięcej go zaniepokoiła rana w nodze: była ogromna i muszkuły poprzecinane. Lecz po dłuższym rozpatrzeniu się, uznał, iż żadne z naczyń nie było uszkodzonym, i zabrał się gorliwie do opatrzenia i obandażowania.

Nagle stąpienie konia przed domem zwróciło uwagę wszystkich z wyjątkiem doktora.

Pedro wyszedł i po chwili wprowadził ośmastoletniego chłopca, białego o czarnych oczach i włosach, z fizygnomią roztropną i figlarną, i w którym pomimo butów i czarnego halsztuka, poznać zaraz było prawowite dziecko pół argentyńskich, to jest najwyraźniejszego *gaucho*. Chłopak złożył na krzesło duży pakiet odzieży. Daniel wydostał z niego natychmiast bieliznę i ponieważ w téj chwili doktor skończył opatrywanie, przywdziano w nią rannego i złożono na łóżku.

Następnie przeszedł do przyległego pokoju z Pedrem i swoim służącym Ferminem, i tam umył się i przebrał od stóp do głów, przez ten czas ciągle wykładając staremu żołnierzowi polecenia różnego rodzaju.

Tymczasem, orzeźwiony nieco Edward, w krótkich słowach powiadomił doktora o zaszłych świeżo wypadkach. Alcorta z opartą na ręce głową, z chmurą smutku na twarzy, słuchał okropnej powieści, która mu była złowrogą zapowiedzią nastającego peryodu krwi i zbrodni, co trwożą i żalobą świecił nad nieszczęsnym Buenos-Aires.

— Czy sądzisz że ten Merlo nie zna twojego nazwiska?— spytał.

— Chybaby który z moich towarzyszków nazwał mię w jego obecności: nie pamiętam. Inaczej nie mógłby wiedzieć, bo tylko sam Oliden z nim się umawiał.

— To mię trochę niepokoi—rzekł Daniel, który wchodząc do pokoju usłyszał ostanie wyrazy. Jutro wszystko wyjaśnimy.

— Potrzeba nadzwyczajnej ostrożności, moi drodzy—mówił Alcorta—z tego wypadku mogą się wywiązać inne.

— Nic nie będzie, drogi panie. Tylko Bóg sam mógł mię sprowadzić w to miejsce gdzie Edward miał życie utracić, a Bóg nie robi rzeczy w poławie: dokończy swego dzieła tak pomyślnie jak je rozpoczął.

— Tak, wierzymy w Boga i w przyszłość—rzekł Alcorta przenosząc swoje spojrzenia z kolei na obu młodzieńców, najmilszych sobie uczniów przed trzema laty, a w których widział wzrastające owoce cnót i poświęcenia, zasiane w ich umysłach i sercach przez jego własne nauki.

Pożegnał serdecznie rannego, obiecując odwiedzić go nazajutrz w południe, i wraz z Danielem przeszli do sali, gdzie Amalia siedziała jeszcze w tój samėj postawie z pochyloną głową, i z różanemi paluszkami zagrzebanemi w gęstych zwojach włosów.

— Drogi panie—rzekł Daniel—ta seniora jest moją cioteczną siostrą, Amalia Saenz de Olabarriela.

— Wistocie—rzekł Alcorta po przywitaniu — w fizyognomii was obojga jest wiele rysów familijnych. Sędzę nadto iż się nie myślę wnosząc, że między wami jest także pokrewieństwo duchowe; gdyż spostrzegam iż seniora cierpi w tój chwili z powodu cierpień drugich, a tą wrażliwość duszy, ten popęd do współczucia właściwym jest szczególniej Danielowi.

Amalia zarumieniła się sama niewiedząc dlaczego, i zaledwie wyjąkała nic nieznaczącą odpowiedź; odzyskała zupełną przytomność umysłu, słuchając poleceń higienicznych odnoszących się do rannego.

Daniel korzystając z ich zajęcia, wbiegł jeszcze na chwilę do przyjaciela.

— Edwardzie, ja muszę jechać i cały dzień zabawić w mieście. Zostawiam cię pod opieką mojej siostry i pod strażą Pedra; nie wrócę aż jutro wieczorem. Pozwolisz że twemu służącemu dam polecenia które uznam za potrzebne.

— Rób co chcesz Danielu, ale nie płacz nikogo w moją biędę.

— I znów swoje? Tyś rozumniejszy odemnie, ale w pewnych rzeczach ja mam wyższość nad tobą. Pozwól niech sam działam. Masz jeszcze jakie żądanie?

— Żadnego... ale czyś prosił swoją kuzynkę żeby spoczęła?

— Bądź zdrow! już się zaczynamy troszczyć o moją kuzynkę?

— Waryacie!—rzekł z uśmiechem Edward—idźże i bądź ostrożnym dla mojej miłości.

— Do jutra!

Dwaj przyjaciele uścisnęli się jak bracia.

W dziedzińcu rzekł Daniel do wychodzącego z nim żołnierza:

— Pedro, poruczam waszej pieczy życie mojego przyjaciela, gdyby się coś miało przytrafić. Być może iż napastnicy byli członkami towarzystwa ludowego, i może być także, iż niektórzy z nich zechcą pomścić na Edwardzie śmierć i swoich, gdyby się przypadkiem dowiedzieli o jego schronieniu.

— Być to może, Senior, ale do domu córki mego pułkownika nie wejdziecie dla mordowania, dopóki nie położą trupem starego Pedra, a z nim trzeba się poprobować.

— Brawo! otóż takich ludzi lubię — rzekł Daniel ściskając rękę żołnierza. — Stu takich a ręczyłbym za wszystko. Bądźcie zdrowi, pozamykajcie za nami.

Gdy Daniel wszedł do sali, właśnie doktor żegnał się z gospodynią.

— Jadę z panem — rzekł — jeszcze chwilę: Amalio, wróć o siódmym wieczorem, teraz połóż się, a jutro zrób co mówiłem, i nie miej obawy, nic się nie stanie.

— O! senior Daniel Bello ma wielkie wpływy i znaczenie — rzekł Alcorta z przyjacielską ironią, spoglądając wyrazistym, łagodnym okiem na oblicze swego ucznia, iskrzące się dowcipem i rozumem.

— Protegowany panów Anchorenas, doradca Jego Excelencji, ministra Don Felipe, i członek korespondent Towarzystwa Ludowego! — mówił Daniel z powagą tak przesadzoną, że drudzy musieli się roześmiać.

— Śmiecie się — dodał — ale ja się nie śmieję, bo wiem z doświadczenia jak mi służą te godności... Bądź zdrowa.

Pocałował rękę którą mu podała siostra, i przechodząc za doktorem przez dziedziniec, zajrzał jeszcze przez okno do pokoju Edwarda, przy łóżku którego siedział stary żołnierz.

Za chwilę, mistrz, uczeń i służący puścili się cwałem przez ciemną i bezludną ulicę *Larga*. Gdy przybyli w środek miasta, za Ś-tym Janem pożegnał się doktor z młodzieńcem, a Daniel ze służącym przejechał przez Targ na ulicę *Victoria*. Niedługo Fermín zsiadł z konia przed jednym domem, i otworzył bramę, pod którą Daniel wjechał konno: był to jego dom.

III.

L i s t y.

Daniel oddał w dziedzińcu konia służącemu i zalecił mu czekać na dzwonek. Sam zaś udał się do pokoju, którego całe ściany pokrywały półki z nader licznym i kosztownym księgozbiorem: była to pracownia Daniela Bello.

Młodzieniec ten miał lat 25; średniego wzrostu, szczególniejształtny, cerę miał ciemną i zwykle rumaną, kasztanowate włosy, ciemne oczy, czoło szerokie, nos orli, usta niewydatne lecz purpurowe, przy których pięknie odbijały białe i równe zęby; twarz jego naznaczona była wymownym piętnem inteligencji a oczy wyrazem tkliwości duszy.

Był on jedynym synem Don Antonia Bello, bogatego właściciela dóbr na południu, którego interesa prowadził w spółce z panami Anchorenas: panowie ci tak z powodu ogromnego majątku, jak stosunków pokrewieństwa i polityki z generałem Rozas, wysokie posiadali znaczenie w stronnictwie federalnym owego czasu.

Don Antonio Bello był to sobie wieśniak, a zarazem człowiek uczciwy i szczerzy. Federalne jego opinie dawniejsze były niż Rozas; i dla miłości federalizacji zrobił się najprzód stronnikiem Lopeza, potem Dorrega, a ostatecznie Rozasa, mimo że sobie nie umiał wyrozumować przyczyny swoich dawnych przekonań: była to choroba wspólna dziewięć dziesiątej części federalistów od 1811 roku, kiedy pułkownik Argitas wyrzekł słowo *federacya* dla podniesienia buntu przeciw ogólnemu rządowi, aż do roku 1829 w którym użył go Rozas gdy bunt wypowiedział Bogu i szatanowi.

Jednak don Antonio kochał jeszcze coś goręcej niż federacyę: syn jego był mu szczęściem, dumą, bożyszczem; i od dziecka zaczął go sposobić do zawodu naukowego, ażeby z niego był *doktor*, jak powiadał, pocziwy ojczysko.

W obecnej chwili Daniel miał już dwa lata nauki prawa; lecz dla powodów które później poznamy, od kilku miesięcy nie uczęszczał na kursa uniwersyteckie.

Wszedłszy do pracowni postawił lampę na biurku, rzucił się na wolterowski fotel, i z odrzuconą w tył głową utonął w głębokiemu zadumie na cały kwadrans.

— Tak, — rzekł naraz wstając i odgarniając włosy z czoła — niema innej rady; tym sposobem zajdę im we wszystkie drogi.

I bez pośpiechu, lecz bez żadnego zawahania ani niepewności usiadł przy biurku i pisał następne listy:

5 maja o 2 $\frac{1}{2}$ z rana.

„Potrzebny mi na dziś twój rozumek, najdroższa Florency, tak jak mi zawsze potrzebna twoja miłość, twoje kaprysy, gniewy i pojednania, bez których nie zaznałbym najwyższej szczęśliwości w życiu. W chwilach kiedy ci się trafia mówić poważnie, powiedziałaś mi nieraz, że ja wykształcił twój głowę i twoje serce: zobaczymy jak mi się udała uczennica.

„Potrzebuję wiedzieć w jaki sposób opowiadają u pani Augustyny Rozas i u pani Maryi Józefy Ezcurra o wypadku który miał miejsce téj nocy w *Padole* koło *Rezydencyi*; jakie nazwiska do niego przymieszano, jakie są jego szczegóły; słowem wszystko co się może odnosić do tego zdarzenia.

„O drugiej z południa wstąpię do ciebie, spodziewam się że już będziesz z powrotem z twojej misji dyplomatycznej.

„Mięć się na baczności z donią Maryą Józefą. Zwłaszcza nie zdradź się że cię cośkolwiek obchodzi w tém czego się pragniesz dowiedzieć, a doprowadź żeby ci się sama wywnęrzyła; w tém twój rozum.

„Ty pojmujesz, duszo mój duszy, że coś bardzo ważnego dla mnie odnosi się do téj sprawy, a twoje gnięwy wczorajsze i dziecinne kaprysy, nie mają żadnego związku z interesami gdzie chodzi o losy twojego

„*Daniela.*”

— Biędaczka! — och, ona żywa jak światło i nikt nie przeniknie jęj myśli jak ona nie chce!... Teraz zabieram się do drugiego listu, ale dla niego zegar o kilka godzin naprzód idzie. — I pisał znów:

5 maja 1840 r., dziewięć z rana.

„Senior don Filipe Arana i t. d. i t. d.

„Dostojny Panie: podczas gdy pan czuwasz, gdy z właściwą swemu charakterowi energią stawiasz czoło niebezpieczeństwom otaczającym dyktaturę, nie wszystkie władze, chociaż zależne od pana, odznaczają się gorliwem pełnieniem swoich obowiązków.

„Policya naprzykład, więć się troszczy o pokazanie się niezawisłą od pańskiej władzy, aniżeli o to co do niej właściwie należy. Senior Victorica nie może strawić tego że pan w przeszłym tygodniu doniosłeś dyktatorowi o wyjściu z miasta czterdziestu kilku osób, o której to okoliczności miałem być zaszczyt powiadomić pana, a która była całkiem niewiadomą naczelnikowi policyi. Dziś zapewne Senior Victorica będzie chciał mieć odwet zanosząc wiadomość o wyprawie kilku zbiegów, jaka miała miejsce téj nocy, a której trafem byłem świadkiem przejeżdżając późnym wieczorem przez *Padól*. Mniemam wszakże iż z pewnością policya nie wie liczby osób: radbym żeby z pana brała przykład niezmordowanej gorliwości.

„Po południu będę miał zaszczyt pomówić z panem osobiście i raz jeszcze stwierdzić moje przekonanie o zdolnościach, rozumie i czynnych zabiegach szanownego pana, gdyż nie wątpię iż fakt spełniony téj nocy będzie panu najdokładniej wiadomym.

„Tymczasem piszę się z tym samym co zawsze szacunkiem, jak zawsze wiernym służą.

„*Daniel Bello*”

— Ach mój pocziwczę! — zawołał Daniel, śmiejąc się jak dziecko po odczytaniu skreślonego listu — któżby to pomyślał żeby choć na żart mówiono o twoim rozumie i czynności? Ale nic niepożytecznego nie istnieje na świecie, i ty mi się jeszcze przydasz na wielkie rzeczy! Idźmy dalej.

5 maja 1840 roku.

„Panie pułkownika Salomon!

„Rodaku i kolego. Zdaniem mojem i bardzo wielu innych, federacya nie posiada potężniejszego nad was filaru, ani świetny Restaurator praw przyjaciela wierniejszego i bardziej wylanego. Zazdrość tylko może utrzymywać iż Towarzystwo Ludowe którego jestem godnym prezydentem, nie dosyć czynnie ściga unitaryuszów wymykających się z miasta w celu zwiększenia wojska generała Lavalle.

„Wieści te mogą nie podobać się dyktatorowi, i dlatego radzę wam zwołać dziś jeszcze do waszego domu najlepszych federalistów jakich posiada towarzystwo, dla zdania sprawy o ile są uwiadomieni o ostatnich wypadkach i naradzanie się co do dalszych działań!

„Jeżeli zwołacie zebranie federalne, chciejcie mi odpowiedzieć przed godziną dwunastą, ażebym mógł uczestniczyć waszym naradom, i ofiarować moje czynne usługi.

„Daniel Bello”

— Ten człowiek zrobi co mu tylko powiem—mówił sobie Daniel tonem niezachwianej pewności.—I on i insi tego rodzaju parlarliby Rozasa sami o tém nie wiedząc, gdyby tylko było trzech ludzi jak ja, coby mi pomagali wodzić ich za nos: jeden na prowincyi, drugi w wojsku, trzeci przy dyktatorze, a ja wszędzie i w każdym miejscu, jak Pan Bóg, albo jak djabeł.“ Jeszcze jednego listu brakuje:

Otworzył skrytkę w biurku, wyjął papier pokryty cyframi i z pomocą tychże pisał:

„Buenos-Aires, 5 maja 1840 r.

„Dzisiejszej nocy napadnięto pięciu z naszych przyjaciół w chwili gdy mieli wsiadać na statek. Lynch, Riglos, Oliden i Maisson padli ofiarą; jeden cudem się ocalił. Gdyby inną drogą wieść was doszła o tym wypadku, nie wymieniajcie nigdy żadnego innego nazwiska oprócz tych które tu skreśliłem.”

Podpisał jakimś szczególnym znakiem, złożył list i na wierzchu zaadresował: „A. de G. 3 Montevideo.

Włożył list w inną kopertę, wsunął pod brązowy kałamarz i zadzwonił.

Fermin stawił się natychmiast. Chłopak to był sprytny a całą duszą przywiązany do swojego pana. Prawda i to że Daniel obchodził się z nim jak najlepiej i z wyjątkiem pewnych swoich myśli okazywał mu jak największe zaufanie. Fermin zarządzał całym domem bez kontroli, pieniądze szły szczerze przez jego ręce, zazdroszczono mu w mieście pięknych wierzchowców, bo pan znał jego wierność, wiedział że sługa dałby się zabić za niego.

— Zważ dobrze co ci powiem—rzekł Daniel.—O dziewiątej z rana zaniesiesz Florencyi bukiet, a gdy wyjdzie po niego, dasz jej

do rąk ten list, Następnie z tym drugim pójdziesz do ministra don Filipa Arana, a z trzecim do pułkownika Salomon. A wracając wstąpisz do Marceliny.

— Do téj....

— Tak, do tej, której wzbroniłeś raz przystępu do mego domu i miałeś słuszność. Jednakże powiesz jęj żeby zaraz do mnie przyszła. O dziesiątej będziesz z powrotem, i jeżeli zastaniesz mnie śpiącym, obudzisz!

— Dobrze panie!

— Nim wyjdiesz, zaleć aby mnie zbudzono gdyby kto po mnie przyszedł.

— Dobrze panie!

— Czekał, jeszcze jedno słowo: a potem idź spać. Nie zgadujesz jakie to słowo?

— Wiem panie—rzekł Fermin, a wyraz twarzy dowodził że zrozumiał.

— Bardzom rad jeżeli wiész i nie zapomnisz nigdy.

— Bądź pan spokojny!

I wyszedł, a Daniel wreszcie zamknął się w swojej sypialni po trzeciej godzinie nad ranem, po nocy w której umysł jego i ciało pracowały tyle, ile-by niektórym ludziom i wielkiej liczbie na lata wystarczyło.

IV.

Godzina wieczerzy.

Dla lepszego zrozumienia wypadków, o których opowiadać mamy, przyda się odświeżyć w pamięci czytelnika polityczny obraz jaki rzeczpospolita w owęj chwili przedstawiała.

Była to epoka przesilenia dla dyktatury generała Rozas: z niego ona albo do grobu zstąpi, albo podźwignie się jeszcze silniejsza i bardziej krwawa! stósownie do obrotu jaki wezmą wypadki.

Z trzech źródeł wypływały niebezpieczeństwa zagrażające dyktatorowi: z wojny domowej, z wojny wschodniej i z interwencji francuzkiej.

Powstanie południa wybuchło na sześć miesięcy przed epoką w której się zaczyna powieść nasza, zawiodło Rozasa na brzeg przepaści, do jakiej się jeszcze nigdy w politycznym swém życiu nie zbliżył. Lecz niefortunne powodzenie téj nagłej rewolucyi bez planu i kierunku, jak się zwykle zdarza w podobnych razach, wzmoгло siłę i samowolę zwycięzkiego dyktatora, tego uprzywilejowanego dziecka szczęścia, który swoją potęgę i wyniesienie winien był błędem przeciwników.

Jednakże dwa silne ciosy zachwiały aż w podwalinach gmach tój potęgi: porażka wojsk jego w państwie wschodniem i wyprawa generała Lavalle na prowincyę Entre-Rios. Zwycięstwa francuzkiego wodza rozniosły ruch rewolucyjny i 6 października 1839 r. Corrientes powstało jak jeden mąż i ogłosiło wojnę przeciw dyktaturze.

Tymczasem niedobitki z pod Cagancha schroniły się do Entre-Rois, aż ku Parana i dzięki śpiesznym posiłkom jakie im Rozas nadesłał, nowe urganizowało się wojsko, w którym znajdował się ex-prezydent Manuel Oribe.

Generał Lavalle wrócił z prowincyi Corrientes i z hufcem pomnożonym liczbą, wyćwiczonym i pełnym zapалу stoczył i wygrał bitwę 10 kwietnia 1840 roku. i drugie to wojsko federalne otoczono, ocalało się od zupełnego wytopienia tylko dzięki dwudniowej burzy, która nadeszła właśnie w nocy po bitwie.

Z drugiej strony burza rewolucyjna zagrzmiała w innych prowincyach.

Tukuman i Salta z kolei wydawały proklamacye nie uznające wielkorządcą Buenos-Aires, dyktatora Don Juana Manuela Rozas. La Rioja. Catamarca i Chuchny, lada dzień miały z podobnemi ogłoszeniami wystąpić.

Tak więc z czternastu prowincyj stanowiących całość Rzeczypospolitej, siedm było przeciw Rozasowi.

Prowincya Buenos-Aires inny przedstawiała widok.

Okolice południowa wycieńczona licznem wychodźstwem od chwili klęsk rewolucyjnych, i krwawemi zemstami wywieranemi przez dyktaturę.

Na Północy ludność była jeszcze całkowita i przepelniona malkontentami. Wiedział o tém Rozas, jednakże nie mógł na nią uderzyć, gdyż nie było tam przywódców ani znanych szermierzy: istniało tylko głucho szemranie, ten widoczny niepokój, zwykły zwiastun zbliżających się wielkich wstrząśnień ogólnych, którego początek w jakimś położeniu ciężacém wspólnie na wszystkich.

Rozas chciał zaradzić wszędzie, lecz nigdzie nie dorównywał wypadkom, którym stawił czoło, i tylko jego zuchwalstwo dawało mu otuchę.

W ostatnich dniach marca generał La-Madrid wysłanym został, dla wzmocnienia złamanej potęgi dyktatora w prowincyach wzburzonych. Lecz nie miał ludzi: nie wystarczała osobista waleczność dawnego rywala Quirogi, i musiał zatrzymać się w Cordova dla werbunku.

W celu dania posiłków dowódcom Echague i Oribe w prowincyi Entre-Rios, Rozas cisnął ostatecznie rękawicę cierpliwości ludu w Buenos-Aires. W miesiącach marcu i kwietniu nakazał gwałtowny werbunek mieszkańców wszystkich klas, każdego wieku i powołania, ktokolwiek nie był jawnym federalistą. Każdy miał do wyboru: albo iść do wojska w roli wysłużonego żołnierza, albo złożyć w pieniądzech wartość dwóch, dziesięciu, czasem do czterdzie-

stu ludzi, a tymczasem pozostać albo w więzieniach, albo w koszarach.

Pierwszy ten wstęp do epoki terroryzmu z jednej strony, a z drugiej gorączkowy zapał, ogarniający umysły na odgłos zwycięstw wojska odsiecznego; propaganda druku w Montewideo, dały pochoy co najprzedsniejszym mieszkańcom do opuszczenia gromadnie pbrzeży Buenos - Aires, przedzierając się przez sztylety *Mashorki*.

Miasto opustoszało. Jedni się ukrywali, ci co mieli odwagę i środki, wyruszyli.

Na stawienie oporu zwyciężkiemu Lavallowi, Rozas zaledwie miał szczątki wojska przyparte do Parany, w prowincyi Entre-Rios.

Na poskromienie prowincyi, mógł tylko postać w pomoc swoim tamecznym stronnikom generała La Madrid, którego widzieliśmy niefortunne położenie.

Na prowincyę Buenos-Aires miał tylko swego brata i trzech dowódców, na czele szczupłych oddziałów, nie wyćwiczonych i niechętnych.

A na sterroryzowanie stolicy rachował jedynie na *Mashorkę*.

Inne, większe jeszcze niebezpieczeństwa zagrażały mu w tój chwili.

Na Wschodzie w rzeczypospolitéj Uruguay, generał Rivera pyszny swoim zwycięstwem pod Cagancha, przechadzał się tylko z wojskiem po Banda Oriental, zamiast iść i na gruncie nieprzyjaciela zbierać owoce wygranej. Być może, iż jakieś poziome zawiści przeszkadzały jedności w działaniach dwóch generałów, którym los wojny okazał się przyjaznym; historia to kiedyś wyświeci. Lecz zdeklarowanie się ludności wschodniej było jawnym. Od najpierwszego męża stanu, do ostatniego mieszczanina, wszyscy pojmowali konieczność energicznego działania przeciw Rozasowi, i szlachetne żądze przyczynienia się do wyswobodzenia argentyńskiej rzeczypospolitéj; w chwilach tych nie mniej rozpaliała umysły Orientalów, jak samychże synów tój republiki. Generał Rivera był sam jeden winien nieczynności; ale opinia tak wyraźnie objawiana kazała się spodziewać, że lada chwila przyjdzie do jedności w działaniach wojennych, i Rozas nie mógł wątpić o tém.

W ostatku potęga Francyi zachodziła w drogę dyktatorowi.

Od chwili wyniesienia generała Rivera na prezydenturę rzeczypospolitéj, pomiędzy tym dowódcą a władzami francuzkiemi zawiązało się przymierze *de facto*, dla odporu i walki przeciw wspólnemu wrogowi.

Obie strony poczyniły sobie wzajemne ważne ustępstwa, i do tego czasu prawość i dobra wiara, cechowały zobopólne ich działania.

A więc rzeczpospolita Wschodnia, wychodztwo argentyńskie, i siła francuzka w la Plata, zgodnie przeciw Rozasowi występowały.

W epoce o której mówimy, polityka francuzka zaczynała ulegać pewnym niepokojącym zmianom. Miejsce pana Roger zastąpił pan Buchet de Martigny, stanowisko admirała Le Blanc zajął kontr-admirał Dupotet.

Pod rozkazami tego ostatniego blokada została zdjęta z całego pobraża Buenos-Aires poza Rio de la Plata, i ograniczyła się tylko na ujściu rzeki do oceanu.

Krok ten osłabił niesłychanie skutki blokady. I przez ciąg tego dowództwa objawiły się pierwsze symptomata nieufności wśród przeciwników Rozasa.

Od czasu wstawienia się amerykańskiego kommodora Nicholson w kwietniu 1839 roku, nie było już mowy o propozycjach układów. Lecz na pokładzie angielskiego okrętu *le Acteon* miało miejsce widzenie się panów: Mauderille, Don Felipa Arana, ministra spraw zagranicznych w Buenos-Aires i kontr-admirała francuzkiego, Tryumwirat ten wznicił zatrważające podejrzenia. Jednakże p. Buchet de Martigny miał polecenia do dyplomatycznego zniesienia się z dyktatorem, ale nie otrzymał instrukcyj mogących unieważnić *ultimatum* przez pana Roger postawionego. Co się też wykazało, gdy w miesiąc po schadzce na *Akteonie*, odrzucał zuchwałe propozycje układów, jakie mu czynił Rozas. I tenże sam pan Martigny, z jednej strony umiał bronić tutaj od uszczerbku prawa i wpływu swojego kraju, który mu tak słabe udzielał poparcie, a z drugiej, z niezmierną czynnością i zapalem dopomagał wszystkim krokom sprzymierzeńców Francji przeciw dyktatorowi Buenos-Aires.

A tak: żywiły francuzkie działają w la Plata, banda Oriental grozi zbrojnym najściem, generał Lavalie nad Parang poprzędzony dwoma zwycięstwami, od północy rzeczywospolitej Tukuman, Salta i Chuchny, na Wschód aż do Kordylierów Catamarca i la Rioja ogłaszają i podtrzymują powstanie; północna część prowincji Buenos-Aires gotowa do ruchu za pierwszym zjawieniem się jakiegó pomocy; miasto uciskiem dręczone wylewa się na rzekę dążąc na drugi brzeg: oto główne zarysy tego obrazu niebezpieczeństw, stawiającego się przed wzrokiem Manuela Rozasa. Cały widnokrąg jego panowania zachmurzał się. Od Anglii otrzymywał on od czasu do czasu jakie pocieszające słowo, przez usta pana Mandeville, odnośnie do blokady francuzkiéj. Lecz pomimo najlepszego usposobienia swego reprezentanta w Buenos-Aires ku sprawie dyktatora, Anglia nie mogła zaprzeczyć Francji prawa do utrzymania blokady na la Plata, jakkolwiek handel angielski szkodował na tém przedłużającym się zainknięciu jednego z najbogatszych targów Ameryki Południowej.

Jedynie szczęście mogło wyswobodzić Rozasa z podobnego położenia, z którego loicznie i prawdopodobnie można tylko było wróżyć jego rychły upadek.

Jednakże on pracował i walczył; na wszystkie strony zabiegał żywiołami i ludźmi jakimi mógł jeszcze rozporządzać. Lecz raz

jeszcze powtarzamy, rachować mógł jedynie na szczególny zbieg okoliczności przyjaznych i niespodziewanych, na to co nazywamy trafem, szczęściem. Taki był stan rzeczy w chwili opowiedzianych wydarzeń, to jest w nocy 4go maja 1840 roku, kiedy wprowadzamy czytelnika do domu przy ulicy *del Restaurador*, o północy godzinie.

W krużganku zupełnie ciemnym znajdowało się dwóch *gaulchos* i ośmiu Indian z *Panyzy*; otuleni w ponsze i uzbrojeni w pałasze i strzelby, leżeli rozciągnięci na ziemi, niby brytany strzegące wrót źle zamkniętych.

Ogromny czterokątny dziedziniec wewnętrzny był również nie oświetlony. Wymykał się tylko promyk światła przez szparę drzwi na lewo, z izby gdzie na stole gorzała w lichtarzu świeca łojowa. Tam sprzęt cały stanowiło kilka prostych stołków, na których rozpięrało się trzech ludzi w ponszach, z zamaszystym wąsem, z pałaszem u boku. Twarze ich nosiły ów wyraz, służący za pierwszą wskazówkę agentom tajnej policji londyńskiej lub paryzkiej, kiedy zarządzają obławę na zbiegów z galer, lub na kandydatów do takowych.

Z dziedzińca na prawo wchodziło się do wązkiego korytarzyka, w którym było troje drzwi: w głębi do ciasnej i zakopconej kuchni, na lewo do izby bez wyjścia, w której siedział człowiek czarno ubrany w rozmyślającej postawie, a wreszcie na prawo do przedpokoju, poprzedzającego obszerną salę, której okna przysłonięte żaluzjami, wychodziły na ulicę.

W sali przy kwadratowym stole okrytym czerwonym suknem siedział mężczyzna otyły, około 48 lat; policzki pełne i rumiane, zaciśnięte usta, czoło wysokie lecz wązkie, oczki małe zwiśłą powieką przysłonięte, tworzyły całość dosyć przystojną, lecz odstręczającą dla oka. Miał na sobie obszerne czarne szarawary, kaftan kawowego koloru i kapelusz słomiany, którego szerokie skrzydła przysłaniałyby całą twarz, gdyby część ich nad czołem nie była w tył odwinięta. Przed nim leżał stos listów, które odczytywał z kolei.

Przy tymże samym stole siedziało trzech młodych ludzi piszących; byli oni bardzo bladzi i z podsiniałemi oczyma.

W jednym kącie pokoju znajdowała się jeszcze osobliwsza ludzka istota: staruszek siedmdziesięcio letni przeszło, z twarzą wyschłą i zapadniętą, na którą spadały kosmyki rozrzuconych włosów prawie białych. Postać wychudła i nieco ułomna, bowiem lewe ramię wyższe było od prawego, odziana szkarłatną kurtką wojskową, której zaśniedziałe szlify zwieszały się jedna na plecy, druga na piersi. Na czerwonej jedwabnej szarfie, równie wytartej i zasmolonej jak mundur, przypasana krótka szpada, jak się zdaje, odziedziczona po przodkach z czasów opanowania Ameryki; spodnie barwy nieokreślonej i buty błotem wyglansowane dopełniały stroju téj istoty, której życie objawiało się jedynie raz po raz kinieniem głowy, świadczącej o rozpaczliwej ze snem walce.

W przeciwnym kącie, za krzesłem mężczyzny w słomianym kapeluszu, inna człowiecza postać leżała na ziemi w kłębek zwinęta jak boa. Przybliżywszy się, poznać było otyłego mulata wyraźnie księżym płaszczem odzianego, który przytuliwszy kolana do piersi, spoczywał snem głębokim i spokojnym.

Milczenie panowało grobowe.

Naraz jeden z młodych piszących podniósł głowę i pióro położył.

— Skończyłeś? — rzekł mężczyzna w kapeluszu.

— Tak jest Wasza Excellencyo.

— Czytaj!

— To są nazwiska unitaryuszów...

— Żle!

— Według rozkazu W. Excellencyi... i młody człowiek zbladł straszliwie.

— Ja nie tak rozkazałem. Mówię raz na zawsze: *dzikich* unitaryuszów; proszę nie zapominać!

— Nazwiska dzikich unitaryuszów, którzy podpisali dokumenta z 7 i 10 kwietnia w prowincyi Tukuman, i 13 tegoż miesiąca w prowincyi Salte.

— Akta przez które nie uznają mnie dyktatorem Buenos-Ayres i odbierają zarząd spraw zagranicznych! — rzekł z nieokreślonym uśmiechem ten, któremu dawano tytuł Excellencyi, a nie był to kto inny jak generał Don Juan Manuel Rozas, dyktator Argentyny, który na karcie dziejów nosi imię *Dzikiego z Pampy*.

Pisarz odczytał nazwiska. Dyktator z wlepionym wzrokiem w czerwone pokrycie stołu, powtarzał te nazwiska, jak gdyby je żelaznym dłutem w swojej chciał wryć pamięci.

— Zobaczmy wyciągi z doniesień odebranych w dniu dzisiejszym, — rzekł po chwili milczenia.

— Donoszą pod datą 15 kwietnia z Rioja a 16 z Catamarca, iż tak zwani gubernatorowie i prezydenci tych prowincyj mają zamiar zatwierdzić tak zwaną ustawę odsądzającą od godności gubernatora Buenos-Aires i pełnomocnika do spraw zagranicznych, Prześwietnego Restauratora Praw, Generalnego Wielkorządcę prowincyi Buenos-Aires, Brygadyera Don Manuela de Rozas, a to za poduszczeniem herszta unitaryuszów Marco Avellaneda, tak zwanego Naczelnika Związku Północnego.

— Ja ich zwiąże! — zawołał Rozas wykrzywiając usta i rozdymając nozdrza. Pokaż mi akta z Jujuy, — rzekł do drugiego pisarza, — i czytaj kopię nazwisk podpisanych.

Młody człowiek wyliczył przeszło czterdzieści nazwisk a Rozas sprawdzał.

— Napisany rozkaz do naczelnego wodza? Czytaj! — rzekł do trzeciego.

Pisarz czytał:

„*Niech żyje Konfederacya Argentyńska! Śmierć dzikim unitaryuszom!*“

„Buenos-Aires — 4 miesiące Ameryki — rok 31 wolności — 25 niepodległości — 11 konfederacyi argentyńskiej.“

„Generał-adjutant Jego Excellencyi uwiadamia, iż z rozkazu Prześwietnego Dyktatora naczelny dowódca ma w raportach podawać podwójną liczbę żołnierzy składających jego dywizyę, wymieniać, iż połowa należy do wojska liniowego, i że wszyscy ożywienci są świętym zapalem dla sprawy Federacyi.“

— Hej! generał-adjutant Corvalan! — krzyknął Prześwietny Dyktator.

Drzemiący starszek w szkarłatnej kurtce jakby iskrą elektryczną tknięty, stanął na nogi i kroczył ku panu ze szpadą na grzbiecie, z przekreconemi szlifami: jedna w tył druga naprzód.

— Jużes spał znowu stary leniuchu? Nieprawdaż? podpisał! Stary wziął machinalnie pióro i jak automat podpisał.

Dyktator wykręcił się na krześle i patrząc mu oko w oko:

— Powiedz mi panie generale Corvelan: Szymon Pereire utrzymuje, iż mu niepodobna dostawiać po dotychczasowej cenie sukna dla wojsk, bo traci 30 %. Otóż pójdziesz do niego w południe i powiadomisz go, że ja każę aby sprzedawał jak dawniej. Rozumiesz? Ja rozkazuję!

— Rozumiem. Powiem, że Wasza Excellencya rozkazuje.

— Idź, wypuść doktora. Dwanaście godzin głodu i strachu nauczyły go już aby trzymał się w receptach formy, jaką ja nakażam.

Adjutant Corvalan wyszedł spełnić rozkaz tyczący się owego medytującego człowieka w czarném ubraniu, któregośmy widzieli w izbie na lewo.

— Rapporta z policyi?— pytał Rozas młodych ludzi.

— Wciągnięte.

— O której godzinie łódź miała wypłynąć?

— O dziesiątej z wieczora.

— Już kwadrans po dwunastéj!— rzekł Rozas, patrząc na zegarek i podnosząc się, — musieli stchórzyć. Możecie sobie iść. A cóż to u czarta?— krzyknął, potknąwszy się o zwiniętą w kącie postać. A! Padre Vignal! Oto pamiątka dla Waszój Wielebności — dodał, kopnąwszy z całych sił nogą w grzbiet tego, któremu dawał tytuł Wielebnego, i który z przeraźliwym wrzaskiem, zerwał się na nogi, zaplątany w swój płaszcz księży.

Pisarze wysuwając się jeden za drugim, czémś podobném do uśmiechu, uczcili dowcip Jego Excellencyi, który został sam na sam z Jego Wielebnością.

Był to mulat niskiej postawy, otyły, barczysty, z ogromną głową, z czołem wązkim i spłaszczoném, z tłustemi policzkami, krótkim nosem. Całość rysów niekształtnych nosiła cechę głupoty i zbydłecenie.

Człowiek ten ubrany w duchowne szaty był jednym z dwóch błaznów, służących do zabawy Dyktatorowi.

Biedny mulat skrobiąc się w ramię patrzył załośnie na swego pana, a ten śmiał się uciesznie z jego nieszczęśliwej miny.

— Cóż powiesz na to? — rzekł do wchodzącego Corretana, — Przewielebny zasypia podczas gdy ja pracuję.

— To bardzo źle, — odrzekł adjutant z nieruchomym jak zwykle wyrazem twarzy.

— Nic to, nic, Padre Nigna, będziemy jeść to się zagoi. Jest warta?

— Ośmiu w krużganku, trzech podoficerów w kancelaryi i pięćdziesięciu ludzi w dziedzińcu.

— Dobrze. Wracaj do kancelaryi.

— Jeżeli przyjdzie naczelnik policyi?

— Powiedz mu co chcesz.

— Jeżeli przyjdzie...

— Jeżeli przyjdzie djabeł, powiedz mu co chcesz.

— Dobrze, *excellantissimo Sennor*.

— Słuchaj, jeżeli przyjdzie Cintinio, dasz mi znać. Ruszaj.

— Słucham.

I pan generał-adjutant ze szpadą na grzbiecie a szlifami na bakier, udał się do tak zwanój kancelaryi; była to izba na lewo z podwórza, w której czytelnik widział trzech zbrojnych wąsaczów. Właściwie służyła ona do palenia fajek i drzymania dla podoficerów na służbie przy samowładcy, który przewróciwszy porządek politycznych i cywilnych zasad społeczeństwa, przewracał również na wspak czas i godziny, robiąc z nocy dzień do pracy, jedzenia i zabawy.

— Manuela! — krzyknął Rozas, stając na progu przyległego pokoju oświetconego łożową świecą, której knot wysoko opalony zaledwie słabym migotał błyskiem, i gdzie na krześle spała kobieta w zupełném ubrauiu.

Zerwała się nagle i podbiegła ku drzwiom sali.

Była to młoda osoba najwyżej lat dwudziestu trzech, wysoka, bardzo szczupła, wdzięcznej postawy i kształtów; twarz jęj można by nazwać piękną, gdyby nazwa zajmującej nie była dlań właściwszą.

Cera jęj blada, smagława, cechująca zazwyczaj temperamenta nerwowe i istoty żyjące więcej duchem niż ciałem. Włosy ciemno-kasztanowate w tył zczesane zdobiły główkę kształtną i rozumną, czoło nieduże, lecz delikatne i wypukłe. Usta miała świeże i pięknie zarysowane, nos zgrabny, oczy ciemne dosyć małe, lecz żywe i niespokojne, a nadewszystko fizyognomią pełną wyrazu. Słowem, była to jedna z tych kobiet ponętnych, obok których rozsądek ławo ustępuje przed namiętnością, które silném wrażeniem ogarniają zmysły i wyobraźnię. Idealne uczucia wzbudzają częściej istoty z biało-różową cerą, ze spokojnym wzrokiem, z wyrazem znużenia rozlanym na twarzy: takie kobiety profani zowią chłodnemi, poeci dają im miano aniołów.

Suknia merynosowa koloru wiśniowego, obcisła, uwydatniała prześliczną smukłą kibić, odkrywając ramiona okrągłe i gładkie.

Była to córka Rozasa, który ją temi powitał słowy:

— Jużeś znów spała? No, ja was pożenię z moim Padre, do-brana będzie z was para.

Wypytawszy się o każdego kto w czasie wieczora dom ich odwiedził, o wszystkie rozmowy i okoliczności, zawołał o wieszczkę.

Podano ją w drugim pokoju. Składała się z ogromnej pieczeni wołowej, z pieczonej gęsi, wielkiej misy śmietany i półmiska konfitur. Dwie butelki Bordo stały przed jednem nakryciem. Usługiwała stara mulatka.

Rozas zawołał Padre Vigua i z córką zasiadł do nocnej biesiady.

Młoda osoba jakby tylko dla zabawy obkrawała kostkę, ojciec jej sprzątał jeden po drugim wielkie zrazy mięsa, obficie i często skrapiając kaski. W żarłocwie jego objawiała się część instynktów zwierzęcych górujących w tej organizacyi wyjątkowej.

— Niech siada Jego Wielebność!— rzekł do błazna który wzrokiem pożerał mięso i nie czekał na drugie zaproszenie.—Cóż tak dziko wykrzywasz się na moją córkę? Aha! dała ci kość. To źle Manuela, powinnaś mu się zasługiwać, bo on ci będzie ślub dawał; przeproś go, pocałuj w rękę. Nuże! czy słyszałaś? nie?. Padre Vigua, uściskaj ją natychmiast!

Mulat odrywając zębami mięso od kości którą trzymał w rękę, podniósł się: Manuela wlepiła weń wzrok iskrzący dumą, gniewem i oburzeniem. Gdyby nie podżegająca obecność Rozasa, wzrok ten byłby zaczarował tę bezrozumną machinę. Na powtórny rozkaz pana błazen się zbliżył, a młoda dziewica po pierwszym wybuchu rozdrażnionej dumy, wpadła znów w pognebiające uczucie własnej niemocy i tylko twarz w dłoniach ukryła. Mulat więcój łaknący jadła niż pocałunku dotknął zatłuszczonemi ustami lśniące na głowie jej warkocze.

— Co za bydlę z waszój Wielebności—zawołał Rozas śmiejąc się do rozpuku—czy to się tak kobiety całuje? A ty obłudnico nie wzdragałabyś się tak bardzo, gdyby to był ładny chłopak!

I wlał sobie w gardziel szklankę wina, podczas gdy biedna ofiara z twarzą zaognioną zaciśkała powieką łzy oburzenia i gniewu.

Rozas zajadał z apetytem wypróżniając jedne półmiski po drugich.

— Czemu nie jész?—rzekł do córki—czy ci całus apetyt odjął?

— Ojczel!—zawołała nie mogąc dłużej stłumić rozżalenia: głos jej rozdrażniony, rozplamienione lica, świadczyły ile ją kosztowało doznane upokorzenie.

— Ojczel! jak możesz mię tak krzywdzić! Bawią cię twoje błazny, nie dziwię się temu, bo nie masz innój rozrywki; ale dlaczegoż mnie oddajesz na pastwę ich brutalstwu? Niech mówią co chcą, ale niech mię nie dotykają!

— Powiedz sobie że to twoje psy co cię liżą.

— Psyl—mówiła z coraz większym uniesieniem—wolałabym psa niż tego potwora, bo pies przynajmniej strzegłby twojej osoby w niebezpiecznej chwili, jaką mi wszyscy przepowiadają półstówka-mi, których znaczenie ja dobrze rozumiem.

Czarna chmura zawisła na czole Rozasa.

— A któż ci to mówi?—zapytał spokojnie po chwili milczenia.

— Wszyscy, wszyscy co tutaj bywają spiknęli się, by wzbudzić we mnie obawy.... wszyscy mi zalecają bym nad ojcem czuwała, żeby go samego nie zostawiać, żeby drzwi mieć zaryglowane. Wszyscy mi ofiarują usługi, choć nikt nie przyszedłby z pomocą w potrzebie.

— Dlaczegoż tak sądzisz?

— Dlaczego? Bo żaden z tych, którzy przychodzą tutaj dla zyskania sobie wziętości, nie jest w stanie narazić swojego życia w obronie drugich. Jeżeli są w strachu, by się nie stało nieszczęście, to nie ze względu na ojca, lecz dla siebie samych.

— Być może, iż się w tém nie mylisz,—odrzekł spokojnie Rozas kręcąc przed sobą talerz na stole—lecz jeżeli unitaryusze nie zabiją mnie w tym roku, to mnie nie zabiją w następnych. Tymczasem zmieniałaś rozmowę. Chcę żebyś się pogodziła z Jego Wielebnością. Vigua uściskaj ją jak się należy.

— Nie, ojczel!—i zerwała się błada i drżąca. Wiedząc, że dyktator nie opuści swego zamiaru przez system, a żeby jego wola nie ustąpiła nigdy przed wolą innych, w ucieczce jedynie widziała ratunek.

Mulat puścił się za nią w pogoń; Rozas śmiał się na całe gardło.

Szczęściem ohydną tę scenę przerwał nagle tętent licznych podków końskich po bruku w ulicy.

V.

Narzędzie wykonawcze.

Konie stanęły przed domem i w tej chwili wszedł Corvalan.

— Komendant Cuitinis.

— Niech tu przyjdzie.

Rozas zawołał na mulatkę by przyniosła jeszcze butelkę wina.

Ostrogi zabrzęczały na gołej posadzce gabinetu i sypialni i wnet na progu jadalnego pokoju ukazał się ów słynny poplecznik federacyi, okryty sukiennym błękitnym płaszczem, z pod którego tylko nogi od kolan widać było. W rękę trzymał wieśniaczy kapelus z wstążką czerwoną na dwa cale szeroką: była to urzędowa żałoba którą dyktator kazał przywdziać po swojej zmarłej małżonce. Włos rozczochrany spadający na twarz opasła i ogorzała, jeszcze

wstrętniejszym czynił to oblicze, napiętnowane wszystkimi cechami zbrodniczych chuci.

— Wejdz przyjacielu!—rzekł Rozas obrzucając go badawczém spojrzeniem jak błyskawica przelotnem.

— Dobry wieczór! z pozwoleniem Waszój Ekscelencyi.

— Manuela! podaj krzesło komendantowi.

Cuitinis usiadł w rogu stołu pomiędzy ojcem i córką.

— Można ci czém służyć? Manuela naléj wina!

Manuela sięgnęła po butelkę, a Cuitinis odrzucając połę pon-szu na ramię wydobył prawą rękę i podawał jój szklanke. Lecz w téj chwili ręka jój zadrżała nerwowém drgnieniem, butelka zadzwoniła o szklanke i połowa wina rozlała się na stół: ręka komendanta była aż po łokieć krwią zbroczona.

Rozas dostrzegł to natychmiast i błysk radości oświecił nagle to oblicze, wiecznie zasepione tajemniczą chmurą znużenia.

Manuela była jak trup blada i postawiwszy butelkę machinalnie usunęła swoje krzesło.

— Na zdrowie Waszój Ekscelencyi i don Manuelity!—rzekł komendant z głębokim ukłonem niosąc szklanke do ust, podczas gdy Vigua silił się gestownie zwrócić uwagę Manueli na krwawą rękę.

— Z czémże przybywasz?—spytał Rozas z udanym spokojem wzrok w obrus wlepiając.

— Według rozkazu Waszój Ekscel. miałem się stawić po spełnieniu zlecenia.

— Jakiego zlecenia?... A! żeby obejść Padół. Prawda. Merlo coś tam prawił naczelnikowi policji że kilku wybiera się do armii dzikiego unitaryusza Lavallo, i teraz przypominam sobie że ci polecił dać baczenie, bo ten Victorica dobry federalista, ale to Hiszpan: gotówby zaspać. I cóż byłeś na Padole?

— A jakże! Podług umowy Merlo ich tam sprowadził, dał mi znak umówiony i wpadłem na nich!

— I więźniów sprowadziłeś?

— Więźniów?... Czy W. Ekscelencya nie pamięta swojego rozkazu.

— Ach prawda! przez tych dzikich już głowę tracię! Zameczką mię: nie wiem już co z niemi począć! Dotąd kazałem ich tylko więzić, obchodziłem się jak ojciec z marnotrawnymi synami. Ale są niepoprawni, więc powiadam wam, że dobrzy federaliści powinni o nich pomyśleć, bo w końcu oni was rozstrzelają, jeżeli Lavallo zwycięży. Powiedz to i drugim!

— Na piérwszém zebraniu oznajmię wolę Waszój Ekscelencyi.

— To wasz interes, wasze bezpieczeństwo. Co do mnie byłaby to łaska, gdyby mi rządy odebrano. Nie odstępuje ich tylko dlatego, że wy mnie zniewalacie.

— Wasza Ekscelencya jesteś ojcem federacyi!

— Waszą więc rzeczą pomagać mi. Róbcie co chcecie z temi dzikimi, skoro ich już więzienie nie przestrasza! A wielu ich tam było?

— Pięciu. Przywieziono ich na wozie do policyi, bo Merlo mi mówił że taki był rozkaz.

— Otóż na co się narażają! Ja boleję nad tém, ale wy macie słuszość, występujecie we własnej obronie, bo inaczej oni was rozstrzelają!

— Nie ci!—rzekł Cuitinis, a na jego wstrętnych rysach błysnęło krwiożercze zadowolenie.

— Czy rany otrzymali?

— Po gardle!

— Obejrzano czy nie mieli papierów?—pytał Rozas, którego twarz nie mogła już dłużej zatrzymać na sobie maski obłudy, i zajaśniała radością nasyconej zemsty, skoro sztuką wydarł prawdę o którą nie wypadalo mu się wprost zapytywać.

— Żaden z czterech nie mieli listów przy sobie.

— Jakto z czterech? Wszakże mówiłeś że ich było pięciu?

— Tak, lecz jeden umknął...

— Umknął!—krzyknął Rozas, pierś wzdymając, zadziérając głowę i tryskając z oczu całym magnetycznym promieniem swéj wszechwładnej woli, przed którym bandyta stał zaczarowany, jakby pod wpływem jakiegoś nadprzyrodzonej potęgi, niebieskiej czy piekielnej.

Umknął, *Excelentissimo*—odrzekł spuszcżając głowę, bo wzrok jego ani na sekundę dłużej nie mógł wytrzymać spojrzenia Rozasa.

— Kto on był?

— Nie wiem... Merlo musi wiedzić!

— Jakże on mógł uciec?

— Nie wiem... powiem Waszój Ekscelencyi... kiedyśmy na nich wpadli, jeden uskoczył ku miastu... kilku żołnierzy puściło się za nim... posiadali z koni żeby go schwytać: ale mówią że miał broń i trzech zabił... potem mówią że mu ktoś na pomoc przybył... i umknął tam blisko domu angielskiego konsula.

— Konsula? hm!... a potem?

— Potem żołnierz przyszedł mi dać znać, i nakazałem ślezić na wszystkie strony... lecz sam nie widziałem go kiedy uciekał.

— A dlaczego nie widziałeś?—rzekł znów Rozas piorunującym głosem i gnébiąc wzrokiem bandytę, na którego twarzy malowało się upokorzenie zwierza przed swoim pogromcą.

— Bo zarzytałem drugich!—odrzekł nie podnosząc oczu.

Manuela blada i drżąca siedziała bez ruchu, ze spuszcżonym wzrokiem, żeby nie spotkać się nim z ręką komendanta lub ze straszliwym ojca spojrzeniem.

A Vigua który przez ciąg téj rozmowy zwolna coraz dalej krzesło odsuwał, skoro usłyszał ostatnie wyrazy, tak raptownie w tył uskoczył, że z całych sił krzesłem i głową o mur uderzył.

Na ten hałas Rozas odwrócił się w tę stronę, i dosyć było tego chwilowego przerwania toku jego myśli, by im dać zwrot inny i nowy zdziałać nastrój w jego umyśle, który w miarę okoliczności zmieniał swoją istotę, ruch i wyrazów w przeciągu jednej sekundy.

Powracając do poprzedniego spokoju rzekł:

— Ja dlatego się dopytuję, że właśnie ten unitaryusz musiał mieć ważne depesze do Lavalla... bynajmniej o śmierć jego mi nie chodzi. Wiem że trzeba nie lada kogo żeby złapał unitaryusza. Trudno go będzie wynaleźć.

— Ja go odszukam bodaj w piekle!

— Wątpię żebyś go znalazł. A mogą być przy nim ważne depesze. Manuela, zawołaj Corvalana!

— Merlo musi wiedzieć—mówił dalej komendant—z nim się zobaczę. Ja służę Waszój Ekscelencyi mojem życiem, bo nas bronisz od unitaryuszów!

— Masz Cuitinis, zanieś to do domu.

I Rozas wyjął z kieszeni zwitek biletów bankowych.

— Służ wiernie federacyi przyjacielu!

— Ja jestem na usługi Waszój Ekscelencyi, bo W. E. jest federacyą!

— Idź więc z Bogiem—kończył Rozas, wyciągając do niego rękę.

— Powalana—rzekł bandyta, nie śmiejąc podać dyktatorowi zakrwawionój dłoni.

— Dawaj przyjacielu: to krew unitaryuszów!

I jakby się rozkoszował tém dotknięciem, przetrzymał przez kilka sekund w uścisku swojej ręki dłoń federalnego komendanta.

— Dam się zabić za Waszą Ekscel.!

I gdy z sali wychodził, Rozas bystrém i przenikliwém spojrzeniem zmierzył tę człowieczą gilotynę, która działała pod wpływem jego straszliwej woli, i której ostrze wzniesione ciągle nad głową cnotliwego i mędrca, starca i dziecięcia, żołnierza i dziewicy, padało jednakże u stóp jego pod elektrycznym uderzeniem jego wzroku.

Bo ten motłoch ciemny i znikczemiony, który się podniósł z błotnistych ścieków społeczeństwa, by swém jadowitým technieniem wolność i sprawiedliwość zdusić, zawczasu został zaprawiony do ślepego i beznamiętnego posłuchu, jakiemu zwykle poddaje się zwierzęca materyja w ludzkości względem siły fizycznej i przeważającej inteligencyi, jeżeli te dwie potęgi umieją głąskać ją z jednej strony, ujarzmić z drugiej.

Mądrość to piekielna, której pierwszych początków natura uczy, a którą następnie uzupełniają popędy, obrachowanie i znajomość ludzi. Mądrość to jedyna i wyłączna Rozasa, którego władza uzasadnioną była zawsze na wyzyskiwaniu niegodziwych namiętności w ludziach. Umiał on gniebić i niszczyć jednych przez drugich, z pomocą tego tylko środka, że podzegał instynkta i schlebiał chuciom, tego pospólstwa wychowanego w ciemnocie, z rassowym charakterem mściwym, zapalczywego przez wpływ klimatu.

Wiele wdzięczności bylibyśmy winni naszym poprzednikom, gdyby wśród dramatycznój epopei naszej rewolucyi, nie byli wyobraźni swojej utopiami zarazili. Gdyby w miejscu zgubnych mrzo-

nek, postarali się najprzód zbadać charakter i duch naszego ludu, i zaczęli od tego co było najpilniejszym. to jest od złagodzenia oświatą jego obyczaju i podniesienia moralnego uczucia. Gdy oręż tron obalił, a demagogia podwoje naszych świątyń urągowskiem i wzdardą splugawiła, wówczas pozostał bez wędzidła dziki amerykański żreback, którego mianowano ludem wolnym, dlatego, że wierzganiem rozerwał pęta, nie po to, by odetchnąć powietrzem wolności jaką przynosi cywilizacya i sprawiedliwość, lecz aby swobodnie wiatrem dzikiej natury oddychać.

I otóż ten sam lud, ten rozkiełznany żrebiec, tarzający się od Patagonii do Boliwii, kopytami rozbija cywilizacyę i prawo, skoro te chciały położyć granice dzikim jego zapędem.

Rozumiał to dobrze Rozas, i bez złotej na czole korony narzucił mu despotyczne jarzmo, i w miejscu religii postawił mu bożyszcze z nazwą federacyi.

Zaczawszy od XVI wieku w Hiszpanii aż do pierwszych dni XIX we Francyi, więcj było mrzonek sielankowych poetów, niżeli pomysłów mężów stanu. I oto żywa i dotykalna następność tych rojonych systematów, w reakcyi jaką przedstawia Rozas, ten mesyasz krwi, którego wyglądała argentyńska pleba, fanatyczna córka hiszpańskiej zabobonności, by podnieść hymn na cześć absolutyzmu i ciemnoty; a dziki Cuitinis, to najprawdziwszy wyraz téj pleby, a jego krwawa ręka, to najwyrazistsza pieśń ku chwale jój króla, w hołdzie jój fanatyzmowi.

VI.

Naczelnik policyi.

— Corvalan, — rzekł Rozas do wchodzącego z Manuelą — idź mi zawołać Nictorica.

— Właśnie przyszedł; czeka w kancellaryi, chce się widzieć z W. Ekscellencyą.

— Niech wejdzie. Słuchaj, siadaj na konia, jedź do mieszkania angielskiego ministra; zobacz się z nim samym, i powiedz, że go potrzebuje natychmiast.

— A jeżeli śpi?

— Niech się obudzi.

Corvalan uklonił się i wyszedł, unosząc swoją szarfę, która się przekreśliła tak, że mu szpada teraz na brzuchu wisała.

— Cóż się przewielebny tak do muru przylepił jak pająk? zbliż się do stołu. Cóż cię tak zastraszyło?

— Ręka! — odrzekł Vigua przysuwając się z krzesłem, i odetchnął z widocznym zadowoleniem, iż się pozbył widoku straszego bandyty.

— Manuela, źle się zachowujesz; odsuwałaś się od mego federalisty.

— Ojczel! alboż nie widziałeś?...

— Widziałem wszystko. Aleś ty powinna udawać, że nic nie widzisz. Słuchaj, takich ludzi jak ten co ztąd wyszedł, trzeba albo pokonać, albo ich nie tykać. Pod tęgiem uderzeniem w proch padną, pod ukłuciem śpilki, podskoczą jak żmija.

— Ależ senior, byłam tak przerażona!...

— Przerażona!... tego człowieka ja spojrzeniem zabijam.

— Przerażona tém co uczynił.

— Co uczynił to było dla mego bezpieczeństwa i dla twojego, nigdy inaczej sobie nie tłumacz tego co koło mnie widzisz i słyszysz. Ja im daję poznać tylko część mojej myśli, tyle ile chcę, oni ją spełniają, a ty powinnaś okazać ukontentowanie i popularyzować się z nimi; popierwsze, że tak ci wypada, powtóre, że ja ci rozkazuję. Wejdz, Nictorica,— dodał, słysząc kroki za drzwiami.

Wszedł mężczyzna pięćdziesięciokilko letni, średniego wzrostu. Płeć jego chropowata zakrawała na miedzianą, czarny włos zaczynał siwieć, czoło szerokie, pod gęstą brwią mięsiste, oczy ciemne małe, patrzyły pochmurno i przenikliwie, dwie głębokie kresy zarysowały się od nosa do końców zwierchniej wargi. Wyrazem niezblaganym i odrażającym nacechowaną była twarz jego, na której więcej ślady pozostawiły gwałtowne namiętności, aniżeli lata; na twarzy tej nigdy uśmiech nie zagościł. Naczelnik policyi ubranym był w czarne pantaloney, szkarłatną kamizelkę, i sukmankę błękitną z czarnymi jedwabnymi potrzebami; w dziurce od guzika tkwiło godło federalne. Przez prawą rękę przewieszoną była pletnia ze srebrną rękojeścią, w lewój miał chłopski kapelus z ponsową żałobą.

Po głębokim ukłonie na wezwanie dyktatora, usiadł na krześle obok niego.

— Przychodzisz pan z urzędu policyjnego?— spytał Rozas.— Cóż tam nowego?

— Przywieziono trupy unitaryuszów, którzy mieli się wyprawić tego wieczora na rzekę, to jest: trzech nieżywych, czwarty oddychał, ale już nie oddycha. Mniemałem, że powinien był podzielić los swoich towarzyszków.

— Wiadomo co za jedni? mieli papiery?

— Poznano, że to byli: Oliden, Lynch, Ringlon i młody Maisson. Papierów nie mieli żadnych.

— Nic nie zaszło szczególniejszego przy tém zdarzeniu?

— Jeden z unitaryuszów zdołał umknąć; tak przynajmniej utrzymują ci co wóz eskortowali.

— A tak senior, jeden uciekł i powinien być schwytany; jeden co może naigrawać się z mojej władzy, jest to samo co dwustu, co tysięcy. A ten co uciekł śmiał walczyć, a co więcej, pomoc otrzymał. To być nie powinno. Biada wam, biada federacyi jeżeli uni-

taryusze odważają się podnosić oręż tam, gdzie się wykonywa mój rozkaz.

— Wasza Ekscellencya ma zupełną słuszność. Ależ to pierwszy podobny wypadek.

— Pierwszy, lecz może być nie ostatni, jeżeli się nie da im nauki natychmiast. Czy Merlo wiedział ich nazwiska?

— Mówiłem z nim o ósmój z rana, wtenczas nie znał innego tylko Olidena, którego potrafił zręcznie podejść, że go wybrał za przewodnika. Merlo wiedział przez służącą, że się wybiera ujść do Montevideo; mam tu jego doniesienie szczegółowe na piśmie, i z jego podpisem według rozkazu Waszój Ekscellencyi. Poślę natychmiast po Merla.

— Już kto inny tém się zajął, i pan się dowiesz jutro o rezultacie, jakikolwiek on się okaże; do pana będzie należało przedsięwziąć potrzebne środki.

— Ani minuty nie stracę.

— Naprzykład, jeżeli Merlo nazwiska nie wie, cóż pan pocznieś wówczas? pan, mój naczelniku policyi!

— Wydam rozkazy komisarzom i głównym agentom tajnej policyi, żeby rozesłali swoich podwładnych dla wyszukania tego...

— Unitaryusza w Buenos-Aires! — przerwał Rozas z uśmiechem szyderczym i pogardliwym, który zmieszał nieboraka mniemającego, iż rozwijał najdoskonalszy plan, godny inkwizycyi poszukującej heretyka.

— Czy pan wiesz ilu jest unitaryuszów w Buenos-Aires?

— Musi ich być...

— Dostatecznie do wywieszania pana i wszystkich federalistów, gdyby nie było mnie do pracowania za wszystkich, nawet za mego naczelnika policyi.

— Zaręczam W. Ekscellencyi, że robię co mogę.

— Być może, ale nie to co potrzeba. Szukać unitaryusza po mieście, to jakby ziarnka zboża po pełnej stodole. A w swojej kieszeni masz pan drogę najkrótszą do niego.

— Ja! — zawołał Nictorica coraz bardziej pomieszany, siłąc się na pozorny spokój — zaręczam, że nie pojmuję...

— Wiem o tém. Ja muszę was uczyć wszystkiego. Gdzie służyła ta murzynka czy mulatka przez którą Merlo dostał wiadomość?

— U Olidena.

— U dzikiego unitaryusza Olidena, mości Bernardo Nictorica. Oliden oczywiście nie zbierał na ulicy pierwszych lepszych dzikich, żeby z nimi wypłynąć; musieli to być jego przyjaciele. Służąca powinna wiedzieć kto go odwiedzał najczęściej, kto u niego był dziś, wczoraj, onegdaj. Z téj listy wymazać tych, co już są trupami, a reszta będzie wskazówką do poszukiwań.

— W. Ekscellencya posiada niezrównany rozum.

— Szkoda, że się pan na niego spuszczaś. Nie mam nikogo do pomocy. Muszę wystarczać za wszystkich.

Nictorica spuścił oczy, w których źrenicy utkwilo jak ognista strzała pogromcze spojrzenie Rozasa, pełne wzgardy w téj chwili.

— Możesz pan iść; teraz wiesz co masz robić.

— Jutro wypełnię rozkazy W. Ekscellencyi.

— Ja nie dawałem rozkazów, uczyłem tego czego nie umiecie.

— Pokornie dziękuję W. Ekscellencyi.

— Niema zaco.

Nictorica uklonił się nisko ojcu i córce i wyszedł z tego pokoju, gdzie jak wszyscy którzy doń wchodzili, spłacił swój haracz upokorzenia, strachu i służalstwa, nie wiedząc na pewno, do jakiego stopnia zadowolnił lub rozgniewał pana. Był to niezmienny system dyktatora: utrzymywać w umysłach swoich podwładnych tę dręczącą i straszną niepewność: obawa jego gniewu mogłaby ich do ucieczki skłonić, zaufanie wbijałoby w zbytę pychę.

Nastąpiła długa chwila milczenia: Rozas i jego córka pogrążeni w myślach różnego rodzaju, Padre Vigua śpiący, z głową podpartą skrzyżowanemi na stole rękami.

Kwadrans upłynął, w ulicy zaturkotało. Dyrektor rozkazał córce wyjść z pokoju; silném uderzeniem pięści po karku zbudził biednego mulata.

(Dalszy ciąg nastąpi).



HANDEL CHIN Z EUROPA I AMERYKĄ (*).

Handel zewnętrzny Chin powstał i rozwijał się wbrew interesom kraju, a t \acute{e} m sam \acute{e} m bez rzeczywistych korzyści dla niego. Z tego jednak wnosić nie należy, aby nie zadawał wielu istotnych potrzeb narodu: owsz \acute{e} m, sam wzrost i rozwój tego handlu pokazuje, że miał w sobie wiele żywotności. Ale jak wszystko co gwałtem i przymusem sztucznie jest narzucone organizmowi społecznemu, stał się on źródłem wielu chorobliwych zjawisk w owym organizmie, a nawet źródłem jego osłabienia. Dwie wojny nieszczęśliwe, które naród zmuszonym był przyjąć dla korzyści cudzoziemców, które się tu przemocą osadowiali, już same przez się wiele kosztowały ludność tutejszą. Prócz tego między przedmiotami handlu przywozowego Chin otrzymały jeden taki, który w ciągu kilku generacyi, zdolnym był zabić żywotne siły narodu, nie tylko fizjologicznie ale i moralnie. Handel zresztą który się rozwinął w niektórych miastach Chin, jest zupełnie biernym dla kraju. Prowadzą go wyłącznie kupcy cudzoziemscy, którzy ciągną zyski nie tylko z artykułów handlu jakie tu przywożą, ale nadto i z tego, że towary chińskie przechodzą do innych portów przez ich ręce i na ich statkach; że kupiec chiński jest tylko komissantem cudzoziemca, nie zaś właścicielem handlu, który stawszy się z biernego czynnym, mógłby mu zapewnić bogate korzyści. Oprócz tego handel obcy w kraju zwłaszcza tak zacofanym jak Chin jest jeszcze dla nich szkodliwym dlatego, że nie dozwala rozwijać się przemysłowi miejscowemu, a głównie fabrycznemu. Napływ ogromny fabrykantów cudzoziemskich tanich, nie dozwala rozwijać się fabrykom krajowym i pod tym względem Chin przedstawiają dziwne zjawisko, bo tak ogromne państwo własne materiały surowe, musi do przerabiania posyłać o 15 lub 20 tysięcy wiorst. Nie może tu być nawet mowy o cłach protekcyjnych, albowiem taryfa ustanowioną jest podług traktatów. Szkodliwość handlu zewnętrznego narzuconego w ten sposób Chinom jest tak widoczną, że jej nie zaprzeczają sami kupcy cudzoziemscy, usiłując tylko przemoc polityki europejskiej usprawiedliwiać tak zwan \acute{e} m barbarzyństwem

(*) Tłum. z ros. „Goniec Europy, m. sierpień.“

kraju. Nieprawidłowość warunków, w jakich się odbywa handel Chin z Europą i Ameryką, odbija się głównie w jego jednostronności i małej liczby głównych artykułów przywozu i wywozu. I rzeczywiście opium i tkaniny bawełniane, jako przedmioty handlu przywozowe, a jedwab i herbata jako artykuły wywozowego, wyczerpują większą część bilansu chińskiego. Ale większa część potrzeb miejscowej ludności nie znajduje zaspokojenia w tych dowozach cudzoziemskich, z drugiej zaś strony ogromna ilość naturalnych bogactw krajowych nie wychodzi po za granicę targu miejscowego. Dodajmy do tego opłakany stan dróg w całym państwie, dowolność administracji krajowej, a ztąd brak bezpieczeństwa osobistego i miejscowego, a zrozumiemy dlaczego handel zewnętrzny nie może tu być ani tak rozległym ani kwitnącym, jakby tego oczekiwać należało i od szczęśliwego położenia jeograficznego Chin i od zdolności oraz pracowitości mieszkańców.

I tak, weźmy trzechlecie od roku 1865. Ogólna summa obrotów handlu zewnętrznego nie wyniesie więcej nad 250 mil. rub., z czego na głowę jedną wypadnie od 70—75 kop.; kiedy tymczasem w Austrii, zostającej w tak niekorzystnych warunkach dla handlu zewnętrznego, cyfra ta wynosiła w roku 1864, na jedną głowę 10 rub., a w Turcyi rs. 8 kop. 75.

Cudzoziemcowi przybyłemu do portów Chin wydaje się zwykle, że ruch handlowy między tym państwem a Europą jest tak wielkim, jakim jest rzeczywiście między Anglią a Stanami Zjednoczonymi. Widzi bowiem mnóstwo parochodów w porcie Szangai, i na drodze prowadzącej do niego i od niego; wielkie domy handlowe prawie pałace na brzegach szangajskich; tłumy robotników zajętych wyładowywaniem towarów: wszystko to sprawia w nim złudzenie, że się znajduje np. w Nowym-Yorku albo w Londynie. Ale to tylko złudzenie.

Brak maszyn powiększa liczbę zatrudniających się ładowaniem okrętu. Ilość statków parowych zdaje się większą dlatego, że przystań za ciasna. Znaczniejszych domów jest tu od 20—30, ale i te nie obracają swych kapitałów w kraju, lecz prowadzą handel czysto komissowy. W razie jakiego nieszczęśliwego wypadku, wojny domowej, lub przesilenia handlowego, *księżęta ci handlu* rzucają kraj bez żalu zabierając z sobą ruchomości i nie zostawiając śladu. Są oni jak żołnierze na biwaku: oprócz ogromnych zysków na kapitałach gotowych, nic ich stałszego nie wiąże z cesarstwem Niebieskim. Wyjątek między nimi stanowią kupcy rosyjscy, którzy tu posiadają fabryki herbaty i doki w Szangai i Kantonie. Że handel prowadzony w Chinach przez kupców europejskich i amerykańskich, którzy tu mieszkają, jest komissowym: rozumić to należy w obszernem znaczeniu tego wyrazu. Powiedzieć można, że żaden okręt nie wyładowywa się w Chinach, jeżeli ładunek nie był zakupiony wprzód w Nowym-Yorku lub Londynie; żaden statek nie przybija do przystani, na któryby nie czekał jakiś kupiec europejski, będący komissantem chińskim. Nawet takie

domy jak Girardiný, Rosseli, Hibby prowadzą handel wyłącznie komissowy, nic na swe ryzyko nie przedsiębiorąc. Przed kilku laty dom Girardini, ten Rotszyld Wschodu spróbował obrotu jedwabiem na swe ryzyko i jak powiadają poniósł z tego straty. Wyjątek od tego ogólnego charakteru handlu komissowego w Chinach stanowi handel opium; jestto towar którego zbyt jest wszędzie zapewniony, a przedsiębiorstwo zmonopolizowane; nawet transport jego odbywa się za pomocą statków z firmami miejscowými. Ale statki te nie należą do prywatnych jak w r. 1840, lecz są własnością spółek na akcye. Najpierwsze domy handlowe, które wprzód miały swe okręty, dziś wołają je najmować. Prawda, że dla przewozu ciężarów istnieją liczne statki parowe w Hon-Kong i Szangai, ale należą one do kompanii akcyjnych, a większa część tych akcyj jest w ręku Chińczyków. Jużesmy wspomnieli że ogólna cyfra obrotów ogólnego handlu chińskiego wynosi 250 mil. rub. Ale cyfra ta jest urzędową, ustanowioną podług deklaracyi samych kupców, i zapewne nie rzeczywistą. Taryfa chińska nie jest różniczkową, ale prostą 5% od wartości towaru; dlatego to np. w bilansie z r. 1868 w porcie Szangai, 7549 sztuk instrumentów muzycznych oznaczono na 11400 rs. to jest po rs. 1 kop. 60 za sztukę; kiedy w Europie prościej tabakierki grającej nie można kupić taniej nad 5 rs. Tak dalej np. 2784 zegarków otaksowano na 14000 rs. i t. p. Ta niedokładność cyfr utrudnia wysledzenie rzeczywistych rozmiarów zewnętrznego handlu Chin, a nawet w wielu razach rzuca nań niekorzystne światło. To tylko jest autentycznym, że rezultat ogólny handlu chińskiego z lat ostatnich nie bardzo cieszący. Krzyczano dawniej w całej Europie na Chiny, że pochłaniają ogromną ilość srebra, które znikalo z placów europejskich; dziś miliony rubli wywożą się za opium, z Chin do Europy, do Anglii i do Azji, głównie do Indyi.

Taryfy celne w Chinach układają się na podstawie fikcyjnej jednostki monetarnej, wartość towarów oblicza się tu na *lany* szangskie; lan taki równy wartości 1 rs. 88 kop., a cło pobiera się podług lan *Chajkuńskich*, z których jedna równa wartości rs. 2.

Podług takiej taryfy, bilans handlu ogólnego Chin od r. 1864 do 1868 wynosił z handlu przywozowego w przecięciu 123 milion., z wywozowego 111 milionów, a więc na niekorzyść kraju przypało 12 milionów rubli.

Handel opium stanowiący kontrabandę w latach od r. 1865 do 1868 przecięciowo wynosił 16 mil. rs. rocznie. Dodawszy tę cyfrę do owych 12 m. przewyżki handlu przywozowego nad wywozowy, otrzymamy ogólną cyfrę tego ostatniego na 28 m. rs. która się opłaca gotówką. Smutne to zjawisko, że Chińczycy za tak olbrzymią sumę nabywają towar, który literalnie puszcza się z dymem, demoralizując ich nadto moralnie i fizycznie.

W tém miejscu przejrzymy cyfrę dochodów celnych, które mają wynagradzać Chińczykom, to, co na nich zyskują Europejczycy; lubo i to jest fikcyą, gdyż wedle przyjętego zwyczaju: większą

część opłat przynoszą Chińczycy nawet od towarów przywozowych jak np. od opium. Cyfra ta wynosi do 17 m. rs. Ale z dochodu tego utrzymać się muszą przedewszystkiem same komory, gdzie jest 280 urzędników Europejczyków, z których żaden nie pobiera płacy mniejszej nad 2700 rs., a są tacy co biorą, po 10, 15 i 65 rs. Ogół więc ich płacy dochodzi do miliona r. Koszta utrzymania budynków celnych, straży, urzędników komory wynoszą niezawodnie 1½ miliona. Wszystko to ogranicza dochód celny do 12 m. a więc deficyt handlu chińskiego zewnętrznego rocznie podnosi do 16 m. rs.

Porzućmy teraz kwestyę bilansu i zobaczymy, z jakimi głównie narodami Chińczycy prowadzą handel, i od którego z nich w największej zostają zależności ekonomicznej. Z 270 mil. rocznego obrotu z dwóch lat ostatnich, na udział Angli, i jej kolonij przypada 230 mil. Za Anglią idą północne Stany Ameryki, zachodnia Europa i Japonia. Do drugorzędnych zaś czynników tego handlu należy Rossya, Siam, Wyspy Filipińskie, Jawa, Kochinchina i Ameryka południowa.

Przedmioty przywozowego handlu Chin nie mają téj różnorodności, jaką widzieć można w handlu między Europejczykami; pochodzi to od nie rozwinięcia się jeszcze potrzeb narodu, od jednostajności ich wyrobów i od nie obeznania się z Chinami samych handlujących. Wazniejszymi z tych artykułów są: opium, wyroby bawełniane, tkaniny wełniane, metale, węgiel, ryż, cukier: widzimy więc tu brak maszyn, skór, świec, tytoniu, win, mebli, dywanów, płócien lnianych, tkanin jedwabnych, w ogóle tych wszystkich przedmiotów, których zespoleniem jest cecha cywilizacyi i wygod europejskich. Brak tych artykułów jest wielki, i prowadzenie życia na sposób europejski czyni tu arcy-kosztowném.

Jednostajność ta jeszcze jest wybitniejszą w przedmiotach handlu wywozowego; głównymi tu artykułami są: herbata, jedwab, drzewo kassia, wyroby krzesłarskie, papier, cukier, ognie bengalskie, makaron, wachlarze, runbarbarum i t. p. Wachlarze chińskie rozchodzą się po całym Wschodzie i dosięgają Europy.

Opium to główny i specjalny artykuł chińskiego handlu przywozowego. Przychodzi z Indyj a w ogóle z Azji południowej, Persyi, Turcyi, głównie do Hon-Kong, ztąd się rozchodzi do innych portów chińskich. Ogólna ilość tej trucizny przewożona przez komorę i defraudacyą, wynosi rocznie 11 mil. funtów, czyli 275 t. pudów. Liczba palących w Chinach dochodzi do 6 m., w téj liczbie wielka część inteligencyi kraju, urzędników i kupców bogatych. W okolice wiejskie kraju, opium dochodzi nie z taką obfitością; ale za to po miastach, mianowicie większych, opium jest w ogólném użyciu. A lubo rząd nakłada cło wysokie i pobiera jeszcze inne opłaty dodatkowe, konsumcyja jego wzrasta.

Rozpowszechnianiu temu opium sprzyja okoliczność, że cło pobiera się nie odrazu od całego ładunku, ale w miarę spotrzebowania i sprzedaży w małych partyach; co handel tą trucizną zna-

komicie ułatwia. Złe to zwiększyło się i z téj przyczyny w ostatnich latach, że zaczęto obsiewać niektóre pola w kraju makiem swojskim, wydającym opium chińskie.

Pomimo, że podatek gruntowy wynosi rs. 4 kop. 30 z dziesiatyny pola obsianego makiem, coroczna produkcja opium w samym Laodun dochodzi do 4,000 pudów, nielicząc przywożonego z Indyj, którego przez port Niuczuku przewożą więcej jak 9,000 p. Jeżeli taką jest proporcja opium przywożonego do innych prowincyj, to całe Chiny zużywają od 11 do 15 mil. funtów, a więc liczba konsumentów opium wynosi 8 milionów ludności w kwiecie wieku. Cena przywożonego opium, po opłaceniu podatku, dochodzi od 900 do 1,100 r. *pikul*, (147 funtów), za co część większa dostaje się Wschodnio-Indyjskiemu rządowi angielskiemu w charakterze opłaty tranzytowej w Kalkucie, Bombay i t. d.

Wyroby bawełniane, a nawet wyprzędzy zagraniczne przychodzą z Anglii i jej kolonij w południowej Azji, oraz w małej ilości z innych krajów. W liczbie ich główne miejsce zajmują kartony, tkaniny kamczackie, płótno i przędza, czyli wyroby niewymagające wykończonego obrobienia. Główny skład mają w Szangai, sprzedają się tu i w portach północnych, gdzie brak miejscowych przędzalni. Perkaliki, muślinki i zaknoły europejskie nie mają w Chinach odbytu i są w użyciu tylko u Europejczyków mieszkających w tym kraju.

Wyroby wełniane, trzeci i ostatni artykuł handlu zewnętrznego, także idą głównie w północne strony Chin, jako właściwe tamecznemu klimatowi. Jedyny to artykuł handlu przywozowego, w którym Rossya nie pozostaje w tyle za innymi krajami Zachodu, a nawet wytrzymuje z niemi współzawodnictwo. Suxna przywożone do Chin są wszystkie koloru granatowego, w lekkich gatunkach i dobrze postrzygane. Z innych wyrobów wełnianych przychodzą tu lustryne, kamloty i t. p. Tkaniny półwełniane, tak używane w Europie, nieznanne są w Chinach.

Jak opium stanowi główny artykuł handlu przywozowego, tak głównym przedmiotem handlu wywozowego jest w Chinach herbata. Nawet słusznie powiedzieć można, oceniając wartość tych produktów, że pierwszy z nich zamienia się za drugi w handlu między Europą a Chinami. Przewóz herbaty wymaga niektórych wyjątkowych warunków, mianowicie szczelnego opakowania i zabezpieczenia od zamknięcia. Dwa te warunki wpływają na wysokość kosztu transportu, tak przy przewozie wodą jak i lądem. Ponieważ droga morska, mianowicie na statkach parowych bezpieczniejsza i tańsza, to śmiało powiedzieć można, że proponowana dawniej droga na Ulasataj zamiast na Kiachtę, nie mogła się przyczynić ani do lepszego zachowania, ani do uczynienia tańszą herbaty. Kanał suezki i Odessa były jedynymi prawnymi następcami po Niżnymnowogrodzie i po stepach tatarskich. Dla przyczyn dopiero wyjaśnionych, fracht za przewóz herbaty do Europy

z Szangai był droższym od 8—10 szyllingów na tonnie, gdyż przewoźcy odpowiada za zamoczenie i żadne towarzystwo assekuracyjne nie przyjmuje ubezpieczenia tego rodzaju. Ale fracht ten mimo to, zawsze jest niższy za przewóz kanałem suezkim od frachtu za przewóz lądowy o 7 lub 8 razy; przewóz więc morski musi się stać jedynym dla handlu herbaty z całym światem, wyjąwszy środkowej i północnej Azji, gdzie morskiej drogi nie ma; a nawet ze względu na znakomitą wartość towaru i potrzebę jego świeżości, transport ten odbywać się będzie na statkach parowych. Przypuszczenie to stwierdziły już fakta. Od początku r. 1870, transport herbaty do Londynu odbywał się na statkach parowych, pomimo większej taniości przewozu na statkach żaglowych (o $9\frac{1}{2}$ sz. na tonnie). Kupcy handlujący z Rosyją, postanowili w r. b. skierować swój handel na południe, w okolice kanału suezkiego, mimo oporu niektórych handlowych zacofańców, którzyby woleli wrócić się do Kiachty, aby prowadzić interes po dawnemu. Głównymi placami dla handlu herbatą są w Chinach: Fu-czej-fu, gdzie oprócz masy herbaty czarnej, sprzedaje się i lepszych gatunków kwiatowa; Han-kon, ważny plac dla handlu czarnej i ceglastej herbaty; Szangai-Niugpo, Amoi i Kanton dla herbaty różnych gatunków, w części osuszanych, i dlatego nieco zwiędzłych i goryczkowatych. Dwie trzecie całego wywozu herbaty z Chin idzie do Anglii, głównie do Londynu.

Jedwab, który się stał dla Chin głównym artykułem handlu wywozowego, z powodu choroby jedwabników w Europie, produkuje się głównie w południowych prowincjach Chin. Głównym składem jedwabiu jest Szangai, z kąd wywieziono go w r. 1868 do 140 t. p. wartości 40 mil. rubli, potem idzie Kanton. Więcej jak piąta część tego towaru idzie do Francji; reszta, z której głównie czyni zakupy Anglia, idzie na ląd stały Europy. Razem z jedwabnikami, kokonami i wyprzędami, wyprawia się z Chin i jakaś część tkanin jedwabnych wartości 4 mil. rub. Ale jajek jedwabniczych stanowiących tak ważny artykuł handlu w Japonii, Chiny prawie zupełnie nie wyprawiają. Dla jedwabiu i herbaty, Europejczycy utrzymują oddzielnych taxatorów, tylko kupcy rosyjscy sami taxują.

Pomiędzy artykułami międzynarodowego handlu w Chinach, w ostatnim czasie ukazały się metale tak w wyrobach jak maszynach, i formie surowej, jako materiały do użycia w zakładach rzędowych morskich i arsenalowych.

Przejrzawszy w ten sposób całość handlu zewnętrznego Chin, znaczenie jego ekonomiczne dla kraju, udział jaki w nim biorą różne narody, rozdział jego po placach handlowych, a nadto, wskazawszy główne artykuły handlu wywozowego i przywozowego, przypatrzmy się teraz żeglarstwu w portach otwartych dla cudzoziemców i środkiem przewozu z nich towaru do Ameryki i Europy. Uderzającą jest rzeczą, że liczba statków nawiedzają-

cych Chiny, nie tylko się w ostatnich latach nie powiększyła, ale nawet zmalała. Zmniejszenie to wynagrodziło się powiększeniem objętości okrętów. Sam port szangajski w r. 1869 miał 64 parochodów, które cyrkulowały nie tylko między nim a innymi miejscowościami chińskimi, ale nadto Japonią, Europą i Ameryką. Naturalnie, że wskutek tego upadała żegluga żaglowa. W roku 1864 przybito do portów chińskich 17 t. przeszło okrętów europejskich.

w roku 1865,	16,628
„ 1866,	15,672
„ 1867,	14,704

Z okrętów tych połowa była angielskich, jedna trzecia amerykańskich, a tylko jedna szóstą przypadła na inne narodowości świata. Żegluga niemiecka nie tylko nie upadła, ale się zwiększała stale, podobnie i drugiego rozwijającego się państwa Siamskiego. Ale statki niemieckie są po większej części żaglowe, trudnią się głównie żegluga przybrzeżną, i pomyślność swoją zawdzięczają głównie tanioci frachtu. Wogóle przewóz towarów chińskich statkami europejskimi, mianowicie też żaglowymi obecnie jest upowszechniony, bardzo korzystny, korzystniejszy może od handlu towarów, z wyjątkiem chyba handlu opium. Przewozem takim trudnią się też nie tylko pojedynczy właściciele statków, ale dwie potężne kompanie: Rossela pod flagą amerykańską i Trautmana pod flagą angielską.

Taryfy wszędzie wysokie, tak z powodu małej konkurencji, jak i drożyzny utrzymania technicznego personelu statków, oraz zakładów do ich naprawy. W roku 1840 i do wojny 1858, bogate firmy Hon-Kong i Szangai zajęte handlem opium, herbaty i jedwabiu, posiadały całe flotyllę; dziś zaś właścicielami statków są nie kupcy, ale osoby trudniące się swym przedsiębiorstwem jako specjalnością. Prawo rozdziału pracy i przemysłu odzyskało swój wpływ i w tej sferze działalności.

Wspomnieć tu należy o rozwoju floty chińskiej, nie o wojennej, która dzisiaj posiada dwa admiralstwa i już 6 — 7 okrętów, ale kupieckiej. Przedstawicielami floty chińskiej urządzonej na sposób europejski są parochody, nabyte przez niektóre domy handlowe dla ich przedsiębiorstw. Szkoda tylko, że tworząca się flota, przechodząc musi ciężkie próby. Z jednej strony ścieśnia ją współzawodnictwo europejskich i amerykańskich statków, które znievolmente już właściciele szangajskich parochodów do złączenia się z wielką kompanią amerykańską, z drugiej strony, samowolna chciwość biurokracyi chińskiej dostarczają przedsiębiorczych armatorów chińskich; gdyż nad nikim się nie znęca tak surowo samowolność mandarynów jak nad ludźmi bogatymi, a cóż dopiero śmiejącami wprowadzać nowości europejskie. Z tego to względu właściciele chińscy statków budowanych na sposób europejski, trzymają je pod flagą angielską, i aby na to otrzymać do-

zwolenie, przyjmują za kompanistów anglików z Hon-Kong. W czasie pokoju, przy sumienności podobnego kompanisty, nie grozi rzeczywistemu właścicielowi żadne niebezpieczeństwo, ale niechno ów pozorny współwłaściciel zechciał z swego tytułu korzystać, lub niechno by Anglia zaczęła wojnę z Chinami, Chińczyk bezwątpienia utraci swą własność. Fakt ten ciekawy pokazuje, jak smutnym jest położenie Chin ekonomiczne i polityczne po czterdziesto-wiekowym panowaniu biórokracji! Na zakończenie pomówimy o pocztach chińskich, jako środkach komunikacji z Europą i Ameryką. Trzy kompanie utrzymują pocztę stałą między Szangai, Hon-Kong i San Francisco z jedną, a z drugiej między temiż portami morza Chińskiego i Marsylią, oraz Southampton, mianowicie: amerykańska Pacific Mail Stevusship Comp., angielska Peninsular and Oriental Comp. i francuzka: Messageries francaises, do nich łączą się kompanie miejscowe morza Chińskiego.

Kolój jaką odchodzą jest taka: Kompania amerykańska wysła co miesiąc jeden parochód z Ameryki do Jokoham, zkąd droga z San Francisco wynosi 21—24 dni, stosownie do pogody i pory roku. W Jokoham podróżni i ładunek dzielą się, jedni przesiadają się na statek téj samój kompanii idący do Hon-Kong, inni na statek odbijający do Szangai przez Hio i Nangasaki. Do Szangai z Jokoham odchodzą nawet trzy pociągi miesięcznie, od Jokoham do Hon-Kong statki parowe amerykańskie idą w odwrotnym porządku, i Amerykanie nie odpływają w te dni kiedy odpływają Europejczycy. Są to największe statki co do objętości ze wszystkich dotąd istniejących, nie wyłączając transatlantyckiej, francuzkiej i angielskiej kompanii Kiunava. Fracht amerykański jest tańszy od francuzkiego i angielskiego, tak dalece, że można na nim wyprawiać z Kalifornii do Hon-Kong kapustę i kartofle, dla czego kompania ta jest nienawidzona przez swe rywalki, i były wypadki, że w razach niebezpieczeństwa statki europejskie odmawiały jój statkom pomocy, nawodząc je owszem na miejsca niebezpieczne. Dla podróżników wyprawiających się z Szangai do Europy, najwygodniejszą jest podróż statkami kompanii amerykańskiej Pacific Mail S. Comp., już to dlatego, że nie wychodzą ze strefy umiarkowanój, kiedy tymczasem kompanie angielska i francuzka prowadzą, przez gorącą strefę oceanu Indyjskiego i po morzu Czerwoném, już téż i z téj przyczyny, że z 47 dni, siedm przepędza się w pełnych komfortu sypialniach gościnnych Drogi Żelaznej Amerykańskiej, między San Francisco a Nowym-Yorkiem. Lecz dla ładunków europejskich trakt ten niedogodny, bo wymaga dwóch przeładowywań, przewozu drogą żelazną i podwójnego assekurowania.

Statki drugiej kompanii angielskiej *P. and Ocean C.* odchodzą dwa razy na miesiąc z Szangai przez Hon-Kong do Suezu i ztąd przez Aleksandrię do Southampton. Z przyczyny zawiści do koni-

panii francuskiej kanału Suezkiego, przenoszą ładunki i przesadzają passażerów na drogę żelazną należącą do Anglików.

Wsparcie jakie kompania angielska do wysokości miliona rubli otrzymuje od swego rządu, mogłoby jej pozwolić niższenia taryfy więcej nad to, co uczyniła w r. 1870; ale chciwość i niesumienność Azyatów, pochłaniających olbrzymie summy, staje temu na przeszkodzie, diwidenda bowiem akcyonaryuszów z tém wszystkiem nie przynosi 6%. Co się tyczy owej rządowej pomocy, jest ona zupełnie prawną, gdyż oprócz linii Indyjskiej, Chińskiej i Japońskiej, kompania musi utrzymywać bezładną linię do Australii, a nadto przewozić po wszystkich liniach pocztę rządową.

Messageries francaises dzieło Behica ministra napoleońskiego, wypieszczone subsidium 5 milionów rubli, a jednak to ledwo zdolne współzawodniczyć z kompanią angielską, pomimo równości taryf i ponętności kuchni francuskiej na statkach. Zdzierstwo agentów jeszcze tu większe jak w kompanii angielskiej; chodzi raz na miesiąc między Maracją, Hon-Kong i Szangai, z przemianą ładunku w Hon-Kong, gdzie gałęź chińska dzieli się na japońską idącą do Jokoham, ale zato niema już przeładowywania na między-morzu Suez, gdzie już statki parowe kursują po kanale. Owo ogromne wsparcie rządowe da się w części usprawiedliwiać tém, że statki kompanii darmo przewożą pocztę, a za niższą opłatą ładunki rządowe i passażerów, których od czasu podbicia Kochinchiny nigdy nie braknie.

Prócz tego kompania utrzymuje prostą linię na wyspę Śgo Maurycego.

Stacye prawie te same mają obie kompanie angielska i francuska. Francuskie stacye są: Port Said Suez, Aden, Point de Galles, Singa-pur, Sajgou, Hon-Kong i Szangai. Droga od Marsylii do Szangai wynosi 42—46 dni, stosownie do pory roku, w którym powstają przypływy i odpływy oceanu Indyjskiego.

Kompanie Rossela i Trautmana utrzymują stałą i bardzo częstą komunikację między Szangai po Jan-czi, morzu Żółtém do Niuczuanu i Tiau-czin. Statki ich ogromne, mogące np. pomieścić 8000 puszek herbaty, ale płytko zagłębiające się, bo wody nie głębokie.

Taryfy tych kompanii bardzo wysokie. Im to zawdzięczamy że nas herbata w Tiauczcin kosztuje tyle, ile Anglików w Londynie. Kompaniom tym ma się rozumieć ani Chińczycy, ani Anglicy, ani Amerykanie nie wnoszą żadnych opłat, bo żyją one jak żyć winien każdy uczciwy kupiec ze swój pracy i rozumu, nie pozwalając darmo lub nisko płatnego przewozu nikomu, nawet swym agentom, i bacząc przedewszystkiem, aby ich ci ajenci nie okradali. Nie znają też honorowych protektorów-akcyonaryuszów, przyuczających zarządy kompanii do uważania kassy państwowej za oddziały kass własnych.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rodzina Thierrych, jój zasługi na polu historii.—Amadeusz Thierry.—Nowe opowieści z Historji Rzymskiej Vgo wieku.—Dwie cesarzowe Byzantyjskie: Pulcherya i Athenais po chrześcijańsku Eudocya.—Hypatia retorka.—Znaczenie Sofistów ateńskich.—Poemata Eudocyi: ŚŚ. Cypryan i Justyna.—Demonologia: Podróż po świecie czarów.—Bogactwa współczesnej literatury hiszpańskiej.—Wydawnictwo Baudrego w Paryżu.—Luis Eguias, poeta dramatyczny —Jego dramat: *la Llave de Oro* (klucz złoty)—Posiedzenie Akademii francuzkiej.—Rozdawnictwo nagród.—Dzieła uwieńczone.—Sąd Akademii o dziele prof. Heinrich: *Historja Literatury Niemieckiej*—Nagroda przyznana E. Manuelowi za dramacik *Robotnicy*.—Mowa akademika Legouvé.

Od lat pięćdziesięciu niwa historii we Francji, ma wielkich a wytrwałych pracowników w zasłużonej rodzinie Thierrych. Augustyn Thierry wprowadził naukę dziejów ojczystych na nową drogę, znakomitą pracą o Merowingach. Byłto jeden z tych szczególnych badaczy, którzy nietylko że własnymi dziełami przyczyniają się do wzbogacenia pojęć o dalekiej przeszłości, ale co więcej umieją przedstawiać rzecz w sposób tak żywotny, tak świetny, iż tworzą może nowe szkoły. Augustyn Thierry uczynił może więcej dla historii swojego narodu, niż wszystkie razem akademie i uniwersyteta francuzkie. Wpływy tego genialnego badacza, silnie wycisnęły piętno na pracach historycznych wszystkich ludów Europy. My sami ileż mu zawdzięczamy!

Amadeusz Thierry jeżeli nie dorównywa bratu geniuszem, to jest siłą twórczą w torowaniu nowych dróg na polu krytyki historycznej, wielkie niemniej położył zasługi umiejętnem a wytrwałem uprawianiem tej niwy. Głęboka erudycya ożywiona talentem pisarskim, opromieniona częstokroć poezją, stanowi główną cechę jego utworów. Któż obojętnie czytał *Historję Attyli*, *Sgo Hieronima*, lub *Opowieści z dziejów rzymskich?* (1).

(1) Syn Amadeusza Thierrego, Augustyn, poświęca się niemniej nauce dziejów. W r. 1862 ojciec i syn otrzymali w Oxfordzie tytuł: *Doctors civil law*.

Rzecz godna podziwienia, że ta werwa, ta poetyczność, uderzająca w pracach Amadeusza Thierrego, nie zużyła się z wiekiem. Dziś oto siedemdziesięcioletni starzec występuje z nową publikacją w niczem nie uwłaczającą jego poprzednim pracom. Mówimy tu o dziele *Opowieści z Historii rzymskiej w Vym wieku*. Autor za cel nowych badań, obrał czasy rozdziału państwa na zachodzie i wschodzie. Zajmuje go szczególniejszą sprawą Nestoryanów, zakończona konsylium Efezkiem. W dziele tém wyprowadza historyk na widownię dwie kobiety, dwie słynne cesarzowe: Pulcheryą i Athenais, zwaną przy chrzcie Eudocyą.

Kobięta na tronie z umysłem wyższym, z duchem poświęcenia, jest w każdym czasie i w każdym kraju ciekawym zjawiskiem, na które historyk pilną zwraca uwagę. Lecz Pulcheryi i Eudocyi danem było zabłysnąć w Byzancyum, to jest w państwie, które i przed niemi i po nich, wydało tyle kobiet, pełnych nadzwyczajnej energii, tak w dobrém jak niestety i w złém! O sławnych to monarchiniach wschodnich wyraził się poeta:

Gdy ogarnę wzrokiem
Dziejów byzanckich on pochód wspaniałą,
Widzę tam niewiast promieniste grono:
Helenie czołem uderza świat cały,
Kościół ją uczył wybranych koroną.
Gdy przed Attylą, tym młotem Zachodu
Padają grody, gdy sam Rzym się trwoży,
Mężna Pulcherya od bram Carogrodu
Mieczem odpięra przestraszny *Bicz Boży!*
Niezlomnym murem Aryadna grodzi
Kraj, przed Bulwarów stepowými chmary.
A gdy w gród bije nowy prąd powodzi
Odpięra Zofia orężem Awary.
Gdy pod wspaniałą Komnenów stolicę
Przykroczył Arab, krwi gjaurów niesyty,
Irena mieczem roztrząsa księżycę,
Zoe tron wspiera Porfirogenity,
A inna Zoe własnej czci obrazą
Tknięta do żywa naostrza miecz kary,
W drgającą męża pierś topi żelazo,
I nowe ludom rzuca wbrew Cezary!

Ustęp z dzieła Thierrego o Pulcheryi i Eudocyi, pragniemy dać poznać w treści naszym czytelnikom.

Cesarz Arkadyusz umarł w r. 408; nieco dawniej umarła żona jego Eudoxya. Zostało czworo sierot: siedmioletni Teodozjusz dziedzic purpury cesarzów wschodnich i trzy córki. Z tych najstarsza Pulcherya miała ledwie lat dziewięć.

O opiekę nad małoletnim cesarzem, dobijał się z jednej strony Jezdjerd król perski dawny przyjaciel ojca; z drugiej strony rodzo-

ny stryj dziecka Honoryusz, władca państwa rzymskiego na Zachodzie.

Senat i lud w Konstantynopolu, w obawie tak jednej jak drugiej opieki, zwołał radę; powierzył jej rządy a zarazem wychowanie małoletniego. Najstarszym w tej radzie był Anthemiusz mąż wielkiego serca i rozumu, powszechnie szanowany.

Podczas gdy Anthemiusz wywiązuje się mądrze z powierzonych mu obowiązków, w pałacu cesarskim rośnie szczególne, cudowne niemal dziewczę, najstarsza z sierot Azeya Pulcherya.

„W rodzinie tej—mówi historyk—wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy, niewiasty były mężami, mężowie zaś niewiastami. Pulcherya obdarzona niesłychaną energią, wychowuje się sama, bez przewodnictwa i opieki. Serce jej z natury prawe, wola dzielna, umysł nadzwyczaj bystry, spragniony wiedzy. Zna hańbę i ohydę przywiązaną do imienia matki, ten przykład chroni ją od złego. Zna słabość niedołęznego ojca, i aby nie wpaść w podobne błędy, strzeże się przewrotnych doradców, a usiłuje wyrobić sama w sobie samodzielny sąd nie zależny od opinii ludzkich. W samotnej pracy zdobywa niezłomną moc charakteru, ale obok tego przybiera dziwnie szorstki pozór, sprzeczny z dziewiczą jej urodą. Umysł jej rozwija się wcześniej i zakwita: różnostronna nauka podsyca go bez ustanku. Piętnastoletnia księżniczka wszystko zna, wszystko umie, czego uczono wówczas młodych patrycyuszów; mówi po łacinie i po grecku, wczytuje się w obie literatury. Pracuje z zapałem, pragnie czémprędzej przewodniczyć młodemu bratu.

I stało się według jej woli. Kiedy skończyła lat piętnaście senat i lud oceniając umysł jej dojrzały, jednomyślnie ją mianuje opiekunką młodego cesarza i rejentką, z tytułem *Augusta*. Anthemiusz składa w jej ręce wodze rządu. Uroczystość ta odbyła się 4 lipca roku 414.

Młodziuchna Rejentka wybiera dla brata nowych mistrzów najsłynniejszych w stolicy. Pod pilnym jej okiem trzynastoletni Teodozjusz uczy się prawa, filozofii, astronomii, matematyki, nauk przyrodzonych a nawet medycyny. Z woli jej wprawia się w rysunek i gimnastyczne ćwiczenia. Pochwała siostry najwyższą dla niego nagrodą, jej nagana karą najdotkliwszą. Sama Pulcherya czynny bierze udział w wychowaniu przyszłego cesarza. „Uczy go—mówią współcześni—trudnej sztuki pozycia z ludźmi, uczy go jak ma zachować postawę godną i poważną, jak układać fałdy tuniki, jak chodzić, siadać, jak przemieniać rysy oblicza i dźwięk głosu, według potrzeby chwilowej, jak się okazywać naprzemian surowym lub łaskawym. Nauki te pożądaną wydały owoc. Teodozjusz skorzystał z nich więcej niż z wykładu uczonych mistrzów, pomagała mu w tém dorodna i znacząca powierzchowność.”

Pulcherya z poświęceniem i miłością spełnia przyjęty obowiązek. Aby mu tém lepiej odpowiedzieć, aby tém silniej wesprzeć tron brata, rzeka się dobrowolnie związków małżeńskich.

Nie dosyć że sama ślubuje wieczne dziewictwo, skłania do tego młodsze siostry.

Ten ślub trzech cesarskich dziewczeczek, wryto na tablicy marmurowej, zdobnej złotem i kamieniami. Rejentka własną ręką złożyła tablicę w wielkiej Bazylice Konstantynopolskiej, ozdobiła nią ołtarz.

Pulcherya związana wiecznym ślubem, nie zamyka się za klauzurą, lecz o ile pozwalają na to jej obowiązki, żyje opodal świata. Część pałacu w którym mieszkali *dziewice królowe*, jak je powszechnie zwano, wygląda raczej na monaster, niżli na siedzibę Cesarów. Ubiór dziewczeczek prosty, ubogi, równie jak wszystko co je otacza. Druga część pałacu gdzie mieszka cesarz z ministrami, przedstawia się inaczej. Tu zgiełk i przepych dworu byzantyjskiego, tam cisza i modlitwa.

Wpływ siostry lubo niewidzialny, otacza jednak brata i przeciwstawia inne wpływy. Codzien o wschodzie słońca, Teodozjusz udaje się do jej komnat. Tu rodzina zebrana odmawia poranne modlitwy, śpiewa hymny i psalmy, czyta Pismo święte, i księgi Ojców kościoła.

Z jednego posiewu, jak świadczy historia, rozmaite zrodziły się owoce. Kiedy Pulcherya ukrzepiając się coraz to silniej w wierze, znajdowała w niej bezpiecznego przewodnika, wpośród intryg i matactw dworskich, Teodozjusz rósł w pychę, coraz to silniej wierzył w nieomylność własnego rozumu, przez co miał się stać później, straszny biczem kościoła. Zrazu jednak wpływ siostry działał w dodatni sposób tak dalece, że jeśli cesarstwo cieszyło się pomyślnością i pokojem przez lat dziesięć, zawdzięcza to jedynie Pulcheryi.

Nie tylko na tronie Cesarów widziało Byzancyum szereg niewiast wielkich i w dobrém i w złém; widywało je niemniej na katedrze. Zaszczytne godła najwyższych stopni naukowych, nie bywały dla nich czezą ozdobą. Pierwsi mężowie stanu przychodzili do nich po radę, w trudnych dla państwa okolicznościach.

W gronie professorów alexandryjskich, widzimy oto młodą dziewczę Hypatya. Jej pisma i wykłady słynne były na całym Wschodzie. Córka matematyka Theosa, przeszła własnego ojca. Oprócz nauk matematycznych umiała to wszystko, czego po gimnazyjach uczono grecką młodzież. „Hypatya—mówi Thierry—zostawiła za sobą wszystkich filozofów współczesnych. Mistrz jej Plotin, umierając zdał na nią kierownictwo szkoły platońskiej. Ze wszystkich stron państwa tłumy zbierały się na wykłady tej nadzwyczajnej kobiety zarówno pięknej jak uczonej, równie skromnej jak pięknej. Młodzież wielbiła ją i szanowała. Odziana płaszczem filozofa, oznaką swej godności, Hypatya nie byłaby go zamieniła na płaszcz purpurowy Cesarów, jak to uczyniła współczesna jej Athenais, małżonka Teodozjusza, brata i wychowawca Pulcheryi.“

Nad ową to cesarżową chcemy zatrzymać teraz uwagę czytelnika.

Teodozjusz zaczął rok dwudziesty. Siostra postanowiła ożenić go po myśli swojej. Pilnym okiem śledziła ona wszystkie młode dziewice jakie były w Konstantynopolu, czy to Rzymianki, czy córki barbarzyńców sprzymierzonych z Byzancyum. Przemyślała właśnie nad tém, kiedy dnia jednego stanęła przed nią młoda Atenka, błagając sprawiedliwości przeciw braciom, którzy wydarli jej ojcowiznę.

Tą dziewczycą była Athenais, córka Leontjusza, sławnego sofisty ateńskiego. Piękna, wymowna, pełna wdzięku, oczarowała odrazu Pulcheryą. Wychowana w wielkich dostatkach, nagle przyprowadzona do nędzy, obrazem swych krzywd i niedoli, silnie poruszyła jej serce.

Aby zrozumieć wychowanie i stanowisko przyszłej cesarżowej, zobaczymy czém byli sofisci ateńscy. Nie łatwo to bywało nawet z wysoką zdolnością, dostać się na katedrę, raczej jak mówiono, na tron sofisty, w uczonej mieście Atenach. Potrzeba odbyć nie jedną walkę i nie jedno odnieść zwycięztwo, aby zdobyć płaszcz, nadawany adeptom po twardych próbach, w moc uchwały potężnego grona sofistów; kto jednak przywdział raz ten płaszcz, jeśli jeszcze posiadał dar wymowy, miał drogę otwartą do niesłychanych bogactw: nie tylko własne miasto, lecz i obce grody Grecyi, rzucały mu złoto garściami, za mowy do senatu i do cesarza, podczas publicznych uroczystości. Bogactwa sofistów słyną w dziejach. Herod Atticus budował w mieście rodzinnym teatra i portyki marmurowe, których szczątki dotąd przetrwały. W grodzie Minerwy, sława i złoto szły w ślad za tytułem sofisty, lecz tytuł ten zdobywano po cierniach. Zastługa nie wystarczała tu wcale, potrzeba było kupować drogo popieczników i chwalców, a nawet przychylny głos w areopagu. Ztąd powstawały rozdwojenia w szkole i zapasy, które nie kończyły się na gołych słowach. Każdy kandydat miał stronników i nieprzyjaciół, a los kandydatury zależał od zwycięztwa, to jest polegał na sile pięści. Ostatnia próba najtwardsza wymagała niezwykłej mocy duszy, i wiernych, gotowych na wszystko przyjaciół.

Dziwny ceremoniał świadczy, jak wielkie panowało zbliżenie między powołaniem sofisty a Hierofanta misteryów. Sofista zaczętem otrzymał płaszcz, zmuszony był zanurzyć się w wodzie, aby pozostawić w niej starego człowieka. Przyjaciele z obowiązku torowali mu drogę do sadzawki, przeciwnicy zaś odpędzali go od niej z całą zajadłością. Z jednej strony wołano: „stój! stój! nie dojdiesz!“ z drugiej dodawano ducha okrzykiem: „naprzód! śmiało!“ dwa obozy przepychały się gwałtem; częstokroć przychodziło do bójki. Wreszcie przy pomocy stronników, aspirant rzucał się w wodę. Była to już próba ostatnia. Przyjaciele dobywali go, prowadzili do ciepłej komnaty, poczęm stawiony przed areopagiem, odierał upragniony płaszcz. Uroczysty pochód po mieście dopeł-

niał obrzędu. Rzecz cała kończyła się biesiadą i libacyami na cześć bogów.

Takimto sofistą był Leontyusz; zjednał on sobie wielkie imię: za sławą przyszło złoto. Leontyusz nabył szerokie ziemie, pobudował pyszne pałace, ozdobił je arcydziełami pędzla i dłuta; słowem należał do najbogatszych Ateńczyków. Troje miał dzieci: dwóch synów i córkę, piękną Athenais. Ta, szczególnym była przedmiotem miłości ojca. Uczył ją tego co sam umiał: retoryki, filozofii, matematyki, astrologii. Athenais prześcignęła w szkole wszystkich uczniów. Umiała wybornie zaimprovizować mowę; mogła nawet zastąpić ojca na katedrze; biegła w pisaniu wierszy, dorównała najcelniejszym poetom swego czasu. Jój rozum, jój talenta połączone z niepospolitą urodą, były w oczach ojca dostatecznym posagiem, zwłaszcza, że horoskop wywróżył jój królewską purpurę.

W tych złudzeniach umarł Leontyusz. Zostawił on synom ziemie, pałace, posagi, córce jedynie sto sztuk złota. Athenais uważała się za pokrzywdzoną; przedstawiła rzecz braciom. Obaj zasłaniali się testamentem: prawo było za nimi.

Sława Pulcheryi głośno brzmiała po świecie. Młoda Atenka umyśliła szukać jój rady i opieki, pospieszyła do Byzancyum. Spotkanie Pulcheryi z Athenaisą, dwóch wielkich kobiet swego czasu, zwróciło uwagę historyków; opisali je szczegółowo.

Dwudziesto dwu letnia, a poważna już Pulcherya, skłania pilnie ucho na skargę ateńskiej dziewicy; ściga badawczym wzrokiem każdy jój krok, każdą zmianę oblicza. Przyrzeka jój opiekę; wdaje się w uczoną rozprawę z córką sofisty; wypytuje ciekawie o stan nauk w Atenach.

— Czy jesteś zaślubioną? zagadnie ją nakoniec.

— Wolną jestem — odrzeczcie Athenais.

— Jesteś chrześcianką?

— Wyznaję religię ojca mego; składam hołdy bogom Helenów.

Im dłużej bada Pulcherya piękną Atenkę, tém silniejszy czuje ku niej pociąg; pragnęłaby nazwać ją siostrą, ale poganka może być żoną Teodozjusza? Pulcherya doradza jój chrzest; Athenais nie stawia oporu. Złamana trudność. Wówczas Atticus, patriarchy konstantynopolski, na żądanie Pulcheryi, oświeca w wierze neofitkę. Athenais obdarzona poetyczną wyobraźnią i gorącym uczuciem, pojmuje całą piękność wiary chrześcijańskiej. Pulcherya prowadzi ją do chrztu; daje jój imię Eudocyi. Odtąd Eudocya zowie ją matką.

Teodozjusz powolny radom siostry, poślubia ateńską dziewicę. Małżeństwo odbyło się w czerwcu r. 421; Konstantynopol nie pamiętał dotąd takich uroczystości.

Więść o związkach cesarza z córką sofisty ateńskiego, porusza gród Minerwy. Siedmiu towarzyszy Leontyusza, przybywa do Byzancyum, aby ujrzeć piękną Atenkę w purpurze i koronie Ce-

zarów. Odziani w płaszcze, godła dostojęstwa, tak drogo niegdys okupione, przebiegają miasto, otoczeni tłumem ciekawych. Lud widzi w nich, jakoby siedmiu mędrców starożytnej Grecyi, chwytając w przelocie słowa ich zaprawione solą atycką, powtarza je z poklaskiem; wiele z tych słów zachowała historia.

Radość powszechna panuje; nie dzielą jej tylko bracia Athenaisy: przerażeni, puciekali z Aten. Cesarzowa nie myśli przecież o zemście; chrześciana umie przebaczyć. Na rozkaz jej, stawiają przed tronem obaj synowie Leontyusza, drżący od trwogi i czołem ku ziemi pochylonem.

— Nie lękajcie się — rzecze siostra — przepominam urazy: pozostaniecie na dworze moim.

Pozostali; cesarz obysypał ich zaszczytami i dostojęstwem.

Wśród uroczystości weselnych, spadła na Byzancyum jak piorun, wieść o wojnie z Persami. Umarł król Jezdjerd, wierny sprzymierzeniec cesarzów wschodnich. Został po nim syn Bahram, wychowany pomiędzy Arabami. W ciekawy sposób król ten osiągnął władzę.

Po śmierci Jezdjerda, potężne stronnictwo w Persyi wyniosło na tron Chosroesa, podczas gdy prawy następca przebywał u króla Hirak, władcy licznych pokoleń arabskich, między Tygrysem a Eufratem.

Na wieść o buncie, Bahram wkacza do Persyi, z silnym zastępem Arabów. Chosroes z Persami groźnie zabiega drogę. Walka niechybna!

— Poco nam rozlewać krew naprózno — zawoła dzielny Bahram. Sprowadzić tu dwa głodne lwy, pod straż ich złożyć perską koronę; który z nas ją zdobędzie, ten pozostanie przy niej. Oba wojska przyklasnęły z zapalem. Przyszło do próby. W obec strasznych królów pustyni drży Chosroes. Bahram z zimną krwią i spokojną odwagą, występuje pierwszy do zapasu. Przy poklasku widzów, powala oba lwy, po ich trupach zdobywa koronę. Chosroes ze czcią upada przed nim na kolana. Odtąd pozostaje mu wiernym.

Tak to królowie owych czasów, osiągnęli korony!

Straszny pogromca lwów wypowiada wojnę Byzancyum.

Wychowanek Pulcheryi rzuca weselne gody, zegnając młodą małżonkę, pośpiesza co żywo do zapasu. Zwycięstwo zrazu przy Persach, obraca się w końców na stronę Teodozyusza.

W stolicy nowa radość, nowe gody. Młody cesarz w tryumfie wraca do Byzancyum. Tryumf jego, tryumfem chrześcianaństwa. Sofiści i retorowie wysławiają zwycięzcę; w gronie ich zastępuje do areny młoda Eudocya. Córka Leontyusza wspaniała odą składa hołd małżonkowi, i do korony swojej wplata świeżą gałązkę bluszczu.

Zachęcona tą próbą, Atenka powraca z zapalem do nauk, którym poświęciła pierwszą młodość. Występuje na polu poezyi,

a występuje tak świetnie, że w cztery wieki później krytycy uznają w niej pierwszego poetę owych czasów.

Focysz w *Bibliotece* swojej, obszernie mówi o poetycznych utworach Eudocyi. Wysławia szczególniej doskonałość jej wierszy, wytworny ich metr, w czém, jak utrzymuje, nikt jej nie przewyższył. „Na każdym utworze umiała ona wycisnąć własną pieczęć, po każdym z nich poznać autorkę, jak poznać matkę po rysach dzieci.“

„Pozostały ułomek poematu — mówi Thierry — świadczy, że Focysz miał słuszną. Styl w nim wytworny, wierszowanie łatwe, język nadzwyczaj czysty, jaki przystawał córce Aten Vgo wieku.“

Pierwszém jej dziełem były parafrazy z Pisma świętego. Focysz chwali ich piękność i prostotę. Pod jedną z nich był napis:

„Te wiersze osnute na Piśmie Świętém, ułożone przezemnie Eudocję cesarżową, ze świetnego rodu Leontyusza.“

Jakże wymownie te słowa poświadczają wielkie znaczenie sofistów ateńskich.

Ze wszystkich dzieł Eudocyi, Focysz najwyżej ceni i najobszerniej rozбира wielki poemat w trzech częściach o Świętym Cypryanie i Stym Justynie, umęczonych razem w Nikomedyi za czasów Dyoklecjana.

Legenda o tych świętych popularną była na Wschodzie, zkąd przeszła niebawem i na Zachód. Tajemnica jej nadzwyczajnej popularności leżała w tém, że przedstawiała Sgo Cypryana jako czarnoksiężnika, rozkazującego milicyom piekielnym. Żywot jego, pełen cudownych przygód, zajmował w szczególny sposób ówczesnych Rzymian, oddanych badaniom *demonologii*, o czém świadczy ich literatura. Taki przedmiot porwał wyobraźnię poetki. Ujęła ona w jedną ramę: cudowność, miłość, religijne uczucia, a do tego jeszcze, wspomnienia starożytnych bogów Olympu, którym sama składała nieraz hołdy.

Długo poemat znany był tylko z rozbioru Focyszusa. Przed stu laty dopiero wynaleziono we Florencyi w Bibliotece Medyceuszów, dwa długie fragmenta owego poematu, włączone w manuskrypt obejmujący poezję Sgo Grzegorza Nanzyańskiego. Dziś krytyka poznała i dokładnie oceniła znakomity utwór Eudocyi.

Bohaterką poematu jest święta Justyna. Poetka odmalowała młodą dziewicę chrześcijańską, walczącą przeciw wszystkim potworom piekieł, sprzyśżonym na jej zagubę. Dziewica silna wiarą i niewinnością, zwycięża w własnym sercu miłość do czarnoksiężnika, zakochanego w niej pogańskim szaleńcem. Cypryan porwany siłą jej ducha, nawraca się i z nią razem odbiera męczennicką palmę. W legendzie główną osobą jest Cypryan; w pomysle Eudocyi, Justyna jest duszą poematu. Wpływ niewiasty oddany z pełną siłą. Poemat to chrześcijański w całym znaczeniu słowa,

pierwszy jaki istnieje. Wprowadzony tu w grę dramatyczną antagonizm dobrego i złego, tak w sercu człowieka, jak i w przyrodzie całej. Wszystkie bożyszcza tartaru występują razem do walki. „Częstokroć— mówi Thierry— zdaje nam się, że czytamy Milтона albo Tassa; w wielu ustępach autorka dosięgła tych wyżyn ideału, do jakich wzbił się twórca *Raju zatraconego*. Słowem, czyto pod względem sztuki Vgo wieku ery chrześcijańskiej, czy też pod względem historycznym, poemat ten odkrywa nam nieznaną dotąd stronę.“

Tak to wysoko znakomity badacz i historyzof podnosi utwór Eudocyi. Zachwycony jego pięknnością, Thierry wziął sobie za cel zebrać rozrzucone ułamki, dopełnić je rozbiorem Focyusza i ukazać w pełnym świetle, poemat ateńskiej dziewicy, cesarzowej rzymskiej Vgo wieku, a zarazem dowieść, że współcześni słusznie ogłosili ją wielkim poetą. W ślad za uczonym przewodnikiem, ukazemy w treści ten utwór.

Poemat dzieli się na trzy księgi; każda z nich odrębna. Pierwsza opiewa miłość i nawrócenie Cypryana, druga, przygody jego życia wypowiedane przezeń w obec wiernych; trzecia, śmierć jego męczeńską, obok tej, którą kochał.

W pierwszej księdze widzimy się pod dachem Justyny. Mięszka ona przy rodzicach, pogrążonych jeszcze w bałwochwalstwie. Ojciec jej Eulyzyusz jest kapłanem Jowisza. Starzy rodzice dziwią się nadzwyczajnej zmianie, jaką dostrzegają w charakterze córki. Justyna bez ich wiedzy została chrześcianką. Uderzona pięknnością Ewangielii przyjęła chrzest; żyje odtąd jak pokutnica, ucieka od ułud światowych, odtrąca zabiegi młodzieży, ubiegającej się o jej rękę.

Upór ten dręczy rodziców, ale nadprzyrodzone widzenie przywraca im spokójność. Anioł pociąga ich do wiary Chrystusowej. Eulyzyusz obcina długie włosy i bujną brodę, znak kapłańskiej godności, przyjmuje chrzest wraz z żoną.

Justyna cudnie piękna pociąga oczy i serca wszystkich. Rój młodzieży ubiega się o nią z zapalem. Uczeń jeden imieniem Aglaid, postanawia porwać cudną dziewicę w chwili, gdy idzie do kościoła. Zmawia się z towarzyszymi; już ją pochwycił, lecz Justyna odtrąca go z siłą. Młodzian pada na schody przybytku, lud patrzy nań i szydzi. Rozgniewany Aglaid poprzysięga zemstę. Był naówczas w Antyochii zawołany czarnoksiężnik, któremu demony służyły niewolniczo. Młodzian idzie do niego, opowiada mu swą boleść, przyrzeka mu dwa *talenta złote* i dwa *z jasnego srebra*, jeżeli czarami sprowadzi tę, bez której żyć mu niepodobna. Cypryan ma złota podostatkiem, nie potrzebuje darów, uzalił się przeciw losu Aglaid, obiecuje mu służyć.

Demon wyprawiony na zwiady wchodzi do komnatki dziewiczej, zastaje Justynę na modlitwie, widzi jak kręśli znak krzyża. Ucieka przerażony tym widokiem.

— Precz mi z oczu tchórzez niktzemny! — zawoła czarnoksiężnik — gdy demon stanął nieśmiało w progu. Wyprawia drugiego, lecz i ten powraca jak pierwszy. Justyna w modlitwie i uświęceniu serca, ma oręż przeciwko pokusom. Zdumiony czarodziej pragnie poznać tę szczególną dziewczynę tak piękną, co odtrąca hołdy ludzi, a sztydzi sobie ze złych duchów. Widzi ją... uderzon cudownym jej wdziękiem, czuje szaloną miłość. Otdąd Cypryan występuje na scenę, i już z niej nie schodzi do końca.

Odrzucony jak drudzy, podniecony samymże oporem, żyje tylko myślą o Justynie. Ta, którą chciał zdobyć dla drugiego, staje się celem gorących jego pragnień. Przywołuje z głębi Erebu jednego z potężniejszych demonów, wymawia straszne słowo zaklęcia. Na to słowo pojawia się duch ciemności pyszny, zachwały, okropny. Obraz jego przejmuje grozą.

— Czego żadasz? — zapyta.

— Kocham — odrzeczcie Cypryan — kocham córę Galilejczyków, muszę ją mieć! czy słyszysz?

— Będiesz ją miał.

— Dobrze, — zawoła czarnoksiężnik. Mówże kto jesteś, jakie twe dzieła, niech wiem, czy mogę zaufać twemu słowu.

— Słuchaj i sądz — odrzeczcie Demon. Jam należał do pierwszego legionu anielskich zastępów, lecz opuściłem Pana, który dzierży w mocy siedm koł promienistych; wystąpiłem do walki przeciw niemu. Oto długi szereg czynów moich. Jam to podkopał fundamenta niebios, i przez szczelinę wykuta spuściłem na ziemię chmary braci. Jamto zwiódł Ewę, matkę rodu ludzkiego, przezemnie Adam wygnan z rozkosznego Edenu. Kiedy Kain zabił brata Abła, jam kierował ręką bratobójcy. Dzięki mi niebia stała się bezpłodną, i pod brzemieniem klątwy, jeła wydawała tylko jałowe, cierniste i skażone owoce. Ja w nienawiści ku Bogu, rzucałem Mu przed oczy grad ohydnych zbrodni i przestępstw. Ja plugawiłem stała małżeńskie, ja wiodłem świezo stworzonych ludzi, do bezrozumnej czci bałwanów; na mój poszept wyprawiali szalone libacy na cześć złotego cielca. Ja podzegałem ich do zbrodni, kiedy słowo wcielone, syn Ojca Przedwiecznego, zstąpił na świat by odkupić ludzkość przezemnie zatraconą. Jamto popchnął do mordu bogobójców, za sprawą moją przybili Go do krzyża!

Czarnoksiężnik poznał z kim ma sprawę.

— Dobrze! — zawoła, — weź tę garść trawy, weź tę wodę, rozlej ją u wezłowia Justyny. Ja pójdę w trop za tobą.

Posłuszny demon wchodzi do komnatki dziewczęcej. Była godzina trzecia. Justyna budzi się, poznaje ducha złego, po brwiach osmalonych piorunem. Przerażona, drżąca, przyzywa Chrystusa na pomoc, szuka pod krzyżem opieki i ratunku.

Po tej scenie pełnej poczty, demon wraca do czarodzieja. Cypryan sztydzi z niego, odpędza go z pogardą i powtarza stra-

szniejsze jeszcze zaklęcie, którego wyuczył się w Tessalii, wywołuje ducha potężniejszego jeszcze w hierarchii piekielnej. I ten wyprawion do dziewicy, powraca także z niczem.

— Jakto? i ty zaдрżałeś przed nią? — zawoła czarnoksiężnik. Jest w tém jakaś moc niepojęta. Odkryj mi ją natychmiast.

— Przysięgnij mi— rzecze demon,— że nigdy mnie już nie opuścisz, a opowiem ci wszystko.

— Przysięgam — rzecze Cypryan.

— Słuchaj więc: oto na czole tój dziewczyny widziałem Ukrzyżowanego, widziałem Go na własne oczy. Nie mogłem znieść tego widoku.

— Jakto!— zawoła Cypryan — a więc Chrystus potężniejszy od ciebie?

— Tak, niestety! — odpowie demon. Nasze podstępny ludzą śmiertelnych, ale w pośród tryumfów złego, hak szpizowy utkwion w pierś naszą, wlecze nas mimowoli i ludzi i demonów, przed sąd Ukrzyżowanego Chrystusa.

Czarnoksiężnik zna jeszcze jedno słowo: wyrzekł je uroczyscie. Na to słowo występuje sam szatan, prowadzi z sobą cały zastęp duchów nieczystych. Biała dziewczynie! szatan zastawia sidła na jój serce, na zmysły, na wyobraźnię.

Cypryan ma lat trzydzieści; postać jego nadzwyczaj urodziwa: kruczy włos zwity w pierścienie, spływa mu na ramiona i czoło; przywdziewa pyszną tunikę bramowaną złotem. Justyna widzi go; serce jój mięsza się i trwoży, powstaje w tém sercu gwałtowna walka między powinnością a rodzącem się uczuciem. Straszna walka trwa dni siedm dziesiąt.

Siły dziewczyny wyczerpane; śmierć wyciska piętno na jój obliczu. Rodzice i przyjaciele stoją u łoża konającej, oblewają łzami jój wezgłowie. Przychodzi lekarz.

— Ona umrze! — mówi stanowczym głosem.

— Nie! ja nie umrę! — zawoła dziewczica — lecz nauka twoja nie zmoże méj choroby!

Dzielną woli potęgą, dźwiga się jednak z pościeli śmiertelnej. Siły jój zwolna powracają, rumieniec słabo odkwita na licu.

Wie Cypryan, że nie złamie oporu dziewczyny, kocha ją gorąco, lecz pragnie i musi pokonać tę pożerającą go miłość. Wyczerpany z sił przywołuje znou szatana.

— Ja umieram — rzecze — zgaś we mnie ten straszliwy pożar!

— Nie mogę — odrzeczce duch piekielny. My potężni w złém, ale dobro nie w mocy naszój!

Wówczasto pomiędzy czarnoksiężnikiem a królem piekieł następuje straszna, olbrzymia walka. Czarnoksiężnik ciska mu w oczy klątwy i zniewagi, wyrzuca mu nizeziemną podłość.

— Ty nie możesz! — zawoła — a występujesz do walki przeciw Bogu! A więc ja przywołam Boga Justyny... pójdę do niéj,

ucaluję bruk zdeptany czystą jej stopą. Błagać ją będę na kolanach, ona mnie nauczy znaku krzyża!

Szatan doprowadzon do wściekłości, rzuca się na czarodzieja, pochwyca go za gardło, wpija w nie pazury, chce go zdusić. Szamocze się z potworem.

— Ratunku! pomocy! — woła rozpaczliwie — ocal mnie o Boże Justyny!

Szatan rozśmiał się okropnym piekielnym śmiechem.

— Darmo — rzecze — wołasz nikczemniku! On nie dla ciebie nie uczyni. Chrystus potrzebuje ludzi niewiunych, On nie przebacza takim jak ty zbrodniarzom! On cię odtrąci, a wtedy ja pochwycę cię w szpony; będziesz zdobyczą moją!

Szatan znika. Cypryan pozostaje sam z własną myślą i gorzkim wyrzutem. Przebiega pamięcią tysiące zbrodni, czuje się niegodnym przebaczenia. Słowa szatana ciężą na jego duszę. Ogarnia go szal... postanawia zamorzyć się głodem. Już życie jego na włosku, kiedy nagle wchodzi przyjaciel świeżo nawrócony na wiarę Chrystusową, ukazuje mu Boga miłosierdzia i łaski, zmusza go do pokarmu, prowadzi przed biskupa.

Wię biskup o strasznych jego zbrodniach; lęka się by stopa tego człowieka, nie zbrudziła świętego przybytku. Odrąca go za próg z pogardą; Cypryan odchodzi ukorzony i powraca niebawem, przynosi czarnoksiężnicze księgi, rozpala stos u progów kościoła, rzuca w płomień zapisane przez siebie foliały. Złagodzony pasterz przyjmuje go między katechumenów. Wówczas Cypryan głęboko ukorzony w duchu, jawną odbywa spowiedź.

Tak się kończy księga pierwsza. Druga najciekawsza ze wszystkich.

Na wieść o spowiedzi powszechniej tak wielkiego grzesznika lud chrześcijański przebiega tłumami. Cypryan opowiada przygody własne jak Ulyses w domu Alcynousza, jak Eneasza przed królową Kartagi. Obraz to życia jego, od kolébki do chwili nawrócenia, jakoby podróz po zaklętym świecie czarodziejstw. Poetka przebiega wszystkie znane podówczas kraje, zapuszcza się głęboko w tajemnice magii, panujące przeważnie nad umysłami w IV i V wieku. Ta właśnie okoliczność nadawała wielkie znaczenie legendzie, onato spopularyzowała poemat Eudocyi.

Cypryan zrodzony w politeizmie, niemowlęciem jeszcze poświęcony został słońcu, podczas misteryów na cześć węża Pythona. W siódmym roku, pod wezwaniem Mythy odebrał nową inicjację: skąpano go we krwi ofiarnego wołu, stoczony na ołtarzu Cybelli. Tak przygotowanego, ojciec wyprowadza na daleką wędrówkę, pragnie aby syn poznał święte rytuały wszystkich krajów, aby poznał wszelkie istoty, jakie żyją w ziemi, w powietrzu, w głębokościach morza. Wiedzie go nasamprzód do Aten, wpisuje tam jako obywatela, otwiera mu przystęp do Eleuzyjskich misteryów; przyjęty w dwunastym roku niesie mistyczną pochodnię przy obrzędach Cerery, i jak mówi poeta, łączy jęki swoje z jękami

matki, goniącej za porwaną do piekieł Prozerpią. Wtajemnicza się potém w misterye Minerwy, obchodzone w Akropolis. Cypryan strzeże progów w przybytku opiekuńczej bogini Aten; ztąd ojciec wyprawia go do Tessalii.

Tessalia była uprzywilejowaną ziemią czarodziejskich ziół i czarodziejów. Na szczycie Olimpu zasiadało siedmiu kapłanów najwyżej czczonych w całej Grecyi. Cypryan powierzony im, dowiaduje się jak z Olympu, z tój ostoi bogów i bogiń, schodzą na świat godziwy, i urządzają czas dla śmiertelników. Widzi je młodzian, mówi z niemi, ściga wzrokiem ich obieg po jednem wiecznie odradzającym się kole, zna ich kształty, ich przywileje. Wié jaki demon przewodniczy każdemu drgnięciu wielkiej maszyny świata. Patrzy w oczy bogom i boginiom; słyszy ich obrady i pieśni, widzi ich rycerskie zapasy i podstepy, wié jaką siłę rozsiewają na świat czarodziejstwa i postrach.

Cypryan zdobył wszystko cokolwiek mądrość ludzka dać może. Świat zmysłowy stoi dlań otworem, niby olbrzymia księga. Rozumie on tajemnicze głosy ziemi i straszniejsze głosy piorunów, zna ukryte własności drzew i roślin, tych zwłaszcza, które mącą rozum człowieka, niweczą w uim wolę i pobudzają go do walki przeciw Bogu. Na Olympie przebywał dni czterdzieści, jadał tylko owoce i korzonki, i to gdy słońce zaszło.

Z Tessalii pośpiesza do Peloponezu, tój kolébki pierwotnych plemion greckich, ogniska odwiecznych tradycyj. Tu nad każdym miastem, osobne czuwa bóstwo: Junona strzeże Argos, Dyana, Lacedemonu. Do każdej czci przywiązany właściwy obrzęd, inicjowani przechodzą straszne próby. Przybywa Cypryan do Argos, podczas świąt Aurory, daje się poznać, wstępuje do grona kapłanów. Misterya Junony tłumaczą mu małżeństwo powietrza z eterem; związek trzech żywiołów: wody, ognia i ziemi, w utworzeniu jedności świata. Lacedemońska Artemiza naucza go jakim sposobem świat wy dobył się z chaosu.

W Frygii na nowe patrzy dziwy. Uczy się czytać w drgających trzewiach zwierząt, dowiaduje się jak ludy Scytyjskie zgadywały przyszłość z lotu ptaków, z ich śpiewu, ze rżenia koni, z trzasku opok i pni dębowych. Słyszy głosy umarłych wychodzące z pod mogił, widzi przyczyny chorób, bądź przyrodzone, bądź zadawane sztuką. Poznaje wszystkie szeregi demonów, dręczących ludzkość, a zarazem poznaje zaklęte słowa, które ujarzmiają tych synów piekieł.

W dwudziestym roku życia zwiedza Egipt, wstępuje w progi wielkiego Sanctuarium w Memfis. Włos mu powstaje na widok ohydnych potworów. W oczach jego odbywają się transmigracye dusz w nowe ciała za sprawą sił piekielnych. Spogląda w paszczę otchłani pełnej smoków, kędy się rodzą namiętności i wszelkie zbrodnie ziemi. Widzi z kąd powstają te straszne widma co przerażają ludzkość, a są znikomą tylko złudą, bo demony nie tworzą nic, małpują tylko kształty stworzone słowem Bożem. Ztąd

wszystkie obrazy, wszystkie skarby jakie nam ukazują, to kłamstwo, to dym, to czcza mara!

Z Egiptu Cyprian pośpiesza do Indyi. Tam widzi rzeczy straszne, ale poemat nie wdaje się w szczegóły, znać Indye niezna-
ne były ówczesnyu Grekom.

Obszernie zato czarnoksiężnik mówi o Chaldei. Wróżbiści Suzy i Babilonu dają mu poznać obroty gwiazd i wpływ ich na losy człowieka. Widzi tam trzystu sześćdziesięciu pięciu demonów, z których jeden w każdy dzień roku, trzyma straż piekielną nad światem. Wtajemniczony w ich obrady Cyprian wie jakim zakląć ich słowem, wie jak zapanować nad nimi. Poznał on wszystkie czarne milicje Erebu, sam tylko ich król, Wielki szatan długo pozostał dlań ukryty. W końcu jednak siłą bezecnych ofiar przymusił wodza potępieńców, że i on ukazał mu oblicze. Aby osiągnąć cel upragniony, poświęcił mu krew wszelkich istot stworzonych, jakie istnieją na ziemi, w wodzie i powietrzu.

„Tak jest—woła Cyprian—przygnębiony ogromem własnych zbrodni, widziałem wielkiego demona, patrzałem mu w oczy, mówiłem z nim, ścisnąłem go w objęciach. Pochwalił moje czyny, nazwał mię szlachetnym młodzieńcem, najmiłszym z kapłanów swoich. Posadził mię na własnym tronie, powierzył mi władztwo nad ziemią i nad zastępami czarnych duchów. Czern piekielną zgięła przedemną czoło, zaprzysięgła mi wierność!”

Obraz wielkiego demona, Balaala czy Satana, przybiera w poemacie Eudocyi kolosalne rozmiary, godne Miltonowskiego Raju.

„Oblicze jego—mówi—jaśniało jak kwiat złoty. Z oczu mu wytryskały promienie! Na głowie wśród pierścieni kucznych włosów, przyświecała korona zdobna w dyamenty i perły. Pyszny płaszcz ze złota i purpury pokrywał go od głowy do stóp; ilekroć poruszył się, drżały posady ziemi. Orszak rycerzy uzbrojonych w oszczepy i włócznie, otaczał podnoże jego tronu. Oświecał pałac blaskiem własnego łona, jak oni bogowie Olimpu, co w orszaku gwiazd unosząc się nad ziemią, zlewają na nią dary!”

Za powrotem do Antyochii Cyprian okazuje się godzien wielkiego dostojenstwa, które mu piekło powierzyło. Wytacza krew ludzką potokami, popełnia wszelkie zbrodnie, rozsiewa dokoła straszny bezład.

Wyznaje nakoniec szaloną miłość do Justyny; walkę jej z demonami. Opowiada jak poznał prawdę. Oto treść księgi drugiej.

Trzecia prowadzi nas znowu do domu Justyny. Słodka dziewczica opanowała miłość w sercu własnym, lecz nie wyrwała jej z głębi serca. Uwiadomiona o nawróceniu wielkiego grzesznika, dziękuje Bogu gorącą modlitwą, ale zamierza postawić wieczną zaporę między sobą a światem. Obecna wiosy i między płonącymi dwiema pochodniami, ofiaruje się Chrystusowi jako oblubień-

cowi swemu. Dom przemienia w kaplicę, wszystko co ma oddaje ubogim: poświęca się służbie kościoła.

Justyna jest wzorem pobożności i cnoty, Cypryan wzorem pokory i świętobliwości. Odtąd zjednał on więcej serc niebu, niżeli ich kiedyś odciągnął na bezdroża. Antyochia w jego ręce składa pasterskie rzędy.

Następują okropne czasy prześladowania. Dyoklecjan panuje w Nikomedyi, Maksymin Herkules w Medyolanie. Zbiry porywają chrześcian, wloką ich na sąd. Cypryan i Justyna stawieni przed prefektem Tyru niechęcią palić kadzidła na ołtarzach pogańskich bożyszcz. Odcięto im głowy, ciała ich rzucono na pożarcie psom i krukom.

Był naówczas w Nikomedyi okręt z Rzymu, przyprowadzony przez marynarzy chrześcian. Ci podjęli ciała męczenników, ukryli je na dnie okrętu. Kiedy za powrotem dopływali brzegów Tybrowych, spotkali w przystani poważną matronę rzymską która na nich czekała. Ostrzeżona we śnie, że tej nocy przyplynie dla niej wielki skarb, podjęła ze czcią zwłoki świętych, sprowadziła je do własnego domu, w pobliżu Forum Klaudyusza. Tam zbudowała kaplicę ku czci ŚŚ. Cypryana i Justyny.

Taki to poemat znany ledwie dotąd małej liczbie erudyków, wydobył Amadeusz Thierry z zapomnienia, i przedstawił w sposób dostępny dla ogółu. Nie mała to zasługa!

Któż w tym Cypryanie, w tym pogromcy potęg piekielnych nie poznaje prototypu tylu sławnych postaci, stworzonych geniuszem ludu, lub geniuszem wielkich wieszczów, owych Faustów, Twardowskich, Manfredów, Robertów, Konradów, którzy pod białymi skrzydłami jakiejś Alicyi, Margarety, albo Ewy, zbawieni czystą łzą i modlitwą pokonali piekło, i wyczytali promieniste zgłoski nad przepaścią, co pochłonąć ich miała: *Galilee vicisti!*

Uważamy za obowiązek zwrócić uwagę czytelników naszych, na współczesną literaturę hiszpańską. Przed dziesięć lat, Gazeta Warszawska założyła się wielce rozpowszechniając bogactwo tej literatury w znakomitych sprawozdaniach o niej p. L. R. Później *Kronika Rodzinna*, prawdziwą też oddała usługę drukując dwie piękne powieści: *Szymona Werde* i *Klemencyę*, wraz z ogólnym ocenieniem prac sławnej autorki, ukrytej pod pseudonimem *Fernan Caballero*. Biblioteka dała nam poznać *Rodzinę Alvaeda* tejże autorki; Kłosa obzajmiły nas z powieściami Antoniego Trueby; p. K. Estrejcher autor wielu artykułów dotyczących Hiszpanii, w Encyklopedyi powszechnej, przekładem dramatu: *Kochankowie z Terruel*, upowszechnił u nas zasłużone imię Harzenbusza. Pomijamy inne jeszcze przekłady i sprawozdania zapirenejskiej literatury. Ten ruch zaprzecza wyraźnie ogólnemu dziś uprzedzeniu, które i u nas znalazło oddźwięk, jakoby naród hiszpański przeżył się i zamarł bezpowrotnie.

Do sprostowania tego, tak niewczesnego sądu opinii publicznej, przyczynia się niemało wydawca Baudry, założyciel księgarni europejskiej w Paryżu. Rozpoczął on od lat kilku ważną publikację pod tytułem: *Collecion de los majores autores Espannoles antiguos y modernos*. W tej to publikacji spotykamy mnóstwo nowych prac świadczących wymownie, że potomkowie Cerwanteza i Lope de Vegi, żyją po dziś dzień wielkiem życiem, że zbierając plony z posiewu wieków, sami też wytrwale a mądrze uprawiają rolę ojezystą i pełną garścią rzucają w nią bogate ziarna dla przyszłości.

Do tych zasłużonych pracowników należy poeta Don Luiz de Eguilas. Wielka to postać w dzisiejszej literaturze hiszpańskiej. Dramata jego i komedye w liczbie szesnastu wyszły niedawno u Baudrego.

Nim przystąpimy do ocenienia tych prac, powiemy kilka słów o autorze.

Luiz Eguilas urodzony w 1830 roku w Andaluzji, od dziecka sierota po ojcu, wychowywał się przy dobrej i ukształconej matce. Delikatny i słabowity, do jedenastego roku życia wcale się nie uczył. Matka chcąc wynagrodzić to mimowolne zaniedbanie, czytywała mu na głos książki, a między niemi *Don Quichota*, co tak rozwinęło młody umysł, że kiedy zdrowie chłopcu ustaliło się, oddany do szkoły w mgnieniu oka wyprzedził rówieśników.

W roku 1844 teatr w Xeres zapowiedział nową sztukę jednoaktową wierszem bezimiennego autora: *Za pieniądze tańcujące psa*, taki był tytuł sztuczki. Publiczność przyjęła ją z oklaskiem. Autor silnie wywoływany długo się nie ukazywał; zmuszony, wystąpił nareszcie. Jakież było zdziwienie powszechne na widok czternastoletniego chłopczyka wątlęj postawy. Był to Luiz Eguilas.

Poklaski nie wzbiły chłopca w zarozumienie, ani go odwiodły od nauk. Uczył się tém pilniej, że wypadek nieszczęśliwy pozbawił nagle matkę całego mienia. Luiz postanowił własną pracą starczyć na potrzeby domu i na wychowanie młodszych braci. Skoro też skończył szkoły w Xeres, pożegnał matkę i pośpieszył do Madrytu na uniwersytet.

Obok nauki prawa, której się poświęcał w szczególny sposób, przepędzał długie godziny w narodowej bibliotece madryckiej. Tam poznał wielkich pisarzy i poetów, którzy od Cerwantesa do Kalderona takim blaskiem przyświecają w literaturze hiszpańskiej; dramat głównym był przedmiotem jego badań. Autor *tańcującego za pieniądze psa*, miałże poprzestać na wczesnym tryumfie, a nie zdobyć nowych, więcej zasłużonych wawrzynów? Eguilas pragnął ich gorąco, pracował na nie ile sił; ale zawód szedł za nim trop w trop, jak zwykł iść za każdym młodym autorem. I któryżto pracownik nie przebiegał w pocie czoła lodów obojętności? i któryż nie przedzierał się gwałtem przez głogi i cierniska, nim w końcu wyrobił sobie imię?

Eguilas nie upadł w walce, trudności podniecały w nim zapał. Raz po raz zanosił on nowe komedye i dramata do dyrekcji teatrów madryckich. Dyrekcya rzucała je w kąć i częstokroć nieczytane oddawała poecie. Były to jednak drogie perły w porównaniu do mnóstwa tłumaczonych fars, które mi zasypyany był repertoar.

Na polu powieścio-pisarstwa nie wiele szczęśliwszym był Eguilas. Wydawcy z pogardą odrzucali jego utwory; acz pełne werwy i talentu. Autor nie miał imienia! Otrzymał nareszcie tysiiąc realów za powieść historyczną p. t. *Szada Sgo Ferdynanda*. Z radością i dumą posłał matce pierwszy zasitek, jako wróżbę na przyszłość.

Wróżba miała się rychło sprawdzić, wypadek posłużył poecie i wydobył go z cienia. W roku 1852 słynna autorka znana pod imieniem *Fernan Caballero* wydała znakomitą powieść p. t. *Klemencya*. Krytyka nie oceniła zrazu tej pracy według jej wartości rzeczywistej, a to z powodu że najpierwszy z krytyków hiszpańskich Eugeniusz Ochoa któremu autorka poświęciła ją w hołdzie, nie mógł wystąpić z zasłużoną jej pochwałą. Eguilas oburzony tem milczeniem napisał obszerny rozbiór Klemencyi i posłał go do redakcji dziennika *la Espanna*. Wydrukowano rozbiór, o jego wartości krytycznej już to samo świadczy dostatecznie, że wydawca dzieł Fernana Caballero pomieścił go na czele Klemencyi, przy jej powtórnym wydaniu.

Okoliczność ta dała poznać młodego poetę Eugeniuszowi Ochoe. Ten znakomity krytyk powagą swoją utorował mu drogę do teatru.

W kilka miesięcy potem r. 1853 przedstawiono w teatrze *Variedades* trzyaktową komedję *Verdades Amargas* (Gorzkie prawdy). Był to dla Eguilasa dzień prawdziwego zwycięstwa. Oklaski przerywały grę aktorom: zapał powszechny dochodził aż do szału.

Pierwszy to był lecz nie ostatni tryumf. Odtąd Eguilas utworzył mnóstwo komedyj i dramatów, odgrywanych z równym powodzeniem na dwóch półkulach świata.

Oddany wyłącznie literaturze, nie szuka autor żadnych dostojenstw ani zaszczytów, którebygo odrywać mogły od ulubionej pracy. Wybrany na członka Izby Kortezów, podziękował ziomkom za położone w nim zaufanie, lecz uchylił się od uciążliwych obowiązków, mieniąc się *synem literatury*.

Syn literatury nie przepomniął i o pierwszej matce która tak troskliwie pielęgnowała go w latach nieudolnego dzieciństwa. Obsypał ją dostatkami, otoczył miłością i opieką.

Nowy tryumf w r. 1861 przekonał poetę o ile imię jego drogim jest dla rodaków. Po raz siedemdziesiąty przedstawiono w teatrze *Veriedades* komedję: *La cruz del matrimonio*, krzyż małżeński. Publiczność grzmotem oklasków wywołała poetę, zasypa-

ła go wieńcami. Do jednego wieńca przytwierdzony był złoty medal z napisem:

Przyjmij ten ubogi dar,
Który z głębi serca śle,
W żywy dowód uwielbienia
Za twój krzyż małżeński (1).

Pod wierszem nakreślone było imię Hartzenbuscha autora pięknego dramatu: *Kochankowie z Terruel*.

Przegląd utworów dramatycznych Eguilasa, poczynamy dziś od dramatu historycznego wierszem: *la Llavé de oro*. Złoty klucz.

Książę Oliwarez główna osoba dramatu, pierwszym jest ministrem i ulubieńcem Filipa IV. Król w tajemnej wycieczce, napadnięty przez brata tej, którą obrał sobie za cel chwilowych miłośnek, odebrał ciężką ranę. Towarzyszyło królowi w tej wyprawie dwóch grandów: Konetabl i książę Oliwarez. Konetabl ujął napastnika, Oliwarez zachował się biernie. Odtąd król okazuje szczególne względy Konetablowi, drży Oliwarez: stanowisko jego podkopane. Nie w jego mocy usunąć z drogi potężnego współzawodnika, potrzeba uczynić go sprzymierzeńcem: małżeństwo tylko mogłoby połączyć dwa domy.

Konetabl ma piękną córkę Joannę, książę Oliwarez ma pobocznego syna Juliana, którym się z daleka opiekuje. Przyznając syna i żeniąc go z Joanną, mógłby się połączyć z Konetabblem w najściślejszy sposób. Ale jak przyjsć do tego? Julian żonaty, od dziesięciu lat żyje szczęśliwie z zadaną żoną Leonorą. Jak tu doprowadzić do rozwodu stałło zgodne, kochające się wzajem? Książę Oliwarez biegły szermierz na polu intryg dworskich, obmyślił już plan, ale przed rozpoczęciem kampanii, wzywa do rady zausznika swego Antoniego Hil. Jestto intrygant, cynik bez skrupułu. Zna najgłębsze tajniki serc ludzkich, umie zręcznie wprowadzić w grę namiętności, i łowić ryby w mętnej wodzie. Pieniądz u niego wszystkiem, za złoto sprzedał sumienie i cześć własną. Ma w ręku, jak mówi, *złoty klucz*; tym kluczem otwiera wszystkie wrota.

Antoni Hil zaręcza księciu, że najtwardsze zapory wnet ustąpią, jeśli tylko hojnie posypie złotem. Poznał on słabą stronę Juliana, nie omieszka z niej korzystać. Tą słabą stroną, niepohamowana ambicya i chciwość zaszczytów.

(1)

Recibe este pobre don
Que de tode corazon
Te euvio, en fiel testimonio
De aplauzon y admiracion
Por tu Cruz del matrimonio.

Za radą Antoniego, książę Oliwarez oznajmia Julianowi że jest jego ojcem, daje mu nazwisko Guzman. Julian dotąd prosty kapitan, bez znaczenia i przyszłości, odchodzi prawie od zmysłów na wieść że jest synem potężnego ministra, który rządzi królem i trzęsie Hiszpanią, że będzie miał herby, godności, pałace i dworskie zaszczyty. Upojony radością nie domyśla się nawet jaką ofiarą będzie zmuszon okupić to świetne stanowisko.

Co do Leonory, Antoni przekonany że złotym kluczem otwory sobie drogę, i przełamie wszelką trudność z jej strony. Kobieta skromna, prosta, wychowana w zaciszu domowym, ułęknie się zapewne blasku wielkiego świata i nad cały urok dworski przełoży spokojne życie w dostatkach. Leonora w inniemanu jego przystanie dobrowolnie na rozwód, i usunie się z małą córeczką do przeszliznej willi nad brzegiem Gwadalquiviru.

Książę Oliwarez przybywa do domu synowej w towarzystwie nieodstępного zauszніка. Oznajmia jej ród Juliana, jego położenie u dworu, jego przyszłość. Leonora nie olśniona bynajmniej zmianą losu, przyjmuje wieść tę ze spokojną godnością. Antoni z wolna przystępuje do rzeczy: kreśli obraz dworu i smutnych jego ponęt. Prostomyślna kobieta nie zgaduje nawet o co idzie.

— Skończmy! — rzecze zniecierpliwiony książę.

Tu Antoni wypowiada rzecz jasno, w stanowczy sposób. Kiedy Julian pojął ją w małżeństwo, nie był wówczas tém czém jest. Odtąd podniósł się tak wysoko, że rozwód stał się koniecznym.

Słyszcy to Leonora. Cicha, pokorna, przemienia się nagle w dumną, śmiałą, nieugiętą.

LEONORA (*żywo*).

Co to znaczy?

ANTONI.

Jemu żony
Trzeba szukać w własnej sferze.

LEONORA (*do księcia*).

Powtórz panie! on szalony!

KSIĄŻE (*zimno*).

Dobrze mówi.

LEONORA.

Ja nie wierzę!
To czcza złuda... nadaremno
Czuję w sercu taką trwogę;
On na wieki złączon ze mną;
Niel ja wierzyć wam nie mogę!

KSIĄŻE.

Przyzwól! przyzwól! błagam o to!

LEONORA.

Gdy ślub wieczny serca sprzęga,
Jakaż skruszy go potęga?

KSIĄŻE.

Tą potęgą złoto.

ANTONI.

Złoto!

Mój pan wiele dać go może.

LEONORA.

Co on mówi? Boże! Boże!
Złoty kruszec wszystkoż skruszy?
Nawet święte węzły serca!
Ach! czyż kiedy ten bluźnierca
W głąb niewieściej spojrział duszy?

KSIĄŻE.

Słuchaj...

LEONORA.

Tobieżto przystoi
Tą bezcześcić mnie sromotą?
Nie rozumiem myśli twojej.

KSIĄŻE.

Słuchaj pani...

ANTONI (do księcia).

Złoto! złoto.

KSIĄŻE (stanowczo).

Moc królewskich praw stanowi,
Że dziedzica mego żona,
Ma z krwi grandów być zrodzona.

LEONORA (z powagą).

Powiedz panie wbrew królowi,
Że nie jemu to przystało
Mego domu gardzić chwałą.
Jeśli Kadyx grodów perła

W jego błyszczący dziś koronie,
 Ojca mego krzepkie dłonie
 Z mocy wroga gród wyrwały.
 Nie tak lichy, nie tak mały
 Ten, co królom struże berła,
 Gdy te berła w drzazgi kruszą
 Ulubieńce, podli duszą!

KSIĄŻE (*żywo*).

Co ty mówisz?

LEONORA.

To wyznanie
 Dla Filipa. Teraz panie
 Sprawa z nami! Twoją córą
 Jam nie godna zwać się może,
 Dziś zaprawdę rzecz się zmienia;
 Lecz gdy syn twój, bez imienia,
 Zwał mnie żoną w imię Boże,
 Ród mój nad nim świecił górą!
 Jest dziś przedział między nami,
 Temu, co się zwie Guzmanem,
 Jam nie równa pewno stanem,
 Ale cześci mu nie splami,
 Jako żona i kobieta,
 Leonora z Uzueta.

KSIĄŻE.

Wstrzymaj zapęd ten dziecięcy.
 Błuznić usta niech się strzegą!
 Nad ministra jam czems więcej,
 Bom ja królem króla mego!

LEONORA.

W twém zuchwalstwie niesłuchaném
 Jakież śmiałeś wyrzec słowo?
 Tyś Hiszpanów może panem,
 Lecz w tym domu jam królową:
 Precz! co żywo z tego progu!

KSIĄŻE (*z uśmiechem*).

Ty wypędzasz mnie szalona!

LEONORA.

Prawo przy mnie!... ufam Bogu!

KSIĄŻE.

Za koronę więc korona?

LEONORA.

Tak, i głowa przeciw głowiel

KSIĄŻE.

Walka na śmierć czyż wystarczą
Twoje siły?

ANTONI.

Szał w jej mowie...

KSIĄŻE.

Ja mam złoto, ja mam władzę.

LEONORA.

Słuszność będzie moją tarczą.

KSIĄŻE.

Wnet z uporem twym poradzę,
Mnie uragać... tyżes zdolną?

LEONORA.

Czyń co zechcesz... tobie wolno.

KSIĄŻE.

Pożalujesz!... Mnie do mety
Snadno dobiedziesz drogą gładką.ANTONI *(na stronie)*.

Dziwny upór tej kobiety.

KSIĄŻE.

Jam tu królem!

LEONORA.

A ja matką!

ANTONI *(śmiejąc się szyderczo)*.

Ha! ha! matka!...

KSIĄŻE.

Chodź Antoni.

ANTONI (*do księżcia*).

Mam ja sposób... on ją skłoni,
Krnąbrny umysł wnet pokona,
Matka z córką rozłączona
Musi uledz...

LEONORA (*z trwogą*).

Co to znaczy?

KSIĄŻE.

Słyszysz!

ANTONI.

Ha! ha!

LEONORA (*gwałtownie*).

W imię Boga!

KSIĄŻE (*do Leonory*).

Wszak on jasno rzecz tłumaczy!...
Zdała od niej...

LEONORA (*z uniesieniem*).

Córko droga!

(*upada na kolana*).

Ach! litości!... przebacz panie!

KSIĄŻE.

Przyzwól!..

LEONORA (*z rozpaczą*).

Na co? Biada! biada!

ANTONI (*do księżcia*).

Brzęknąć złotem jęj wypada,
Po twęj woli wnet się stanie.

LEONORA (*powstając z dumą*).

Ja przyzwolić? wolę raczej
Zostać bez niej...

ANTONI.

Pomyśl oto...

LEONORA.

Wiem co czynię... aż się trwożę
Sądów ludzkich? Rzekną może:
Iż zabiłam własne dziecię,
Lecz nie powię wikt na świecie:
Iż okryłam je sromotą.

Książę Oliwarez odchodzi z Antonim. Próba się nie powiodła; potrzeba użyć nowych środków. Leonora zostaje z trwogą w sercu, szarpana okropnym przeczcuciem. Wchodzi Donna Joanna.

Ojciec jej Konetabl pragnąłby spokrewnić się z potężnym ministrem, ale córka inną ma miłość w sercu, a co więcej nie chce być narzędziem do rozerwania szczęśliwego stadła. Aby złamać jej opór, oczerniają przed nią Leonorę. Donna Joanna pragnie ją poznać; sama też przybywa do jej domu. Znajduje biedną w trwodzie i boleści, mówi z nią, dochodzi wątku ohydnych intryg. Joanna miała już uleźć, lecz oburzona taką przewrotnością, postanawia walczyć do ostatka. Odkrywa przed Leonorą plany ojców; trzeba im działać wspólnie, by zniweczyć te plany. Jedyne pozostaje ratunek: zamyślają obie udać się pod opiekę królewską. Wieczorem Donna Joanna wstąpi po Leonorę, zabierze ją do zamku.

Jedynym dotąd przyjacielem, jedynym doradcą Leonory w jej cierpieniach, był bliski jej krewny doktor Gaspar. Młody lekarz oddawna kocha Leonorę; kochał ją wpróż jeszcze nim została żoną Juliana. Tlumiona gwałtem miłość podkopała jego zdrowie: Gaspar od lat kilku trawiony nieuleczoną chorobą. Leonora wie o głębokiem jego uczuciu, ale nie wie kto jego przedmiotem. Niekiedy Gaspar zdradzi się mimowoli, zrećnie jednak odwróci podejrzenie; młoda kobieta widzi w nim tylko przywiązanego brata.

Julian przed ożenieniem jeszcze, odgadł był miłość Gaspara do Leonory. W uniesieniu zazdrości wyzwał go na pojedynek. Zapaśnicy stanęli o trzy kroki od siebie, Julian pierwszy dał ognia; Gaspar raniony ale jeszcze na nogach, przyłożył pistolet do piersi przeciwnika.

— Mam prawo zabić cię, i nie zrzekam się tego prawa, rzekł spokojnie, użyję go kiedyś, jeżeli w przyszłości nie uszanujesz jej szczęścia i spokoju.

Szlachetny Gaspar, widząc przywiązanie Leonory do Juliana, sam połączył ręce małżonków, i odtąd czuwał pilnie nad dola ukochanej.

Po spotkaniu z księciem Oliwares, Leonora odetchnęła nieco. Zastanawia się nad własnym położeniem. Bez jej woli, bez woli Juliana, wszak rozwód nastąpić nie może. Rozmowa z mężem przywraca jej spokojność.

Pomięszają się karty w grze spiskujących, ale Antoni nie daje za wygraną. Wytrawny gracz porusza coraz to nową sprę-

zynę. Pali koperczaki do starej dueni w domu Leonory, złotym kluczem otwiera sobie drogę. Wierna dotąd sługa zobowiązuje się fałszywie świadczyć przeciwko pani swojej. Zagadniona powie, że ilekroć pana nie ma w domu, przybywa do niej jakiś gość tajemniczy. Ukazuje przyległy pokój, gdzie sypia córeczka Leonory małeńka Margareta. Na rozkaz Antoniego, przyrzeka wieczorem zostawić otwartą furtkę od ogrodu, równie jak drzwi z pokoju wychodzące na balkon.

Tegoż dnia Julian otrzymuje rozkaz, konwojowania do Segowii więźnia stanu, za którego odpowie głową. Tento sam więzień, który niedawno dopuścił się zamachu na osobę królewską.

Antoni w długiej rozmowie z Julianem napomyka, że książę powierzył mu z umysłu to zlecenie, aby ocalić jego honor. Julian tknięty zazdrością, nalega coraz silniej, on chce, on powinien wiedzieć prawdę. Pod gwałtownym naciskiem, Antoni opowiada niabyto przymuszony: jak zwykle o północy, gdy Juliana nie ma w domu, wchodzi ktoś obwinieły w płaszcz furtką od ogrodu otworem zostawioną, jak przez balkon dostaje się do pokoju Leonory. Niechby tylko Julian przystawił drabinę do balkonu i wszedł niespodziewanie, a ujrzałby na oczy hanbę własną. Lecz nie godzi się, aby potomek tak wielkiego rodu, plamił ręce krwią jakiegoś nikczemnika. Dlatego to książę wyprawia go w drogę. Antoni zaś wiernie czuwać będzie nad jego domem.

Intryga zęcznie ukartowana: Antoni wszystko przewidział. Zgaduje on, że Julian wściekły z zazdrości, odbiegnie powierzonego mu więźnia, że przystawi drabinę i przez balkon wniknie do pokoju. Wówczas Antoni przyprowadzi świadków, Julian zmuszony będzie ukryć się w domu. Jakkolwiek obróć się rzeczy, rozwód musi nastąpić: jeśli Julian pozostanie w ukryciu, świadkowie zaprzysięgną, że w niebytności męża, był ktoś w domu jego małżonki. Gdyby się zaś ukazał, jego życie w niebezpieczeństwie; nie wolno mu pod karą śmierci opuścić więźnia stanu. Oboje okupić się tylko mogą przyzwoleniem na rozwód.

Julian opuszcza dom, miotany zazdrością i gniewem. Ledwie odszedł przybywa Donna Joanna. Według umowy, ma zabrać Leonorę, i z nią razem udać się do królewskiego pałacu. Leonora wychodzi na chwilę aby przemienić ubiór. Joanna zostaje sama. Wtedy sługa przekupiona przez Antoniego, w obec niej otwiera drzwi balkonu. Dziwi to Joannę, deszcz bowiem zaczął padać.

— Tu taki zwyczaj—odpowiada zagadniona sługa—ilekroć pana niema, otwieram pod noc balkon i furtkę od ogrodu.

Joanna mocno zdziwiona, odpycha jeszcze podejrzenia krzywdzące Leonorę.

— Ja nie wiem nic— dodaje sługa— nie chcę o niczym wiedzieć, coby świat powiedział gdyby to się kiedyś rozgłosiło; choćbym widziała raz, i drugi i dziesiąty, jak panicz wymyka się gład-

ko przez ten balkon, to i tak nie pisnęłabym słówka. Ba! i cóż mi do tego!

I wychodzi z pokoju; Joanna zostaje sama, przekonana o winie Leonory.

W tój chwili wchodzi Gaspar. Wié on o zamiarze młodych kobiet. Joanna oświadcza mu, że nie myśli jechać do króla. Gaspar zdziwiony tak nagłą zmianą, zapytuje o powód.

— Jeśli przybyłam tu sama o takiej porze, jeśli naraziłam cześć własną — rzecze Joanna z oburzeniem — uczyniłam to dla niej; jeśli miałam stanąć przed królem ze skargą na własnego ojca, przysięgam przed Bogiem, dla niej pragnęłam spełnić tę ofiarę. Skoro się cofam, muszę mieć do tego powody.

Gaspar nie pojmując wcale tych powodów, przypomina, że Leonora jest żoną i matką, że tu idzie o jej los, o jej życie.

— I cóż mnie obchodzi ta kobieta — odrzeczcie Joanna ze wstrętem. Słuchaj panie! ten więzień, który rzucił się na króla, aby pomścić znieważoną cześć siostry, ten więzień oddany pod straż Juliana, to jedyny człowiek, którego ja kochałam. Zamorduj ją jeśli nie pójdę za wolą ojca mego. Widzisz ile gotowa byłam poświęcić dla Leonory... Nie wierzyłam temu co mi o niej mówiono... Dzisiaj przekonałam się naocznie, ona nie warta mego współczucia. Odtąd nie chcę jej widzieć.

Gaspar słucha z oburzeniem tój mowy.

Joanna zapewnia go, że dziś jeszcze okażą się dowody potrzebne do zerwania małżeństwa Leonory z Julianem, nie zna sieci intryg jakimi ją omotano, wie tylko, że Leonora stąpa po wulkanie. Książę Oliwares potrzebuje dowodów jej niesławy: niech Gaspar czuwa nad nią.

Po wyjściu Joanny, niespokojny Gaspar przywołuje Leonorę. Młoda kobieta wchodzi przybrana starannie, na posłuchanie do króla; słyszy jeszcze kroki odchodzącej Joanny; zdziwiona, chce biec za nią; Gaspar ją powstrzymuje.

— Ty nie możesz wyjść z domu — rzecze w stanowczy sposób. Jutro ja sam zobaczę się z królem. Dziś przeciwnicy twoi zobowiązali się dać dowody twego przemieszania; dowody te potrzebne do rozwodu. Książę uwiadomiony, że masz jechać do króla, porozstawiał zapewne jakieś sidła po drodze. Zostań w domu, tu jesteś bezpieczna.

Gaspar odchodzi. Leonora przeczuwa gromadzące się chmury, trwoga szarpie jej serce. Zkąd ten śpieszny odjazd Joanny? przebiega myślą całodzienne cierpienia... uczucie niewinności jedynej jej osłoda.

Deszcz ulewny bije w szyby sali. Leonora z trwogą myśli o mężu, który mokuje w drodze do Segowii.

Nagle otwierają się drzwi balkonu, Julian stawa przed żoną. Leonora zadrżała, zna grożące mężowi niebezpieczeństwo. Zrazu mniema, że więzień uciekł, inaczej nie pojmując tego powro-

tu. Julian spostrzega jęj trwoęę, jęj dreszcz. Ona winna! myśli uniesiony zazdrością. Strój Leonory tak nie zwyczajny o tęg porze, utwierdza go jeszcze w podejrzeniu.

— A więc czekała kogoś! — mówi w duszy — Antoni miał słusznosć. Czemu rozwarła furtka od ogrodu? czemu otwarty balkon? a więc to wszystko prawda!..

Julian zrzuca z siebie płaszcz przemokły od deszczu, siada na przeciw żony, mówi, że zostawił więźnia pod ścisłą strażą, iż niebawem doścignie go po drodze.

Leonora nalega o pośpiech. Idzie o życie męża! wszak poręczył za więźnia głową! Naleganie to, alboż nie świadczy o jęj winie? Zazdrość kipi w sercu Juliana, nie może się powściągnąć... wybucha wściekłym gniewem... wyrzuca żonie przemiesierstwo.

Leonora dumnie podnosi głowę.

— Jam niewinna — rzecze — ale tyś mnie nie godzien, plamisz mnie haniebnęm podejrzeniem.

Wtęm zakołatano do drzwi... daje się słyszeć głos księcia. Leonora szuka środków ratunku. Juliau nie może zejść przez balkon; u bramy stoi karetą jego ojca. Żona wyprowadza go do przyległej komnaty, ztamtąd wschodki wiodą na wewnętrzny dziedzińiec. Niech idzie do Gaspara, on mu da konia, on go wyprawi w drogę.

— Jadę — zawoła Julian, — lecz powrócę... pomszczę się bez litości.

— Myśl tylko o własnym ocaleniu — odrzeczę Leonora — mnie ocali moja niewinność!

Książe kołacze co raz silniej. Leonora przybiera spokojną postawę... otwiera drzwi sama. Wchodzi książe Oliwares z Antonim i orszakiem kastylskich panów.

Antoni patrzy bystro w oczy kobiety, spostrzega jęj ruch, wskazuje księciu drzwi na lewo.

ANTONI (*ukazując drzwi*).

Tam ukryty...

KSIAŻE (*do Leonory z udaną łagodnością*).

Córko droga,

Może spałas?...

LEONORA.

Nie...

ANTONI (*do księcia*).

Na Boga!

Retoryczne rzuemy kwiaty...

KSIĄŻE (*zimno*).

Dobrze mówisz....

(*Do Leonory*).

W téjże chwili

Wszak mnie własny wzrok nie myli,
Jam przez okna téj komnaty
Dwa wyraźne dostrzegł cienie...

LEONORA (*z godnością*).

Byłam sama... to złudzenie!

KSIĄŻE.

Jam je widział...

ANTONI.

Istne dziwy!

Gdym kołatał w te podwoje,
Toć słyszałem poza progiem
Parę głosów..., jak-em żywy,
W téj komnacie było dwoje!

KSIĄŻE.

Dwoje było..., jak Bóg Bogiem!

LEONORA (*na stronie*).

Co tu czynić?...

ANTONI.

Mnie się zdało

Zeni zasłyszał głos mi znany,
To małżonek pani może?
Po co taić... wyznaj śmiało!

LEONORA (*z trwogą*).

Jakto?... mąż mój... on wysłany!

ANTONI.

Prawda..., prawda!... on w téj dobie
Od Madrytu już zdaleka.
Śmiałżeby-tu być przy tobie?
Za niesforność... wie co czeka...
Śmierć!.. To nie on!...

LEONORA (*na stronie*).

Mocny Boże!

KSIĄŻE.

Czy zaręczysz? dasz-że słowo,
 że przestępcę wiernie strzeże?
 Gdy królowi chybi w wierze,
 On przypłaci własną głową!
 Przykład drugim dać potrzeba:
 Sam podpiszę wyrok...

LEONORA (*na stronie*).

Nieba!

ANTONI.

A więc z panią był ktoś drugi...

LEONORA (*silnie*).

Nikt!...

ANTONI.

A głos ten?

LEONORA.

To głos sługi...
 Tak, tu Marya była ze mną.

ANTONI.

Jam ją widział tam.... za drzwiami.

KSIĄŻE.

Tak jest, Marya była z nami.

LEONORA (*pomięszana*).

Ha... Tak..

(*na stronie*).

W myśli mojej ciemno!
 Cóż im powiem?

ANTONI.

A więc dalej,
 Z kim tę schadzkę potajemną
 Pani miałaś tu... w tej sali.

(*do księcia*).

Cierpliwości... wszystko wyzna.

(*do Leonory*).

Gdy małżonka niema w domu
 Z tobą przecież był mężczyzna.

LEONORA (*z uniesieniem*).
 Nie... to potwarz!... tego sromu
 Ja nie zniosę!

KSIĄŻE (*wskazując orszak*).
 Mam tu świadki.
 Stawie przed sąd ich wypada,
 Każdy prawdę stwierdzi słowy.

LEONORA (*na stronie, gwałtownie poruszona*).
 Co tu począć? biada!... biada!...

ANTONI (*do księcia*).
 Wpadła ryba już do siatki!

KSIĄŻE (*do Leonory, surowo*).
 Kto był z tobą?

ANTONI
 (*sposstrzeżę płaszcz Juliana, podnosi go z ziemi i ukazuje*).

Dowód nowy!
 Płaszcz... co widzę?... ścieka wodą
 Cały na wskroś przemoczony!

LEONORA (*na stronie*).
 Płaszcz!... O nieba!... on zgubiony!

ANTONI (*do księcia*).
 Dobrze nam się plany wiodą...
 Przy nas panie już wygrana.
 (*do Leonory, ukazując płaszcz*).
 Czyj on?

LEONORA (*stłumionym głosem*).
 To płaszcz Juliana!

ANTONI,
 Wszakże mąż twój ztąd daleko!

LEONORA (*zmięszana*)
 Tak.. tak...

(*na stronie*).
 Złapać tchu nie mogę!
 (*do Antoniego*).
 Płaszcz podróżny wdział na drogę,
 Ten tu został...

KRONIKA

ANTONI.

Kłamać po co?
 On odjechał przed północą,
 Czemuż krople z płaszczu cieką?
 Gdy opuszczał mąż twój miasto
 Księżyc świecił przed dwónastą.

LEONORA (*z rozpaczą*).

Ha!...

KSIĄŻE (*do panów*).

Słyszycie... jasna zdrada...

ANTONI.

Któżby wątpił!...

(*do Leonory*).

Powiesz może
 Iż balkonem deszcz się wkrada?

LEONORA (*żywo*).

Tak..., tak...

ANTONI.

Wicher dmie na dworze,
 Drzwi balkonu zamknąć lepiej.
 (*zamykając spostrzega drabinę*).
 Co? drabina?... tam!...

LEONORA (*na stronie*),

O Boże!

ANTONI (*do Leonory*).

Kto postawił tę drabinę?

LEONORA (*wysilona*).

Nie wiem!... nie wiem!...

KSIĄŻE.

Wyznaj szczerze całą winę!
 My nie ślepi...

LEONORA.

Ach! okrutny jesteś panie!

ANTONI (*do panów wskazując okno*).
 Czyj ten biegun?... zważcie sami...
 Rzy w dziedzińcu przy parkanie.

LEONORA (*z uniesieniem*).
 Ten oszczerca cześć mą plami!

KSIĄŻE.
 Całą prawdę wyznaj śmiało!

LEONORA (*z godnością*).
 Co? z tajemnic tego domu
 Mnież tłumaczyć się przystało?
 Nie zdam sprawy z nich nikomu!

KSIĄŻE.
 Ni mnie nawet? Ha zawzięta!...
 To powinność twoja święta!

LEONORA (*stanowczo*).
 Ani tobie!... tylko Bogu!

KSIĄŻE.
 Śmiesz mi prawa przeczyć w oczy.

ANTONI (*do księcia*).
 Przetrząśnijmy dom ten cały!
 (*zwraca się ku drzwiom na lewo*)

LEONORA (*zastępując mu drogę*).
 Ha! porąbacie mnie w kawały.
 Pókim żywa... tego progu
 Żadna stopa nie przekroczy!

KSIĄŻE (*do panów*).
 Wy, rycerskiej pełni wiary,
 Poświadczycie mi panowie,
 Apostolski niech wikary
 Z ust się waszych prawdy dowię,
 Niech przed sądem każdy wyzna
 Że tu obcy był mężczyzna:
 Wszyscy na to przysiądź mogą.

LEONORA (*żywo*).
 Niel nie było tu nikogo.

KSIĄŻE (*odsuwając Leonorę*).
Puść mnie!

LEONORA (*gwałtownie*).
Nigdy!

ANTONI.
Lecz potrzeba
Nam dowodu:

LEONORA (*z godnością*).
Głos mi z nieba
Szepcze dowód oczywisty;
Tam niewinne moje dziecię,
Tam gołąbek mój przezczysty,
O Cherubach we śnie marzy...

ANTONI (*szydłczo*).
Taki dowód.... rzecz to zwodna....

LEONORA (*z uniesieniem*).
Jest-że matka gdzieś na świecie
Tak przestępna, tak wyrodna,
Co pod cieniem takiej straży
Własnej cześci przepomina?..
Gdy ją święcie skrzydły chroni
Jej stróż anioł... jej dziecina!

ANTONI (*z urąganiem*).
Piękne słowa... lecz to słowa..
A tu prawda jak na dłoni.

LEONORA (*z najwyższym oburzeniem*).
Szydź mi w oczy... śmieć się podły!
O! nie dla was taka mowa!
W waszej piersi w lód wychłodlęj
Nie odtętni głos boleści,
Z wiatrem przebrzmi skarga łzawa. .

KSIĄŻE (*surowo*).
My cię sędzim w imię prawa.

LEONORA (*do panów Kastylekich*).
On urąga czci niewieściej,
On potępia mnie bez winy:
Czy słyszycie!

KSIĄŻE (z gniewem).

Dosyć wrzasku!

(poruszenie między panami).

ANTONI (zwracając się do orszaku).

Milczéć! milczéć.

LEONORA (do panów).

Wyż to syny

Zacnych ojców pełnych blasku!

W was-ze enoty ich zamarzy?

Wam się w sercach gad rozrasta?

Po olbrzymach nędzne karły!

Jam skrzywdzona!..- jam niewiasta!

(nowe silniejsze poruszenie w orszaku).

ANTONI (groźno do panów).

Milczéć!

KSIĄŻE (pogardliwie).

Struna nie da dźwięku!

LEONORA (do panów z oburzeniem).

Czyż wam w piersi krwi nie staje?

Wy nie szlachta! wy lokaje...

(ukazuje na księcia)

On jak trzcinę gnje was w ręku,

Jak robactwo nogą gniecie!

KSIĄŻE.

Mózg wysilasz nadaremno.

LEONORA

(w najwyższej boleści podnosząc obie ręce do góry).

Ty rozpostrzyj płaszcz nademną

Matko Boża! Jam na świecie

Sama, biedna, bez obrony;

Podnieś zamną głos do Syna!

Daj opiekę odtrąconej,

Bom ja matka!

ANTONI

(uderzony nagłą myślą ukazując księciu przyległy pokój)

Tam dziewczyna!

LEONORA (*patrząc ciągle w górę*).

Tarozą moją serce czyste!

KSIAŻE (*do Antoniego*).

Dobrze mówisz... spieszmy do niej...

ANTONI.

Drzwi na lewo!...

KSIAŻE (*żywo*).

Chodź Antoni,

Podaj światło...

(*Antoni porzywa świecznik, pośpiesza z księciem do drzwi*).

LEONORA (*gwałtownie przerażona*).

Ratuj Chryste!

(*przybiega do Antoniego, dmucha na światło; gasną wszystkie świece, ciemno w sali*).

Książę i Antoni wchodzą po omacku do pokoju małej Margarity. Leonora przykłada ucho do drugich drzwi, któremi odszedł Julian; odetchnęła. Kopyta końskie zatętniły po bruku: on odjechał.: on ocalony!

Nagle otwierają się drzwi od sypialni Margarity. Antoni przebiega przez salę niosąc zbudzoną dziewczynkę. Głos dziecka dobiega ucha matki.

— Moja córka! moja córka! — woła Leonora jakby uderzona piorunem; wpada z krzykiem do jej pokoju. Służący tymczasem wnosi światło. W téjże chwili ukazuje się Gaspar.

— Patrzcie panowie? — zawoła książę. — Otóż jest mężczyzna w jej domu... Małżeństwo rozerwane! Biorę was tu wszystkich za świadków.

Gaspar osłupiał. Leonora miota się w najwyższej rozpacz. Wpół obłąkana, bezsilna, upada na ziemię. Gaspar przybiega na ratunek. Wszyscy odchodzą. Tu kończy się akt drugi.

Trzeci akt przedstawia galerję w królewskim pałacu *Bueno Retiro*. Wina Leonory nie jest dostatecznie udowodnioną przed Julianem. Nie byłże on sam tym mężczyzną ukrytym w domu zony? Książę w obecności syna wzywa donnę Joannę, bada ją, ażali nie słyszała z ust sługi, potępiającego Leonorę oskarżenia? Joanna milczy.

— Nie o tym mowa który chyłkiem wymknął się z domu — szepnie Antoni — lecz o tym który wewnątrz pozostał!

— Jam go widział, postawię na to świadków — zawołał książę. Julian gotów uczynić zadosyć woli ojcowskiej. Powoduje nim w części zazdrość, lecz w większej części zbudzona duma. Na rozkaz księcia, wszystko przygotowano już do ślubu. Joanna

wzdryga się w chwili ostatniej. Antoni łamie jej opór. Przypomina że książę Oliwarez rozrządza losem więźnia stanu. Jego życie, jego wolność nawet, zależy od jej uległości. Nieszczęśliwa przystaje na wszystko.

Książę szczęśliwy gdyż postawił na swoim. Niewierność Leonory poświadczona przez sługę i przez panów, rozwód już podpisany. Małżeństwo syna z Joanną, zwiąże go silnie z Konetablem.

Antoni przezorniejszy od księcia, jeszcze nie poprzestaje na tém. Leonora nie przyzwoliła na rozwód, może kiedyś stawić dowody niewinności, a tém samém rozwiązać nowe stadło. potrzeba więc zdobyć jej podpis. Antoni bierze na siebie całą sprawę. Ma on w ręku drogocenny zakład, córeczkę Leonory. Sprowadził ją tu, do *Buen Retiro*. Z obawy aby jej nie odkradziono. u drzwi jej postawił na straży silnego draba, olbrzymiego wzrostu, którego zowie psem swoim. Bezmyślny ten pijak, w niejednej już sprawie był ślepem narzędziem jego woli. Nie chybi mu i teraz; pchnie sztyletem każdego, ktokolwiek wyniosłby dziecko przez drzwi, u których powierzono mu czaty.

Książę nie chce oddać córki Leonorze. Julian mógłby później przypomnieć sobie, że jest ojcem. Potrzeba zwieść nieszczęśliwą matkę; w zamian za dziecko wyzyskać jej podpis na rozwód, potem zaś wywieźć potajemnie dziewczynkę do Aranjuez i tam wychowywać ją na pensyi.

Gdy radzą nad tém, Leonora przybywa do *Buen-Retiro*. Zamiarem jej zanieść skargę do króla. Antoni oznajmia jej, że ślub Juliana już się odbył. Żąda, by wyznaczyła sumnę, za jaką da podpis na rozwód: Leonora wzdryga się z oburzeniem.

Nieszczęśliwa sama nie wie co czynić.

— Ile żadasz za podpis?— spyta książę.

— Ile żadasz za nią?— pyta Leonora Antoniego.

Antoni żąda trzy tysiące dublonów.

Leonora po gwałtownej walce z sobą, przystępuje do księcia.

— Daj— rzecze— trzy tysiące dublonów, a podpiszę.

Książę zgadza się na to, kładzie w jej rękę trzy rulony.

— Czemuż ja nie żądałem czterech — mówi Antoni z zalem.

Leonora podpisuje papier; domaga się gwałtownie córki: książę i Antoni wymagają od niej milczenia.

— Zamilczę!— woła z rozpaczą matka — oddajcie mi tylko moje dziecko! przy niej przepomnę własnej krzywdy!

Antoni wychodząc z księciem, poszeplnie mu na ucho:

— Jeszcze dziewczyna w naszej mocy!

Leonora pozostaje sama, szarpana radością i rozpaczą. Odzyskała dziecko, ale jakimże kosztem!

Julian wchodzi do galerii. Na widok Leonory staje niby rażony gromem. Leonora patrzy nań z najwyższą pogardą.

Wolno było drugim posądzać mnie — zawołała oburzona—ale tobie nie było wolno! Dla ocalenia ciebie, naraziłam własną cześć! ty wiesz kto był ukryty w domu moim!

— Wszak podpisałaś sama rozwód! — rzecze Julian. Kłamia, wszyscy, zgadzam się na to, lecz imię twe sponiewierane, a honor mego rodu...

— Honor twego rodu! — przerwie gwałtownie Leonora — ty sam haniebnym czynem zniesławiasz córkę własną! Precz mi z oczu! nie chcę cię widzieć! gardzę tobą. Używaj dostatków i wielkości, bądź szczęśliwy! Zabieram Margaritę, ona wynagrodzi mi wszystko.

Wtém ukazuje się Gaspar, ponury, nieprześlągany, stawa przy Julianie, powtarza słowa, które był niegdyś wyrzekł, gdy w pojedynku trzymał pistolet przyłożony do jego piersi: „Mam prawo cię zabić, i nie zrzekam się tego prawa! użyj go kiedyś jak ona będzie nieszczęśliwą!“

— Otóż wybiła godzina — dodaje zimno — odwołuję się do praw moich!

Gaspar wyzywa Juliana: Leonora zatrzymuje go gwałtem.

— Przebacz mi! — woła, — i ja mu przebaczyłam! On mnie kochał, on nie tak nikczemny jak sądzisz. Gdy go zawołają przed ołtarz, powie *nie!*... jestem pewna! Zostań tu!.. jeśli wyjdiesz, ja umrę!

— Ty miałabyś umrzeć! — woła Gaspar — jeśli tak, świętém dla mnie życie Juliana!

W pobliskiej kaplicy daje się słyszeć dźwięk organów. W głębi przeciąga orszak weselny. Leonora biegnie uniesiona rozpaczą: Gaspar próżno chce ją powstrzymać.

Nagle za drzwiami słychać głos Margarity. Leonora biegnie ku drzwiom... wysilona upada na kolana. Dziewczynka wbiega, drżąca z przestachu rzuca się w objęcia matki.

— Dziecko moje! — zawoła Leonora — Niechaj czyni co chce! niech się żeni!.. tyś moja!

W téj chwili ukazuje się we drzwiach Antoni, twarz jego trupio-błada, wchodzi chwiejającym krokiem. Spozrzega Gaspara, wyciąga ku niemu ręce.

— Zabili mnie — woła z rozpaczą — ha! tyś lekarz! Ratuj mnie... błagam, ratuj!

Leonora porywa Margaritę, ucieka z nią przerażona.

Wyjaśnia się rzecz. Antoni wychodził z pokoju, trzymając na ręku dziewczynkę. Miał ją właśnie wywieźć do Aranjuez; pijany drab, postawiony u drzwi na straży, nie poznał go, a spełniając ściśle dany rozkaz, utkwiał mu w piersi sztylet.

ANTONI (z rozpaczą do Gaspara).

Jam zapłacił to żelazo!
Ratuj! ratuj! — moje życie
W twojej mocy!.. Ty z odrazą
Patrzysz na mnie? Ja sownieś
Sypnę złotem, jam bogaty!

Mam go tyle... biada! biada!
Powetuję wasze straty!

GASPAR (*obejrzawszy ranę*).
Już zapóźno— trudna rada!

ANTONI (*z rozpaczą*).
Ha! śmiertelne czuję dreszcze!
Lecz mnie!... błagam w imię Nieba!
Ja żyć muszę... mnie żyć trzeba!
(*rzuca garściami złoto*).
Bierz to złoto... jeszcze... jeszcze..
Stokroć więcej mam go w domu.

GASPAR.
Cuda czynić daneż komu?

ANTONI (*z naleganiem*).
Jam Antoni Hil— wiesz o tém,
Jam potężny król mocarzy,
Mam ładowne skrzynie złotem:
Bierz go... ile myśl zamarzy,
Dam dukatów sto tysięcy,
Ile zechcesz... więcej... więcej!...
Złoto twarde kruszy tamy,
Ty rozemkniesz zwarte bramy
Złotym kluczem!

GASPAR:
Tak, tu może!
Lecz tym kluczem chciwcze dumny,
Ja nie zamknę wieka trumny,
Ni drzwi nieba nie otworzę!

ANTONI (*blagalnie*).
Lecz mnie w oczach już mi ciemno!
Dam co zechcesz!...

GASPAR.
Nadaremno!
Twój mi kruszec próżno dzwoni,
Klucz to brudny mój Antoni!
On w tym zamku w proch się kruszy,
Co do szczęścia drzwi otwiera!
O twój grzesznej pomyśl duszy,
Wznies ją w górę.. skrucha szczerą,
Ta przed Bogiem wiele znaczy.

ANTONI (*gwaltownie*).

Ratuj! ratuj! jam w rozpaczyl!
Ten mi sztylet wyrwij z łona!

GASPAR.

Próżno, mówię rzecz skończona.

ANTONI (*z wysileniem*).

Więc daremne wszystkie leki?

GASPAR (*łagodnie*).

Łza gorąca z pod powieki,
Gdy wytryśnie w wielkiej chwili,
Znajdzie łaskę w obec Pana,
Szalę złęgo wnet przechyli:
Bracie! bracie! na kolana!
(*słychać organy w kaplicy*).

ANTONI.

Zwiesz mnie bratem?

GASPAR.

Tak.

ANTONI.

O Nieba!
I pogardzasz memi dary?

GASPAR.

Twego złota mi nie trzeba.

ANTONI.

I przebaczasz? nie dam wiary!

GASPAR.

Tak, przebaczam... w imię Boże!

ANTONI (*z uniesieniem*).

Ach! mów jeszcze... mów doktorze!
Jakże dzielne twoje słowa,
Z niemi światłość błyska nowa,
Ufam... wierzę... mam nadzieję!
One rosą w ducha skwarze.
Tak, zaprawdę... Róg istnieje!
Bo przebaczać tobie każe.

Wchodzi Alguazil, przyzywa Gaspara do króla. Podczas niedawnego zamachu, Gaspar uratował życie Filipowi... wpływ jego wiele znaczy.

— Do króla idziesz! — woła Antoni — poprowadź mnie tam, król będzie moim spowiednikiem!

Odchodzą. Orszak weselny przeciąga napowrót przez Galeryę. Przeszli wszyscy, pozostaje tylko sam Oliwares: tryumf jego zupełny; lecz niebawem występuje straszna Nemezis. Zjawia się Leonora z Margaritą.

— Ha! ten nędznik zdradził mnie — zawoła książe z gniewem; miał ją wywieźć do Aranjuez.

W tej chwili przybywa Gaspar. Wręcza księciu pismo opatrzone królewską pieczęcią. To wyrok banicy. Ulubieniec stracił łaski, minister stracił władzę.

Oliwares ukrywa pomieszczenie, oddala się w milczącej rozpaczy.

Leonora z Gasparem i Margaritą pozostają sami na scenie. Gaspar usiłuje ukoić boleś krewnej. Ten, którego kochała, nie godzien jej łez, powinna go zapomnieć.

— Ja nie myślę już o nim! — rzecze Leonora. Jeśli płaczę, to nad utraconą sławą, nad splamionem imieniem mojem.

— Opuśćmy ten kraj — zawoła Gaspar, — opuśćmy Europę! Daleko za morzami są inne ziemie hiszpańskie, tam nową znajdziemy ojczyznę! Tam wszystko co zaszło w wiecznej utonie tajemnicy!

— Jam matką!.. — odrzecze Leonora, — cóż powiem gdy mnie zapytają o nazwę córki mojej?

Gaspar w milczeniu przykłada rękę prawą do lewej, bada własny puls, czuje go bardzo słabym.

— Leonoro! — rzecze z udaną obojętnością — przyjmij nazwisko moje dla siebie i dla dziecka!

Kobieta cofa się zdumiona.

— Alboż nie jestem twoim bratem? — rzecze Gaspar — Nie mająż to powinnością ratować cię w niedoli? Jesteś wdową... mów... czy przyjmujesz moją rękę?

Leonora wie, że Gaspar od lat wielu kocha kobietę jej nie znaną. Wolnoż jej przyjąć taką ofiarę z jego strony?

Gaspar wyjaśnia, że ona jedynie była przedmiotem jego długoletniej miłości. Kochał ją tajemnie, uczuciem świętem, wolnem od wszelkiej myśli samolubnej. I dziś, jeżeli śmie ofiarować jej rękę i nazwisko, to dla tego tylko, że dui jego już policzone.

— Jakto? — zawoła Leonora — tybyś miał umrzeć? Jabym życie twoje okupiła krwią własną! Ty nie umrzesz... nauka twoja kłamie... Bóg nie dopuści tego... miałżeby umrzeć najszlachetniejszy z ludzi na ziemi, i nie użyć chwili spokoju? Ozywczwe słońce tamtych krajow, da ci życie i zdrowie... da ci je miłość moja! Bracie mój! małżonku mój! Ty! zyj!... bo ja cię kochać będę!

— Życia! życia! Boże miłosierny! błagam ciebie o życie!—
zawoła Gaspar w uniesieniu radości.

— „Będziesz je miał!“— odrzeczę słodko Leonora.

W przyszłych kronikach naszych damy poznać z kolei inne dramata Luiza Egilasa.

Akademia francuzka, w dniu 23 listopada odbyła uroczyste posiedzenie, na którym rozdawała konkursowe nagrody. Sprawozdanie tegoroczne sekretarza, uroczystszy niż zwykle miało charakter, gdyż obejmowało dwuletnie czynności. Wyliczamy tu prace i nazwiska laureatów:

Wielka nagroda *Gaubert* przysądzoną została p. Mortimer-Ternaux, za Historję Terroryzmu, zebraną ze współczesnych archiwów, z krytycznym poglądem na dzieje tej smutnej epoki. Dzieło całe obejmuje tomów 10. Mortimer-Ternaux jak wiadomo, zmarły przed miesiącem, nie doczekał tryumfu swego.

Drugą nagrodę przyznano zmarłemu także Alfredowi Nette-ment, za dzieło: *Histoire de la conquête de l'Algerie*.

Nagroda *Theronanne* poświęcona również historii, rozdzieloną została pomiędzy dwóch badaczy: pp. Topin, za dzieło: *L'homme au masque de fer*, i Wiktora de St. Genis, za Historję Sabaudyi z poglądem na lud, jego obyczaje i skłonności w paśmie wieków.

Nagrodę *Bordin* otrzymał professor Martha za studyum nad poematem Lukrecyusza. Jestto dalszy ciąg dzieła uwieńczzonego w r. 1865 p. t.: *Les moralistes sous l'Empire Romain: Philosophes et poetes*. Autor pismami poetów, mianowicie satyryków, wyświe- tla geniusz poetyczny i filozoficzny starożytnego Rzymu.

Taką nagrodę *Bordin* za rok 1870, przyznała Akademia profesorowi Heinrich z Lyonu, za jego znakomite dzieło w trzech wielkich tomach: *Historja Literatury Niemieckiej*. Zajmujemy się właśnie dla Biblioteki, streszczeniem tej ważnej pracy, otrzymawszy na to pozwolenie samego autora. Uczony professor tém żywiej pragnie aby dzieło jego znane było w Warszawie, że literatura polska nie jest mu wcale obcą. Pan Heinrich wykłada z katedry uniwersytetu Lyońskiego, kurs literatur zagranicznych. Obecnie jak wiemy od niego samego, uczy się pilnie po polsku; mamy więc niepłonną nadzieję, iż ten uczony krytyk obznajmiwszy się dokładnie z bogatą literaturą naszą, da kiedyś poznać Francuzom jej skarby, jak im dał już poznać skarby geniuszu niemieckiego.

Ponieważ uwieńczone dzieło p. Heinrich bliżej nas obchodzi, powtórzmy tu wyrzeczone o nióm zdanie, stałego sekretarza Akademii p. Patin:

„Gruntowna znajomość przedmiotu, układ i przedstawienie rzeczy, zalecają tę ważną publikacją. Takt jest rysem charakterystycznym autora. Umiał on ustrzedz się ponęty, owych systematów absolutnych, które w historii literatur zbyt często podnoszą

fatalne działanie przyczyn zewnętrznych, a poniżają wolny wyrób geniuszu indywidualnego (1). Obce utwory ocenia autor według ich rzeczywistej wartości, odsuwając na bok przesady, a patrząc okiem bezstronnem na sposoby myślenia, czucia i tworzenia, zupełnie odrębne od naszych. Wolny zarówno od uprzedzeń francuzkich, jak od ślepego poddania się niemieckim opiniom, przedstawia rzecz z bezwzględną prawdą i dobrą wolą. Dzieło jego i z daty i z ducha, należy do czasów tak bliskich nas, od których przecież oddziela nas cała przepaść. Jestto bezwątpienia jedna z najcelniejszych publikacji, jakie wydał ów prąd, popychający nas ku pracom Niemców, ku ich wiedzy, filozofii, literaturze, z ciekawością, z szlachetnem współzawodnictwem, z uczuciem szacunku i sympatyi, które nam zapłacono, niestety! w samymże świecie naukowym i literackim, — zuchwałą pogardą i nienawiścią. Nie żałujmy przecież tych uczuć naszych! lubo nie zapłacone wzajem, czynią one niemniej zaszczyt charakterowi narodowemu. Nasza literatura zawdzięczała im niegdyś piękne dzieło pani de Stael, a dziś po latach pięćdziesięciu, zajmującą i pożyteczną pracę pana Heinricha.“

Nagrodę *Monthyon* fr. 2500, otrzymała pani Berbercy za dzieło: *Elżbieta Seton i początki kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych*. Jestto zyciorys sławnej założycielki Siostr miłosierdzia w Ameryce. Elżbieta Seton urodzona w Nowym Yorku roku 1774, żyła podczas wojny o niepodległość, i wiele wspomnień z tych czasów pozostawiła w notatach i listach, zebranych troskliwie przez autorkę.

Taką samą nagrodę przyznano p. Karolowi Aubertin za ważną pracę p. t. *Seneka i Święty Paweł*. Autor zestawiał tu historję apostołstwa Sgo Pawła, to jest początki kościoła chrześcijańskiego, z ostatnimi wynikami praktycznej filozofii starożytnych. Obok moralnych pojęć, do jakich doprowadził przyrodzony rozwój myśli ludzkiej, wykazuje autor w sposób wymowny i uczony, siłę nadprzyrodzonego objawienia, która wypełniając to, co leżało w przeczeciu wyższych umysłów, miała poprowadzić ludzkosć nowym torem.

Pięć nagród fundacyi *Monthyon* po 2000 fr., rozdała akademia za następujące publikacje:

Z wydziału filozofii otrzymał jednę professor H. Jolly, za dzieło p. t.: *Instynkt, jego stosunek do życia i inteligencji*. Autor prowadzi dalej przedmiot traktowany już przez Cuvier'a i Flourens'a. Problematy czysto fizyologiczne rozwija na zasadzie psychologii i podnosi do znaczenia filozoficznego.

Drugą nagrodą uwieczono dzieło p. Feillet: *La misere aux temps de la Fronde et St. Vincent de Paul*.

(1) Uwaga ta dotyczy szczególniejszj literatury angielskiej Taina. Sami czytelnicy Biblioteki będą mogli porównać dwa systemata, których główne podstawy tak zupełnie są sobie przeciwne.

Trzecią przyznano p. Theron de Montoge, za pracę agronomiczną: *L'agriculture et les sciences rurales dans le pays Toulousain, depuis le milieu du XVIII siècle*. Praca ta zwróciła uwagę Akademii, szerokim poglądem na charakter cywilizacji społeczeństwa francuzkiego, przedewszystkiem rolniczy (arya).

Ozwartą nagrodę otrzymał generał Danmas za dzieło: *La vie Arabe et la société Musulmane*. Jestto pelen życia i barwy obraz cywilizacji pasterskiej Arabów, wprost sprzeczny z charakterem cywilizacji ludów Arya-Europejskich. „Nie szukałem ja tej książki — mówi autor — w innych książkach, znachodziłem jej karty pod kopytami konia, w czasach długiego pobytu w Afryce, to spoczywając na prostej rogoży w jurcie ubogiego, to na kobiercu pod wspaniałym namiotem wodza. Współpracownikiem moim był wszystkim lud arabski.“

Piątą nagrodą uwieńczono dzieło profesora Salmou: *Konferencye o powinnościach człowieka*, poświęcone szkole normalnej. Autor niezmordowany pracownik na tém polu, już w r. 1843 otrzymał podobną nagrodę. Wsparty trzydziestoletniem doświadczeniem, w ostatniej pracy rozwija dalej przedmiot, tak niesłychanie dziś ważny dla Francji.

Inne prace pedagogiczne zaszczyliła Akademia chlubną wzmianką. Należy do tych książka p. Eugenii Hippeau dla użytku młodych panien: *Cours d'economie domestique*. Ważne to dzieło w skróconym przekładzie drukował Tygodnik Mód w r. zeszłym. Podobną pochwałę otrzymał p; Delys, dawny laureat, za dziełko dla ludu: *L'ami du village*, Jest to w formie powieściowej idealny obraz nauczyciela wiejskiego.

Nagrodę *Monthion* przeznaczoną poezyi (2000 fr.) rozdzieliła Akademia pomiędzy zbiór pieśni pani Zofi Hue; *Les maternelles*, wyśpiewanych z macierzyńskim namaszczeniem, i religijne poemata Oktawa Duclos: *Poesies nouvelles*.

Nagrodę *Lambert* otrzymał A. Lemoine za tom poezyi: *Les Charmentz*.

Oprócz stałych fundacyj, Akademia w tym roku rozporządzała jednorazową nagrodą przekazaną testamentem pani Landrieu za najlepszy utwór dramatyczny wierszem z r. 1870. Otóż więc za *najlepszy utwór* z tej kategorii, Akademia uznała jednomyślnie dramat Eugenisza Manuela p. t. *Robotnicy*. Dramacik ten znajduje się w repertoryum Teatru warszawskiego, i jak nam donoszono ma się wkrótce ukazać na scenie. Znany on już w Warszawie z przekładu drukowanego w szpaltach Tygodnika Mód, jak nie mniej z krótkiej recenzji zamieszczonej w Bibliotece. Recenzent przypisuje mylnie utwór Manuela p. Copée, a co więcej liczy go do kategorii tych sztuk dramatycznych, niegodnych przekładu, które tłumacze polscy wybierają na *chybil trafił*.

Zobaczmy jak Akademia francuzka po gruntowném rozpatrzeniu całorocznych publikacyj' teatralnych, do których należy

i zachwalana Frou-frou, ocenia utwór laureata, od dwóch lat odgrywany z jednakiem powodzeniem.

„Manuel—mówi sprawozdawca Akademii—ma tę wielką zasługę, że szlachetnie użył znakomitego talentu. Wprowadza on na scenę teatru francuzkiego. nową i mało znaną warstwę społeczeństwa. Przedstawia ją w całej prawdzie, bez schlebiania występcom, które ją zbyt często pociągają na błędne drogi. W przeciwieństwie tych występów, wykazuje uczucia wzniosłe, rozwijające w wyrobnikach miłość nauki i pracy, oraz tak zbawienny urok węzłów rodzinnych. Umiał autor uwydatnić dramatycznie to sprzeciwieństwo, w utworze pełnym prostoty, rzewnym i zajmującym, a do tego podniesionym myślą prawdziwie moralną. Wiersz jego bardzo piękny, styl wytworny, wolny zarówno od przesady jak od trywialności.”

Nagrodę *Latour Laundry* przyznała Akademia p. A. Brachet za *Gramatykę historyczną i Dykeyonarz Etymologiczny języka francuzkiego.*

Z pomiędzy dwunastu konkursowych rozpraw na zadany w r. 1869 temat: *Ocenienie historyczne Sullego, jako męża stanu i pisarza*, Akademia przysądziła nagrodę panu Perrins profesorowi literatury w szkole politechnicznej. Nowym tematem podanym do konkursu na r. 1872 jest *Pochwała Vaubana*,

Zakończył posiedzenie akademik Legouvé, ogłoszeniem imion kandydatów, którym przyznano nagrodę cnoty. według fundacyi *Monthyon*. Summa rozdzielona między kilkanaście jednostek, wyniosła 17000 fr. Przytaczamy ostatnie słowa pięknej mowy Legouwe'go: „Oprócz tych świadectw ileż mamy innych stokroć wspanialszych, a zapisanych nie na papierze, ale w najgłębszych tajnikach serca naszego. Kto z nas nie myśli z rzewnym uczuciem, o tych cnotach poświęcenia, miłosierdzia, wspaniałomyślności, odwagi, jakie Francya wydobyła z siebie w przeciągu miesięcy czternaście! Ileżto czynów, ile cnot bohaterских, rozsiały po drodze armie: Bourbakiego, Chanzeja, Faidherba, w mozolnych pochodach przez zasy śniegu, zczzerwienione potokami ich krwi ofiarnej. Na ileżto cnot nieznanych światu, patrzyły załane najazdem miasta, spustoszone wsie nasze! Każdy dzień przynosi nam nowe świadectwa niezliczonych cnot i poświęceń! Dzięki im, droga Francya nasza, tak od roku upokorzona w oczach ludzi, nigdy może nie była większą w oczach Boga! a my pokorni panegiryci cnot, nigdy za prawdę, nie mogliśmy wygłosić w obec was, świetniejszych imion, nad imiona dzisiejszych laureatów, kiedy owemi laureatami: Chataudun, St. Quentin, Toul, Bitché, Belfort, Strasburg, Kolmar i Paryż!

„Nazwałem Paryż. Pierwsze jego obłężenie będzie na wieki zaszczytną datą w historii naszej. Ta ludność tak porywczą, tak gorączkowa staje się nagle słodką, cierpliwą, pełną rezygnacji. Przez pięć miesięcy głodu i niebezpieczeństw, skarga nie wybieży z ust; przez pięć miesięcy bezkarności, ani jednej zasadzki noonęj.

ani jednego zamachu! Sąd kryminalny nie otworzył nawet swych podwoi. Co zaś najwyższą chwałą tych czasów oblężenia, to owa pięciomiesięczna walka nędzy z miłosierdziem, zacięta walka, w której miłosierdzie odnosiło zawsze zwycięstwo! Możemy to wyznać z uczuciem słusznej dumy!

„Dawniej Paryż objawiał tysiąc uroczych zalet; w czasach oblężenia objawił wielkie cnoty. W imię tych właśnie cnót, niech mi wolno będzie dodać ostatnie słowo. W miesiącu października 1870 r., kiedy artylerya pruska, bombami swými zagroziła naszym pomnikom, głos oburzenia wybiegł z pod tych sklepień. Instytut francuzki odwołał się do wszystkich ucwilizowanych narodów, przeciw zburzeniu skarbów artystycznych Paryża. Otóż więc dla wielkiego grodu istnieje skarb droższy nad jego gmachy, księgozbiory i muzea. Tym skarbem tytuł stolicy. Tamte są jego ozdoba, na tym polega jego cześć. Niechajże Instytut, który protestował przeciw bombardowaniu Paryża, zaprotestuje dziś przeciw jego *dekapitulizacyi*. Niechaj się odwoła już nie do akademij europejskich, ale do bratnich miast Francyi całej! Niechaj im powie że znieważać Paryż, jest toż samo co walczyć w pruskich szeregach, dopełniając dzieła nienawistnej zazdrości. Niechaj przypomni prowincyom naszym te czasy jednności, te czasy oblężenia, kiedy ich synowie szlachetnie mięszali krew własną z krwią dzieci Paryża, kiedy Paryż tak gościnnie, tak bohatercko przyjmował ich synów. Niechaj im powtarza na cały głos, że w strasznych klęskach naszych tylko zgoda zbawić nas może. Niechajże ich błaga by nakoniec przepomnieli wszelkich krzywd, niechęci, współzawodnictw, a mieli jedynie na baczności wspólne dobro ojczyzny; bo o nią tu idzie przedewszystkiem, a Francya nie stanie się dawną Francją, dopóki Paryż nie stanie się dawnym Paryżem!”

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historja wyzwolonej Rzeczypospolitej wpadajacej pod jarzmo domowe, za panowania Jana Kazimierza (1655—1660), przez Ant. Walewskiego Ces. Kr. Professora Historji Powsz. w Uniwers. Jagiell. Krakow, T. I, 1870 r.

Czasy zaburzeń i wojen, nieszczęść i klęsk, tak niemiłe dla świadków, nie powabne dla wspomnień, z istoty swojej są pełniejsze ruchomej treści, i nie dziwny się, że czasy np. Jana Kazimierza i im bliskie, coraz częstszych od niejakiemu czasu miewają u nas historyków; bo też nadto, te czasy, był to już kończący się wiek XVII, wiek większego podrostu umysłowości, obfitszej piśmienności, tak w dyplomacyi jak wewnątrz krajów, a przeto podający więcej ułatwień i zachęty dla swych badaczy.

Z pisarzy którzy się poświęcili rozjaśnianiu szczegółów panowania Jana Kazimierza, nikt zapewne nie uczynił tyle usługi jak autor pracy, której napis przywieśliśmy, p. Ant. Walewski. Przedmiotem jego badania jest tylko obrane pięciolecie rządów tego króla (1655—1660), a już to jest trzeci obszerny tom tej publikacyi, jakkolwiek z powodu zmiany w brzmieniu napisu ma nazwisko pierwszego. Korzystanie z akt tajnych i archiwum wojny w Wiedniu, tudzież z akt ministerjów spraw zagranicznych w Paryżu i Berlinie, dały mu możność przypatrzeć się bliżej tym rycerskim latom i ze strony dyplomatycznej, a ztąd znane wypadki z ich nowych stron przedstawić i w nowe szczegóły uzupełnić. Do wykładu odznaczonego tą cechą łączy też autor i kolor historyczoficzny i właśnie tom obecny jest rozpoczęty przez *Wstęp*, który mieści ogólny rozumowany pogląd na dzieje kraju.

Główne rysy wydanego obecnie tomu są mianowicie następujące:
We *Wstępie* (str. 1—39) autor zadawszy sobie pytanie: dla czego kraj którego organizacya była tak wadliwą, miał swe powodze-

nia? odpowiada, iż jedną z tych przyczyn była cecha, która mu była właściwą od czasu Chrobrych i Gnuśnych, a którą zowie: *wysilanie się*, t. j. objawiające się od czasu do czasu „szczególne wybuchanie i zaraz wielki upadek.“ Najdobitniejszym przykładem tej cechy, a zarazem jakby miniaturą całych dziejów polskich, były właśnie według autora lata rządów Jana Kazimierza,— skreśliwszy więc w to-mach poprzednich czas wybuchania, w obecnym zamierzył z kolei przedstawić dobę upadku.

Tekst główny historyczny (str. 1 — 332) podzielony jest na ksiąg VI, a określane tu po kolei główne fakty są następujące: Sejm z r. 1658, który autor zowie organizacyjnym i przyrównywa do tego, który miał następnie miejsce w lat 180,—działanie wezwanych przez króla na pomoc wojsk cesarskich,— wzięcie łączne Torunia, działanie przymierzonych w Prusiech, w Danii przy spółdziałaniu Hollandyi, stosunki z Elektorem Brandeburskim (po zwolnieniu 1657 r. od hołdu, stronnikiem króla); walki dworskie stronnictw: francuzkiego (reprezentowanego przez królowę Maryę Ludwikę, a domagającego się usunięcia wojsk austriackich, jako bezczynnych i uciskających kraj, oraz zawarcia pokoju), i cesarskiego (reprezentowanego przez króla, skłonniejszego do przedłużania wojny), — Kongres w Toruniu, Sejm z r. 1659, i wreszcie przystanie obustronne na kongres i zawarcie pokoju w klasztorze Oliwskim.

Dodane do tekstu objaśniające i dopełniające noty są w liczbie 54.

Taką jest treść tej pracy p. Walewskiego,— jakież jest jej stosunek do innych historycznych w naszej literaturze?—Gałęź historyczna literatury polskiej nie jest zapewne zbyt nagą, nie jest jednak okryta całą możliwym liściem. Pracy wykładającej obszernie całość historii krajowej dotąd nie mamy. Cóż bowiem mamy w tej rzeczy? przypomnijmy chociaż w dwóch słowach. Po treściwej i wierniej, ale zbyt krótkiej w zarysach *Historyi Wagi* i jej przerobiach przez Lelewela, oraz równie wierniej i obszerniejszej ale zbyt zawiłanej i bezbarwnej w wykładzie *Historyi Bandkiego*, otrzymywała długo literatura same kompendya dla szkół; w ostatnich dopiero latach ukazały się dwie publikacye piękne, całość obejmujące, historia wszystkich panowań rozumowana przez W. W., pod tytułem: *Słowo dziejów* i pragmatyczna przez znakomitego Dramatyka, — prace te jednak (z których nadto pierwsza, lubo jest pióra historyzofa ma za wiele, a druga lubo pióra poety ma za mało poezyi), są to zawsze tylko kompendya na większą skalę. Co do monografii i prac szczegółowiej przedmiot wyczerpujących, tych liczba stosunkowie nie jest zbyt wielka. Ta powaga, jasność i zarazem erudycyjna dokładność, które odznaczyły były opowiadanie Naruszewicza panowań przedjagiellońskich, nie były doścignięte przez żadnego z jego następców. Śród prac, które miały być dalszym ciągiem historii tej, jedno tylko panowanie Zygmunta III przez Niemcewicza odznaczone zostało piórem talentu, i jest dotąd przodkującej wartości utworem. Mimo wszystkie omyłki i braki, publikacya ta pełna jest licznych zalet, i sprawiła nawet epokę w literaturze. Jasność, obrazowość i szcze-

gółowość, oraz pokierowanie sądem, przy kreśleniu spraw i wypadków, zaś zarazem opieranie się na pomocach, jakich nie miały jeszcze epoki kreślone przez Naruszewicza (jako pamiętniki i inne publikacje piśmienne opisywanym wypadkom współczesne), nadały były temu piśmu szczególne ożywienie i powab, a wyrażane w niem uwagi o stronach dodatnich i ujemnych ubiegłych dziejów, wywarły stanowczy wpływ na prace następnych krajowych historyków, poetów, powieściotwórców, moralistów i t. p. Spółczesne monografie innych panowań były to tylko zbiory i zestawienia główniejszych albo źródłowych faktów bez żadnej charakterystyki. Krok w uprawie gałęzi wśród monografów, najświetniej postawił w końcu autor Chrobrego, Jagielly i Szkiców Karol Szajnocha, do zalet Niemcewicza dodawszy erudycję w szczegółowości i poglądy ogólne dziejowe. Jako na szkic cechą podobną odznaczony, możemy wskazać na umieszczony w tém piśmie, a następnie oddzielnie przez autora wydany p. n.: „Dwa lata dziejów naszych,“ t. j. dwa ostatnie lata rządów Władysława IVgo (1646—1648).

Ta teżto właśnie, jeżeli się nie mylimy, praca, była bodźcem i wzorem, do przedsięwzięcia i ułożenia obecnej przez p. Walewskiego, — widzimy tu podobnie wzięty za przedmiot studyów krótki przeciąg czasu i z téjże epoki, podobne opieranie się przeważnie w wykładzie na części dyplomatycznej i stosowanie do wykładu poglądów rozumowanych.

Książki téj jakaż jest charakterystyka bliższa? Treść książki dzieli się jak to widzieliśmy na pogląd ogólny, na dzieje i tekst historyczny.

Poglądom ogólnym autora, nie możemy nie przyznać nieraz niezawisłości, co do założeń jednak historyzoficznych we Wstępie obecnym poszczególnionych, tych nie możemy ani potwierdzić ani im zaprzeczyć choćby dlatego tylko, iż autor albo nie objaśniał ich wcale, albo nie dostatecznie objaśnił. Zastanawiając się p. Walewski we Wstępie, jak dopiero rzekliśmy, dlaczego naród o którym mówi pomimo bezrządu miewał powodzenia, dodaje, iż tego powodem były: 1) jego „genialność,“ i 2) owo „wysilanie się.“ Lecz oto przypomnieć trzeba, iż począwszy od Ustaw Koszyckich, autor nagania co chwila to wszystko co było odrębnem w przywilejach szlachty krajowej, w czém więc widział oryginalność czyli genialność, zupełnie nie rozumiemy. — Co do „wysilania się“ sprawdzaniem drugiego momentu téj cechy (t. j. po wybojaniu: upadku), za Jana Kazimierza miała być właśnie według założenia autora książka obecna; lecz w treści jej nie widzimy wcale tego sprawdzenia, treść ta jest tylko raczej obrazem dalszego ciągu wysilania się i nie różni się w niczém pod tym względem od fazy poprzedniej; — według napisu wprawdzie jestto historia „wyzwolonej Rzeczypospolitej przechodzącej pod jarzmo domowe,“ lecz w czasie o którym mówi tu historia, ani Rzeczpospolita była wyzwoloną, ani téż w tych obrazach, które autor kreśli, daje się widzieć jakieś nowe domowe jarzmo, chyba, że autor rozumiał przez to domowe jarzmo, jarzmo Maryi Ludwiki? wnieść było można, że autor

za ten zwrot nowy w panowaniu Jana Kazimierza uważać może będzie sąd nad Lubomirskim i bunt Lubomirskiego, lecz fakta te były już późniejsze nawet od tego pięciolecia, o którym książka mówi (1).

Co do tekstu historycznego uważanego w oderwaniu od ogólnych poglądów, zalety jego są jawne. Jestto zbiór szczegółów historycznych, po największej części nowych i zajmujących. Uznawszy autor za główną historyczną zaletę działania gabinetowe, głównie do tego przedmiotu zwrócił badanie, i z tego źródła kreślona epokę wielką ilością rysów nowych wzbogacił; do takich np. należą liczne szczegóły czerpane z korespondencji ówczesnych rezydentów dyplomatycznych: Fragsteina, Kollowrata, barona Lissoli i t. p. Szczegóły poselstwa Olszowskiego (ajenta królowej) do Wiednia, o wycofanie wojsk austriackich (gdzie znajdujemy ten ciekawy szczegół, iż odpowiedź odmowna gabinetu austriackiego podyktowaną mu była tajemnie przez rezydenta rzeczywistego Cieciszowskiego), stosunki dyplomatyczne z Anglią i ówczesnym jej protektorem purytanem (przychylnym Szwecyi), dyplomatyczne i czynne z Hollandyą przeciwko Szwecyi i t. p. Z drugiej jednak strony nie można rzec, iżby kreślone w książce p. Walewskiego obrazy były żywe i pełne; — obrazowość i jasność nie należą do zalet pióra autora, — kreślone akcye nie mają dramatyczności, charakterystyki osób nie są wybitne; przywiązywanie wyłącznej wagi do dyplomacyi, wzbroniło autorowi korzystania ze społecznych świadectw osób prywatnych i odjęło różnorodność obrazom. Nie znajdujemy tu nawet tych praktycznych szczegółów jakie ma społeczna kronika Kochowskiego, tém więcej nie widzimy żadnego użytku ze świadectw innych pisarzy społecznych, jako: poetów, autorów, pamiętników i t. p., chociaż niektóre z nich, jak np. Paska bezpośrednio do opisywanych zdarzeń się przydawały. Zamiłowany w notach gabinetowych autor gardził oczywi-

(1) W pierwszych 2ch tomach obecnej pracy, których treścią jest owa „doba wybudzenia,” autor nie objaśnił był jeszcze swego ogólnego poglądu na dzieje krajowe, pogląd zaś wewnętrzny z którego tam wyszedł, jest następujący: W odwrot zdaniu Niemcewicza i innych p. Walewski jest zdania: że panowanie Zygmunta III należało do najświetniejszych, i że powodem takiego skutku były: religijna gorliwość króla, trzymanie się przymierza z Austryą i zasad monarchicznych, — iż odstąpienie od tych zasad było właśnie przyczyną, iż następca Zygmunta, Władysław, upadł tak nisko, i że przeciwnie Jan Kazimierz dlatego zabłysnął znowu, iż wrócił do owych trzech zasad swojego ojca. Nie mamy wcale zamiaru spierać się o zalety lub nie zalety wymienionych zasad, choćby dlatego, iż ich istota nader różnie pojmowaną i stosowaną być może, — lecz zwracamy uwagę, iż w sposobie rozwijania ich przez autora jest jawny zamęt; jakkolwiek bowiem liczne czyny rycerskie za panowania Jana Kazimierza były istotnie świetne, dziwnym jest jednak twierdzić, jakoby ogół tego panowania świetniejszym był niż jego poprzednika, i czyliż ten poprzednik (Władysław IV) przez to od ojca i brata miał być mniej pobożnym, iż był szczególnym przyjacielem i protektorem założycieli *Szkół pobożnych* (Pijarów)?

ście świadectwem osób prywatnych, lubo w rzeczy wierności właściwie pewniejszym jest źródłem twierdzenie naoczego świadka zapisującego wrażenia dla siebie, niż nota dyplomaty, która opierać się musi na opowiadaniu osób trzecich, i z celem *a priori* pisana. W książce autora jako w obrazie przeważnie dyplomatycznym figurą działającą głównie i bohaterką, której autor najwięcej słowa poświęcił jest jak rzekliśmy Marya Ludwika. Pan Walewski na wzór poprzednika swego Rudawskiego (który będąc konsyliarzem Leopolda I, pisał społeczną kronikę polską i o zawarciu przedwczesnego pokoju w Oliwie obwiniał Maryę Ludwikę), ściga także i osobę i politykę tej królowej od początku do końca. Rzeczywisty jednak charakter i rzeczywiste znaczenie postaci tej w dziejach krajowych, jakież były? Marya Ludwika miała w pisarzach społecznych i silnych przyjaciół i silnych nieprzyjaciół; jedni i drudzy byli zgodni w tém, iż byłto charakter czynny i energiczny. Rudawski w którémś miejscu swęj kroniki mówiąc o Janie Kazimierzu wyraża: „wskutek zabiegów swęj żony, która tak mężem jak Etyop stoniem kierowała“ etc., Kochowski w Klimakterach: „Nie tak szturmowały kule do murów malborskich, jak królowa Ludwika do serca Jana Kazimierza o pokój.“ O jęj szczególnej czynności na Szlązku w czasie schronienia się tam z królem i wpływie na konfederacyę Tyszowiecką dobitnie opowiada arcybiskup Wydzga w swym Pamiętniku. Z czynności jęj głównym powodem zarzutu społecznych w kraju było to, iż chciała dla umocnienia władzy królewskiej tron elekcyjny w kraju zmienić na dziedziczny, byłto jednak uważać można, występek, przeciw któremu wiekiem później już tylko w Targowicy protestowano. Przedstawianie więc głównej bohaterki swęj książki z barwą zawsze ujemną, nie może być uważane za trafne, — przytacza wprawdzie na poparcie swego stanowiska autor ciekawy szczegół z akt tajnych, iż królowa ta już rokiem przed pokojem Oliwskim podawała propozycyę pokoju daleko zgubniejsze, byle go tylko otrzymać, zaś wytrwałość partyi przeciwnęj i powodzenia następne wydały korzystniejszy; lecz istotę zawartęgo pokoju i jego następstwa (co jest konkluzyą tomu), autor wyraźnie za czarno przedstawił, — pokój ten właściwie co do granic wracał tylko *status quo ante bellum*, — a nadto, kiedy był zawierany, racęzpospolita którą tu autor w tytule nazwał wyzwoloną, zaledwo w 3ęj części była tylko pod rządem królewskim, a dopiero zawarcie pokoju na północy (w Oliwie) dało możność rozwinięcia tych kroków, które następnie (po nader wielkiem jeszcze wysilaniu się) doprowadziły do podobnego skutku i na południu.

Pracy więc obecnej p. Walewskiego do zarzucenia mieć można, iż część jęj rozumowana czyli krytyczność historyzoficzna nie jest w zgodzie z praktyczną, iż opowiadanie dziejowe ma nie obrazowe, nie jasne, za jednostronne, — uważana jednak jako materyał, do gąłęzi dziejów krajowych jest rzeczywistęj wagi przyczynkiem. Historyi dokładnej panowania Jana Kazimierza jeszcze nie mamy, — panowanie to ze społecznych najobszernięj opisywali: Rudawski i Kochowski; lecz Kochowskiego opowiadanie jakkolwiek nader obfite w szcze-

góły wypadków potocznych, jest bez akt urzędowych i części dyplomatycznej,— kronika Rudawskiego obejmuje kilka akt urzędowych w całej rozciągłości, ale wypadki potoczne wystawia w zbytniem skróceniu,— Historya Jana Kazimierza przez ks. Krajewskiego jest opowiadaniem powieściowem, płynnem i jasnem, lecz nie obrazem historyczno-krytycznym;— z przyszłych jednak historyków szczególnych panowań (jeżeli będą), żaden nie znajdzie tyle przygotowawczej pomocy do swego przedmiotu jak historyk Jana Kazimierza w pracy obecnej.

X.

Przekłady Cycerona.

Nic może jaśniej, nic dobitniej nie dowodzi wpływu mowy na umysł ludzki, już nie tylko jednostkowo brany ale nawet ogólnie, jak długie wszechwładztwo sławy człowieka, który w odległej od nas epoce przekonywał lub jedynie rozrzewniał przychylnych sobie słuchaczy na *Forum romanum*; który systemata filozofii greckiej anegdotycznie stylizował; który wreszcie przydomkiem ojca ojczyzny zaszczycony, na długo jako najzaciejszy obrońca wolności obywatelskiej zastąpił: jednem słowem *Marka Tuliusza Cycerona*. Zastugi jego polityczne i naukowe są bardzo małe, jeżeli nie żadne; charakter słaby aż do tchórzostwa, a chwiejny aż do podłości, a przecież on sam był typową postacią, był wzorem, który naśladować się starano od najdawniejszych aż do niezbyt odległych od nas czasów, a któremu dorównać lub go prześcignąć za literacką herezyę uważano. Jaki był powód tego dziwnego a trwałego wpływu, wywieranego przez człowieka, który moralnie do tego tylko zdawał się być usposobionym, ażeby przejść życie ze sławą miernego adwokata powiatowego? Odpowiedź znajdziemy w paradoxalnym na pozór zdaniu: „Mały człowiek, ale wielki stylistą.“

Rzym do czasów Cycerona nie miał żadnego wielkiego prozaika. Zajęty nieustannymi wojnami, nie miał ochoty bawić się retorycznymi kwiatkami, ale ostrzem miecza i poważnem choć szorstkiem słowem ludom rozkazywał. I na forum nawet, w komicjach, w senacie, zwięzłość, proste a jasne przedstawienie sprawy prędkiej trafiło do przekonania „panów świata“ aniżeli wymodulowane brzęczenie. Dopiero w ostatnim wieku Rzeczypospolitej retorowie greccy powszechny sobie poklask na serwo zjednali, przyciągając do szkół swoich młódź rzymską. W szkołach tych zwracano uwagę przeważnie na formę zewnętrzną, na ozdobność i harmonię stylową. Cyceron, deklamator z natury, przylgnął do owych przepisów i zarówno w mowach, jak rozlicznych swych dziełach innej treści z wielką je trafnością i szczęściem zastosowywał. W ten sposób stworzył on frazeologię łacińską i sławne swe dźwięczne, pełne, harmonijne peryody. Niesłychana słów obfitość i umiejętne ich

użycie, wdzięk mowy, płynącej bystrym a czystym strumieniem z rozrzuconemi tu i owdzie kokieteryjnie kwiatkami, podbijał słuchaczy i naśladowców zjednywał. Nie pytano się co mówi, ale jak wygłasza, nie wniano w istotę rzeczy, ale się piękną, powierzchowną szatą zachwycano. Naturalnie znalazła się i opozycya, która głębiej i zdrowiej na rzeczy się zapatrywała, ale zbyt była słabą, ażeby przygłuszyć oklaski ogółu. To też wyrobiła się cała metoda obrończa na Cyceronizmie oparta, która długo przetrwała, przerodzący się z upadkiem Rzeczypospolitej i swobody słowa w napuszone *kontrowersye*, a wreszcie w sztuczną a niedorzeczną igraszkę dowcipu. Ale nie u adwokatów tylko miał Cyceron takie wzięcie i sławę. Styl jego skryształizowany stał się dla późniejszych prozaików modłą, wedle której każdy swój sposób mówienia przekształcił usiłował. *Seneca*, który nie chciał naśladować nikogo, a tём mniej Cycerona, za złe miano, że się od powszechnej reguły usuwał, oskarżając go, że psuje język. Nie mówiąc nic o uwielbieniu obu *Pliniusów* dla stylu Cycerona, wspomnę tylko, że *Quintilian*, zalecając czytanie dzieł tego mistrza słowa, więcej go ceni za ozdoby stylistyczne aniżeli za ścisłość i ważność dowodów, a w pochwałach tak dalece zachodzi, że nie waha się wypowiedzieć tych słów bałwochwalczych: „Rzekłbyś, że *bogowie* zesłali go na ziemię, żeby *wymowa* okazała całą swą moc w tym *wielkim* człowieku.“ Ale najdalej zaiste posunął się poeta *Katullus*, który go nazywa „najwymowniejszym z potomków *Romulusa*, jacy są, byli, lub będą *kiedykolwiek* (*quotque post aliis erunt in annis*). A sława ta wzrastała z wiekiem każdym. Język łaciński, zmieszany z tysiącami wyrazami, przynoszonymi ze wszystkich stron świata, upadał i zanieczyszczał się; wielkiego talentu nie było; Cyceron pozostał typem piękna i wdzięku. Z odrodzeniem się nauk rzucono się skwapliwie do studyowania wyrażen, wyrazów i zakończeń przypadków lub form czasowych, i skrupulatnie, niewolniczo w piśmie kopiowano. Nic nie zaradziło temu fałszywemu popędowi, znoszącemu wszelką oryginalność; dowcipna satyra *Erazma z Rotterdamu*, który w *Rozmowie z echem* (w *Colloquia familiaria*) z całym arsenałem ironii i sarkazmu przeciwko owczemu naśladownictwu martwych form wystąpił, żadnego nie odniosła skutku; każdy chciał zostać *Ciceronianus*, choć mu echo odpowiadało *anus* (po grecku: nierozsądny, głupi). Filologia klasyczna uprawiana najprzód we Włoszech, później we Francyi, Niderlandach, a wreszcie w Niemczech, miała dwóch bożków, którym nieustannie paliła kadzidła i czolobitność składała: w poezyi, *Horacego*, w prozie Cycerona. Zdolność poetyczna nie wszystkim jest dana; ztąd *Horacy* w wybrańszych tylko naturach miał naśladowców, ale styl prozaiczny, dla każdego mniej więcej ukształconego jest przystępnym, zwłaszcza, kiedy o *samym* jedynie *stylu* jest mowa. Cyceronem w miniaturę chciał być każdy filolog, a wielkość jego, nie głęboką nauką, nie przenikliwością umysłu, ale większą lub mniejszą znajomością słownika wyrazów i wyrażen Cycerońskich się mierzyła. *Non legitur apud Ciceronem*,

było wyrokiem potępiającym każdego, co śmiał utworzyć nową kombinację wyrazową.

I u nas również Cynceron doznawał czci i poważania. Począwszy od XVI wieku, przez trzy stulecia i pierwszą ćwiartkę czwartego mieliśmy mnóstwo wydań, tłumaczeń, komentarzy i objaśnień, naśladowań i peryfraz, szczególnież pism jego *filozoficzno-moralnych, retorycznych, mów i listów*.

Z wieku XVI doszło nas 42 rozmaitych wydań a 17 komentarzy. Szymon Marycki, Benedykt Herbest, Jan Herbest, Andrzej Frankenberg, Andrzej Patrycy Nidecki, Jakób Górski zajmowali się objaśnieniami mów, dzieł retorycznych, pisaniem życiorysów, i kompilacją wzorów i przepisów wymowy z różnych ksiąg Cyncerona. Sam Jan Kochanowski, największy poeta ówczesny nie pogardził wydaniem, dopełnieniem i przekładem *Fenomenów* Arata, w tłumaczeniu łacińskiem Cyncerona (*Ciceronis Aratus ad graecum exemplar expensus et locis mancis restitutus a Joanne Kochanovio*. Kraków, 1579). Stanisław Orzechowski w mowach *ad Equites Polonos* i *ad Sigismundum Regem*, walczył o lepszą z Cynceronem, tę mając nad nim wyższość, że więcej miał namiętności i ognia chociaż chwilowego, aniżeli słaby i wiecznie drżący orator rzymski.

Zdaniem ówczesnym pisarzy naszych o Cynceronie było bezwzględne uwielbienie. Ani na jego charakterze najmniejszej plamy, ani w wymowie najdrobniejszego błędu nie przypuszczali. Wiek ten nie był u nas wiekiem zimnej a stanowczej krytyki, ale ogólnego zapału, nie sięgającego wprawdzie zbyt głęboko, ślizgającego się owszem po powierzchni, ale namiętnego za to i bezwarunkowego. W życiorysach Cyncerona szło o zebranie drobnych szczegółów, których dostarczał Plutarch, Appian, a najwięcej sam Cynceron, nie zapominający nigdy o sobie ani na chwilę; o przedstawieniu tego poważania, którego doświadczał, tej chwały, którą się cieszył, tego mistrzostwa, które naśladować było potrzeba. Stanisław Koszutski, tłumacz trzykrotnie w tym wieku drukowanego traktatu Cyncerona: *O powinnościach wszech stanów ludzi* (poraz pierwszy w Łosku, 1575) w naiwnym swoim stylu nie zastanawia się wcale pisząc *żywot Cyncerona*, nad rozbiorem wielkości jego, ale mimochodem tylko wystawiając jego *dowcip, poczciwe życie, zuchne sprawy* i t. d., powiada: „Zkąd i teraz w *wymowie przede uszemi* jemu prozdek dawamy: bo on sam jakmiarz tylko, będąc w tej nauce *prawym mistrzem*, i drugie potem pisaniem swém do tegoż powabił, i przyczyne, aby się w tém ćwiczyli, wszystkim dał.“ Jedną tam tylko jest uwaga arcytrafna, którą dla pokrewieństwa z myślą zasadniczą tego artykułu, tu przywiodę: „Ten mąż jednak ze wszech najrzetelniej ukazał *jako wiele wymowa może*, jaką wdzięczność każdemu dobremu a uczciwemu mężowi jedna, jako jest rzecz *nieprzemierzona a nieprzezwyjęczona*.“ (fol. B. zew.) Ale myśl ta rzucona przygodnie, zaledwie wyrzeczona a już zapomniana, może tylko służyć za dowód tych mimowolnych przeczuć rozumu, które dopiero później

w świadome pojęcia się zmieniają. Przeczuwać a dowodzić—ogromna różnica.

Wiadomo, że wiek XVII u nas jest epoką upadku studyów klassycznych, czerpanych z autorów pierwszorzędných, których zastąpiono badaniem i tłumaczeniem pisarzów, odznaczających się wprawdzie jaskrawym stylem, który przypadają ówczesnym do smaku, ale nie mających zalet czystości, prostoty i wdzięku. To też i Cyclerona mamy wydań zaledwie 11, z których większą połowę bo 7 przypada na edycje przedrukowane *Listów* (*Epistolae ad familiares*). Kilku mów jedno tylko znamy wydanie przez *Adama Romeryusza* 1610 r. Prócz tego układano zbiory z różnych pism filozoficznych i retorycznych dla nauki młodzieży, pisano wstępy i przygotowania do czytania z pożytkiem mów Cyclerona. Komentarzami zajmowali się głównie: *Adam Burski*, *Szymon Piechowski* i Gdańszczanie: *Adam Thobolius*, *Bartłomiej Keckermann*, *Piotr Czimermann* (sic) i *Jan Mochingerus*. W ogóle komentarzy tych, wstępów, objaśnień wraz z przedrukami prac dawniejszych było 8. Ciekawym z tego czasu zabytkiem jest książka, przedstawiająca nam powszechnie naówczas wrywanie frazesów, zastosowywane do bieżących potrzeb, słowem, szarpanie na wsze strony Cyclerona dla podłatania dziurawej szaty oryginalności. Uczniowie gimnazjum toruńskiego złożyli sąd nad oskarżonym o zdzierstwo i użyli do tego mów Cyclerona przeciwko Werresowi. Cała ta komedia odbywała się urzędownie pod przewodnictwem rektora *Konrada Gräsera* i uwieczniła się wydaniem: *Judicium Repetundarum nuper in gymnasio Thoruniensi ex Verrinis Ciceronis institutum ab aliquot Oratoriae Candidatis, manuductore Conrado Gräsero rectore*. Toruń, 1618. Przekładów z tego wieku mamy niewiele, bo właściwie dwa tylko i to jednego utworu, mianowicie dyalogu Cyclerona: *Laelius*, czyli: O przyjaźni, przez *Bieniasza Budnego* i *Andrzeja Maczuszkiego*; prócz tego przedruk Koszutskiego: *O powinnościach*, dopełnia reszty.

Wiek XVIII przedstawia wielką skłonność do mów Cyclerona, które drukuje, objaśnia i przekłada. Ta ostatnia dążność pojawia się dopiero w drugiej połowie tego stulecia wraz z przekładem ks. *Ignacego Nagurczewskiego* (przeciw Katylinie i za Markiem Marcellem) 1763. Następnie poszły tłumaczenia ks. *Siemiaszki Juliana* dwa razy drukowane, ks. *Adama Tołoczki* i uczniów literatury w Szkole Głównej W. Ks. Litewskiego (za Marcellem). Przeciągnęło się to i do naszego wieku, gdzie *Euzebiusz Słowacki* przełożył mowę za *Archiaszem*, *Zukowski* za *prawem Maniliusza* i t. p. Zaczął się też wyrabiać sąd szczegółowszy, jakkolwiek zawsze powierzchowny. Porównywanie z *Demostenesem* było rodzajem owego średniowiecznego „*asinus Buridani*“, w którym nie chciano ubliżyć Cycleronowi, ale też i nie wystawić się na śmieszość, wielbiąc mowę ateńskiego. „Sposób jego (Cyclerona) jest jasny, powiada *Stanisław Potocki* w dziele: *O wymowie i stylu*, (t. I, 3); dowody w najlepszym rozwinięte porządku: *przechodzi Demostenesa*

jasnością, rzecz każda we właściwem znajduje się miejscu; zawsze usiłuje *wprzód przekonać* nim wzruszyć, a ogólnie mówiąc, *słodkimi* on namiętnościami najzręcznieję włada. *Żaden mówca nie znalazł lepiej jak Cynceron mocy i dzielności wyrazów*; zawsze jest obfitym, zawsze płynnym, wspaniale rozpościera swój przedmiot, *nic nie jest czystszeo nad jego moralność*." Dopatruje się już przecież i wad: „W większej części mów— powiada,— mianowicie za młodości pisanych *zbyt sztuka* jaśnieje, czasem aż do przepychu posunięta. Zbyt widocznym jest strój Cyncerona wymowy: zdaje się on *często* więcej zaprzątniony *wzbudzeniem zadziwienia, jak przekonaniem* słuchaczów; z kąd wynika, iż ma niekiedy więcej blasku jak gruntowności, więcej wielomówności jak treści. *Zgoła mowy, a nawet wszystkie dzieła Cyncerona, wystawiają nam człowieka cnotliwego, lecz próżnego*."

W sądzie tym jednego z koryfeuszów krytycznych owego czasu widoczną jest lekliwość, chwiejność, prowadząca do sprzeczności z samym sobą, jak to można dostrzedz w owęj myśli, że Cynceron działa więcej na przekonanie aniżeli wzruszenie. Drugi potentat krytyczny *Ludwik Osieński* przyznaje Cynceronowi *gruntowność*, i zaletę tę nawet za wyższą ma u niego niż u Demostenesa. „Dopóki— powiada,— smak dobry nie zginie, miłośnicy sztuki i pisania czytać go, jemu się dziwić, i *jeżeli można*, naśladować go nie przestaną. Wszystko w sobie połączył, czego krasomówstwo wymaga: *prawość duszy i skarby nauki*. Nie masz prawie drugiego w starożytności pisarza, któryby nam tyle zostawił dzieł z równą *gruntownością, mocą i wdziękiem* pisanych... Wykład Cyncerona jest zawsze jasny, *rozumowania gruntowne* i w najprzyzwoitszym stawione porządku. Tym szczególnieję przymiotem *Demostenesa przewyższa*. Daje się w nim postrzegać niejaka rozciągłość, którą mniej baczni *rozwlekłością* mianują, kiedy ona jest tylko znamieniem i dowodem *obszernego geniuszu*, który więcej nad innych obejmować zdoła i rozleglejszą sobie przestrzeń dlatego jedynie zamierza, aby w niej więcej rozmaitości, więcej kolorów i obrazów mógł użyć (Dzieła, T. IV). Kilka zachwyków nad „pełnemi i brzmiącemi okresami“ kończy tę apologię, która daje Cynceronowi patent na nieomylnego geniusza, na słońce literackie, na którym plamek dopatrywać się nie wolno. Bytyto wyobrażenia pseudo-klasycyzmu, przeciwko którym żadnych protestacyj zanosić nie potrzebujemy.

Nowsza krytyka nie dotknęła wcale Cyncerona. Zajęta zwalaniem posągów, wystawionych dla bożków poezyi, przeciw krasomówcom nic powiedzieć nie chciała. Owszem przysłowiove „*Cyncerońskie okresy*," miały u nas zawsze wielkie powodzenie, choćby tylko z tradycyi, jak tego w peryodach Korzeniowskiego i Kaczkowskiego widoczne mamy dowody. W podręcznikach historyi literatury utrzymywały się dawniejsze podania, w niczem nowszemi badaniami niezmienione. Zaprzestano tylko wydań i przekładów, bo od r. 1840, kiedy wyszło tłumaczenie *Klemensa Żukowskiego: O wynalezieniu retorycznem* aż do ostatnich czasów, bo do r. 1866, w którym wyszły dwie prace: *Cato major s. de senectute* z objaśnie-

niami *Stanisława Sobieskiego* we Lwowie, i mowa za *Archiaszem*, przekładu *J. Andrzejewskiego* w Poznaniu, żada, o ile wiem, nie pojawiła się praca w tym kierunku. Nawiasem wspomnieć tylko wypada, że wszystkich wydań, objaśnień i tłumaczeń w naszym wieku było ogółem 22. Wyobrażenia o *Cyceronie* jako o człowieku i pisarzu pozostały *statu quo*.

W r. 1870 zaczęły wychodzić w Paryżu *Mowy Cycerona* (1). Trzy tomy zawierają wszystkie 56 mów, doszłych do nas. Objąsnione są przypiskami, poprzedzone wstępami, opowiadającymi okoliczności dotyczące sprawy, która jest przedmiotem mowy. W pierwszym tomie znajdujemy życiorys Cycerona, rozmaite, pochwalne, naturalnie, zdania pisarzy od najdawniejszych czasów aż do chwili niemal obecnej. Własne zdanie, tłumacz, p. *Rykczewski* wyraził w ten sposób: „*Wielki geniusz*, który ogarnął całą mądrość starożytną, przekazał ją potomnym wiekom w *nieśmiertelnych* dziełach, którego potężne słowo przez lat 20 Rzymem i światem władało, którego mowy ostatni odgłos Rzymskiej wolności, mający wkrótce umilknąć, są zarazem wątkiem do osnowy dziejów ówczesnych” (IX).

W ocenie moralnego charakteru tego „wielkiego geniuszu”, p. R. nie śmie przejść szranków, postawionych przez zastarzałą rutynę; i choć widzi sprzeczności, chwiejności, brak samodzielnej inicjatywy, energii i stałości przekonań, słowem rzeczy, które o wielkości człowieka stanowią nieodwołalnie, to przecież z całą naiwnością czasów dawniejszych powtarza słowa Augusta cesarza o Cyceronie wyrzeczone: „Byłto cnotliwy obywatel, który szczerze kochał swą ojczyznę.” Fakta same mu sąd zdrowszy nasuwają, pomija je i idzie dalej. Z okoliczności wojny domowej między Pompeuszem i Cezarem powiada: „*Idąc tylko za przykładem* przyjaciół i *głosem opinii* wybrał się nakoniec Cycero ale *po mimowolnie* i bez żadnej nadziei do obozu *Pompejusza*. *Jak wół idzie za trzodą*, tak ja jadę złączyć się z uczciwymi ludźmi”—pisze Cycero do swego przyjaciela Attyka z powodu tej sprawy. Później, gdy Pompejusza gwiazda przycmiła się i zaszła, powodowany również *głosem opinii* przerzuca się do Cezara, pisząc do Attyka: „*Zachowajmy* przynajmniej połowę wolności umiając *ukryć się i milczeć*.” Milczenie atoli nie było długie, bo należało uczcić nowe słońce, pochwalnymi hymnami. Po zamordowaniu Cezara nowa się strona odstania; „W listach i mowach wynosił pod niebiosa jego zabójców, podobnie jak nie umiał umiarkować swych pochwał dla żyjącego dyktatora w podziękowaniu za przywołanie z wygnania *Marcella*, w mowie za *Ligaryuszem i królem Dejotarem*. Miał zwyczaj chronić się *za silniejsze plecy* przeciw napaści swych nieprzyjaciół,

(1) *Mowy Marka Tulliusza Cycerona* przełożone przez *E. Rykczewskiego*, nakładem Biblioteki Kórnickiej. Paryż, Księgarnia Luxemburska 3 tomy 1870—1871. I. str. 578 i XXXIX wstępu; II. str. 586; III. 602 w 8cc większej.

(XXXIV.) a przecież był cnotliwym obywatelem, który szczerze kochał swą ojczyznę!...” W przypiskach do mów p. R. jest śmielszy; zarzuca Cyceronowi niepomiarowane pochłębstwo względem możnych tego świata; przytacza rys charakterystyczny z mowy za Kluencyuszem, gdzie się Cycero, jak prawdziwy typ niecnego jurysty sam przedstawia: „Myli się bardzo—powiada—kto mniéma, że w mowach moich sądowych wyraził i złożył moje przekonanie.” „Wszystkie te mowy są takie, jakich z prawa okoliczności wymagały, ale nie są tłumaczami myśli mówiącego.” Niepodobna samego siebie gorzej potępić. Szkoda że p. R. przytaczając przesadną apoteozę *Villemain'a*, nie zaznaczył i tej dążności, której *Teodor Mommsen* jest znakomitym przedstawicielem.

„Może nawet—mówi *Villemain*—przypatrując mu się we wszystkich jego rozmaitych dziełach, wolno poczytać go za najznakomitszego w świecie pisarza; a lubo najwznieśliwsze plody sztuki pisania należą do *Bossueta* i *Pascala*, Cycero może jest tym człowiekiem, który użył daru mówienia z najgłębszą nauką i z niezrównanym geniuszem, i który w zwyczajnej dobie doskonałości wymowy i stylu umieścił najwięcej piękności a najmniej błędów.” Taki jest głos powszechny prawie całej Francji. A w Niemczech, w tym klasycznym kraju filologii, wydającej tysiącami rocznie większe i mniejsze wolumina, posłyszano wcale odmienną mowę ze studyów filologa a z powołania historyka: *Teodor Mommsen* w swojej *Historji Rzymskiej*, oceniając literacką działalność Cycerona, pisze: „W najrozmaitszych gałęziach próbował sił swoich; w niezliczonych heksametrach opiewał *Maryusza* wielkie, a swoje własne małe czyny. W mowach spędził z pola *Demostenesa*, a w rozmowach filozoficznych *Platona* i tylko czasu mu zabrakło, żeby *Tucydysesa* pokonać. W gruncie rzeczy był tak wskróś *partaczem*, że niemal wszystko jedno było, jaką rolę uprawiał. Dziennikarska ta natura w najgorszym tego wyrazu znaczeniu, w słowa, jak sam mówi, aż nadto zamożny, w myśli nad wszelkie pojęcie ubogi, nie widziała przed sobą nic trudnego; przy pomocy kilku książek w jakimkolwiek przedmiocie, mógł ułożyć artykuł, który czytać się dawał... Cyceron nie miał żadnego przekonania i żadnej namiętności; niczém nie był tylko adwokatem i to wcale nie dobrym adwokatem. Umiał opowiadanie sprawy anegdotycznie a ciekawie przedstawiać, i jeśli nie uczucie, to przynajmniej sentymentalność słuchaczy obudzić a dowcipem albo żarcikami, po większej części w rodzaju osobistym, rozweselić ruch i zajęcie prawnicze... W mowach prawa publicznego zupełny brak ducha politycznego, w sprawach sądowych brak prawniczego wyводу, zapominający o obowiązkach egoizm, straszna pustynia myśli: musi każdego czytelnika mów cycerońskich serdecznie oburzać” (Księga V, Roz. 12). Charakter moralny Cycerona nie ostał się również przed tą surową, ale słuszną krytyką: „Jako mąż stanu bez przezorności, bez poglądu, bez zamiaru, figurował po kolei jako demokrat, arystokrata i narzędzie monarchy, a nigdy niczém nie był tylko krótko widzącym egoistą... Przeciw

pozornym napaściom był potężny i mury z papierowej masy z trzaskiem nieraz wysadzał. Ważnej sprawy na dobrą czy złą stronę nigdy nie zdecydował, szczególnież ścięcie stronników Katyliny dopuścił raczej ale nie spowodował" (tamże). Był to tchórz, wiecznie się lękający posądzenia o tchórzostwo.

Takie jest słowo najnowszej krytyki, które każdy zabierający się do pisania o Cyceronie uwzględnić powinien, gdyż inaczej nigdybyśmy się ani o krok nie ruszyli i nauka nasza byłaby nieustannym przelewaniem z pustego w próżne. Zapewne ze szkolnego stanowiska biorąc, nie wieleby to się przyczyniało do zalecenia wybranego autora, gdyby o nim całą prawdę powiedzieli przeszło; ale jestto względ pedagogiczny, który w takim wydawnictwie jak są „Mowy Cycerona” na bok usunięty być powinien. Nie zniechęca się tém wcale do studyowania pisarzy starożytnych, że się o nich będziemy bez rozbioru, to co nam bezkrytyczna przeszłość przekazała, to przyjdzie ta chwila, w której obłoki kadziła nas samych zakrzuszą i nie będziemy wiedzieli co podziwiać mamy. Nie zaśłaniać nam oczy iluzjami, ale wzmacniać prawdę należy. Niemcy przecież nie zaprzestają studyów klasycznych, choć dawniejsze uprzedzenia zaplesniałych filologów precz odrzucili. W dziejach wychowania i wykształcenia ludzkości nie można pominąć żadnego ogniwa z wielkiego łańcucha, który najdawniejsze czasy z naszą epoką łączy i najściślej wiąże. I Cyceron jest jednym z tych ogniw cywilizacyjnych, a krytyka dzieł i czynów jego może tylko przyczynić interesu w badaniu przeszłości, bo nowe, nieznanne dotąd strony odkrywa. Lekeważymy zwykle to tylko, czego dobrze nie znamy, gdyż we wszystkiem co ludzkość przez pojedyncze jednostki zdziałała, możemy znaleźć dla siebie wielką naukę i tém większą, im głębiej, im wszechstronniej w badanie się zapuszczamy. Choćby wypadek krytyki był negatywny, to i tak praca niestracona, bo negacya wiedzy koniecznie do postawienia twierdzenia.

P. Rykaczewski nie jest zapalonym wielbicielem Cycerona, ale nie jest także krytykiem. Zarówno w powyższym poglądzie jak i w objaśnieniach i dopiskach przebijają jasne zrozumienie rzeczy, znajomość drobnych nawet okoliczności, dotyczących wszystkich spraw przez Cycerona obrabianych, co zresztą przy tylu komentarzach nie jest rzeczą tak trudną; ale brak mu śmiałości i głębszego wniknięcia w przedmiot. Takie np. są objaśnienia do mów przeciwko Rullusowi (o prawie rolném) lub Katylinie. W przekładzie samym który zachowuje porządek chronologiczny, począwszy od pierwszej mowy Cycerona, jaka do nas doszła, to jest za *Publiuszem Kwincyuszem* aż do ostatniej *Filipiki*, widzimy wierność nie tylko myśli ale i wyrazów: jestto wierność niewolnicza. Niepodobna nam uważać tłumaczenia tego za mistrzowskie, bo nawet równać się nie może nietylko np. przekładowi mowy za Archiaszem poetą, przez *Euzebiusza Słowackiego*, ale nawet przekładowi Na-

gurczewskiego; w każdym atoli razie powitać je musimy jako jedyny całkowity zbiór mów Cycerona w naszym języku, który dotąd bardzo szczupły ich zapas posiadał. Nie przeszkadza to jednakże, ażeby w niem nie było usterków i błędów nie już stylowych ale i wyrazowych nawet. Niepodobna tu wymieniać tych wad, ale chociaż parę przykładów przytoczę, np. „po tak zwawej *zatarдзе*” (III. 232) błąd językowy; ujmującego *dyplomate* (*perblandus*) zmodernizowane pojęcie i niepotrzebne dopełnienie myśli; *popularny konsul* (*popularis*)—wyrażenie niewłaściwe *w całej drugiej mowie przeciwko Rullusowi*, gdzie to oznacza konsula sprawie ludowój oddanego, *demokratycznego*, który mógł nie być wcale popularnym i t. p.

Dla porównania przytoczę mały ustęp z téj samej mowy w dwóch tłumaczeniach: jedno ks. Siemiaszki z r. 1771 a drugie p. Rykaczewskiego ośsto lat późniejsze:

(*Siemiaszko*) z Mowy za *Prawem Maniliusza X*: „O gdybyście Rzymianie, dzielnych i cnotliwych mężów tak wielką mieli liczbę, iżby się wam nakłonić trudno było, komu byście tak wielką sprawę i tak ciężką wojnę powierzyć mieli! Teraz zaś ponieważ jeden jest Pompejusz, który cnotę swoją nie tylo żyjących, ale nawet i dawnej starożytności pamiętnych mężów przewyższył: będzież-że kto jeszcze, któryby o jego za wodza wybraniu miał powątpiewać? Mnie się zdaje iż w wielkim wodzu te przymioty znajdować się powinny: biegłość w sztuce wojennej, cnota, powaga i szczęśliwość. A któż, proszę, bieglejszym albo jest, albo mógł się kiedy znajdować nad tego, który ze szkoły i dziecinnych nauk, podczas najcięższej wojny, przeciw najsroższym nieprzyjaciołom, do ojcowskiego obozu to jest do wojennej udał się szkoły? w siedemnastym roku pod najświetniejszym wodzem wojskowo służył? w młodzieńczym wieku sam największego wojska był wodzem? który częściej z nieprzyjacielem się potykał, *aniżeli kto z przeciwnikiem pojedynkował?* więcej wiódł wojen, *aniżeli inni przeczytali?* więcej podbił prowincyi, *aniżeli drudzy rządu się ich domagali?* którego młodość nie przez cudze rozkazy, ale przez własne rządy, nie przez kłęski, ale przez zwycięstwa, nie przez wojskową służbę, ale przez wodzowskie tryumfy w sztuce wojennej wydoskonaliła się?”

(Toż samo w przekładzie p. *Rykaczewskiego*): „Obyście Rzymianie tak wielu walecznych i *bezinteresownych* (*innocentium*) mężów mieli, iżby wam trudno było uradzić, którego przed innymi *nad wojskiem* (*tantis rebus*) w takiej wojnie przełożyć należy! Ale kiedy teraz jeden jest tylko Kn. Pompejusz, który nietylko sławę współczesnych, ale nawet *wspomnianych z dziejów ubiegłych wieków* mężstwem przewyższył, co może wprawić kogo w wątpliwość o tém wyborze? Ja tak rozumiem, że w wielkim wodzu te cztery przymioty nieść się powinny: znajomość sztuki wojennej, mężstwo, *sława* (*auctoritatem*), szczęście. Kto był kiedy w tej sztuce bieglejszym, albo *powinien był takim zostać*, od tego człowieka, który ze szkoły i nauk dziecinnych, wśród największej wojny i najzacieg-

tszych nieprzyjaciół, dostał się do wojska swojego ojca i do szkoły obozowej przeszedł; który pod koniec *chłopięcego wieku* był żołnierzem pod wielkim wodzem; a na początku *młodzieńczego wieku* sam był wodzem ogromnego wojska; który częściej bił się z nieprzyjacielem, niżeli kto kłócił się z przeciwnikiem, który więcej wojen prowadził, niżeli drudzy o nich czytali, więcej prowincyj zdobył, niż inni ich pożąдали; który w znajomości sztuki wojennej nie cudzą nauką ale sprawowaniem dowództwa, nie przegranemi bitwami, ale zwycięztwami, nie latami służby, ale tryumfami za młodu się wydoskonalił?"

Porównyując te dwa wypisy, przedzielone wiekowym odstępem czasu, trudno w nich dostrzedz jakiegóż znaczniejszej różnicy. Pomijając wierność przekładu, która w obu tłumaczeniach jest prawie jednakową z małą tylko przewyżką na stronę ks. Tołoczki, nie widzimy ani pod względem wyrazowym (z wyjątkiem *tyło, proszę*) ani, co większa, stylowym, nic takiego, coby nas zmusiło do przyznania p. Rykaczewskiemu miejsca w wieku XIX. Wprawdzie przemawia za nim ta okoliczność, że starożytność takiego pisarza jak Cyceeron musi się koniecznie odbić i w tłumaczeniu, nie dopuszczając wszystkich korzyści nowszej frazeologii: nie uwalnia ona przecież tłumacza czasów dzisiejszych od obowiązku oddania gładkości, potoczystości i harmonii okresów, które u mówcy rzymskiego do wysokości posunięte były doskonałości. Nie widzimy tego w przekładzie p. R., który najswobodniej sobie łączy kilka dopełniaczy (*wspominanych z dziejów ubiegłych wieków*), który nie stara się uniknąć tak niemilego powtarzania w dwu najbliższych zdaniach: *chłopięcego wieku, młodzieńczego wieku*; który twarzą po sobie następujących wyrazów znieść lub złagodzić nie usiłuje. Wiemy bardzo dobrze że przekład *pięćdziesięciu sześciu mów* wymagał wielkiej cierpliwości, niezmiernego trudu i prawdziwego poświęcenia, mianowicie ze względu na niezbyt dla społeczeństwa pożyteczny przedmiot pracy; ale raz już zrobiwszy z siebie ofiarę dla dobra literatury, należało ją spełnić z całą usilnością możliwą, gdyż na drugie przedsięwzięcie w tym kierunku może wiek cały albo i dłużej czekać będzie potrzeba. Zdanie to byłoby istotnym paradoksem, gdyby rzecz szła o Niemcy np.; ale u nas możnaby dowieść przykładami z przeszłości że jest prawdą najzupełniejszą. Pan R. dał nam *przekładanie*, jak mówiono u nas w wiekach ubiegłych, ale nie *przekład* w wyższym literackim tego słowa znaczeniu. Będzie ono pamiętką w naszej literaturze, szacowną i trwałą nawet, ale się nie stanie jej ozdobą prawdziwą. Zapatrując się na nie ze względów praktycznych, wielką mogłoby być pomocą dla uczniów nietylko w gimnazyjach ale i w uniwersytetach, gdyby nie zbyt kosztowne a zatem zbyt kosztowne wydanie. Takie tłumaczenia wydają się za granicą na pierwszym lepszym, choćby szarym papierze, ażeby ich nabycia nie utrudniać, gdyż chodzi w nich głównie o pożytek a nie o chlubę. Wprawdzie trzydzieści kilka arkuszy za złotych 14 nie jest zbyt drogo, bo arkusz po 10 czy 12 groszy wypada, ale z powodu szero-

kiego druku, interlinij i t. d., powstało trzy grube tomy, kosztujące przeszło sześć rubli. Gdyby to było jakieś wydanie pomnikowe w literaturze z powodu piękności stylu lub wielkiej wartości wewnętrznej, nicbyśmy przeciwko tej cenie nie mieli; ale ponieważ zdaniem naszym może ono mieć tylko znaczenie utylitarne, to bez porównania lepiejby było, gdyby przekład ten puszczone w zeszytach osobno nabywać się mogących, ściślejszym drukiem i na tańszym papierze.

Drugą o wiele skromniejszą pracą z r. 1871 około Cyclerona jest broszurka p. *Henryka Sadowskiego* (1), z zakrojem nie filologicznym ale filozoficznym raczej. Książeczka ta składa się z trzech działów, z których pierwszy obejmuje treściwy pogląd na rozwój filozofii u Rzymian; drugi jest tłumaczeniem urywku z *Rzeczypospolitej* Cyclerona, znanego pod napisem: *Sen Scypiona*; trzeci nakoniec obejmuje przypiski i objaśnienia, treści jużto historycznej, już filozoficznej.

W poglądzie na filozofią u Rzymian, p. S. główne miejsce oczywiście naznacza Cycleronowi, które wcale dobrze pod tym względem charakteryzuje: „Eklektyk do najwyższego stopnia, rozprawia o wszystkim, a tak wiele myśli naraz rozwija, iż należy wątpić, czy którąkolwiek istotnie się przejął. Do głębszej spekulacji, w której tak głęboko duch grecki zwykł się zaciękać, nie miał jakoś usposobienia...” Dodać tylko wypadło, że Cycleron sam o tém najlepiej wiedział, że nic samoistnego stworzyć nie potrafi. „*To są odpisy*—pisze do jednego z przyjaciół dziwiącego się jego filozoficznej płodności;—nie wiele one sprawiają mi trudu, bo ja tylko do tego dodaję wyrazy, których mam do zbytku.” Pisma te atoli mają względną wartość, bo nieraz są dla nas jedynym źródłem do poznania starożytnych systemów filozofii greckiej. Należy atoli ze źródła tego czerpać bardzo ostrożnie, bo Cycleron częstokroć nie zrozumiał, nie zgłębił myśli obcych, a felietonistowski jego sposób przedstawienia nieraz w błąd wprowadzić może. Cycleron patrzał na wszystko po wierzchu tylko, a niemając żadnego gruntownego przekonania, nieraz na jednem miejscu twierdził to, co na drugiem wprost zaprzeczał. W moralnych nawet kwestyach, które zdawałoby się, że najłatwiejsze są do osądzenia, a przynajmniej stać u jednego człowieka być powinny; Cycleron jest zawsze owym człowiekiem, co jak chorągiewka na dachu w różne obraca się strony. W *Snie* np. Scypiona bardzo wzniosłe stoickie wygłasza zasady: „Jeżeli chcesz spojrzeć w górę i obserwować to miejsce i to wieczne mieszkanie, nie daj się powodować próżnym pochwałem współstwa, niechaj sprawy twoje przewyższają chęć nagród ludzkich i niechaj cnota sama dla jej własnych zachwyłów, poprowadzi cię do prawdziwej chwały... Zresztą na co ci się przyda być sławnym w poto-

(1) *M. Tulliusz Cicero. Sen Scypiona (Somnium Scipionis)*, z łacińskiego przełożył i uwagami objaśnił, oraz poglądem historycznym na rozwój filozofii rzymskiej uzupełnił *Henryk Sadowski*, student c. w. uniwersytetu. Warszawa w drukarni Jana Jaworskiego 1871, str. 72. w 8cc mu.

mności, skoroś nim nie był w czasach upłynionych?"... Dziwimy się jak taki próżny człowiek mógł coś podobnego napisać; ale wzięwszy do ręki dyalog o *Starości*, zaraz się przekonamy, że to był tylko podmuch lekkiego wietrzyku nic nie mówiący o stałej atmosferze przekonań Cyncerona. W rozdziale XXIII czytamy: (przekład *Bieniasza Budnego* r. 1595): „Co rozumiesz, azabych ja tak wielkie prace, we dnie i w nocy. tak w domu jako i na żołnierstwie podejmował, *gdziebym tak rozumiał, aby póty sława moja trwać miała, póki tylo* będzie trwał ten mój żywot doczesny? zażby *nie lepiej było* ten krótki wiek *przeżyć w pokoju*, krom pracy i kłopotu!”

P. *Sadowski* obiecuje w przedmowie przyswojenie językowi naszemu główniejszych pism filozoficznych. Nie wszystkie one zasługują na to. W późniejszym zwłaszcza wieku napredce i dorywczu pisane jak: *Quaestiones Academicae* i *Tusculanae* są bezładnym zszywaniem, nieprzetrawionych i niezgłębionych systemów filozoficznych starcj Akademii z wszystkiemi innemi. Traktak *oprawach* (de *Legibus libri III*), a nawet *Rzeczpospolita* większąby miały wartość. Urywek który obecnie p. S. przetoczył, jest bezwątpienia rzeczą bardzo dobrze napisaną, ale do poznania filozofii w niczem a w niczem się przyczynić nie może. Dowodzi tu głównie Cynceron wzorem Platona, a nawet słowami nieraz, nieśmiertelności duszy, na co za najwালniejszą argument przytacza ciągły ruch: „W rzeczy samėj, to co się ciągle porusza jest wiecznym... Jedyne tylko istota, która sama w sobie ma władzę poruszania się, nie przestaje być nigdy w ruchu, bo sama przez się nigdy nie może go utracić... Jeżeli widocznem jest, że istota poruszająca się sama przez się, jest wieczną, *któżby śmiał przeczyć, że władza ruchu nie jest przymiotem duszy.*” Oto cała argumentacya, reszta jest peryfrazą lub opisaniem siedliska błogostawionych, które opisuje Scypion Afrykański I-szy, zmarły oddawna, okazując się we śnie Scypionowi Emilianowi.

Szczególna rzecz, że fragment ten, tak mało znaczący pod względem treści, miał tak wielkie powodzenie, że gramatyk *Makrobinsz* napisał aż dwie księgi komentarzy do niego, całą swoją erudycję na objaśnienie owo poświęcając. I u nas nawet był bardzo czytany, jak się to pokazuje z wydań, w kraju naszym drukowanych. Jest ich wszystkich sześć, zwykle razem z traktatem *de officiis* i dyalogiem o *przyjaźni* lub o *starości*. Ostatnie takie wydanie wyszło w Warszawie w 1829 r. z objaśnieniami: *Komentarz* do tego urywku napisał *Ernest Grodeck* w Wilnie 1818 roku.

Przekład p. *Sadowskiego* trzyma się metody francuzkiej; oddaje myśl nie troszcząc się o wyrażenia, jest gładki, potoczysty ale zbyt rozwlekły. Ta okoliczność równie jak i niektóre wyrażenia nasuwają nam myśl, że w przekładzie miał p. S. przed oczami tłumaczenia francuzkie, tak że ani okresów ani właściwego Cynceronowi powiązania myśli nie zachowuje. Tak np. w peryodyzie następującym: „Gdyby nawet przyszłe pokolenia chciały przekazać potomności chwałę każdego z nas, czy potopy i przowroty, które

w pewnych epokach nawiedzają ziemię, pozwolą, *nie mówię* uwiecznić chwałę naszą, ale ją utrwalić.”—użyto zwrotu pytającego, którego w oryginale niema, prócz tego opuszczono wiele wyrazów, a znaczenie innych przeinaczono. Ustęp ten brzmi: *Quin etiam, si cupiat proles illa futurorum hominum deinceps laudes uniuscujusque nostrum a patribus acceptas posteris proderere. tamen propter eluviones, exustionesque terrarum, quas accidere tempore certo necesse est, non modo aeternam, sed ne diuturnam quidem gloriam assequi possumus.*” Wyrazy podkreślone są albo zupełnie opuszczone albo na całkiem inne zamienione. Czyż można tu poznać Cyncerona?... Ani *niewolnicza* wierność ani też *blagierska* swoboda nie są stosownymi sposobami tłumaczenia pisarzy zarówno starożytnych jak i nowoczesnych. Są pewne wymagania językowe, które nie pozwalają na dosłowne *przenoszenie* wyrazów z jednego języka na drugi; ale są również właściwości pisarskie, dla każdego ze znakomitszych autorów odrębne, które bez obrazu ducha naszej mowy, oddać możemy i powinniśmy. Co innego jest przeróbka a co innego przekład.

Jaki miał cel p. Sadowski wydając *Sen Scypiona*? W przedmowie bardzo słusznie powiada, że: „jednym z najdoskonalszych czynników wiodących do gruntownego poznania jakiegokolwiek nauki, jest dokładna znajomość jęj historii: że rzeczywisty postęp tam być nie może, gdzie znajomość historii nie jest uwzględnioną! że niepodobna dobrze i umiejętnie filozofować, nie obznajmiwszy się piérwój z dziejami filozofii.” *Sen Scypiona* ma być jednym urywkiem z tych dziejów filozofii. Nie możemy się na to zgodzić. *Sen Scypiona* jest rojeniem duszy, która fantazyą stara się sztukować przerwy rozumu, jest prawdziwym snem na jawie, który może się podobać w czytaniu, ale do zrozumienia filozofii ani na jotę się nie przyezyni. Zresztą całą tę historiją o *harmonii sfer, o wiecznym ruchu duszy* i t. p., czytelnik polski może znaleźć w daleko lepszym utworze, jakim jest *Fedon* Platona (w tłumaczeniu *F. Kozłowskiego*), gdzie się przynajmniej ma to zadowolenie umysłowe, że czyta rzeczy pomyślane oryginalnie. *Sen Scypiona* jest tylko niezbyt zdolnym rozprzestrzenieniem pomysłów Platona a swoją rozwlekłością i gadulstwem nuży uwagę, nie bawiąc jęj nawet. Dlatego też sądzimy że cel p. S. został chybiony. Z małej tój książeczki możemy tylko zalecić pogląd na filozofię u Rzymian, którą [niestosownie *rymską* nazwał, kiedy Rzym nie posiadał żadnego filozofa z jakąkolwiek cechą odrębną; bo tu podaje p. S. obszerniej niż dotychczas u nas zrobiono, chociaż pobieżny (zwłaszcza co do *Apulejusza*, umyślnie ze wszech miar zasługującego na uwagę) obraz usiłowań Rzymian w celu przyswojenia sobie rezultatów badań greckich. Mimochodem tylko zrobię uwagę, że pogląd ten nie jest bez błędów, chociaż autor widocznie z dobrych źródeł korzystał. Niepotrzebnie up. wcale *Epikteta* i *Aryana* mieści pomiędzy filozofów rzymskich, jak niemniej i całą szkołę *Gnostyków*: z Rzymianami nie mają oni nic spólnego, chyba to, że żyli w państwie rzymskiem. Na str. 13 powiada: „*Po wykryciu* spisku niecnego *Katyliny* i zniweczeniu

grożącego ztąd niebezpieczeństwa *został* (Cyceron) *konsulem*." Wykrycie spisku Katyliny nastąpiło, jak wiadomo nie *przed* ale *w czasie* konsulatu Cycerona: jestto błąd przeciwko elementarnej historii.

Takie są ostatnie prace na polu zajęć nad Cyceronem. Zestawiając je z pracami około *Horacyusza*, widzimy, że dwaj ci pisarze z całej literatury rzymskiej jak niegdyś stanowili umysłową metę, do której dążyły wszystkie usiłowania kształcących się i ukształconych, ażeby ich ubóstwiać i naśladować; tak i dzisiaj jeszcze pomimo zmiany wyobrażeń, pomimo krytycznej oceny a zatem znacznego osłabienia ich powagi, wzbudzają przeciw wielki interes, w kole literatów przynajmniej. Jakkolwiekbyśmy otrząsali się z przesadnych uwielbień, z bezgranicznego zaufania, z nieposkromionych superlatywów; to jednak z pod zupełnego wpływu przeszłości wyłamać się nie możemy i nie powinniśmy. Myśli i idee, przekonania i czyny, uczucia i namiętności, które dla chwil ubiegłych ideałami były; nie mogą już zaiste wyczerpywać całej treści ideałów naszej epoki; bo nowe, z każdym dziesiątkiem lat wrastające potrzeby, rodzą nowe, odpowiedniejsze wymagania; ale w niezmierzonej skarbnicy przeszłości jest dla nas złożony obfity materiał doświadczenia, który pełnemi rękoma brać możemy, żeby się nie powtarzać, żeby nie ustawać na drodze postępu, tylko coraz szybciej dążyć ku przyszłości.

Piotr Chmielowski.

Dr. Haffner. Materyalizm nowoczesny, z oryginału niemieckiego.

Chrystus wyzwolił ducha z więzów ciała, a któż uwolni ciało z mocy ducha? Tém pytaniem L. Feuerbach wprowadził przed 20 laty materyalizm do literatury niemieckiej.

Uwolnić ciało z mocy ducha, jest zadaniem materyalizmu nowoczesnego. Chrześcjanizm więc i materyalizm stają tu w sprzeczności.

Ślady materyalizmu Dr Haffner wykazuje w VI wieku przed Chrystusem w Indjach pomiędzy buddystami. Geniusz Grecyi w swęj pierwotnej czystości nie znał materyalizmu; filozofowie jęj starożytni również go nie dopuszczają. Dopiero Demokryt z Abdery w swym systemacie atomów, położył zrab dla tęg nowęj nauki, której z zepsuciem kolejnęm narodu oddała się na usługi i sofistyka.

Ale surowy w obyczajach Eschiles, pobożny Sofokles i płomienna muza Eurypidesa zaprotestowały przeciwko antifilozoficznemu zamachowi Demokryta. Komedya nawet przyszła im w pomoc; Arystofanes w swych *Chmurach* chętno stał ówczesnych atomistów.

Filozofia atycka potępiła również materyalizm grecki. Występują tu: Sokrates, Platon, Arystoteles; ale zepsucie obyczajów nie dozwoliło nawet takim mistrzom zniszczyć doktryny filozofa z Abdery.

Nową formę i osnowę materjalizmowi nadał Epikur. Zbytek i zepsute obyczaje cesarstwa rzymskiego wpłynęły na rozszerzenie się nauki epikurejskiej; cyrk mianowicie rzymski był odbiciem umysłowego i moralnego życia stariej stolicy świata. Epoka Nerona i Domicyana stała się najwyższym wyrazem materjalizmu.

Z powstaniem chrześcjanizmu, w przeciagu przeszło 10ciu wieków (od VI do XVI) znika materjalizm. Dopiero Mahomet stworzył obraz zmysłowy swego raju islamizmu.

Epoka Odrodzenia jest zjawieniem się nowem materjalizmu; wykładano go po uniwersytetach Włoch, Francyi i Niemiec; czasy reformy dały mu nowy popęd.

Anglia przekształcona przez rewolucję polityczną i religijną stała się ogniskiem materjalizmu nowożytnego; naukę Epikura wznowili tu Hobbes, Brown i Hume. Odtąd materjalizm próbował swój płodności; rewolucya francuzka jest epilogiem czwartego aktu historii materjalizmu.

Filozofia niemiecka stanowi akt piąty. Feuerbach zaczyna być racjonalistą w stylu Kanta, panteistą w pojęciu Hegla, a kończy na materjalizmie Epikura.

Zjawiają się też *Listy fizyologiczne* Vogt'a (physiologische Briefe), Moleschotta: *Obieg życia* (Kreislauf des Lebens), Büchnera: *Sila i materya* (Kraft und Stoff), które nadały systemat całej tej nauce.

W tém miejscu Dr Hassner rozbiera zasadę główną systematu tego; zaczyna od *logiki*, czyli umiejętności zastanawiającej się nad prawami ludzkiego poznania. Materjaliści twierdzą, że tylko to, co podpada pod zmysły, jest jedynie prawdziwe i rzeczywiste (Feuerbach), granica doświadczenia zmysłowego jest jednocześnie granicą myśli (Vogt), a wszelkie poznanie jest zmysłowym (Moleschotte). Ten ostatni mówi: *o jednéj wieczystej twórczej wszechmocy materyi*, Büchner: *o nieskończonej godności materyi*, Vogt: odwołuje się do *bezwzględnej siły natury*.

Ale jeżeli wszelka świadomość jest zmysłową, mówi Dr Hassner, jakąż wagę mogą mieć pojęcia wszechmocności, wszechpotęgi, wieczności, bezwzględności, nieskończoności, do których się materjaliści uciekają, a jak wytłumaczą metafizyczne pojęcia przyczyny i skutku, bytu i istoty, materyi i siły?

Z tych szczegółowych uwag składa Dr. Hassner ogólny zarzut, że materjaliści nielogiczni są w swój logice, bo mimo wypierania się wszelkiej duchowej siły, nie mogą się wyprzedzić myśli, wyobrażenia, nie pochodzących od zmysłów człowieka.

Następnie przechodzi na pole *metafizyki*. Materjaliści nie uznają metafizyki, znają tylko empiryzm. A jednak i ten ostatni nie może się obejść bez spekulacji. Dlatego to i materjaliści nowocześni, mimo nieuznawania metafizyki, ciągle na jej pole zachodzą.

Sila i materya. to treść ich nauki. Ponieważ (według Büchnera) niema materyi bez siły, ani siły bez materyi, nie ulega więc wątpliwości, że świat nie mógł być stworzony, a zatem jest wieczny!

Ale czémże jest materya? Jeżeli to *substancya*, to rzecz pewna że niema siły bez materyi, bo siła istnieć może tylko w istocie rzeczy, substancyi, czyli w rdzeniu bytowym. Niema też (w tém znaczeniu) i substancyi bez siły, bo każda istota żyjąca posiada pewną siłę zdolności do działania.

Rozebrawszy na tym gruncie zasadę materyalizmu i odrzuciwszy ją, przechodzi Dr Haffner do *psychologii*, a w końcu rozprawia się z materyalistami na polu *nauk przyrodzonych*. W dziedzinie psychologii zbija on tematy przeciwników, pod względem definiowania duszy i myśli. Według nich dusza jest *składnikiem*, doprowadzonym do jedności, pewnym *skutkiem* połączonego działania licznych pierwiastków materyi obdarzonych siłami (Büchner). *Mysł* jest tylko poruszeniem materyi (Moleschotte), jest sekrecją mózgu; jak wątroba, zółć, tak mózg wydziela myśl (Vogt); sądy i rozumowania płodem swych rodziców i mamki, powietrza, światła, ciepła i pożywienia (Feuerbach).

W zbijaniu tych wywodów Dr. Haffner wychodzi z zasady jeszcze Arystotelesa, podług którego dusza jest podstawową formą i główną siłą każdego organizmu. Jest więc ostatnim wyrazem życia, i jak każde nakreślone koło środek swój mieć musi, tak dusza jest ogniskiem harmonii życia. Zasadę tę rozwijając, dowodzi, że człowiek jest istotą obdarzona jednocześnie zmysłami i duchem, a że dusza jest połączona z ciałem, *myśli* przeto i czyny intelektualne żyją za pomocą materyi, to nie dowód aby była materyą. Jak artyście potrzebny jest instrument do wydania jego muzycznych pomysłów, naturalnego. Bez skrzypców Paganini nie zachwycałby słuchacza, a przecież skrzypce jego nie był y wirtuozem.

Na polu nauk przyrodzonych, (mówi Dr Haffner), w tej sferze podlegającej rachubie, wadze, analizie i doświadczeniu naturalistów, nie chcemy przeszkadzać ich pracom. Nie będziemy ich nawet zbijać, gdy oddani dociekaniom praw fizycznych, zbadawszy niebo i ziemię, powiedzą z Laplace'm, że w nich nie odkryli Boga, albo z Vogtem, że porozcinali wszystkie włókna ciała ludzkiego, a nie znaleźli w nich duszy; bo mimo ich wywodów, przyroda jest wielką księgą, w której się objawia bóstwo; ale kto w niej chce czytać, musi i sam mieć ideę ducha.

W końcu swego krytycznego rozbioru autor zbija zarzuty naturalistów co do chronologii stworzenia świata, jedności rodu ludzkiego i t. d., posiłkując się powagą zdań: Humboldta, Liebiga, Champilliona i t. p., oraz podaniami *ludów starożytnych* zgodnych z księgami biblijnymi. Powtarza słowa Liebiga, że naturalisci są to ludzie, którzy zaledwo dotknąwszy nauk przyrodzonych, chełpią się, iż ostatnie tajemnice nieba i ziemi wydarli.

Jak widzimy z treści broszury Dra Haffnera, przedmiot, którego dotyka jest za ważny i za obszerny, aby go w tak ciasnych ramach zamknąć w całości i wyczerpnąć można. Autor jednak jasno zestawił główne zasady materialistów, i wedle zakresu swego zadania rozebrał, z wnioskami wręcz przeciwnemi. A przynajmniej należy, że gdyby w rozbiórce jego mniej było uniesienia, a więcej systematyczności i spokoju, cel założenia zyskałby na doniosłości i powadze.

Codex diplomaticus Universitatis studii generalis Cracoviensis, continet privilegia, documenta, quae res gestas academiae ejusque beneficia, illustrant. Pars prima, 1365 - 1440. Kraków w druk. uniwersytetu, 1870 w 4ce str. XIV i 227.

Najznakomitszy ze znawców i badaczy dziejowej przeszłości Polski, nieodżałowany ś. p. Z. A. Helcel twierdził, że jeszcze nie nastąpiła pora kreślenia historii polskiej; że obecnie obowiązkiem wszystkich, których ta przeszłość interesuje, gromadzić i wydawać krytycznie materiały historyczne, a ich przerobienie i użytkowanie następcom pozostawiać należy. Kto uznaje słuszność uwagi i rady ś. p. Helcela, której on sam się przez cały ciąg swego pracowitego żywota wytrwale trzymał, ten z radością widzieć musi: że w istocie do rady tej w najnowszych czasach poczęto się u nas stosować; że w ostatnich kilku latach ruch naukowy na polu historii rzeczywiście przeważnie się właśnie ku wydawnictwu materiałów zwrócił, i że więcej się takich źródłowych w tym czasie pojawiło publikacji, niżeli samych przedstawień lub opracowań. Nie wszystkie wydawnictwa odznaczają się jeszcze potrzebą w takich razach ścisłością i krytycznością; ale i pod tym względem już niejaki postęp w porównaniu do dawniejszych zauważyć można i pocieszać się nadzieją, że postęp ten nie ustając z czasem, do zupełnie zadawalniających doprowadzi rezultatów.

Obok wydawnictw materiałów historycznych innego rodzaju, mnożą się także, właśnie teraz, kodeksa dyplomatyczne: jedne już się pojawiły, inne właśnie się przygotowują, inne wreszcie są zapowiedziane. Znaczenie takich zbiorów, dyplomatów i dokumentów, zwłaszcza dla dziejów dawniejszych, jest dostatecznie znanem i uznaniem przez tych, dla których są przeznaczone, t. j. przez badaczy przeszłości, aby potrzeba było się bliżej nad tém rozwozić: ilość zaś takich zbiorów u nas nie jest jeszcze wcale zbyt wielką, tak iż pomnożenie jej w każdym razie musi być rzeczą pożądaną. Dlatego słuszną wdzięczność należy się senatowi akademickiemu Uniwersytetu Jagiellońskiego iż postanowił wydać dyplomaturyusz

dotyczący dziejów tegoż uniwersytetu, na którego podstawie będzie dopiero można skreślić historią tej *Almae matris* wszystkich szkół w Polsce; taki wpływ na cały rozwój oświaty u nas wywierającej, a posiadającej w swęj przeszłości chwile wielkiego blasku. Kodeks dyplomatyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego dotąd pierwsza część się pojawiła, będzie nieocenionym przyczynkiem do poznania jednej z najważniejszych stron postępu cywilizacji w Polsce.

Niemniej wdzięczności należy się senatowi akademickiemu i za to, że dokonanie zamierzonego dzieła powierzył osobistości wiele ku temu odpowiedniej, znanemu z prac swych naukowych p. Żegocie Paulemu, który też wydania obecnej części pierwszej dopełnił w sposób wcale poprawny: jeżeli sam sposób wydania, nie wszystkim warunkom, jakieby postawić można, w zupełności czyni zadość, to jednak zadawalnia większą część słusznych wymagań, i dlatego, odbijając korzystnie od niektórych innych podobnych wydawnictw, zasługuje w ogólności na to, aby go nazwać poprawnym.

Obecna część pierwsza, odznaczająca się wcale piękną, a nawet wspaniałą powierzchnością (co do papieru, druku i ozdób), zawiera po krótkiej przedmowie rektora prof. Skobla, 104 dyplomata, po największej części według oryginałów oddrukowane, obejmujące przeciąg czasu od 1365—1440, poczynając od aktu fundacyi przez Kazimierza W. Po nich idzie spis rektorów od 1400—1440, następnie spis treści, a wreszcie indeks, nadzwyczaj bogaty i staranny, wiele więc wartość samego dzieła pomnażający. Dyplomata dotyczą założenia, odnowienia, uposażenia i t. d. samego uniwersytetu; obok wydanych po raz pierwszy, podano także dla zupełności i bardzo słusznie takie, które już przedtem gdzieindziej były drukowane. Ocenie ich znaczenie i wartość wewnętrzną będzie zadaniem przyszłego historyka Uniwersytetu Jagiellońskiego, dla którego taki kodeks będzie podstawą. Nam tu tylko raczej zwrócić uwagę na sam sposób wydania wypadła, i podnieść tegoż zarówno strony dodatnie, przeważające w tym razie, jako też i mniej liczne strony ujemne.

Do dodatknych stron należy przedewszystkiem indeks o którego pracowitej dokładności i staranności jużśmy powyżej wspomnieli; do dodatknych także staranne zawsze opisy oryginałów lub kopii, według których drukowano dokumenta, oraz opisy zawieszonych przy oryginałach pieczęci: do dodatknych wreszcie, po części przynajmniej zaliczylibyśmy pisownią, której się szanowny wydawca trzyma, choć w tem nie na wszystkie przez niego zachowywane zasady zgodzić się możemy.

Wydawca nie uważał za stosowne dać żadnego wyjaśnienia co do tych zasad: przeglądając więc dopiero same dokumenta przekonać się o nich możemy; i widzimy, że przedewszystkiem wyrzucone zostało *Ź*, słusznie, bo w tym czasie głoska ta nie istnieje jeszcze, a jeśli się pojawia, to tylko pozornie: właściwie bowiem jest to tylko kaligraficzna odmiana *z*, używana także we-

dług pewnych zasad, lecz z właściwem *j* nie mająca nic wspólnego. Słusznie więc przez wydawcę obecnego kodeksu została usunięta, i tylko zadziwiać nas musi, że niekiedy, choć rzadko, tutaj się pojawia, bez żadnego ze strony wydawcy objaśnienia dlaczego w tych paru razach od zasady konsekwentnie przeprowadzonej odstąpił. W tym więc jednym względzie zachowuje wydawca istotną pisownią samych dokumentów, nawet choć od niej pozornie odstępuje; w innych punktach prawie bez wyjątku trzyma się zasady modernizowania, w której zdaniem naszym za daleko się niekiedy posuwa. Jeżeli bowiem zgadzamy się na modernizację co do używania głosek *u* i *v*, na uregulowanie interpunkcyi według dziś w jej używaniu przyjętych zasad, na uregulowanie wreszcie używania wielkich głosek na początku wyrazów; jeżeli następnie przyjęte przez wydawcę nowożytnie używanie głosek *c* i *t* uważamy za rzecz obojętną, to nie możemy się jednak zgodzić na zastosowanie takiejże modernizacji co do dwugłoski *ae*. Dwugłoska ta bowiem, o ile nam wiadomo, w tym czasie nigdy nie zachodzi w samych dyplomatach, lecz zawsze i stale bywa zastępowana przez proste *e*; zmiana więc taka nie jest rzeczą obojętną, jeżeli się zważy, że pojawianie się dwugłoski *ae* da się co do czasu dosyć ściśle oznaczyć, a ztąd może nawet służyć poniekąd za kryterium przy oznaczeniu czasu jakiegoś dyplomu, lub przy dochodzeniu jego autentyczności. Dlatego myślimy, że w tym punkcie modernizowanie pisowni przez szanownego wydawcę przekracza dozwolone granice. Od zasady tej jednak niekiedy sam wydawca, znów bez objaśnienia, odstępuje, np.: *Zallice* (str. 13).

Do ujemnych znów stron obecnego wydawnictwa musimy zaliczyć nie dosyć ściśle oznaczenie luk zachodzących w paru, na szczególne bardzo nielicznych miejscach w samych oryginałach; zamiast owych kilku kropek które w tem miejscu kładzie wydawca, byłoby pożądanem bliższe określenie, wiele mniej więcj liter lub wyrazów tu brakuje. Również ujemne strony dają się dostrzegać przy rozwiązywaniu niektórych dat; rozwiązanie to, jest przy niektórych dyplomatach zupełnie fałszywe, jak np: nr. XXXIII, LXXXVI, XCIV, XCVI; przy innych nr. XXVII, XXXI, LIX, LXXXVIII, podlega pewnym wątpliwościom, co do których należało koniecznie do wydawcy podać jakieś objaśnienia i wytłumaczyć się, dlaczego te wątpliwe daty w ten a nie w inny sposób rozwiązał.

Jużto brak objaśnień, not i przypisów jest właśnie najsłabszą stroną obecnego dyplomatarjusza; wydawca tak dalece jest im przeciwny, że nawet skąpi niezbędnego nieraz w tekście *sic*, przy niezwykle wyrażeniach lub przekręconych słowach, tak iż czasami zachodzi wątpliwość: czy to z omyłką druku, czy też z omyłką w samym oryginale mamy do czynienia; niekiedy zaś właśnie ten ostatni wypadek zdaje się zachodzić. Jeszcze bardziej zaś czuć brak objaśnień co do wspomnianych w dyplomatach miejscowości,

objaśnień niezbędnych przy dyplomataruszach lokalnych, których nieraz dziwacznie przekręcone nazwy wsi lub miejsc nie trudno byłoby wytłumaczyć wydawcy, w tych samych stronach przebywającemu, a niepodobienstwem byłoby odgadnąć komuś, co gdzie indziej z dyplomatarusza korzystać zechce.

Tak więc obok wielu zalet przedstawia zbiór o którym mówimy i niektóre niedokładności, na które także zwrócić uwagę byłoby naszym obowiązkiem: mniej jednak liczne, tak iż kończąc, powtórzę nam wypada, iż jest on wcale poprawnie wydany i życzyć należy, aby wydawnictwo dalszego ciągu kodeksu Uniwersytetu Jagiellońskiego, mogło być pod kierunkiem tegoż samego szanownego wydawcy dokonaniem.

W. Z.



OD REDAKCYI

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Pan A. T. złożył Redakcyi Biblioteki Warszawskiej rs. 150, przeznaczając tę summę na nagrodę za najlepszą książkę, napisaną w języku polskim dla dzieci, i zobowiązał Redakcyę do oznaczenia konkursu, ocenienia prac i przyznania nagrody.

Redakcyja przyjąwszy obowiązek takowy, ogłasza konkurs na napisanie książki dla dzieci od lat 10 do 14 wieku. Przedmiotem książki ma być: wykład prawd i wiadomości z dziedziny przyrody i ducha, dla podniesienia umysłu i uszlachetnienia serc młodych. Książka taka może mieć tytuł: „Podróż z dziećmi po świecie przyrody i ducha”, lub inny, jaki autorowi nadać się podoba. Szczegółowe oznaczenie konkursu obejmuje wyjaśnienie poniżej pod lit. A umieszczone.

Konkurs dopełniony będzie w następującym porządku:

1) Rękopisma konkursowe przesyłać należy wprost pod adresem: Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej ulica Mazowiecka Nr 11 nowy (dawny 1350).

2) Ostateczny termin do przyjęcia rękopismów oznacza się na dzień 1 lutego 1873 r.

3) Rękopisma czytelnie pisane nadsyłane będą z zatajeniem nazwiska autora. Z tego powodu każdy rękopism na tytule opatrzony być winien godłem, powtórzoném na kopercie zapieczętowanej, w której znajdować się ma kartka z imieniem, nazwiskiem autora i ze wskazaniem zamieszkania. Po przyznaniu nagrody koperta należąca do rękopismu nagrodzonego otwiera się. Inne wszystkie nienaruszone zwracają się wraz z rękopismami tym, którzy je złożyli i otrzymali pokwitowanie.

4) Wybrane osoby z grona Redakcyi oraz zaproszeni uczeni, których poświęcenie się wychowaniu młodzieży jest zaszczytnie znane, ocenią prace konkursowe i rezultat ogłoszą w dniu 1 marca 1873 r.

5) Nagroda bezzwłocznie po przyznaniu wypłaconą zostanie autorowi, a razem zwrócony mu będzie rękopism jako jego wyłączna własność, z włożeniem na niego obowiązku moralnego: aby się postarał o wydrukowanie swój pracy.

A.

Wyjaśnienie programu dzieła konkursowego dla dzieci.

Warunki, jakich żądamy od dzieła dla dzieci przeznaczonego, winny w zupełności odpowiadać tym przymiotom umysłu i serca, jakie w młodzieńcu i człowieku dojrzałym widzieć pragniemy. Książka taka ma być środkiem pomocniczym w wychowaniu domowym, ma rozwijać umysł dziecięcia, wzbogacać jego wiedzę, kształcić serce, winna zrodzić w dziecku poczucie obowiązku i wolę zaprawić do chętnego jego wykonywania. Jak poznanie Boga jest pierwszą powinnością człowieka, tak też i w całym dziele główna uwaga na to zwróconą być winna. Obznajmienie dziecka z tworamii natury, z cudną harmonią świata wśród całej jego różnaitości, z ukształtowaniem się kuli ziemskiej, z niewysłowienie mądrą budową ciała ludzkiego, da mu poznać mądrość i wszechmocność Stwórcy, który do wyprowadzenia tego wszystkiego z niczego, nie potrzebował ani pomocnika, ani narzędzi, ani namysłu. Dając wszakże dziecku poznać świat zewnętrzny, autor nie powinien sądzić, że się tu ma na celu wykład systematyczny jakiegokolwiek nauki, bynajmniej, podać on tylko winien w wykładzie przystępnym i zajmującym wyniki badań naukowych. Opowiadając życie jestestw organicznych, formację nieorganicznych, niech się autor strzeże kłase czynności zwierząt, ptaków, owadów na karb jakichś ich zasług, tylko eo nie cnot; gdzie nie masz wolnej woli, tam i zasługi być nie może. Niech pokaże tylko na przykładach mądrość Stwórcy, który wlał we wszystkie twory organiczne odrębną naturę, dał jednemu zwierzęciu charakter łagodny, ciepłiwyy, poddający się woli człowieka, innemu dziki, nieugięty, drapieżny, krwi chciwy. Oswojenie zwierząt, wyuczenie ich różnych sztuk autor objaśni ich zmyślnością, a jeszcze bardziej dowodem, czego wytrwała praca ludzka dokazać potrafi. Zaraz jednak doda, że te zwierzęta uczone nie mają świadomości swych czynów i dzieci swoich nie wyuczają obrotów, do jakich się włożono. Szczenię nie nauczy się od matki ani warować, ani podawać, ani na łapkach

służyć; kocię, zrodzone w lesie choćby od najpięszcotelwlszej maki, pozostanie dzikin, jakim był pierwszy jego prarodzie; możność moralnego doskonalenia się i przekazywania idei potomkom, daną została tylko człowiekowi, i ona to główną, odróżniającą go od zwierząt cechę jego stanowi. Niech autor w opowiadaniach o wspańiałomyślności, wdzięczności i innych przymiotach zwierząt, nie upatruje w tych ostatnich podniesienia ich do cech znamionujących istotę duszą obdarzoną; wywyższanie bowiem zwierząt jestto samo, co poniżanie człowieka. Mówiąc o pracowitości mrówki, o skrętności pszczołki, wierności psa, niech się strzeże wystawiać te stworzenia człowiekowi, jako wzór do naśladowania; nie potrzebujemy uczyć się cnót od nierozumnych zwierząt lub owadów: mamy czystsze źródło moralności, mamy do naśladowania wzory szczytniejsze, bo święte i boskie.

Nie idzie wszakże zatem, aby w opowiadaniu o zwierzętach nie było mowy o ich zwyczajach i obyczajach; owszem przedstawienie ich będzie bardzo właściwe, wykaże bowiem naturę zwierząt, poznanie której dla człowieka jest konieczne, tak dla obrócenia ich na swój pożytek, jak i dla uchronienia siebie, dobytku i pólów od ich szkodliwych działań. Tak samo autor postąpi i ze światem roślinnym, wskazując dziecku na rośliny użyteczne, szkodliwe i na odznaczające się pięknnością barwy lub przyjemnością woni. Z królestwa kopalnego dotknie najużyteczniejszych kruszców i minerałów; od znajomości bowiem obchodzenia się z nimi przemysł kraju, a zatem jego dobrobyt zależy.

O wyczerpaniu tych kategorii mowy nawet być nie może, tak samo jak nie będzie miał autor na względzie systematycznego wykładu jeografii fizycznej lub matematycznej, choć opowie dzieciom o wulkanach, trzęsieniach ziemi, stosunku kuli ziemskiej do innych planet, o zjawiskach natury i innych tym podobnych przedmiotach.

Od poznania świata fizycznego autor przejdzie do obeznania dziecka ze światem wewnętrznym czyli ducha naszego. Tu dwa cele autor założyć sobie powinien: pierwszym, ma być wzbogacenie tejże wiedzy, drugim, kształcenie serca dziecięcia. Skutkiem pierwszego, ma być wykształcenie dziecka na pożytecznego członka społeczeństwa, drugiego, wyrobienie w nióm charakteru poczciwego, obudzenie zaniłowania cnoty, czyli, co jedno znaczy, gorącej miłości Boga i bliźniego. Do pierwszego doprowadzą powiastki z życia narodów, opowiadania o najważniejszych odkryciach i wynalazkach; do drugiego, przykłady cnót, poświęcenia się dla bliźnich z życia ludzi pojedynczych, dobroczyńców ludzkości. Wystawiając wszakże potęgę rozumu ludzkiego, autor strzedz będzie dziecko od pychy, od zbytelnego zaufania w moc rozumu i wskaże na łaskę Bożą, jako na najwyższe źródło wielkich czynów, któremi Bóg natchnął wybrane przez się narzędzia dla okazania swęj miłości ku ludzióm, dla ich dobra i szczęścia.

O złych namiętnościach ludzkich, o czynach niecnych, poniżających godność człowieka, autor winien zamileć; samo zamiłowanie cnoty zrodzi już wstręt do występku. Miłość najczystsza, bezinteresowna, prawdziwie chrześcijańska, niech przenika każde opowiadanie historyczne; niech autor wyraźnie nawet wskaże dziecku, że wielkim człowiekiem jest nie ten, co łyż ludzioro wy-ciskał, choćby najgenialniejszymi pomysłami gwałtu i zniszczenia, ale ten, co je ocierał, co w serca zbolale wlewał pociechę i nadzieję, a upadłych moralnie lub upośledzonych fizycznie uzaczał i podnosił.

Mówiąc o społeczeństwie ludzkim, autor przeprowadzi myśl, że podstawą jego jest rodzina; gdzie więc życia rodzinnego niema, gdzie węzły wiążące członków rodziny w jedną całość są potargane lub nie uszanowane, tam społeczeństwo długo ostać się niemoże, i przy pierwszem zetknięciu się z żywiołami przeciwnemi runąć musi koniecznie, tak jak runie od pierwszego gwałtownego wichru budowla nie mająca silnej podwaliny.

Forma jaką autor ma nadać swoim opowiadaniom, pozostawia się jemu samemu; najwłaściwszym zaś tytułem byłoby: „Podróż z dziećmi po świecie przyrody i ducha.“ Język ma być czysty, styl łatwy i ujmujący, bez spotykanych tak często a ekliwych zwrotów: „kochane dziatki, kochani przyjaciele!“ Dzieci wiedzieć nawet nie powinny, że autor miał na względzie cel pedagogiczny; niech tylko dzieło będzie zajmującym i w treść bogatym, niech je potem dzieci rozsądnie czytają, a błogie skutki same przez się nastąpią, co jest właśnie zadaniem konkursu.

Redakoya Biblioteki Warszawskiej.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1871 r. — Sześciu znaczniejszych księgarzy warszawskich ogłosiło katalog „celniejszych pism peryodycznych polskich, francuzkich, niemieckich i angielskich na rok 1872, na które prenumeratę przyjmują.“ Z tych wyliczamy polskie wychodzące w samej Warszawie: 1) *Biblioteka Rolnicza* (miesięcznie); 2) *Biblioteka Romansów i Fowieści* (tygodniowo); 3) *Biblioteka Warszawska* (miesięcznie); 4) *Bluszez* (tygodniowo); 5) *Ekonomista* (miesięcznie); 6) *Gazeta Lekarska* (tygodniowo); 7) *Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza* (tyg. z rycinami); 8) *Gazeta Rolnicza* (tyg.); 9) *Izraelita* (tygodniowo); 10) *Kłosa* (tygodniowa ilustracja); 11) *Kolce* (dwutygodnik humorystyczno-satyryczny); 12) *Kronika Rodzinna* (24 numerów rocznie); 13) *Kuryer Świąteczny*; 14) *Kuryer Rolniczy* (wydawany przez Redakcję Gazety Rolniczej); 15) *Mucha* (tygodnik humorystyczno-satyryczny); 16) *Niwa* (dwutygodnik naukowy); 17) *Opiekun Domowy* (tygodniowo); 18) *Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego*; 19) *Przegląd Katolicki* (tygodniowo); 20) *Przegląd Sądowy* (miesięcznie); 21) *Przegląd Tygodniowy*; 22) *Przyjaciel Dzieci* (tygodniowo); 23) *Przyroda i Przemysł* (tygodnik popularno-naukowy); 24) *Świat muzykalny* (tygodniowo: nuty na fortepian i do śpiewu); 25) *Tygodnik Ilustrowany*; 26) *Tygodnik Mód*; 27) *Tygodnik Rolniczy*; 28) *Tygodnik Romansów i Powieści*; 29) *Wędrowiec* (tygodniowo); 30) *Wieniec* (pismo ilustrowane, dwa razy na tydzień); 31) *Zorza* (tygodniowo). Prenumerata roczna w Warszawie na te pisma wynosi r. 152 kop. 60 (złp. 1017 gr. 10). Doliczając do tego pisma treści politycznej w Warszawie wychodzące, jak: *Gazeta Polska*, *Gazeta Warszawska*, *Kuryer Warszawski*, *Kurjer Codzienny*, *Gazeta Handlowa* i *Dziennik Warszawski*, razem wyniesie 37 pism, a dodawszy *Gazetę Kielecką*, *Kaliszanina* i *Kuryera Lubelskiego*, w ogóle w Królestwie Polskiem wychodzi pism 40 w języku polskim.

— Warszawa na początku roku 1871 liczyła mieszkańców 264,476, nie licząc w to garnizonu dochodzącego do 14,000. Osób wyznania prawosławnego w Warszawie było: mężczyznu 3989, kobiet 2832.

— *Dziennika Praw* tom 71 wyszedł z drukarni rządowej Okręgu Naukowego (w 8ce str. 135). Jestto tom ostatni tego dziennika, którego wydawnictwo rozpoczęło się za czasów Księstwa Warszawskiego, a następnie trwało ciągle od roku 1815 przez lat 56. W końcu tego tomu mieści się Ukaz Najwyższy o nowym porządku ogłaszania praw, i o zaprzestaniu wydawnictwa *Dziennika Praw*.

— Zapowiedziane wydawnictwo: *Komedyj Aleksandra hrabiego Fredry* przez znaną firmę księgarni Gebethnera i Wolffa, ukończone zostało. Obecnie bowiem wyszły ostatnie dwa tomy: IV i V tego dzieła, które też doznało spodziewanego przyjęcia. Z nakładu 10,000 egzemplarzy, już większa połowa rozkupioną została. Edycja ta, w niczem się nie różniąca od pierwszego wydania, pod okiem samego autora drukowanego w Wiedniu i Lwowie, odznacza się sumienną starannością tak pod względem korekty jak i warunków typograficznych. Cena też niesłychanie niska, ułatwia nabycie najmnijem zaможnym.

— *Poczyj Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli)* wyszedł tom IV, oprócz drobniejszych utworów, obejmuje poemat *Stella Fornarina* i dramat: „*Chatka w lesie*“ w 2ch częściach.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa ogłosiła prenumeratę na pisma *Kazimierza Brodzińskiego*: „Wydanie nowe, poprawne i pomnożone z niewydanych rękopismów, pod redakcją i kierunkiem J. I. Kraszewskiego. Dzieła wszystkie, poezye oryginalne, tłumaczenia, rozprawy, opowiadania, kursa, mowy, urywki okolicznościowe i t. p., obejmą sześć wielkich tomów ścisłego druku w 8ce większej.“

Celem ułatwienia nabycia tego zbioru, jak największej liczbie czytelników, ustanowiono cenę prenumeracyjną jak najprzystępniejszą, bo rsr. 6, i takowa częściowo może być wnoszoną. Druk już pierwszego tomu rozpoczęty i bez przerwy postępować będzie, tak, by wszystkie dzieła w przeciągu kilkunastu miesięcy wyjść mogły.

Zwrócić tu uwagę czytelników naszych mamy za obowiązek i przypomnieć, że ś. p. F. S. Dmochowski, czcąc pamięć przyjaciela swego Kazimierza Brodzińskiego, staraniem i zabiegami troskliwemi, ochroniłszy od zatury jego pisma, ułożył je systematycznie, uporządkował i gotowy rękopism rodzinie poety złożył, poświęciwszy kilka lat ostatnich życia tej mozolnej pracy. Rękopisma te właśnie teraz wychodzą z druku pod kierunkiem J. Ig. Kraszewskiego.

— Nakładem księgarni E. Wende i spółki wyszła książka pod tytułem: *Powieści z tysiąca i jednej nocy z czterema rycinami kolorowanymi w pięknej oprawie*. Jestto podarek noworoczny dla młodego pokolenia.

— Do liczby wielu pism peryodycznych, które od Nowego Roku zacząć wychodzić, zasługuje na uwagę „*Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza*“, której wydawcą jest p. Wiktor Sommer, a redaktorem Aleksander Makowiecki. Wychodzić będzie raz na tydzień z odpowiedniami rysunkami. Prenumerata roczna wynosi rsr. 4 w Warszawie; na prowincyi, w Królestwie i Cesarstwie rsr. 5 kopiejek 20.

— W ozdobnym i starannem wydaniu, wyszedł z pod prassy: „*Jana Jaworskiego Kalendarz Ilustrowany, na rok przestępny 1872.*“ Kartę tytułową zdobi widok miasta Kalisza podług foto-

grafii p. Fingerhuta. Pod względem typograficznym jestto naj-
 ozdobniejszy ze wszystkich kalendarz.

— Gazeta Polska donosi, że hr. Stanisław Tarnowski nabył
 rękopism Mickiewicza: „Pan Tadeusz“ za 4,000 złotych reńskich.
 Rękopism ten od śmierci znakomitego naszego poety, znajdował się
 w posiadaniu jego syna Władysława Mickiewicza, księgarza w Pa-
 ryżu, który utraciwszy wskutek zaburzeń paryzkich całe swe mie-
 nie, zmuszony został sprzedać ten ocalony od zniszczenia szauowuy
 po ojcu swym zabytek.

— Nakładem antykwaryusza Breslauera, wydawcy publika-
 cyj: *Barbary Ubryk*, *Izabelli* i *Eugenii*, wyszły poezye T. Kajetana
 Węgierskiego. Stanowią one dział trzeci szumnie zapowiedzianej
 Biblioteki klasyków polskich, rozpoczętej pismami Kochanowskie-
 go. Tandetne to wydawnictwo żadnej wartości literackiej niema.

— Gustaw Mosbach wydał w Wrocławiu dwa dzieła bliżej
 nas dotyczące w języku niemieckim: 1) „*Obiór jedenastoletniego
 królewicza polskiego Karola Ferdynanda na biskupstwo Wrocław-
 skie w r. 1625.*“ W przypisach do tego dzieła znajdują się obja-
 śnienia dotyczące stosunku biskupstwa wrocławskiego do jego da-
 wniej metropolii gnieźnieńskiej, 2) „*Przyczynki do wojny francuz-
 ko-niemieckiej 1800—1803,*“ opracowane według wskazówek ofi-
 cerów polskich, rzucające nowe zupełnie światło na nie jeden szcze-
 gół okresu tego.

— Czytamy w *Gazecie Polskiej*: „Najdawniejsza księga pro-
 tokółów magistratu toruńskiego, przewieziona wraz z innymi cenne-
 mi zabytkami do cesarskiej biblioteki petersburskiej, sprowadzo-
 ną obecnie została z Petersburga do Torunia na dwa miesiące, sto-
 sownie do prośby Towarzystwa związanego na uczczenie jubileu-
 szowe Kopernika. Jestto niewielka księga pergaminowa, zawiera-
 jąca protokół czynności sądowych w Toruniu od roku 1363—1428.
 Znajdują się w niej dwa akta tyczące się rodziny Koperników,
 a mianowicie działy spadkowe z lat 1400 i 1422. W ostatnim
 z nich jest wzmianka o Koperniku z Frankensteina, miasta na Szlą-
 zku, w bliskości którego po dziś dzień istnieje wioska *Kopernik*
 zwana. Godnym jest też uwagi zawarty w teje księdze testament
 kupca tatarskiego z Kaffy, który umierając w Toruniu r. 1409 ofia-
 rował wiele sznurów pereł dla toruńskich kościołów.

† Dnia 26 grudnia 1871 r. zakończył życie o godz. 5ój po po-
 łudniu Alexander hr. Przezdziecki, współredaktor naszego pisma.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

OSTATNI KLASSYK.

WSPOMNIENIE Z PIÉRWSZÉJ POŁOWY NASZEGO STULECIA.

I.

„Cudze rzeczy wiedzieć ciekawość
jest, a swoje potrzeba.”

A. W. Fredro (przysłowie).

W dziejach literatury naszéj, najważniejsze mamy zjawisko w naszym wieku, a szczególnie téż w piérszéj jego połowie. Wyobrażenia o poezji, jak i w innych gałęziach literatury, zupełnéj uległy zmianie, i prawdziwy w nich, a lotny jak błyskawica widzimy postęp, przewrót dawnych przekonań, i zdeptanie hołdownictwa przyjętym za nietykalne przepisom, które na mocy długich lat istnienia, nabrały powagi prawa.

Mamy mówić o człowieku, który pomimo woli i z przy-padku stał się typową postacią, wśród gorącej walki klasyków i romantyków; uważany jako przywódca piérszych, a zacięty wróg drugich. Dziś czytając co piszą ci, którzy w owéj walce żadnego udziału nie mieli, a po zerwaniu złotéj przędzy *tradycyji*, tylko z podsłuchu najfałszywszych wieści o niéj rozprawiają: zdawałoby się, że *Ludwik Osiniski* należał do wodzów staréj klassyczności, podnosił jéj sztandar wysoko, i jako najwaleczniejszy z bojujących, na ostatnim wyłomie walczył jeszcze zacięcie w imię jéj idei. Zanim damy jego wierny wizerunek i stanowisko właściwe jakie zajmował, musimy przedewszystkiem skreślić kronikę literacką owych czasów, a najprzód przypomnieć, co w tę dobę rozumiano przez wyraz *klassyczność!*

Klasycznością w prawdziwem znaczeniu, były dzieła starożytnych Greków i Rzymian, zdaniem powszechném za najlepsze uznane, i które za wzór wskazywano. Wyobrażenie to, następnie u nas się zmieniło, i w tym właśnie okresie o którym mówimy, pod to zaszczytne znaczenie podciągnięto prawie wszystko co nie uchylało przepisom sztuki, co gustem zbliżało się do złotego wieku Rzymian, a głównie do smaku Francyi, szczególniej pod Ludwikiem XIV.

Wpływ i przewaga literatury francuzkiej, ślepe jęj naśladownictwo, to pojęcie ugruntowało. Zapomniano o arcydziełach starożytnej Hellady; Wirgili i Horacy stanęli na szczycie ówczesnego parnasu, ale i ci zwolna spychani w otchłań zapomnienia, których miejsce liczny tłum pisarzy francuzkich zajmował od Kornela, Rasyana, Moliera, do Woltera patrzącego na nas z szyderskiem zawsze a wychudzonem obliczem.

Szkolne wychowanie podtrzymywało wprawdzie pamięć tak dziejów światowładnej *Romy*, jak i jęj znakomitych pisarzy. Poeci tacy, jak: Wirgili, Horacy, Owidiusz; historycy, jak: Liwiusz i Salustiusz; mówcy, jak Cycero, byli znajomi młodzieży, dopóki na ławach studenckich siedzieli: ale gdy wyszli z murów szkolnych na świat szeroki, gwar jego i towarzyskie stosunki, zacierają wprędce ich pamięć. Tylko jakiś uczony z powołania, albo zapalony *lacinnik*, czy na roli, czy przy stoliku urzędnika, przypominał sobie ustępy Enejdy, Bukolik, albo ziemiaństwa Wirgilego, lub dla pociechy dusznej jaki fragment z pieśni Horacyusza.

Tak było na początku naszego stulecia nie całe ćwierć wieku obejmując, bo coraz silniej francuzczyzna przygniatała i te wspomnienia. A wpływ jęj ciągnął się oddawna; i uwieńczony téż został niezachwianą przewagą, i powagą Stanisława Augusta.

On to, zaszczytną nazwę dawną *sarmatyzmu*, okrył śmiesznością, a dla wywołania pogardy większej wymógł na Franciszku Zabłockim, jedynym w owe czasy, najdoskonalszym komedyo-pisarzu, do napisania komedyj p. n. *Sarmatyzm*, którą odczytywał z poklaskiem obecnych na *uczonych czwartkowych* obiadach, w zamku królewskim.

Smutek i boleść przejmując czytając ten utwór, z dążnością z góry poleconą, żal tych pięknych wierszy, tego języka

bijącego życiem, użytych do skreślenia scen brudnych i ohydnych.

Stanisław August chorował na naśladownictwo Ludwika XIV, i temu to zawdzięczamy przynajmniej zaprowadzenie stałego teatru w Warszawie.

Stary zwyczaj i obyczaj domowych naszych ognisk, jako *sarmatyzm* poszły w pośmiewisko! język sam w poniewierkę, i to trwało długo a tak szeroko, nietylko w *pańskich* domach, które oddawna zdudziomszczały, ale i w średniej klasie stanowiącej właśnie obywatelstwo tak wiejskie jak i miejskie, że *Kazimierz Brodziński* napisał pełną rzewności elegię „za polskim językiem” a *Klementyna Tańska* (późniejsza Hofmanowa) naznaczyła karę pieniężną, na zebraniach swoich, za kaleczenie frazesami francuzkimi macierzystej mowy. Wyraz *klassyczności* nie schodził z pola, ale teraz wyłącznie obejmował utwory literatury nadsekwańskięj.

Wypadki jakie zaszły od bitwy pod *Jena* 1806 r., i utworzenie Księstwa Warszawskiego, musiało umacniać ciągle tak język jak i literaturę francuzką. Wszystko więc co czuło jakiś talent i pociąg do pióra, brało się do tłumaczeń. Tak *Henryady* Woltera mamy kilka przekładów; toż mówić o tłumaczeniach tragedyi Kornela, Rasyne i poematów *Delila*, nielicząc mnóstwa powieści zaczawszy od *Floryana* i *pani Genlis* jak i drobniejszych utworów poetycznych.

Zasłepienie z uwielbieniem dla literatury francuzkięj, tak było przeważne, że liche powiastki z tego języka, przerabiano w poemata, i te zyskiwały szeroki rozgłos. Tak było z drobną powiastką *Montesquiu*'ego „*Świątynia Wenery w Knidos*”, którą *Józef Szymanowski*, w ostatnich latach zeszłego wieku przetworzył na poemat. Sam, zacny życiem i usługami dla kraju obywatel, w wolnych chwilach od prac ważniejszych, zajął się tą przeróbką prozy francuzkięj na wiersz polski, jako miłą dla siebie rozrywkę, ani myśląc, że z tej drobnostki, ktoś zechce zrobić jakieś ważne literackie dzieło. Umięra w r. 1801, i w tymże samym *Stanisław Potocki* wystąpiwszy w zgromadzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ogłasza z niezwykłym zapalem i wymową *Świątynię Wenery w Knidos*, jako „arcydzieło stanowiące epokę w literaturze polskięj.” Powaga jakięj używał *Potocki*, sprawiła, że *Jan Feliks Tarnowski*, tego arcydzieła, nowe wspaniałe

wydanie w Parmie, w drukarni J. B. Bodoni'ego ogłosił (w 4-ce str. 63). Niezręczna pochwała przyjaciela stała się następnie powodem szyderstwa, na które nie zasłużył Szymanowski.

Upadek Napoleona Iego przyniósł pożądany pokój, a z nim zaczęło się nowe życie literackie przygłuszone przez lat wiele wojenną wrzawą.

Powoli, od roku 1815 potrzeby umysłowe i myśl społeczności naszej oderwane w inne strony, teraz zaczęły zwracać się ku duchowój. I znaleźli się zaraz ludzie, którzy pojmując te potrzeby, starali się je zaspokoić.

Feliks Bentkowski obejmuje redakcyę *Pamiętnika Warszawskiego*, i kreśli przedwstępne słowo w Boże Narodzenie 1814r. a następnego roku w styczniu, wychodzi pierwszy zeszyt tego naukowego organu nakładem księgarza Józefa Zawadzkiego. Tytułem swoim przypominał on wydawnictwa tego rodzaju Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iliady* i *Eneidy*, a w czasach Księstwa Warszawskiego *Pamiętnik* podobny redakcyi Ludwika Osińskiego,

Pismo to jeżeli z jednéj strony zaspokajało w części ówczesne pragnienia, nie odpowiadało wszelako życzeniu w zupełności ogółu, wychodziło bowiem raz na miesiąc i więcéj poważne podawało artykuły, jakkolwiek nie brakło i lżejszych utworów, szczególnież prawdziwój wartości, poetycznych.

W obudzeniu prawdziwego życia w prassie peryodycznej główna należy zasługa Brunonowi hr. Kicińskiemu. Młody, pełen zapału, wysoko wykształcony i talentu niepośledniego, znający gruntownie języki: grecki, łaciński jak i nowożytny, zakłada własną drukarnię i w r. 1818 występuje z nowym organem literackim: „*Tygodnik Polski i Zagraniczny*.”

Nie możemy pominąć *Odezwy* tego *Tygodnika do swoich starszych braci, innych pism peryodycznych*” gdyż w nim znajdujemy zarazem program tego pisarza.

„Słaby jeszcze i wahający się, staję przed wami starsi bracia moi, może godny tak szanownego grona, może zbyt śmiały, że się do niego natrętnie wdzieram. Wady i przymioty moje, byt mój nawet, gruba jeszcze przyszłości okrywa zasłona. Czyli jest przeznaczeniem mojem półki księgarni, czy sklepów korzennych zajmować, czy z wielką częścią spółczesnych kolegów, jak niegdyś Karol V pogrzebowi memu żywcem mam assystować, czy ze ś. p. *Pamiętnikami* Świt-

kowskiego, Dmochowskiego, Osińskiego i *Zagranicznym*, co cyprysy swoje laurem uweselili, miłą pamiątkę i żal współziomków poniosę do grobu, wszystko to na łonie *jutra* głęboko jest zakryte. Szanujmy tę noc niewiadomości, która skrzydły swemi kołębkę moją osłania, bo jest pogodna, bo gwiazda nadziei choć zdaleka, choć słabo, ale mile błyska, a kto wie czy jutrzeńska równie będzie przyjemną. Nie jeden z was zazdrości mi pewnie stanu, w którym o losie swoim jeszcze wątpić wolno. Ale cóż czynić! Trzeba się raz odważyć: wie żołnierz że na polu walki grady śmierci biją, przecież na nią idzie śmiało.

„Musieliście słyszeć, panowie moi, o pewnym roztroprnym człowieku, który wracając do domu, wystawiał sobie zawsze że go największe czekają nieszczęścia, ażeby się cieszyć nie tylko z pomyślnych wypadków, ale i z klęsk niedoświadczonych: tak i ja idąc przed sąd publiczności, widzę gotującą się nawałność, widzę ostrzące się na mnie w surową krytykę brzemienne recenzentów pióra. W tak drażliwem położeniu raczyło mi podszeptać doświadczenie:—„Patrz jak inni ludzie wychodzą, protekcyja daje miejsca, protekcyja daje talenta!”

„Uciekam się więc pod waszą protekcyę starsi bracia mo i, szczególnie pod twoją szanowna babko wszystkich pism peryodycznych *Gazeto Warszawski*! Długoletnie utrzymywanie się na teatrze świata, dało ci wielką powagę, Wyrocznie narodu! Ty, co jednem tchnieniem nadymasz tysiąc trąb sławy (1) przyjm mię za swego klienta: znajdziesz wdzięcznego. Niech sarka zawiść, że nieodstępne wieku przywary i ciebie zaraziły, że zamiast nowin, starodawne przetapiasz dzieje, że się kochasz w dykteryjkach i anegdotach; niech upatrują w tém śmieszność, że zbrzydziwszy sobie stan wdowy połączyłaś się z *Pustelnikiem*, którego plantacya nadsekwańskich kwiatów, po prostu w grunt nasz wsadzonych nie najlepiej się przyjęła... Wszakże i w słońcu znaleziono plamy! (2) O wy! co wszystko odrazu doskonałem mieć

(1) Tysiąc egzemplarzy rozchodziło się wówczas *Gaz. Warszawskiej*.

(2) „*Pustelnikiem z Krakowskiego Przedmieścia*” który pojawiał się w *Gazecie Warszawskiej*, był Gerard Maurycy Witowski: on to, wzięwszy sobie za wzór wychodzące szkice w Paryżu p. n. „*L'Ermité de Chaussée d'Antin par Jais*” naśladować je stosował i nagiął do zwyczajów Warszawy

chcecie, odczytajcie dewizę jednego z naszych pism peryodycznych: „Nigdy ten nic nie zrobi, kto się zawsze boi źle zrobić!”

„I pod twoją możliwą opieką udaję się *Pamiętniku Warszawski!* Ty, któremu zarzucają, że przy terażniejszej naukowej temperaturze, często zapadasz na chorobę czczości, pozwól mi gdęrać, ja wszędzie ujmę się za tobą (w podobnym razie podobną pomoc zastrzegając sobie).

„A wy inni bracia! nie bójcie się, nowy przybysz nie pozabawi was chleba, nie walczy on z wami w jednymże zawodzie: ci tylko na niego prenumerować będą, którzy się zechcą zabawić!”

Publiczność rzeczywiście szukała w literaturze zabawy i rozrywki umysłowej: znalazł też *Tygodnik* świetne powodzenie. Wydanie było staranne i ozdobne, dodawano bowiem tak ryciny kolorowane, głównie przedstawiające znakomitszych naszych aktorów w rolach zarówno tragicznych jak komicznych, i nuty do pieśni, które tym sposobem prędko się rozpowszechniały.

Podparli dzielnie ten nowy organ, młodzi, pełni talentu pisarze. W *Tygodniku* pierwsze miejsce zajmował jako prawdziwy poeta, w całym słowa tego znaczeniu *Antoni Górecki*. Utwory jego odznaczały się wybitnie, niepospolitą treścią, formą artystyczną, siłą i pięknnością języka. Tu poraz pierwszy występują: *Franciszek Morawski* pod skromną cyfrą *F. M.* z bajeczkami i większemi lirycznemi fragmentami, nacechowane świeżością myśli i dźwięcznym wierszowaniem; *Ferdynand Chotomski*, wierszopis niepospolitego dowcipu z żartobliwemi poematami, w których nie brakło rzeczywistego humoru, zanim wykończył *przenicowaną Enejdę* Wirgiliusza, której wartość dziś jeszcze jest znaczącą pod względem przechowania tego języka, który zaleca wszystkie komedye Za-

i społeczności naszej. Ale jak każde naśladownictwo nie wiele ma wartości, lubo dla badacza tych czasów nie może być obojętném. Zbiór tych artykułów drukowanych w *Gazecie Warszawskiej* wydał oddzielnie w dwóch tomach 1818 roku w Warszawie, w ozdobnej edycyi z rycinami. W dziesięć lat później (1828—1829) ogłosił drugie wydanie znacznie pomnożone w 4ch tomach. Tłumaczył *Moliera Szkołę Kobiąt* i komedję z francuzkiego: „*Dwaj zięciowie*” obiedwie przedstawione na teatrze narodowym.

blockiego. *Brykczyński* zgasły w młodym wieku, nieodstępny towarzysz *Kicińskiego* wspierał ten organ, a główny redaktor oprócz drobniejszych wierszy, pokazał próby swego tłumaczenia *Przemian Owidiusza*.

Obok *mód paryzkich*, pojawiają się powieści i przekłady z niemieckiego, przeglądy literatur tak włoskiej jak germańskiej. Krytyka teatralna, i dobierane *rozmaitości* zajmujące, wypełniały każdy zeszyt *Tygodnika*, pojawiającego się co sobota.

Kiciński nie poprzestał na tym jednym literackim organie, we dwa lata później założył *Kuryera Warszawskiego*, który następnie odprzedał L. A. Dmuszewskiemu, i pisma polityczne obszerniejszych rozmiarów i wyższego znaczenia.

W roku 1821 za daném hasłem przez *Kicińskiego*, ożywia się coraz ruch prassy w rozmaitych gałęziach. Oprócz *Pamiętnika Warszawskiego* pojawiają się:

Izys Polska, czyli dziennik umiejętności, wynalazków, kunsztów i rękodzieł, poświęcony krajowemu przemysłowi, redagowany przez *Gracyana Korwina*, w zeszytach miesięcznych.

Sylwan, dziennik leśny, co kwartał.

Tygodnik muzyczny, pod redakcją *Karola Kurpińskiego*.

Gazeta Literacka, organ wyłącznie poświęcony krytyce, (arkusz w 4ce co tydzień).

Sybilla Nadwiślańska, pamiętnik narodowy: literaturze, historii, polityce i rzeczom krajowym poświęcony, pod redakcją *Franciszka Grzymały*, w zeszytach miesięcznych.

Dekada Polska, pismo wyłącznie obszerniejszym wiadomościom treści politycznej poświęcone, pod redakcją *Wiktora Heltmana* (trzy razy na miesiąc).

Miejsce *Tygodnika Kicińskiego*, zajął *Tygodnik pięknej literaturze i sztukom nadobnym* poświęcony p. n. *Wanda*. Redakcję objęli dwaj młodzi literaci, *F. S. Dmochowski* i *Dominik Lisiecki*.

Przy *Wandzie* równocześnie pojawił się *Potpourri*, a po nim zaraz *Momus*, zawierający fraszki, żarty, ucinki, myśli satyryczne: pół arkusza na tydzień pod redakcją *Aloizego Żółkowskiego*, wybornego humorysty i pierwszego komika teatru narodowego.

Kiedy się tak ruch pism peryodycznych coraz zwiększał, na całym polu literackim panowały głęboki spokój i cisza.

Klasyckość duchem francuzka, przybrana w poważną tunikę grecką, stała w posagowej postaci, laurem uwieczniona, odbierając ciągle bałwochwalcze pokłony od rzeszy literackiej.

Katedrę *literatury porównawczej* zajmował słynny tłumacz Kornela *Ludwik Osiński*, pierwszy znany zwolennik takiej *klasyckości*, professor i dziekan zarazem Uniwersytetu Warszawskiego, który potęgą cudnej deklamacyi, zgromadzał zawsze co sobota od czwartej do piątej godziny poobiedniej, tłumy gorliwych słuchaczy.

Fanatyk *klasyckości*, *Kajetan Koźmian*, w arcydziele swoim: „*Ziemiaństwo Polskie*,” na które ciekawie *intelligencya* nasza długie lata daremnie oczekując, znała tylko w rękopiśmie niektóre ustępy, zapraszając w nim Osińskiego do swojej wiejskiej ustroni, taki zwrot mu poświęca:

„A ty! którego pióro wzniosłe rymy toczy,
I w cudze, brzmącym głosem lejesz wdzięk uroczy,
Przybędziesz wraz z innymi a przyjazne dłonie
Powitają cię palmą i bluszczem na skronie.”

Teatr narodowy pod dyrekcją najprzód Wojciecha Bogusławskiego twórcy i założyciela sceny naszej, a następnie jego zięcia, tegoż samego Ludwika Osińskiego, niezwykle obudzał zajęcie ogółu. Po tłumaczeniach Osińskiego: Kornela i Woltera, jak *Rasy*na przez innych pisarzy, pojawiać się zaczęły dramata oryginalne z dziejów krajowych.

Na czele tu postawić należy *Franciszka Wężyka*. Tragedye jego jak: *Gliński*, *Bolesław Śmiały*, *Barbara Radziwiłłówna*, pojawiły się na scenie warszawskiej przed odżywieniem prassy peryodycznej; po nich ukazały się dramata *Ludwika Kropińskiego*: *Ludgarda*, i *Aloizego Felińskiego*: *Barbara Radziwiłłówna*.

Wężyk drukując swoje tragedye, dołącza do nich rozprawy: *O poezyi dramatycznej*, w których gorliwie broni trzech *jedności*, owego dogmatu literackiego *klasyków* naszych, to jest: *jedności działania*, *jedności czasu* i *jedności miejsca*.

Oburza się na zdanie Szlegla w dziele: „*Über dramatische Kunst und Literatur*“ (1), który w utworach dramatycznych główne działanie przyrównywa do wielkiej rzeki, a ustępy do odnóg, co obiegłszy różne miejsca i kraje, łączą się nakoniec z tą wodą, z której wzięły początek, i razem z nią wpadają do morza.

„Czyliż nie można — kończy Szlegel — do takiej wysokości podnieść słuchacza, ażeby z niej podobne działanie widzieć i ogarnąć potrafił.“

Wężyk pojąć tój myśli estetyka niemieckiego nie może, i stawia przeciw niemu Arystotelesa, ten ustęp, że:

„Wielka jest różnica pomiędzy wypadkami które następują jedno po drugim, a między temi, które jedno z drugich wypływać się zdają.“

Oczywiście, że w tak ciasnych ramach mieszcząc swoje utwory dramatyczne, pozbawił je właściwego życia i dziejowego kolorytu, pomimo niezaprzeczonego talentu.

Jak na polu dramatyczném, wszelką myśl twórczą, zabiły formułki klassyczne, tak widzimy to i w innych rodzajach poezyi.

W owém arcydziele Koźmiana: „*Ziemiaństwo Polskie*“ pieśń pierwsza tak się zaczyna:

„Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
Bym chciał sięgać po wieniec Wirgilego chwały!
Zaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie!
I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie!

Ale najdoskonalszą jest jego spowiedź w przypiskach do tój pieśni. Posłuchajmy jój, bo nam wybornie maluje te czasy i pojęcia literackie.

„Nie zaślepia mnie tak daleko miłość własna, abym śmiał się mierzyć z najcelniejszym rymotwórcą rzymskim, nie taję jednak, iż w obecnym zawodzie był on moim mistrzem i wzorem. Z tego powodu poema niniejsze co do osnowy, kształtu i celu, może być uważane za naśladowanie *Georgików* Wirgiliusza; o tyle atoli różni się od pieśni łacińskiego wieszczą, o ile wieki, położenie kraju, płody ziemi,

(1) Tom IIgi.

obyczaje ludzi, potrzeby, wady i zalety gospodarstwa, odróżniają ziemię polską od dawniej i szczęśliwej Auzonii.

„Rodzaj ten sam, lecz pisarze nie ci sami, wykonanie więc nie może być porównanem. — Któż się do Wirgiliusza zbliży? Kto go naśladować potrafi? — Ale z drugiej strony, cóż czynić z przedmiotami, które w tego rodzaju dziele z natury rzeczy pod pióro się nawijają, których lepiej wystawić niepodobna, a gorzej przez uszanowanie publiczności nie godziło się. W takim położeniu wolałem powtórzyć co ten nieśmiertelny mistrz powiedział, i tak powiedzieć jak on powiedział, aniżeli pominawszy jego wzory, błąkać się i tułać za radą i podszeptem zarozumiałości. Wyznam jednak, iż w niektórych miejscach, to naśladowanie mimowolnłem się stało; po ukończeniu dopiero dzieła, odczytując mistrza mojego poema, dostrzegłem, iż więcej mu dłużny jestem, aniżeli się spodziewałem. Widzę, iż tam gdzie myślałem, że umysł mój tworzy, pamięć się tylko moja ocknęła!“

Czyż potrzebujemy objaśniać tak naiwną otwartość człowieka zajmującego wysokie stanowisko społeczne, wierszopisarza, który miewał nawet prawdziwie poetyczne natchnienia; literata, który powszechniej używając powagi, stał niemal na czele klasyków. Dodamy tu jeszcze większą naiwność Koźmiana: takie swoje *Ziemiaństwo* przypisał na czele komu, oto *wieśniakom polskim*, i od tych biedaków co ani czytać ani pisać nie umieli żąda sądu.

„Wydacie wyrok — mówi do chłopków naszych — czyli byłem szczęśliwy dopiąć nie łatwego celu. A jeżeli rozrzucone tu przestrogi ulżą waszjej pracy, opisy przyniosą w troskach pociechę, rady i wspomnienia natchną silniejszym zamiłowaniem tej ziemi, którą waszemi rękami uprawiacie, i tego stanu niewinności i skromnej prostoty, przez który usunięci od skażenia, zachowujecie dotąd czerstwe i niezmiennione narodowe rysy. Jeżeli wasze dzieci czytać, lub młodzież za pługiem powtarzać je będzie, o jakże nagrodzonym zostanę za *kilkunastoletnią* pracę moją!“

Kilkanaście lat pracy kosztowało Koźmiana, napisanie 2800 wierszy *Ziemiaństwa*!

II.

Na łożoném jednostajnie niebie klassyczości, niespodzianie zaczęły przeblyskiwać niewidziane dotąd gwiazdki.

Nie obudzało takie zjawisko najmniejszej uwagi ówczesnych powag literackich, ale młode pokolenie poczęło zwracać ku nim swe tęskne spojrzenia, rozglądając te cząstki krajobrazów duchowych, pobudzające do nowych wrażeń, które owe gwiazdki światłem swoim rozjaśniały.

Było rok 1818.

Kiedy Bruno Kiciński swoim Tygodnikiem nie zwykle obudza życie w prassie peryodycznej, a Ludwik Osiński zasiada katedrę w Uniwersytecie Warszawskim, ukazuje się równocześnie prawie dwóch prawdziwych poetów, którzy z pośród wierszopisów wynoszą do razu głowy wysoko ponad ich liczném gronem.

W ostatnich latach zeszłego wieku przychodzi na świat Boży dwoje pacholąt: jedno urodzone 1791 roku u stóp *Tatrów*, drugie w ośm lat później u podnóża gór *Miodoborskich*.

Młodsze, w dziewiętnastym roku życia występuje z wielkim dziejowym poematem, z którego drukuje cztery tylko pieśni (*Cwiczenia naukowe*, 1818 r.): *Dobremir i Aniela*, *Aniela i Dymitr*, *Jamełyk Błud czarnoksiężnik* i *Chrobry pod Kijowem*.

Niezwykle wrażenie wywołały te pieśni! Młode pokolenie wychowane i karmione utworami klassycznymi z czasów Stanisława Augusta i późniejszych, uderzone zostało tak samym wzniosłym pomysłem, jak formą, która niezwykłą świeżością i samodzielnością, przy języku pełnym życia, prostoty i prawdy, oddychała.

Ale nieszczęsna atmosfera klassyczości, pozbawiła go oddechu swobodnego. Jak orzeł w klatce stęskniony do polotu, aby pobując bliżej słońca, połamał sobie skrzydła o żelazne pręty kodeksu klassycznego, którego nie śmiał przestąpić. Na tych pieśniach skruszył pióro wielkiego *eposu*, przeszedł na pole dramatyczne, a w liryczném natchnieniu wyśpiewał śliczne swe *Dumy Podolskie*.

Otoczony cudnym krajobrazem, który przykraszały góry *Miodoboru*, najszlachetniejsze wyśpiewując uczucia i wspomnienia przywiązane do tych okolic, zwraca myśl i ku miłości. Ale niemasz tu ani Amorków, ani Wenery, z prostotą a jak poetycznie, zwraca się do swój wybranj.

„Spojrzyj Heleno! ranna płonie zorza,
I nowe słońce się rodzi:
Anioł to życia, wśród błękitów morza,
Na złotej żegluję łodzi.

„Chodźmy Heleno, kędy gór tych czoło,
Wspaniałym las wieńcem szczyci;
Raj samotności ujrzymy w około,
Przed obcym wzrokiem ukryci.

„W miejscu tam wiecznie drży krynica żywa,
Jak w sercu miłości drżenie,
I od spokojnej skały nie odpływa,
Jak od pamiątek wspomnienie.

„Tam jak ty świeża, jak ty, czystą wodą,
Ziemia się przy niej napawa:
Tam jak ty, piękną, jak ty, zawsze młodą
Oddycha wiosną murawa!” (1).

Kiedy po tych próbach, wielbiciele poezji zaczęli w nim witać prawdziwego jój kapłana, twórca *Dum Podolskich*, trawiony melancholią, w nurtach Dniestru znalazł spokój, którego nie miał na ziemi. Zakończył życie w samym kwiecie wieku, bo zaczynając rok 29 dopiero.

Znakomity nasz pieśniarz Stanisław Doliwa Starzyński, w pięknym a pełnym rzewnego uczucia i prawdy wierszu uczcił pamięć zgasłego poety.

„Nie żyje! właśnie anioł z promienistém czołem
Chwilowy gość na ziemi, ulceiał aniołem!

(1) Karol Sieńkiewicz przyjaciel zmarłego poety, wydał w Puławach te *Duny podolskie* w r. 1830. W Bibliotece tamecznej, rodzice Tymona złożyli jego własnoręczne poezye. Pomiędzy temi wymienia: *Bohdana Chmielnickiego* i *Tajemnicę* czyli *Borys i Mitwiana* dwie tragedye i *Umuida*, poema dramatyczne z czasów Mieczysława. Gdzie się zachowują te utwory obecnie — niewiadomo.

Właśnie gwiazda śmiertelnych ukazana oku,
Nagłym błysła przelotem w krainie pomroku!
Właśnie dźwięk melodyjny złotój niebian lutni,
Zachwycił nas — i zniknął!”

Był to *Tymon Zaborowski*, którego wspomnienie obudzać zawsze musi żal szczery i serdeczny:— onto na tém ołowianém klassycznosci niebie, zajaśniał blaskiem prawdziwej poezyi, jakby poprzednik świetnej późniejszej plejady śpiewaków.

Starsze od *Tymona* pachole, przyszło na świat wątłe i słabe, po urodzinach zaraz skazane na śmierć przez domowego doktora; przeżyło jednakże swego proroka, i wytrzymało trudy życiowe tak wielkie, że kruszyły się nawet pod niemi żelazne innych organizmy.

Pierwszém wspomnieniem, jakie pamięć jego zachowała, był katafalk, a na nim martwe zwłoki matki, otoczone jarzącym światłem i kwiatami.

Sierotkę, wiejskie niewiasty przytuliły i wyhodowały: zasypiał kołysany pieśnią ludową, lub pobożną, a jak się zbudził, napawał się podaniami i baśniami ludowemi.

W szkole wyuczył się po niemiecku i po łacinie, i w dziecinnych jeszcze latach poszedł na trudy obozowe. W nich zahartował wątłe siły, i jak *Tymon* namaszczony bożym palcem na poetę, zajął w obecnej dobie podniosłe stanowisko, przygotował myśl ogółu do nowych zmian w pojęciach nie tylko poezyi, ale wszelkich gałęzi literatury, i stał się prawdziwym reprezentantem ostatniego, a dotąd rozwijającego się okresu duchowego.

Mówimy o *Kazimierzu Brodzińskim*; on to w tym właśnie roku 1818, kiedy jeszcze nie zajmował katedry literatury polskiej obok Osieńskiego, ogłosił znakomitą swoją rozprawę o *Romantyczności i Klassycznosci*, i pierwszy wymówił ów wyraz budzący nienawiść w klasykach, a będący hasłem nowej szkoły następnie.

Nie będziemy się zapuszczali w określenie ani pierwszej ani drugiej; pragnący gruntownie je poznać niech odczyta pomienioną przez nas Brodzińskiego rozprawę, który ze skromnością właściwą, ale jasno i dobitnie, główne cechy tak ro-

mantyczności jak i *klassycznosci* wykazuje (1). Sam przekładami poetów niemieckich, słowiańskich dum i pieśni,—nową isé zaczął drogą;— aż we dwa lata później ogłosił drukiem *sielankę krakowską*: *Wiesław* (rok 1820).

Jestto zaprawdę jedyna, najprawdziwsza nasza sielanka, górująca po nad sielankopisarzami XVII stulecia, bo wolna od przystroju mitologicznego, wiernie i z całą poetyczną prostotą, maluje dziarski lud krakowski.

Józef Dyonizy Minasowicz, równocześnie z Brodzińskim tłumaczy Szyllera; teatr warszawski powoli przysposabia społeczność naszą do *romantyczności*, jakby przeczuwał jój przyjscie.

Pod dyrekecyą Osińskiego, na tój scenie ujrzano drama-ta Szekspira: *Hamleta*, *Machbeta*, *Otella*, *Króla Lira*, Szylle-ra: *Fieska*, *Intrygę i miłość*; i *Dziewicę Orleańską* w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza. Z oryginalnych natchnionych wskróś duchem romantycznym, J. U. Niemcewicza tragedye: *Zbigniew*, i M. Fredry: *Haral-da*. W owe czasy ukazał się także dramat liryczny niemieckiego poety P. A. Wolffa, z muzyką Webera, w mistrzowskim przekładzie J. D. Minasowicza p. n. *Precyoza*. Publiczność zachwycona siłą i potęgą języka, cudnym wierszem, który w tak poetycznej szacie pierwszy raz zabrzmiał ze sceny, tłumnie zbiegała się do teatru.

Improwizacyi *Precyozy*, jaką wypowiada w swym pierwszym wystąpieniu, uczono się na pamięć. Oto jój początek:

„Nachyliło słońce czoła,
Hoże pieśni brzmią dokoła,
Radość wieńczy każdą skroń.
A gdy syci już słodczy,
Rodzić okiem swoich liczy,
A zwoływa matki dłoń!

Wszyscy zeszli się dokoła:
A sieroty nikt nie woła!
Tuła się od drzwi do drzwi.
W burze dnia, po cieniach nocy,
Błądzi biédna bez pomocy,
A ból srogi w sercu tkwi!”

(1) Pamiętnik Warszawski, tom X i XI z 1818 roku.

Kiedy tak teatr sam nieświadomie zapoznaje widzów swoich z utworami romantycznymi, pojawia się nagle i niespodziewanie w tymże roku 1818 i w témże samém piśmie co poemat Tymona Zaborowskiego, poemat prozą, i donioślejszego wpływu, *Zoryana Dołęgi Chodakowskiego*: „*O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*“ (1).

Rozprawa to pozornie naukowa, a w rzeczywistości porywający poemat, rzucający światło na zamierzchłe wieki pogańskie. Nie pamiętamy w owęj porze żadnego utworu, któryby tak zajął umysły młodego pokolenia. Chodakowski dał nim hasło do badań etnograficznych, i pobudził pierwszy gorętsze dusze do zbierania pieśni, podań i powieści ludowych, które wkrótce dla *szkoły* tak zwanéj *romantycznej*, były prawdziwym skarbcem nieprzebrany.

Rzecz godna uwagi, że co w pomienionéj swéj pracy, przeczuwał lub przewidywał Chodakowski, to późniejsi badacze, uczonemi studjami sprawdzili, i jako niezachwianą prawdę podali.

Upłynęło już z górą pół wieku od chwili pojawienia się Chodakowskiego, a dziś odczytując rozprawę ową, uderza i porywa poetycznością myśli, samodzielnością poglądów, dziarskością języka i wyrażen, i owego badawczego, genialnego wnikania w przeszłość tak daleką, którą dziesięć stuleci ciemną oponą pokryło.

Pomimo te objawy w różnych kierunkach wybitne; cisza i spokój panowały na polu literackim. Rozprawę Brodzińskiego wybrane kółko ochoczo czytało; młodzież unosiła się to nad przekładem jego *pieśni Madagaskaru*, tak świeże formą i treścią, to nad *Wiesławem*, zarówno jak utworami Tymona Zaborowskiego, — rozczytując się chciwie w rozprawie Chodakowskiego, ale żaden głos niechętny nie ozwał się przeciw klassycznosci ani jéj zwolennikom.

Z grona ich jednakże przyszła pierwsza zniewaga świętosci klassycznej: *Ferdynand Chotomski* zaczął *nicować Eneidę* Wirgiliusza, i nie byłoby bez wpływu na młode umysły. Alojzy *Zółkowski*, jedyny na te czasy humorysta, oburzył wielbicieli tragedyj klassyczno-francuzkich, podaniem *recepty* następnéj na tragedya:

(1) Taki pseudonim wówczas przybrał Adam Czarnocki.

„Weź (pisze w swoim *Potpourri*?)m) jednego bohatera i jednego zoczyńcę, tamtemu dodaj wszystkie cnoty, temu wszystkie zbrodnie, do jakich tylko człowiek jest zdolny; przemieszaj ich z sobą, tak, żeby raz ten, drugi raz ów się pokazał; dodaj do tego parę tuzinów *o! ach!* i *ha!* kilka mdłości, tudzież morderstw jedną dozę, miłości *ad libitum*, gotuj to wszystko aż do piątego aktu, i nawet daj kilka razy wyszumieć; potem zlej, zatknij morałem, i niech tak przez parę dni stygnie: poczem możesz użyć jak ci się podoba.“

Wybornie w tój recepcie scharakteryzował tak treść jak i ramy w których się te utwory dramatyczne mieścić musiały, pilnując się przepisanych owych *trzech jedności*, o których wyżej wspomnieliśmy.

Było to na rok przed pojawieniem się *Mickiewicza*.

Szczególnym wypadkiem, pierwsze wydanie poezyj Mickiewicza, ogłoszone w malutkim formacie w dwóch tomikach w Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego 1822 roku, ukazało się na straganie przedkościelnym Pijarów, pomiędzy broszurkami rozmaitej treści i książkami nabożnemi. Było egzemplarz jedyny, który najpierw dostał się w ręce dojrzalszej młodzieży. Obiegł on wprędce szerokie ich koło, i przepisany wielokrotnie został.

Któż mógł wtedy przewidywać, że w tych dwóch drobnych tomikach, mieści się zaród tyłu burz namiętnych, takiego przewrotu wyobrażeń literackich, i że mieściły w sobie stalowe ostrze toporu, który wiekowy posąg poważnej klasyczności zwalić z piedestału wzniesłego potrafi, i skruszy go w kawały!

A jednak rok po roku, w lat kilka byliśmy świadkami tego widowiska.

(Ciąg dalszy nastąpi).

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ
W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ,

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy).

VII.

Minister W. Brytanii.

- Jest Anglik? — spytał Rozas wchodzącego adjutanta.
- Czeka na rozkazy W. Ekscellencyi.
- Co robił kiedy przybyliście?
- Kładł się spać.
- Czy brama była zamknięta?
- Nie, panie.
- Zaraz otworzyli, skoro się dałeś poznać?
- Natychmiast!
- Czy się zdziwił heretyk?
- Tak mi się zdaje.
- Zdaje się... od czegoż u dyabła masz oczy?... Pytał się o co?
- O nic... Wysłuchał poselstwa W. Ekscellencyi, i zawołał o konia.
- Niech wejdzie!

Osobistość którą ma poznać czytelnik, jest, co się tyczy angielskiego egoizmu, jedną z tych jakie dyplomacya brytańska aż nazbyt często przedstawia wszędzie; lecz ze względu na zupełne zapomnienie charakteru urzędowego i godności człowieka, podobnych napotkać można tylko w Buenos-Aires, to jest w kraju zostającym pod rządami dyktatora Rozas.

P. John Maudeville, pełnomocnik angielski przy argentyńskim rządzie, potrafił uzyskać od Rozasa to, co było odmówionem jego poprzednikowi panu Hamilton, a mianowicie: zatwierdzenie traktatu dotyczącego się zniesienia handlu niewolnikami. Ten tryumf odniesiony nad Hamiltonem był najpierwszym początkiem sympatyj pana Maudeville ku osobie dyktatora.

Wprawdzie nie było mu tajemnym, iż nieodzowna potrzeba szukania opieki i przyjaźni u rządu brytyjskiego, wymogła jedynie na dyktatorze zawarcie tej umowy w maju 1839 roku; jakiegokolwiek wszakże były pobudki, niemniej dla pełnomocnika traktat ów był tryumfem, otrzymanym z rąk Rozasa. Ludzie zaś tacy jak Rozas, te wyjątki z rodzaju człowieczego, którzy równych sobie na ziemi nie uznają, nie pragną nigdy przyjaciół, ani sami nie sprzyjają nikomu; dla nich ludzkość dzieli się na wrogów i służalców, z jakiegobądź narodu: czyto zajmujący obok nich wysokie stanowisko, czy będący względem nich w stopniu podwładnych.

Moralny urok despotycznej władzy wespół z niezłomną argentyńskiego dyktatora wolą, olśniły angielskiego posła i owładnęły umysłem jego. Pełen najlepszego usposobienia dla Rozasa, bez obawy wdawał się z nim w coraz ściślejsze osobiste stosunki, nie bacząc na to, iż są w życiu zetknięcia, z których się zawsze wychodzi z poniżonym umysłem i wolą ujarzmioną.

Gdy raz już został moralnie owładniętym, samo z siebie przyszło do osobistych upokorzeń, i przedstawiciel potężnej Anglii stał się najuleglejším sprzymierzeńcem, jeżeli nie klubu *Mashorca*, to przynajmniej tej szkoły trybunów z Rozasem, na czele której zadaniem było szerzyć swoje obywatelskie cnoty w kraju i zagranicą!

Rozas mając w nim narzędzie ślepe a zarazem potężne i w środki zasobne, zamierzył sobie użyć go i w sprawie francuzkiej. Przez poszanowanie dla prawdy historycznej dodać należy, iż jeżeli Rozas nie wyciągnął z niego wszystkich korzyści jakich się spodziewał, nie wynikało to z zaniedbania ze strony pana Maudeville, ale z samej natury tej kwestyi, która nie pozwalała gabinetowi St. James działać według rad swego ministra w Buenos-Aires, pomimo jego ostrzeżeń o wzmagającej się przewadze Francyi w La Plata, i o szkodach jakie ponosił handel angielski z powodu zamknięcia portów rzeczypospolitej przez blokadę francuzką.

Polityczna uwaga Europy zwróconą była obecnie na kwestyę dotyczącą systemu równowagi wielkich mocarstw, to jest na sprawę wschodnią. Pozornie chodziło o spór dziedziczny pomiędzy Sultannem a Paszą Egiptu. Lecz wdanie się Francyi, Anglii, Rossyi, Prus i Austrii, zrodziło kombinacye międzynarodowe i trwożliwe obawy w dyplomacyi. Taki był stan rzeczy, iż Anglia lękając się Rossyi, widziała się w potrzebie ściślejszego z Francją zbliżenia, i w obec najważniejszej kwestyi żywotnej nie czuła się usposobioną do troszczenia się o swoich handlarzy na Rio de la Plata.

Mimo to p. Maudeville rąk nie opuścił. O ile było w mocy jego, pracował nad nadaniem innego zwrotu sprawom w La Plata,

stanowczo na korzyść osobistych widoków dyktatora; jego to dziełem były propozycje Rozasa uczynione p. de Martigny; jego sprawą wyłącznie schadzka na *Akteonie*.

Rozas pokładał w nim zupełną ufność, to jest pojmował że p. Maudeville podległ jak inni, chorobie strachu; i liczył na jego rozum i przebiegłość kiedy mu potrzeba było intrygi politycznej, tak samo jak rachował na sztylet swoich *mas-horckerów*, ilekroć mu wypadało dla swojego systemu poświęcić jaką ofiarę.

Takim był człowiek który w tej chwili wchodził do sali jadalnej, gdzie go czeka dyktator. Wiek jego dochodził lat 60. Czarno ubrany, niskiego wzrostu, z czołem szerokiemi i łysym, dystygowaną fizygnomią; oczy niebieskie małe, lecz rozumne i bystre; w tej chwili były nieco zaaagnione równie jak papierowo-biała cera jego twarzy. I nic dziwnego: wybiła już trzecia z rana, godzina zbyt późna dla człowieka w tym wieku, zwłaszcza po niedawnym rozgrzaniu się kipiącym ponczem w towarzystwie kilku przyjaciół.

— Proszę, panie Maudeville! — rzekł Rozas powstając z krzesła, lecz nie postąpił ani kroku na przyjęcie ministra Wielkiej Brytanii, który właśnie wchodził do pokoju.

— Mam zaszczyt stawić się na rozkazy W. Ekscellencyi, — odrzekł minister z ukłonem wytwornym bez przesady i zbliżając się dla podania ręki.

— Naprzykrzam się panu. — mówił dyktator tonem słodkim i pełnym przymilenia, wskazując mu obok siebie krzesło gestem uprzejmym.

— Naprzykrzać się!... Oh! bynajmniej panie generale! To prawdziwa dla mnie przyjemność, ile razy W. Ekscellencya robi mi zaszczyt wezwaniem mnie do siebie. Czy Seniorita Manuela niezdrowa?... Widuję ją zwykle u stołu...

— Zdrowa jest. Dopiero co wyszła!

— Ach! nieszczęściem spóźniłem się o kilka minut!

— Będzie jej to bardzo przykro...

— Oh! bo ona najmilsza, najpoważniejsza ze wszystkich argentynek!

— Dziękuję panu w jej imieniu. Ale nie masz pan powodu narzekać, bo dzisiejszy wieczór przyjemnie w domu przepędziłeś.

— Zapewne, do pewnego stopnia zabawiłem się; lecz niema dla mnie przyjemności jak w towarzystwie W. Ekscellencyi i jego rodziny!

— Wielce łaskaw jesteś, panie Maudeville, — odrzekł Rozas z uśmiechem tak misternie złośliwym, iżby się na nim nie poznał kto inny, mniej przenikliwy i mniej wprawny w mowę fizygnomią i akcentu niż p. Maudeville.

— Jeżeli pan pozwolisz, — mówił dalej dyktator — położmy koniec komplementom a pomówmy o czemś ważniejszym.

— Za najwyższe mam sobie szczęście zastosować się do życzeń W. Ekscellencyi — odrzekł dyplomata przysuwając swoje krzesło do stołu i poprawiając rączkę z natęgu niż z potrzeby koł-

nierzyki batystowej białej koszuli równie białą ręką, starannie wypieszczoną, której paznogie różowe i klassycznie kształtne, wymowném były świadectwem rassy do jakiej należał ich właściciel: rassa saksońska odznacza się wybitnie oczami, włosami i paznogciami.

— Którego dnia zamierzasz pan wyprawić pocztę? — zapytał Rozas krzyżując ręce na poręczy krzesła.

— Z ambassady będzie gotowa na jutro, lecz jeśli W. Ekscel. życzy sobie aby jeszcze wstrzymać...

— Właśnie takiém jest moje życzenie.

— A więc wydam rozkazy żeby się zatrzymano tak długo, ile W. Ekscellencya potrzebuje dla wygotowania swoich doniesień.

— O! u mnie wszystko skończone od wczoraj.

— A więc zapewne W. Ekscellencya pragnie wyprawić jakiego ministra?

— Niema po co.

— Pozwoli W. Ekscellencya zapytać siebie, jaki byłby powód wstrzymania poczty.

— Rzecz bardzo prosta. Moje doniesienie gotowe, ale pańskie nie.

— Miałem zaszczyt już powiedzieć że są skończone, nawet zapieczętowane od wczoraj i tylko kilka prywatnych listów pozostaje mi...

— Nie mówię o listach.

— Raczy W. Ekscellencya wyjaśnić.

— Mniemam, iż powinnością pańską jest uwiadamiać rząd Jéj kr. mości wiernie i na prawdziwych danych o stanie w jakim znajdują się sprawy w Rio de la Plata w chwili wyjścia poczty do Eurapy. Czy tak?

— Oczywiście.

— A pan nie mogłeś tego uczynić, bo niemasz tych danych.

— Ja donoszę mojemu rządowi o sprawach ogólnych, o wypadkach publicznych; lecz nie mogę uwiadamiać go o faktach odnoszących się do wewnętrznej polityki gabinetu argentyńskiego. gdyż takowe są mi wcale nieznane.

— To niezawodne! Lecz czy pan wiesz co warte są te ogólne sprawy, panie Maudeville?

— Co warte?... — rzekł minister powtarzając frazes w celu aby zyskać nieco czasu dla swoich myśli, i nie ryzykować odpowiedzi, bowiem Rozas wstąpił już na zwykły sobie grunt w szranki, gdzie gołosłownym argumentem, jak żelazną pięścią wpadał na umysł przeciwnika i pobijał go ze szczerem, ilekroć była rozprawa o ważnej materji, lub gdy chciał nagłą i energiczną napaścią zaprowadzić nad wolą i myślą drugich.

— Tak panie, ile posłużą do objaśnienia rządu któremu się posyła podobne ogólniki?

— Ja sadzę że...

— Nic nie warte! tak jest, nie zgoła. Wam europejczykom nie zbywa na ogólnikach, kiedy chcecie udać że znacie do głębi

rzecz o której wyobrażenia nie macie. Ale system taki prowadzi wprost do rezultatu przeciwnego zamierzonemu celowi, bo leży na fałszywej zasadzie.

— W. Ekscellencya chce mówić...

— Chcę mówić panie ministrze, że zazwyczaj rozprawiacie o tém, czego nie rozumiecie, a przynajmniej w moim kraju.

— Ależ obcy minister nie może znać szczegółów polityki w której nie bierze udziału.

— A więc dlatego obcy minister jeżeli chce wiernie uwiadomić swój rząd, powinien się zbliżyć do naczelnika téj polityki, słuchać jego objaśnień i takowe oceniać.

— Ja tak staram się postępować!

— Nie zawsze!

— Cchyba mimowolnie.

— Być może... a więc czy znasz pan prawdziwy stan rzeczy obecny? Albo raczej mówiąc ogólnikiem, jak panowie lubicie, w jakim duchu przesyłasz pan objaśnienie do swego rządu, co się mnie tyczy?

— W jakim duchu?

— Tak właśnie; albo mówiąc jaśniej: czy w tych doniesieniach stawiasz mnie pan w dobrém czy w złém położeniu? Czy się spodziewasz tryumfu dla mojego rządu, czy dla anarchii?

— Oh, panie!

— To nie jest odpowiedź... Mów pan!

— Mnie się zdaje...

— Mów pan otwarcie i szczerze!

— Ja mniemam że wszelkie prawdopodobieństwa są na stronę W. Ekscellencyi.

— Musisz pan takowe mniemanie uzasadniać na czémś! Na czémże?

— Na potęgę W. Ekscellencyi!

— Ba! to frazes nic nie dowodzący. Jeżeli ja mam siłę i środki, mają je także i anarchiści. Naprzykład: znasz pan położenie Lavalla w Entre Rios?

— Tak panie: niema on możności działania od czasu bitwy, w której tak znakomite zwycięstwo odniósł oręż konfederacyi.

— Jednakże generał Echagüe jest nieczynnym z powodu braku koni.

— Ale W. Ekscellencyi potęga jest tak wielka, że na rozkaz Jego, dowódca dostanie to na czém mu zbywa!

— Wiész pan co się dzieje w *Corrientes*?

— Wnoszę że po porażce Lavalla, prowincya ta powróci do ligi federalnej.

— Tymczasem *Corrientes* jest pod bronią przeciwko mnie!

— To tylko dwie prowincye: ale konfederacya ma ich czternaście.

— Nie tyle... Nie można liczyć do federacyjnych prowincyj tych, które są w powstaniu zgodnie z unitaryuszami!

— Zapewne, zapewne... ależ ruchy w tych prowincjach są nie wielkiej wagi, tak przynajmniej sądzę.

— Czy nie mówiłem że pańskie ogólniki są uzasadnione na fałszywych danych? A ja wiem co mówię. Tukaman, Salta, Rioja, Catamarca i Chuchny są to prowincye wielkiej wagi, i te ruchy o których pan z lekceważeniem mówisz są istotną rewolucją, która posiada wiele środków i wiele ludzi!

— To byłaby bardzo smutna okoliczność.

— Masz pan zupełną słuszość. Trzy prowincye grożą mi z północy, aż do granic Boliwii, dwie od zachodu aż do stoku Kordyliarów, dwie na północnym wybrzeżu, a w dodatku kto więcej panie ministrze?

— Kto więcej?

— O to się pytam. Ale powiem sam, bo pan się lękaś wymienić moich nieprzyjaciół: oprócz tamtych zagraża mi Rivera!

— Ba!

— Nie tak mało on znaczy jak się panu wydaje, bo dziś ma wojsko nad Uruguaj!

— Którego nie przekroczy...

— Być może: ale trzeba przypuścić że mu się to uda, a wówczas widzisz mię pan okrążonym ze wszystkich stron przez wrogów, którym Francya daje otuchę, poparcie i pomoc.

— W rzeczy samej, położenie jest trudne! — rzekł pan Maudeville — cedząc słówko po słówku w wielkiem zakłopotaniu, nie mógł bowiem wytłumaczyć sobie, jaki miał cel Rozas w wyświeceniu zagrażających mu niebezpieczeństw; oczywiście chytry dyktator musiała mieć w tém jakoweś wielkiej wagi widoki.

— Bardzo trudne! — powtórzył Rozas z pewnością i zimną krwią, które do reszty zamąciły umysł dyplomaty. — A teraz, kiedy pan znasz na czém zależą te niebezpieczeństwa, zechcesz-że mi powiedzieć, na czém pan uzasadniał w obec swojego rządu ową pewność mojego zupełnego tryumfu nad unitaryuszami, boć pan nie wątpisz, że ich najzupełniej pokonam.

— A na czémże, jeżeli nie jedynie na owój potędze, na tym uroku, na popularności, którą W. Eksc. zdobył sobie swoją wielkością i chwałą!

— Ba! ba! ba! — zawołał Rozas śmiejąc się nieprzymuszonym śmiechem, w którym się przebijają litość czy pogarda.

— W istocie nie wiem panie generale, — rzekł Maudeville zmieszany tak niespodziewaną odpowiedzią na swoje dworskie pochlebstwo, — nie wiem który z wyrazów jakie miałem zaszczyt wyrzec, miał nieszczęście wzbudzić śmiech W. Ekscellencyi.

— Wszystkie, panie dyplomato europejski, — odrzekł dyktator z jawnym szyderstwem. — Słuchaj pan: to co mówisz, dobre jest do roztrąbienia między pospółstwem, ale nie warto na raport do lorda Palmerstona, którego unitaryusze z Montevideo zwą *arcyznakomitym* ministrem.

— Czy Wasza Ekscellencya zrobi mi zaszczyt wyjaśnić, dla czego?

— Do tego zmiierzam. Ja panu wyluszczyłem wszystkie niebezpieczeństwa, które w obecnej chwili otaczają mój rząd, to jest porządek i spokój argentyńskiej konfederacyi, nie prawdaż? A wiesz pan dlaczego to uczyniłem? O! pan nie zrozumiałeś, nie umiałeś sobie zdać sprawy z pobudek mojej otwartości, która pana wprowadziła w kłopot i niepewność! Otóż panu to objaśnię: powiedziałem to coś pan słyszał, bo wiem dobrze, iż z niniejszej rozmowy sprawozdanie poszlesz pan swemu rządowi, a tego właśnie pragnę.

— Wasza Ekscellencya chce tego? — wyjąkał Maudeville, jeszcze bardziej teraz zdumiony, niż był zaciekawionym poprzednio.

— Tak, chcę; a to dlatego, iż wolę aby rząd angielski wiedział te szczegóły odemnie samego, wprzód zanim się o nich dowie przez nieprzyjazne mi organa, a przynajmniej jednocześnie. A teraz pojmujesz pan myśl moją? Cóżbym ja zyskał na skrywaniu przed Anglią stanu rzeczy, o którym ona się dowie z wieści publicznej i urzędownie przez tysiące dróg najrozmaitszych? Tajemnica z mojej strony oznaczałaby obawę, a ja się nie obawiam, bynajmniej się nie lękam dzisiejszych moich nieprzyjaciół.

— Ja też właśnie mówiłem, że przy potędzie W. Ekscellencyi...

— Daj sobie pokój z potęgą, panie Maudeville.

— Lecz jeżeli nie tak... jeżeli Wasza Ekscellencya nie ma siły....

— Mam siłę panie ministrze,— przerwał mu Rozas z takim ofuknięciem, iż Anglik do reszty stracił ostatnią nadzieję, zrozumienia dziś straszego dyktatora, i nie wiedząc już co mu wypadało mówić, wyjąkał tylko...

— A więc?...

— A więc! a więc! Co innego jest mieć siłę, a co innego zachować na nią do wyjścia ze złego położenia. Sądziś pan, że lord Palmerston nie zna dodawania i odejmowania? Sądziś, że gdy zsumuje liczbę nieprzyjaciół i żywiołów jakie przy potężnym poparciu ze strony Francyi zagrażają rządowi i systematowi federalnemu mojego kraju, *arcy-znakomity* minister będzie bardzo wierzył w mój tryumf, choćbyś pan mu przedstawił równą sumę sił, któremi ja rozporządzam? I sądziś pan w takim razie, iż ktoś będzie bardzo dbał o popieranie rządu, którego istnienie prawdopodobnie obrachowane na miesiące, na tygodnie? A przypuściwszy, iż rząd pański zechce muie bronić przeciwko sprzymierzeńcom Francyi, sądzisz pan, iż prędzej można przybyć z Londynu do Paryża i z Paryża do Buenos-Aires, aniżeli z *Entre-Rios* i *Tukumanu* do moich obozów, i że o tém lord Palmerston nie wie? Ba, panie Maudeville, nigdy wiele nie pokładałem nadziei na rządzie angielskim w moich zatargach z Francją, lecz teraz jeszcze mniej sobie tuszę, skoro objaśnienia których pan mu udzielasz, biorę za punkt wyjścia rachubę na moje siły.

— Ależ panie generale — rzekł Maudeville zrozpaczony, bo coraz to mniej pojmował myśl Rozasa, ukrytą wśród gęstiej chmury tych rozumowań, z której sam dyktator jakby wyzywał wiszącą nad

głową jego burzę, a którą miał ować i rozproszyć—jeżeli nie za pomocą siły, nie wojskiem, słowem, nie przez federalistów, czémże W. Eksc. zamierza sobie pokonać unitaryuszów?

— Przez nich samych, panie Maudeville, — odparł Rozas z niemiecką flegmą, i badawcze oko utkwiał w twarzy posła, śledząc wrażenie jakie sprawi nagłe podniesienie kortyny z przed tajemniczej widowni myśli.

— A! — wykrzyknął minister i szeroko roztworzył oczy, bo w tej chwili wyobraźnia jego rozstrzeliła się w ogromne koło zakreślone przez te trzy wyrazy; w nich widział wreszcie objaśnienie wszystkich natrącań i paradoksów Rozasa, których przed chwilą pojąc nie zdołał, mimo swojego doświadczenia i ministeryalnego talentu tak pomocnego w zgadywaniu skrytych myśli.

— Przez nich samych — spokojnie mówił dalej dyktator, — to jest dziś mój główny zastęp wojenny, moja potęga najsilniejsza, którą wygubię moich nieprzyjaciół.

— W istocie, W. Eksc. wprowadza mnie na pole, o którym szczerze mówiąc, nie byłbym pomyślał.

— Wiem o tém, — rzekł dyktator, który nie przepuszczał żadnej sposobności by dać drugim uczuć ich błąd albo nieświadomość. — Unitaryusze nie mają dziś, i nigdy mieć nie będą tego, co im brakuje by się stać silnymi i potężnymi, choć są liczni i tak dobrze popierani. Mają zdolnych ludzi, najlepszych wojskowych z całej rzeczypospolitej, lecz brak im ześrodkowania we wspólném działaniu: wszyscy rozkazują, i właśnie dlatego nikt nie słucha. Wszyscy zdążają do jednego celu, ale każdy idzie osobną drogą, i nigdy nie dojdą. Ferrer nie słucha Lavalla bo jest rządcą prowincyi, a Lavalle nie słucha Ferrera dlatego, że sam jest dowódcą unitaryuszów, generałem *wyswobodzicielem*, jak go tam nazywają. Lavalle potrzebuje współdziałania Rivery, bo Rivera zna się na naszych wojnach; lecz miłość własna wmawia mu, że sam wszystkiemu podola, i gardzi Riverą. Ten zaś potrzebuje działać w porozumieniu z Lavalem, bo Lavalle jest naczelnikiem, a zwłaszcza, że Lavalle posiada charakter urzędowy, którego niema Rivera; lecz Rivera gardzi Lavalem, bo tamten nie jest partyzantem, i nienawidzi go, bo Lavalle rodem z Buenos-Aires nie z Montevideo. Wojskowi gardzą cywilnymi, a Lavalle nie umie utrzymać rygoru i przez niedołęztwo względem podwładnych bywa w niezgodzie z ludźmi światłymi, których rada byłaby mu pożyteczną. Wszyscy nowi unitaryusze po prowincyach, dlatego samego, że są unitaryuszami wpadają w tę samą chorobę, to jest każdy ma się za naczelnika, za ministra, za dowódcę, a nikt nie chce uważać siebie za żołnierza, za urzędnika, ani za obywatela. Otóż, panie ministrze Jój Kr. Mości monarchini angielskiej, jak się ma takich nieprzyjaciół, najlepszy sposób pokonania ich jest, dać im czas wyniszczyć się jedni przez drugich: i otóż ja tak robię.

— Oh, wybornie! plan przepyszny! — zawołał rozradowany Maudeville.

— Pozwól pan, jeszcze nie skończyłem — mówił Rozas z tą samą flegmą. — Kiedy się ma takich nieprzyjaciół, powiadam, nie rachuje się ich na liczbę, lecz na wartość jaką przedstawia każda frakcja, każda koterya, każdy człowiek, a następnie porównując te frakcje z siłą przeciwną, gruntowną, uorganizowaną, gdzie tylko jeden rozkazuje, a reszta wszyscy ulegają, jak członki posłuszne są woli: wtenczas wnioskuje się, iż tryumf téj ostatniej potęgi jest pewnym, niechybnym, jakkolwiekby się ta siła małą wydawała w obec ryczałtowej liczby nieprzyjaciół. Czy teraz pojąłeś już pan z jakiego stanowiska należy się oceniać położenie moich wrogów i moje?

— Oh! panie, pojmuje, pojmuje! — odrzekł minister zacieraając białe, wypieszczone ręce, z żywém zadowoleniem człowieka, co szczęśliwie wybrnął z zamętu i niepewności. Sprostuję moje sprawozdanie w ten sposób, aby zwrócić jasno myśl lorda Palmerstona na stan spraw z tego stanowiska, jakie W. Eksc. tak umiejętnie, tak mądrze określiłeś.

— Rób pan jak chcesz. Ja pragnę tylko, aby prawda była napisaną — rzekł Rozas z pewnym wyrazem obojętności, z pod którego, gdyby nie obecne rozradowane uniesienie, byłby dopatrzył nowego zwrotu chytrności.

— Równie wiele gabinetowi angielskiemu zależy na dowiedzeniu się prawdy, jak Waszój Ekscellencyi na tém, aby ta prawda była poznaną.

— Mnie?

— Jakże! Alboż pomoc Anglii nie zdaje się dla W. Eksc. największém jak być może poparciem?

— W jakim znaczeniu?

— Naprzykład, gdyby Anglia zniewoliła Francję do usunięcia się z La Plata, czyżby to nie była połowa zwycięstwa W. Eksc. nad wszystkiemi nieprzyjaciółmi?

— Alboż mi pan od początku blokady nieofiarowałeś pośrednictwa Anglii? a od poczty do poczty czas schodził na oczekiwaniu instrukcyj, których pan żądałeś, a które nigdy nie przybywały?

— To prawda, ale na ten raz, za najmniejszém wdaniem się rządu angielskiego, ministeryum króla Francuzów wysłał pełnomocnika do załatwienia téj sprawy. Dzisiaj nie mogę o tém wątpić.

— Dla czegoż to?

— Bo dzisiaj rząd francuzki w okropném znajduje się położeniu. Wojna w Algierze wre silniej niż kiedy: Abdel-Kader staje się strasznym. W kwestyi Wschodniej Francya jedne stawia roszczenie odmienne i sprzeczne z widokami czterech wielkich mocarstw, które się wdały w sprawę pomiędzy Sułtanem i Paszą Egiptu; rząd francuzki wysłał znaczne siły morskie na Dardanelle, i jeżeli nie cofnie swoich wymagań, lub jeżeli Rossya utrzyma swoją opiekę nad Stambulem, nie długo król Ludwik Filip będzie musiał

wyprowadzić na Bosfor wszystkie swoje floty. Wewnątrz Francji nie więcej spokoju, ani bezpieczeństwa: zamach w Strasburgu poruszył wszystkich napoleonicistów, a dawne stronnictwa zaczynają podnosić swój parlamentarny sztandar. Ministerjum Soult'a jeżeli już nie upadło, to bez zawodu upadnie rychło, a opozycja nurtuje, i stara się postawić na czele rady jednego ze swoich znakomitych członków. W takim położeniu, Francji zależy bardzo wiele na wzmożeniu przymierza z Anglią, i dla kwestyi tak małej wagi jak sprawa La Plata, gabinet francuzki nie zechce sobie narazić lorda Palmerstona.

— Niech sobie robi co chce, dla mnie to rzecz obojętna, panie ministrze. Mnie nic nie grozi ani w Stambule, ani w Afryce, a co się tyczy blokady, to sam pan wiesz dobrze, iż nie mnie ona największą przynosi szkodę.

— Wiem to, wiem dobrze: handel brytański głównie na niej cierpi.

— A to pan wiesz jaki kapitał angielski leży zamknięty w Buenos-Aires, bo mu wyjechać wzbrania eskadra francuzka?

— Dwa miliony funtów sztrl. w płodach krajowych, które ulegają zepsuciu z dniem każdym.

— Wiesz pan jaki jest miesięczny wydatek na pielęgnowanie tych produktów?

— Dwadzieścia tysięcy funtów sztrl. Doniosłem już o tém mojemu rządowi.

— Wiesz pan także jaki kapitał brytański w rękodzielniach spoczywa po większej części w Montevideo, z powodu przerwania transportów.

— Milion funt. sztrl. O tém doniosłem także.

— Rad jestem, że rząd pański wie o tém, skoro chce ponosić te szkody. To wasze interesa. Co do mnie, ja wiem, jak sobie radzić z blokadą.

— Ja zawsze powtarzałem, że wszystko jest w mocy Waszój Ekscellencyi — odrzekł minister z uśmiechem pełnym przymlenia i dworskości, i jednocześnie z wyrazem głębokiego przekonania.

— Nie wszystko, panie Maudeville — odparł Rozas, odrzucając się w tył krzesła i utkwivszy oczy jakby dwie strzały w oblicze gościa, któremu widocznie chciał aż do głębi sumienia zajrzeć, — nie wszystko. Na przykład, gdy jaki zagraniczny minister otwiera drzwi swego domu dla unitaryusza ściganego przez prawo, i udziela mu schronienie, ja nie mogę rachować na szczerłość owego ministra, że przyjdzie mi zdać sprawę z takowego wypadku, i zażąda odemnie ułaskawienia, któreby bez trudności otrzymał.

— Jako! coś podobnego się stało? Nie wiem o jakim ministrze chce mówić W. Eksc.

— Pan nie wiesz panie Maudeville? — mówił Rozas cedząc po słowie wyrazy, z okiem wlepioném bez mrugnienia w twarz pośta.

— Daję słowo W. Exc, iż..

— Dosyć — przerwał Rozas, który zanim Maudeville usta otworzył, był już przekonany, iż ten w istocie nie wie o czém on się chciał dowiedzieć, i dlaczego właściwie do siebie go zawezwał. Dosyć, powtórzył i powstał aby nie dostrzeżono na jego twarzy uczucia wściekłości miotającej nim w téj chwili.

Maudeville wpadł na nowo w kłopot i obawę; w obec tego człowieka nikt nie mógł nigdy być spokojnym i zadowolonym.

Rozas przeszedł się po pokoju, i nagle się zatrzymał, oparł rękę na poręczu krzesła, a postawa jego wyrażała iż wszystkie jego władze zbiegły się w zmysł słuchu. Powód dał się poznać niebawem. Słychać było galop koni przez ulicę *Restauratora*, a niedługo podkowy zatętniały w podwórzu domu.

— Jakaś sztafeta od policyi, — rzekł Maudeville szukając środka zawiązania na nowo rozmowy tak raptownie urwanéj, i zrozumiawszy co zwróciło uwagę dyktatora.

Rozas obrzucił go wzgardliwém wejrzeniem i rzekł:

— Nie, panie ministrze angielski, ten koń przybywa z za miasta, a jeździec który go przed moimi drzwiami zatrzymał, to nie żaden agent ani komisarz policyi, ale dobry *gaucho*.

Minister lekko ruszył ramionami i powstał.

W téj chwili generał Corvalan wszedł do pokoju z listem w rękę.

Rozas otworzył go i zaledwie rzucił nań okiem, wyraz dziękéj wściekłości rozlał się na jego twarzy tak nagle, że pan Maudeville patrząc nań pytał sam siebie, czy to jest złudzeniem wzroku czy téż rzeczywistością.

— A więc pan odchodzisz, panie ministrze.— rzekł Rozas przerywając czytanie i wyciągając rękę do gościa który już trzymał swój kapelusz.

— W. Eksc. może polegać na swoich przyjaciołach.

— Kiedy pan zamierzasz wyprowadzić pocztę? — zapytał nie słuchając nawet ostatnich słów ministra.

— Pojutrze.

— To za długo. Każ pan przysiedzieć swoim sekretarzom, ażeby wysłać jutro po południu, a raczéj dzisiaj, bo to już czwarta godzina z rana.

— Wyjdzie o szóstéj po południu.

— Dobréj nocy panie Maudeville! — Corvalan odprowadził pana ministra.

Minister po niskich ukłonach wyszedł z pokoju, a Rozas usiadł. rozłożył list na stole i czytał, a za każdym wyrazem oczy mu krwią zabiegały, i czoło mieniło się w różne barwy: z kolei sianiało, płomieniało się i bladło.

Po kwadransie sam zamknął zewnętrzne drzwi swojego gabinetu, i przechadzał się po nim gwałtownym krokiem, miotany burzą namiętności, które łatwo było określić i zrachować po widocznych zmianach, przebiegających po jego twarzy.

VIII.

O ś w i c i e.

Jutrzenka dnia 5 maja rozpraszała cienie téj nocy, która była świadkiem spełnienia strasznej zbrodni, i uknućcia wielu innych.

Wstydliva bogini co wdzięcznie się rumieniąc występuje na niebiosa dla oznajmienia, iż król przyrody nadchodzi, białém swém światłem nie zdołała wysuszyć krwi niewinnej, płamiącej ukwiecony brzeg rzeki; lecz z łona wód wychylając jaśminowe czoło rąbkami z róż przysłonięte, delikatnym promykiem ócz swoich osrebrzyła wieże i kapitele tego miasta, które poeci nazwali: Cesarzową La Platy, Atenami lub Romą Nowego świata.“

Na obszernéj swéj śpiące równinie, Buenos-Aires, arystokratycznych nałogów z natury, rzekłbyś, że chce oddalić od siebie godziny ruchu i czuwania, które jéj dzień zwiastował, a jeszcze na długo zatrzymać noc i spoczynek. Na jéj szerokich i prosto wytkniętych ulicach, pod ścianami wielkich gmachów, wałęsały się jeszcze tu i owdzie pół-cienie zmroku.

Powiew z południa zwykle tak świeży i czysty w tych strefach, oczyszczał miasto z wilgotnych i gęstych wyziewów nocnych, których słońce nie zdążyło wyciągnąć z ulicznego błota. Bowiem zima w r. 1840 już od pierwszych dni kwietnia zawiła ulewnym deszczem, jak gdyby nawet natura chciała także przynieść swój naddatek do grodnych utrapień, które w tym roku nieszczęsny lud ten nawiedziły.

Nasycony woniami fijołków i hyacyntów, które sutym kobiercem zaściełają piaszczyste pobrzeże, wietrzyk roznosił po mieście balsamiczne i rozkoszne tchnienia.

Wszędzie była cisza, spokój, jakaś nieokreślona harmonia.

Od wschodu nad spokojnym widnokregiem wielkiej rzeki, lazurowy płaszcz niebios barwił się złotem i szkarłatą, w miarę jak jutrzienka na opalowym rydwanie w górę wstępowała, a ostatnie nocy cienie gromadziły na zachodzie rozproszone szczątki swego zburzonego mocarstwa.

Ach! czemuż ten żalobny i tajemniczy całun ciemności nie pozostał rozwieszony od niebieskich stropów nad skronią tego miasta, od którego się odwrócił wzrok Stwórcy? Jeżeli straszne przekleństwo spadło na głowę jego w gromie gniewu Bożego, czemuż dlań ziemia nie krążyła po przestworach bez gwiazd i słońca, ażeby zgorszenia i zbrodnie nie profanowały tego majowego światła, którego promień przed laty trzydziestu hartował serce i oręż odrodzicieli całej części świata?... Lecz rzekłbyś, iż natura chełpić się chce swoją niezależnością od ludzkich uroszczeń, ile razy człowiek kusi się zapragnąć by harmonizowała z jego niedolą. Alboż raz jeden po nocy pełnej grozy i okropności, dnia następnego przepy-

szne słońce łamało złote swe promienie w kałużach krwi ofiar, których jęk ostatni wołał do Boga o pomstę za zbrodnię ohydną? Czy raz w noc letnią, wonną i rozkoszną, księżyc i gwiazdy srebrzystym blaskiem przyświecały spełnieniu się zbrodniczej zemsty?...

Jak natura, tak samo ludzkość okazała się obojętną, na nieszczęścia gromadzące się nad głową biédnego narodu, który jak był sam w godzinie zwycięstw i wielkości, tak sam i opuszczony przeciwieć miał srogą epokę swojej niedoli. Albowiem, dziwnym zbiegiem przeznaczeń ludzkich, ten lud argentyński, który z pośrodku dzikich puszczy i stepów wstał, tryskając prąd odrodzenia i niosąc hasło wolności dziesięciu narodom, miał się ukazać równie wielki tryumfem jak pogębieniem, cnotą jak występkiem: bo nawet zbrodnie jego co łez i krwi potoki toczyły, noszą cechę tak odrębną i tak strasznie groźną, iż zrównać ich nie można z przestępstwami, które wstrząsają i zakrwawiają polityczne i społeczne narodów żywoty.

Sam, opuszczony, pojmował on wszakże jakim było obecne jego położenie, a instynktem, tym tajemnym głosem wewnętrznym, który nas uprzedza o grożących nam nieszczęściach, przeczuwał, iż cios nowy i straszliwszy od tych, które go przygniotły, rychło na jego spadnie głowę, wymierzony przez bezlitośną tyranii rękę, a dla powstrzymania go, mieszkańcy Buenos-Aires nie mieli środków, ani może odwagi do szukania takowych.

Terroryzm, ta okropna choroba co pokonywa ducha, i umysł zbydlęca, najstraszliwsza ze wszystkich słabości, bo nie jest dziełem Boga lecz ludzi, według wyrażenia Wiktora Hugo: „zaczynał magnetyczny wpływ swój na rodzinach wywierać!“ Ojcowie drżeli o synów, przyjaciele nie dowierzali przyjaciółom, w myśli każdy pojedynczo roztrząsał słowa i czyny drugiego, i trwożył się umysł, dusza nieufnością się przepełniała.

W tajnikach myśli każdego wznosiła się modlitwa do Boga o tryumf oswobodzicieli. Lecz tak silnym było przekonanie, iż ostatnie paroksyzmy dyktatury będą śmiertelnymi dla wszystkich tych, których ręka jej dosięgnąć mogła, iż najżarliwsi jej nieprzyjaciele pragnęli by tryumf ten stał się nagle, doraźnie, żeby spaść na głowę dyktatora z szybkością i mocą gromu, iżby czasu nie było na straszliwe odwety, których się lękali. A kiedy w następstwie stawały im przed oczy zawady czasu, odległości i wypadków, ciż sami, najprawdziwsi przeciwnicy dyktatora w głębi serca, drżeli na myśl godziny zbliżającej ten tryumf. To pierwszy symptomat zwiastujący owładnięcie umysłów przez terroryzm.

Takim był stan moralny mieszkańców Buenos-Aires w czasie kiedy się nasze opowiadanie zaczyna.

*

*

Owóz w téj chwili gdy zorza na niebie świeciła i gdy ciszę miasta zaledwie przerywał jednotonny turkot kilku wozów na targ podążających, męczyzna w podeszłym wieku, wysoki, chudy, nie blade ale raczej żółty, szedł przez ulicę *Victoria* pompatycznie, podpie-

rając się na lasce. Chód jego był tak poważny, kroki w takt wymierzone, iż mniemać można, że z domu wyszedł o tej godzinie by najczyściejszém poranném odetchnąć powietrzem, lub téż celem uprzedzenia innych mieszczan z zaprezentowaniem królowi dnia przy jego wstawaniu, ogromnej jaskrawej kamizelki, która mu aż na brzuch zachodziła i federalnych godek jaśniejących u jego piersi i kapelusza.

Wszakże, czy to przypadkiem czy naumyślnie, piękna indyjska trzcina o główce ze słoniowej kości wypadła mu z ręki dwa lub trzy razy na każdym staju drogi, potoczyła się w tył za jego osobę, a wypadek ten zmuszał go do cofnięcia się o parę kroków by ją podnieść z ziemi, i bardzo prostym sposobem spojrzenie jego wówczas przebiegało niechcący przebytą przestrzeń od strony pola.

Po dwudziestu kilku upadkach laski, nasz poranny wędrowiec zatrzymał się przed bramą już nam znajomą, gdyż na kilka godzin przedtém, wszedł był przez nią Daniel i jego służący.

Tutaj oparłszy się o słupek, zdjął kapelusz i podgarniał w górę włosy, jak się to czasem robi w uciążliwy upał letni. I nie wiemy, trafem, czy przez roztargnienie posłał wzrok na prawo i na lewo w ulicę, gdzie nie ujrzał ani żywej duszy.

Wtenczas zbliżył się do bramy i zastukał klamką; nie wiemy dlaczego nie raczył zrobić użytku z brązowego lewka, służącego za donośny dzwonek.

IX.

Aniół i Szatan.

Nie na długo powstrzymamy ciekawość czytelnika co do nowój osoby wyprowadzonej na scenę w naszym opowiadaniu. Tymczasem oddalmy się nieco raptownie od ulicy *Victoria* i poprosiwszy papę Saturna o pozwolenie zminięcia się na ten raz z jego wymierzonym pochodem, przeskoczmy od świtu do połowy dnia, jednego z tych dni majowych, w których czysty błękit naszego nieba jest tak przezroczysty i świetny, iż wygląda, mówiąc bez przesady, niby namiot z gazy i atłasu; i biegnijmy w ślad za żółtym powozem, ciągnionym przez parę pięknych karych koni z przed domu generała Mancilla po brukowanej ulicy *Putozi*. Można zaręczyć że nie my jedni za nim pobiegniemy, bo ciekawość snadno się budzi, i dwudziestoletnie wyobrażenia rozkwitają raptowniej aniżeli ranny pierwiosnek, kiedy w szybkim przelocie powozu przez spuszczoną szybę ukaże się kobięca rączka w obcistej glansowanej rękawicze słomkowego koloru, drobna i delikatna: odgadnąć to nie trudno, choć ją przysłania rękawek jakby mgłą śnieżnych koronek. Nie tyle łaskawa co ta rączka, jęj właścicielka zsunęła się w głąb powozu, i wzrok przechodniów nie może dostrzedz jęj twarzy.

Powóz zawrócił w ulicę *Kamienną* i stanął przed bramą, rzekłbyś od piekiel oderwaną; tak płomienisto-czerwoną farbą świeciły jej podwoje.

Młoda osoba zręcznie wyskoczyła z powozu i w przelocie błysnęła z pod szerokich fałdów sukni malutka stopka, obciśnięta fijołkowym bucikiem.

Byłato siedemnastoletnia dziewczica piękna jak promień jutrzeńki, jeżeli nam wolno użyć tego atmosferycznego porównania. Pukle włosów jasnych i lśniących jak złoto, wymykając się z pod słomkowego kapelusika spadały na twarzyczkę podobną do najświeższej róży. Czoło szerokie i rozumne, oczy jasne i błękitne jak niebo co błyszczący nad nami, pod brwią wąską w łuk zarysowaną, ciemniejszą od włosów, nosek zgrabny, niby przezroczysty, z owém zaledwie znacznym zagięciem, które bywa cechą dowcipu i żywej wyobraźni, i w końcu usteczka małe, mocno różowe z prześliczną wadą przypominającą księżniczki z domu austryackiego, wystającą nieco dolną wargą: tyle się da opisać co do rysów tej twarzy nadobnej a szlachetnej, gdyż chcąc dać wyobrażenie o ile każdy rys nosił wyraz arystokratyczny wypieszczony, o ile tchnął delikatnym duszy uczuciem, na odmalowanie takiego wizerunku pióro jest zbyt nieudolnym.

Dodać do tego kibić wciętą na dwanaście cali w pasie, ramiona na których jakby kwiat w alabastrowej urnie spoczywała ta cudna główka, a będziemy mieli przybliżone wyobrażenie o tém uroczém zjawisku wymykającym się z powozu, w popielatęj jedwabnej sukience i w białym kasmirowym szalu.

Było coś eterycznego, coś nadpowietrznego w tém wdzięcznym stworzeniu, wkoło którego roztaczała się jakby woń zmysłom nie przystępna a tylko duszy poczuciem piękna uderzonej. Te doskonałe zarysy twarzy, te kształty jakby pędzlem natury lekko zakreślone, zdawałyby się raczej wysnionym przez poetę ideałem, a niżeli żyjącą istotą na naszym prozaicznym świecie.

Młoda panienska przestąpiła próg bramy i musiała przyzwać sobie drogę w pośród niesłychanej mnogości mulatek, murzynek, indyk, kur, gęsi i wszelkiego zwierza jakie Pan Bóg stworzył, nie wyłączając z tej liczby gromadkę ludzi jaskrawo od stóp do głowy ubranych, z wszelkiemi pozorami i oznakami przeznaczenia swego do stryczka, który ich prędzej lub później nie minie. Wszystko to napełniło krużganek i część dziedzińca domu, w którym się piękna dziewczica znajdowała, a który należał do Doni Maryi Józefy Ezcura, świkry Manuela Rozasa.

Z niemałą trudnością dostała się do drzwi sali, gdzie weszła w nadziei że znajdzie tam kogós by spytać się o panią domu. Lecz zastała w niej tylko dwie mulatki i trzy murzynki, które rozsiadłszy się wygodnie na sofie, walając zabłoconemi nogami rozestaną na podłodze rogożę z białej trzciny w czarne malowaną wzory; poufale gawędziły z żołnierzem w ponsowej katance, w którego fizygnomii

nie można było rozróżnić gdzie się kończyło zwierzę a zaczynał człowiek.

Te sześć osób przyglądały się zuchwałym a ciekawym wzrokiem nowo przybyłej, nie dostrzegając w niej federalnych oznak, którymi one same aż do zbytku były obwieszone: dwa tylko małe końce wazki różowej wstążeczki wyglądały z pod słomkowego kapelusika.

— Czy Seniora Donia Marya Józefa jest w domu?—spytała panienka po chwili milczenia, nie zwracając mowy wprost do żadnej z wyżej opisanych osób.

— Jest, ale zajęta—odrzekła jedna z mulatek nie ruszając się z miejsca.

Młoda osoba zawahała się przez chwilę; lecz wnet się namyśliła nad sposobem wyjścia z kłopotliwego położenia: przez okno zawołała swojego służącego, i kazała mu pójść zadzwonić do drzwi w drugim dziedzińcu i spytać czy Seniora Marya Józefa może przyjąć wizytę Seniority Florencyi Dupasquier.

Ton rozkazujący tego polecenia i ów urok moralnej wyższości, którym cywilizacya panuje nad ciemnotą, zrobiły pewne wrażenie na zgromadzeniu znajdującym się w sali.

Florencya, w której czytelnik już poznał psotnego aniołka igrającego z sercem Daniela, czekała przez chwilę. Niedługo weszła służąca według przepisów ubrana, prosząc by tymczasem usiadła, a oznajmując pięciu federalnym damom, że Seniora teraz nie może im dać posłuchania, lecz przyjmie je gdy przyjdą przed wieczorem. Damy wyszły rzucając wściekłe spojrzenie na tę, co była przyczyną doznanej przez nie odprawy. Że się zaś to rozporządzenie nie tyczyło żołnierza, który był poprzednio przywołanym, ten więc wyszedł tylko do przedpokoju i rozsiadł się na ławie u drzwi sali.

Skoro Florencya została sama, usiadła na jedynej sofie znajdującj się w pokoju, i przycisnęła dłonie do ładnych ocząt, jak gdyby im chciała dać odpoczynek po nieprzyjemnym widoku na jakie narażone były.

Tymczasem w pobocznym pokoju Donia Marya Józefa spieszyła się z odprawieniem dwóch kobiet służebnych z którymi rozmawiała, i jednocześnie składała w stos dwadzieścia kilka prośb przyniesionych dnia tego wraz z podarkami, a do tych w większej części należały kury i gęsi z krużganka: prośby miały być jej ręką przedstawione dyktatorowi, który jednakże mógł być pewnym iż żadna nie zamąci mu spokoju. Mówimy śpieszyła się, albowiem Seniorita Florencya Dupasquier którą jej oznajmiono należała przez matkę do najdawniejszych i najznakomitszych domów w Buenos-Aires, i oddawna w stosunku z rodziną Rozas: jakkolwiek w dzisiejszych czasach, pod pozorem nieobecności pana Dupasquier, żona jego i córka rzadko się ukazywały w towarzystwie.

Czytelnik radby może wiedzieć co za rodzaj stosunków miała Donia Marya Józefa z murzynkami i mulatkami które dom jej nachodziły. Zobaczymy to później; na teraz dosyć powiedzieć, iż

w świekrze dyktatora plonowały nie jedne ze złych posiewów, jakie ręka ducha wrogiego ludzkości rozsypuje na ród człowieczy w ciemnościach nocnych, według fantazyi Hoffmana. W historii naszej rok 33 i 35 nie może być zupełnie wyjaśnionym bez pomocy małżonki Manuela Rozasa, która chociaż nie z złego serca, posiadała wiele czynności i dzielności umysłu do intryg politycznych; a lata 39, 40 i 42 byłyby nie zrozumiałe, gdyby na widowni dziejowej brakowało działania Doni Maryi Józefy Ezcura.

Dwie te siostry są rzeczywistemi postaciami politycznemi naszych dziejów, od których niepodobna je oddzielić, bo one same nie chciały być w nich na stronie; a zresztą, czyny będące w styczności z wypadkami publicznemi nie mają płci,

Natura nie urobiła organizacyi Doni Maryi Józefy do zwykłych niewieścich wrażeń. Ruchliwość i gwałtowny ogień namiętności politycznych, miały być codziennym żywiołem duszy téj kobiety. Szczególne okoliczności życia przyczyniły się do rozwinięcia w niej tych zarodków od natury otrzymanych, a stanowisko jój szwagra i krwawe konwulsye argentyńskiego społeczeństwa otworzyły przed nią szranki obszerne, burzliwe i straszne, takie właśnie jakich jój organizacja potrzebowała. Bez zdolności i bez znajomości rzeczy pani ta oddała niepospolite usługi Rozasowi; ważność bowiem usług dla niego była w stosunku do złego jakie z ich pomocą mógł bliżnim wyrządzić, a jego świekra z niesłychaną czynnością, wytrwale i zaciekle nasuwała mu sposobności, w których mógł nasycić to palące pragnienie działania innych.

Jednakowoż w działaniach jój nie było wyrachowania, bynajmniej. Czyny jój pochodziły ze szczerój namiętności, z prawdziwego fanatyzmu dla federacyi i dla brata. A zapamiętała, ślepa, zapalona w nienawiści ku unitaryuszyom, była ona najdoskonalszém uosobieniem téj epoki wywrotów indywidualnych i społecznych, stworzonój przez dyktaturę Rozasa.

Epoki téj dotąd nikt nie zbadał, a kiedyś wprawi ona świat w zdumienie, skoro w niej ludzie dostrzegą do jakiego stopnia moralnego rozprzeżenia dojść może społeczeństwo młode, gdy ręka silna uweźmie się na popychanie do takowego rozstroju, i gdy zaledwie spotyka opór w moralności i cnocie prywatnej, które bezbronnie łatwo się dają porwać w wir kataklizmów publicznych, albowiem brak im nieprzewartej potęgi jaką tylko wzajemna daje spójność. Zjednoczenie się idei cnót, ludzi jedném słowem, nie istniało w tym narodzie, który w dziecięcój naiwności mniemał iż dosyć było dzielności w boju, ażeby stać się wolnym, wielkim i potężnym!....

Ludzie rozproszeni, odosobnione uczucia sprawiedliwości i moralności, cnoty i honoru; wszystko zostało zniweczone pod natarczym naciskiem zbrodni zbiorowój i uorganizowanój. Uplatanowane to dzieło szatańskie dopięło celu, przez wyzyskiwanie przewrotnych popędów pleby ciemnej a namiętnój, której pilno było zerwać tamy i potargać więzy, jakeimi cywilizacya powstrzymywała wylw jój dzikiego obyczaju.

Wreszcie boczne drzwi sali otwały się, i rączkę wykwiłtnęj Florencyi uściśnęła zaniedbana ręka kobiety małego wzrostu, chudej, z zapadłą twarzą, z małemi oczkami, z włosiem nie przygładzonym, na którym powiewały końce ogromnej kokardy krwawego koloru. Na obliczu tój kobiety wrzące namiętności wyorały głębsze ślady niż 58 lat życia.

— Cóż to za cud! Czemuż Donia Matylda nie była także łaskawą?— spytała sadowiac się na sofie obok młodej panienki.

— Mama trochę niezdrowa, i nie mogąc wyjść, mnie poleciała oświadczyć pani, jój uszanowanie.

— Gdybym nie znała Doni Matyldy i jój rodziny, sądziłabym że została unitaryuszką, bo teraz poznać unitaryuszów po ich odosobnieniu się. A wiesz dlaczego te waryatki tak się zamykają w domu? Oto dlatego żeby nie nosić nakazanego godła, albo uniknąć ażeby im go smoła nie przyklepiouo, co jest wielkiem dziecinstwem, bo jabym im ćwiekiem do głowy przygwoździła, toby i w domu musiały z niem chodzić. Ale Florencita nie nosi go także jak należało!

— Przecież ja noszę, Seniora.

— Noszę! noszę! to tak jakby nic. Tak samo noszą unitaryuszki, a chociaż jesteś córką Francuza, aleś nie taka plugawa jak oni wszyscy. Nosisz je, lecz..

— Noszę bo powinnam, Seniora, — przerwała Florencya pragnąc pokierować sama rozmowę i ugłaskać nieco tę ludzką furę, której jedną z piérwszych zalet była chciwość.— Mam godło i mam tu jeszcze coś więcej, to jest mały datek który mama przez szanowne ręce pani pragnie ofiarować na szpital kobiet, gdyż powiadają że jego zasoby są wyczerpane.

To mówiac Florencya dobyła z kieszonki pugilaresik ze słoniowej kości, wyjęła z niego cztery bilety bankowe i złożyła je w ręce Doni Maryi Józefy. Były to oszczędności z miesięcznej pensyi którą jój ojciec wyznaczył na jałmużny i na śpilki.

Stara pochwyliła banknoty i źrenice jój zaświeciły patrząc na cyfrę 100 odbitą na każdym papiérku. Zwinęła je, wetknęła za gors i rzekła z owém zadowoleniem nasyconej chciwości, którą tak dobrze Molier odmalował.

— Otóż to mi federalistka! Powiedz mamie że Juan Manuel będzie wiedział odemnie o tym czynie ludzkości, który jój robi tyle zaszczytu; a jutro zaraz zarządca szpitala pieniądze te dostanie!

I ręką przyciskała bilety do piersi, jakby się lękała że w rzeczywistość może się zamienić wyrzeczone przez nią kłamstwo.

— Mama pragnie za całą nagrodę ażeby pani raczyła przy sobie zachować ten uczynek, który w jój oczach jest obowiązkiem sumienia. Pan Gubernator niema czasu na takie drobnostki. Wojna zabiera mu wszystkie chwile; i żeby nie pani i nie Manuelita trudnoby mu było podolać wszystkim obowiązkom jakie na nim ciążyą!

Pochlebstwo zazwyczaj więcej podzielać może na złych niż na dobrych i tém do reszty Florencya oczarowała Seniorę.

— Musimy biédakowi pomagać! — odrzekła rozpiérając się na sofie.

— Nie wiem jak Manuelita może wystarczyć zdrowiem. Powiadają, że nocne na czuwaniu przepędza; jeszcze zachoruje! — mówiła Florencyja tonem bolewaniana.

— To pewno że może zachorować. Dzisiaj naprzykład, nie położyła się aż o czwartej z rana.

— O czwartej! Ależ teraz sądzę że na szczęście nie obawiamy się żadnych zaburzeń.

— Ba, jak to zaraz znać że nie znasz się na polityce. Teraz więcej niż kiedy!

— Zapewne, ja nie mogę być przypuszczoną do tajemnic które tylko pani i Manuelita możecie godnie posiadać. Lecz myślałam, ponieważ *Entre-Rios* gdzie teatr wojny jest tak daleko, więc tutejsi unitaryusze nie mogą nic działać wbrew rządowi dyktatora.

— Biédne dziecko, ona wie tylko o swoich sukienkach i kape-lusikach. A unitaryusze którzy się chcą za rzekę przeprawiać?

— O, w tém im nikt przeszkodzić nie może! Pobrzeża tak rozległe!

— Nikt im nie przekozi? ha! ha! ha! — zaśmiała się piekielnym śmiechem ukazując trzy małe i żółte zęby, jedyne jakie jéj w dolnej szczęce pozostały. — A wiesz ilu ich téj nocy złapano?

— Zkądżebym mogła wiedzieć, — odrzekła Florencyja udając najzupełniejszą obojętność.

— Czterech, kochaneczko.

— Czterech?! .. Ale ci się już nie przeprawią, bo wnoszę iż muszą być w więzieniu.

— O! że się nie przeprawią za to ci ręczę! zrobiono z nimi coś lepszego niż uwięzienie.

— Coś lepszego! — zawołała Florencyja jakby w podziwie, udając że wcale nie wie o losie tych nieszczęsnych, chociaż przed chwilą była u siostry Rozasa generałowej Mancilla i dowiedziała się tam o smutnych wypadkach poprzedniego wieczoru, lecz ani słowa o tym, który szczęśliwie śmierci uniknął.

-- Rozumié się, że coś lepszego. Dobrzy federaliści wyprawili ich na tamten świat! Wielkie to szczęście, chociaż przytém nie uniknęło się małego nieszczęścia.

— Doprawdy! oh, ale pani powiadasz, że małe, a małe rzeczy nie obchodzą takie osoby jak pani.

— Jak czasem. Jednemu udało się umknąć.

— To go łatwo znajdą, bo podobno policya bardzo jest czujną.

— Nie nazbyt.

— Mówią, że w téj gałęzi senior Victorica jest geniuszem, — nastawała rzutna dyplomatką chcąc ukłóć miłość własną federalistki.

— Victorica! nie mówże dzieciństw. Ja, ja robię wszystko, a więcej nikt.

— Ja zawsze tak myślałam, i w obecnym razie jestem pewna, że pani więcej dokonasz niżeli naczelnik policyi.

— Mogę ci przysiąc na to.

— Chociaż z drugiej strony, liczne zajęcia pani może jęj przeszkodzą...

— Nic, nic mi nie przeszkodzi!... Ja sama nie wiem jak mi czas wystarcza. Dopiero dwie godzin jak wróciłam od Manuela, a więcej wiem o zbiegłym, aniżeli ten Victorica, o którym tyle trzymają.

— Czy być może! Ale to nie do uwierzenia!.. przez dwie godziny... kobieta!

— Powiadam ci,— mówiła Donia Marya Józefa, która miała słabostkę chwalić się ze swoich wielkich czynów, krytykować Victorica, i wywoływać podziw dla siebie.

— Muszę uwierzyć dlatego tylko, że to od pani słyszę,— mówiła dalej Florencyja pędząc do szturm przez ten wyłom, u którego ta fanatyczna kobieta źle strzegła swoich tajemnic. — Ależ pani chyba stu ludzi w pogoń za zbiegiem wysłałaś!

— Bynajmniej. Oto tak: kazałam przywołać Merla, który ich doniósł;— przyszedł, ale to bydlę nie wie ani nazwiska, ani żadnych znaków: wtenczas przywołałam kilku żołnierzy z tych, którzy mieli udział w owém zdarzeniu, i oto tam za drzwiami siedzi ten, który mi najlepsze przyniósł objaśnienie. Otóż... ale zobaczysz sama... Camilo!

Żołnierz wszedł do sali, i zbliżył się z kapeluszem w rękę.

— Powiedz mi Camilo— mówiła,— jakie mi możesz dać znaki, po których poznać można tego plugawego dzikiego unitaryusza, który uciekł w nocy?

— Musi mieć wiele znaków na ciele, a wiem gdzie ma jeden— odparł z wyrazem dzikiej radości na twarzy.

— A gdzie? i jaki?— pytała stara.

— Na lewej nodze, od cięcia pałasza.

— Jestżeś tego pewnym?

— Nie miałbym być pewnym! Ja go sam ciąłem, senioro.

Florencyja cofnęła się aż w kąt sofy.

— I poznałbyś go z widzenia?— pytała Donia Marya Józefa.

— Nie, ale poznałbym po głosie.

— Dobrze, idź sobie Camilo!... A co? słyszałaś?—mówiła dalej do panny Dupasquier, która nie straciła ani słowa z opowiadania bandyty. — Słyszałaś? ranny w lewą nogę! O! to odkrycie ty-siące warte! przynasz sama.

— Ja nie rozumiem, na coby się ono przydało; bo przypuszczam, że ranny leczy się w swoim domu lub cudzym, a ściany domu nie szklane.

— Oh! dziecko, dziecko! — zawołała Donia Marya Józefa kładąc kościstą rękę na kolanie Florencyi. — Ta rana daje mi trzy środki do sprawdzenia.

— Nie może być!

— Może być. Sluchaj: lekarze opatrujący rannego, aptekarze wydający leki na rany, i domy w których się da dostrzedz, że naraz mają chorego. Cóż ty na to?

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że z tymi środkami nie daleko się zajdzie.

— O! bo ja mam inny w zapasie, jeśli te mi nie wykażą.

— To niepodobna!

— Tak sądzisz? Otóż te które wymieniłam, posłużą tylko do poszukiwań dzisiejszych i jutrzejszych, ale w poniedziałek będę miała przynajmniej jedno piórko z tego ptaszka.

— Mnie się zdaje, że nawet koloru tych piórek pani nie zobaczysz,— odparła Florencyca z figlarnym i wdzięcznym uśmiechem, obrachowanym na podrażnienie i wprowadzenie w ruch téj nożowej maszyny, którą miała obok siebie.

— Nie? będziesz widziała!

— A dlaczegoż to w poniedziałek, nie w inny dzień?

— Dlaczego! Czy seniorita wyobraża sobie, że z ran unitaryuszów krew się nie leje!

— Zapewne... ale seniora... nie mówmy o ludzkiej krwi!

— Ależ dziecko, dżicy unitaryusze to nie są ludzie, to psy, zwierzęta: jabym bez wstrętu po ich krwi brodziła.

Nerwowe drgnięcie wstrząsało całą istotę młodój dziewczycy, lecz zapanowała nad sobą.

— Otóż— mówiła dalej stara— krew ta z ran płynie, broczy odzież, wala bandażę, prześcierała w łóżku, ręczniki, któremi opatrujący obcierają sobie ręce: nie prawdaż?

— Prawda senioro, ależ mnie to wszystko nadzwyczaj w ciekawość wprowadza, bo nie domyślam się ani na jotę, na co to się pani przyda.

— A to zabawne! Zobaczmy zaraz, którego dnia praczki zabierają brudną bieliznę?

— Zwykle pierwszego dnia w tygodniu.

— O ósmój lub dziesiątej z rana, a o dziesiątej idą z nią do rzeki. A teraz rozumiesz?

— Rozumiem,— odrzekła Florencyca przestraszona szatańską wyobraźnią, która téj kobiecie podszeptowała sposoby, jakie jej nigdy w życiu na myśl nie byłyby przyszły.

— Praczka choćby była unitaryuszką, będzie prac w obecnych, a ja już wydam stosowne rozkazy.

— Ach! to wyborny plan! — rzekła młoda osoba siląc się przemódz na sobie obecność téj kobiety, której oddech zdawał się jej być równie jadowitym jak dusza.

— Doskonały; i wiem, że Victorica nigdy nie wpadłby na podobny pomysł, a tém mniej żaden z tych zarozumiałych i okrzyczanych unitaryuszów, którym się zdaje, że wszystko umieją i wszystko potrafią.

— O! co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości— zawołała panna Dupasquier tak żywo i radośnie, iż kto inny niż Donia

Marya Józefa byłyby łatwo zrozumiał, do jakiego stopnia ucieszyła ją możliwość oddania sprawiedliwości stronnictwu, do którego należała urodzeniem i wychowaniem.

— Oh! Florencita, nie idź za mąż za żadnego unitaryusza! Oni nie tylko, że dzicy i plugawi, ale także głupi; każdy federalista może ich w pole wyprowadzić. Ale skoro o małżeństwie mowa, jakże się miewa senior Don Daniel, że go od niejakiego czasu nigdzie nie widać?

— Zdrów zupełnie, senioro.

— Bardzo się cieszę. Ale... pamiętaj! dobrze otwieraj oczy.

— Dlaczego? cóż mam zobaczyć? — pytała Florencya zaciekawiona, jak każda kochająca kobieta, gdy chodzi o przedmiot jej miłości.

— O moja duszko, wiesz dobrze, że kochanie zgaduje te rzeczy.

— Senioro, cóż mam zgadywać?

— Co! wszak kochasz pana Bello? nie zapieraj się, ja wiem dobrze.

— Jeżeli pani wiesz...

— A tak wiem, i dużo wiem, i muszę ostrzedz, że nieprzyjaciel za drzwiami, że trzeba się mieć na baczności, żeby cię nie oszukano, bo ja cię kocham jak rodzoną córkę.

— Któż mnie ma oszukać? Zaręczam pani, że nie rozumiem — odrzekła Florencya nieco zaniepokojona, lecz panując nad sobą, ażeby wydrzeć tajemnicę, jakiej posiadaniem przechwalała się Donia Marya Józefa.

— Śmieszna jesteś! a któż jak nie Daniel.

— Oh! seniora, Daniel mnie nigdy nie oszukiwał, — odrzekła wyniosłe Florencya.

— Chciałabym temu uwierzyć, ale mam powody...

— To się pani mylisz.

— Mam dowody. Powiedz mi prawdę, bo mnie nikt nie oszuka: czy czasami myślisz o Barakach?

— Jakto?... nieraz o nich mówię, ale nie wiem co mnie mogą obchodzić Baraki?

— Nie wprost ciebie, ale kogoś innego. Ja to wiem dobrze, a jeszcze lepiej wié o tém pewna Amalia, jakaś tam kuzynka pewnego Daniela, znanego i coś więcej od pewnej Florencyi. A teraz rozumiesz, niewinna gołąbeczko? — mówiła baba śmiejąc się i głaszcząc brudną ręką świeże i białe ramię swojej ofiary.

— Zdaje mi się, że rozumiem co pani chcesz powiedzieć, lecz w tém jest z pewnością omyłka, — odrzekła dziewczica z udanym spokojem, lecz w serce jej uderzył cios na który nie była przygotowana, aczkolwiek dobrze znała złośliwość osoby z którą mówiła; któraż kobieta nie jest skora w posądzeniu o niewierność ukochanego od siebie człowieka.

— Ja się nie myślę, seniorita, nie! Kogóż widuje ta wdowa samotna w swojej willi? tylko Daniela. Cóż Daniel robi przy ko-

biecie młodej, pięknej, niezależnej? jużci, że nie pacierze z sobą odmawiają. Czemu ta Amalia prowadzi życie tak odosobnione? Czemu Daniela nigdzie nie zobaczy? bo Daniel każde popołudnie u niej spędza, a na wieczór przychodzi do ciebie. To moda dzisiejszej młodzieży, dzielić czas pomiędzy te i owe. Ale cóż to? zbladłaś!

W samą rzecz wszystka krew Florencyi zbiegła do jej serca.

— Ha! ha! ha! — szyderczo zaśmiała się jędza, — a ja jeszcze wszystkiego nie mówię! Oj! dziewczęta, dziewczęta!

— Pani, muszę ją pożegnać — rzekła powstając Florencya cała drżąca.

— Nieboraczka! a natrzęj mu dobrze uszów! nie daj się oszukiwać! — i ciągle śmiech szatański wykrzywał usta, marszczył i rozciągał czarną i zwisłą skórę na twarzy, która w tej chwili mogła posłużyć za typ do odmalowania czarownicy z hiszpańskich legend.

— Żegnam panią — powtórzyło biedną dziewczę wyciągając rękę do tego potworu, co w duszy jej skaził czyste zwierciadło jej szczęścia, najpierwszym cieniem okropnego podejrzenia.

— Dobrze kochaneczko, bądź zdrowa; kłaniaj się mamie, niech wyzdrowieje, żebyśmy się prędko zobaczyły. A miej oko! eh! — i śmiejąc się ciągle odprowadziła senioritę Dupasquier aż do bramy.

Strapiona dziewczica wsiadła do powozu, i rozpiąć musiała klamrę od sukni, ażeby wolno odetchnąć, bo czuła się blizką omdlenia. Na nieszczęście należała ona do tych osób rzadkich, zwłaszcza między kobietami, którym natura odmawia smutnej łez pociechy. Nie było jej daném s płakać po kropelce choć części tej gorczy co serce jej zalała, i ulżyć fizycznie uciskowi piersi.

Zastanowienie i rozważa, które tak często wydzwignąć mogą z pogńębienia moralną istotę człowieka, nie jednokrotnie służą także do utwierdzenia w boleści: rozumowanie wywoływało coraz to nowe widma złowrogie, we wrażliwym umyśle niewinnego dziecka.

— W samą rzecz — mówiła sobie, — Daniel często wyjeżdża konno... nigdy nie wiedziałam gdzie on popołudniowe godziny przepędza. Nieraz wieczorem, wczoraj naprzykład, o dziewiątej od nas wyszedł... Nigdy mi nie proponował stosunków ze swoją krewną... A z drugiej strony ta kobieta wie wszystko, ma na swoje usługi wszelkie środki jakie jej poddaje duch przewrotności dla wyśledzenia wszystkiego co tylko się dzieje i mówi w Buenos-Aires... I mówiła z taką pewnością... zaręcza, że ma dowody!... A przecież ona nie ma żadnej przyczyny, żeby mnie nienawidzić i zwozić... O! to niezawodne! niezawodne! O mój Boże! — wołała Florencya przyciskając rękami czoło, na którym rumieniec zniknął i płonął na przemian.

I myśl jej tonęła w otchłani wspomnień, rozumowań i wątpliwości, a nie miała dosyć siły by się otrząsnąć z tego zamętu któ-

ry ją przybijał, bo w niej uczucie, serce jak to pospolicie zowią, czynniejszém było i potężniejszém niż umysł tak żywy i jasny, uczucie pochłaniało całą jej istotę w chwilach zmartwienia lub głębokiego szczęścia.

Drżąca i blada, przebiegając myślą wszystkie rozmowy Daniela dotyczące się Amalii, w których tak zawsze wystawiał piękność, rozum, wytworność gustów swojej krewnej, Florencyą przybyła wreszcie do domu o wpół do drugiej z południa. Pragnęła powierzyć matce, jedyniej swojej przyjaciółce, całe strapienie zbolełego serca, lecz pani Dupasquier wyszła była z domu i Florencyą sama jedna w salonie, oczekiwała zbliżającej się chwili odwiedzin Daniela, zapowiedzianych w rannym liście.

X.

A g e n t k a D a n i e l a.

Tegoż poranku Daniel ubierał się w swoim pokoju z pomocą wiernego Fermina, który właśnie powrócił po sprawieniu się z danych sobie poleceń.

— Czy Florencyą sama odebrała kwiaty? — pytał Daniel muszcząc szczoteczką ciemne włosy i rzadki zarost rozdzielony sztucznie na brodzie według przepisów feodalnych.

— Tak jest, panie, sama.

— Zważałeś, czy była rada?

— Tak mi się zdaje. Ale się zdziwiła ujrzawszy list. Pytała się czy co zaszło nowego.

— Biedne dziecko! A jak była ubrana? Co robiła gdyś przybył?

— Siedziała w dziedzińcu pod jaśminową altanką i rozwijała papiloty z loków.

— Z tych złotych loczków, na których każdym włosku trzyma uwiązane moje serce! — szeptał do siebie Daniel, wiążąc niedbale czarny jedwabny krawat na szyi.

— Ale pytałem się jak była ubrana?

— W białej sukni w zielone pasy, z przodu otwartej, przewiązanój w pasie.

— To ranny szlafroczek. Jak jej musiało być ładnie! A więcój co?

— Więcój nic.

— Głupi jesteś.

— Bo nie miała innój sukni!

— Tak, ale czy była w pantofelkach czy w bucikach, czy miała jaką chusteczkę, jaką wstążkę, powinieneś był uważać żeby mi opowiedzieć.

— Miałbym się tam przyglądać! — odparł chłopak z wyrazem obojętnym a drwiącym, zuamionującym fizyognomię *gaucha*, był nim bowiem z pierwotnego wychowania, chociaż nawyknięcia miejskie zagładziły w części zwyczaje w dzieciństwie nabrane.

— Tém gorzej dla ciebie. Jest tam kto w przedpokoju?

— Jest ta kobieta po którą z rozkazu pana chodziłem, i Don Candido.

— A! mój mistrz pałek, geniusz przymiotników i zboczeń od rzeczy! Cóż go tu sprowadza? nie wiesz?

— Nie wiem, panie. Powiadał, że musi z panem mówić, że był o szóstej, ale brama była zamknięta, potem przyszedł o siódmej i czeka od dwóch godzin przeszło.

— Tam do licha! mój dawny professor kalligrafii nie zapomniał zwyczaju dręczenia mnie, i dziś chce także abym o szóstej rano wstawał! Poprosisz go do mego gabinetu, ale aż po wyjściu Doni Marceliny, którą tu wprowadź.

— Tutaj? — spytał Fermin, jakby nie dowierzając.

— Tak, tutaj, mój czysty Józefie. A drzwi we wszystkich pokojach niech będą pozamykane.

Po chwili chrzęst jakby zmoczonego i na słońcu wysuszonego papieru oznajmił Danielowi, że spódnice Doni Marceliny wraz z jęj osobą, maszerują przez przyległy pokój.

W rzeczy samėj ukazała się w jedwabnej rodzynekowej sukni i w chustce żółtej merynosowej z czarnemi szlakami, której ogromny trójkąt na ramionach rozwieszony wspaniale spadał aż na kostki. W rękę chusteczka biała mocno krochmalna, ujęta przez środek, ażeby każdy mógł widzieć na wszystkich końcach różowe hafty, i wielka jaskrawa kokarda na lewym boku głowy, uzupełniały część widzialną strojów tej damy, na której obliczu ciemném, i nieco nazbyt pełném, wyraźnie i nie zaprzeczenie czterdzieści ośm lat życia, obwieszczają swoje przejście wraz ze sprawioném przez siebie zniszczeniem. Napróžno objawieniu takowemu siliły się zaprzeczyć dwa spadające aż do brody zwoje włosów grubych, twardych, nieokreślonego koloru. O minionych wdziękach świadczyło jeszcze tylko dwoje czarnych ócz, które musiały być piękne kiedyś, z młodzieńczym blaskiem... Dodajmy do tego wzrost niepomierny, tuszę niepoślednią, a będziemy mieli przybliżone wyobrażenie o postaci Doni Marceliny, którą Daniel powitał ukłonem nie powstając z siedzenia, i uśmiechem uprzejmym bez poufałości, jakim się zwykło obdarzać osoby za podrzędne względem siebie uważane.

— Potrzebuję pani, — rzekł wskazując jęj krzesło naprzeciw siebie.

— Zawsze jestem na rozkazy pańskie, senior Bello, — odrzekła siadając i unosząc suknię po obu stronach końcami palców, jakby do tańczenia menueta.

— Przedewszystkiem, jak zdrowie pani? — spytał Daniel, który kroku nigdy nie stąpił bez zbadania gruntu, chociażby dopiero wczoraj po nim się przechadzał.

— Jestem zmordowana panie; dzisiaj życie w Buenos-Aires może starczyć na odpokutowanie za wszystkie grzechy jakie kto ma.

— To pani się przyda kiedy wypadnie przejść do wieczności,— odrzekł Daniel przypatrując się swoim ręką, jak gdyby one go jedynie zajmowały: a były to ręce tak białe i piękne, że pozazdrościłaby ich nie jedna zalotna eleganka.

— Inni mają większe grzechy aniżeli ja, a pozyskają niebo— mówiła Donia Marcelina kiwając głową.

— Naprzykład?

— Naprzykład, pan wiesz kto.

— Są rzeczy które ja łatwo zapominam.

— A ja, nie! choćbym dwieście lat żyła, tego im nie zapomnę!

— To bardzo źle: przebaczać naszym nieprzyjaciółom należy do przepisów naszej religii.

— Im przebaczyć! im? Po tój hańbie jaką przez nich przecierpiałam, kiedy na moją dobrą sławę się targnęli, wpisując mnie w listę kobiet zgubionych? Nigdy! Ja mam serce Kapuletów!

— Ba!— zawołał Daniel, powstrzymując śmiech na to porównanie,— pani zawsze przesadzasz przy tych wspomnieniach.

— Co pan mówisz, że przesadzam? pan wiesz dobrze jak się to odbyło. Co za straszna scena! Ale nie sądzę pan, że ta sromota spadła na mnie skutkiem mojego postępowania. To była zemsta polityczna, bo moje przekonania były wiadome; najpierwsze moje stosunki były z unitaryuszami. Odwiedzali mnie ministrowie, adwokaci, poeci, pisarze, co było najlepszego w Buenos-Aires, i z tój to przyczyny za pierwszych rządów tego zbrojeckiego *gaucho* otrzymałam taką zniewagę. Padłam ofiarą moich przekonau politycznych, a może przytem i mojego zamiłowania w literaturze, bo ten dziki prześladował wszystkich, którzy jój się oddawaliśmy. Wszyscy moi przyjaciele poszli na wygnanie. Oh! błoga epoka Varelów i Gallardów! minęła, minęła bezpowrotnie!

I Donia Marcelina ocierała pot chusteczką.

— To była oburzająca niesprawiedliwość,— zauważył Daniel, na którego twarzą w magistralną przyobleczonój powagę, gwałtem wybijał się śmiech tajony.

— Oburzająca! I tylko moje stosunki mnie uratowały, jak to już panu opowiadałam. Ocalił mnie jeden z najszanowniejszych moich przyjaciół, użaliwszy się nad niewinnością uciśnioną przez srogie okrucieństwo; a to właśnie największa nieludzkość, jak powiada Rousseau,— zawołała z emfazą pani Marcelina, która miała słabostkę cytowania autorów.

— Rousseau miał słuszność pisząc tę nową a godną podziwu sentencję, — rzekł Daniel zaledwie zdolny stłumić śmiech, który wrzał w jego piersiach słysząc to imię i to zdanie w ustach Doni Marceliny.— Wyborną pani masz pamięć.

— O tak! żebyś pan wiedział, ja umiałam takie sztuki jak *Argia* i *Dydona*, wiersz po wierszu, zaraz na drugi dzień po pierwszém przedstawieniu.

— Zadziwiająca pamięć!

— O tak! Chcesz pan żebym mu deklamowała sen Dydony, albo szaleństwo Kreona, które ma przeszło dziesięć stronic i tak się zaczyna:

„Smutna fatalność! Wielcy bogowie...“

— Nie, nie, dziękuję! — przewał Daniel drżąc ze strachu, by mu do końca nie chciała recytować tego nieskończonego *szaleństwa*, przy którym oszaleć można z nudów, słuchając tragedji klassycznejgo poety unitaryuszów.

— Jak pan chcesz. Nic nowszego nie umiem, bo teraz nie mam tragedji, ale czytuję powieści: przeczytałam już *Syna Karnawalu*, a teraz będę czytać *Lucyndę*, którą właśnie kończy moja siostrzenica Tomasita.

— Przedziwne książki! Wolno zapytać kto pani dostarcza dzieł tak wyborowych? — spytał Daniel opierając się na poręczu krzesła i wlepiając wzrok spokojny i przenikliwy w tego niewieściego dziwoląga.

— To nie mnie, ale mojej siostrzenicy Andrei, przynosi ksiądz Gaete.

— Książd Gaete, — wykrzyknął Daniel, nie mogąc już powstrzymać głośnego śmiechu.

— I bardzo mu jestem wdzięczną, gdyż osoby wykształcone wiedzą, że młodzież powinna czytać i złe i dobre, żeby uniknąć zasadzek w życiu.

— Wyborne rozumowanie! Lecz tego tylko nie pojmuję, jak osoba tych zasad politycznych co pani, utrzymuje stosunki z przeznaczonym kapłanem, który jest brylantem federacji?

— Ja mu to codzień śpiewam. Ale cóż, on się śmieje, odwraca odemnie, a rozmawia z Gertrudita.

— Z Gertrudita! Jest jeszcze i to imię w pani domu?

— To moja siostrzenica, którą przed miesiącem wzięłam do siebie.

— Święta Barbaro! to pani masz więcej siostrzenic, niż miał Adam wnuków z pokolenia Seta. Czytałaś pani biblię?

— Nie. Ale cóż? jestem opiekunką moich osierociałych siostrzenic, robię dla nich co mogę.

— Wierzę temu. Lecz cóżbyś pani zrobiła, gdyby wielebny Gaete znalazł w jej domu to, co mi w ręce wpadło, kiedym to po raz pierwszy na zalecenie pana Duglas do pani przyszedł?

— Ach mój Boże! byłabym zgubiona! Ale senior Gaete nie byłby tak ciekawym jak senior Bello, — rzekła Donia Marcelina pewnym tonem pieszczotliwej nagany.

— I pani masz słusność, a i ja także. Pamiętasz pani jak to było: przyszedłem dla wręczenia listu, który pani miałaś odnieść na wskazane miejsce, ktoś zadzwonił, pani mnie ukryłaś w swojej sypialni, a tam nie szukając znalazłem...

— Nie powinienesz być czytać, figlarzu! — przerwała Donia Marcelina coraz pieśczośliwszym głosem, który przybierała, ile razy była mowa o tém zdarzeniu, a trafiało się to regularnie za każdym widzeniem.

— A jakże się oprzeć ciekawości? Dzienniki z Montevideo...

— Już mówiłam panu, że mi je syn mój przysłał.

— A tenże list?

— Ach, ten list! Byliby mię za niego rozstrzelali ci barbarzyńcy! Jakże byłam nie ostrożna! Co zrobiłeś z tym listem, piękny młodzieńcze?

— Grozić, że się obetnie warkocze wszystkim kobietom z rodziny Rozasa jak wejdzie Lavallo, to nie są żarty Donia Marcelino!

— Cóż pan chcesz! Entuzyazm! Odebrane zniewagi! Jednakże... ja nie byłabym zdolną uczynić coś podobnego! Ale czy masz ten list rabusiu?—pytała znów, siląc się widocznie na uśmiech.

— Powiedziałem już pani, że ten list skonfiskowałem, ażeby panią od niebezpieczeństw uchronić.

— Lecz powinienesz go być zniszczyć!

— A tobym zrobił głupstwo niesłychane!

— Po cóż go chować?

— Po to, żeby mieć dokument dowodzący patryotyzmu pani, jeżeli się kiedyś rzeczy odmienia. Chcę ażeby usługi jakie mi pani oddajesz były w swoim czasie sownie wynagrodzone.

— W tym tylko zamiarze pan go zachowujesz?

— Dotąd nie dałaś mi pani powodu do zmienienia zamiaru— odrzekł zwolna Daniel, kładąc przycisk na każdy wyraz.

— I nigdy z méj strony pan go mieć nie będziesz!— wykrzyknęła biedna kobiecina, buchając całą kolumną powietrza, uciskającego jęj płuca przez ciąg rozmowy o liście, który był jęj codzienną zmorą.

— Tak mniemam. A teraz do rzeczy: widziałaś pani Duglasa?

— Trzy dni temu. Wczorajszego wieczora zabrał na łódź pięciu ludzi.

— Bardzo dobrze. I dziś się pani z nim zobaczysz.

— Dziś? idę natychmiast!

Daniel przeszedł do swego gabinetu, podniósł brązowy kałamarnicz, wyjął z pod niego list który był napisał zeszłej nocy, włożył w drugą kopertę i z piórem w ręku wrócił do sypialni.

— Napisz pani na kopercie: Do Pana Duglasa.

— Nic więcej?... oto jest, — rzekła ciotka wszystkich sióstrzenic w świecie.

— Pójdziesz pani natychmiast do Duglasa, i oddasz mu ten list w cztery oczy. Schowaj go pani dobrze.

— Nie bój się pan.

— A teraz jeszcze jedno. Potrzebuję być w domu pani jutro lub pojutrze po południu, ale sam, przez pół godziny tylko.

— Ile tylko pan zechcesz. Wyjdę z dziewczętami na przechadzkę. A! a klucze?

— Dzisiaj zaraz każesz pani dorobić drugi, i jutro rano mi go prześlesz, oznaczając dzień i godzinę kiedy pani wyjdiesz. Wolałbym o zmierzchu żeby mnie nie widziano.

— O! ulica gdzie mój dom, to prawdziwa pustynia!

— Wewnętrzne drzwi pozostawisz pani otwarte.

— Niema tam tak bardzo co kraść.

— Kiedyś będzie więcej. Żądam tylko od pani milczenia i rozwagi; byle najmniejsza nieroztropność, mnie włos nie spadnie, a pani idzie o głowę.

— Życie moje oddawna w rękę pana, senior Don Bello; lecz choćby nie to, jabym się zawsze dała zabić za ostatniego z unitaryuszów!

— Moja pani, nie ma tu mowy o unitaryuszach, anim ja pani nie wyznawał nigdy, że do nich należę. Wiesz już pani wszystko?

— Bądź pan spokojnym, niema drugiego coby miał taką jak ja pamięć— odrzekła Donia Marcelina, nieco zmieszana tonem serjo jakim Daniel przemówił.

— Dobrze: wyobraź sobie pani żem ją wyuczył ustępu z poematu; i pożegnajmy się. Oto masz pani na klucz i na cukierki dla siostrzenic w czasie przechadzki,— dodał Daniel, wyjmując z kieszeni i kładąc jęj w rękę bilet na pięćset *pesos*.

— Tyleś pan wart co całe Peru! — wykrzyknęła deklamatorka *Argii*.— Za jeden raz i to bezinteresownie dajesz pan więcej, niż senior Gaete przez cały miesiąc!

— Z tém wszystkiem pamiętaj pani być z nim w zgodzie. Do widzenia.

— Żegnam, sénior Don Bello!— i z ukłonem wcale dystyngowanym Donia Marcelina wyszła, niby żagłowa łódź hamburska płynąca z wiatrem.

XI.

W którym się ukazuje człowiek z indyjską trzcina.

Zaledwie Donia Marcelina opuściła salę, gdy Fermin do gabinetu Daniela wprowadził lubownika rannych o świcie przechadzek.

Z kapeluszem w jednej ręce, w drugiej z indyjską trzcina, wkroczył poważnie, złożył na krzesło laskę i kapelusz i przystąpił do Daniela z wyciągniętą ręką.

— Dzień dobry, kochany, szacowny mój Danielu! W dniu kiedy najbardziej pragnąłem pomówić z tobą, niepokonane przeszkody stawały mi na drodze; lecz oto w końcu jestem przy tobie, i z twojém pozwoleniem usiądę.

— Pan wiesz że ja w ogólności późno wstaję.

— Zawsze miałeś ten nieprzełamany zwyczaj, ten nałóg wrodzony, naturalny: wielokroć naznaczałem ci przykładne, surowe kary, za chybienie klaszorskich nieodwołalnych godzin.

— I mimo tych licznych pokut nie zdołałeś mię pan wyuczyć dobrze pisać, na moją wielką szkodę, mój drogi Don Candido.

— I tém się nader chlubię. Przez ciąg trzydziestu dwóch lat zaszczytnego, mozolnego, drażliwego zawodu nauczyciela początków, zauważyłem iż tylko głupcy nabywają sztuki pisania pięknego, wyraźnego, swobodnego, czystego w bardzo krótkim czasie; wszystkie zaś dzieci wielkich i świetnych nadziei jak ty, nigdy się nie wyuczają pisma regularnego, choćby średnio doskonałego.

— Dziękuję za pochlebny komplement; lecz przyznam się panu iż bardzoby mi się przydało mniej rozumu a lepsze pismo.

— Ależ to nie przeszkadza ci mieć ku mnie zyczliwość czułą i szczerą, nieprawdaż?

— Zapewne że nie: szanuję pana tak samo jak wszystkich, którzy się mną zajmowali w dziecinnych latach.

— I nie odmówiłbyś mi wielkiej przysługi gdybym jęj kiedyś od ciebie zapotrzebował?

— Bez wahania, co tylko w mojej jest mocy. Mów pan otwarcie.

— Czy szczerze mówisz?... Wszystko?...

— Z pewnością... Wiem że mogą się zdarzyć różne niemiłe okoliczności, — na przykład, dzisiaj majątkowe straty są bardzo powszechne. Nic pospolitszego nad pieniężne kłopoty w takiej epoce jaką przeżywamy. Mów pan z całą otwartością, — powtórzył Daniel, chcąc przez delikatność oszczędzić swojemu nauczycielowi nieprzyjemności rozwodzenia się nad ogólnym stanem majątków, jeśli przypadkiem potrzeba tego rodzaju sprowadzała go do domu dawnego ucznia.

— Nie... nie o kruszcowy pieniądz ani o monetę papierową tu chodzi; szczęśliwie z moich oszczędności uciułałem kapitalik i z procentów żyję dziś nieźle; wygodnie. O inną rzecz, większej wagi mam cię prosić. Bywają w życiu epoki straszne, epoki klęsk, przewrotów, kiedy publiczne wstrząśnienia niebezpieczeństwem grożą winnym i niewinnym. Bo burze polityczne to jak uragan rozszały, wściekły; co na spiętrzonych ryczących morza bałwanach porywa wążką nawę, i już, już ją ma zatopić z całą osadą, czy w nią są źli czy dobrzy, niewierni lub chrześciance! Pamiętam ja wodną przeprawę jaką odbyłem raz w życiu do *Vacas!* Co za podróż! Z nami płynął ojciec franciszkanin; przeznacny człowiek! Zważ bowiem Danielu, mimo że tyle wygadują na duchownych, są jednakże między niemi przykładni, tutaj nawet mieliśmy wzory cnoty i miłosierdzia. Są i źli, to prawda, ale tak wszystko w życiu, i...

— Pozwól pan, zdaje mi się że pan oddalasz się od głównego interesu. — przerwał Daniel znając z doświadczenia iż miał sprawę z jednym z tych ludzi, którzy zbaczając z przedmiotu w przedmiot błąkają się po manowcach; nigdy nie zdołaliby wybrnąć na prosty

gościniec, jeżeli im się nie przerwie mowy; i chociaż nieraz bawiły go przymiotniki bez liku i często dziwaczne którymi jego dawny professor kalligrafii ubarwiał swoje zbroczenia: dzisiaj atoli nie był usposobionym do zabawy i nie miał czasu do stracenia.— Na tym świecie panie, najlepiej zaczynać od początku i śpiesznie iść w prostej linii, żeby dojść do końca! O cóż więc chodzi?

— Właśnie do tego zmierzam: przemówię do ciebie jakby do syna czulego, przywiązanego, dyskretnego i racjonalnego.

— To aż nadto: cóż dalej?... do rzeczy!

— Wiem że stoisz na dobrych kotwicach,—mówił dalej Don Candido: figury rétoryczne równie jak przymiotniki były cechą znamionującą jego krasomowski talent.

— Nie rozumiem pana!

— Chcę mówić że twoje wysokie znajomości, twoje dystyngowane przyjaźni stosunki, twoje związki ściśle i bezprzestannie stgżające się przez częstotliwe, poufne i znakomite traktowanie twoich własnych interesów, i rekomendacye twojego czcigodnego ojca, ...

— Na miłość Boską, panie, już dłużej nie wytrzymam! Co masz pan do powiedzenia mi?

— Do tego zmierzałem, ty prochowa mino. Zawsze ten sam, ten samusićki co wówczas, kiedy siedziałeś po mojej prawicy z kiedziarami spadającymi na barki, w błękitnej zgrabnej kurteczce; kiedy ci kréski pisać kazałem, a ty skoroś drzwi ujrzał otwarte, zostawiając czapeczkę pędem strzały mknąłeś do domu. A więc mówiłem: że twoje znamienite stanowisko, do którego drogę szeroką, równą, kwiecistą uutorowały ci stosunki twojego dostojnego, wspinałomyślnego i znanego z patryotyzmu ojca, zarówno jak twój subtelny rozum i twój niezrównany smak w otwartém i serdeczném obcowaniu z ludźmi...

— Bardzo dobrze, ale cóż mogę uczynić dla pana?

— Słuchaj mię!

— Słucham...

— Wiem ja, iż w miarę jak nagle wypadki, jak okoliczności naciskają, najlepiej jest...

— Sądzę że najlepiej byłoby żebyś mi pan raz powiedział czego chcesz!

— Czekaj, do tego idę..

— Cierpliwości! — mruknął Daniel, wprawny już od lat kilku do panowania nad sobą.

— Wszak masz stosunki.

— Dostyc liczne. Dalej.

— Między innymi znasz pana Bernardo Victorica naczelnika policyi. Czy to prawda?

— Rzeczywista. Więc cóż pan chcesz?

— Słuchaj mię Danielu! Ja cię wyuczyłem pisać, ja cię kochałem jak syna, boś był żywy, wesół, trzpiot, sprytny, rzutny...

— Nieskończenie dziękuję. I cóż?

— Ty byłeś prawie jedynym z moich dawnych uczniów, dla którego przyjaźń aż do teraźniejszej epoki przechowałem; do téj teraźniejszości ni eszczęśnej, co osłonięta chmurą gromem brzmioną, rozdąsaną, fosforyczną tajemnych konwulsyi, namiętności rozpętanych, sprawia, lub wkrótce ma sprawić zupełną, nieodzowną, fatalną katastrofę mojego żywota!

— Cóż więc pan sobie życzyłeś, — pytał Daniel gryząc sobie usta, lecz nie okazując na twarzy najmniejszego śladu miotającej nim niecierpliwości.

— Oto pragnąłem ażebyś mi wyświadczył bardzo wielką i niemniej ważną przysługę, najdroższy mój Danielu!

— Ależ właśnie to samo powiedziałeś mi pan na początku rozmowy.

— Powoli, powoli, idźmy porządkiem.

— Idźmy jak pan chcesz, ale idźmy.

— Masz stosunki znakomite?

— Mam.

— Można?

— Tak.

— Znasz także pana Victorice?

— Znam.

— Kiedy tak, każ mię....

— Co?

— Danielu! przez pamięć na twoje pierwsze stronnice które z taką przyjemnością poprawiałem, każ mię... czy sami jesteście?

— Jak najzupełniej sami, — odrzekł Daniel nieco zdziwiony dostrzegając iż Don Candido bladł w miarę posuwającej się rozmowy.

— Jeżeli tak, Danielu najdroższy, najzaciejszy, każ mię...

— Ale co, na wszystkich świętych w niebie!

— Każ mię wsadzić do więzienia Danielu! — rzekł Don Candido przytulając usta do ucha swego ucznia, który raptownie się obrócił i z całych sił wpatrzył się w twarz jego, chcąc jakąkolwiek więcej wskazówką stwierdzić swoje przekonanie iż jego professor zwaryował.

— Dziwisz się, — mówił dalej Don Candido, — jednakże upraszam ciebie o tę znamienitą przysługę, a najzaciejszą, najważniejszą, najdroższą jaką mi może ktokolwiek ze śmiertelników wyświadczyć!

— Ależ w jakim zamiarze chcesz się pan dostać do więzienia? — dopytywał się Daniel nie mogąc wpaść na żadną myśl która by go upewniła o umysłowym stanie osobliwszego suplikanta.

— W jakim zamiarze?! Żeby żyć w bezpieczeństwie, spokojnym bez troski, w pośród zagrażającej nam, huczającej i druzgoczącej burzy.

— Burza zagraża panu?

— Tak, młodzieńcze; ty jeszcze nie wiesz czém są przerażające i krwawe ludzkości wzburzenia, a nadewszystko, jak fatalne

omyłki mogą się w ich straszliwym zamięszeniu przytrafić. W roku dwudziestym, w tym okropnym roku, kiedy wszyscy w Buenos-Aires poszaleli, ja byłem dwa razy więziony przez omyłkę, i drzę na myśl, iż w roku 1840, kiedy się wszyscy poszatanili, utną mi głowę także przez omyłkę. Ja wiem co jest, co będzie! i dlatego chcę się dostać do więzienia za jakąś sprawę cywilną, broń Boże nie polityczną.

— Ale cóż jest! co będzie!—pytał Daniel zaczynając się domyślać iż coś rzeczywiście ważnego może być w tych przewidujących obawach.

— Co jest! Ażaliż nie czytujesz *gazety!* Nie czytasz tych złowrogich gróźb ludowego rozwścieczenia, krwiożerczych, zabójczych, zagładę zionących.

— Ależ to przeciw unitaryuszom, a pan o ile mi się zdaje, nie wplątałeś się w żadne polityczne sprawy.

— W żadne!... lecz te groźby niosące śmierć, zniszczenie, pioruny i pożogę wymierzone są przeciw wszystkim. A zwłaszcza ja lękam się omyłek.

— To są przywidzenia, mój panie.

— Przywidzenia? Alboż nie widzisz tych ludzi powierzchowności zatrwającej, srogiej, co od kilku miesięcy wyszli z piekieł jak sądzę, i których spotyka się na ulicach, w kawiarniach, na placach, w szanownych i nieskażonych przysionkach świątyń, z ogromnemi u pasa sztyletami, wyostrzonemi jak brzytwa.

— Alboż pan nie wiesz, że sztylet jest i będzie zawsze orężem federacyi?

— Lecz to są symptomata wstępne, grzmiące, błyskające, téj burzy którą przepowiadałem. Jeszcze chwila nie była przyszła, ale nadchodzi, już bliska...

— Zkądże nadchodzi!... Mów-że pan!

— Oho! to jest tajemnica którą w łonie mojem noszę, jak ostrza stu sztyletów od czwartej godziny z rana.

— Senior! Przyznam się panu jeżeli nie będziesz mówić jasno i bez tajemnic w łonie, to nie słucham już ani słowa więcej i zmuszonym będę mu oświadczyć że mam pilny interes wyjścia.

— Nie, nie pójdiesz. Słuchaj!

— A więc słucham.

Don Candido wstał, podszedł ku drzwiom, popatrzył przez dziurkę od klucza, a przekonawszy się że nikogo niema w drugim pokoju, zbliżył się do Daniela, i tajemniczo szepnął mu do ucha:

— La Madrid oświadczył się przeciw Rozasowi.

Daniel skoczył z krzesła, błyskawica radości przebiegła po jego twarzy, lecz zagasiła nagle pod rozkazem potężnej woli młodzieńca.

— Gadasz pan od rzeczy, w gorączce,—rzekł spokojnie siadając napowrót.

— To jest rzecz pewna Danielu, tak niezawodna jak to, że tu rozmawiamy we dwóch, sami. Wszakże sami jesteście?

— Mój panie, jeżeli mi nie opowiesz wszystkiego jak i zkąd wiesz, pomyślę że mię pan masz jeszcze za dzieciaka i żarty sobie ze mnie robisz!

— Nie gniewaj się mój Danielu, drogi, szacowny. Posłuchaj a przekonasz się. Wiesz iż odkąd porzuciłem klasę kalligrafii, to jest od lat czterech, usunąłem się do mego skromnego domku, by żyć spokojnie z owoców uciulanego kapitaliku. Potrzebuję kogós coby miał pieczę o gospodarstwie i bieliznie; zatrzymałem w mojej służbie niewiastę lat podeszłych, z białej rassy, rodem z prowincyi; bardzo dobra kobięcina, porządna, staranna, oszczędna..

— Ależ Senior, cóż ta kobięta ma za stycznosć z generałem La Madrid.

— Zobaczysz. Owa kobięta ma syna, który od lat dziesięciu pracował jako najemnik w Tukumanie: najlepszy syn, nigdy nie omieszkał przysłać matce części swojego zarobku! Otóż co ci o nich miałem do powiedzenia: słyszałeś dobrze?

— Aż nadto!

— A teraz wrómy do tego co mię dotyczy. W moim domu jest brama od ulicy. Ach! zapomniałem ci powiedzieć że syn mojej służącej zrobił jęj niespodziankę swemi odwiedzinami w połowie zeszłego roku. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A więc w domu moim jest brama, a w izbie mojej służącej okno niezakratowane wychodzące na ulicę. W ciągu tych ostatnich miesięcy, kiedy wszyscy drzemy w Buenos-Aires, sen zbiegł z oczu moich, drzemiącego zmora mię dusi. Czy tego nie doznajesz?

— Panie mój, mów o generale La Madrid!

— Poczekajże. Otóż dzisiejszej nocy około czwartęj nad ranem, byłem czuwający jak zazwyczaj; gdy nagle słyszę, koń się zatrzymał przed bramą, brzęk metalu wyraźnie mi zwiastował iż mąż zsiadający z konia był to oficer czy żołnierz. Jam nie wojenny człowiek, krew mię wstrętem przejmując, i wyznam ci wszystkie otwarcie, strach mię zdjął wielki, drzenie opanowało wszystkie moje członki, pot zimny oblał mię od stóp do głowy, i było czego! nieprawdaż?

— Kończ pan!

— Kończę. Wysuwam się z łóżka, cichutko uchylam okiennicę i patrzę przez szparkę: noc była ciemną, jednakże rozpoznałem iż po drugiej stronie bramy przy oknie Nikolasy, służącej mojej, stał ów jeździec, zapukał lekko, a potem, zamienili stów kilka których nie dostyszałem; otwarto się okno i mężczyzna wszedł do izby. Myśli mi się poplątały, głowa stała się jak wnętrze gorejącego wulkanu, sądziłem się ofiarą przekupstwa i zdrady, i nie tracąc chwili boso wybiegłem cichaczem w dziedziniec i przez dziurkę od klucza zajrzałem do izby Nikolasy. Jak myślisz, kogo tam ujrzałem?

— Powiedz pan, to będę wiedział na pewno.

— Posłusznego, uległego, przywiązanego syna Nikolasy, którą ścisła serdecznie; wszelako nie zszedłem ze stanowiska, chciałem się przekonać czy jakie nagłe nie grozi mi niebezpieczeństwo i bacznie słuchałem. Nikolasa chciała mu przyrzadzić posłanie, lecz on odmówił, powiadając że bez zwłoki musi wracać do mieszkania gubernatora, że jednym tchem z Tukumanu pędził i przed chwilą oddał depeze. Widzisz?

— Mów pan dalej nie pomijając żadnej okoliczności,—rzekł Daniel, którego już bynajmniej nie nudziły przymiotniki, epizody i omówienia.

— Wszystkie wyrazy mam wypiętnowane w pamięci jakby rozpaloném żelazem. Powiadał, że depeze były od jakichś bardzo bogatych panów z Tukumanu, że w nich prawdopodobnie uwiadomiali gubernatora o postępkach generała La Madrid. Nikolasa ciekawa jak każda kobieta, dopytywała się o wszystko, a syn, zaklinając ją by najgłębszą zachowała tajemnicę, opowiadał: iż skoro tylko La Madrid wszedł do Tukumanu, natychmiast publicznie oświadczył się przeciw Rozasowi, że ludność przyjmowała go uroczyście, i że go zaraz mianowali i kazali uznać głównodowodzącym wojskiem liniowém i milicyą tój prowincyi, a szefem sztabu pułkownika Don Lugones, a dowódcą kirasyerów pułkownika Don Acha. Wyobrażasz sobie mój drogi, jakie wrażenie to wszystko sprawiło na mnie, stojącym boso i w koszuli pod drzwiami Nikolasy.

— Zapewne, zapewne; mów pan dalej,—rzekł Daniel polykając wyraz po wyrazie w miarę jak wychodziły z ust kalligrafa: sprawozdanie to opłaciłby całym swoim majątkiem, lecz fizyognomia ani najłżejszą zmianą nie wyjawiała co się w duszy działo.

— Po co mówić dalej? cóż więcej potrzebujemy wiedzieć? Dalej już tylko opowiadał matce o uroczystościach, o rozradowaniu, o ruchach wojennych w prowincjach, które się prawie całe oświadczyły przeciw dyktatorowi.

— Ale może wymówił jeszcze jakie inne nazwisko, jaką okoliczność szczególną?

— Nic a nic. Zaledwie dziesięć minut zabawił z matką, dał jój trochę pieniędzy. obiecał że dziś jeszcze do niej wstąpi jeżeli go nie wyprawią przed świtem, bo to syn, oh! opowiem ci całą historię...

— W jakim on wieku?

— Młodzian, dwadzieścia dwa lub trzy lat najwięcej, wysoki, jasnowłosy, nos orli, przystojny, dzielny, tęgi, mężki.

— W tak młodych latach człowiek nie bywa złym pospolicie. Syn który zdała pamięta o matce, znać że ma serce. Nie miał żadnego interesu w okłamywaniu matki. Don Candido nie skrzyżował się ani jednem słowem w całej swój mowie.

— A więc to rzecz niezawodna. Opatrzność Boska...—mówił sobie w duchu Daniel, niezwracając uwagi na ostatnie przymiotniki oratora.

— Dobrze więc, — rzekł głośno — dajmy na to że wieść o generale La Madrid jest pewną; lecz nie pojmuję jaki ztąd osobisty wniosek dla siebie samego pan wyprowadzasz?

— Dla mnie?... powiedz dla wszystkich. Słuchaj-no, bądźmy szczerzy; pomimo wszelkich pozorów, niepodobna ażebyś był przyjacielem dyktatury, abyś lubił burze i krew. Co?

— Senior, zaszczyt mi robisz swoją ufnością, i możesz polegać na mojem milczeniu; lecz nie widzę tu potrzeby zwierzać się panu z moich politycznych przekonań.

— Dobrze, dobrze, tak radzi roztropność, ale ja wiem co powiedziałem; i to ci także mówilem, czyli raczej chciałem powiedzieć iż owo zdarzenie rozdrażni bez miary pana dyktatora, że jego krwiste rozdrażnienie udzieli się szybko i subtelnie wszystkim tym jego mościom, których ani ty ani ja nie mamy honoru znać, a którzy najniewątплиwiej są wysłańcami Lucypera. Chciałem więc powiedzieć ci, że groźby *Gazety* spełnią się, że rany i śmierć padną na prawo i na lewo, i że jakkolwiek mam głębokie, religijne, święte przekonanie o mojej niewinności, nie mam najmniejszej rękojmi iż mię nie zamordują, przez omyłkę w najlepszym razie. I otóż tego pragnąłbym uniknąć, od tego musisz mię uchronić miły mój i drogocenny Danielu. Teraz pojmujesz?

— Mojem zdaniem, z taką obawą nie możesz pan nic lepszego uczynić, jak nie wychodzić wcale z domu, dopóki nie przeminie ta hucząca burza, jak ją pan zowiesz.

— I cóż na tém zyskamy? Wejdą do mnie zamiast wejść do sąsiada, i zamiast Piotra albo Jana zabitym zostanie Don Candido Rodriguez, dawny nauczyciel początków, człek uczciwy, spokojny, miłosierny, moralny.

— A! to byłaby omyłka okropna; a więc potrzeba...

— Uniknąć jój, przeszkodzić, odeprzeć, uniemożliwić, schronić się, uciec.

— Jak? gdzie? dokąd?

— Słuchaj: jeżeli wejdę do więzienia nie z rozkazu wyższego, ale przez jakiegokolwiek podwładnych rozporządzenie, pan dyktator mnie nie zna i nic nie będzie wiedział, ani o mnie pomyśli, skoro nie za polityczne sprawy będę uwięziony. Więzienia nie napadną, a gdyby i tak było, nadzorca uwiadomi z jakich przyczyn siedzę pod kluczem. I tak sobie będę żył szczęśliwie w więzieniu jak niegdyś w domu póki było spokojnie. Żołnierzy się nie będę lękał, i owszem, oni mi będą tarczą przeciw wszelkim zamachom *Towarzystwa Ludowego*, a nadewszystko przeciw omyłce.

Ważną wiadomość tak dziwnym sposobem odebrana zatrudniała myśl Daniela, lecz nie przeszkodziła mu obrachowywać jednocześnie iż ten człowiek tchórzem podszyty, wystraszony, może się stać powolnym na wszystko narzędziem, ofiarując mu nieco bezpieczeństwa przeciw wymarzonemu w jego wyobraźni groźnym widmom.

— Wszystko to niema sensu, — rzekł — ale chochy i najrozsądniejszemu byto, jak pan chcesz żebym ja go wsadził do więzienia? Jakiż mogą dać pozór? To zupełne niepodobieństwo! Jednakże położenie pana mocno mię zajmuje...

— O! ja wiedziałem że nie będziesz nieczułym na moją niedolę, ty najszlachetniejszy, najtkliwszy z moich dawnych uczniów! Ocalisz mię, nieprawdaz?

— Tak mi się zdaje! Przystałbyś pan na urząd prywatny przy boku osoby, której polityczne stanowisko w obecnym stanie rzeczy najlepszą jest rękojmią federalizmu wszystkich jego podwładnych?

— A czegożbym więcej mógł pragnąć! Nie byłem nigdy urzędnikiem, lecz będę nim. A nawet będę urzędował bezpłatnie. Od téjże chwili rzekam się pensyi przywiązanej do mojej posady na cel wskazany przez mego dostojnego i zacnego pryncypała, ku któremu od téj chwili powziąłem głębokie, szczere i niezmiennie poważanie. Tyś moim zbawcą Danielu!

Don Candido zerwał się i z zapalem uściśnął swojego ex-ucznia.

— Wracaj więc pan do siebie, bądź spokojny, a jutro rano będziesz łaskaw przyjsć tutaj o dziesiątej.

— Bez zawodu! bez zawodu! stawię się punktualnie!

— Jeszcze jedno: ani słówka o generale La Madrid.

— Postanawiam nie kłaść się spać téj nocy, ażeby przez sen nie mówić. Klnę ci się na cześć ucziwego i spokojnego człowieka.

— Bez przysiąg: Senior i do jutra — rzekł Daniel z uśmiechem podając mu rękę.

— Do jutra, miły i zacny Danielu, do jutra!

Don Candido Rodriguez wyszedł z domu Daniela z trzcina indyjską pod pachą, gardząc wszystkiemi przebiegami ostrożności do jakich się uciekał zbliżając się tu poprzednio, albowiem za godzin niewiele, ujrzy się urzędnikiem przy jakiejś znakomitości federalnej z 1840 roku.

— Już dwunasta! Fermin! prędko, frak albo tużurek: co chcesz!

— Był posłaniec od pułkownika Salomon — rzekł wchodząc wierny *gaucho*.

— Czy list przyniósł?

— Nie. Pan pułkownik kazał donieść że nie odpowiada piśmiennie, bo nie może w téj chwili znaleźć kałamarza, ale że dziś o czwartęj będzie miało miejsce zebranie *towarzystwa*, i że czeka na pana o wpół do czwartęj.

— Dobrze, dobrze: dawaj suknie!

XII.

Z a z d r o ś ć i M i ł o ś ć.

Kilka minut brakowało do drugiej na ratuszowym zegarze, kiedy Daniel wychodził z domu pana ministra spraw zagranicznych, Don Filipa Arana.

W ciągu tych odwiedzin nie dowiedział się nic nowego względem historii z Edwardem, a raczej zyskał to zadowolenie, iż się przekonał że Arana nie wie najmniejszej rzeczy, chociaż dopiero co był wrócił od prześwietnego dyktatora, i wydał ze swojej strony wszelkie polecenie na jakie mógł się zdobyć, aby wprzód niż Victorica wiedzieć co zaszło wczorajszej nocy na Padole; takie były własne wyrazy pana ministra.

Tego właśnie pragnął Daniel: to jest zupełnej nieświadomości, albo skrzyżowania i zagmatwania w wieściach pomiędzy wszystkimi interesującemi się tą sprawą.

Wiedział już, że ministrowi nieznanym był ten wypadek. Usłyszy zaraz przez ładne usteczka swojej Florencyi, co o nim mówią u siostry i u świekry dyktatora. Wiadomości te pochodzić muszą wprost z domu Rozasa, gdzie te panie co rano bywały, a w nich się będą zawierać także wszelkie sprawozdania policyi i jej naczelnika. W ostatku, przed wieczorem przekona się o ile *towarzystwo ludowe* i jego prezydent byli powiadomieni o wczorajszym zajściu. Wszystko to drogi urzędowe lub półurzędowe, przez które mogła przechodzić wieść tego rodzaju tak zbliżka go dotycząca.

Przytém nie stracił on czasu w swojej ministeryalnej wizycie, gdyż udało mu się uwikłać znakomitego dygnitarza w siatkę zręcznie jego ręką usnutą. Don Arana cenił wysoce rozum Daniela, którego często się radził w ważnej okoliczności, kiedy chodziło o zredagowanie dyplomatycznej noty, lub przetłumaczenie z francuzkiego; były to rzeczy nader kłopotliwe dla pana ministra spraw zagranicznych. Zatem, z naiwnością która mu była właściwą przystał na pewną propozycję, którą mu uczynił Daniel, a przyjęcie owej rady miało się stać owocodajnym drzewem dla młodzieńca, który żeby miał być tylko jakiegokolwiek oparcie, byłby został jednym z głównych aktorów tego ogromnego rewolucyjnego dramatu. W czasach, kiedy przestraszył rozluźnił wszystkie węzły i względy przyjaźni i honoru, wśród ludności u której wyznać to trzeba, nigdy się nie rozwinął ów zmysł kojarzenia się, jakiego jej moralne potrzeby tak gwałtownie wymagały, — młodzieniec ten sam, bez pomocy, zbrojny tylko w odwagę i zdolności, walczył tajnie lecz czynnie przeciw Rozasowi z godną podziwu śmiałością, do zuchwalstwa posuniętą. Pomimo odosobnienia w jakim się znajdował, w głowie jego usnuty był cały plan spi-

sku przeciw dyktaturze, który poznamy w miarę rozwijania się wypadków, również jak w krótkim czasie nasunie się sposobność poznania, o ile ważnym było przychylenie się do jego rady ministra Arana.

Teraz, nasz śmiałek szedł krokiem pośpiesznym przez ulicę *Reconquista*, w gustownem ubraniu, w białych rękawiczkach, zwracając na siebie spojrzenia kobiet piękną i elegancką postawą, i za chwilę wstępował w progi ukochanej swojego serca.

Stojąc przy okrągłym stoliku na środku pokoju, z wzrokiem utkwionym w przepyszny bukiet umieszczony w kryształowym wazonie, Florencya nie widziała kwiatów, nie czuła ich zapachu. Była jakby zmagnetyzowana pod wpływem własnych myśli, które jęj powtarzały słowo po słowie wszystko co z ust Donii Maryi Józefy usłyszała, i zarazem kreśliła dowolnie obraz téj Amalii, ni by przybliżając się w rzeczywistości postaci ku nięj.

Tak dalece umysł jęj był w téj zadumie pogrążony, iż plecami do drzwi obrócona, nie słyszała jak się otworzyły, i ktoś wszedł do pokoju. Obudził ją z tego osłupienia gorący pocałunek wyciśnięty na jęj ręce o stolik opartęj.

— Daniel! — krzyknęła obracając się, i nagle w tył się cofnęła.

Ruch ten był tak naturalny, tak jasno uwydatnił się na jęj twarzy wyraz nie gniewu lecz nieukontentowania, taka błądź rozlała się na licach, które pospolicie w podobnych razach różana obleka krasa, że Daniel na chwilę skamieniał.

— Panie, mamy niema w domu, — wyrzekła tonem spokojnym i pełnym godności.

— Mamy niema w domu! panie! — powtarzał nie dowierzając, iż słowa te wyszły z ust jego ukochanej. — Florencyo, przysięgam na honor, że nie rozumiem co znaczą twoje wyrazy, ani twoje zachowanie się.

— To znaczy, że jestem sama, i spodziewam się, że pan nie zapomnisz o uszanowaniu należnym osobie mojego stanu i wychowania.

Daniel zaczerwienił się po uszy.

— Florencyo, na miłość Boską, powiedz, czy sobie żarty ze mnie stroisz, czym ja zmysły postradał?

— Zmysły, nie, ale co innego pan straciłeś.

— Jakto? co takiego?

— Mój szacunek, panie.

— Twój szacunek? ja?

— A cóż panu zależy na mojem przywiązaniu, albo na moim szacunku? — rzekła z przelotnym uśmiechem, i z pogardliwem skrzywieniem ładnych usteczek.

— Florencyo! — wykrzyknął Daniel postępując krok ku nięj.

— Zwolna! mój panie, — rzekła dziewica nie ruszając się z miejsca, i podnosząc dumnie głowę, a rękę wyciągnęła tak, że jęj śliczna dłoń prawie ust jego dotykała. Lecz taka godność, sil-

ne postanowienie towarzyszyły temu gestowi i słowu, iż Daniel pozostał jak wryty na miejscu, a następnie cofnął się o parę kroków i rękę oparł na poręczy krzesła.

Patrzyli na siebie przez chwil kilka, każdemu z nich zdawało się, iż ma prawo wymagać po drugim tłumaczenia. Nastąpiła zmiana sceny.

— Sądzę, seniorito, — rzekł Daniel przerywając milczenie, — iż gdy straciłem szacunek pani, pozostało mi prawo pytania o powód tej niełaski.

— Ja zaś panie, choć może prawa nie mam, pozwolę sobie nie odpowiedzieć na to pytanie, — odrzekła Florencyja z królewską wyniosłością, którą kobieta ma na zawołanie w każdym razie, gdy sądzi się być obrażoną przez kochanka, a nie poczuwa się sama do żadnej względem niego winy.

— Kiedy tak, seniorito, ja z mojej strony pozwolę sobie powiedzieć, iż jeżeli to nie jest żartem zbyt długo przeciągającym się, więc jest niesłusznością, która pani wielce uwłacza w mojem przekonaniu — rzekł Daniel z powagą.

— Bardzo mi to przykro, ale cóż robić.

Daniel był w rozpacz.

Nastąpiła nowa chwila milczenia.

— Florencyjo, wyszedłem ztąd wczoraj o dziewiątej, ponieważ interes wielkiej wagi wymagał mojej obecności w innem miejscu.

— O, masz pan zupełne prawo wychodzić kiedy mu się podoba!

— Dziękuję pani, — odrzekł Daniel przygryzając wargę.

— Dziękuję panu.

— Za co, pani?

— Za pana postępowanie.

— Za moje postępowanie?

— Pocóż pan powtarzasz moje wyrazy, jakby dla nauczenia ich się na pamięć? — rzekła wzgardliwie się uśmiechając.

— Są wyrazy, które muszę powtórzyć, żeby być pewnym, że je słyszę, bo ich nie rozumiem.

— Zbyteczna to praca: dobrze ten słyszy i rozumie, kto ma dwojaki słuch, dwojaki wzrok i dwojaką duszę.

— Florencyjo! — zawołał Daniel rozdrażniony do żywego, — to niesprawiedliwość krzycząca, wymagam bezzwłocznego wytłumaczenia.

— Wymagam, powiedziałaś pan?

— Tak jest seniorito, wymagam.

— Bądź pan łaskaw powtórzyć ten wyraz.

— O! tego nadto! pani, albo to żart zbyt dotkliwy, lub szukasz pani pozorów do zerwania. Sposób jaki obrałaś nie jest godnym ani mnie ani pani, a trzy lata stałego przywiązania daje mi prawo zapytać o przyczynę podobnego postępków i prosić o wyjaśnienie dlaczego w ten sposób traktujesz mnie pani.

— Al! już pan nie wymaga, ale *prosi*. To wcale rzecz inna— rzekła Florencyja mierząc go okiem od stóp do głowy z niewystawioną dumą i pogardą.

Wszystka krew Daniela rzuciła mu się do twarzy. Jego miłość własna, honor, wewnętrzne przekonanie o swojej prawości, wszystko było dotknięte ubliżającym spojrzeniem Florencyi.

— Wymagam czy proszę, jak się pani podoba, ale muszę mieć, słyszysz pani? muszę mieć wytłumaczenie téj sceny! — zawołał w uniesieniu.

— Proszę się uspokoić, oszczędzaj pan swego głosu. Przepuszczam, iż pan nie zapomnisz, że się do kobiety odzywasz.

Daniel wzdygnął się. Przymówka ta była jeszcze dlań boleśniejszą, niżli poprzednie dotkliwe słowa Florencyi.

— Czym ja oszalał! O mój Boże! nie, ja nie muszę być przy zmysłach! — zawołał spuszczać głowę, i cisnąc dłonią oczy.

Znów chwila milczenia zapanowała w pokoju. Przerwał ją Daniel.

— Ależ, Florencyjo, postępowanie pani jest niesprawiedliwem, niepojętém! Odmawiaszże mi pani nawet prawa błagania o wytłumaczenie!

— O mój panie, w takich czasach jak dzisiejsze, niema zwyczaju żądać tłumaczenia się z doznanych niesprawiedliwości.

— Być może w sprawach politycznych, ale między nami nie o politykę chodzi.

— W tém się pan zupełnie mylisz.

— Co to ma znaczyć?

— To, że między nami jedynie o sprawach tego rodzaju może być mowa, a przynajmniej mam powody mniemać, iż jedynie do nich panu potrzebną byłam.

Daniel rozumiał, iż Florencyja robiła mu wyrzut za prośbę w liście wczorajszym zawartą; rysy jego gwałtownie się zmieniły, drażliwość jego żywo ubodła ta wymówka. Florencyja patrzyła z wyrazem rozżalenia więcej, niż gniewu w oczach.

— Ja wyobrażałem sobie— odezwał się sucho Daniel,— iż senioritę Dupasquier obchodził nieco los Daniela Bello, a więc, że wolno było ją trudzić wraze, kiedy niebezpieczeństwo grozi życiu jego przyjaciół, lub jego własnemu.

— O! co do tego ostatniego, panie, seniorita Dupasquier bynajmniej się nie troszczy.

— Doprawdy?

— Wié ona bowiem doskonale, iż wraze zagrażającego mu niebezpieczeństwa, senior Bello znajdzie sobie ustroń swobodną, miłą, pełną dlań uroku, w której uniknie wszelkiego złego.

— Nie rozumiem pani— rzekł Daniel coraz bardziej tracąc głowę, i gubiąc się w tym labiryncie.

— Jakimże językiem mam przemawiać, ażebyś mnie pan zrozumiał? Mówię wyraźnie, po hiszpańsku: krainę szczęścia, grootę

Armidy, wyspę Knidos, pałac wrózek, nie wiesz pan gdzie się one znajdują, panie Bello?

— To nie do zniesienia!

— Ale przeciwnie, to bardzo przyjemne: mówię o tém, co pana uszczęśliwia.

— Florencyco, na Boga!

— Nie podobają się panu te porównania? A więc nazwę to czarowne schronienie wyspą Kalipsy, w której pan jesteś Telemakiem. Czy tak dobrze?

— Na niebo albo na piekło! do czego mają się odnosić te przymówki?

— Pan znasz lepiej niż ja ten raj. Czy piękne w nim są ogrody?

— Ależ gdzie? gdzie?

— Na Barakach na przykład,— mówiła Florencya odwracając się od Daniela, i zaczęła przechodzić się po pokoju z pozorem największej obojętności, choć serce jęj paliła gorączka bólu.

— Na Barakach! — zawołał Daniel postępując nagle kilka kroków ku Florencyi.

— Alboż panu tam źle było?— odrzekła zwracając się ku niemu. I po chwili dodała: — tylko staraj się pan nie być rannym, bo schronienie pana może być odkryte przez doktorów, aptekarzy i praczki.

— Ranny! na Barakach! Florencyco, zabijesz mnie, jeśli tego nie wyjaśnisz!

— Oh! nic panu się nie stanie. Będiesz pan ostrożnym, żeby nie przerwać najpiękniejszej epoki w swoim życiu... Najgorzej być rannym w lewą nogę, straszna to rana, zwłaszcza od ogromnego pałasa.

— Oni zgubieni! o Boże! — zawołał Daniel, kryjąc twarz w dłonie.

Oboje milczeli. Oboje kochając się wzajemnie aż do ubóstwienia, zadawali jedno drugiemu śmiertelne katusze, za poduszczeniem złego ducha, który płomień zazdrości zażęgnął w młodém i nie doświadczoném sercu.

Nagle nim się Florencya opamiętać mogła, Daniel był u jęj nóg, i klęcząc objął silnie obiema rękami jęj kibić.

— Na miłość Boską, Florencyco,— zawołał wznosząc ku nięj oczy, i blady jak trup,— zaklinam cię na ciebie samą, któraś jest mojem niebem, mojem bóstwem, moim całym światem na tęj ziemi, wyjaśnij mi tajemnicę słów twoich! Ja ciebie kocham! Tyś moją najpierwszą, jedyną i ostatnią miłością w życiu! Do ciebie należę, twoja dusza jest światłem moich dni, anielskim czarem mojego serca. Żadna w świecie kobieta nie może być więcej jak ty kochaną. Ależ na Boga, miłość nie może nas bezpodzielnie pochłaniać w tęj ważnej chwili, kiedy śmierć wisi nad głowami wielu niewinnych, a między temi może i nad moją. Lecz nie o własne lękam się życie: oddawna stawiam je na kartę w każdej dnia

godzinie, w każdej minucie; ale tu idzie... słuchaj mnie, boś ty duszą mej duszy, tobie jak Bogu powierzam moje uczucia i myśli: życie Edwarda i Amalii w niebezpieczeństwie. Ale jeżeli krew ich popłynie, to wspólnie z moją, i sztylet co w Edwarda pierś uderzy, i moją razem dosięgnie.

— Danielu! — krzyknęła Florencyja pochylając się nad kochankiem, ściskając rękami jego głowę, jakby w obawie ażeby śmierć jój nie wydarła w tej chwili. Szczery popęd, uczucie, prawda, malowały się na twarzy i w słowach młodzieńca, i serce jój zaczynało się odradzać z pod ucisku zazdrości.

— Tak, — mówił Daniel ciągle w tej samej postawie, — Edward miał być zamordowanym zeszłej nocy, wydarłem go im umierającego; zbójcami byli ajenci Rozasa.

— Edward zamordowany! Boże, co za dzień straszny dla mego serca! ależ nie umarł?

— Nie, będzie uratowanym. Ale trzeba go było ukryć i zawiozłem go do domu Amalii. Ona jest ostatnią pozostałą mi krewną z rodziny mejj matki, po tobie kocham ją nad wszystko w świecie, jak brat rodzoną siostrę, jak musi miłować ojciec córkę. Żyła spokojnie i swobodnie, a teraz jam sprawcą jój zguby!

— Zguby? dlaczego, Danielu? dlaczego? — wołała Florencyja wstrząsając nim za ramiona, gdyż przestraszały ją jego wyrazy i okropna błądź.

— Bo w oczach Rozasa litość jest zbrodnią. Edward jest na Barakach, a ty wymieniłaś to miejsce, Edward ranny w lewą nogę, i...

— Nic nie wiedzą! nic nie wiedzą! — zawołała rozpromieniona i splasnęła w rączęta. — Nie wiedzą nic, ale mogą się dowiedzieć. Powiem ci wszystko!

I już nie pomna swojej zazdrości odkąd życie drugich od słów jój zawisło, podniosła klęczącego, posadziła na sofie obok siebie, i w pięciu minutach powtórzyła mu całą rozmowę z panią Mancilla i z Donią Maryą Józefą. W miarę jak się zbliżała do owego ustępu o Amalii, twarz jój się mieniła, wyrazy mniejj dobitnie z ust wychodziły.

Daniel słuchał do końca nie przerywając, najmniejsza zmiana nie pojawiła się na jego licu, podczas epizodu o jego wizytach na Baraki, co nie uszło przenikliwości zazdrosnego oka.

— Nikczemnicy! — zawołał, gdy się opowiadanie skończyło. — Cała ta familia z piekiel rodem. Oni wszyscy i każdy ze stronnictwa Rozasa w miejscu krwi mają jad w żyłach, i jeśli nie zamordują sztyletem, mową i oddechem zabijają. Podli! serce dziecka brać na tortury! Florencyjo! coś o mnie słyszała, to potwarz niegodna, wymyślona dla udęczenia ciebie, bo dręcący innych, to rozkosz jedyna dla tej obmierzłej rodziny. Powtarzam ci, to potwarz, i sędzę, że ubliżałbym ci przypuszczeniem, iż ważyć się będziesz pomiędzy słowem tej jędzy a mojem.

— W każdym innym razie, bez zaprzeczenia; ale co do tego jednego, najwięcej co mogę uczynić, to jest: zawiesić mój wyrok.

Florecya już nie wątpiła, lecz żadna kobieta nie lubi przyznać, że lekkomyślnie postąpiła w oskarżeniu kochanka.

— Wątpisz o mnie Florecyo?

— Danielu, ja chcę poznać Amalię, i widzieć rzeczy na własne oczy.

— Poznasz ją.

— Chcę zawiązać z nią bliższe stosunki.

— I owszem.

— Chcę żebyśmy się w tym tygodniu poznały.

— Bardzo dobrze; cóż chcesz więcej? — odrzekł Daniel z powagą.

— Nic więcej— odparła Florecya wyciągając ku niemu rękę, którą on w swoich zatrzymał. W każdym innym razie byłby tysiącami pocałunków obsypał tę drogą rączkę, ale nateraz wyznać trzeba, myśl jego była całkiem zajęta niebezpieczeństwem grożącym jego przyjaciółom na Barakach.

— Muszę iść, najdroższa moja, i już dziś wcale nie wrócę do ciebie.

— Może pan na Baraki pojedzie?

— Tak właśnie, i długo tam zabawię. Czyż zdaniem twojem nie powinienem czuwać nad losem Edwarda i mojej siostry, którą tak mocno naraziłem? powinienem opuścić mego najlepszego przyjaciela, twojego brata, jak go sama nazywasz?

— Idź Danielu— odrzekła powstając i spuszcżając oczy dla ukrycia małej łezki, tak rzadkiego zjawiska w jej źrenicy.

— Wątpisz o mnie Florecyo?

— Idź, miej staranie o Edwardzie. Więcej ci dziś nic nie powiem.

— Nie zobaczę cię do jutra, i chcę żeby przy tobie zostało to, co mam najdroższego, i co nigdy nie opuściło mojej piersi, — rzekł Daniel zdejmując z szyi sznurek spleciony z włosów jego matki, który Florecya dobrze znała.

Po wyjściu Daniela Florecya zakryła twarz rękami i łzy obite ulżyły nakoniec bolesnemu uciskowi jej serca. Już nie wątpiła bynajmniej, w duszy jej nie było innego uczucia prócz największej miłości dla Daniela, gdyż po łzach czułego pojednania kobieta kocha w dwójnasób.

XIII.

Prezydent Salomon.

Naprzeciw prawego boku kościołka Ś-go Michała, stał dom bardzo stary, o małych wystających oknach, z bramą o jednym

skrzydle, z progiem drewnianym na pół łokcia od ziemi wysokim, na którym codziennie o zmierzchu bez chyby widzieć można było siedzącego właściciela tego domu, bez zwierzchniego odzienia, z cygaretką w jednej ręce, a w drugiej z tykwą napełnioną ulubionym Peruwian napojem. Był to człowiek około sześćdziesięciu lat, wysoki, i tak znakomitej tuszy, iż pobudziłby do zazdrości najtłuściejszego z wołów, które corocznie ukazują się na wystawie w Stanach Zjednoczonych: ramiona grubości uda, nogi objętości tułowu, a kadłub jak dziesięć tułówów.

On i brat jego January byli synami dawnego hiszpańskiego szynkarza w Buenos-Aires, po którym odziedziczyli sklepik przyległy wyżej opisanemu domostwu, i gminne nazwisko Gonzalez.

January jako brat starszy stanął na czele handlowego zakładu, a tradycya nie wyszczególnia dla jakiej okoliczności, uliczniki z całego sąsiedztwa nadali mu przydomek Salomona. To tylko wiadomo, iż słysząc to przezwisko Don January srożył się jak pantera, i w przystępach wściekłości cudów dokazywał pięścią i kijem przeciw tym, którzy za niedołanie wódki lub wina w oczy mu rzucali to przeświecne biblijne imię.

Don January *vel* Salomon zmarł przedwcześnie, i po zejściu jego brat młodszy Julian Gonzalez został panem szynku. Czy to był charakterystyczny rys filozofii popularnej, czy też imię królewskie tak mile brzmiało dla jego ucha, dosyć, że nowy szynkarz przyswoił sobie przydomek, który bratu jego żółć poruszał, podpisywał się i objawiał chęć by go nazywano: *Julian Gonzalez Salomon*.

I odtąd, jak mu przyrosło nazwisko, tak rosła tusza, przyrastały godności, bo z szynkarza wznosił się szczebel po szczeblu w niejskiej milicyi. Wszakże zatrudnienia dwojakiemu zawodu nie zaprowadziły żadnej zmiany w zwyczaju siadywania o zmierzchu na progu domu.

Zawierucha która przy wstępie do rządów Rozasa pomiotła z ziemi i w górę poniosła argentyńskie śmiecie, zbyt była silną aby jęj się nadto ciężką wydała ta gruda zlepiona z błota i mięsa; toż z progu poniosła ją, wyniosła na wysoki stopień pułkownika milicyi, a później na stanowisko prezydenta *Towarzystwa Ludowego*, słynnego pod straszną nazwą *Mas-horca*.

O czwartej godzinie po południu 5-go maja, stajnia pułkownika Salomon zapchaną była wierzchowcami w federalnym stroju, znamionowały go czerwone kapy i pióropusze w nagłówkach: błyszczące srebrne ozdoby na uździenicach i napierśnikach. Jakkolwiek widowisko to nie było rzadkiem w tych stronach, jednakże cała parafia zebraną była jak na uroczystość, przyglądając się z okien i tarassów.

Jeźdźcy tłoczyli się w sali, wszyscy jednako ubrani, to jest: kapelusz czarny z czerwoną wstęgą na cztery cale szeroką, sukmana ciemno-błękitna z nieodzowném półłokciowém godłem, jaskrawa kamizelka i ogromny za pasem sztylet, *oreż federacyi*

jak go zwaf Daniel. Tak samo jak ubiór, zarówno twarze ich, rzeczmożna, były umundurowane: wąs suniasty, zarost rozdzielony na brodzie, i fizyognomia z rodzaju tych, jakie się tylko zdarza widzieć w chwili zaburzeń ludowych, a których nikt sobie przypomnieć nie może aby je spotkał przedtém w jakiegokolwiek świata stronie.

Siedzieli, jedni na drewnianych ze słomą stołkach w nieładzie po sali porozstawianych, drudzy na ławce w oknach, a iuni na sosnowym stole pokrytym ponsowém sukniem. Każdy z tych panów był kadzielnicą tytuniową buchającą kłębamii dymu, i z po za gęstego obłoku wyzierały ich ogorzałe i odrażające oblicza.

Prześwietnego prezydenta nie było między nimi. W przyległym pokoju siedział na tapczanie służącym mu za łóżko i uczył się na pamięć niby przemowy z kilkudziesięciu wyrazów złożonej. Po raz dwudziesty słowo po słowie przepowiadał mu ją mentor, który tak ciałem jak duszą wyglądał na najzupełniejszą antytezę pułkownika Salomon.

— Zdaje mi się że już będę umiał?

— Wybornie, pułkowniku, masz pan cudowną pamięć!

— Ale, wiesz co, panie Bello, bądź łaskaw usiąść obok mnie i jak się zmyłę to mi podpowiesz pocichu.

— Z największą przyjemnością: lecz pan nie zapomnisz że masz mię przedstawić swoim przyjaciołom i oznajmić im co panu powiedziałem.

— Spuść się na mnie. Wejdzmy więc.

— Jeszcze chwileczkę. Skoro pan zasiędziesz, rozkaż sekretarzowi ażeby odczytał listę obecnych i nieobecnych, gdyż trzeba nadać naszemu towarzystwu federalnemu ten sam szyk jaki ma izba reprezentantów.

— Już ja to powiedziałem, ale jeszcze powiem, bądź pan spokojny. Idźmy.

Prezydent Salomon i Daniel Bello w swoim zapiętym tużurku, lecz z dłuższém nieco godłem i bez białych rękawiczek, weszli do sali posiedzeń.

— Dobry wieczór, *seniores*, — rzekł Salomon tonem poważnym i magistralnym, krocząc ku wyznaczonemu sobie miejscu za sosnowym stołem.

— Dobry wieczór, prezydencie! pułkowniku, kumie i t. d.— odpowiedział każdy z obecnych stosownie do tytułu jakiego zwykł używać w mowie do Don Juliana Salomon.

I każdy rzucił okiem na towarzyszącego mu młodzieńca, i zauważył niedostatek w oznakach federalizmu i zbytek w delikatności twarzy i rąk.

— *Seniores*, — rzekł Salomon — oto senior Don Bello, syn posesyonata Antoniego Bello, federalnego patryoty, któremu zawdzięczam wiele przysług. Ten pan tu obecny oczekuje na swojego ojca, ażeby z nim razem wcielić się w nasze towarzystwo, a tymczasem pragnie przyjść niekiedy podzielać nasz federalny

entuzjazm. Niech żyje przeświećny Restaurator praw! Śmierć plugawym Francuzom! Śmierć ich królowi Ludwikowi Filipowi! Śmierć dzikim unitaryuszom, zaprzędanym za brudne złoto Francuzów!

Wykrzyki te grzmiący głos prezydenta podnosił, a w chór mu przywtażali obecni, wywijając po nad głowami wydobyćmi z pochw sztylety. Wrzask ten rozlegał się na cztery staję w około, i wtórował mu motłoch snujący się po ulicy.

Gdy się uciszył huragan, Salomon zasiadł na krzesle, a Daniel przy jego boku.

— Panie sekretarzu,—rzekł gruby prezydent odrzucając się w tył na poręcz siedzenia, — proszę odczytać imiona panów ohecných.

Sekretarz wymienił około dwudziestu nazwisk.

— A teraz nieobecných.

— Jakto?... Więć listę całego towarzystwa?

— Tak jest; alboż my mamy mniej znaczyć od innych? Trzeba wiedzieć kto jest a kogo niema, jak to się robi w izbie reprezentantów.

Odczytaną została lista *Towarzystwa Ludowego* liczącego 175 członków ze wszystkich szczebli hierarchii społecznej.

— Brawo! — mówił sobie w duchu Daniel, — teraz znamy ich wszystkich, chociaż na tój liście znajdują się niektórzy pomimo swój woli.

I pociągnął nieznacznie za szerokie spodnie Salomona.

— „Panowie! — zaczął prezydent — federacya, to jest przeświećny Restaurator praw! i za niego powinniśmy się dać pozabijać, ponieważ jesteśmy filarami świętėj sprawy federacyi!”

I wszyscy ze sztyletami w górę, w chór wykrzyknęli:

„Niech żyje przeświećny dyktator!”

„Niech żyje bohater pustyni, nasz ojciec, ojciec federacyi i Manuelita jego córka!”

„Śmierć Francuzom! śmierć dzikim unitaryuszom!”

— „Panowie — ciągnął dalej rzecz prezydent, — ażeby nasz Restaurator mógł zbawić federacyę w obec... w obec...”

— Skombinowanych przeciw nięć zamachów — podszeptną Daniel.

— „Skombinowanych przeciw nięć zamachów, naszą jest powinnością nieść śmierć wszystkim unitaryuszom!”

— Śmierć im niesiemy wszystkim! — wrzasnął chór grożąc sztyletami.

— Samicom równie jak samcom! — wołał Larrazabal widocznie najzjadlejszy z członków.

— Teraz o tём wczorajszém, — szepnął Daniel udając że twarz chustką obcięra.

— „Teraz o tём wczorajszém“ — perorował Salomon. Daniel silnie go szarpnął za spodnie.

— Hm! — opamiętał się prezydent i poprawił:

— „Panowie, wiadomo nam iż wczorajszego wieczora, kilku dzikich chciało uciekać za rzekę i nie dopięli celu, ponieważ komendant Cuitinis znalazł się jak prawy federalista. Jednakże jeden potrafił umknąć, i toby się mogło często ponowić, jeżeli nie stanimy wszyscy obrońcami świętej sprawy. Dlatego więc zwołałem panów abyśmy złożyli przysięgę iż sztylet nasz osiągnie wszystkich co zechcą uciekać do Montevideo, dla zaprzeczenia się bezecnemu Rivera i plugawym Francuzom. Taka wola naszego Prześwietnego Restauratora praw!”

Nowe heroiczne podniosły się okrzyki i odpowiedziała im wrzawa za oknem.

— Proszę o głos! — odezwał się powstając komendant Cuitinis.

— Masz głos — odrzekł Salomon wysypując tytuń z cygarетки w dłoń olbrzymią.

— „Oto ja dziś wieczerałem u Restauratora praw, który jest więcej niż Bogiem, gdyż jest ojcem federacyi. I na cześć jemu, wszystkich unitaryuszów jacy mi w ręce wpadną spotka ten sam los co zbiegów których tej nocy złapałem. Prawda że jeden umknął, ale dobrze naznaczony, i dziś rano posłałem człowieka do Doni Maryi Józefy Ezcura, który da jej dobre objaśnienia: bo wszyscy, mężowie i niewiasty, skoro tylko federalni, wszyscy winniśmy iść z pomocą Jego Ekscellencyi. Kto chce być dobrym federalistą powinien ot co pokazać!..”

Cuitinis wy dobył swój sztylet i palcem na stalowej kłindze wskazał kilka plam krwi zaschniętej po wczorajszej nocy.

Na gest ten odpowiedzieli wszyscy *mashorqueros*, wywijając sztyletami i miotając straszliwe groźby śmierci i zagłady przeciw unitaryuszom i Francuzom.

W pośród całej tej sceny, na jednego tylko Daniela twarzy nie dojrzyć było najmniejszej zmiany, żadnego wyrazu ani zapału, ani obawy, ani przychylności, ani gniewu. Chłodny, spokojny, nieporuszony, badawczym wzrokiem sięgał aż do dna myśli i sumienia otaczających go, i obrachowywał jak można spożytkować ich śleństwo.

Skoro wrzask się uciszył Daniel śmiało poprosił prezydenta o głos, i otrzymałszy przyzwolenie rzekł:

— „Panowie, nie mam ja wprawdzie zaszczytu należeć do tego świetnego i patriotycznego towarzystwa; lecz spodziewam się wkrótce wejść w bliższe z niem stosunki, i mam nadzieję iż wśród niego zdołam rychło świętej sprawie, której służę oddać usługi równie znakomite, jak te które już zawdzięcza Prześwietny Restaurator Praw członkom *Towarzystwa Ludowego* głośnego z swoich czynów tak w rzeczypospolitej, jak w całej Ameryce!”

Nowe oklaski i wykrzykniki wywołała ta wrzekomo pochlebna przemowa.

— Jednakże panowie, — mówił dalej młodzieniec, — tylko osobom obecnych winienem złożyć moje powinszowanie należne

im od każdego dobrego federalisty, bo jakkolwiek nie myślę zaprzeczać innym stowarzyszonemu poświęcenia dla sprawy, wszakże tylko panowie występujcie jawnie dla podtrzymania Restauratora praw, a tamci uchylają się od posiedzeń federalnych. Federacya nie uznaje przywilejów. Adwokaci, kupcy, urzędnicy, wszyscyśmy równi i kiedy idzie o interes Jego Ekscellencyi, wszyscy winni się stawić na wezwanie prezydenta, lub na stanowisko niebezpieczne, a nie na małą cząstkę zwalić kłopoty i trudy. Może oni są wszyscy dobrzy federaliści, ale zdaje mi się, że obecni nie są unitaryuszami, dlaczegóż tamci nie raczą łączyć się z niemi? Mniemam iż takie jest zdanie jego Ekscellencyi!"

Daniel ugodził w sam cel. Szał wzniecony tą mową przeszedł jego oczekiwania. Wszyscy członkowie obecni wrzeszczeli, klęli, ztorzeczyli przeciw nieobecnym. Zaczęły krążyć nazwiska niedawno odczytane, jako zamaskowanych unitaryuszów.

Daniel się uśmiechał i kiwał głową, mówiąc w duchu: — Tak, tak, coraz lepiej was podszczuję, moje kundelki, żebyście się wzajemnie powyżerali.

Prezydent Salomon jeszcze raz zalecił czujność, zwłaszcza nad brzegami rzeki i po nowych okrzykach zapału, posiedzenie zostało zamknięte o wpół do szóstej.

Daniel odebrawszy uściski rąk federalnych wyszedł zadowolony. Nic nie wiedzieli o Edwardzie. Przebiegłszy parę ulic spotkał oczekującego na siebie Fermina z koniem na uździenicy; wskakując nań rzucił tylko słówko „o dziewiątej tam“ i pyszny biały wierzchowiec pokłusował przez plac w stronę *Baraków*.

Koń i jeździec przybyli na wzgórzu *Balearce* w chwili kiedy ostatnia zagasała dnia zorza. Tyle wrażeń przebiegło przez umysł młodzieńca w ciągu dnia całego i poprzedzającej go nocy; a jednakże zatrzymał konia na tej wyżynie, dla nasycenia wzroku wspaniałą panoramą roztaczającą się u stóp jego. Bo w wiośnie życia serce człowieka łatwe do oczarowania poetycznym przyrody widowiskiem; wyobraźnię żywo porywa wrażenie piękna i harmonii. Bo kwieciste doliny *Baraków*, na ich krańcu wdzięczny strumyk, a na lewo umajona płaszczyna portowa, przedstawiają jeden z najpiękniejszych widoków w okolicy *Buenos-Aires*.

Wreszcie zaczynał już Daniel zstępować ze wzgórza, gdy nagle usłyszał głos wołający go po imieniu, a obróciwszy głowę ujrzał postać biegnącą pędem z kapeluszem w jednej ręce, z trzecią indyjską w drugiej.

Jeździec przystanął i wkrótce ścigający go uczeplił się z całym siłą za strzemień i przez parę minut dyszał nie mogąc tchu złapać.

— Co się stało? Co panu jest, senior, Don Candido? — zapytał Daniel przerażony bladeścią swego ex-mistrza.

— Rzecz straszna, barbarzyńska, ohydna, niesłychana w dziejach zbrodni!

— Panie, jesteśmy na publicznym gościńcu, mów pan, tylko zwięźle.

— Ja przyszedłem do ciebie kiedy Fermin wyprowadzał twego konia, udałem się za nim, potem za tobą, i oto...

— Ale cóż się stało? Na Boga!

— Pamiętasz owego poczciwego, szlachetnego, zacnego syna mojej gospodarniej służącej?

— Pamiętam.

— Wiesz że przybył wczorajszego wieczora i..

— Wiem, wiem, cóż się stało z owym synem?

— Zastrzelony! Danielu drogi i szacowny, zastrzelony!

— Kiedy?

— O siódmój, jak tylko wyszedł od gubernatora. Zapewne się lękali...

— Żeby nie rozgadał, albo że już rozgadał to co wiedział; to pan chcesz powiedzieć?

— Ależ ja jestem osądzony, zawyrokovany, stracony! Cóż pocznę Danielu drogi?... Co tu począć?

— Przygotować swoje pióro dla objęcia jutro posady kopisty prywatnego u pana ministra spraw zagranicznych.

— Ja? Danielu! — i w zapędzie radości professor porwał rękę ucznia i obsypał ją pocałunkami.

— Teraz zawróć się pan w którą chcesz ulicę i wracaj do domu. Do widzenia!

Daniel spiął konia ostrogą, galopem zbiegł ze wzgórza, i niedługo wjechał w ulicę *Larga*, tę samą, przez którą poprzedniej nocy niósł omdlałego przyjaciela pod gościnny dach pięknej Tukumanki.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

NOWE DZIEJE
STAROŻYTNEJ MEZOPATAMII I IRANU.

PRZEZ

Tadeusza Korzона.

Dziwnego, rzeklibyśmy uroczystego wrażenia doznaje każdy najmniej wykształcony turysta, gdy zwiedzając wielkie europejskie muzea, stanie przed zabytkami prastarzej cywilizacji Wschodu. Któż nie podziwiał, chociażby z rysunku lub opisu, tych tajemniczych sfinksów egipskich, tych kamiennych posągów granitowych najrozmaitszej wielkości, od kilku cali do kilkudziesięciu stóp, siedzących skromnie, z przyciśniętymi do biodr rękoma, z wyrazem niezmaconego spokoju spoglądających na nasze ruchliwe pokolenie, na uwijające się koło nich ciekawe tłumy, na obce a dziwne dla nich kraje, w których znalazły się po paru tysiącach lat zapomnienia i poniewierki? Dzięki długoletnim a wytrwałym badaniom uczonych, mrok jaki zalegał dzieje starożytnego Egiptu rozproszył się do tyła, że znamy imiona wszystkich prawie faraonów i bogów; pojmujemy znaczenie gmachów, rzeźb, malowideł; odtwarzamy obyczaje, zatrudnienia, tryb życia; domyślamy się pojęć naukowych, filozoficznych i religijnych, które rządziły niezliczoną liczbą pokoleń ludzkich od czwartego tysiąca lat przed początkiem naszej ery, prawie do narodzenia Chrystusa (1).

Ale od lat blisko trzydziestu przybywa nam nowy materiał historyczny, muzea zaludniają się innymi znowu postaciami i pomnikami. Na ogromnych taflach alabastrowych widzimy rzeźbio-

(1) Według Lepsiusza, państwo egipskie z pewnymi przerwami trwało od Menesa, czyli od 3893 r. do Nektaneba, ostatniego króla XXX dynastji, czyli do 340 r. przed nar. Chrystusa.

ne postacie królów, skrzydlatych geniuszów, lwy i woły olbrzymich rozmiarów z twarzami ludzkimi, z brodami nader sztucznie fryzowanemi, z dyademami na głowach, lub pomniejsze wyobrażenia bitew, scen obozowych, myśliwskich i powszedniego życia, szeregi żołnierzy postępujących w porządku jak do parady i t. p. Uderza nas przede wszystkim muskulatura rąk i nóg, orli nos z rozwartemi nozdrzami, cechy siły i grozy w całej postaci. Są to świeże zdobycze z ruin Mezopotamii z tych ogromnych pagórków i wałów, w których pod grubą warstwą ziemi spoczywały przeszło dwa tysiące lat pałace, świątynie, fortyfikacje potężnych królów semityckich, a które dziś noszą tureckie nazwy: Chorzabad, Nimrud, Kujundżyk, Kaleh Szergat (w okolicy Mossullu, nad rzeką Tygrys) lub Hillah, Birs i Nimrud, Warka, Mugajar i t. d. (na dolnym Eufracie pomiędzy Bagdadem a Bassorą). Obok nich oglądamy zwykle regularniejsze i miłsze naszemu oku profile perskich królów, i powabne ornamenta ich pałaców z Persepolis, Passargady i t. d. Jakże się nazywali ci ogromni potentaci, których kolana częstokroć są na równi z głową naszą, a którym sycerz daje pokonanego lwa pod ramię? Środek tablicy jest okryty szeregi krósek, ale jakże to dojść ich znaczenia? Przewodnik milczy, dyrekcyja muzeum jest w kłopotcie z uregulowaniem numerów, o specjalistę trudno, bo na całą Europę jest jeszcze zaledwo kilku ludzi, co odważyli się dochodzić tajników pisma assyryjskiego i babilońskiego.

Poszukiwania zaczęte w roku 1820 przez Rich'a (w Hillah pod Bagdadem), uwieńczyły się powodzeniem dopiero w 1842 r., kiedy konsul francuzki w Mossulu Emil Botta, odkopał pałac króla assyryjskiego Sargona w miejscowości zwanój Chorsabad. Nieszczęście chciało, że flotyła wioząca zdobycz naukową, doznała burzy i kilka statków naładowanych znalezionemi w pałacu przedmiotami, zatonoło w rzece Tygrys; ocalały tylko rysunki, wykonane przez Eug. Flandin. Dzieło Botty ogłoszone w 1847 r. p. t.: *Monuments de Nineveh. 5 t.*, zrobiło wielkie wrażenie w Europie. Zaraz też konsul angielski Austen Henry Layard poszedł za przykładem francuzkiego kolegi i od 1847—1850 roku, prowadził staranne poszukiwania, które dostarczyły bogatych zdobyczy dla Brytańskiego Muzeum, oraz treści do dwóch dzieł: *Nineveh and its remains* i *Nineveh and Babylon*. Zaraz potem rząd francuzki urządził nową naukową wyprawę pod kierownictwem biegłego orientalisty Fulgence Fresnel'a, po jego zaś śmierci, pod przewodnictwem Juliusza Oppert'a, która w 1851—1854 r., poczyniła znaczne odkrycia, głównie w dolnej Mezopotamii, na ruinach Babilonu; ale też nie zaniedbała Assyrii, odkopła mury, bramę, piwnice w pałacu Sargona i znalazła nawet stągwie z winnym osadem. Sprawozdanie z tej wyprawy, zostało już ogłoszone w dwóch tomach: *Expédition scientifique en Mésopotamie, 1851—1854, p. Jules Oppert*, a przywiezione przedmioty umieszczone

w Luvrze. Jednocześnie prawie konsul angielski w Bagdadzie, pułkownik sir Henry Rawlinson, prowadził rozkopy i badania w 1853—1855 r.; odkrycia i wnioski swoje ogłaszał on głównie w londyńskim „Athenaeum”. Obok bogatych zbiorów Luvru i Brytańskiego Muzeum, ubogo wygląda sławne zład inąd Muzeum Berlińskie, można w niem bowiem oglądać zaledwo kilkanaście oryginalnych tablic kamiennych i gipsowe odlewy znakomitszych rzeźb z zagranicy.

Tak tedy przed oczyma historyków i lingwistów naszych stanęły nareszcie dzieła tych mocarzy Wschodu, o których dotąd mogliśmy pochwyć zaledwo kilka urywkowych a niedokładnych wzmianek w Starym Testamencie, lub u Herodota. Najmędrszy z uczonych nie uniał nic więcej powiedzieć o Assyrii nad owe bajki o Assurze, Ninusie, Semiramidzie, które dziś jeszcze zabierają poważne miejsce w naszych książkach szkolnych. Przeczuwano, że prawdziwa historia ukrywa się w tych szeregach niezrozumiałych kręsek i wyżłobionych éwieczków, które ochrzczono nazwą napisów klinowych. To téż uczeni z całym zapałem rzucili się do poszukiwań alfabetu i języka tych napisów.

Istniały już pewne początki wiedzy na tém polu od końca przeszłego wieku, kiedy Carsten Niebuhr odkrył Persepolis i wyróżnił w napisach klinowych trzy odmienne systemata. Grotefend dostrzegł formułę początkową królewskich deklaracyj i odgadł grupę znaków, składających wyraz: „król”. Pomimo wszakże późniejszych jeszcze prac Rask'a, Burnoufa i Lassena, czytanie tych napisów stało się możliwém dopiero od czasu, gdy Henryk Rawlinson odkrył wykuty na skale *Bisitum*, czyli Behistun, (starożytna Bagastana) ogromny napis Dariusza w 400 wierszach, podzielonych na trzy kolumny, każda w innym języku i przetłumaczył pierwszą (persepolitańską) kolumnę; znaleziono w niej starożytny język Persów, bardzo zbliżony do Sanskrytu. Duńczyk Westergaard, po powrocie z podróży w 1844, zaczął dochodzić znaczenia napisów w drugiej, spisanej w języku suzyańskim; w końcu odcyfrowano i trzecią chaldejską kolumnę, dzięki pracom Botty, Lougpérier'a, de Sauley i Hinks'a. Ostatecznie wszakże ustalili podstawy pisowni i języka assyryjskiego, dwaj znakomici orientaliści: Henryk Rawlinson i Juliusz Oppert, który w przytoczonym powyżej dziele, przedstawił doskonałą grafikę i grammatykę assyryjską. On téż pierwszy odczytał text assyryjski bez pomocy textu irańskiego.

Tak tedy najrozmaitsze napisy klinowe nie są już żadną zagadką; mnóstwo ich już odczytano i wytłumaczono. Z tych tajemnicznych znaków biją teraz całe snopy rzesistego światła, które coraz bardziej rozjaśniają mrok pierwszych wieków historycznych. Zdobycze assyryologów były tak bogate, a zarazem tak zadziwiające ze względu na pokonane trudności, że nietylko profani, ale sami uczeni powątpiewali o wiarogodności badań.

Zarządzono oryginalny egzamin. Towarzystwo Azyatyckie w Londynie zaproponowało assyryologom przetłumaczyć wielki napis Teglath-Phalasar. Hincks, Rawlinson, Oppert i Fox Talbot, zabrali się osobno do pracy; każdy z nich przesłał swe tłumaczenie w zamkniętej kopercie do prezesa rzeczzonego Towarzystwa. Gdy je odczytała kommissya specjalna, umyślnie w tym celu wysadzona, pokazało się, że wszystkie tłumaczenia widocznie się zgadzały. (Ogłoszone w czterech kolumnach p. t.: *Inscription of Theglath-Phalasar I, king of Assyria, b. C. 1150. London 1857*). Był to świetny tryumf dla nowoutworzonej umiejętności. W obec niego musi zamilknąć wszelka nieufność do ogłaszanych wciąż nowych materyałów tak w Anglii, jakoteż we Francji przez Paryżką Akademię Napisów (*Académie des Inscriptions et belles lettres*). Obecnie J. Brandis, Ménant i Jerzy Rawlinson (brat wzmiankowanego Henryka) zrobili próbę złożenia całkowitych dziejów starożytnej Mezopotamii. Świeżo właśnie wyszło z pod prassy drugie poprawne wydanie znakomitego dzieła Rawlinsona (p. t.: *The five great monarchies of the ancient world by George Rawlinson. 1871, 3 vo.*). Ponieważ w tej nowej edycji zostały uwzględnione ostatnie odkrycia i publikacye, przeto bierzemy je za główną podstawę do niniejszego szkicu.

I. Chaldea.

Niegdyś bardzo żyzna, starannie uprawna, wielkimi kanałami zwilżona, dziś wyludniona, okryta tylko bujną trawą Mezopotamiją składała się z dwóch różnych pod względem geologicznym części: północna, główne siedlisko Assyryjczyków, jest znacznie starsza, należy bowiem do drugorzędowej formacyi; południowa Chaldea i Babilon należy do epoki trzeciorzędowej lub nawet późniejszych pokładów. Powyżej Bagdadu pod 34° szer. geogr., bieży właśnie linija demarkacyjna, od której zaczynają się warstwy alluwijalne, czyli osad utworzony powolnym działaniem fal morskich. Na dwa tysiące lat przed Chrystusem, gdy na dolnym Eufracie powstawały pierwsze grody i państwa, odnoga Perska sięgała jeszcze na 120 lub 130 mil ang. dalej na północ w głąb lądu, gdyż obecnie przybywa co 70 lat jedna mila lądu na wybrzeżu rzeczonyj odnogi, dawniej zaś, zdaniem lorda Loftusa, przyrost był szybszy i wynosił 1 milę na lat 30. Zaledwie więc utworzył się ląd stały w tej uprzywilejowanej rzecznej krainie, zaraz wykwitła życie historyczne, zaraz dostrzegamy pierwsze zawiązki miast, państw i cywilizacyi.

Jacyż to ludzie zawitali naprzd w te okolice? Wiadomo, że Assyryjczycy i Babilończycy z czasów Nabuchodonozora, byli spokrewnieni z Izraelitami, Syryjczykami, Fenicyanami i Beduinami, jednem słowem, że należeli do rassy aramejskiej, czyli semityckiej (potomków biblijnego Sema). W sprzeczności z tém

wszakże, staje poważna tradycja Biblii (Genesis, X, 6—10) że Nemrod od Chama pochodził: „ten począł być możny na ziemi... był duży Żowiec przed Panem... A początek królestwa jego był Babilon, Arach, Achad i Chalanne w ziemi Sennaar.“ Otóż sprzeczność taka znika teraz w obec nowych odkryć. Napisy wskazują, że język dolnej Mezopotamii zmienił się całkowicie od czasów dawnej Chaldei do epoki Nabuchodonozora. Rawlinson energicznie występuje w obronie przytoczonych wersetów Genezy, zbija Herodota, powołuje się na Strabona, Homera, tradycje grecko-armeńskie, nareszcie na przechowane u Hesioda i Pinarda podanie o królu etyopskim Memnonie, „synu kobiety cyssyjskiej,“ który miał założyć miasto Suze. Ostateczny wniosek jego brzmi w tych wyrazach: „że Egipcyanie, Etyopowie, Libijczycy i Chanaanici, byli pokrewni sobie pod względem etnologicznym i pochodzili od Chama; że następnie pierwotna ludność Babilonu, była odłamem rasy egipskiej lub libijskiej, bardziej jednak zbliżona do tego ludu, co zamieszkiwał kraje Górnego Nilu“ (I, 51). Język bowiem najstarożytniejszych napisów jest podobny do języka Mahra w południowej Arabii i Gallasów w dzisiejszej Abisynii. Etyopowie ci (Kuszyci) przyszli zapewne z Egiptu przez Arabię świeżo przed początkiem epoki historycznej; ale zastali oni już tam Semitów, Aryów a nawet Turańczyków. Tym sposobem pierwsze państwa Mezopotamii, tworzyły się jak później Ateny i Rzym, jak wszystkie potężniejsze narody ze zlewu rozmaitych plemion (*colluvio gentium*). Najstarożytniejsi też królowie Mezopotamii mianowali siebie panami „czterech narodów“ (*kiprat-arat*) i czterech języków“ (*arba lisun*).

Jak się nazywała ta najstarożytniejsza ludność mieszana? Niewiadomo. Rawlinson, dla odróżnienia jej od późniejszych ludów nazywa Chaldejczykami, ale jest to nazwa konwencyonalna nie autentyczna, oparta zresztą na świadectwie jednego dziejopisa babilońskiego Beroza, który nazywa pierwszą dynastję chaldejską.

Władza państwowa powstała najpierw w miejscowościach zwanych dziś: Warka, Senkerek, Mugajar i Nifer. Najdawniejszą stolicą było miasto Ur (dzisiaj Mugajar), potem Nipur (dziś Niffer), a dopiero potem Babilon, właściwie Bab-il, czyli „Droga Boża.“ (1).

Znane są nawet imiona, i obliczone daty panowania tych pierwszych monarchów chaldejskich. Po Nemrodzie, o którym wzmiankuje tylko Geneza, a którego imię przechowało się może w imieniu „Boga łowów“ Bil-Nipru znany jedno z najstarożytniejszych imion. *Uruch* czyli *Urcham*. Wyczytano je na cegłach leżących w najniższej, stosunkowo do wszystkich innych warstwie ziemi; nie są one jeszcze wypalone, tylko suszone na słońcu; były

(1) Il w językach semityckich stanowi pierwiastek wyrazu Bóg, Elohim, Allah, tak samo jak u Kuszyców wyraz Ra. Dlatego Babilon po Kuszycku nazywał się Ka-ra.

spajane nie wapnem, lecz smołą ziemną (bitum); na każdej znajduje się, obyczajem wielu monarchij wschodnich, napis z imieniem królewskiem. Musiał to być już potężny władca, a zarazem ciemiężca swoich poddanych, bez uciemiężenia bowiem niepodobna było wznosić tak wielkich gmachów. W gruzach Bowariych naliczono 30 milionów cegieł. W samem Mugajar i w okolicznych miastach istnieją cztery wielkie świątynie (Sin'a czyli księżycyca, San'a czyli słońca, Beltis i Belusa). Zasługuje na uwagę, że przy budowie tych świątyń nadawano im kierunek astronomiczny. Daje się to pogodzić z wiadomością udzieloną za czasów macedońskiej wyprawy Arystotelesowi przez ucznia jego Kallistenesa, że w Babilonie znajdowały się tablice astronomiczne, porządnie prowadzone od 1903 lat, czyli od 2234 przed Chrystusem. Jestto data nie wiele późniejsza od czasów Urucha, który miał panować, podług obliczenia Rawlinsona przed 2286 r. Stolicą jego było m. Ur (Mugajar). Jedna z przechowanych pieczęci przedstawia go siedzącego na kunsztownym tronie.

Około tegoż czasu istniało już inne królestwo Elam czyli Suza i król tameczny Kudur-Nachunta, czyli Zoroaster (Ziru Ishtar, potomek bogini Isztary) napada Chaldejczyków. Zaczyna on nową dynastję tak zwaną u Beroza medyjską, która panowała nad Chaldeą od 2286 do 2052 r. Najznakomitszym z jęj członków był król Kudur-Lagamer, wzmiankowany w Biblii jako Chodorlahomor. On to pierwszy zapewne wyruszył już na dalekie podboje, przebył pustynię, podbił Syryę i Palestynę, wziął do niewoli Lota, panował nad tymi krajami 12 lat, ale potem hołdownicy wypowiedzieli mu posłuszeństwo. Wojsko jego nie musiało być bardzo liczne, skoro Abraham zebrawszy naprędce 318 ludzi, mógł się odważyć na nocny napad, wyzwolić Lota i pobić Chodorlahomora. (Genes. R. 14).

Ciemną jest epoka następna, zapewne czasy III dynastji Beroza. Z IV dynastji chaldejskiej, znanych jest kilkanaście imion, pomiędzy innemi Ismi-Dagona (1850—1800 r.), wymienionego w napisach assyryjskich Sennacheriba i Tiglat-Pilesara.

W połowie XVI wieku przed narodzeniem Chrystusa, Chaldea została przez Arabów podbitą. Wódz ich *Hamnu-Rabi*, osiadł zapewne w Babilonie i rozpoczął panowanie V arabskiej dynastji. O jego rządach świadczą liczne napisy, z których wiemy że przekopał kanał, wyrestaurował jedną świątynię i zbudował pałac Kalwadha w okolicach dzisiejszego Bagdadu. Panował od 1546 do 1520 r. Odsyłając ciekawych do osobnego dodatku, nie wliczamy innych mniej znakomitych imion i kończymy dzieje Chaldei na 1300 r., kiedy istniejące już od paru set lat nowe państwo assyryjskie nabyło przewagi w Mezopotamii. W tym roku właśnie król Tigliati-Nin podbił Chaldeę. Dodamy tylko, że w pomienionych tu ruinach, znaleziono same kamienie i brązowe narzędzia, że zatem państwa chaldejskie istniały jeszcze przed epoką żelaza; daty chronologiczne są oparte głównie na dwóch

wzmiankach assyryjskich pomników, oraz na liście królewskiej Beroza (1).

II. A S S Y R Y A.

Znacznie później powstało, ale zato potężniej i wspaniałej rozwieliżyło się państwo czysto semityckie w północnej Mezopotamii, głównie nad rzeką Tygrys, około ujścia rzeki Zab, zwane Assyryą; jakkolwiek właściwa „Aturia” stanowiła małe kraiki w okolicach Mossulu i nie zawsze była siedzibą monarchów. Przyszyczeni jesteśmy od lat dziecińczych łączyć wyobrażenie o Assyrii z opisem Niniwy, podanym przez Jonasza proroka: „a Niniwe było miasto wielkie, trzy dni chodu” w którym jest więcej niż sto dwadzieścia tysięcy ludzi (Jon. Roz. 3 i 4). To też Botta znajdując ślady assyryjskich budowli, przyszedł do wniosku że Niniwa musiała być miastem niezmiernie rozległym. Gdy jednak później odkryto kilka innych pałaców i rezydencyj, na przestrzeni przeszło dwudziestu mil naszych, pokazało się że Niniwa musiałaby zajmować przestrzeń o kilka razy większą od Paryża i Londynu: hipoteza więc Botty upaść musiała. Zbija go Rawlinson i kreśli dokładny plan zewnętrznych fortyfikacji Niniwy, której miano redukuje do jednej tylko miejscowości Kujundzyk. Obecnie upowszechnionem jest mniemanie, że najdawniejszą stolicą było miasto Aszur (dziś Kalah-Szergat), następnie Kalah (dziś Nimrud), Niniwa zaś i rezydencya Sargona, tak zwana Bit-Sargina (dzisiejsze Kujundzyk i Chorzabad) należą do najpóźniejszych siedzib królewskich. Szczególną zresztą cechą assyryjskiej historii stanowi ta okoliczność, że każdy król, jeżeli tylko starczyło mu czasu i możności, budował osobny pałac dla siebie, na którego ścianach układano rzeźby i napisy uwieczniające imię i czyny królewskie. Ztąd rozległość i ilość ozdób pałacu służy za niewątpliwą wskazówkę długości i świetności rządów samego króla. Każdy wolał opuścić chociażby najwspanialszy gmach przez poprzednika wzniesiony, by w ciasniejszym ale własnym osiąść mieszkaniu i własne pamiątki widzieć na ścianach. Do najbogatszych należą pałace: Salmanassara IV, Sanheriba i Sargona, najniżerniejszym zaś i najuboższym jest pałac ostatniego króla.

(1) Początek panowania II dynastji (Zoroastra) jest obliczony w sposób następujący: assyryjskie napisy wzmiankują, że pierwszy podbój Babilonu przez Suzyńczyków, miał miejsce na 1635 lat przed zdobyciem Suzy przez Aszur-bani-pal'a. Suza była zdobytą zapewne w 651 r.; dodając do tej cyfry 1635 lat otrzymamy rok 2286. Urukhi zatem i cała pierwsza Chaldejska dynastja musiała panować wcześniej. Druga data, rok 1302, powstaje z wzmianki Sancheryba o pierwszym podboju Suzy na 600 lat przed jego własną wyprawą, która miała miejsce w 702 roku ($702 + 600 = 1302$).

Historycy cieszą się teraz z tych pańskich zachcianek, z tój troskliwości o przekazanie swych czynów potomnym wiekom, Nie tylko bowiem na murach znajdują się dzieje Assyrii, ale posiadamy dużo ksiąg, czyli raczój tak zwanych cylindrów. Są to gliniane słupki o ośmiu ścianach, z których każda jest okrytą napisami, niby karta książki. W pałacu Aszur-bani-Pala znaleziono całą bibliotekę z takich słupków złożoną. Niestety, przy odkopywaniu runął pułap i pogniółł cały ten zbiór na drobne skorupki. W każdym razie ilość przechowanych zabytków rzeźby, budownictwa i pisma jest tak wielka, że badacze znaleźli się w możności nie tylko podać bogaty obraz życia domowego i publicznego, zwyczajów i pojęć, ale nawet ułożyć bardzo długą listę imion królewskich. Najbardziej cenną podstawę tój listy stanowi ułamek kanonu assyryjskiego czyli prowadzonego w Niniwie spisu królów wraz z latami ich panowania, obejmujący epokę od 913 do 660 r. przed Chr. Oppert i Rawlinson przywłaszczają sobie zaszczyt odkrycia tego dokumentu. Słuszność, zdaje się, jest przy ostatnim; ogłosił on swoje odkrycie jeszcze w 1862 r. w Athenaeum (nr. 1812). Że zaś od 747 r. posiadamy spis tychże królów w astro-nomicznych tablicach Ptolemeusza, przeto nastęrczyła się możność porównywania i sprawdzania, a tym sposobem wnioski uczonych oparły się na szerszej i bezpieczniejszej podstawie.

Przytoczmy najznakomitsze tylko imiona.

Naprzód musimy jednak zrobić przedwstępną uwagę, że o Ninusie, któregośmy nauczyli się nazywać założycielem Niniwy, niema w autentycznych pomnikach żadnej wzmianki, chyba, żebyśmy go upatrzyli w jednym z późniejszych królów Tiglathi-Nin'ie. Na czele swój listy położył Rawlinson w nowej poprawnej edycji niejakiego Bel-sumili-kapi, którego tablica genealogiczna assyryjska mianuje założycielem państwa. Do najstarożytniejszego okresu należy tóż kilku Aszurów, Luszów i Salmanassar I (Szalmanezzer). Panowanie ich jest niewątpliwie wcześniejsze od 1300 r., kiedy panował znany już nam *Tiglathi-Nin*, syn Salmanassara I. Był to pierwszy z królów wielkiej monarchii, bo do swój górskiej szczupłej krainy wcielił niższą Mezopatamię; pomniki zwą go „zdobywcą Babilonu”, a jeden z późniejszych królów (Sanherib), wzmiankując w swoim napisie o tym podboju, oznacza datę na 600 lat przed zdobyciem Babilonu przez niegoż samego, ta zaś ostatnia jest nam wiadomą z rozmaitych źródeł, pomiędzy innemi i z kanonu Ptolemeusza. Tak więc od czasów Tiglata-Nina królowie assyryjscy stają się już groźnymi dla sąsiadów i zaczynają swoje podboje. Z następców jego stawa i pamięć historyczna najlepiej dopisała Tiglat-Pilezerowi I z XII wieku ery przed-Chrześcianańskiej. Przedsiębrał on wyprawę w góry północne t. j. do Armenii przeciwko jakiemuś ludowi Moszer, co od lat 50 nie chciał płacić daniny i poważył się zrobić napad na Assyryę we 20000 ludzi. Tiglat Pilezer pokonał ich, do uległości zmusił, następnie podbił 42 królestw, pomiędzy rzekami Zab i Eufratem, oczywiście bardzo małych, ponieważ

wszystkie mieściły się w Mezopotamii; przeszedł Eufkrat by zwalczyć naród Chatti (Chetitów biblijnych, Cheta z egipskich pomników), którzy posiadali twierdzę Karchemysz i doszedł aż do oceanu „gdzie zachodzi słońce” (t. j. do brzegów morza Śródziemnego). Nie z samymi wszakże ludźmi musiał walczyć ówczesny monarcha. W tych odległych wiekach, kiedy człowiek jeszcze nie zdołał opanować przyrody, drapieżne zwierzęta płodziły się znacznie liczniej niż dzisiaj i myśliwskie tryumfy były cenione tak samo jak wojenne zwycięstwa. Tiglat Pilezer chlubi się łaską swych bogów Nina i Nergala, że mu pozwolili zabić 920 lwów i wiele żubrów. Z wypraw swych przynosił do Assyrii obce rośliny, zaganiał pożyteczne zwierzęta. Wszystkie te szczegóły wiemy od niego samego z wymienionego poprzednio napisu, odcyfrowanego przez czterech uczonych na żądanie Towarzystwa Azyatyckiego. Jak bardzo zależało mu na uwiecznieniu swych czynów, dowodzą następujące słowa jego: „ktokolwiekby zatarł lub znieważył moje tablice i cylindry, lub zmoczył je wodą, lub palił ogniem, lub wystawił na działanie powietrza, lub w świętym przybytku Boga umieścił tak, że przeczytać i zrozumieć je nie byłoby można; lub wykrobawszy pismo wpisałby swoje własne imię, lub poddzielał rzeźby i wydarł je z moich tablic, niechże Anu i Wul, wielcy bogowie, moi panowie, podadzą imię jego na zagładę! Niech go przeklną klątwą nieodwołalną! Niech sprawią upadek jego władzy! Niech wstrząsną trwałość tronu w jego państwie! Niech potomstwo jego nie przeżyje go w jego królestwie! Niech sługi jego będą wyteńpione; Niech wojska jego będą porażone! Niech ucieka zwyciężony przed swymi wrogami! Oby Wul w swym gniewie wypenił płody ziemi jego! Oby brak żywności i potrzeb życia dotknął kraj jego! Oby się nie nazywał szczęśliwym ani na jeden dzień w życiu! Oby imię i ród jego zaginęły!”

Zkądinąd wszakże wiemy, że koniec panowania Tiglat-Pilezera I nie był pomyślny. Babilończykowie, jak widać, nie na długo pobici przez Tiglata Nina, wtargnęli teraz do Assyrii i zabrali dużo boskich bałwanów w 1111 roku; odebrał je napowrót dopiero Sanherib po upływie 418 lat.

Dalsi królowie pędzili podobne życie wśród łowów i wojen, najczęściej z Babilończykami, którzy raz pokonani znowu wybijałi się, lub w przymierzu z egipskimi faraonami robili nawet najazdy na Assyrią. Niejednokrotnie też inne hołdowne plemiona podnosiły rokosz nie zważając na okrutne kary, wymierzane przez królów na buntownikach. Ucinano im nosy i uszy, a najwinniejsi byli krzyżowani lub paleni żywcem. Tak pisze król *Aszur-izir-pal* (mylnie dawniej mianowany Aszur-idani-pal czyli Sardanapalem I) właściciel najstarszego i wybornie przechowanego pałacu w Nimrud. Byłto król potężny i groźny; wyprawy jego sięgały źródeł rz. Tygrys, okolicy jeziora Wan, Syrii i Fenicyi. Podbił znów Babilon w 880 roku; przekopał też długi kanał od rzeki Zab do swojej rezydencyi. Czas jego panowania mieści się pomiędzy 883

i 858 r. przed narodzeniem Chrystusa. Potęga Assyrii wzrasta znów znacznie pod Salmanassarem II (858—823) którego władza rozciągała się z jednej strony na Syryę (Damaszek. Hamath) i królestwo Izraelskie, z drugiej strony na kraje Medów i Persów. W Babilonie wszakże nie panował sam, tylko wywierał pewny wpływ przez popieranie jednego z pretendentów do tronu. Dopiero syn jego (Szamas-Wul) znowu podbił Babilon na lat-kilkadziesiąt. O wnuku jego Wul-lusz'u II (810-781) wspomniemy tylko dlatego, że był żonaty z niejaką *Sammuramit*, jedyną osobą, której imię przypomina bajeczną Semiramidę. Przypuszczają, że to była księżniczka babilońska i że ją poślubił król assyryjski w celu nabycia legalnych praw do babilońskiego tronu. Zresztą wiemy o tej parze zład tylko, że pewien assyryjski dygnitarz zrobił posąg boga Nebo i ofiarował go „Swemu panu Wul-luszowi i swojej pani Sammuramit.”

W ciągu stu lat od śmierci Salmanassara II, królowie assyryjscy mniejszego używają rozgłosu w świecie wschodnim. Dopiero ku końcowi VIII wieku sława ich znowu rozległa się od wyżyn Iranu aż do Nilu i wyspy Cypru. Przed upadkiem właśnie miała Assyria najświetniejszą epokę swoich dziejów.

Już Tiglath-Pilezer II (745—727) wznowił wyprawę do Syrii, podbijał Damaszek, odbierał hołdy od królów Judzkiego i Izraelskiego. Był zapewne uzurpatorem, bo w napisach nie wymienia ojca swojego. Po nim kolejno następuje *Salmanassar* IV (Szalmanezar) i wielki *Sargon* (Sargana) podobnież człowiek nie królewskiego rodu: pierwszy panował od 727 do 722, drugi od 722 do 705. Zachodzi tu nieporozumienie w księgach hebrajskich w bardzo ważnej kwestyi, mianowicie podboju królestwa izraelskiego i zdobyciu stolicy jego Samaryi. Czwarta księga królewska w Starym Testamencie (Roz. 17 i 18) powiada że na króla Ozee „przyciągnął Salmanazar, król Assyryjski i stał się Ozee niewolnikiem jego i oddawał mu dań. A gdy król Assyryjski doznał Ozee, że chcąc się wybić, posłał posły do Sua, króla egipskiego, aby nie dawał dary królowi arssyryjskiemu, jako był zwykł na każdy rok, obległ go i związanego wsadził do więzienia. I zjezdził wszystką ziemię jego: i przyjechawszy do Samaryi obległ go przez trzy lata. A dziewiątego roku Ozee wziął król Assyryjski Samaryę i przeniósł Izraela do Assyryjczyków: i posadził je w Hala i w Habor nad Gozan, w mieściech Medzkich.”

W księgach Tobiaszowych po Salmanassarze ma panować syn jego Sanherib, gdy imię Sargona przechowało się tylko w niewyraźnej wzmiance proroka Izajasza (Roz. 20, 1). Dzisiaj uczeni po odczytaniu licznych napisów w pałacu Sargona, przyszedli do wniosku, że Salmanassar wyruszył wprawdzie do Syrii, obległ Tyr i zaczął wojnę z królem izraelskim Osee, lecz w stolicy jego wybuchł bunt i władzę opanował Sargon, jeden z największych wojowników i najpotężniejszych królów Assyrii. Pałac jego w Chorzabadzie przewyższa wszystkie inne rozległością rozmiarów,

bogaactwem rzeźb i śladami przepychu; nadto wyobrażenia jego znaleziono na fenickim wybrzeżu (w Nahr el Kelb) i na wyspie Cypr w zwaliskach miasta Kition (posąg z czarnego bazaltu w berlińskim muzeum). On to prowadząc dalej dzieło Salmanassara zdobył Samaryę (w 721 lub nawet w 719 roku), potem Azdod, Gazę, zhołdował Filistynów i Fenicyan, którzy musieli mu dostarczyć okrętów na cypryjską wyprawę, posunął granice swego państwa w głąb Arabii, rozkazywał w Babilonie, Suzyanie i Medyi i długo bojował w Armenii, lecz ku końcowi panowania wołał zwrócić królowi kraju nad jeziorem Wan zdobyte miasta by zawrząc z nim pokój i przymierze.

Tak tedy cała Syrya była w ręku królów Assyryjskich. Izraelici zostali osiedleni za rzeką Tygrys, królestwo Juda płaciło daniny, miasta Fenicyi napełnione bogactwami i najwytworniejszymi towarami świata owocowego, dostarczały drogich materij i kamieni, kadzideł, srebra i złota Sargonowi. Izajasz mówił o Assurze jako o narzędziu Bożem. Poza temi krajami leżał już Egipt ze swymi wspaniałymi świątyniami, z mnóstwem miast bogatych, ze swą starożytną sławą i wspomnieniami wypraw Ramzesa. Faraonowie czuli zbliżające się niebezpieczeństwo i chętnie przyjmowali poselstwa z Samaryi, Jerozolimy, Tyru, jakkolwiek zwykle nie umieli dać skutecznej pomocy zwyciężonym. Od tej chwili jednak Azya Przodkowa staje się widownią rywalizacji i walki pomiędzy Semityckimi mocarzami a Faraonami Egiptu. Kto posiadał Syryę, ten nabywał przewagi w świecie owocnym.

Syn Sargona *Sanherib* (Sankar-ba 705—681) otrzymał doniesienie, że król Judzki Ezechiasz (Hiskia) zawarł przymierze z Faraonem, wzmacnia mury i wieże Jerozolimy i robi wielkie do wojny przygotowania. Władca Assyryjski pospieszył natychmiast do Syrii ku miastom „Ursalimma“ (Jeruzalem) i „Lakisi“ (Lachis). O skutku jego wyprawy istnieją dwa podania: egipskie, powtórzone przez Herodota, głosi, że w obozie pod miastem Pelusium myszy poprzegryzały cięciwy łuków, i że Assyryjczycy widząc się bezbronnymi, uciekli, poniosłszy wielkie straty; hebrajskie zaś księgi twierdzą, że w czasie oblężenia Jerozolimy Anioł Pański zszedł w nocy na obóz Sennacheryba i pobił 185,000 ludzi. Napisy znów klinowe świadczą, że Sanherib przebywał w obozie pod Lachis, pomiędzy Jerozolimą a Egiptem, oraz, że porów srebra i 30 złota; cyfra ta najściślej zgadza się z cyfrą podaną w Księgach królewskich. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż koniec wyprawy był niepomyślny, zapewne skutkiem wybuchów w obozie assyryjskim zarazy. Zajęty następnie powstaniem Babilończyków, Medów i wojną w Cylicyi, Sanherib nie ponowił już wyprawy do Egiptu. Pałac jego w Niniwie, Kujundżyk, jest jeszcze bogaty; znaleziono w nim osobny pokój z cylindrami i pieczęć królewską. Został zamordowany przez własnych synów w świątyni Nisrocha. Ale mordercy nie skorzystali ze swojej zbrodni, gdyż

trzeci syn Sanheriba, namiestnik Babilonu *Esarhaddon* (681—668) nadciągnął zaraz z wojskiem. Jeden z występnych braci poległ z ręki drugiego, a ten ostatni musiał uciekać do Armenii. Na tronie zasiadł Esarhaddon, który w napisach mianuje siebie królem Egiptu i Etyopii; musiał więc ponowić wyprawę z lepszym powodzeniem. W istocie wiemy, że zdobył Sydon, że król Judzki Manasse został uprowadzony do Assyrii i wrócił dopiero po latach kilkunastu, gdy przyrzekł wierną uległość i rzetelną wypłatę haraczu. Pobytu Esarhaddona w Egipcie dowodzą też sfinxy jego pałacu, podobne do tebańskich. Ciekawy fakt egipskiej wyprawy nie daje się jeszcze sprawdzić innemi drogami, gdyż właśnie ta epoka historii Egiptu najmniej jest znaną z hieroglificznych pomników. Jeżeli jednak słusznym i prawdziwym jest tytuł Esarhaddona, służyłby on za dowód, że Assyrya doszła wtedy do szczytu swej potęgi i sławy.

Ale jakże szybkoim był jój upadek po takiej świetności! Następny król *Aszur-bani-pal* (przypominający spotwarzonego dawniej Sardanapala, a i teraz jeszcze zwany przez niektórych badaczy Sardanapalem IV) jest przedostatnim, a możnaby go nazwać ostatnim władcą Assyrii. Znamy tylko rok wstąpienia jego na tron (668), ale nie wiemy daty zgonu (przypuszczalnie 626). Całe panowanie jego upływało zdaje się w poskramianiu buntów, w walce z hołdownikami. Rzeźby jego pałacu przedstawiają okropne sceny wrywania języków, wykalania oczu; królowi towarzyszy zawsze kat z biczem. Był jednak czynny i waleczny: pokonał powstanie w Egipcie, bojował w Azji Mniejszej, stawił czoło groźniejszemu jeszcze buntowi Medów i zadał im ciężką klęskę, przy której poległ wódz medyjski Fraortes. Wszakże syn poległego Cyaxares byłby rychło pomścił śmierci ojca, żeby nie napad Scytów, którzy spłądowali całą Azję przodkową aż do granic Egiptu. Po dwudziestu latach dopiero Cyaxares wypędził napastników, a pierwszą myślą jego była wojna z Assyryą, osłabioną tak rabunkami Scytów, jakotóż utratą panowania w Syrii.

Gdy liczna armija Cyaxara wyruszyła w pochód na Niniwę, zasiadał tam na tronie zagadkowy następca Aszur-bani-pala, niejaki Sarakus podług Beroza, a podług napisów: *Aszur-emid-ilin*, właściciel najmniejszego pałacu (w Kalah), właściwie lepianki glinianej, bo ściany nawet nie były alabastrem odziane. Nowy król rozkazał namiestnikowi swemu w Babilonie Nabopalassarowi iść na spotkanie Medów. Ale Nabopalassar wolał zawiązać układy z Cyaxarem i połączyć z nim wojska swoje. Podobno 400,000 ludzi opasało Niniwę. Assyryjczycy bronili się zapamiętale, ale rzeka Tygrys wezbrawszy podmyła część murów, otaczających miasto. Postradawszy nadzieję ocalenia król spalił się wraz ze swemi skarbami; data jest też niepewna: Rawlinson przyjmuje rok 625, inni podają r. 610, 606 i t. p., aż do 600 przed Nar. Chrystusa. Panowanie Saraka musiało trwać przynajmniej lat kilka, boć na zbudowanie osobnego pałacu potrzeba przecie czasu.

Jakkolwiek dokładna data nie jest wiadomą, nie ulega wszakże wątpliwości, że ku końcowi VII wieku, z pewnością przed 604 r., Niniwa leżała już w gruzach, sławne miasto stało się legowiskiem dzikich zwierząt, Pan obrócił „śliczną“ Assyryę w bezdrożną pustynię, jak powiada prorok Sofoniasz. Ciemiężone niegdyś ludy, a szczególnie Izraelici wydawali teraz okrzyki radości i tryumfu. Długo potem stawili hebrajscy prorocy widmo upadłej Niniwy za przykład straszego gniewu Jehowy.

Rzućmy jeszcze okiem na lud assyryjski, na jego charakter, zwyczaje, pojęcia, posiadamy do tego bogaty materiał w ich rzeźbach.

Assyryjczycy byli ludem pięknej i silnej budowy ciała. Snycerz starannie odrabiał muszkuły rąk i nóg, i nadawał figurze cechy wielkiej siły fizycznej. Na pierwsze spojrzenie odróżnimy dzieło pochodzące z Niniwy, od wysmukłych posągów i figur egipskich. Podobali się też niewiastom judzkim i izraelskim „wszystkie syny assyryjskie, młodzieńcy urodziwe,“ Jerozolima (Ooliba) uśmiechała się ku synom Assur, książętom i urzędnikom do niej przychodzącym, ubranym w rozmaite szaty, „ku jeźdźcom, którzy jeździli na koniach, i młodzieńcom wszystkim pięknej urody“ (Ezech. 23, w. 12—23). Umieeli oni pracować trudniąc się rybołówstwem, orząc ziemię pługiem, lub wznosząc gmachy dla bogów i dla swych królów. W pałacu Sanheryba widzimy mnóstwo robotników znoszących glinę i cegły, wyciągających linami z rzeki Tygrys ogromne głazy kamienne, lub wykute już lwy przeznaczone do przyozdobienia pałacu. Posuwanie po ziemi odbywa się za pomocą walców, równowaga utrzymuje się za pomocą drągów i lin; poruszeniami robotników kieruje dozorca skinieniem ręki. Sam król spogląda z wozu na tę pracę około przewiezienia kolossu. Napotyamy też widoki ogrodów i stawów, posiadamy nawet utamek rysunku ogrodów wiszących, które Grecy zaliczali do siedmiu cudów świata, a widzieli niegdyś w Babilonie. Rysunek przedstawia w nader małych rozmiarach dwa tarassy okryte drzewami, oparte na niższych lub wyższych kolumnach.

We wnętrzach mieszkań odbywały się często biesiady, widzimy bowiem jak Assyryjczycy siedzą po czterech przy stole, po dwóch na ławeczce wnoszą toasty w ozdobnych puharach, które trzeba było daszkiem wychylić, gdyż dno miało kształt pyska baraniego lub lwiego, a więc nie mogło służyć do postawienia na stole. Król w swoim haremie spoczywa w nawpół leżącej pozie na łożu, królowa siedzi na krześle bardzo wysokim, opierając nogi na stołeczku rzeźbionym. Otoczenie składa się przeważnie z eunuchów, których poznajemy po gładkiej twarzy bez zarostu na brodzie.

Widzimy niejednokrotnie króla, jak składa ofiary bogom na ołtarzu przypominającym kształty greckie. Kapłani usługują mu, przynoszą kozłeta, zabijają woły, lecz on sam składa je bogom w ofierze. Z napisów można dojść imion, a nawet do pewnego stopnia i atrybucyi tych bogów. Najpierwszym i najważniejszym

był Aszur „wielki pan i ojciec bogów,“ wyobrażany w ludzkiej postaci do pasa, wewnątrz kółka, które oznaczało zapewne wieczność nieskończoną. Jego też symbolem było „święte drzewo,“ często napotykanne w rzeźbach a zadziwiająco swym kształtem; bo wcale nie jest do drzewa podobnym, przypomina raczej jakąś plecionkę z torsaty. Imię jego zawiera się w imionach wielu królów (Aszur-dayan'ów, Aszur-izir-pal'ów, Aszur-lusz'ów, Aszur-bani-pal'ów i t. p.) Ponieważ każdy bóg assyryjski musi mieć żonę, więc towarzyszką Aszura, podług Rawlinsona, ma być niejaka Szeruha; namby się zdawało naturalniejszém ożenić go z Isztarą, której cześć była niezmiernie upowszechniona, a którą królowie assyryjscy wzywali częstokroć obok Aszura, lub (jak np. Sanheryb) mianowali opiekunką swojego rodu wespół z Aszurem (przytacza to sam Rawlinson II, 24). Isztar (po fenicku Astarte, po hebrajsku Asztoret, u Babilończyków Nana) bardzo przypomina grecką Afrodytę lub rzymską Wenerę. W napisach nazywa się ona „boginią, która uwesela rodzaj ludzki, szczęśliwą, błogą“ ale obok tych przymiotów, posiada wojownicze cechy, używa bowiem tytułów: „bogini wojny i bitew, królowej zwycięstwa, téj, która urządza bitwy, téj, która broni od napadów,“ a zapalony myśliwy, król Aszur-bani-pal nadawał jęj zaszczyt przewodniczenia łowom. Wyobrażano ją w postaci niewieściej, czasem z dzieckiem na ręku. Popularności jęj dowodzi mnóstwo wyobrażeń na cylindrach, oraz mnóstwo figurek z przypalonej gliny, znajdujących w każdej prawie ruinie Mezopotamii (1). Następuje potem tryada, złożona z Anu, Bella i Hoa z ich żonami Anutą, Baltis czyli Mulitą i Dar-Kiną. Anu był: „panem ciemności, śmierci, panem duchów i demonów,“ Bel czyli Bil-Nipru zowie się: „wielkim zdobywcą, panem zdobywczym, panem przewodniczącym na polowaniu,“ Beltis zaś czyli Mulita posiada atrybuty bardzo podobne do Isztary, nazywa się téż: „królową płodności, królową wojny i bitew, obok tego jest matką wielkich bogów i królową ziemi.“ Z innych bogów wymienimy jeszcze następnych: San czyli Szamas był bogiem słońca i ognia, oznaczany w rzeźbach kółkiem z dwiema średnicami. Ai lub Gula oznaczany gwiazdą. Wul: „ognisty miecz, pan kanałów i irygacyj,“ Nin czyli Bar: „wojownik, pan walecznych, niszczyciel buntowników;“ jegoto wyobrażeniem był wół skrzydlaty z ludzką twarzą, Nergal, przypominający Marsa: „bóg łowów i wojny“ wyobrażany w postaci lwa z ludzką głową.

Trudno jest oznaczyć przymioty wszystkich bogów, gdyż każde miasto miało swoje miejscowe świątynie i bóstwa. Z całego

(1) Jedną z takich małych figurek, tylko śpizową nie glinianą, oglądaliśmy w Muzeum Techniczno-Przemysłowém w Krakowie. Została ona znaleziona w ruinach zwanych: Grobem Jonasza (Nebi Junes) przez pana A. Jabłonowskiego w r. 1870. Ponieważ kształt jęj zgadza się z rysunkami umieszczonemi w dziele Rawlinsona, przeto pospieszylismy zaproponować szanownemu p. dyrektorowi Muzeum, Drowi Baranieckiemu, ochrzcić ją mianem Isztary.

szeregu imion pozostaje jednak ogólne wrażenie, iż przedmiotem czci były ciała niebieskie, siły przyrody, elementa, że w religii objawiały się instynkta wojownicze i zmysłowe, że do upostacowania idei religijnych używali Semici znaków symbolicznych, kształtów zwierzęcych i ludzkich. Jako najbardziej godne uwagi zaznaczamy Anu owego boga ciemności, pana duchów i demonów, Isztarę, która się później przeistoczyła na Wenereę i dobrych lub złych geniuszów, z których się rozwijały z czasem wyobrażenia aniołów i czartów. Każdemu prawie królowi assyryjskiemu towarzyszą dwie postaci (z przodu i z tyłu) albo zupełnie ludzkie, w zwyczajnych szatach, a nawet ze sztyletami u pasa, różniące się tylko parą skrzydeł i nakryciem głowy, albo też ludzkie figury z ptasiemi głowami, dziobami drapieżnych ptaków i skrzydłami w dół spuszczone. Są to dobre geniusze. W jednej ręce trzymają jakieś wiaderko czy koszyk, w drugiej podniesionej, owoc drzewa granatowego. Zadaniem ich jest zapewne czuwanie nad osobą króla i dostarczanie mu dostatków. Odkryto też złych geniuszów z rozwartymi paszczami tygrysa czy pantery.

Jakkolwiek religijne pojęcia i obrazy Assyryjczyków wywarły wielki wpływ na wszystkie okoliczne narody, to przecież głównym zadaniem owych Sardanapalów, Salmanassarów, Sargonów były podboje i wojny. Na rzeźbach widzimy długie szeregi wojowników pieszych, jezdnych, lub na wozach dwukołowych. Z postępem czasu dostrzegamy jak się zmieniało ubranie i uzbrojenie wojska. Widzimy sceny obozowe, obleganie i zdobywanie twierdz przy pomocy czterokołowych wozów z dragami naprzód wystającymi do rozbijania murów. Pomiędzy wojskiem postępują wozy z kobietami, więźmiami w niewolę, i mężczyźni prowadzeni na powrozach. Powrozy te uwiązują się najczęściej do kółka przeciągniętego przez wargę lub język nieszczęśliwego jeńca. Dokoła zdobywanej fortecy stoją szubienice ze zwieszonymi ciałami nieprzyjaciół. O tém okrucieństwie świadczy też i proroctwo Ezechielowo: „nos twój i uszy twoje obrzezą, a co zostanie mieczem rozsiekają“ (23, 25). Szczególnie strasznym było postępowanie królów z buntownikami. A wszakże okrucieństwo nie utrwaliło istnienia tej pierwszej na świecie wielkiej monarchii, owszem zaszkodziło jej chyba. Sargon, Sanheryb, Esar-haddon mieli już pewne wyobrażenia polityczne; nie poprzestając na łupach i baraczach, chcieli urządzać państwo, zatrzyć rozmaite narodowości w skład jego wchodzące, uczynić bunt i zamieszki niemożliwymi. Na ich rozkaz wprowadzano tłumy Żydów do Assyrii i Medyi, Chaldejczyków do Armenii, Suzyańczyków, Persów, Arabów do Palestyny. I oto też same ludy, podbite i nękanie, wywarły pomstę dziejową na Niniwie i Kalah i Aszur, a hebrajscy prorocy wołali z uniesieniem: „Lud mój nieprzyjacielem powstał... rozchwycie srebro, rozchwycie złoto, a nie masz końca bogactwom we wszystkich naczyniach pożądanym“ (Nahum 2, w. 8, 9).

III. Babilon.

Znany już jest nam ogólny charakter dziejów Babilonu od 1300 r., gdy król assyryjski Tiglathi Nin po raz pierwszy go zdobył, aż do upadku Niniwy. Widzimy tu kilkakroć ponawiane podboje z jednej strony i ciągłe bunty z drugiej w celu odzyskania niezależności. Bywały nawet chwile, że babilończycy w przymierzu z Egipcyanami, posuwali się aż do napadów na Assyryę (niejaki Tsibir). Najczęściej jednak byli rządzeni, albo przez namiestników albo przez własnych królów hołdujących Assyrii. Uwagę naszą w tym okresie zwraca tylko Nabonassar (Nebo-nazar), który potrafił zdobyć sobie niezależność i „zniszczył daty wszystkich królów co go poprzedzali.“ Z tego powodu Babilończycy musieli prowadzić chronologię od jego panowania, czyli od 747 r. przed Chrystusem. Jestto sławna era Nabonassara, wielce ceniona u starożytnych astronomów, ponieważ tablice chaldejskie odznaczały się dokładnością matematyczną. Wszakże jednocześnie z Nabonassarem w południowej części nad perską odnogą panował niejaki Merodach-Baladan, syn Jakina w osobnej stolicy (Bit-Yakin). Był to widocznie człowiek energiczny i wytrwały, nie tylko bowiem opanował tron Babilonu, ale jeszcze tworzył rozległe plany przeciwko Assyrii i w 713 r. wyprawił poselstwo do króla judzkiego Ezechijasza, wzywając go do przymierza. Ale nie dopisało mu powodzenie: Sargon odniósł nad nim zwycięstwo i wprowadził do niewoli (710 r.). Po śmierci Sargona widzimy znów bunt w Babilonie; wśród zamieszania ukazuje się znów Merodach-Baladan i znów Assyryjczycy zwyciężyli pod dowództwem Sanheriba (702). Podobne wypadki powtarzały się wciąż aż do czasów Nabopalassara, który zadał nareszcie stanowczy cios Niniwie. Przypuszczają że Nabopalassar był sam Assyryjczykiem z pochodzenia i rządził Babilonem jako królewski namiestnik. Gdy otrzymał rozkaz wyruszenia przeciwko Medom, uznał za korzystniejsze dla siebie porozumieć się z Cyaxarem i obrócić swój oręż przeciwko Niniwie. Stało się przymierze wzmocnione związkami pokrewieństwa, Cyaxares bowiem wydał swą córkę Amytis za syna Nabopalassarowego Nabuchodonozora. Gdy nareszcie Niniwa zdobyta została, dwaj sprzymierzeńcy podzielili się łupami i każdy z nich stał się niezależnym monarchą. Tym sposobem powstało Nowo-Babilońskie, czyli po prostu Babilońskie królestwo.

Tak gwałtowny przewrót, jakim był upadek wielowładnej Assyrii wywarł głębokie wrażenie na całym Wschodzie. Zanim się wyjaśniło nowe położenie rzeczy, zdawało się że potęga Semitów zachwiana została. Z chwili tej chciał skorzystać Faraon egipski Nechao II, by pojąć Syryę i tym sposobem zabezpieczyć Egipt od możliwych w przyszłości najazdów. Zapewne w takim

celu, nie zaś w zamiarze niesienia pomocy Assyryjczykom (jak mniemali niektórzy historycy) Nechao przebył Suez i wkroczył do Azji (608 r.). Stary Nabopalassar powierzył dowództwo swego wojska synowi Nabuchodonozorowi, który już się odznaczył walecznością podczas oblężenia Niniwy. Wielka bitwa pod Karchemyszem zaszła w 605 r. i zakończyła się zupełną porażką Egipcyan. Korzystając ze zwycięstwa, Nabuchodonozor puścił się w pogoń za Faraonem, lecz w Syrii otrzymał wiadomość o śmierci ojca. To go zmusiło do zaniechania pochodu i do rychłego powrotu dla objęcia tronu (604 r.).

Długie i sławne panowanie Nabuchodonozora (Nabukudurussur 604—561 r.), jest dobrze znane z ksiąg hebrajskich, oraz wielu starożytnych pisarzy; pomniki prawie nie dodają do opowieści o jego wojnach i budowlach. Pomijamy zatem podbój Syrii, oblężenie Tyru, stosunki z królestwem Judzkim, zdobycie Jerozolimy w 585 r. i uprowadzenie 4,600 Żydów w niewolę babilońską, gdy hołdowny król Sedycyasz, pomimo złowieszczych przepowiedni, pogroźek i rad Jeremiasza (1), zawarł przymierze z egipskim faraonem Apriesem (Uahpraet). Zaznaczamy jeden tylko fakt, że Nabuchodonozor podobno miał wkroczyć do Egiptu i złożyć z tronu tegoż Apriesa w 581 r. (Rawlinson, III, str., 54).

Tak więc nie ulega wątpliwości, że Nabuchodonozor stał się panem Syrii, Palestyny, Fenicyi i że imię jego przejmowało strachem wszystkie ludy od Eufratu do brzegów morza Śródziemnego.

„Wylazł lew z legowiska swego, a łupieżca narodów podniósł się... ustanie w mieściech judzkich i na ulicach Jeruzalem głos wesela i głos radości, głos oblubieńca i głos oblubienice: bo ziemia będzie na spustoszenie“ (Jerem. 4, v. 7 i 7, v. 34). Wszakże monarchia babilońska była znacznie mniejszą od assyryjskiej, ponieważ cała Armenija, północna Mezopotamia oraz kraje na wschód od rzeki Tygrys położone, weszły w skład państwa Medyjskiego. Sam Nabuchodonozor znowu nie był ani tak srogim, ani tak wojowniczym jak Sargony lub Sardanapale. Ustaliwszy swą władzę w Syrii, resztę panowania spędził na urządzaniu obronnych murów i fortyfikacyj, na budowaniu pałaców i świątyń, na kopaniu kanałów i ogromnych wodozbiórów, które zamieniły okolice Babilonu w ogród czarowny, a samo miasto w najbogatszą i najpyszniejszą rezydencyą wschodnich mocarzy.

Wszakże dynastia Nabuchodonozora przetrwała po jego śmierci zaledwo sześć lat. Syn jego Ewil Merodach (561—559) został zamordowany po dwuletnich rządach, a zięć Neriglissar sam umarł w 556, zostawiając po sobie małe dziecko Laborosoarchoda. Ale w tym czasie zaszła nowa rewolucya na Wschodzie: Cyrus zburzył państwo Medów i założył potężną monarchię perską. Wśród takich okoliczności, Babilończycy potrzebowali rze-

(1) „Służcie królowi babilońskiemu, abyście żyli (Jerem. 27, v. 17).

czywistego, nie zaś fikcyjnego króla. Utworzył się spisek, na którego czele stał syn naczelnego kapłana (Rab-Mag'a) Nabonadius (Nabunita 555—538). Zamordowano dziecię i okrzyknięto Nabonida królem. Ten dla ulegalizowania swęj władzy ożenił się z córką Nabuchodonozora. Gdy potęga Cyrusa szybko wzrastała, król babiloński starał się zabezpieczyć przez wykończenie i rozszerzenie fortyfikacyj, oraz przez przymierze z królem Lidyjskim Krezusem i faraonem egipskim Amazysem (Aahmes). Wiadomo, że ta polityka nastęrczyła Cyrusowi powód do wkroczenia na ziemię babilońską. Obronę stolicy powierzył Nabunid młodemu synowi swemu Baltazarowi (Bel-szar-uzur), sam zaś na czele wojska, wyruszył na spotkanie Persów. Bitwa w otwartém polu zakończyła się klęską dla niego; mając odwrót odcięty, musiał schronić się w jedném z miast południowych, Borsippa, a Cyrus podążył prosto pod Babilon. Miasto było tak rozległe, że go perska nie mogła otoczyć, mury zaś tak wysokie i grube, że szturm zdawał się niemożliwym. Po wielu bezowocnych probach odważył się Cyrus na krok ryzykowny: podzielił wojsko na dwie części, i zostawiwszy jedną pod murami miasta, udał się z drugą ku wodozbiorowi Sepharwaim, oczyścił zaniedbany kanał i odciągnął wodę z Eufratu. Tymczasem niedoświadczony i opieszaly Baltazar nie korzystał z dogodnej dla siebie chwili, nie czuwał nad wojskiem i strażami swemi i ucztował w najlepsze, aż Persowie wtargnąwszy całą siłą przez łożysko osuszonej rzeki, zdobyli miasto i pałac królewski. Po utracie stolicy, Nabunid poddał się téż zwycięzcy (538 r.).

Tak więc monarchia przez Nabopalassara na gruzach Ninivy założona, przetrwała nie całe stulecie. Obyczaje, pojęcia, religia Babilonu są w ogólnych zarysach podobne do assyryjskich, z tą naturalnie różnicą, że na czele panteonu stał, zamiast Aszura, Bel, który z dawien dawna posiadał siedmiu piętrową świątynię, złoty posąg i złoty ołtarz niezmiernęj na owe czasy wartości. Napisów klinowych i zabytków monumentalnych, posiadamy tu mniej niż w Assyrii (gdyż z ruin Babilonu budowały się rozmaite miasta, jak Seleucya, Ktezyfon, Bagdad); za to więcej znajdujemy wiadomości u starożytnych pisarzy, że wspomnimy Herodota, Strabona, Arystotelesa, Mikołaja Damasczeńskiego, Beroza w chronice armeńskiej Euzebiusza, (wydanęj w 1818 r. przez Mai i później nieco przez Aucher). Z ogółu znanych nam faktów, można wnioskować, że Nabuchodonozor i jego następcy byli mniej okrutni niż assyryjscy zdobywcy, że dola ludów podbitych była bez porównania znośniejszą. Jakkolwiek Żydzi gorzko opłakiwali „nad rzekami Babilonu“ niewolę swych ksiąząt i kapłanów, to Przecież król Sedecyas z został z więzienia wypuszczony po śmierci Nabuchodonozora, a w księgach Daniela napotyamy czasem nawet sympatyczne o królach babilońskich wspomnienia. W krótkim stosunkowo czasie dostrzegamy tu postęp w ukształceniu umysłu i uczuć ludzkich, osłabienie instynktów zdobywczych

i wojennych, rozwój dążeń cywilizacyjnych i nawet świetny rozkwit najstarszej, ale też i najwznioślejszej nauki astronomii. Kapłani babilońscy, znani w świecie starożytnym pod mianem Chaldeów, byli pierwszymi nauczycielami wszystkich ludów i alexandryjscy uczeni u nich znaleźli pierwsze dokładne obliczenia zaćmień słonecznych, od nich też przejęli erę Nabonassara.

IV. Medya i Persya.

Podróźni jadący do Indyów Wschodnich często spotykają pomiędzy passażerami okrętu bogatych kupców o pięknych rysach twarzy z dużemi czarnemi oczyma, orlim nosem i białą prawie cerą, którzy nie zasiadają do wspólnego stołu i odosobniają się zaraz tak od muzułmanów jak od Hindusów. Przy rozmowie powiedzą, że należą do ludu Parsis, że przodkowie ich uchodząc niegdyś z ojczyzny przed Arabami, znaleźli przytułek na zachodniem wybrzeżu Hindostanu (w okolicy miasta Diu). Dziwne ich zwyczaje i wyobrażenia religijne, ognie starannie wciąż podniecane na ołtarzach świątyń, grzebanie umarłych na gałęziach drzew i t. p., oddawna zwracały na nich uwagę Europejczyków. Jeszcze w przeszłym wieku Anquetil du Perron dowiedziawszy się, że ci Parsowie posiadają starożytne księgi święte, wydosłał je z wielkim trudem i do Europy przywiózł. Była to Zend-Awesta, według podania spisana niegdyś złotemi literami na skórach wołowych przez Zoroastra (Zaratusztra). Gdy Anglicy (Colebrooke, Jones Wilkinson) zaczęli studyować i tłumaczyć pisma Hindusów, gdy filologowie dostrzegli, że wszystkie nasze europejskie języki są spokrewnione z Sanskrytem, a Greko-Italowie, Celtowie, Germanie i Słowianie mieszkali niegdyś na Irańskiej wyżynie; wtedy i Zend-Awesta stała się przedmiotem wytrwałych badań. Uczeni nie zrażają się przeciwnościami. Sami Parsowie nie rozumieją starożytnego języka Zendów i machinalnie powtarzają modły swe do Ormuzda. My jednak posiadamy obecnie dwa kompletne tłumaczenia pozostałych fragmentów, jedno niemieckiego uczonego Spiegel (1851—1858), drugie Duńczyka Westergaarda (wydane w 1852—1854 r.).

Tłumaczenia dostarczają nam obfitych szczegółów o tej znakomitej wierze w Ormuzda i Arymana, o pocztach dobrych i złych duchów, o pięknych zasadach moralności zalecaniej niegdyś plemionom Iranu, ale bardzo wielu wątpliwości rozproszyć jeszcze nie zdołały. Dotąd nie wiemy jeszcze: kto był ów tajemniczy Zoroaster, kiedy żył, czy i co mianowicie napisał? Pewnym jest tylko, że Zend-Awesta, czyli raczej Awesta-Zend (to znaczy: text i komentarz) jest księgą wcale nie systematyczną, że rozmaite jej części narastały w ciągu długich wieków, że niektóre działy były może dziełem całych szkół kapłańskich, że najstarożytniejszymi jej ustępami są: śpiewy (Gathas z księgi Jaćna) i Fargard (z księ-

gi Vendidad), pozostaje więc jeszcze obszerne pole do rozmaitych domysłów i hipotez, o których tutaj wzmiankę uczynimy.

Przodkowie nasi, pierwotni Aryjczycy, mieszkali niegdyś na stokach gór Hindu-Kusz w okolicach starożytnej Baktry (miasto Balk w Bucharze). Pędzili najprzód życie pasterskie, a rozglądając się w przyrodzie, podziwiali przede wszystkim światło i okazywali wstręt do ciemności. Gdy słońce wschodzące złociło gór szczyty, pasterze ci wnosili radosne pienia, wielbiąc *Mitrę*, który wyjeżdża na świetnym wozie w złotym hełmie i srebrnym pancerzu z przybytków swoich, gdzie nigdy noc nie postążyła. Jakież to było szczęście, gdy Aryjczycy zdobyli sztukę rozniecania ognia, który też mógł ciemności rozpraszać! Ten dobry *Agni* był „ukochanym przyjacielem, towarzyszem i bratem ludzi“; ukrywał się w drzewie, lecz za pomocą tarcia dwóch kawałków, rodził się zaraz na świat na wezwanie kapłana: „Siadaj wśród nas, o potężny! Przyświecaj nam najukochańszy z bogów; niech dym skrzydlaty unosi się nad Tobą!“ Ale czasem duchy ciemności gromadziły się w powietrzu w kształcie chmur czarnych i w ciągu dnia jeszcze chciały słońce zakrywać. Wtedy potężny Indra grzmiał gniewnie, błyskawicą szarpał zwoje duchów ciemności, a wiatr *Vayu* rozprasał je i odganiał. Spadał zaraz deszcz dobroczynny, który zasiliał ziemię „świętą, mieszkalną, obfitą w łąki *Armatī*. Ziemi dotykał rękoma król Artaxerxes błagając o zdrowie dla ukochanej swjej żony złożonej chorobą. Pierwszy człowiek (Iiuna, król) miał otworzyć łono jej pługiem. Dla odpędzenia złych duchów czyniono ofiary z rośliny *homa*, czyli *soma*, której sok na świeżo posiadał smak przyjemny i upajającą własność, ale po pewnym czasie stawał się straszną trucizną. „Dobry *homa*. . . daje zdrowie, czyni dobre... daje mężom posiadającym koni moc i siłę; dziewicom, które długo pozostają w panieństwie, szczerych, pracowitych i rozsądnych mężów; niewiastom ładne dzieci i czyste potomstwo.“ Każda rodzina posiadała móżdziej, tłuczek i czarę do wyciskania cudownego soku.

Takie to były pojęcia Aryów w najdawniejszej epoce historycznej, kiedy żyli jeszcze w jednej niepodzielnej rodzinie. Jedną część ich, zajmwszy potem rozkoszną krainę pomiędzy rzekami Indus i Gangesem, poniosła te same wyobrażenia i przechowała je w świętych swych Wedach. Pozostałe w Iranie plemiona snuły tymczasem szereg nowych myśli, zapewne pod wpływem natury swego kraju, gdzie obok pól najżyźniejszych, oko napotyka bezbrzeżne stepy, lub piaszczyste pustynie, obok gór śnieżnych, gorące doliny.

Zdaniem Henryka Rawlinsona w późniejszym znacznie czasie powstała nauka tajemniczego Zoroastra o Ormuzdzie i Arymanie. Wszystkie bóstwa, wszystkie twory i zjawiska przyrody sprowadzonymi zostały do dwóch pierwiastków: dobrego i złego. Źródło światła i ciepła, twórca wszystkich pożytecznych rzeczy na świecie, zowie się *Ahuró-Mazdào*, a czasem Białym Duchem (Çpen-

tomainyus); duch zaś ciemności, chłodu, suszy, śmierci i wszelkich tworów szkodliwych zowie się Czarnym Duchem: *Angrô-mainyus*. Pierwszy ma na swoje rozkazy wielu pomniejszych duchów jasności (Amesza-spenta), drugi używa gońców żałoby i śmierci Dewów. Inne bóstwa, szczególnie Mitra, pozostają przy dawnych atrybutach, lecz ich istnienie i władza ma brać początek z wszechmocy Ahuramazdy.

W této zapewne epoce zaczęły się posuwać plemiona aryjskie ku zachodowi. My, Słowianie, unieśliśmy téż z Iranu dawne pojęcia o Belboh'u i Czernyboh'u, o Diwie co jęczy na drzewie (w Słowie o pułku Igora) i t. p.

Z innej znów strony Aryjczykowie, posuwając się ku granicom Mezopotamii, może około r. 1,000 przed nar. Chrystusa, osiedlają się w Medyi. Rawlinson twierdzi, że w okolicach Kaspijskiego morza i w górach Zagrosu zastali oni już Turańczyków czyli tureckie plemiona, które miały wynaleźć pismo klinowe (bo królowie perscy używali jeszcze w napisach turańskiego alfabetu) i wytworzyły osobną religię, na czci żywiołów opartą. Kapłani ich, zwani *Magami*, wznosili na wysokich górach ołtarze, utrzymywali na nich wiekuisty ogień, przywdziewali białe szaty, tyjary, urządzali processy i uroczyste obrzędy, przepowiadali przyszłość, a tworząc kastę dziedziczną, wyróżniali się od reszty ludu, wywierali wielkie na umysłach wrażenie mądrością swą i powagą. Wpływowi ich ulegli naprzód Medowie, potem Persowie. Westergaard mniema, że jeszcze za Daryusza I syna Histaspas, Magowie nie oparli się ich kierownictwu i nadał magizmowi przewagę.

Z takim zakresem idei Aryjczykowie zetknęli się ze starszymi i bardziej już wykształconymi ludami Semityckimi. Odróżniali się od nich obliczem i duchem. Gdy w każdym mieście Mezopotamii stali bogowie „drzewniani i kamienni, złoci i srebrni,“ (Baruch, rozdz. 6, w. 38).—Aryjczykowie wielbili światło, ogień, wodę i ziemię; czcili swego jasnego Ahuramazdę, troskliwie pielegnowali konie, krowy i psy, „życzliwe dla ludzi, kąśliwe na wrogów, obrońcy dla trzody,“ a na zmazanie grzechów tępili po 10,000 jaszczurek, mrówek, szczurów, komarów lub węzów, nieczne utwory Arymana, budowali po 18 mostów nad wodą biegnącą, zalecali prawdę, upatrując przyczynę wszelkich nieszczęść w kłamstwie i fałszu.

W pierwszych czasach źle się wiodło Aryjczykom na nowych siedzibach. Z assyryjskich pomników wiemy, że w 835 r. pobił ich król Szalmanezar II, potem Szamas-Wul znękał ich tak srodze, że przyjęli obowiązek płacenia corocznej daniny. W pałacu Sanheryba figurują znów Medowie w postaci hołdowników przynoszących dary (702). Doznali téż zapewne napadu i od syna jego Esar-haddona. Na tych faktach Rawlinson opiera wniosek, że Medowie pierwotnie żyli podzieleni na małe plemiona, pod władzą drobnych królików, i zaprzecza podaniu Herodota o mądrym De-

joku, który w VIII wieku miał panować jako król niezależny w otoczonej 7-ma murami Ekbatanie. Zdaniem jego Medya mogła wyzwolić się z pod władzy assyryjskiej dopiero około 660 r., kiedy od Baktry i Sagartiany przybyły nowe tłumy Aryjczyków pod Cyaxarem lub może ojcem jego Fraortem. Wtedyto Medowie wytoczyli zawziętą walkę ciemieżcom. Już Fraortes (Frawartisz) ruszył na Niniwę, lecz nie był w stanie dotrzymać placu Aszurabani-palowi i poległ w bitwie z nim (651 r.). Ale śmierci Fraorta pomścił się syn jego Cyaksares (Uwakszatra) przez zburzenie i zrabowanie wielkiej assyryjskiej stolicy.

Przy podziale łupów wódz Medów otrzymał lwią część zdobyczy, kiedy bowiem Nabopalassar i Nabuchodonozor poprzestali musieli na Mezopotamii, Cyaksares zabrał Armenię i wszystkie kraje północne aż do Azji Mniejszej. On też zapewne podbił Persów, którzy podług Rawlinsona zajęli kraj górzysty Persydy czyli Farsistanu w tym samym czasie około 660 r. Wodzem ich był Hachamanisz czyli z grecka Achemense, głowa znakomitej późniejszej dynastii Achemenidów. Trudno jest tylko zrozumieć i zgodzić się na hipotezę wyciągniętą z niejasnego napisu assyryjskiego przez Rawlinsona, jakoby ci Persowie mieli dawniej mieszkać w Armenii, a Szalmanazer II miał znaleźć ich tam w IX wieku pod władzą 25ciu naczelników. W każdym razie Medya stała się pierwszym potężnym reprezentantem plemienia aryjskiego i nabawiła strachu Semitów. Widzieliśmy już jak starannie Nabuchodonozor fortyfikował swój Babilon w przewidywaniu groźnego napadu.

Dzieje tego państwa medyjskiego są jeszcze nie dokładnie zbadane. Nie posiadamy żadnych autentycznych pomników, napisów, nie wiemy nawet z pewnością czy dzisiejszy Hamadan stoi na miejscu dawniej Ekbatany? Nie ulega tylko wątpliwości, że państwo to długowiecznym nie było. Hołdowny król Persów Kambyzes (Kambudžia), usłuchawszy namów syna swego Cyrusa (Kuru), podniósł rokosz przeciwko Medom. Walka była nader zaciętą i krwawą. Mikołaj Damasceński podaje, że 1,000,000 piechoty, 200,000 jeźdźców i 3,000 wozów wojennych Astyagesa walczyło z 300,000 piechoty, 50,000 jazdy i 100 wozami perskimi. Cyfry te są zapewne bardzo przesadzone, pewnym jest wszakże, iż Medowie zdobyli graniczne wąwozy, że zwycięzko posuwali się w głąb kraju, że stary Kambyzes poległ w tych walkach, że Cyrus dopiero w ostatniej rozpaczliwej bitwie, stoczonej na szczycie góry pod Pasargadą (w pobliżu dzisiejszego Derabgerd) odniósł zwycięstwo w 558 r.

Prawy czciciel Ormuzda, Cyrus jest znakomitą w historii zjawiskiem. Jako wódz śmiały i utalentowany zdobywa Medę wraz z Ekbataną, Lidyę z m. Sardes, osady greckie, Fenicyę, Syryę, Babilon, a jako monarcha odznacza się dobrotliwością i spokojem. Pobrani w niewolę królowie: Astyages, Krezus i zapewne Nabunid doznają łagodnego obejścia, Żydzi uwolnieni z jęctwa babilońskiego ciągną radośnie (42,000 wolnych mężów i 7,000 nie-

wolników) ku swęj Jerozolimie, unosząc oddane im skarby Salomonowej świątyni. Łagodny téż wyraz mają rysy twarzy jego wyrte na jednym z filarów grobowca (pod Murghab); skromnie brzmi napis pod figurą umieszczony: „jestem Kurus, król, Achemenida.“

Obfite źródła wiadomości o Persyi, czerpane dawniej ze starożytnych pisarzy, pomnożyły się kilkoma napisami hieroglificznemi, znalezionemi w Egipcie, i klinowemi w Senkerah, Murghab, Naksz-i-Rustem, a szczególnie na skale Bisutun czyli Behistun. Ostatni jest najważniejszy: z niego czerpiemy dokładną genealogię Achemenidów aż po Daryusza. Król ten na wstępie zawiadamia potomne wieki, że: „moim ojcem był Hystaspes (Vistasp), ojcem Hystaspa był Arsames (Arsama), ojcem Arsamesa Ariaramnes (Ariaramna), ojcem Ariaramnesa, Teispes (Czaispis), ojcem Teispesa, Achemenes (Hachamanisz).“ Sam Daryusz zwał siebie Darajavus i pochodził z linii młodziej. Starsza zaś linia wiodła swój ród od Teispesa, którego synem był znany już nam Kambyzes, wnukiem Cyrus, i bezpotomnym prawnukiem drugi Kambyzes, zdobywca Egiptu. Napis wyjaśnia wielkie wstrząśnienie, jakiego doznało państwo perskie po bezpotomnej śmierci Kambyza, kiedy wszystkie prawie ludy podbite: Medowie, Sagartowie, Margijczykowie, Babilończykowie a nawet Persowie, buntowały się za sprawą rozmaitych samozwańców. Dowiadujemy się przytém, że zamordowany brat Kambyzesa nosił imię nie Smerdyasa lecz Bardija. Naczelnicy buntów w liczbie 9ciu są wyobrażeni w płaskorzeźbach przed figurą Daryusza ze stosownemi podpisami, np.: „ten Naditabira kłamał; mówił on tak: jestem Nabukadraczara (Nabuchodonozor), syn Nabunity jestem królem Babilonu,“ albo: „ten mag Gaumata kłamał, mówił on tak: jestem Bardija, syn Kuru, jestem królem i t. d.“ W zakończeniu powiada, że walcząc z buntownikami stoczył 19 bitew i wziął do niewoli 9 królów. „Wszystko com zdziałał, zdziałalem za łaską Ahuramazdy; dał mi pomoc Ahuramazda i inni bogowie którzy istnieją, ponieważ nie byłem złośliwy, ponieważ nie jestem kłamcą, ponieważ nie byłem dumnym... Jeżeli kraje buntowały się przeciwko mnie, to buntownikami uczyniło je kłamstwo“ i t. d. Bizutuński napis obejmuje pierwszych pięć lat panowania Daryusza, i daje poznać wielkie zasługi tego monarchy, który słusznie mógłby się zwać drugim założycielem państwa perskiego.

Rawlinson kręśli kompletną historję Persyi aż do Alexandra Macedońskiego, my jednak nie podążymy za nim, żeby nie nadużyć uwagi czytelnika, zaznaczymy tylko, że „wielcy królowie“ podbiwszy plemiona semityckie i kuszyckie nie zniszczyli wytworzonych poprzednio, starożytniejszych cywilizacyj, i sami nawet ulegli ich wpływowi. Wbrew upowszechnionej przez Herodota powieści o okrucieństwach i fanatyzmie Kambyzesa, wiemy z jednego egipskiego napisu, że król ten sam wchodził do świątyni Neith w m. Sais, i rozkazał ją oczyścić od rozłożonego tam woj-

ska. Apis nie był zabity, owszem otrzymał nowe uposażenie i żył zdrowo aż do 4go roku panowania Daryusza. Na rzeźbach Passargady dostrzegamy kółko z jedną lub trzema półfigurami, zupełnie podobne do wyobrażeń Assura. Babilońska Isztara czyli Nana przeszła do Persyi jako Nanea, Anaitis lub Tanata; Artaxerxes Mnemon rozkazał poutawiać jój bałwany we wszystkich miastach od Baktry aż do Sardesu i wprowadził rozwięzłe obrzędy, używane w kulcie téj bogini. Chętniebyśmy uwierzyli, że Aryman z całą czeredą swych Dewów powstał z assyryjsko-babilońskiego Anu i ze złych duchów z tygrysiemi paszczami, o których wzmiankowaliśmy wyżej. Nareszcie Izraelici, za pozwoleniem Daryusza wzniesli nową dla Jehowy świątynię.

Ogarniając ostatnim rzutem oka ogół zaszkiegowanych tu faktów, przypuszczeń i wniosków, możemy nakreślić już następne fazy dla pierwiastkowego rozwoju cywilizacyi i umysłowości rodzaju ludzkiego.

Pierwsza osiadła społeczność, pierwsze wsie, miasta i świątynie, pierwsi królowie i pierwsze objawy myśli badawczej, powstały w Egipcie dzięki Nilowi, który dostarczał człowiekowi niezmiernie obfitych plonów rolnych i zaraz przyuczał go do porządku przez niezmienną peryodyczność swoich wylewów. Jakąkolwiek datę przyjęlibyśmy na panowanie króla Menesa (Mena) czy rok 3892 przed nar. Chrystusa, jak dowodzi Lepsius, czy téż 3233 jak twierdzą Bunsen i Duncker, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że na całym świecie nie było jeszcze żadnego państwa, kiedy się wznosiła świątynia boga światła Ptah, oraz zamek królewski w Memfisie, kiedy zaczęto urządzać rok podług porannego wschodu najświetniejszej na egipskiem niebie gwiazdy, Syryusza. Egipcyanie zaczęli swą pracę cywilizacyjną z kamiennym toporem w rękę, a jednak powoli zapełnili kraj swój dziwami architektury, inżynieryi, snycerstwa i malarstwa. Podzieleni dla porządku na kasty przekazywali z ojca na syna wynalazki i ulepszenia w rzemiosłach i nauce, wiodli żywot pracowity i skrzętny. Aż oto rozrodzone już licznie, ale koczownicze jeszcze plemiona Semitów (Hyksowie), znęcone zamożnością Egiptu, wpadają, rabują miasta, burzą świątynie i pasą swe trzody na uprawnych starannie polach. Trzeba było wyteżyć wszystkie siły do walki i napędzić jak najwięcej ludzi do wojennego rzemiosła; w istocie historia po raz pierwszy wzmiankuje o wielkiej armii 480,000 ludzi, zgromadzonych przez faraona Tutmosisa przy oblężeniu obozu Hyksów Awaris, w XVI wieku przed nar. Chrystusa (1591 r.). Następcy jego, szczególnie faraonowie XIX dynastyi (Ramzes I, Setos, Ramzes II, Miamun) prowadzą swe pieszce zastępy, tysiące jezdnych i mnóstwo wozów wojennych w głąb Azyi, do Fenicyi, a może aż za rzekę Eufrat. Wyprawy te były niewątpliwie ważną lekcją dla Semitów

i dały im możność poznania owoców wyższej cywilizacji. Zkąd inąd znów wielkiego dla dziejów znaczenia jest pobyt koczowniczych Hebreów w Egipcie i ukazanie się na ich czele meża, wtajemniczonego w naukę kapłanów, wielbionego u Żydów pod imieniem Mojżesza, potępianego u Egipcyan pod imieniem Osarsifa. Ten kapłan Ozyrysowej świątyni w Heliopolis (On, Anu) tak dalece uniósł się mściwością (przytaczamy tu egipską tradycję z Manetona) że pozwolił swym „nieczystym” Izraelitom jadać święte zwierzęta i dał im prawa zupełnie sprzeczne z egipskiemi. W istocie sprzeczność była zbyt rażąca; zamiast bowiem mnóstwa bogów, wyobrażających słońce, Nil, płodną siłę natury lub szkodliwe elementa; Mojżesz nakazywał cześć dla jedynego całkiem duchowego Jehowy. Wszakże, pomimo gorzkich wspomnień egipskiej niewoli, Hebreowie długo nie mogli odzwyczaić się od czci cielca (Apisa). Salomon pysznił się, że dostał córkę Faraona w zamężdzie; prorocy zwracali wciąż mowy swoje z nadzieją lub wyrzutami i groźbą do Faraona, smoka wielkiego „który leżysz w pośrodku rzek twoich, a mówisz: moja jest rzeka, a jam uczynił sam siebie.” (Ezech. 29, 3).

O tysiąc lat przynajmniej po Menesie, gdy matka-przyroda powolnym wód działaniem usłała z morskich osadów krainę podobną do Egiptu, błakające się bezładnie, różnolice i różnojęzyczne plemiona ściągały się ze wszech stron, z piaszczystych pustyń Syrii, Arabii, Iranu, ku żyznym brzegom Eufratu. Musiały one staczać długie walki pomiędzy sobą, zanim „wielki łowiec przed Panem” stał się potężnym na ziemi: a Nemrod był Kuszytą, może widział a przynajmniej słyszał o Egipcie. I tutaj ludzie skoro się usadowili w lada jakich mieściskach, skoro się urządzili w posłuszne Urchamom społeczeństwa, zabiérają się do lepienia cegieł, wznoszą ogromne świątynie, śledzą ruch gwiazd na niebie, wynajdują pismo obrazowe, hieroglificzne, podobne nieco do egipskiego (1). Ale Ur, Niffer, Babilon i późniejsza Niniwa, są jeszcze stolicami maluczkich krajów; okoliczni sąsiedzi krzątają się na wszystkie strony około budowania miast i fortec obronnych. Cała Azja przodkowa pokrywa się siatką państweczek tak małych że pomiędzy Tygrem a Eufratem mogło się ich mieścić 42, a w Palestynie i Syrii, zapewne drugie tyle. Nie brakło powodów do wojen i najazdów, ale to były tylko pierwsze próby, przygotowawcze ćwiczenia w sztuce wojenniej.

Wtém, huczą wozy, tętnią kopyta jazdy, płyną fale pieszego wojska i obronna forteca otoczona zostaje. Dokoła niej tworzy się szybko obóz z białych namiotów; pod największym zasiada na tronie człowiek w wysokiej mitrze, otoczony szeregiem straży przybocznej, z tarczami, lancami, toporami, tłumem pisarzy i kapłanów. Sługa trzyma nad głową jego rozpięty parasol. Słuchając doniesień wodzów, każe obić kijami szpiegów wysłanych na

(1) Tak twierdzi Oppert Exp. scient. en Mesopat II 63 - 69.

zwiady, a zanim stoi w pogotowiu wóz wojenny z woźnicą, czekającym skinienia ręki. Jestto Faraon egipski, Seti czy Ramesu, syn czystego słońca Ammun-Ra. Wydał rozkazy, stanął na wozie i łuk swój naciągnął. Natychmiast poruszyły się wojska, biegną do szturmu i zdobywają miasto. Zwycięzeni muszą znieść wszystkie swe bogactwa lub iść ze związanymi rękoma w niewolę. Postacie ich będą odwzorowane przez egipskich malarzy w kształcie piramidy z ludzi czarnych, czerwonych i białych; Faraon ujmując lewą ręką za włosy, a prawą zanosi miecz nad ich głowami.

Więść o tak niezwykłym wypadku przechodzi od kraju do kraju i długo jest przedmiotem dziwnych opowiadań. Wszyscy królowie radziby naśladować Faraona. Tymczasem rosą miasta Assyrii, a silna ich ludność zaprawia się do zwycięstw w nieustannych wojnach z sąsiednimi ludami, to na wyżynie Armenii, to w dolinie Eufratu. Nareszcie niezliczone wojska „ubrane w rozmaite szaty” i „sławne wsiadacze na konie” ukazują się w Syrii, ciągną ku Palestynie, ku miastom Fenycyi. Straszni to wojownicy groźniejsi od zastępów Faraona. Mieszkańcy Jerozolimy słyszą z murów swoich wezwanie. To mówi król wielki, król Assyryjski. Co to jest za ufność w której ufasz?... Oto ufasz w tej lasce trzcinianej złamanej, w Egipcie, którą jeśli się człowiek podeprze, wnijdzie w rękę jego i przebodzie ją; tak Faraon król egipski wszystkim którzy w nim ufają. A jeśli mi odpowiesz; w Panu Bogu naszym ufamy.... Aza wybawili bogowie narodów każdy ziemię swoją z ręki króla Assyryjskiego? Gdzie jest Bóg Emach i Arphad, gdzie jest Bóg Sepharwaim? Aza wybawili Samaryą z ręki mojej? (Izajasz 36; v. 4, 6, 7, 18, 19). W istocie cała Syrya korzy się przed Aszurem, jej bogactwa idą do Niniwy, Kalah, Bit-Sarginy; w pałacach Salmanazarów i Sargonów gromadzą się kosztowne materye, wyborne wina, kadzidła i złoto. Co większa, ci władcy nie poprzestają na chwilowych łupach, jak niegdyś egipscy Faraonowie, lecz utrzymują zwyciężonych w ciągłym poddaństwie, każą wyrwaniem języków i nozdrzy wszelki zamach buntowniczy. Jestto pierwsza wielka monarchia. Pod groźną władzą Aszura nikną geograficzne przegrody pomiędzy ludami; po przez pustynie i góry synowie Izraela ciągną za Tygrys. Aryjczykowie z irańskiej wyżyny muszą się przenosić na syryjskie równiny. W Palestynie tworzy się ludność mieszana: Samarytanie. Wola Sargona zastępowała wtedy dzisiejsze lokomotywy i statki parowe w dziele zbliżania odosobnionych narodów, wyrabiania idei z najrozmaitszych i możliwie najbogatszych żywiołów. W istocie, nie sama tylko wojenna wrzawa zapełniała długie lata assyryjskiego panowania. Prócz gmachów wspaniałych i pięknych, prócz mnóstwa rzeźb, wdzięczniejszych dla oka niż egipskie, widzimy tu wielką dbałość o pismo; znajdujemy słowniki układane z polecenia królów, mamy ślady astronomicznych wiadomości. Izraelici bowiem z Assyrii wzięli swój kalendarz i swój tydzień siedmiodniowy; widzimy religijne pojęcia i obrzędy równie imponujące jak w Egipcie. Wra-

zenie tego semityckiego kultu musiało być silne, skoro Hebreowie pomimo swych ksiąg narodowych, pomimo uroku Syońskiej świątyni wciąż zapominali o Jehowie dla „bogów bałwańskich” urobionych z drzewa, kamienia, srebra lub złota. „I jechał król (Judzki) Achaz przeciw Theglath-Phalasarowi, królowi Assyryjskiemu do Damaszku. A gdy ujrzał ołtarz w Damaszku posłał król Achaz do Uryasza kapłana wizerunek jego i wyobrażenie według wszelkiej roboty. I zbudował Uryasz kapłan ołtarz wedle wszystkiego co był rozkazał król Achaz z Damaszku.” (IV król. r. 16 v. 10 i 11). Przerażają nas w tej religii rozwiąże obrzędy bogiń płodności i straszne jęki palonych na ofiarę ludzi; ale pomimo tych cech wojowniczego, na łupieztwach i orgiach urobionego ducha, musimy uznać rozległą spekulację filozoficzną w tej mnogości bóstw i geniuszów, musimy przyznać że owe skrzydlate ludzkie postacie, którym nasi malarze lub snycerze usiłują nadawać najbardziej idealne kształty aniołów, po raz pierwszy ukazują się na ścianach pałaców assyryjskich.

Niniwa upadła za sprawą pobratymczych Babilończyków i obcego Semitom, a nam pokrewnego ludu, aryjskich Medów. Polityczne położenie Syrii, Fenycyi, Palestyny nie wiele się zmieniło. Kraje te były już przyzwyczajone do szukania panów w Mezopotamii. To też skoro Nabuchodonozor pokonał egipskiego Faraona pod Karchemyszem, zaraz Jeremiasz zanucił mu pieśń pochwalną (r. 46) i przez całe życie zalecał uległość królowi Babilonu, grożąc Joacynowi że „pogrzebem osłowym pogrzebion będzie” (r. 22 v. 19); a Jerozolimie najsroźszem spustoszeniem. Zresztą, monarchia babilońska nie dorównała potęgą i grozą państwu assyryjskiemu, ale za to zasłynęła szeroko z kanalizacyi, gmachów, cudownego przepychu, i mądrości „chaldejskich kapłanów” szczególnie w matematyce i astronomii. Te znamiona pracy, te kwiaty cywilizacyi przetrwały dłużej niż potęga Nabuchodonozora i jego następców.

Nareszcie Persowie podbijają wszystkie ludy semityckie, egipskich kuszytów i greckie osady; zbierają cały świat wschodni do gromady, organizują monarchię uniwersalną, powszechną. Odległość od Efezu do złotodajnej ziemi Darada w górach Himalaj wynosi przeszło 600, od Memfisu do Sogdyjany przeszło 500 mil. Na tej ogromnej przestrzeni, po raz pierwszy ubito drogi wygodne, a po tych drogach biegali jeźdźcy „szybciej od żurawi”, przewożąc pocztę królewską. Perscy satrapowie zasadzali w każdym mieście piękne ogrody i parki, ale nie tknęli dzieł dawniej wytworzonej cywilizacyi, owszem w samej Persydzie czysty zoroastrianizm ulega wpływowi wyobrażeń religijnych Niniwy i Babilonu. Jest to pierwszy szkic gmachu, wzniesionego później przez rzymskich imperatorów. Zdawałoby się, że całym przeznaczeniem „wielkich królów” Persyi jest zebranie wszystkich skarbów materyalnych i umysłowych Wschodu, żeby je złożyć z czasem w rękę genialnego Macedońskiego Alexandra, na użytek europejskich narodów. Żeby

wniosek ten niewydał się zbyt hazardownym, powołamy się na doświadczonego przewodnika naszego Rawlinsona i powodowani wdzięcznością za tyle dostarczonego nam światła, zakończymy rzecz niniejszą jego słowami: „Nie tyle Egipcjowi, co Babilonii zawdzięczamy sztukę i naukę Greków. Nic z Egiptu lecz ze Wschodu pochodzi grecka architektura, greckie rzeźbiarstwo, nauka, filozofia, wiedza matematyczna, jedném słowem całe życie umysłowe Grecyi!” (III, 76),

D O D A T E K.

Dla osób, któreby chciały powziąć dokładniejsze informacje o wypadku ostatnich badań w dziejach Wschodu, przytaczamy kompletne listy królów z Rawlinsona, uzupełniając szczegółami pominiętymi w tekście.

Fragmenta dynastyi Beroza, przechowane w armeńskiej edycji Euzebiusza, oraz w dziele Józefa Żydowina, Rawlinson uzupełnia tym sposobem:

I.	Dynastyja Chaldejska,	od roku ?	— 2286	przed nar. Chr.	
II.	„ 8 królów Medyjsk.	„	2286—2052	„	panow. lat 234
III.	„ 11 „ ?	„	2052—2004	„	48
IV.	„ 49 „ Chaldejsk.	„	2004—1546	„	458
V.	„ 9 „ Arabskich	„	1546—1301	„	245
VI.	„ 45 „ ?	„	1301—775	„	526
	Państwo Pula (Chaldejskie?)	„	775—747	„	28
VII.	„ 13 „ ?	„	747—625	„	122
VIII.	„ 6 czy 7 Babilońskich	„	625—538	„	87

W tych dynastyach mieszczą się następnii królowie, wyczytani z napisów, lub wzmiankowani w kanonie Ptolemeusza:

I Starożytnój Chaldei:

I dyn.	{	przed n. Chr. 2326	Nemrod.
		2286	Urksam czyli Uruk.
		„	Elgi czyli Ilgi syn Urucha, (pozostały po nim cegły, sygnety i cylinder).
II dyn.	{	2286	2052 Kudur-Nakhunta czyli Zoroaster (Beroza
			Kudur-Lagamer (Chodorlahomor).
			S'nti-shil-khak.
			Kudur-Mabuk (rozszerzył posiadłości m. Ur, zwany „Apda-Martu,” czyli zdobywca
		Arid Sin.	

2052—2004. Czasy zamętu; może III dynastia Beroza.

IV dyn.	}	1850—1800	Ismi-Dagon, ojciec Shamas-Vul'a, satrapy assyryjskiego (wzmiankowany w napisach Sanheriba i Tiglat-Pilear'a).
			Gunguna czy Garguna, drugi syn Ismi-Dagona. Po nim wielki cmentarz w Mugheir.
			Potem idą w niewiadomym porządku:
		1750?	Naramsin. Bilat ^o at (jakaś królowa wnioskuje z żeńskiego zakończenia na at). Sin-Shada. Zur-Sin.
		1586—1566 (?)	Nur-vul.
		1566—1546 (?)	Rim-sin i trzech jeszcze królowie podobnego imienia (sin). Wszyscy zawierają się pomiędzy 1700, a 1546 rokiem.
V dyn. (Arabsk.)	}	1546—1520	Khammu-Rabi (napisy jego w Babilonie, Zerghut, Tel-Sir; rezydencya zapewne w Babilu).
		1520—1500	Samsu Iluna, syn poprzedniego.
			Kara in-das, spółcz. assyr. Asshur-bel-nisi-su od 1440
			Purna puriyas... „ Buzur-Asshur 1420—1400 Kara-khar das (syn poprz) } Asshur-upallit Nazi-bugas } 1400—1380 Kurri-galzu (brat Kara-khar-das'a) }

1300 Chaldea podbita przez Tigblati-Nin'a.

II. Babilon, podbijany przez Assyryjczyków.

- 1300 Dynastia Assyryjska.
 1150 Nebuchadnezzar I
 1130 Merodach-iddin-akki } w wojnie z Assyryjczykami.
 1110 Merodach-shapik-ziri }
- Tsibir (Deboras) w przymierzu z egipskim Faraonem napada Assyryę.
- 850 Merodach-sum-adin Zatarzi o tron
 820 Merodach-belatzu-ikbi. Babilon podbity przez Assyryjczyków
 775 Pul?
 747 Nabonassar, wybija się z pod władzy assyr.
 733 Nadius.
 731 Chinzinus i Porus.
 726 Elulaeus.
 721 Merodach-Baladan.
 709 Arceanus (Sargon).
 704 Bezkrólewie. Powstanie.
 703—702 Hagisa i Merodach. Baladan pobity przez Sanheriba
 702 Belibus, vice-król.
 699 Assaranadius, vice-król.
 696 (?) Susub. Powstanie stłumione.
 694 (?) Znowu powstanie pokonane.
 693 Regibelus, vice-król.

- 692 Mesimordachus, vice-król.
 688 Bezkrólewie. Zamieszki.
 680 Esarhaddon, assyryjski.
 667 Saosduchinus, vice-król. Powstanie stłumione
 647 Cinneladanus (czyli Asshur-bani-pal).
 626 Nebo-sum-iskun?

III. Nowo-Babilońska monarchia.

- 625 604 Nabopalassar czyli Nabu-pal-uzur.
 604 - 561 Nabuchodonozor.
 561—559 Evil-Merodach (syn Nabuchodonozora).
 559—556 Nerglissar czyli Nergal-szar-ezer (zięć Nabuch.)
 556—555 Laborosoarchod czyli Labossoranus (syn poprzedniego).
 555 - 538 Nabonnadius czyli Nabannidochus i syn jego.
 Belshazzar czyli Bel-szar-uzur (Baltazar).

Królowie Assyryjsoy.

Najdawniejsze Państwo.

<i>Daty:</i>	<i>Imiona:</i>	<i>Uwagi:</i>
— —	Bel-sumili-kapi	Z genealogicznej tablicy.
— —	Irba-vul	Wymieniony przez Tiglath-Pileasa I, jako dawniejszy król. Do jego panowania odnosi się bardzo starożytna tablica brytańskiego Muzeum.
— —	Asshur-iddin-akhi	Wymieniony przez Tiglath-Pileasa I.
1440—1420	Asshur-bil-nisi-su	} Wymienieni w synchronicznej tablicy, która wiąże ich z panowaniem chaldejskiego króla Purna-puriyas. Imię Ashur-upalit'a znajduje się na cegłach Kileh-Shergatu.
1420—1400	Buzur-Asshur (następca)	
1400—1380	Asshur-upalit (nast.)	
1380—1360	Bel-lush	} Imiona te znajdują się na cegłach Kileh-Shergat, na naczyniach itd. Shalmaneser jest wymieniony jeszcze na genealogicznej tablicy oraz we frontonowym napisie w Nimrud.
1360—1340	Pud-il (syn poprzedniego)	
1340—1320	Vul-lush (syn poprz.)	
1320—1300	Schalmaneser I (syn poprz.)	

Wielka monarchia Herodota.

526 lat Beroza:

<i>Daty:</i>	<i>Imiona:</i>	<i>Uwagi:</i>
1300—1280	Tiglathi-Nin (syn poprz.)	Wymieniony w geneal. tablicy. Zwany „zdobywcą Babilonu;“ Sennacheryb powiada, że ten podbój miał miejsce na 600 lat przed Chr.
1230—1210	Bel-kudur-uzur	Wzmiankowany w synchronistycznej tablicy jako poprzednik Nin-pal-zira.
1210—1190	Nin-pal-zira	} Imiona z cylindru Tiglath-Pilesera I.
1190—1170	Asshur-dayan I (syn poprz.)	
1170—1150	Mutaggil-Nebo (syn poprz.)	
1150—1130	Asshur-ris-ilim (syn poprz.)	
1130—1110	Tiglath-Pileser I (syn poprz.)	
1110—1090	Asshur-bil-kała (syn poprzedn.)	} Wzmiankowani w synchronistycznej tablicy. Data Tiglath-Pilesera I. obliczona podług Bawiajańskiego napisu. Daty innych królów są obliczone przypuszczalnie podług rachuby pokoleń, po 20 l.
1090—1070	Shamas-vul (brat poprz.)	
	Asshur-mazur	Wzmiankowany w napisie Shalmaneser'a II.
930—911	Asshur-dayan II	} Nieprzerwane następstwo królów od Asshur dayana II do Vul-lush'a III daje się udowodnić pomnikami z Kileh-Shergat i Nimrud. Dalsze 9 panowań wraz z imionami królów, znajdują się w świeżo odkrytym Assyryjskim Kanonie. Ostatni trzech są wzięci wyłącznie z Kanonu. Daty całej tej seryi są obliczone podług Kanonu Ptolemeusza, rachując wstecz po 20 lat od r. 680. jako daty wstąpienia na tron Esar-haddona (Asaridanus). Mogą być też one obliczone podług daty wielkiego zamięnienia.
911—889	Vul-lush II, (syn poprz.)	
889—883	Tiglathi-Nin II, (syn poprz.)	
883—858	Asshur-izir-pal (syn poprz.)	
858—823	Shalmaneser II (syn poprz.)	
823—810	Shamas-vul II (syn poprz.)	
810—781	Vul-lush III (syn poprz.)	
781—771	Shalmaneser III	
771—753	Asshur-dayan III	
753—745	Asshur-lush	

Najnowsza monarchia Herodota i Beroza.

<i>Daty:</i>	<i>Imiona:</i>	<i>Uwagi:</i>
745—727	Tiglath-Pileser II	} Daty, licząc wstecz od Esar-haddon, są oparte na Asyryjskim Kanonie. Zgadza się one ściśle z Kanonem Ptolemeusza. Ostatni rok Asshur-bani-pal'a jest najkompletniej niepewny i oznaczony tylko przypuszczalnie.
727—722	Shalmanaser IV	
722—705	Sargon	
705—681	Sennacherib (syn. poprzed.)	
681—668	Esar-haddon (syn. poprz.)	
668—626?	Asshur-bani-pal (syn. poprz.)	
626?—625?	Asshur-emid-ilin Saracus)	

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Józef Eötvös: pisarz i mąż stanu. Pierwsze prace: przekład z Goetego „Götz z Berlichingen.” Komedy oryginalne: „Krytycy,” „Wolni.” Tragedya: „Zemsta.” Przekład dramatu Wiktora Hugo: „Angelo”. Powieść „Kartuz.” Prace ekonomiczne: O reformie więzień; Pauperyzm w Irlandyi. Powieści: „Notaryusz wiejski;” „Węgrzy w r. 1415.” Komedia: „Niech żyje równość!” Wiersz pożegnalny. Wpływ panujących idei XIX wieku na państwo; tomów 2. Powieść: „Siostry.” Poezye: „Sierota.” „Spoczynek.” Eötvös jako minister oświecenia. — Spory o grobowiec Alexandra Dumasa. Obchód rocznicy jego skonu. Dziełko Janina o Dumasi. — Nowa publikacja Ludwika Fignier: „Nazajutrz po śmierci.—Wybory akademickie. Mowa Ksawerego Marmier: Lukrecyusz, Wirgili, Milton. Sąd profesora Nicolas o znaczeniu przekładów.—Dramat Dumasa syna: „La princesse Georges.”

W odradzających się społeczeństwach występują zawsze na widownię osobistości, w których skupia się myśl i dążność: słowem życie narodu. U Czechów, którzy na prawach języka i archeologii oparli belki budowy dźwigającej się z wiekowych zwalisk, Erben lingwista, erudyt, archeolog i poeta ludowy, był doskonałym wyrazem czasu swego.

Na innych prawach odradzał się naród węgierski, innych też potrzebował budowników. Węgrzy w ostatnich dwóch wiekach przechodzili ciężkie, a bardzo ciężkie próby, ale nie przeszli klęski jaka spotkała Czechów pod Białogórą w XVII w.; zachowali stan rycerski, a dodajmy że ich magnaci nawet nie przepomnieli swych obowiązków. To też kiedy wybiła godzina odrodzenia, u Czechów pierwszy prąd życia wyszedł z ludu; u Madiarów przeciwnie prąd ten wyszedł z wyższych warstw społeczeństwa. Stało się też głównym zagadnieniem, światło błyszczące na powierzchni sprowadzić do serca narodu, to jest: oświecić massy.

W obec tak gwałtownej potrzeby wystąpił znakomity mąż, madiar z rodu i z ducha, wykarmiony dziesięcio-wiekową trady-

cyą, łączącą naród madiarski z ludami Europy zachodniej. Był nim baron Eötwoes, zmarły równie jak Erben w roku zeszłym. Eötwoes, to jedna z tych wielkich osobistości, którą wydali Madziary, a której blask odbił się w całej Europie. Mąż ten rozumiał potrzeby czasu swego. Podnieść i ugodnić naród oświatą, zharmonizować go z ludami Europy—to było zadaniem jego życia. Temu zadaniu odpowiedział jak najgodniej.

Józef Eötwoes urodzony w Budzie r. 1813, pochodził z dawnej i zamożnej rodziny madiarskiej. Od dziecka uczył się wybornie; w miarę postępu rosła w nim miłość do nauk i do poważnej pracy. Nie miał więcej nad lat osmnaście, kiedy ukończył kurs prawa i filozofii; w dwudziestym złożył egzamen na adwokata.

Śmierć ojca w smutny sposób zmieniła położenie rodziny. Liczni wierzyciele rzucili się na pozostały majątek. Można było uratować znaczną część; przyjaciele radzili układy: młody Eötwoes oparł się temu stanowczo.

— Żadnych układów!—zawołał szlachetny młodzian—nie żądam ani szeląga z ojcowizny. Wystarczę sam sobie własną pracą!

Eötwoes dotrzymał słowa. Wytrwałą i niezmierną pracą wystarczył on, nie tylko na własne potrzeby, ale co więcej, na potrzeby dzwigającego się i odradzającego kraju.

Geniusz to praca—powiedział jeden z myślicieli. Jeżeli do kogo można zastosować te słowa, to do znakomitego pisarza i dostojnika madiarskiego. Praca połączona z wrodzoną zdolnością, położyła podwalinę tej wszechstronnej wiedzy, jaką spostrzegamy w najpierwszych nawet jego utworach literackich; w pracy mozolnej, codziennej czerpał Eötwoes siłę w ciągu długoletniego a tak trudnego zawodu, odkąd wystąpił na widownię już nie jako artysta, ale jako zapasnik idei narodowej.

Znał Eötwoes wartość czasu, nigdy nie tracił chwili. Od świtu do nocy nie wypuszczał z rąk pióra. Kiedy w późniejszych latach, lekarze ze względu na wątłe siły, radzili mu spoczynek, uśmiechał się słuchając ich napomnień.

— Praca—mówił—jest dla mnie wytechnieniem; ona karmi siły moje, lecz ich nie wyczerpuje!

Ta nadzwyczajna pracowitość, tłumaczy nam jakim sposobem Eötwoes mógł zebrać tyle skarbów wiedzy, i wykonać tyle ważnych dzieł na polu literackim i politycznym.

W młodzieńczych latach zamiłował szczególnie poetyczne utwory Goetego, i przez całe życie pozostał wiernym czcicielem mistrza. Wizerunek jego miał zawsze przed oczyma w swjej pracowni. On pierwszy dał popęd do położenia tablicy pamiątkowej na domu w Karlsbadzie, który Goete niegdyś zajmował. Od przekładu z Goetego rozpoczął on zawód swój literacki.

W roku 1830 mając lat siedemnaście, przełożył Eötwoes poemat: *Götz z Berlikingen*; wkrótce potem poprobował się w oryginalnej komedyi p. t. *Krytycy*. Później napisał tragedya: *Zemsta* i komedya: *Wolni*. W r. 1835 przetłumaczył dramat Wiktora Hugo: *Angelo* i wydał go ze znakomitym wstępem, który zwrócił powszechną uwagę. Te próby dwudziestoletniego młodziana, jakkolwiek mało znaczące gdy je postawimy obok późniejszych jego utworów, wielką miały wagę w stosunku do ówczesnej węgierskiej literatury. Ocenili je przewodcy ruchu umysłowego. Akademia nauk przysłała dyplom na członka młodemu autorowi, Towarzystwo literackie Kisfaludyh wezwało go niemniej do grona swego.

Literatura nie miała być jednak wyłącznym zajęciem Eötwoesa. Od r. 1833 pracował on w zawodzie prawniczym, najprzód jako wice-notaryusz w Stuhlweisenburgskim komitacie; we dwa lata potem przeszedł do nadwornej kancelaryi węgierskiej.

Spragniony wiedzy, czując jak wiele mu jeszcze niedostaje, porzucił wkrótce urząd i w roku 1836 puścił się na daleką podróż. Zwiedził kolejno Niemcy, Szwajcaryą, Holandya, Francya i Anglią. Dwuletnia ta wędrówka nadzwyczaj wzbogaciła młody umysł. Prace literackie Eötwoesa po powrocie do kraju, świadczą jak głęboko zbadał obce ziemie i ludy, jak dokładnie poznał ich stosunki społeczne i polityczne.

Wrócił do Węgier w r. 1838, w chwili kiedy wielki wylew Dunaju spustoszył Peszt i Budę. W liczbie dotkniętych klęską, księgarz Hackenast w Peszcie ogromne poniósł straty. Najpierwsi literaci węgierscy postanowili przyjść mu w pomoc, dostarczając artykułów do zbiorowej publikacji: *Ueber Schwemmungsbuch*. Najszacowniejszą perłą tego zbioru była powieść społeczna Józefa Eötwoesa p. t. *Kartuz*.

Rodzaj powieściowy nowym był zjawiskiem w ówczesnym węgierskim piśmiennictwie. Słabe jego próby napotykały tu dopiero w r. 1830, kiedy mnożąca się liczba czasopismów, przygotowała grunt do tej gałęzi literatury. Najpierwszy oryginalny romans węgierski prozą, wyszedł z pod pióra barona Josika w r. 1836. Romans ten p. t. *Abafi* gorące wywołał poklaski w Węgrzech. Po tak pomyślnej próbie, Josika wydawał coraz to nowe powieści, naśladowane bądź z Walterskotta, bądź z późniejszych romansistów francuzkich.

Eötwoes wystąpił samodzielnie. Wyższy nad Josikę twórczym talentem i naukowym wykształceniem, nie naśladował nikogo, lecz utorał w powieści nową dla siebie drogę. Pod formą autobiografii maluje życie Gustawa, młodego hrabiego francuzkiego, który skutkiem idealnego kierunku ducha, po niezliczonych cierpieniach i obłędach, trawiony rozpaczą, wpada w najsmutniejsze zwątpienie; chciałby życie zakończyć samobójstwem. Cofa się jednak przed tą myślą, lecz zrywa ze światem i ludźmi: zamyka się w klasztorze Kartuzów. Po najgwałtowniejszych wal-

kach duszy, znajduje nareszcie pokój w uznaniu: że życie rodzinne, w miłości, zgodzie i pracy pożytecznej, daje rzeczywiste szczęście na ziemi. Gustaw umiera ze skutków rany, odniesionej niegdyś w pojedynku z przyjacielem lat młodych.

Autor przeprowadził rzecz po mistrzowsku. Kreśli on charakterystykę serc ludzkich, jak głęboki psycholog. W oznaczeniu grup politycznych i społecznych okazuje bystrą przenikliwość przyszłego męża stanu. W obrazowaniu miejscowości prawdziwym jest poetą. Młody artysta-filozof rozbiera w powieści najżywotniejsze zagadnienia życia tak publicznego jak prywatnego: rodzinę i wychowanie, religią i wolność, wiarę i materializm. Utwór jego cały ożywiony ideą wysoko chrześcijańską; przenikniony na wskroś—jak mówi krytyk Erdelyi—, tą prawdziwą nauką mistrza z Nazaretu, który podaje duszy balsam ukojenia, i naucza świat przykazania miłości. Ludzkość bowiem pogrążona w zwątpieniu, samolubstwie i materializmie, potrzebuje otrząsnąć duszę z pyłu i zaczerpnąć w nią wyższego światła.”

Język powieści wzniosły, poetyczny; pod tym względem według uznania Madjarów, nie było dotąd nic równego w literaturze węgierskiej. Krytycy jednak, usprawiedliwiając przysłowie: *Nemo propheta in patria*, rzucili się na drobne niedostatki, szukali plam na słońcu. Niektórzy uważali w Kartuzie pierworodny płód nie wytrawnego jeszcze geniuszu: jak *Werter* Goetego, albo *Zbójcy* Schillera. Luni napadali na dzieło, że obraża estetyczne prawa powieści, tak samo jak estetycy niegdyś Niemiec i Angielcy, uderzali na *Fausta* i *Manfreda* za usterki przeciw dramatycznym przepisom. Kartuz tymczasem w przekładzie niemieckim Kleina, znajdował poza obrębem Węgier gorących a licznych czcicieli. Sąd cudzoziemców oddziałł na krytyków węgierskich. W miarę szerzącego się w narodzie światła, młody autor zdobywał w kraju gorących zwolenników. Znany historyk literatury węgierskiej Fr. Toldi, wysokie naznacza mu stanowisko. „Eötwoes—mówi on—łączy rozległą i wszechstronną naukę, ze zmysłem analitycznym, tak ważnym dla powieściopisarza. Rozbiera on wybornie wszelkie psychologiczne i społeczne zagadnienia. Umie połączyć bogatą fantazją z rozsądkiem praktycznym, podnoszącym rzeczywistość do ideału. Uczony, filozof i poeta, stapiają się w nim w najpiękniejszą jedność.”

Po powrocie z zagranicy Eötwoes objął urząd asesora sądowego w Preszowie, lecz zawód ten nie był mu odpowiednim.

W roku 1840 porzucił więc urzędowanie, przeniósł się do Budy i stałe tu zamieszkał. W parę lat potem pojął w małżeństwo Agnieszkę Rasti. Dobrany ten związek dał mu zakosztować całego uroku domowego szczęścia. Wzorowy mąż i ojciec, przy żonie i czworgu dziatkach, przepominał trosk zewnętrznych; w miłości ich czerpał siłę do bezustannej walki. W jednym z pozostałych po nim listów, widzimy wymowne świadectwo tego cichego szczęścia, jakiego używał w gronie rodziny. „Z wyją-

czaniem żony mojej i dzieci—pisze on—wszystkie niemal stosunki życia były dla mnie zatrute boleścią i goryczą.”

Rok 1840 stanowi przełom w życiu Eötwoesa. Dotąd znany był tylko jako utalentowany pisarz w dziedzinie literatury; nagle rozszerzył się przed nim widnokrąg: pod naciskiem zewnętrznych prądów, poeta, ideolog, wstępuje śmiało w szranki politycznych zapasów. Pole to zaszczytne, ale trudne i niebezpieczne. Nie uniknął Eötwoes losu wszystkich przewodców idei, którym dano wytykać nowe drogi narodom. Ziomkowie nie rozumieli go, pomawiali o zbytnią poetyczność. Trafnie on charakteryzuje swój los w liście do przyjaciela Dra Falka, redaktora Pester-Lloydu: „Dziwne przeznaczenie ciąży nad mojem politycznym działaniem! Stawiam zazwyczaj moje wnioski o kilka lat zawcześniej, wyśmiewają mnie też jako idealistę, i z lekceważeniem odkładają na bok moje przedstawienia. Po upływie lat kilku, uznają że miałem słusność; radziłyby urzeczywistnić moje plany; niestety... już zapóźno! świat poszedł naprzód, a ja muszę cieszyć się sławą *proroka*, za którą się wcale nie ubiegam, a za to wyrzec się imienia *polityka*, do czego mam może niejakię prawo.”

Od roku 1840, korzystając z przywilejów rodowych, Eötwoes zajął miejsce w Izbie wyższej: stanął po stronie opozycji. Z równą samodzielnością z jaką przebijal lody w powieściopisarstwie, toruje sobie własną drogę na polu zapasów politycznych. Mowy jego proste, jasne, wolne od pustych frazesów i metafor, poruszają umysły, chwytają za serca i nic dziwnego: każde jego słowo oparte na gruntownem przekonaniu, pełne uczucia, ożywione dowcipnym humorem. Mówca nieraz żartuje, ale nigdy nie szydzi; jeśli chłoszcze, to z gorącą miłością. Jeden z długoletnich słuchaczy tak określa te znakomite mowy: „W pierwszych pięciu lub sześciu okresach, Eötwoes daje chłodny szkic swęj argumentacji; w miarę jak się zagłębia w przedmiot, ożywia go ciepłem uczucia, opromienia blaskiem talentu. Posiada on w wysokim stopniu ów dar właściwy starożytnym oratorom, który Cycero zowie *elocwencyą postawy*. Dykcya klasyczna, żywa lecz umiarkowana gestykulacya, wywiera niesłychany urok; a kiedy mówca dochodzi do kulminacyjnego punktu, wtedy z czoła jego bije aureola natchnienia. Objawia się to zawsze ilekroć mówi o przyszłości narodu, jego oświacie, o zdobyczach ludzkiego ducha, o równości praw, o wychowaniu ludu.”

Jak wielki urok wywierał Eötwoes na słuchaczy, świadczy wydarzenie z roku 1843. W skutek obrad sejmowych powstał raz jednego nadwyzwyczajny zgiewk w Izbie niższej. Publiczność tłumnie zebrana w przyległej Izbie magnatów, słyszy wrzawę, rzuca się na gwałt ku drzwiom. Arcyksiążę palatyn aby zatrzymać tumult, zwywa Eötwoesa na katedrę. W sali rozlega się głuchy poszept: „Eötwoes mówi!”—powtarza jeden drugim, i następuje wielka cisza. Tłum zatrzymuje się w progu, każdy stoi jak w ziemię wryty; woli słyszcć ulubionego mówcę, niż

brać udział w demonstracji. Wybieg prezydenta udał się; słowo czarodzieja zażegnało burzę uliczną.

Eötwoes zazwyczaj improwizował mowy swoje; ztąd puryści węgierscy zarzucają mu niekiedy niepoprawność, wytykają liczne germanizmy. Niedołężny to zarzut. Minał czas retorycznych popisów: szło tu o rzecz a nie o pustą formę.

W rozprawach za to akademickich, równie bogatych treścią jak wytwornych stylem, okazał się Eötwoes biegłym szermierzem języka madiarskiego. Mowy jego na cześć zmarłych członków: Koleseya i innych są wzorem sztuki oratorskiej.

Mimo trudów parlamentarnego zawodu, nie porzucił on pióra. Biegły powieściopisarz okazał się niemniej mistrzowskim publicystą, jak pisarzem społecznym i politycznym. Jeszcze w r. 1838 ukazała się pierwsza jego praca w wydziale ekonomii: *O reformie więzień*, a w parę lat później w Przeglądzie Szalaya, znakomite studyum nad *Pauperyzmem w Irlandyi*.

Rozbudzone a raczej zrodzone w Węgrzech dziennikarstwo, otworzyło dla Eötwoesa nowe, szerokie pole. W początkach roku 1841, Kossut założył dziennik *Pesti Hirlap*: chwila ta stanowi epokę w współczesnych dziejach Węgier. W krótkim czasie *Pesti Hirlap* liczył 5,000 abonentów, więcej niż wszystkie razem inne madiarskie dzienniki. Przewódcy ruchu narodowego, za pomocą tego organu silnie wystąpili, nie tyle przeciw rządowi, jak raczej przeciw błędom i niedostatkom, w wewnętrznym zarządzie komitatów i w społecznym ustroju Węgier. Od roku 1844, Eötwoes ogłosił w tém piśmie szereg rozpraw, które zebrane później w całość, wyszły p. t. *Reform*, w języku madiarskim i niemieckim. Praca ta zyskała uznanie całego narodu. Dopełnił ją autor w r. 1847 nowym tomem p. t. *Teendöink* (nasze zadanie).

Mąż stanu, publicysta, nie opuszczał jednak niwy czysto literackiej. Przeciwnie, poruszając tę stronę, podpierał nią polityczne działania. Przykładał on rękę do serca narodu, wsłuchiwał się pilnie w jego tętno. „Sharmonizował w sobie najpiękniej—jak mówi jeden z krytyków—poetę z reformatorem politycznym.”

W r. 1845 wydał sławną trytomową powieść p. t. *Notaryusz wiejski*. Stawia on tu przed oczyma czytelnika, w pasmie poruszających zdarzeń, słabości i niedostatki ustawy komitatowej w obec szlacheckich przywilejów. Najsmutniejsze prawdy, przybrane w formę powieściową, do żywego poruszyły naród. *Notaryusz* niesłychanie miał powodzenie. Tłumaczono go na różne języki; znany także w przekładzie polskim.

W kilka lat później ukazała się nowa jego powieść p. t. *Węgry w r. 1514*. Autor pragnął za pomocą powieści historycznej, zpopularyzować dzieje na rzecz społecznych reform. Kreśli on przerażający obraz wojny chłopskiej pod przewodztwem Dozza; wydobywa na jaw najsmutniejsze skutki okrucieństwa panów, doprowadzające lud do rozpacz. Przykładem historycznym, wy-

kazuje konieczność reform, porusza sumienie narodowe. Poddaństwo jak wiadomo, istniało w Węgrzech do roku 1848.

Obok ważności tendencyjnej, powieść ta niepospolite ma zalety pod względem estetycznym. Autor nie lubuje się w krwawych opisach, nie wchodzi w szczegóły wstretne dla myśli ludzkiej, ale szerokim pędzlem szkicuje smutny obraz spustoszonego kraju i uwydatnia okropny stan ludu wieśniaczego. Charaktery skreślone po mistrzowsku; dramat rozwija się potężnie, z przeciwstawienia dwóch sił walczących z sobą. Obrazy pełne barwy, ponura ich strona, ożywiona niekiedy humorem, co im nadaje niesłychaną żywotność.

Do tendencyjnych utworów Eötwoesa, należy także komedia napisana w roku 1844. W wyborniej tej sztuce p. t.: *Niech żyje równość!* autor chłoszcze dowcipnie niedowarzonych bohaterów, nazwanych przezem *gebaczami liberalizmu*. Tu w pełnej sile objawił humorystyczną werwę, cechującą bogaty jego umysł. „Tak w literaturze, jak i w politycznym zawodzie—mówi Csengeri— a nawet i w potocznym życiu, humor nigdy nie opuszczał Eötwoesa.”

Nastąpił rok 1848. W dniu 15 marca mianowane zostało odpowiedzialne węgierskie ministeryum. Baron Eötwoes otrzymał tekę wyznań i oświecenia. Nie były to czasy do przeprowadzania spokojnych reform w wychowaniu publicznym. Nowy mianista jednak czynił co mógł, przybrawszy do pomocy grono uczonych mężów. Najważniejszym czynem jego ministerstwa, był plan nowej ustawy dla szkół ludowych. Plan ten przyjęty w Izbie Niższej, odrzucony został w Izbie magnatów. Wkrótce potem Eötwoes ustąpił z politycznej widowni: po zamordowaniu hr. Lemberga na moście, 23 września 1848 r. złożył tekę ministra i wyjechał do Monachium. Krok ten źle był widzianym. Eötwoes usprawiedliwia się z niego w jednym piśmie: „Wśród takich okoliczności—mówi on—czuję się zupełnie bezpożytecznym. Mnie niebo nie stworzyło do podobnych działań. Chociażby mi świecił najpiękniejszy cel, nie zdołam nigdy przepomnieć o cierpieniach jednostek; co więcej, przekonany jestem, że siła materialna na której opiera się każdy przewrót, nie jest dla rodu ludzkiego rzeczywiście drogą postępu.”

Trzy lata przebywał Eötwoes po za obrębem Węgier. Wrócił do kraju w roku 1851. Żył tu wówczas tak samo jak w Monachium, zupełnie oderwany od świata, wyłącznie oddany pracom literackim i rodzinie. Willa Eötwoes na Schwabenbergu w bliskości Budy, stała się dla ziomeków pięknym wzorem miłości rodziny i wytrwałej pracy, w ciszy i głębokim skupieniu ducha.

Pierwszym owocem tej kilkoletniej pracy tak w Monachium jak w Budzie, była broszura o *równouprawnieniu narodowym w Austrii*, wydana w roku 1850 (powtórnie w 1865); broszura ta obudziła niesłychany ruch w całym państwie. Po niej wydał Eötwoes

es znakomite dzieło w języku niemieckim i madiarskim p. t.: *Wpływ panujących idei dziewiętnastego wieku na państwo* (2 tomy, 1851 r.).

Ostatnie to dzieło otwiera nową erę w literaturze madiarskiej. Dotychczasowe plody politycznego piśmiennictwa w Węgrzech, jak prace Szecheny'ego, Wesseleny'ego, a nawet samego Eötwoesa, zajmują się w szczególności pytaniami dotyczącymi wewnętrznego stanu Węgier. Nowa publikacja zalecająca się wysokim poglądem na stan Europy, ze stanowiska historycznego i filozoficznego, wybiega za ciasne koło spraw miejscowych, a staje się ważnym przyczynkiem do powszechnej literatury. Zrozumieli znaczenie tej pracy uczeni europejscy i przyklasnęli jej gorąco. Professor francuzki Labouley, stawia ją wyżej nad dzieła Stuarta Mill i Wilhelma Humboldta; szwajcarski zaś professor Bluntschli w swej *Historii prawa politycznego*, oddaje autorowi najszczytniejsze świadectwo, w imię uczonych Niemiec.

W Węgrzech tymczasem dzieło tak wielkiej wagi, nie znalazło zasłużonego uznania. Niema o niém wzmianki w podręczniku literatury Fr. Toldego, wydanym w 1865 roku, gdzie na 25 stronicach autor zdaje sprawę z mnóstwa politycznych broszur bez wartości. Nowy dowód jak trudno być prorokiem w własnej ojczyźnie.

Głównem ogniskiem naukowego ruchu w Węgrzech była Akademia Nauk założona w roku 1828 przez Szecheny'ego. Czynności naukowego ciała wstrzymane od lat kilku, weszły w ruch po roku 1850. Przy tém ognisku zbiegły się najcześniejsze stronnictwa złączone wspólną miłością wiedzy i myślą naukową. Dowodem tego skupienia się żywiołów, był obiór na prezesa akademii hr. Emila Desewffy, a na vice-prezesa barona Eötwoesa, jego zaciepnego niegdyś przeciwnika politycznego. Nie zmąciło to przecież zgody w uczonem gronie; dowód wysokiej dojrzałości umysłowej. W kilka lat potem Eötwoes zajął krzesło prezydenckie po zgonie poprzednika, którego zasługi uczcił słynną mową akademicką.

Przy takim nawale wszechstronnych prac nie zaniedbał on jednak pięknej literatury. W roku 1857 wydał doskonałą powieść p. t. *Siostry*, nie ustępującą w wartości Notaryuszowi, tłumaczoną również na kilka zagranicznych języków. Ogłosił także mały lecz wysoko ceniony zbiór poezyi w *Almanachu Remeny* (nadzieja): w następnym zaś roku mniejszy zbiorek: *Opowiadania*. Poezyc Eötwoesa pełne uczucia i wzniosłej myśli, owiane smętnym urokiem, przenikają głęboko duszę. Są to po większej części obrazki brane z natury lub piosenki liryczne, prostotą i wdziękiem przypominające dumki ludu. Dwie z nich dajemy w przekładzie:

S I E R O T A.

Północ bije na wieży,
Któż to chyłkiem tak bieży

W pomrok głuchy i czarny,
Po murawie cmentarnej?

To sierotka, to dziecię;
Złe samemu na świecie,
Więc podąża co siły
Do matczynej mogiły.

Siadł na grobie i płacze.
— „Niech cię jeszcze zobaczę,
Powstań matko jedyna:
Wyrzecz słówko do syna!

„Odkąd wzięli cię z domu,
Ni pozalić się komu;
Kto sierotę popieści?
Kto ukoj w boleści?

„I kto powie mi słodko:
— „Ja cię Kocham sierotko!”
Z wygasłego ogniska,
Ni płomyczek nie błyska!

„Lepiej spocząłby w grobie
Pod krzyżykiem przy tobie,
W chacie pustka i biada,
Kęsa chleba nikt nie da!”

—
Długo sili się, długo,
Lzy pocięły mu strugą;
Ciche skargi wiatr niesie
Po rozdolach, po lesie.

Dziecku zimno, drży cały,
W szron mu łezki stężały;
Skargi coraz brzmia ciszej:
Wiatr je ledwie dosłyszy.

I zamilknął grobowo,
Lodem zmarzło mu słowo;
Ledwie iskra tli w duszy
A śnieg pruszy i pruszy.

Radby powstał... nie może,
Brak mu siły... mój Boże!
Nadaremno trze oczy,
Na grób cicho się stoczy.

Jak mu dobrze, jak słodko!
 Spocznij biedny sierotko;
 Grób go tuli do łona,
 Jakby matka rodzona!

Na wskroś zbiegły go dreszcze,
 I uśmiechnął się jeszcze;
 I zamrużył powieki:
 Zasnął cicho... na wieki!

S P O C Z Y N E K.

Do stóp krzyża, pielgrzym stary
 Zwolna dowlókł krok,
 Siadł, spokojnie na obszary
 Zgasły rzucił wzrok.

Jak on szermierz walk świadomy
 Gdy zakończy bój,
 Na wierzchołku baszty stromej
 Zatkwi sztandar swój.

Tak na bladém starca czole
 Jego Anioł Stróż,
 Za przetrwane życia bóle
 Zatknał sztandar już.

On w tej chacie upowitéj
 W olch cienisty mrok,
 Piołunowej czary syty
 Wlókł za rokiem rok.

Oko starca patrzy śmiało,
 Przez tumany chmur;
 Widzi przeszłość skamieniałą
 Jak warowny mur.

—„Dzięki — rzecze — Tobie Boże,
 Dziś mi w sercu lżej,
 Już boleści ostre noże
 Nie tkną piersi méj.

Wszyscy moi ukochani
 Poszli w cichy grób,
 Mego serca już nie zrani
 Pocisk nowych prób!

Jak bezlistny dąb bez trwogi
 Patrzę w odmet burz;
 Zwiął mi liście wiatr złowrogi,
 Cóż mi weźmie już!

Patrzy w głębie własnej duszy
 W przedgrobowym śnie,
 Ani radość jej nie wzruszy,
 Ani boleść tknie.

Milczy starzec sam na świecie,
 Jak na grobie sęp;
 W tém przybieży drobne dziecię
 Do pielgrzyma stóp.

Pacholęcia lica hoże,
 Słodko głosik brzmi:
 — „Dziadku — rzecze — w Imię Boże
 Pobłogosław mi!

„Krzyżyk szczęście mi przyniesie,
 Nim zapadnie noc;
 Niech dla matki zbiorę w lesie
 Słodkich jagód moc.

„Ja pielgrzymie tobie za to
 Tę róż wiązke dam,
 W mym ogródku je przez lato
 Podlęwałem sam!”

Na bieluchném dziecka czole
 Kładzie starzec dłoń,
 I odbiegło w lot pachole
 Przez kwięcistą błon.

Siedzi pielgrzym oniemiały,
 Patrzy w wiązke róż;
 W jego piersi zaszumiały
 Skrzydła zmiłkłych burz.

W myśli błysły jasne chwile
 Rozbudzone znów;
 Marzeń tyle, bólów tyle,
 Tyle słodkich snów!

Mimo śniegów tych nad głową,
 Mimo czoła bruzd,
 Słyszcy jakieś drzące słowo
 Z koralowych ust.

Z cicha oczy wzniosł ku górze,
 W pomoc niebo zwie;
 I upadły drząc, na róże
 Krople rosy dwie.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat, sprawy publiczne pochłoneły życie Eötvöesa. Milknie artysta, przemawia tylko mąż stanu. W roku 1858, patrząc na zgubny systemat Bacha, pisze broszurę *Gwarancje potęgi i jedności państwa austriackiego*, podaje w niej plany i reformy. Odrzucono je zrazu, przyjęto po dwóch latach; lecz było już za późno. Nadszedł pamiętny sejm węgierski 1861r., pierwszy po dwunastoletniej przerwie parlamentarnej. Eötvöes występuje na widownię obok Deaka, przyjmuje mandat na deputowanego miasta Budy. Mowy jego działają silnie na ziomków i potężnie przyczyniają się do tej jedności, jakiej naród dał piękny przykład w ciągu kilkoletniego przesilenia.

Eötvöes w połowie roku 1865 zakłada tygodnik polityczny *Politikai Hetilap*, gromadzi koło siebie grono najzdolniejszych pisarzy i publicystów jak doktor Max Falk, Csengery, Toldi, Szilagi i t. p. Główną wartość nadają piśmie artykuły kreślone jego piórem.

Nadszedł rok 1866: działa Sadowy odbiły się w stariej Budzie; nagłe wypadki zmieniły do gruntu stan Węgier. W nowo otworzonym ministerstwie węgierskim, Eötvöes po raz drugi przyjął tękę ministra wyznań i oświecenia.

Nie kwapił się bynajmniej z przyjęciem tej godności; przeciwnie nawet, lękał się brzemienia, zbyt ciężkiego jak mniemał, na jego barki. W końcu 1866 roku, dr. Falk w liście pisanym z Wiednia, napomknął mu o tece; oto wyjątek z odpowiedzi Eötvöesa.

„Co mi piszesz o ministerstwie mojem, to się dzięki Bogu nie spełniło i mam nadzieję że długo się nie spełni. Wielu, a z nimi i sam cesarz mniema że jestem marzycielem. Niechże więc tak przejdę przez życie, a niechaj po śmierci mojej powiedzą, że marzenia moje urzeczywistnione zostały. Im bardziej się starzeję, im zimniejszemu patrzę na siebie okiem, tém silniejszego nabieram przekonania, że przeciwnicy moi ze względu na publiczne dobro, zjedną sobie zasługę usuwając mnie z widowni politycznej. Jam jeden z tych, którzy na to stworzeni aby iść po przedzie, ale tylko na polu idei a nie czynów.”

Tém wyrzeczeniem Eötvöes trafnie scharakteryzował działalność swoją na stanowisku ministra. Zobaczmy jak go określa jeden z biograffów, professor Schwicker: „Myślą szedł zawsze na przód, czynem pozostawał w tyle. Prawdziwa to Hamletowska natura! Umysł jego czynny, wzniosły, badawczy z jednej myśli przebiegał na drugą. Orlim lotem wzbijał się w górę, i z wyżyn poezyi ogarniał ścieżki powszedniego życia; ale kiedy mu przyszło dotknąć się skrzydłem ziemi, wówczas każdy pagórek był w jego

oczach wielkim, nieprzebytym jak Cimboraso. Mąż śmiały, eurgiczny w dziedzinie myśli, w zetknięciu z rzeczywistością, stawał się niepewnym, chwiejnym, nieufnym w własną nawet ideę. Tak długo zwano go idealistą, marzycielem, że musiał w to uwierzyć. A jednak byłby doskonałym ministrem oświecenia, gdyby piastował tękę w jakieś lat dwadzieścia później, lub gdyby przynajmniej miał w okolo siebie ludzi zdolnych iść za wzniosłym poiotem jego myśli i nadać im kształty praktyczne, dotykające. Takich ludzi nie znalazł; przeciwnie spotykał na drodze bezustanne a częstokroć nieprzebyte zapory."

Nie sądzimy jednak aby praca ministra nie wydała obfitych plonów. Jeśli te plony zmierzmy w stosunku do rozległych jego pomysłów, wydadzą się ubogie; jeżeli zaś postawimy je w obec trudności jakie wciąż przełamywał, w obec ciernisk, przez które przedierał się w ciągu lat czterech, musimy przyznać tym plonom znakomitą doniosłość. Wystarczy ich na posiew dla przyszłości.

Obliczmy pobieżnie te czteroletnie prace. Eötwoes pilnym okiem śledzi ruch objawiający się w reformach szkolnych i uniwersyteckich całej oświeconej Europy. Zwiedza w tym celu Szwajcaryą, poznaje wzorowe jej urządzenia. Najpilniejszą uwagę zwraca na szkółki wieśniaczego ludu; zakłada je po całych Węgrzech, ściąga do siebie nauczycieli wiejskich, odbywa z nimi narady, popiera stowarzyszenia pedagogiczne i kielkujące ich dziennikarstwo; słowem, działa bez spoczynku, ożywiony gorącym pragnieniem powszechnego dobra.

Zawistni tymczasem lub zbyt zarliwi napadają wciąż na ministra, szarpiają go ciągłymi pociskami. Eötwoes nie zryma się na te napaści, niekiedy dziękuje nawet za nie. „Przedewszystkiem — powtarzał — lubię prawdę, chcę by mi ją mówiono bez ogródki!”

W polityce gorącym był zwolennikiem gabinetu Andrassego. Zawołany orator staczał bez ustanku parlamentarne walki; przemawiał za siebie i za drugich. Przy sporach nad budżetem na rok 1870, przez dni szesnaście z rzędu narażony na najgwałtowniejsze pociski sam jeden stawał im czoło. Ta zacięta szermierka podkopała wątłe z natury zdrowie. Po ostatnim tryumfie parlamentarnym, minister upadł na ulicy.

Odtąd nie przyszedł już do zdrowia; kuracya w Karlsbadzie nie przyniosła mu ulgi. Mimo to pracował do ostatku. Na krótko przed śmiercią nakreślił ważne sprawozdanie ze stanu szkółek ludowych w Węgrzech. Z początkiem roku 1871, choroba przybrała groźny charakter płucowy. Umarł 2-go lutego tegoż roku.

Naród dotkliwie uczył stratę; wszystkie warstwy społeczeństwa tak w stolicy jak w całym kraju, okazały boleść głęboką. Król w te słowa napisał do wdowy po Eötwoesie. „Kiedy ojczyzna opłakuje w zmarłym wiernego i znakomitego syna, jednego z najlepszych i mnie przejmuje też głęboki żal; utraciłem w nim bowiem wiernego i mądrego doradcę!” Królowa przybywszy wiosną

do stolicy odwiedziła smutną wdowę; prosiła ją o ukazanie skromnej pracowni nieboszczyka.

Eötwoes świeci blaskiem pierwszorzędnej gwiazdy na literackim widnokregu Węgier; z wyjątkiem Kölcsey'a, nikt w Węgrzech, jak utrzymują ziomkowie, nie posiadał takiej zdolności krasomówczej. Bogactwem myśli, wszechstronnym wykształceniem europejskim, przewyższa on wszystkich pisarzy współczesnych swego kraju. Zaden z nich nie zasiłił literatury węgierskiej, takim bogactwem nowych pojęć. Przytaczamy tu słowa Falka, jako wybornie charakteryzujące tę samodzielną osobistość. „Eötwoes należał do tych niepospolitych umysłów, które odzwierciadlają w sobie świat wewnętrzny. W każdym czy to wielkim, czy najdrobniejszym nawet jego utworze, odbija ten światek (microcosmos), ściśnięty niekiedy do maleńkich rozmiarów, lecz zawsze ten sam, zawsze pełny i cały.”

Miłośnik aforyzmów, zbierał Eötwoes te drogie perły wybiegłe z pod pióra największych myślicieli wszystkich ludów i wieków. Wydał je w osobnym dziełku p. t. *Antologia myśli*. Za godło wziął słowa z listu matki własnej: „Nie dawaj nigdy przystępu takiej myśli, której sprzeciwia się serce twoje!” Godło to przewodniczyło mu w całym życiu.

Postać Eötwoesa harmonijnie odpowiadała wewnętrznemu usposobieniu jego ducha. Rysy oblicza nie uderzały zrazu, ich wyraz był mdły i zmęczony; patrząc na przygasłe jego oczy, rzekłby kto że spędził noc bezsenną; ale skoro przedmiot rozmowy potracił o najwyższe zagadnienia ludzkości albo kraju, rysy ożywiały się nagle, ciemne oko połyskiwało żarem, z czoła tryskała aureola natchnienia.

Doktor Falk współnik prac i długoletni przyjaciel, napisał obszerny życiorys Eötwoesa, tworzący osobne dzieło, wzbogacony jego własnoręcznymi listami.

„Eötwoes — mówi Falk — nie miał tej nadzwyczajnej energii, bez której nie dano człowiekowi dokonać wielkich czynów. Tkliwe jego serce, charakter łagodny, pojednawczy, wysoko rozwinięte uczucie ludzkości; wszystko to powstrzymywało go, ilekroć potrzeba było iść na przeboj. Był to jednak mąż stanu, w najlepszym, najszlachetniejszym znaczeniu słowa. Nie dosyć że czytał dzieje, lecz badał je do gruntu, a wydobywał z nich mądrość, umiał trafnie zastosowywać, i to wówczas, kiedy drudzy przeczuć jej nawet nie umieli.”

Rok temu pisaliśmy o skonie Aleksandra Dumasa, zmarłego w Puy pod Dieppe, w chwilach kiedy Paryż najcięższe przechodził próby. Syn przewiózł zwłoki ojca do rodzinnego miasta Villers-Cotterets, i pogrzebał je na tamtejszym cmentarzu, w cieniu tych lasów, których szum wykołysał wielkiego artystę. Zam-

knięty Paryż nie mógł dopominać się wówczas o te zwłoki; później jednak, ochłodnawszy z tyłu bolesnych wstrząśnień, dopominał się o nie gorąco. Twórca *Henryka III* i *Krystyny*, śmiały gladiator, który na arenie paryżkiej stoczył zwyciężki bój: nie z Kornelem i Rasynem, ale z niedołęźnymi ich naśladowcami; zawołany ten gladiator, pogromca klasycznej maniery, nie miałże prawa zwać się paryżaninem? ażali Paryż nie ma prawa do jego trumny? nie powinienże pomieścić jej ze czcią obok prochów Balzaka, Souillego, de Vigny, Musseta, Rodiera i tyłu innych koryfeuszów nowej szkoły?

Odwołano się do syna.

— Ojciec mój należy do narodu— odpowiedział syn. Zrzekam się woli własnej. Niech współcześni postąpią z drogą mi trumną, jakby mnie na świecie nie było.

Paryż nie wątpił już o zwycięztwie, dzienniki jeły zapowiadać wspaniały pogrzeb Dumasa, na cmentarzu Père Lachaise, w rocznicę jego śmierci. Aż oto nagle miasto Villers-Cotterets, nadsyła adres podpisany tysiącami imion z prośbą, aby drogie zwłoki pozostały przy kolebce ojczystej. Trzeba było poszanować wolę miasta, które na poparcie praw swoich przypomniało, że zwłoki Chateaubrianda leżą pod St. Malo na skale Grand-Be, że Lamartine spoczywa w St. Point. Paryż musiał ustąpić w obec idei decentralistycznej, tak silnie dziś dobijającej się o swe prawa, że niemi ogarnia nawet groby!

Zamiast pogrzebu, w rocznicę śmierci 2 grudnia, Paryżanie wyprawili żałobne nabożeństwo, za pokój duszy ulubionego pisarza. W teatrze Gaité w tymże dniu, artyści dramatyczni urządzili widowisko, z którego dochód przeznaczono na pomnik. Towarzystwa literackie i dramatyczne, zajmują się gorliwie zbieraniem składek w tymże celu.

Dyrekcya teatru Gaité na parę tygodni przed tém, ogłosiła konkurs na wiersz poświęcony pamięci Dumasa. Otrzymał nagrodę młody poeta Delair. Ułożył on dramatyczny obrazek wierszem, p. t.: *Hold Dumasowi*. Występują w nim osoby z najsłynniejszych dramatów i powieści zmarłego: bohater muszkietierów d'Artagnan, panna de Belle-Isle, symboliczne postaci dramatu i komedyi, i t. p. Nad wszystkiemi góruje *Francya* w długiej żałobnej szacie, osłonięta wdowim welonem.

Rzecz kończy się apoteozą, to jest uwieńczeniem posągu. Każda z postaci symbolicznych, składa wieniec z kwiatów na głowie mistrza. *Francya* ostatnia kładzie mu wieniec złoty. Oto dwa maleńkie ustępy z jej monologu:

Gdzie spojrzę, duchy zmarłych tak roją się tłumnie!
 Oko me znów na drogiej dziś spoczywa trumnie;
 Piorun Boży na czole wypalił mi piętno,
 Błada Niobe za dziećmi płacząc z duszą smętną;

Gdy burza tak nad krajem szalała zawzięcie,
I tyś mój pierworodny runął w tym odnęcie!

Daléj! co tchu do dzieła! wstańcie legiony,
Rzucajcie nowy posiew na nowe zagony;
Czciciele ideału, nauki szermierze,
Wam, na wiedzy obszarach, krajać bruzdy świeże.
Naprzód z piersią przeczystym ogniem rozgorzała,
W szeroki szlak przyszłości prowadźcie mnie śmiało,
Dzwoncie w trąby... na dźwięk ich zapory niech pękną,
Jak niegdyś oje wasi, uczynicie mnie piękną,
I wielką, i niezłomną, rozpalcie mi lica
Płomieniem geniuszu, co ludom przyświeca;
Niech świat powie: koronę wróg odarł z jej czoła,
Lecz płomień na tém czole, kto zagasić zdoła?

Oprócz poemaciku p. Delair, artyści odegrali dwa akta z najcenniejszych utworów zmarłego: 2gi akt dramatu *Antony* i Iszy dramatu: „*Karol VII u wielkich Wassalów*.”

Ostatni ten dramat nie znalazł zwolenników przed laty trzydziestu kilku, kiedy go poraz pierwszy przedstawiono. Ogół wtedy przyjął go chłodno, znać nie dorosł poety.

Posłuchajmy co mówi syn Dumas, o tym znakomitym utworze:

„Zachowałem ja wspomnienie z lat dziecinnych, wyborny antidot na zarozumiałość młodzieńczą. Mówię o pierwszym przedstawieniu *Karola VII*, w Odeonie. Wielki był ścisk. Miałem wtedy lat ośm; słuchałem pilnie, *bo papa to napisał*; nie rozumiałem nic, rzecz prosta. Chciałeś ojcze abym uczestniczył w tej uroczystości, mniemałeś, że przyniosę ci szczęście! Omyliłeś się bardzo. Publiczność w głuchém milczeniu wysłuchała 5 aktów. Po rozkiełznaniu romantyczném, utwór pełen prostoty i trzeźwości, nie był jeszcze na dobie.

„Powracaliśmy sami. Ty prowadziłeś mnie za rękę, ja drepiałem u boku twego, zbierając kroki by podążyć za tobą, milezałeś, i ja też nie śmiałem wyrzec słowa. Ilekroć odtąd przechodzę nad Sekwaną, koło tego instytutu, który nie miał dla ciebie otworzyć progów swoich, zda się, że widzę odbite na murze dwa cienie nasze, w tym samym stosunku, w jakim tej nocy pamiętnej, odbił je księżyc w pełni. Ilekroć też wracam z przedstawień sztuk moich, obsypany grzotem oklasków, stawa mi zawsze w myśli, ta głucha sala, i ten milezący powrót wśród pustych ulic. A kiedy przyjaciele wystawiają głośno mój utwór, ja szepczę sobie w duchu: „Może być, wolałbym jednak utworzyć Karola VII-go, którego nikt nie chwalił!”

Dzisiejsza publiczność paryzka przyjęła z gorącym poklaskiem akt Iszy Karola VII. Jestto jeden z najpiękniejszych utworów dramatycznych Dumasa.

Do wieńców grobowych, jakie Paryż sypie dziś na grobie ulubieńca swego, piękną wiązkę dorzucił Julian Janin, dziełkiem: O znaczeniu w literaturze Aleksandra Dumasa. Sławny krytyk z Debatów, wysoko podnosi jego twórczy geniusz. W powieści zowie go francuzkim Cerwantesem, przyrównyując Muszkietarów do Don Quichota; w dramacie stawia go obok Wiktora Hugo. Przypomina gorącą przyjaźń, jaka łączyła dwóch tytanów romantycznej literatury; przytacza wiersz Huga poświęcony Dumasowi w podziękę za przypisaną mu komedję. Dajemy w przekładzie ten wiersz skreślony na wyspie Guernsey.

Dzięk! ach dzięki temu, kto obrócił głowę
 Ku tym brzegom spowitym w całuny grobowe,
 Kto oddał ze swój skroni błyszczącej koroną,
 Widmu nie obecnego gałązkę zieloną;
 Kto niesie na ofiarę wśród tryumfów chwały
 Żywy dramat, tragedyi z bólu skamieniałej.
 Pomnę ja przyjacielu, te szczęśliwe czasy
 Kiedy młodzi szermierze biegliśmy w zapasy
 Do celu, silni wiarą, w miłości i zgodzie...
 Pomnę dzień, kiedy łódka plusnęła po wodzie, —
 Godzina pożegnania boleśnie uderza,
 Parowiec czarnym dymem bucha u wybrzeża;
 Pomnę długi, gorący nasz uścisk, w ostatku
 Wyrrywam się z twych objęć, już stoję na statku:
 Koła zaturkotały. „Bądź zdrów!“ wołam jeszcze,
 „Bądź zdrów!“ wołasz od brzegu, i słowa złowieszcze
 Wiatr żałobnemi skrzydły roztrąca po fali,
 A gdy statek pomyka wciąż dalej a dalej,
 Niby struny stargane dwóch rozbitych lutni,
 Brzmia słowa pożegnania, coraz rzewniej, smutniej,
 I zmilkły: pogwizd pary drzący dźwięk ich głuszy,
 Ale widzimy się jeszcze, a dusza ku duszy
 Biegnie, parta miłości niezwalczoną mocą,
 A statek wciąż ucieka, a fale pluskocą,
 Ziemia znika i znika... nie sięgną jej wzrokiem,
 I mgła się rozpostarła po morzu szerokiem,
 Między nami widnokrąg bez brzegu, bez końca,
 Ty powracasz do pracy i promieniem słońca
 Skąpane twoje czoło, — dla mnie w nocy czarnej
 Tylko boleśń wygnania... tylko mrok cmentarny!

Na zakończenie rozprawy, świetny akademik powtarza słowa Dumasa syna, wyrzeczone przed kilku laty w przedmowie do swoich komedyj. Nikt według Janina, nie określił lepiej niż syn, olbrzymich prac i geniuszu tego niezmordowanego atlety. Przytaczamy ten piękny ustęp:

„Pod niebem Ameryki, z wrzącej krwi afrykańskiej, zrodził się ten, którego ojciec, miałeś nazwać twym ojcem; on dzielny żoł-

nierz republiki, który z dwudziestu ludźmi, obronił w Tyrolu most Brixen, przeciw ogromnej sile. Rzym byłby go zaszczycił tryumfem: Francya odmówiła szkoły synowi, a ten syn wychowany w głębi lasów, na słońcu i na wietrze, pchały siłą geniuszu swego, rzucił się na wielkie miasto i wkroczył zwycięzko w szranki literatury, jak ojciec jego wkraczał w szeregi nieprzyjaciół, rozpychając i waląc zapory spotykane po drodze. Wówczas rozpoczął tę pracę tytaniczną, którą od lat czterdziestu prowadzisz tak wytrwale. Płomienny mózg twój pochłonął wszystko: tragedję, dramat, historję, powieść, podróż, komedję, i przetopił na własną modłę, i wycisnął na nich własne piętno. Rzuciłeś w świat tysiące typów, stworzonych bogatą wyobraźnią. Ciasne formy dziennika i teatru, pękały pod naciskiem bark twoich, dostrajając się do ich miary. Karmiłeś Francję, Europę, Amerykę, wzbogaciłeś księgarzy i tłumaczy. Pożerany twórczą potęgą, nie zawsze może wybierałeś metal drogocenny, i rzucałeś w ognisko wszystko, cokolwiek podpadło ci pod rękę. Ale co w tej mięszaninie było twego, zlewało się w twardej spiz; reszta ulatała z dymem, i zniknęła w powietrzu!

„Niekiedy składałeś ciężki młot na kowadle, i nowy Cyklop, siadałeś na progu twój płomienistej grotty; spracowaną ręką ocierałeś pot z czoła, i z uśmiechem patrzyłeś w gwiazdziste niebo. Niekiedy znów, stęskniony nowych wrażeń, wybiegałeś w świat: to na burzliwą przestrzeń oceanu, to na szczyt Kaukazu albo Etny, a czerpnąwszy w pierś nowego powietrza, wracałeś do olbrzymiej kuźnicy, rozpalając ognisko, i tłumy przyklaskiwały pracy twojej, oczarowane tym wdziękiem, tą prostotą geniuszu, tą niesłychaną potęgą twórczej siły i wyobraźni.

„Ale przyszedł dzień, że te tłumy bezmyślne i niewdzięczne, odwróciły oczy w inną stronę. Ty dałeś im zbyt wiele; zapragnęły nowego. My dzieci tymczasem odrosliśmy od ziemi. Tłumy spojrzały na nas. Możesz kiedy posłyszał rzucone na wiatr słowo: „Syn więcej ma od niego talentu!“

„Mogłeś ojczyźnie zaśmiać się z takich sądów.

„Lecz nie, ty się nie śmiałeś! ty byłeś dumny i szczęśliwy! Pragnąłeś wierzyć... kto wie... może nawet uwierzyłeś bezmyślnym sądom. Ty zarówno wielki jak dobry, byłeś gotów oddać mi wszystkie promienie twego czoła, wszystkie winęce twój chwaliły. O! pozwól mi, niech pochylę głowę przed tobą, niech ci złożę ten hołd w obec świata, niech cię uścisnę gorąco, serdecznie przed obliczem przyszłości. Wolno drugim mierzyć się zuchwale z tobą, wolno im karcić się złudzeniem. Co do mnie, chcę aby potomność, która ujrzy nasze imiona skreślone kiedyś obok siebie, w obrazie tego wieku, chcę aby widziała tą potomność, że dla mnie byłeś zawsze ojcem, przyjacielem i mistrzem, że ja przebywając obok ciebie, miałem tę wielką korzyść nad innymi, iż nie śmiałem nad miarę podnosić zasług moich, iż w własnych oczach by-

łem zawsze dzieciuchem, zmuszony patrzeć na rozmiary ojca olbrzymia!"

Szczęśliwy ojciec, który z ust syna takie odebrał świadectwo, szczęśliwy syn, który chciał i umiał tak godnie uczcić zasługi ojca!

Ktokolwiek zajmuje się literaturą francuzką, napotyka co chwila imię Ludwika Figuiera. Niezmordowany ten pracownik nie małą położył zasługę, sprowadzając naukę z wyżyn niedostępnych prostym umysłem, i popularyzując ją dla ogólnego pożytku. Nie jeden surowy krytyk zarzuca wprawdzie Figuierowi, że w ciągu mozolnego zawodu swego, więcej spotrzebował nożyczek niżeli piór, to jest, że więcej nawycinał kartek z dzieł innych pracowników, niżli wydobył z siebie nowych myśli. Zarzut to całkiem niesłuszny; nie każdemu dana twórcza siła. Udziałem geniuszów wstrząsać umysły, taranem nowych prawd i teorii; oni to stanowią jakoby arystokrację w świecie ducha: zadaniem zaś *plebsu* naukowe-literackiego, rozwijać pomysły wielkich myślicieli i podawać je ogółowi w dostępnej formie. Takięto pole pracy obrał Figuier, na nięnto krząta się niezmiordowany od lat dwudziestu z górą, z niemałym dla kraju pożytkiem.

Oprócz *Rocznika naukowo-przemysłowego*, wydawanego stale od r. 1857, a tworzącego dotąd czternaście obszernych tomów, Figuier wydaje co rok dla dorosłej młodzieży wielki tom ozdobiony drzeworytami, rozwijający jakiś osobny przedmiot z dziedziny nauk przyrodzonych: *Ziemia przed potopem*, *Ziemia i morza*, *Historia roślin*, *Życie i obyczaje zwierząt* (tom 4), *Człowiek pierwotny*, *Rasy ludzkie*: oto tytuły dziewięciu tomów, składających pierwszą serję tej pożytecznej publikacji. Druga serja składa się z siedmiu tomów: *Uczony przy ognisku domowém*, *Wielkie wynalazki w naukach, sztukach i przemyśle*, *Żywoty najświetniejszych uczonych od głębokiej starożytności do XIX wieku* (tomów 5).

Gdyby autor poprzestał był na takim popularyzowaniu nauki, położyłby wielką zasługę podając ją ogółowi w sposób przystępny i zachęcający. Tymczasem uległ na nieszczęście wpływowi spirytyzmu, a uległ tak silnie, że dziś przestał być przewodnikiem czysto naukowym.

Dawniejsze dzieła Figuiera, jak *Alchemia i alchemicy*, zarys historyczno-krytyczny filozofii Hermesa, i *Historia cudowności w czasach nowożytnych*, *Histoire du Merveilleux* (tom 4), pisane już pod tym kierunkiem. Nigdzie jednak autor nie doszedł do tak dziwnych wyników, jak w ostatniem dziele p. t.: *Nazajutrz po śmierci*. (Le lendemain de la mort).

Nie będziemy rozierać szczegółowo tej książki, wykażemy tylko w najogólniejszych zarysach myśl autora, i pobudki w których czerpał natchnienie; pobudki szlachetne bezwątpienia, lecz wyniki jak smutne, jak niedorzeczne!

„Długo — mówi on — mniemałem, że zagadka przyszłego życia, tak jest niedostępną dla rozumu, iż lepiej wcale jej nie dotykać. Aż dnia jednego, uderzony jakby piorunem strata ukochanego syna, w goryczy mego żalu, począłem rozmyślać nad tajnikami życia zagrobowego, szukałem w naukach klucza do rozwiązania tej zagadki, badałem na przemian uczonych i prostaczków.“

Na tychto badaniach oparł Figuiet swoje hipotezy ułożone w systemat. Nowym bodźcem do pracy były dlań smutne wypadki zeszłego roku, spowodowane rozkiełznanym materjalizmem.

„Straszny rak toczy dzisiejsze społeczeństwo — mówi autor — i wysysa z niego żywotne siły: tym rakiem materjalizm. Głoszony nasamprzód w Niemczech tak po wszechnicach, jak w dziełach treści filozoficznej i przyrodniczej, materjalizm rozlał się z Niemiec na Francję. Z katedry uczonych professorów spłynął zrazu na warstwy oświecone, a następnie na massy. I lud wykazał nam po swojemu, praktyczne a straszne jego następstwa! Rozwiązawszy się pomału z wszelkich węzłów, z poszanowania dla każdej władzy, odrzucił i religię, i kapłanów, i hierarchię społeczną, i ojczyznę i wolność. Zanegował wszystkiemu; taki stan musiał spowodować katastrofę. Po długiej anarchii politycznej, szalency porwali miecz i głośnie! smutny dramat zakończył się straszno: w krwi i płomieniach. Nie petrol zburzył gmachy Paryża, zburzył je materjalizm!

„Cywilizacya, społeczeństwo i obyczaje są to ziarna różańca, węzłem ich wiara w nieśmiertelność. Zniszcz węzeł, a ziarna się rozsypią.“

Podzielamy zupełnie zdanie autora, zapytamy tylko czy spirytyzm zdoła wypalić raka materjalizmu? czy na zwalczenie choroby niema pewniejszych środków, nad hipotezy nie oparte na niewzruszonej podstawie?

Z pomiędzy dzieł naukowych, na których autor buduje swoje wnioski, wylicza on: *Niebo i ziemię* Jana Rainaud, *Wielość zaludnionych światów* Flamaryona, a nakoniec ciekawą *Monografię astronomiczną słońca* Amadeusza Guillen. Słońce, to według Figuiera, Alfa i Omega bytu ludzkiego, źródło i ujście olbrzymiej rzeki zwanéj życiem; to płomienista oaza, gdzie dusza zmordowana długą pielgrzymką, przebywszy tysiące istnień, tak na planecie na której zrodzona, jak następnie w eterycznych przestworzach, odpoczywa nakoniec pod cieniem skrzydeł Przedwiecznego.

Zobaczmy jakimi drogami autor prowadzi tę biedną duszę, zacząłem pozwoli jej spocząć na tronie płomienistym:

Słońce, ognisko życia, budzi życie tak na ziemi, jak niemniej na innych planetach. Promienie słoneczne padając na lądy i na wody, ozywiają miliony roślin i soofitów. Zarody dusz złożone w tych istotach, przechodzą następnie przez cały szereg stworzenia, doskonaląc się stopniowo, w miarę coraz doskonalszych form jakie przybierają: ze zwierzęcia ssącego, dusza przechodzi w dzie-

cię. Autor czyni tu uwagę, że zwierzęta w jakie obfituje dana okolica, stanowią jakoby normę usposobień ludzkich w tychże stronach. Ludy azyatyckie według niego, przypominają słoni, afrykańskie, tygrysów, amerykańskie, podobne do zrebców tabunowych. Z powodu wielkiej liczby psów we wszystkich stronach świata; największa część ludzi, odziedzicza spadkiem psie skłonności. Ztąd autor zowie psa, kandydatem na człowieka.

Dlaczego człowiek traci pamięć pierwotnego bytu? bo zwierzę pozbawiony pamięci, nie może przekazać jej swemu dziedzcowi, przekazuje mu jednak niektóre zdolności; ztąd wnosić można, że nie jeden wielki architekt był wprzód bobrem, zaczętem przerodził się w człowieka, nie jeden zaś muzyk i poeta, był wprzód słowikiem albo skowronkiem.

Nigdy człowiek, według Figuiera, nie przeradza się w niższą istotę. Odrzuca on stanowczo teorię metempsychozy indyjskiej, równie jak marzenia Platona, według których człowiek tchórzliwy przeradza się w kobietę, próżny w ptaka, głupi w bydlę, łupieżca w wilka albo koguta. Według Figuiera, człowiek który nie umiał wyjść zwycięzko z życia próby, odradza się znów dzieckiem, znów stają mu przeciw nabytki osiągnięte długoletnią pracą, i te objawiają się od lat najmłodszych. Jeżeli Pasqual w dwunastym roku odkrył nowe prawidła geometryi, jeżeli nie umiając liczyć, kreślił na podłodze kredą geometryczne figury z księgi Euklidesa, to dlatego, utrzymuje autor, że dusza jego przebywała w jakimś matematyku, który strawił życie na nauce. Z tych samych przyczyn Mozart w czwartym roku wygrywał najtrudniejsze sonaty, w ósmym utworzył operę; dlatego Rembrandt po mistrzowsku władał pędzlem od dziecka.

Skoro zaś człowiek w ciągu ziemskiej pielgrzymki, o tyle wyrobił duszę własną, że uczynił ją godną wyższych przeznaczeń; ta dusza odradza się już nie na ziemi, ale w wyższym eterze, przybiera subtelniejsze ciało, i żyje nowem życiem. Zobaczmy jak autor określa te nadprzyrodzone istoty, które lubo nie dostępne zmysłom śmiertelnych, otaczają ich przecież wpływem swoim, dają im natchnienie i siłę.

„Istoty nadprzyrodzone— mówi Figuiet— nie jedzą ani piją; sen wcale im nie znany: niema nocy w eterycznych przestrzeniach. Zmysły ich odmienne od naszych, wzrokiem dosięgają najdalszych przedmiotów, słuchem najdalsze chwytają dźwięki. Język ich powszechny: wszystkie ludy rozumieją się z sobą. Syn ziemi rozmawia z synem Marsa, Jowisza i Uranusa. Ich wiedza doskonała, wszechstronna; świat nie ma dla nich tajemnicy. Lotni jak myśl, biegają po planetach, zatopieni w oceanie światłości, patrzą zawsze w oblicze słońca, nie przyćmionego dla nich żadną chmurą. Ziemia obraca się u ich stóp; niewidzialni zbiegają do boku drogich im śmiertelników, roztaczają nad nimi skrzydła do-

broczynnej opieki. Co zaś najdzielniej rozmaga siły tych istot, co podsyca miłość w ich duszy, to pamięć powrócona im od chwili jak śmierć rozwiązała je z więzów dawnego ciała. Pamięcią tą ogarniają nie tylko całą koleję żywota ludzkiego, lecz niemniej wszystkie przejawy bytu, odkąd pierwsza iskierka ich życia zbudzona zarem słonecznych promieni, zadrgnęła w niedojrzałym zdźbłę trawki, do chwili, gdy ta iskra obleczona w ludzkie ciało, potężnym wybuchnęła płomieniem.

Ale nie tu jeszcze kres szczęścia tych eterycznych istot. Ciało, lubo subtelne, niewidzialne dla oczu ludzkich obciąża je przecież i wstrzymuje polot ich w wyższe sfery. Owe istoty umierają: „dusza ich wybiega z ciała jak woń z urny rozbitej.“ Następują coraz to nowe inkarnacje; liczba tych przemian niewiadoma, gdyż istoty wyższych hierarchij tracą bezpośrednio stosunki z ziemią.

Nadchodzi wreszcie chwila, kiedy duch wyzwolony z ostatnich szczątków materji, staje się czystym technieniem, uczuciem, myślą, intelligencyą. Płomień powraca do ogniska i zostaje częścią tego słońca, które tworzą siłą odradza świat bez przerwy.

„Dotąd — mówi Figuiet — nauka nie wypowiedziała jakim sposobem odzywa się słońce, dziś tłumaczymy to bezustannym przyływem dusz tak z ziemi jak z innych planet. Co dotąd było hipotezą, stało się nakoniec *pewnikiem*.“

Wstrzymujemy się od wszelkich uwag. Czy to co jest *pewnikiem* dla autora, będzie nim dla czytelników naszych, zostawiamy to ich sądowi.

Po długim spoczynku akademja francuzka krząta się pilnie nad zapełnieniem miejsc, które śmierć opróżniła; przed tygodniem uczone grono mianowało czterech nowych członków. Krzesło Montalemberta otrzymał książę Aumale, Villemaina p. Littré, po Prevost Paradolu nastąpił p. Camille Rousset, po Prosperze Merimée p. Lomenie, professor w *College de France*.

Odkąd istnieje akademja, nigdy wybory jej nie odbyły się tak burzliwie, nigdy nie wywołały tak głośnych rozpraw, nigdy nie zakończyły się tak wielkim skandalem jak wybory z ostatnich dni grudnia r. 1871. Mianowanie księcia d'Aumale dotknęło do żywego całą intelligencyę republikańską. Prawa kandydata do zaszczytu jaki go spotkał, zdawały się nie dostateczne, zwłaszcza gdy je porównano z prawami tylu mężów prawdziwej nauki i pracy, odrzucanych systematycznie od lat wielu. Akademja aby złagodzić rozdrażnione umysły, użyła na to antidotu. Tym antidotem obiór p. Littré.

Znakomity lingwista, gramatyk, fizyolog, ekonomista, autor Dykeyonarza języka francuzkiego, jako mąż rozległej nauki i wytrwałej pracy, miał niezaprzeczone kwalifikacje na członka ciała naukowego, obowiązane z urzędu trzymać straż nad językiem.

Z tego tytułu Villemain nie mógłby znaleźć godniejszego siebie następcy. Littré, to prawdziwy uczony, *homme de lettres* a nie *prince de lettres*, jak niektóre dzienniki republikańskie przezwały dowcipnie księcia d'Aumale, autora *Historji Kondeuszów*.

Ale p. Littré manifestował się oddawna jako główny naczelnik szkoły pozytywistów we Francyi. Już w roku 1863, kandydatura jego była przedmiotem gorącej walki w kole akademickim. Wówczas wymowa biskupa Orleanu odniosła tryumf, i powstrzymała obiór Littrego. Dziś potężne to słowo brzmiało napróżno w gronie nieśmiertelnych, jak głos wołającego na puszczy, ale z drugiej strony poruszyło do żywego wszystkie niemal stronnictwa francuzkie. Łatwo to wytłumaczyć: takie kandydatury jak książe d'Aumale i Lettrego, poruszają nie same tylko zagadnienia gramatyki i stylu!

Wiadomo, że p. Littré przestraszony rządami, a raczej bezrządami komuny paryzkiej, która w tak straszny sposób realizowała pozytywizm, wystąpił w ciągu zeszłego lata z manifestacją na rzecz porządku społecznego. Mogło to zaspokoić mniej więcej sumienia akademików, ale nie zaspokoiło biskupa Orleanu, radykalnego w swych zasadach. To też wymowny biskup, natychmiast po obiorze p. Littré napisał list do dyrektora akademii z żądaniem aby go wymazano z liczby jej członków. Wypadek niesłychany! Odkąd istnieje akademie, to jest od trzech blisko wieków, nie zdarzyło się nic podobnego: statuta nawet nie przewidziały takiej fazy. Czy akademie ma prawo przyjmować dymisyę członków swoich? Czy nowy kandydat mógłby pochwalną mową uczcić żyjącego poprzednika, kiedy ustawa zaleca tylko podobną pochwałę na cześć umarłych? Są to pytania dotąd nierozstrzygnięte i długo będą zapewne przedmiotem sporów, tak w akademii jak i paryżkiem dziennikarstwie.

Uroczyste przyjęcie księcia d'Aumale wkrótce zapewne nastąpi; nie zaniedbamy powiedzieć o nim w swoim czasie. Dziś zapiszemy odbytą w grudniu uroczystość przyjęcia Ksawerego Marmier; zajął on miejsce po zmarłym Pongerwille.

Według zwykłego porządku rzeczy, między przyjętym akademikiem, a tym który zajmował przed nim krzesło, powinno istnieć niejaki pokrewieństwo ducha. Na tych prawach Janin nastąpił po Ste Beuvie. Tym razem jednak zerwała się nie tradycyi: cała przepaść dzieli Marmiera od Pongerwilla. Marmier jest chrześcianinem i spirytualistą, Pongerwille syn ostatnich lat zeszłego wieku, wychowaniec Woltera i Diderota, nie wypierał się nigdy zasad przyjętych w młodości; Marmier zawołany podróżnik, przebiegł wzdłuż i wszerz Europe, od lodowisk Laponii po kalabrijskie wybrzeża, przepłynął ocean, zwiedził dwie Ameryki, starożytny Egipt i Syryę; Pongerwille nie wychodził prawie nigdy za obręb ogrodu swego. Marmier napisał pięćdziesiąt tomów, błyskawicznych wszechstronnem życiem; Pongerwille trzydzieści lat po-

święcił na przykład Lukrecyusza! dwadzieścia na przykład Enejdy i Raju zatraconego!

Nie łatwe było zadanie Marmiera. Jak tu sypać urzędowe kadzidła poprzodnikowi, tak różnemu od siebie wiara, usposobieniem, wszystkiem co łączy ludzi między sobą? Nowy akademik śmiało rozciął gordyjski węzeł. O Pongerwillu wspomniał ledwie nawiasem, obszernie za to mówił o Lukrecyuszu i rzymskiem społeczeństwie, o Wirgillium i Georgikach, o Miltonie i Raju ztraconym. Mowa to zręczna, udatna, prawdziwie akademicka, a do tego ogrzana tęp ciepłem, jakim Marmier umie ożywić każdy swój utwór.

Widzimy tu jak pyszny Lukrecyusz, odgradzony od świata ponurym a chłodnym murem cnót filozoficznych, tworzy swoją kosmogonię materyalną *de naturae rebus*; ten — jak mówi Ma-cauley — „najpyszniejszy poemat, w obronie najgłupszego i najniezdniejszego systematu filozoficznego;“ widzimy jak w tymże czasie nad brzegiem Mincio w ubogiej wiosce koło Mantui, rośnie pełen słodczy młodzienc, który stanie się w przyszłości najpoważniejszym i najpopularniejszym z poetów łacińskich, Wirgilli. Marmier w kilku rysach, kreśli nam obraz młodego wieszca, równie poetyczny i prosty jak jego natchnione pieśni. Widzimy Wirgillego jak młodzieńcem, owiany atmosferą wsi rodzinnej próbuje sił w uroczych sielankach; jak siedm lat następnych poświęca nieporównanym Georgikom: jak nakoniec w latach męzkiej dojrzałości, w pełnym rozkwicie geniuszu, przez dwanaście lat tworzy nieśmiertelną Epopeję. Widzimy go jak za powrotem z Grecyi, kiedy zdeptał ślady stóp Eneasza, gdy przyłożył ucho do zwalisk Illyonu, a usta do żywej krynicy podań ludowych; widzimy jak wstydy się własnego dzieła, jak pragnie przerobić je do gruntu, wzbogacić tysiącem nowych, żywotnych rysów, z jakim zapałem bierze się do pracy, gotów poświęcić jęj drugie lat dwanaście. Ale śmierć staje szyderczo u wezłowania poety: Wirgilli czuje na pierśsi dłoń jęj chłodną, nieprzeblaganą. Rozpacz ogarnia go! On umrze! z nim razem umrze promieniasty ideał, zrodzony w jęgo duchu, wykolysany w wyobraźni, a obleczony w tak słabą, w tak niedołężną formę! Niech przepadnie raczej Eneida! niżby miała przejść do potomności z tysiącem skaz i niedostatków. Sam Wirgilli spaliłby własne dzieło, lecz to dzieło w ręku Cezara! Głosem ochrzypłym konający wieszcz błaga przyjaciół, niech rzucą w płomień Eneję.

Przyjaciele nie spełnili polecenia. Cezar nie oddał Epopeję, ocalało arcydzieło, najwspanialszy pomnik literatury starożytnęj.

Obok Wirgillego kreśli Marmier smętną a wspaniałą postać sławnego wieszca Albionu. Przytaczamy ten ustęp z jęgo mowy.

„W roku 1625 był w kollegium w Cambridge młody uczeń syn prostego mieszczanina z Londynu, odznaczający się nadzwyczajną zdolnością, umysłem otwartym i niepodległym. Byłto przyszły autor *Raju utraconego*, Milton.

W dwanaście lat potem, młodzieńiec ten otoczony już sławą poetyczną, autor dwóch ślicznych poematów *Alegro* i *Penseroso* przybył z Anglii do Paryża. Świetne to były czasy: Richelieu tylko co założył akademię francuską, Kornel po tryumfach odebranych za Cyda, tworzył Horacyuszów, Kartezjusz wydał sławną rozprawę *O metodzie*.

Zorza wieku Ludwika XIV świeciła już nad Francją. Nie dostrzegł jej Milton, prąd myśli porywał go do ojczyzny Danta i Aryosta.

Za powrotem do kraju, przepomniał o cudach Italii; grube chmury przysłaniały widnokrąg: wojna domowa rozpałała już głównie krwawą. Kromwell przedstawił się w oczach poety, jako oswobodziciel praw ludzi; zaufał w jego gwiazdę.

Wkrótce przyszło rozczarowanie. Milton dopiero co sekretarz Kromwella, usunął się od spraw publicznych. Dotknięty ślepotą, ubogi, zamieszkał w nędzonym dworku na dalekiem przedmieściu londyńskim. Tam włócił najsmutniejsze życie obok żony i trzech swarliwych córek.

Córki te, sieroty po matce, nie mogły przebaczyć ojcu nowych związków. Macocha lubo pełna dobroci i słodyczy, była przedmiotem ich bezustannych skarg i zazaleń. Wyuczone przez ojca, czytywały mu na głos Biblią po Hebrajsku, równie jak poetów greckich, łacińskich, francuskich, hiszpańskich i włoskich; pisywały wiersze pod jego dyktowaniem: mimo to, obce mu były i uczuciem i myślą. Korzystając ze ślepoty ojca, sprzedawały ukradkiem sprzęty domowe, a nawet najulubieńsze jego księgi.

Biedny Milton doznał losu naszego Klonowicza! z tą różnicą, że zamiast jednej, miał przy boku trzy nieodstępne harpije; tém nieszczęśliwszy, iż ślepotą czyniła go ich niewolnikiem.

W takim to stanie upokorzenia i pokuty, stworzył Milton nieśmiertelny poemat.

Oderwany od zewnętrznego świata, widział poeta przed oczyma duszy, te obrazy które nakreślił z takim życiem, widział owe głębokości chaosu, i czarodziejstwa rajy ziemskiego, i bezdenny odmęt sfer piekielnych, i Boże światło błyskające w niezmiernych przestrzeniach.

„Nie go nie odrywało — mówi Marmier — od tego świata zakłętego potęgą wyobraźni. Jakaż to moc twórcza w tym straszonym obrazie szatana: jego walk i buntów; jak idealny urok w miłości Adama i Ewy; jak smętny całun żałoby otacza ostatnie ich chwile.

„Kiedy zapadł wyrok wygnania, kiedy Archaniół Michał wyprowadził ich z uroczego Edenu, rzucili okiem po za siebie i od wschodniej strony ujrzeli płomienisty miecz zawieszony w górze, a u wrót straszne legiony w połyskujących zbrojach.

„Z kilka łez upadło im z pod powiek, otarli je cicho; przed nimi świat szeroki, daleki, nieznan! Tam pod strażą Opatrzno-

ści szukać muszą schronienia. Trzymając się za ręce, wolnym, niepewnym krokiem poszli w pustą, samotną przestrzeń.

„Biedni wygnańce z Edenu, poszli w pogoń za dalekiem niedoścignionem szczęściem, a za nimi w ślady od pierwszych dni stworzenia. smętna ludzkość podąza za ideałem snów i pragnień swoich. Szczęśliwi ci, którzy w tym mozolnym pochodzie, jak Adam i Ewa Milтона, wspierają się nawzajem, ożywieni jak oni światłem wiary!”

W Raju zatraconym widzi Marmier najdoskonalsze arcydzieło chrześcijańskiej literatury. Podnosi on Milтона nad Dantego, Aryosta i Tassa. Dzielił to zdanie Klopstock, który z Raju zatraconego czérpnął pierwszą myśl Messyady. Wielki poeta niemiecki mawiał o Miltonie: „To prorok! to nowy Izajasz! nowy Ezechiell!”

Arcydzieło Milтона jak wiadomo tłumaczone było na wszystkie języki europejskie. My znamy *Raj zatracony* z przekładu Franciszka Dmochowskiego, tłumacza Iliady. We Francji przekładało go trzech wielkich poetów: Delille, Racine i Chateaubriand, zaczętn Pongerwille przedsięwziął swoją pracę. Na dowód jak szeroko rozeszła się sława angielskiego poety, opowiada Marmier ciekawy ustęp z dalekiej swój pielgrzymki pod koło biegunowe.

„Jednego poranku—mówi on—na północnym krańcu Islandyi, nad burzliwą zatoką zwiedzałem między innemi ubogą chatę zbudowaną z płytów lawy. Było to w lecie; na dachu ziemią pokrytym zieleńiła się trawa. Tam w ciągu długich nocy podbiegunowych przy torfowém ognisku, ubogi pastor wiejski John Torlaksson, zachwycoony pięknością idealnych obrazów Milтона, przetłumaczył cały Raj utracony starożytnym językiem Eddy Skandynawskiej.”

Jeżeli nowy akademik obrał za przedmiot rozprawy Lukrecyusza, Wirgilięgo i Milтона, a tłumaczowi ich poświęcił zaledwie krótkie wspomnienie, to dlatego tylko że między nim a Pongerwille nie było w duchu najmniejszego powinowactwa. Uznaje on przecież wielką zasługę jaką Pongerwille położył dla literatury francuzkiej, przyswajając jęj arcydzieła trzech wielkich geniuszów.

Znakomici tłumacze wysoko zawsze cenieni byli we Francji; nieraz już zasiadali oni akademickie krzesła. Zasługa ich tém większa, że język francuzki z niesłychaną trudności nagina się do wyrażenia obcej myśli. Język ten metaliczny, twardy i błyszczący jak stal, według wyrażenia D. Maistra, niema elastyczności potrzebnej do przekładu, rozcina wszystko czego dotknie jak miecz Alexandra Wielkiego. „Mowa nasza — mówi Marmier— to świetna pani z czasów Ludwika XIV. Pyszna że niegdyś Europa uderzała jęj czołem, lęka się zestąpić z piedestału, na któ-

rym błyszczała dwa wieki, by nie „ubliżył arystokratycznym tradycjom rodu swego. Niechaj drudzy ją naśladowają... tém lepiej... lecz czyj jęj wolno deptać za śladem drugich?”

Pytanie to już rozstrzygnięte. Dumna arystokratka musiała uleźć wiejącym z zewnątrz prądom, musiała ożywić pierś geniuszem obcych ludów. Mozolną pracą zwalczyła trudności i nauczyła się obcą myśl wyrażać po swojemu.

Zamiana myśli pomiędzy ludami, stała się dziś równą koniecznością, jak zamiana płodów przemysłowych. Tęj missyi dopełniają znakomici tłumacze. Mówiąc o przekładach nasuwa nam się mimowoli zdanie w tym przedmiocie profesora literatur zagranicznych w Rennes p. Nicolas. Ten krytyk i poeta, we wstępie do tłumaczonej przez siebie Epopoi hiszpańskiej *Araucana* utworu Alonza Ercilla, wyraża się w ten sposób:

„Jedną, łączyć, cywilizować ludy wzajemnym ich oddziaływaniem na siebie, myśl to nie nowa! przewidział ją geniusz ministra Sully, przeczuło serce Henryka IV, w początkach XVII-go już wieku. Do zrealizowania tej wielkiej myśli, jak potężnie przyczynia się ów literacki zastęp, który przekładem i komentarzami daje poznać ludom geniusz innych ludów, i wykazuje wielką harmonię panującą w świecie idei.

„Wiele dawać i wiele brać—mówi Nicolas— to warunek życia każdej literatury. Ta która by się chciała zamknąć we własnym obrębie i czerpać wyłącznie siły w sobie samej, nie odżywając się obcym wpływem, wpadłaby wkrótce w niemoc i przypłaciła śmiercią. Myśl bowiem, wiekuiста pielgrzymka, krąży śmiało po niezmiernych przestrzeniach ducha; nie wstrzymują biegu jej graniczne słupy, przeniknie na wskroś języki i narzecza, zbierze kosy na każdym polu, równe ma prawo poszczycić się z plonów zdobytych na najdalszych krańcach Europy, jak ze snopów użętych na własnej niwie.

„Może nam kto zarzuci iż samodzielność wrodzona każdemu społeczeństwu, ucierni na takiej zamianie, ciągła styczność z obcymi żywiołami, zatrze właściwe piętno z każdej literatury, że zabija siłę twórczą w narodzie? Zarzut to niesłuszny, zaprzecza mu historia. Sądząc rzecz tą miarą, przyszlubiśmy do wniosku, iż Rzymianie zbłądzili przyjmując wspaniałą puściznę Greków, że aby zachować samoistność, powinni byli odtrącić Platona i Homera a trzymać się barbarzyńskich bajek Latynów. Ich poetyczne zdolności mogły się oprzeć czarodziejskiej potędze muzy greckiej? Mielizby przysiąść na gałęzi, jak ptak z głową utuloną pod własne skrzydło, a nie rzucić się na pole szlachetnych zapasów, w których Wirgili pozyskał nieśmiertelność?

„Wyobraźmy sobie człowieka, któryby dla uchronienia własnego talentu od obcych wpływów, dla zachowania dziewiczego uroku myśli własnej, odtrącał dobrowolnie światło tryskające z innych intelligencji; któryby ogroził parkaunem własną wyo-

braźnię aby uczynić ją doskonalszą i samodzielniejszą. Człowiek ten nie byłbyby typem całego społeczeństwa, żyjącego po dziś dzień na prawach tej zabójczej doktryny? Gdyby dla zachowania bądź co bądź oryginalności, wypadało narodowi opasać granice kraju swego, wysokim a nieprzebytym murem, zamknąć porty i miasta cudzoziemcom, naród ten mógłby żyć w pełni życia materialnego, mógłby mieć ekonomistów, filozofów, erudytów; mógłby stworzyć nawet literaturę, lecz nie zdołałby nigdy wznieść się do tych wyżyn promienistych, na których błyszczą Ateny, Rzym, Francya!

„Ażaliż nauka podcina skrzydła wyobraźni? My sądzymy przeciwnie. Im więcej uczy się poeta, im szersze przebiega myślą koło, im bogatszy zdobywa zasób wiedzy, tém potężniej duch jego bije w skrzydła, tém silniej rozwija twórczą dzielność. Przypatrzmy się wielkim poetom: wszyscy byli mędrcami. Nigdy zdobyłby na polu wiedzy nie zabiły w nich siły wieszczę! Co jałowi umysł? co wysusza zdroje natchnienia? Nie nauka, nie praca ducha; ale zarozumiałość i nieuctwo!”

Po dłuższej stagnacji w dramatycznym świecie paryzkim, ważnym wypadkiem stało się przedstawienie nowego dramatu Alexandra Dumasa syna p. t.: *La Princesse Georges*. Dramat ten wykonany z niesłychaną siłą, poruszający do gruntu wszystkie struny ludzkiego serca, potrącający nawet o zagadnienia społeczne pod względem praw kobiety, wywołał tysiące najsprzeczniejszych sądów. Jedni widzą w nim utwór wysoko moralny, w wielkiem znaczeniu słowa, wykonany z rozwagą i niepospolitym talentem; do tych liczymy Juliusza Janin krytyka Debatów; inni znów przebaczyć nie mogą autorowi że zszedł z ubitego toru, a puścił się nową zupełnie drogą.

Nie narzucając naszego zdania czytelnikom, przedstawimy rzecz w treści:

Seweryna de Perigny, dziedziczka ogromnego majątku, poszła za księcia Jerzego de Birac, dziedzica wielkiego imienia. Książę milionami żony pragnął przywrócić blask zszarżanej nieco mitrze; Seweryna zaś oddając rękę Jerzemu, szła za popędem serca, mało ważąc jego ród i tytuły.

Rok ledwie upłynął, a szczęście młodej kobiety zniknęło bezpowrotnie.

Przeczenie serca nie myli. Seweryna czuje że miłość jej nie zapłacona wzajemnym uczuciem. Pragnie zbadać powód obojętności męża. Bezimienny list utwierdza ją w podejrzeniu. Przyjaciel nieproszony zawiadamia młodą kobietę, że Jerzy kocha piękną hrabinę Sylwanię de Terremonde, że tego właśnie wieczora wyjeżdża z nią do Rouen. Księżna przerażona tą wieścią, chce poznać całą prawdę. Przywołuje wierną służbę Rozalię i wyprawia ją na zwiady.

O dziewiątej wieczorem Rozalia wyjeżdża do Rouen. Tymże pociągiem jedzie hrabina Sylwania. Księżę wsiadł do osobnego wagonu. Rozalia zastonięta gęstym woalem widzi ich na własne oczy. Na dworcu paryzkim minęli się obojętnie jak nieznajomi. W Rouen siadają razem do powozu.... Tak, to oni... Pierwszym pociągiem odwrotnym, wierna sługa powraca do Paryża.

Księżna Seweryna ze ściśniętym sercem, słucha opowiadania Rozalii. Wszelka wątpliwość znikła. Jerzy zdradza ją, a co gorsza zdradza ją dla kobiety, którą ona kochała najszczerzej przyjaźnią. Sylwania mieszka o kilka kroków; mur tylko przedziela ich domy; bywa u niej co dnia na herbacie, towarzyszy na wieczory, teatru i koncerta. Świat przywykł widywać je zawsze razem. Prawe serce księżnej oburza się na tak ohydny zdradę; prosty jej umysł nie pojmuje takiej przewrotności. Sama nie wie co czynić. Zrazu rozpacz nasuwa jej myśl samobójstwa... odrzaca pokusę... prawo przy niej... postanawia żyć i walczyć... dusza jej energiczna, nie zabraknie jej siły.

Położenie kobiety trudne; nie ma się na czem wesprzeć... ziemia usuwa się z pod jej stóp. Błaga matki o radę. Ta matka, kobieta światowa jakich tysiące, nie umie zrozumieć córki własnej; kocha ją lecz nie zdoła odczuć jej boleści.

— Godziż się—mówi—cierpieć tyle dla niewiernego męża? I któraż kobieta nie była w tym wypadku?

Notaryusz Galanson, dawny przyjaciel domu, człowiek praktyczny, daje roztropne rady jak ocalić majątek. Księżę podniósł już dwa miliony posagu; trzeba zachować resztę. Poczciwy notaryusz lepiej czytać umie w księdze praw, niżeli w sercu kobiety.

Niewierny mąż, sprawca tylu udřezeń, sam także otoczony zasadzkami i zdradą. Kamerdyner jego Wiktor zna w połowie tajemnicę pana; resztę pragnie wysledzić. Od niego to księżę wie, że Teressa wytropiła go w Rouen. Ostrzeżony w porę, przemyśla jakim sposobem wykręcić się z tej sprawy.

Seweryna z całą godnością i prostotą przedstawia mężowi własną krzywdę. Jerzy tłumaczy się zrzęcznie; wyznaje że dawny stosunek, zawiązany jeszcze przed małżeństwem łączył go z Sylwanią; że pragnął wydobyć z rąk jej własne listy; że w tym celu pojechał z nią do Rouen. Dziś wszystko skończone... on wolny... nie go już nie oderwie od domowego ogniska.

Młoda żona wierzy, kocha, przebacza; serce jej pełne miłości kołysze się błogą nadzieją. Księżę korzysta z upojenia biednej kobiety. Żąda od niej, aby dla zachowania światowych pozorów, przyjęła hrabinę Sylwanią w domu swoim. Hrabia Terremonde powrócił właśnie z dalekiej podróży... wypada zaprosić ich na wieczór; trzeba spełnić tę ofiarę dla świata; potem księżę opuści z żoną Paryż.

Złudzona kobieta przystaje, ale gdy pozostała sama, podejrzenie jej chwilowo usnione, budzi się z całą gwałtownością. Przebiega w pamięci słowa męża, widzi w nich fałsz i zdradę.

— Jam nędzna! jam nieszczęśliwa!—zawoła z rozpaczą. Ale dziś wieczorem nie spuszczę z nich oka. Niech pochwycę znak albo słowo... oh! biada im obojgu.

Drugi akt odbywa się wieczorem. W pałacu księcia obiad. Goście wstali od stołu: panowie palą cygara w fajczarni, panie rozmawiają w salonie. Aby zabić czas obmawiają.

Szczególnym celem pocisków jest piękna hrabina Sylwania Terremonde, która za chwilę przybędzie z mężem. Ta Sylwania córka zbankrutowanego Anglika, niepospolitym wdziękiem i zalotnością uwikłała w sieci hrabiego Terremonde. Człowiek to prawy, łatwowierny *jak baran*, a zazdrosny *jak tygrys*. Miłość księcia Jerzego nie ukryła się przed bacznym okiem tych pań; złotowłosa Sylwania jest celem ich nienawiści i pogardy. Szalone jej zbytki—jak mówią—pochłonęły już majątek hrabiego; dziś pastwą jej miliony księcia, a raczej posag łatwowiernej jego żony; gdyby kochała przynajmniej Jerzego... lecz nie, ta kobieta nie ma serca, igra z uczuciem własnych ofiar. Do tych ofiar należy i młody Fondette, zakochany w niej szalem pierwszej miłości.

Rozwarły się podwoje... potwór wchodzi do sali... potwór to w duchowym znaczeniu, dla oka bowiem Sylwania piękna, zachwycająco piękna. Na licu jej marmurowo białem, uczucie nie wyrzyło najmniejszego śladu; pod tą śnieżną powłoką kryje się serce czarne, bryła nędznego błota. Oczy jej rozsiewają pożar, ale pierś jej nigdy nie zadrgnie. Złoto jedynem jej bożyszczem.

Z taką to zapaśniczką Seweryna występuje do walki. Sledzi pilnie każde jej słowo, każdy ruch; widzi jak Jerzy zbliża się do niej, jak szepnął coś tajemnie. Co znaczy ta zmowa? ten poszept?

Notaryusz Galanson z zimną krwią prawnika bada tajemniczą hrabinę. Dowiaduje się tylko że majątek hrabiego zachwiany; ma bowiem wypłacić 300,000 w bardzo blizkim terminie.

— A te brylanty?—zagadnie notaryusz, rzucając okiem na pyszny naszyjnik Sylwanii?

— Fałszywe—odpowie kobieta.

— Ja dam za nie 300,000, chcesz pani? wypłacę natychmiast.

— Nie—odrzuca z uśmiechem—te brylanty wrosły mi w skórę.

Notaryusz bada tém natarczywiej, tém śmielej, że za pośrednictwem kamerdynera Wiktora, wie co się święci. Przekupiony sługa oddał mu list rzucający światło na zamiary księcia i hrabiny. Nazajutrz mają ujechać potajemnie z Paryża. W tym celu książę odebrał z rąk Galansona 2,000,000, połowę posagu żony. Hrabia Terremonde nie wiedząc o niczym wróci na prowincję, otrzymawszy pożyczkę 300,000 franków.

Księżna Seweryna dowiaduje się o tém. Jakby piorunem ugodzona w serce, zbliża się z całą godnością do Sylwanii.

— Tyś nikczemna!—poszeźnie—precz mi z tych progów... jeżeli nie wyjdiesz, wypędzę cię ztąd w obec wszystkich!

— Jesteś tu panią—odręcze spokojnie hrabina.

I powstaje, żegna towarzystwo pełnem wdzięku skinieniem głowy, jak gdyby nie nigdy nie zaszło. Bierze pod rękę młodego Fondette i wychodzi z nim z salonu.

Tymczasem hrabia Terremonde powraca z gabinetu księcia, gdzie otrzymał 300,000 pożyczki. Zapytuje o żonę.

— Nie ma tu żony pańskiej—rzecze księżna—wypędziłam ją.

— A to czemu?

— Bo ta kobieta znieważyła mój dom miłosną schadzką.

— Schadzką z kim?—zawoła wściekły hrabia... Żona moja! Któż on jest, ten kochanek?

— Szukaj pan—rzecze księżna. Imię męża uwięzło jej w ustach.

W akcie trzecim podejmuje autor ważne zagadnienie społeczne. Księżna w rozpaczycy udaje się kolejno do matki i do notaryusza; pyta ich: czy jest sposób, któryby wzbronił mężowi opuścić żonę i zabrać jej połowę majątku.

— Nie ma!—odręcze matka.

— Nie ma!—odręcze notaryusz.

— Ha! skoro prawo milczy—zawoła księżna—skoro milezą święte węzły rodzinne, ja sama będę sędzią, sama wymierzę sobie sprawiedliwość!

Co zamysła księżna? niewiadomo. Chciałaby zgubić męża? Nagle rzeczy biorą nowy obrót. Kamerdyner Wiktor powierza jej wielką tajemnicę. Hrabia Terremonde już przygotował wszystko do podróży, ale ociąga wyjazd. Widziano jak zabrał pistolety i ukrył się w łoży odźwiernego. Księżę niech nie wychodzi z domu.

Księżna połyka w milczeniu nowe upokorzenie. Do tegoż więc przyszło, że słudzy wtajemniczeni w jej uczucia, frymarczą jej boleścią, jej łzami!

Przywołuje męża. On wszystko musi wyznać. Jego życie w jej ręku. Zatrzyma go przy sobie, albo wyprawi do hrabiny. Tam czeka go śmierć nieochybna!

Spotkanie małżonków okropne. Księżę nie tai się z szaloną miłością do Sylwanii. Pojedzie z nią... przysiągł... musi dotrzymać słowa.

— Idźże do niej... ona tam... czeka na ciebie!

— Idę!..

Ale księżna, ledwie że straszne rzekła słowo, cofa się... przypomina własnych krzywd, widzi tylko śmierć wiszącą nad głową męża. Zatrzymuje go gwałtem... grozi mu nawet zemstą hra-

biego Terremonde... Napróžno!.. książe odtrąca żonę, spieszy na śmierć!..

Słychać wystrzał... Hrabia Terremonde wpada na scenę z dymiącym jeszcze pistoletem... Zabił... kogo?.. młodego Fondette... Książe osłupiał... stoi jak skamieniały. Zaslona spada.

Zakończenie to nie zadowoliło wszystkich. Co będzie potem?—mówiono; czy mogą małżonkowie pogodzić się po takim przejściu? Poważniejsi jednak krytycy zgodzili się na myśl autora. Ten znak zapytania, zostawiony w końcu, bynajmniej ich nie raził. Dramat nie maż być wiernym życia zwierciadłem? a gdzież życie bez znaku zapytania?

Do jednego z przychylnych krytyków napisał Dumas, dziękując mu że go chciał i umiał zrozumieć. List ten powtórzyły dzienniki.

— Miałem—mówi autor—parafrazować Bajazeta? Zemsta Roxany i Fedry dziś już zaprawdę nie na dobie. Nie zemsta ale przebaczenie, odpowiada chrześcijańskim społeczeństwom; a gdzież szukać przebaczenia, jeśli nie w sercu dwudziestoletniej kochającej kobiety?



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ogólne uwagi co do kierownictwa artystycznego. — Repertuar i rozporządzenie sił artystycznych. — Przekłady i utwory oryginalne. — Margrabia de Villemer. — Zameżcie Wiktoryny. — Pani de Chamblay. — Portrety margrabiny. — Powieści królowej Nawarry. — Serafina. — Wesele Figara. — Hamlet. — Znakomici. — Fredro Al. syn. — Mentor.

Teatr, instytucya tak żywo obchodząca ogół ma niezawodnie wielkie zadanie, cel piękny, którego pomijać nie powinien, chociaż teatr nie jest jak się niektórym zdaje, akademią umiejętności moralnych, ani rywalem kazalnicy. Nie uczy stoicyzmu i innych zalet duszy, bo nie jest bynajmniej *szkołą enót*. Lecz jest a przynajmniej być powinien zwierciadłem *namiętności*, to jest ma w zadaniu nie *budować* ludzi ale ich wzruszać. Litości i prerażenia, śmiechu i gniewu, podbudzenia serca i ducha, jednym słowem: *wzruszenia* widz przychodzi szukać w teatrze, tak, iż śmiało rzec można że nie było i nie ma takiego ludu, któryby mieszał pojęcia teatru ze szkołą, sztuki dramatycznej z moralnością, rozwoju umiejętności z ich hamulcem, któryby pomylił się otwierając podwoje kościoła, wtedy gdy chciał otworzyć drzwi domu komedyj.

Rozróżnienie takie, stawiają sobie przewodnicy teatru, światom drogi jaką obierają. Jest ona ich hasłem estetycznym, a przede to samo staje się i społecznym. Wzruszyć, *poruszyć* masy, bo śmiechem porusza się zarówno jak i płaczem — nazwać się może uwieńczeniem gmachu, który się budowało z myślą wyższą; z zamiarem kształcenia pośrednio ducha ogółu. Teatr pozbawiony takiej przewodniej idei, zużywający siły i zasoby dla chwilowych materialnych korzyści lub co gorsza: dwójznacznych tendencyj, będzie nim tylko z nazwiska nie z istoty rzeczy, będzie domem bezmyślniej rozrywki lub areną igrzysk, na wzór tych które Cezarowie Rzymu urządzali dla zaprzątnięcia ludu.

Z wzrastającym dobrobytem, z rozszerzonym kształceniem elementarnym ludów, mnoży się liczba teatrów jakby instynktownie, jakby z przecucia o ich potrzebie. W Niemczech na przykład gdzie istnieje przymusowe wychowanie, teatru liczą na setki; stały

się one bowiem jedną z nieodzownych potrzeb życia. Teatra tak zwane ludowe, spełniają nieraz zadanie polityczne, wypowiadając na deskach teatralnych usposobienia ogółu, jego pragnienia i dążności, jego sympatyje i wstręty. Wszędzie gdzieindziej, gdzie podobnych zadań sztuka dramatyczna przeprowadzać nie chce — pozostaje jej ogromne jeszcze pole społecznych kwestyj, stykających się mimowolnie z prawdziwem uobczyaniem czyli ostatecznie: umoralnieniem. Nie zgadzając się absolutnie na teorię Dumasa syna, przeznaczającego wprost i z góry sztuki dramatyczne jedynie na spożytkowanie praktyczne kwestyj palących, kwestyj ważnych żyjącego pokolenia, lecz owszem trzymając się powyższego zdania, że teatr nie jest szkołą cnót ale panoramą namiętności, zaprzeczyć wszakże nie można, że ukazaniem namiętności i śmieszności w całej ich nagości i ohydzie, wywiera się mimowoli wpływ umoralniający, ocuła się drzemiącego ducha z powijkaków zaślepienia, przesądów, egoizmu i zacofania.

Tak więc teatr, rozważając jego stanowisko najchłodniej — obdarzon jest postannictwem cywilizacyjnem, biorąc cywilizację nie w powszedniem ale filozoficznem znaczeniu tego słowa. Prawdy tej, wydającej się może niejednemu komunałem, nie przestaniemy powtarzać, u nas zwłaszcza, gdzie często sądząc teatr z chwilowych umyślnych czy nie umyślnych zbroczeń, łatwoby o tej kardynalnej prawdzie dało się zapomnieć.

Działalność każdej sceny większej, ocenia się po kilku zazwyczaj latach, to jest wtedy, gdy system, jeśli się go miało na względzie, mógł być należycie zastosowanym i przeprowadzonym, tak iżby po tych kilku latach można się było po za siebie obejrzeć, i zdać sobie z niego sprawę z tém zadowoleniem, jakie bywa nagrodą wyższej znajomości rzeczy i sumiennego spełnienia obowiązków.

Rozpatrując się w działalności sceny warszawskiej z lat kilku ostatnich, systemu tego czy przewodniej idei nigdzie odkryć nie można, lubo chwilowe zwroty ku poważnym utworom, pozwalają wnioskować o możliwości i siłach żywotnych jako gotowym materiale, z którego rzecz doskonałą stworzyłby się dało. Zdając sprawę przeszłego roku z pracy całorocznej scenicznej, napomknęliśmy w kilku osobnych uwagach o konieczności umiejętnego kierownictwa artystycznego, o konieczności rozumnej jego i z góry obmyśloniej inicjatywy, bez której teatr podobnym będzie do dzielnej armii pozabawioniej naczelnego wodza. Kierownictwo artystyczne jest tém samém, czém plan strategiczny w rozporządzeniu batalij. Najdzielniejsze hufce prowadzone bezładnie i bezmyślnie, zginą bez użytku lub przepadną bez wieści.

Ubiegły rok przedstawia się nam w tymże samym bezładzie, a przynajmniej w tymże samym braku systematycznego ładu, tak w wyborze repertoaru jak i w rozporządzeniu siłami artystów. Oddając wszelką zasłużoną pochwałę najlepszym chęciom naczelniej

dyrekcji, nie możemy pochwały téj rozszerzyć i na kierownictwo artystyczne, z czego pokrótce wytłumaczyć się chcemy.

Najprzód co do wyboru repertoaru. Od dnia 1 stycznia 1871 r. do 30 października t. r. mieliśmy następane sztuki: Hamlet tragedya; Margrabia de Villemer dramat; Ostatnie bożyszczę, dramat; Pani de Chamblay komedya; Poczwarzka komedya; — Fru-fru komedya; Serafina komedya; Portrety margrabiny komedya; Zameżcie Wiktoryny komedya; Wesele Figara komedya (wznowiona); Powieści królowej Nawarry, komedya; — Mentor komedya; Znakomici komedya; Każdy wiek ma swoje prawa kom.; Grzeszki babuni kom.; Guzik kom. Z obrazu sztuk tych, widzimy, że przeważnie reprezentowana tu komedya francuzka; na oryginalne utwory przypada zaledwie sztuk dwie, jak: Mentor komedya w 3 aktach hr. Fredry syna, i Znakomici kom. w 3 aktach Szobera; zaś na arcydzieła dramatyczne które każdy teatr większy, przywykł uważać jako dźwignię, podpore i ozdobe repertoaru, przypada jedna tylko tragedia Szekspirowska p. t. Hamlet. Otóż zdaniem naszym, nietylko nie radzimy odrzucać komedj francuzkich, ale owszem pomijając już ten wzgląd ważny że stanowią one liczbę wielką, bez którejby się żaden teatr nie obszedł, powiedzieć jeszcze trzeba i to, że są między niemi takie, które ogólnem swém obyczajowém i społeczném znaczeniem, obchodzić nas mogą zarówno a przynajmniej nie o wiele mniej od samych francuzów. Wiele téż z nich grać każdy teatr musi choćby dlatego, że na razie stanowią nowość lub obudzają powszechną uwagę. Jestto wzgląd praktyczny, czysto bieżącego interesu, ale się go żadna scena większa wyrzec nie zdoła. Chodziłoby więc tylko o stosowny wybór, wybór baczący na miejscowe warunki, na wysoką wartość literacką lub społeczną utworów tych obcych, a tego właśnie wyboru w wymienionych sztukach nie dostrzegamy wcale. Z wyjątkiem komedyi pani Sand p. t. Margrabia de Villemer (datującej już od lat 8 do 10), zalecającej się przymiotami pisarskimi, i cechami artyzmu właściwemi téj pisarce, z wyjątkiem komedyi V. Sardou p. t. „Serafina”, drugorzędnego u nas tendencyą znaczenia, reszta wydaje się jakby wyborem z rozpoczy, z niemożności znalezienia czegoś cokolwiek godniejszego, lepszego, a choćby nowszego. „Wesele Figara” nawet nie może tu zaważyć, bo sztuka ta głośna w swoim czasie, w kraju zwłaszcza swym rodzinnym, dzisiaj u nas archeologiczne niemal i prawie beżżywotne ma znaczenie.

Czyżby między setką utworów francuzkich najnowszych nie dał się skutecznie lepszy wybór, tak ze względu na rzeczywistą wartość, jak i na rozgłos, jakim sztuka ta lub owa cieszyła się słusznie lub niesłusznie? Takie „Grzeszki bubuni”, „Powieści królowej Nawarry”, „Zameżcie Wiktoryny”, „Pani de Chamblay”, „Portrety margrabiny” nie miały nigdy powodzenia na scenach ojczyźtych, owszem przepadały po kilku przedstawieniach bez śladu i wieści; dlaczegóż więc u nas miałyby zyskać prawo obywatelstwa? Ze wydajemy zdanie nasze bezstronnie, niechaj posłuży to za do-

wód, iż nawet komedię „Fru-fru” sztukę wadliwą w całości. ckliwą w tendencji, wyłączamy jednak od zarzutu, dlatego jedynie, że sztuka ta miała wielki rozgłos, a więc z praktycznego względu i na warszawskiej scenie przedstawioną być mogła.

A czy wreszcie na samych tylko przekładach z francuzkiego ograniczać się trzeba? czy między sztukami niemieckich autorów, dawniejszych (np. Getego: Clavigo, i Lessinga) i nowszych (Freitaga, Weilena, Benedixa, Gottschalla i innych) nie znalazłoby się kilku godnych ze wszech miar przedstawienia? Wszakże inne sceny nie brzydzą się nimi wcale, owszem zyskują niemi poklask i powodzenie.

Nie wymagamy też bynajmniej, aby nas przeważnie karmiono arcydziełami dramatycznymi. Znamy wreszcie trudności połączone z wystawieniem sztuk podobnych, wymagających dłuższego czasu i usilniejszych studyów; ale na siły artystyczne jakimi teatr warszawski rozporządza, tragedia jedna Szekspirowska to zbyt mało, to nic prawie. Przecież o ile nas pamięć nie myli, dożyliśmy takich czasów, w których w ciągu kilkunastu miesięcy, wyprowadzono na świat trzy aż poważne sztuki: Kupca Weneckiego, Romeo i Julię i Zbójców!

A teraz rzucmy jeszcze raz groch na ścianę, wspominając o sztukach oryginalnych. Dopominaliśmy się ich surowo raz dlatego, że autorowie dramatyczni wtedy tylko kształcić i rozwijać się mogą, gdy widzą swe utwory na scenie, a potem że i publiczność chętnie widzi utwory swojskie, mówiące jej cokolwiek o życiu obecnym i dziejach, które ją jako rozgrywające się pod ręką, najbliżej obchodzić muszą. „Epidemia” dramat p. Narzymskiego, o którego wartości nieznaniej nam nie orzekamy, dowiódł jednak, że i w pośród nas (o czém wreszcie nikt nie wątpił) znajdują się stany chorobliwe, zadania społeczne wymagające naprawy, które upowszechnić do pięknych obowiązków należy. Autorowie wyszukując pytania tego rodzaju nierozstrzygnięte lub potrzebujące rozstrzygnięcia, podają je publiczności na to, ażeby wywołać zdania, opinie, ścieranie się tychże, czyli ażeby pobudzić do zastanowienia, ocucić z drzemki w pewnych wadach i nałogach, jedném słowem: *poruszyć i wzruszyć*.

Pomijając te względy społecznej i literackiej doniosłości, słuszną jest nareszcie sprawą i przyzwoitą, iżby publiczność zapoznawać z literaturą dramatyczną krajową. W skład sztuk oryginalnych wchodzi sztuki dawniejsze Korzeniowskiego, z których wiele wcale nie było granych, wiele zaś dla ich ulotnej wartości wznosićby się godziło. Będą one zawsze stanowić podwalinę stałą repertuaru, tak jak naprzykład kilka sztuk hr. Fredry ojca, jako: Mąż i żona, Przyjaciele i t. d. niewiedziąc dlaczego obojętnym milczeniem zaniechanych.

O utworach nowszych oryginalnych dosyć powiedzieć, że ich w ciągu roku znów kilka napłynęło, między innymi dwie sztuki konkursowe p. t. „Epidemia” Narzymskiego i „Pracowici pró-

źniacy" Bałuckiego. Inni téż autorowie jak Koziembrodzki, Sarnecki, młody Fredro, Urbański krzątają się ruchliwie, i byle trochę energii i dobrej woli, a możeby się dało ustalić przekonanie, że niwa oryginalnej dramatycznej literatury nie leży zupełnie odłogiem. Koniec końców, żyć samemi przekładami niepodobna, bo jakkolwiek egzotyczne kwiaty zdobią salony, ale nie każdego stać na nie i na salony, nie każdy téż chciałby wiecznie żyć sztuczném życiem; przeciwnie, śmiertelnicy lubią przechadzkę w pośród brzoź i dębów i lubią oddychać zapachem konwalii, fiołków i innych kwiatów polnych.

Otóż polnym kwiatkiem którego skromną wonią każdy z nas się zadawalnia, dlatego że zakwitł na domowym gruncie, są właśnie sztuki oryginalne, wybierające przedmioty konieczne z ogniska wspólnych potrzeb i warunków.

Prawda, że publiczność warszawska jasnego i bezstronnego zdania w téj sprawie mieć w żaden sposób nie może, bo widzi zaledwie raz na rok jakąś sztukę oryginalną, nienajszczęśliwiej wybraną z pomiędzy tylu innych, o których przecież wiadomo że na innych scenach zyskały powodzenie.

Niema takiego autora któryby nie widząc sztuk swoich granych na scenie, doszedł do pewnego stopnia doskonałości, lub zdolny był ukształcić się i wyrobić *fachowo*. Moliere i Szekspir grywali sami swoje sztuki, pisali je wprost dla sceny, i według spostrzeżeń zrobionych żywcem na scenie, poprawiali i ulepszali. Taka praktyka dając im szkołę, dawała zarazem doświadczenie, które geniusz ich najdoskonalej spożytkować musiał.

Byli to arcy-mistrze, cóż więc mówić o autorach mogących się poszczycić zaledwie zdolnościami? Czyż tacy po przedstawieniu jednej swéj sztuki (zazwyczaj nie uwieńczonej powodzeniem) mają już rozpacznie rzucać pióro, i wyrzec się pracy, do której czują powołanie szlachetne i zapał, i to dlatego tylko że pierwszy owoc był niedojrzałym? Nie myślimy przeto bynajmniej zachęcać szarlatanów i fanfaronów do wytrwania w pracy, której się podjęli z próżności, zarozumienia lub innéj podobnéj pobudki; ale chcemy wyrzec szczerze słowa zachęty autorom zdolnym, natrafiającym na drodze swéj na przeszkody od nich niezależne, i na niezasażone niepowodzenie.

Nikt zaś nie może wystąpić z zarzutem, że kierownictwo artystyczne sceny jakiegokolwiek, zwłaszcza pierwszorzędnej, nie ma obowiązku protegowania utworów słabszych, bo każde kierownictwo ustanowione jest dla kierowania, a więc odpowiedzialném będąc za wybór, wybierać winno utwór nie bezwarunkowo słaby, inaczéj daje sobie samo świadectwo niedołęztwa. Raz jednak wybrawszy utwór mający pewne rzeczywiste i niezaprzeczone zalety, choć nie zadawalniający jeszcze surowych wymagań sztuki i krytyki, powinno się nim zaopiekować, przyjąć na scenę mu ułatwić, ustalenie się jego na czas jakiś przynajmniej, zapewnić. Należy to do koniecznych obowiązków kierownictwa arty-

stycznego, czyli reżyseryi. Tymczasem dzieje się u nas całkiem inaczej. Utwór oryginalny jeżeli zbiegiem szczególnych okoliczności, a często rzecz zastanowienia godna, wad swoich, jak to ma miejsce naprzykład z komedią: „Radcę pana radcy” nie ściągą hałaśliwej publiczności czyli nie zapełnia kasy, wycofany jest natychmiast z repertoaru, z godnym lepszemu losu poświęchem, i to wtedy gdy zaledwie mała cząstka publiczności poznać go była w stanie. Zauważyliśmy ten fatalny pośpiech przy takich nawet sztukach, które miały za sobą poparcie prassy i zdanie znawców. Zgodzilibyśmy się wreszcie na taki ostracyzm, gdyby z równą sprawiedliwością stosowany był i do sztuk tłumaczonych, tych choćby, co do mierności których, jednomyślna nastąpiła zgoda. *Nomina sunt odiosa*, tém więcej, że nazwisk tych musielibyśmy długi wymienić szereg, w czém odwołujemy się wreszcie do bezstronnego sądu czytelników.

Repertuar przeto całoroczny tak jak się nam przedstawia, nie zasługuje na pochwałę ani co do jakości, ani co do ilości. Nie zapoznał publiczności (z wyjątkiem Hamleta) z dziełem zastanowienia godnym, nie popchnął ani jednej zdolności dramatycznej naprzód, nie dał popędu ku rozwinięciu talentu ani jednemu z młodych artystów, o których tém usilniej starać się trzeba, im mniej jest widoków zastąpienia, w najdalszej daj Boże przyszłości, filarów naszej sceny: pp. Żółkowskiego, Królikowskiego i Rychtera.

A za czyjąż to sprawą rozwijają się talenta autorskie dramatyczne i talenta sceniczne, jeżeli nie za sprawą repertuaru, który kształcąc smak publiczności, wyrabia zarazem siły produkcyjne? Jedno z drugim ściśle bywa połączone, a raczej drugie staje się następstwem pierwszego. Ci tylko artyści uczuć zdolni zapał niekłamany, cześć szlachetną dla sztuki i swego powołania, którzy z dumą wymienić mogą role, których doskonale wykonanie zawdzięczali pracy i rzeczywistej inteligencji; ci tylko chlubić się mogą pięknie przetrwanem życiem, którzy utwory nacechowane wyższym połotem, wypowiadali z prawdą i natchnieniem; téj prawdy zaś i natchnienia mimo najlepszej chęci, nie są w stanie zaczerpać w lada jakich komediach obcego autoramentu. Ileżto ról mają artyści w swym repertuarze, które zaledwo wyrecytowane na scenie, wnet giną bez śladu, nie zrobiwszy wrażenia ani jednej chwili! Czyż nie szkoda czasu ich i pracy, sił i talentu, czyż ucząc się rzemieślniczo sztuk rzemieślniczo napisanych, nie stygną i nie marnieją?

Są znowu artyści, występujący zaledwo raz na miesiąc, ba! raz na kwartał! Dlaczego? Zobaczymy. Obrachujmy najprzód wiele przypadło aktów na czas od 1 stycznia 1871 do 1 listopada tegoż roku. Obliczając razem przekłady i oryginalne dramata i komedye, wypada wszystkiego aktów 57, czyli na komedye i dramata tłumaczony aktów 51, na komedye oryginalną aktów 6. Rachując przecięciowo (rachunek to zmniejszony) tylko pięć przedstawień na tydzień, wychodzi ogólna cyfra przedstawień 200, czyli 1/4 aktu na jedno przedstawienie.

Nie rozwodząc się nad znaczeniem tych cyfr mówiących najjaśniej, jak mały rezultat osiąga tak liczny personal warszawskiego teatru, chcemy raczej wniknąć w przyczyny tego smutnie objawionego rezultatu. Przyczyny te objaśnią zarazem dlaczego wielu artystów, zwłaszcza młodych potrzebujących ciągłego wyrobienia, widzi się tak rzadko na scenie.

Artystów wszystkich jest ogólna summa, jeżeli się nie mylimy, trzydzieści pięć. Liczba to poważna, lubo w skład jęj wchodzi żywiły czysto komiczne i dramatyczne. Odliczając mniej więcej do dramatu i wyższej komedii następnych artystów: Królikowskiego, Żółtkowskiego, Rapackiego, Tatarkiewicza, Świeszewskiego, Ostrowskiego, Stolpego, Modrzejewską, Palińską, Bakałowiczową, Niewiarowską i Rakiewiczową, pozostali mogą być użyci przeważnie czysto w komedii lżejszej, czy w krotkowili i farsie, nie bez tego, iżby w razie nadzwyczajnym, nie można było tymi artystami braku zapłacić. Ubytek wszakże tamtych artystów, kierunkiem już talentu przeznaczonych do dramatu i komedii wyższej, nie przeszkadza bynajmniej działalności mogącej się rozwinąć bardzo ruchliwie w Teatrze Rozmaitości. Taki rozdział pracy, takie rozumne rozporządzenie zdolności i jęj zakresu, daje jedynie możność i sposobność grania sztuk większych, stanowiących podstawę każdej większej sceny, a zarazem nie zaniedbywania teatru małego, utrzymującego ruch i ożywienie, i pozwalającego młodym artystom wyrabiać się ciągle, jako też zdobywać doświadczenie sceniczne, bez którego żaden z nich artystą zwać się nie może. O ile wiemy, na wszystkich scenach europejskich, taki rozdział umiętny pracy i talentów istnieje, czém też głównie wytłumaczyć się da obfitość coraz to nowych sztuk, nie zalegających całemi latami pułek bibliotecznych, ani nie osadzających się pleśnią bardzo ponętną, lecz na butelkach starego wina.

W Burgteatrze wiedeńskim (scenie, której nie przestaniemy za wzór stawiać), pięcioaktową tragedję Szekspirowską, przygotowują w przeciągu czterech lub pięciu tygodni, inne zaś lżejsze utwory, mianowicie dramaty społeczne i komedye, w dwóch lub trzech. Szybkość taką skuteczną są w stanie, jedynie przy pomocy powyższego rozdzielania pracy, i dublowania ról ważniejszych.

U nas, nie wiemy, czy konserwatyzm, czy inne jakie powody powstrzymują od dublowania ról, skutkiem czego niechaj podrzędny artysta zachoruje, zaraz sztuka idzie w odwłokę, najzupełniej zależną od stanu zdrowia artysty.

Rada nasza, zaczerpana z poglądu na bieg porządku na scenach innych, i na nieporadność sceny warszawskiej, jeżeli ma znaleźć praktyczne zastosowanie, musi w następstwie logiczném pociągnąć za sobą pewne ograniczenie w organizacyi finansowej artystów, czyli w uregulowaniu tak zwanego *feu*. Nie śmielibyśmy dotykać kwestyi tak delikatnej, gdyby nam nie chodziło o istotne dobro sceny, w tym wypadku bardzo a bardzo od normy tęj zależnej.

Dopóki bowiem pierwszorzędni artyści za rolę w *Hamlecie* będą pobierać takie same *feu*, jak za rolę w „Podstępie pana kapitana“ lub w „Piosnce wujaszka“, w „Safandulach“ takie same jak w „Starym Jegomości“, dotąd, szczerze mówiąc, nie można wymagać izby siły garnęły się ohotniej do dramatu, wymagającego szerszych studyów i cięższej pracy, albo do komedyi wyższej. Mało kto nad miarę i nad żądanie, a z oczywistą szkodą własnego interesu, pracować gotów. Koniecznym więc byłoby uregulowanie *feu* w ten sposób: izby w mniejszej ilości przypadało na utwory lżejsze i podrzędniejsze, w razie, gdyby w tychże wystąpienie którego z pierwszorzędných artystów okazało się potrzebném.

Na tém chcemy zakończyć „uwagi“ nasze, ogólnie zebrane co do wyboru repertuaru i stosownego użycia sił artystycznych, uwagi, które nam podyktowała życzliwość pragnąca zaradzić widocznym niedostatkom i błędom, dającym się stanowczo usunąć przy energii i dobrej woli, bez których nic się nie dzieje pożytecznego na świecie; teraz zaś przechodzimy do szczegółowego, ile możności najtreściwszego sprawozdania z szeregu wymienionych utworów dramatycznych.

Wybierając między autorami francuzkimi, słusznie zacząć się godzi od niewyczerpanej pani Sand. Genialną tę kobietę można zarazem nazwać „najpierwszą wirtuozką pióra i analizy psychologicznej we Francyi.“ Istotnie, pomiędzy tak ogromną liczbą utworów, jaką rok rocznie oddaje pod sąd publiczny, jeżeli nie wszystkie odznaczają się zaletami pierwszych jój dzieł, to przynajmniej na każdym wycisnęła piętno swego potężnego talentu. Niewyczerpaność tomów tej autorki, opiera się na mnogości pomysłów, branych raz z najbliższej chwili, to znowu z ubiegłej społeczno-historycznej przeszłości.

„Margrabia de Villemar“ jest komedią przerobioną z romanu, a chce przedstawić starcie się arystokratycznych tradycy z gwałtownym prądem demokratycznym, objawionym jako szlachetność i cnota. Zadanie to wszakże nie przeprowadzone kollizyą rzeczywistą, bo właściwego starcia się opinij ani osobistości niema. Stara margrabina albowiem, matka dwóch synów z dwóch małżeństw, księcia d'Aleryj i margrabiego de Villemar, opierając się miłości syna margrabiego dla szlachetnej panny de St. Génest nie czyni tego dla arystokratycznych uprzedzeń, ale dlatego, że skutkiem nieporozumień panna de St. Génest, nie zdaje się jój być godną syna. To więc, co byłoby tutaj zaprawą ostrą intrygi, co byłoby lubo zużyтым efektem podbudziło interes, odpada, a zostaje sama tylko gra charakterów i dyalog piękny, dowcipny, a tak właściwy stylowi p. Sand. Typowém znaczeniem wybijają się z pomiędzy wszystkich książkę d'Aleria, panicz zepsuty, hulaka, rzucający parterowi w oczy najzuchwałszym arystokratycznym sarkazmem, a przecież w gruncie „dobry chłó-

piec“ z nieodrodnym poczuciem wielkości imienia, jakie odziedziczył po przodkach. Charakter ten w zetknięciu się z bratem, człowiekiem ponurych namiętności, i z bohaterką panną de St. Génest, chodzącą zanadto na szczudłach moralnego zaparcia się, odstania się w całej świetności kolorów i cieni, w całym blasku najprawdziwszej natury.

Mimo zalet niepospolitych, tego wyższym nastrojem nacechowanego utworu, nie zrobił on na scenie warszawskiej odpowiedniego wrażenia. Publiczności dzisiejszej, zepsutej może realistycznym dramatem, już i taka walka, nie przestarzała jeszcze i ciągle się powtarzająca, wydała się nie nową, a zarazem prawie obcą. Dlatego mimo dobrej gry artystów, a doskonałej pana Żółkowskiego (książe d'Aleria), nie zapełniała teatru.

Téjże autorki „Zamęczenie Wiktoryny“, należy do utworów najzupełniej nieudatnych, świadczących o znużeniu jakie i najpłodniejszego autora napaść musi. Treść zagmatwana, intryga nienaturalna, rozwleczone, nie daje w rezultacie tego nawet, czém pani Sand słynie, to jest jednym lub dwoma wybitnie narysowanymi charakterami. Uczucia są tu wzięte zbyt abstrakcyjnie, nie obdarzając osób energią, ani nie motywując szczegółów, skutkiem czego rzecz cała mało widza obchodzi, ani go ziębiąc, ani grzejąc. Stary buchalter Antoni, przywiązany ślepo do swego chlebobdawcy pana Vanderke, przeznaczając córkę swą Wiktorynę urzędnikowi z tegoż bióra Robertowi, ale córka kocha młodego Aleksego Vanderke. Ztąd walka w jéj sercu, jaką bacząc na różnicę majątkową, na wolę ojca, utaić pragnie, dopóki p. Aleksy nie skoczył po rozum do głowy i również się nie przekonał, że kocha Wiktorynę. Kończy się więc jak zwykle w komedjach: ale całość nuży, a przedewszystkiem nudzi; zapachu niema nikt: Robert *udaje* zazdrość, Aleksy gwałtowną miłość.

Pani Bakałowicz grająca Wiktorynę, ratuje sztukę od upadku za pierwszym razem, lecz i tak sztuka ta już znikła z repertuaru; pocóż ją było odgrzebywać z zapomnienia, któremu dawno już uległa w archiwach teatrów paryzkich?

Cóż tu dopiero powiedzieć o takim poronionym utworze jak „P. de Chambley“ Dumasa ojca? Przeróbka to z powieści: „Ansi soit-il“ tak niezręczna, tak nie na Al. Dumasa, że zaledwie w akcie piątym i w kilku scenach aktu drugiego odnajdujemy technikę tego wytrawnego pisarza, który przecież przed W. Hugo jeszcze, ton nadawał scenom paryzkim. Treść sama ohydna; jeżeli nie przesadna, to w każdym razie tak wyjątkowa, że miejsce jéj nie na deskach teatralnych, boć trafnie autor powiedział, że: „le vrai n'est pas toujours vraisemblable.“ Pani de Chamblay, owieczka z rodzaju tych, które zapominają w biernym posłannictwie o godności swéj kobiecój, ulega mężowi, łotrowi z professyi, tyranizującemu ją bez litości. Odarł ją z majątku, chce ją jeszcze odrzeć z czei niewieściéj. Nic dziwnego, że się tak zgnębiona kobieta pokochała w jakimś panu de Villiers, który staje się aniołem opiekuńczym,

szafującym majątkiem i osobą swą bez żadnej rachuby. W obec męża jęj pijaka i gracza, każdy inny wydać się już musi pół-aniołem. Nie może więc widza zająć żadna scena, nawet ta melodramatyczna, w której pan de Chamblay strzela z pistoletu do pana de Villiers, którego zastaje w pokoju swęj żony. Przyjaciel kochanka, zabijający grzecznie i usłuznie w pojedynku tyrana, wyświadcza największą przysługę zmęczonej publiczności.

Naturalnie, że podobna sztuka po trzech czy czterech razach, składających dowód energii niepotrzebnej kierownika artystycznego, upadła.

Nie do tęj samęj kategorii, ale do bardzo do nięj zbliżonej, zaliczamy „Portrety margrabiny“ Feuilleta, i „Powieści królowej Nawarry.“

„Portrety margrabiny“ jestto obraz dramatyczny czy komedia, bo trudno to oznaczyć, najnieznośniejszego gatunku: nie zasługująca na nagangę, a nie godna szczeręj pochwały; jestto sobie dosyć udatne, a do dyalogów „nie“ — których Feuillet ma kilka na sumieniu. Ani prawdy, ani prawdopodobieństwa, ani idei, ani charakterów, ani wyższęj myśli, a przecież wszystko to trzyma się razem i dosyć żwawo porusza. Młody margrabia X. po śmierci żony przywdziewa grubą żalobę, zamyka się w odludnym zamku, nie przyjmuje nikogo i nie bywa nigdzie, krótko mówiąc; dziwaczaje. W sąsiedztwie mieszka śliczna hrabianka, mająca narzeczonego, świeżo co przybyłego z morskięj wyprawy. Lecz ten gdzieś na okręcie zaślubił kreolkę, i w wielkim jest kłopotcie co tu począć z dawną narzeczoną. Z pomocą garderobianęj, obmyśla przedstawić jakiego męzczyznę, któryby się w narzeczonej jego zakochał, i przez to zwolnił go od zobowiązań. Najeżdżają więc zamek odludny, a wkrótce ów dziwak margrabia, szlochający ciągle przed rozwieszonymi po ścianach „portretami margrabiny“ każe je pozdejmować, koperczaki pali do pięknęj hrabianki, i wnet.. galopem, zakochany jest po uszy, — co było do rozwiązania. Ani mówić tu trzeba o naturalności, prawdzie, psychologiczném motywowaniu. Jestto sobie obrazek kostiumowany i kwita. Panna Popiel i pani Bakałowiczowa robią nadludzkie wysilenia, żeby publiczność wierzyła w tę bajkę, co im się wszakże z przyczyn od nich niezależnych, udać nie może.

Scribe zajmie niedługo w rocznikach teatralnych to miejsce, jakie oddawna zajmuje Kotzebue w repertuarach niemieckich, mimo że jest bez porównania od germańskiego kolegi wyższy talentem, działalnością i wpływem, jaki swego czasu wywierał na „urobioną“ dla sztuki jego publiczność. Przez 30 lat przeszło, karmić publiczność mieszczańską stosownie do jęj gustu: spokojnie, chłodno, nie wzruszając do głębi, nie wywołując walki opinij, nie rozbudzając namiętności, nie stawiając zagadnień społecznych. *Bawić*, a nie nauczać lub poprawiać, oto był cel jego. I celu tego dopiął; prawda, że tylko do chwili, w której zjawili się nowi zapaśnicy, przynoszący ogółowi *kwestyje* wyrwane z życia, z jęgo najbliż-

szych potrzeb, z tego, co ten ogół bezpośrednio zająć żywo i poruszyć mogło. Komedye Dumasa syna, przysypały gruzem kuglar-skie efekta Scribego. Gorszono się Dumasem, krzyezano na niego lub uwielbiano, ale koniec końców autor ten zaczął wprost o życie, postawił na scenie osoby żyjące a nie figury chińskie, nie automaty nadzwyczajną mechaniką zbudowane. I nagle publiczność dziwić się poczęła, że ją tak długo bawić mogły anegdota historyczne, bohaterowie nad których przygodami nikt za ich życia nie płakał; dowcipy niewinne, morały mieszczańskie zastosowane *ad usum Delphini*, spostrzeżenia nie sięgające poza bulwary. I nagle publiczność zapragnęła czegoś, coby ją krzepiło w trudach tego życia, dodawało odwagi i siły, a przynajmniej pocieszało. Z chwilą takiego samopoznania, runął teatr Scribowski złożony z 400 sztuk, sporządzonych z pomocą niemałej liczby współpracowników. Runął i poszedł w zapomnienie.

Dlatego to zapewne, dla odgrzebania go z ruin zapomnienia, dla tej archeologicznej zasługi, ujrzeliśmy na scenie warszawskiej: „Powieści królowej Nawarry,“ czyli anegdotę pięcioaktową, której bohaterami Karol V, Franciszek I, król Francyi, a przedewszystkiem siostra jego Małgorzata. Króla Francyi więzionego w Madrycie, stara się, ta późniejsza babka Henryka IV, zwołnić podstępem sprytnym i wszelkimi środkami, w co wchodzi jej „opowiadania“ a raczej opowieści, które istotnie pod nazwą: *Heptameron* w r. 1559 wydała. Opowiadania te służą do zaplątania w intrygu Karola V.

Scribe mistrz scenery, mistrz w wikłaniu i rozwikływaniu intrygi, scen niespodziewanych, dworskich figlów i podstępów, trzymał niegdyś w ciekawem natężeniu patrzących na „Szklanke wody,“ a nawet na „Adryanne Lecouvreur,“ ale wszystko na świecie koniec mieć musi, tём też bardziej efekt sceniczny, powtarzany bez upamiętania. Zyczyliśmy powodzenia Królowej Nawarry w jej przedsięwzięciach; ale nas nie zachwycała jej przerwana i zużyta już filuterya, ani nie wzruszały tyrady uwięzionego króla Francyi. Ażeby wierzyć w podobne tyrady, trzeba mieć przed sobą charakter historyczny *wiernie* nakreślony, czego Scribe przy Franciszku I zapomniat. Było sobie dzielny rębajto gotów dla pięknych oczu wypowiedzieć drugą wojnę trojańską, i na tём koniec: kraju zaś swego tak dalece nie żałował, bo inaczej byłby go oszczędzał nie wyścieńczając ciągłemi a często niepotrzebnemi wojnami.

Pani Modrzejewska (Małgorzata) wdziękiem sobie właściwym, rozumnym rozwinięciem gry swojej, ratowała wiele scen, pozostawiających widza zimnym i znużonym; są jednak sztuki które nawet mistrzowska gra zaledwie powstrzyma od upadku, lecz nigdy zapewnić w powodzeniu nie zdoła.

Zupełnie innych odcieni, innych dążności i znaczenia, innéj nawet roboty, są komedye W. Sardou. Nieraz już wspomnieliśmy o właściwościach tego pisarza, i jego znaczeniu w komedyi dzisiejszej francuzkiej. Komedya pięcio-aktowa p. t. *Serapina* nie zamianuje w niczem odrębnej metody autora, ani tём nie dodaje jednego

wawrzynu wicęć do wawrzynów dawno już przebojem, często zbyt łatwym zdobytych. Jestto ten sam sposób, jaskrawy, przedstawiania wady społeczeńskiej, czy, jak w tym wypadku, koteryjnój; bez wniknięcia głębiej w przyczyny, bez zlania sobie sprawy z mniejszej lub większej jej doniosłości. Świętoszkość, które miało swe epoki wybitne we Francyi za Ludwika XIV. za Karola X., w chwili dzisiejszej do której zaliczyć trzeba ostatnie trzy lat dziesiątki, objawia się już wyjątkowo w pewnym gronie, w pewnym stronnictwie a nieomal w pewnej kategorii. Tak zmniejszone, na ważności osłabłe, nie jest już wadą ogólną, nie jest szkodą przynoszącą krzywdę społeczności w jej dążeniach i postępie. Zeszło do śmieszności. Gdyby roztrząsać skrupulatnie, potrzebaby chyba zarzucać komedyo-pisarzom francuzkim, że zamiast uderzać na przesadną formę objawów pobożności, nie uderzają na jej brak zupełny, na roztrój i sceptycyzm, których opłakane następstwa aż nadto w kraju tym uczuć się dały. Dlatego i *Serafina* będzie wyjątkowym zjawiskiem, prawdziwym co do możności istnienia, ale dla braku ogólnej podstawy *nietypowém*. Nadto, Sardou lubi w nakreśleniu charakteru niejasność a raczej dwójznaczność, tak, że zostawiając dowolne pole artyście w wykonaniu, pozostawia zarazem widza w wątpliwości. Tak naprzykład: Serafina ma chwile, w którychby wierzyć trzeba jej szczeremu fanatyzmowi, i znowu takie gdzie się odsłania z widoczną obtudą. Często niewiadomo, czy dawny błąd młodości chce zatrzeć oddaniem córki do klasztoru niby na przebłaganie Boga, czy oddaje ją jedynie dlatego, żeby zostać prezesową jakiegoś filantropijnego towarzystwa. Wydaje się też najjaskrawiej w komedyi, bo inni, mianowicie przedstawiciele dobra (bardzo wątpliwego w tym razie) jako admirał jej dawny kochanek, nakreśleni blado, bezbarwnie i bez siły wewnętrznego przekonania.

Dyalog żywy, potoczny, dowcip świetny, efekta sceniczne niespodziane, są zawsze zaletami tego pisarza i tej komedyi. Prócz tego inne figury, podrzędne wprawdzie znaczenia ale scharakteryzowane trafnie jak *Chapelarda*, świętoszka gastronom, *Plantrosa* filozofa pojmującego życie praktyczne; wesóło zaokrąglają ponętną całość. *Serafina* i na naszej scenie utrzymać się może w repertuarze, jeżeli nie dla tendencji jaką przeprowadza, to dla zalet samej roboty pisarskiej i dla dobrej gry wszystkich prawie artystów.

Chcąc dziś zwłaszcza zrozumieć rozgłos, jakim się cieszyło „Wesele Figara” swego czasu, należałoby przedewszystkiém opisać życie Beaumarchaisgo, pełne przygód awanturniczych, w ciągłej walce z ludźmi i instytucjami; namiętne i pieniacze, mogące się rozwinąć jedynie na tle takiego przesilenia dziejowego, jakim było przededniem wielkiej rewolucyi francuzkiej. Beaumarchais w każdym ze swych utworów, składał owoc swoich opinii lub namiętności, albo przynajmniej szczegół ze swego burzliwego życia. Może chciał przez to wykazać, że charakter i osobiste przymioty wyniosły go z podrzędnego stanowiska do wielkości fortuny i rozgłosu, a może też powinność nakazywała mu umieszczać siebie zawsze

w jakimś kąciuku. Bądź co bądź *Figaro* tém się różni od innych typów zbiorowych, że jest indywidualny, rozsuwający przed oczyma widza rozmaite epoki z własnego życia autora. Komedya ta zawdzięczała niesłychanie swe powodzenie między innémi i temu, że chlostała wszystkie istniejące instytucye satyrycznie, otwarcie i zuchwale. Przyjmowano téż każdy ustęp, najdrobniejszą alluzyę z niezmiernym zapatem. Wszakże pod względem wartości literackiej, niższym jest *Figaro* od *Cyrulika Sewińskiego*; lecz dowcip niepospolity, intryga na wskroś komiczna, intryga zręczna i niezmiernie ożywiona, a nadewszystko rzecz sama, zuchwała przez swą nowość, a nowa przez swą zuchwałość, uwieczniły utwór ten stokróż trwałej, aniżeli by samą bezwzględną wartością na to zasługiwał. Charaktery o tyle są wadliwe, że przechodzą w karykaturę i nie odróżniają się odrębnym językiem, obiektywnością że tak powiem wyrażenia.

Nie rozwodząc się nad treścią doskonale wszystkim znaną, pochwalamy *wznówienie Figara* o tyle, o ile każde dzieło nacechowane wyższym bez zaprzeczenia talentem, zdobić zwykło repertuar; wpływu jednak i wrażenia sztuka ta na naszej publiczności wyrzucić nie mogła, jako zbyt odległa od nas obyczajem, kolorytem wieku i doniosłością. Podobać się tylko mogą i muszą zalety nie starzejące się nigdy, jako: dowcip niespożyty i niezmiernie trafny, i niektóre psychiczne momenta ogólnoludzkiego interesu.

Artyści mieli trudne zadanie wymagające nietylko werwy czysto francuzkiej, wytwornego sprytu, żywości i przytomności umysłu w odpowiedziach krótkich a kłujących jak ostrze sztyletu; ale nadto zaprawienia się rutynicznego na utworach zbliżonych przynajmniej do wyjątkowych tych komedyj Beaumarchaisgo. Dlatego zadowoleni byliśmy z Zuzanny (pani Bakałowiczowej), ale bynajmniej nie z Figara i hrabiego Almavivy. Figaro był za rzewny i sentymentalny, za mało cyniczny, hr. Almavive za powolny i podtatusiały. W ogóle zaś grano tę sztukę nieruchliwie, przez co odjęto jój właściwy powab i charakter.

* *

Jeden ze znakomych krytyków powiedział, że sztuka dramatyczna kwitnęła daleko bujniej w Europie wtedy, gdy nędzne kaganki oświetlały sceny Szekspira i Kalderona, gdy dworacy i markizowie pchali się tłumem na scenę Moliera, aniżeli wtedy gdy cuda dekoracyjne starały przyczynić się do upiększenia i zwiększenia efektów, bo wtedy zapomniano o prawdziwym celu dzieł dramatycznych.

Dwa wszakże narody, przedewszystkiem Anglia i Niemcy stworzyły dramat; atoli odpowiedniejszy dla filozofa, aniżeli dla widza, bo więcej nadający się do refleksyi aniżeli do patrzenia. Tak naprzykład: szlachetna poezya Fausta, nikt nie na scenie. „Sen nocy letniej.” Szekspir nie mógł nigdy prawie być zrozumianym na scenie, gdy tymczasem *Don Juan* Tirso de Moliny obiegł wszystkie teatra europejskie.

Również powiedzieć można że bez porównania łatwiejszym do *przedstawiania scenicznego* jest starożytny *Orest* aniżeli *Hamlet*. Własnością to już jest ludzi że szukają myśli a nie czynu, że dopatrują w tej myśli przyczyn i dopiero te studyują. Nie odrzucając namiętności, chłodzą je analizą. Człowiek Północy gdy cierpi najkrwawiej, pilnie przypatruje się sobie i przysłuchuje własnym jękom. Dlatego może dramaty Szekspira (dramaty, w których akcja jest tylko pretekstem) pozostaną niewyczerpanym źródłem dla dusz marzących i dla umysłów lubiących się zastanawiać Szekspir, dla którego akcja i namiętności były tylko środkiem a nie celem, poświęcił efekt sceniczny dla obserwacyi, dla odcieni analizy, medytacyi, dla studyowania wreszcie charakterów i wydarzeń ludzkich. Nie jest więc, jak ktoś wyraził się słusznie, po za teatrem, ale *po nad nim*. Dlatego to może tak trudno poważnym nawet krytykom, zgodzić się na jednakową ocenę charakteru i doniosłości Hamleta; dlatego to pomiędzy tysiącem komentarzy i poglądów różnych i sprzecznych, jedni upatrują w nim model człowieka z wysokim nastrojem ducha, drudzy połowiczną, nerwową istotę, inni nareszcie punkt wyjścia dla poety, z którego chciał wysnuć swe idee etyczne, religijne i dramatyczne. Dramatyczne w tym względzie, że autor chciał dowieść, jakoby sztuka sceniczna zarówno jak kościół spełniała najważniejsze zadania ludzkości.

Co przedewszystkiem podziwiać trzeba w tej przesławnej tragedyi, to pozorną sprzeczność, która jest jednak najwyższém mistrzostwem, polegającym na tém, że zdaje się iż dramat i charakter Hamleta stoją sobie na przeszkodzie, bo gdy wypadki idą naprzód, popychając prawie gwałtem Hamleta do działania, ten opiera się i wacha, a przecież ostatecznie schodzą się pod wpływem siły fatalizmu nieprzepartej. Łotrostwo przebiegłe króla Klaudyusza, chwiejność i skrupuły mściciela, rozbijają się w obec nieprześląganego dzieła odwetu, posuwającego się naprzód cicho, groźnie a majestatycznie dotąd, dopóki nie uderzy winnych, pociągnąwszy jednak za sobą i tego, który nie umiejąc działać we właściwym czasie, krew niewinnych przelał. Odwet ten przyginając do ziemi czelnych i słabych, jest jakby wcieleniem żywém ironii życia, urągającej się z nędznych przedsięwzięć człowieka. Hamlet również chcący zemstę podnieść do znaczenia aktu społecznego, kończy tylko na zbrodni, która płodzi inne; przeto wykazuje całą słabość samowoli człowieka, jaskrawo odbijającą się od wyroków Opatrzności, zdającą się mówić: „Niewolno wam ludziom, wydzierać mi prawa przeznaczeń, które jedynie odemnie zależą.” Chwiejność ta bohatera, nieporównanej jest logiki i konsekwencyi. Bo oto, kiedy duch ojca domaga się od Hamleta zemsty, kiedy błaga o ukaranie winnego, temu zdaje się w pierwszej chwili że nic nad to łatwiejszego i naturalniejszego. Wykona przecie akt sprawiedliwości i święty obowiązek! Środki znalazłyby się, może nawet w samej matce, szczerze kochającej syna. Hamlet przeto *chce* się zemścić. Wtém następuje chwila rozwagi; zaczyna się wahać. Zabić stryja

na mocy zeznania samego ducha, jestto narazić się na śmieszność w obec świata, bo gdzież są dowody? Jak postąpić ażeby prawda zajaśniała w całym blasku? Potrzeba użyć podstępny; tym podstępem będzie obłąkanie. Pozornie obłąkany, będzie mógł bacznie śledzić wypadki i czekać. Czekanie zgadza się z charakterem a raczej z temperamentem Hamleta. Plan to wyborny: wybieg daje mu sposobność chodzenia swobodnie, podglądania i słuchania, niepokojenia zbrodniarza, czyli zbierania dowodów. Przygotowując drogę do zemsty, dręczy sumienie winnego. Pytanie teraz czy Hamlet wytrwa na tej drodze, czy nie zapomni o tém dobrowolnie przyjętém posłannictwie, boć to wahanie już, rzeczą jest sumienia w człowieku tak szlachetnym jak Hamlet. Wrodzona łagodność wstrętem go przejmuje do środków gwałtownych; kierunek umysłu zaś pobudza do skrupułów. Dlatego mówi naprzemian sarkastycznie i poważnie, melancholijnie i szydlerczo. Z chwilą tych skrupułów, przeklina swą miękkość, sam siebie podżega obelżywemi słowy. Mimo to jednak nieznacznie i z wolna posuwa się naprzód: zemsty nie odrzuci. Między innemi komedya grana w obec dworu przyspiesza zemstę, bo aktorzy odgrywający czyn podobny do czynu Klaudyusza przerażają tegoż tak dalece, że zrywa się z tronu i ucieka. Jestto dowód oczywisty dla mściciela, dowód któryby nawet go był popchnął do czynu, a jednakże jeszcze się zawahał. Myślicielowi pojmującemu co to jest sumienie, wystarcza już samo przyznanie króla, będące dla niego osiągniętym rezultatem *moralnym*. Skrupuły te zlekakania, pochodzą z wychowania, z wrodzonego usposobienia, z sumienia, a zapewne i z umysłu filozoficznego, wypowiedzianego przezeń naprzykład w tej maxymie: „Dobro ani zło nie istnieje samo w sobie, bo wszystko zależy od pojęcia jakie o tém mamy” lub w sławnym monologu: „Być albo nie być.”

Monolog ten jak i cała osoba Hamleta, wypłynęła z najosobistszych marzeń poety, przeistaczających zupełnie prawie bohatera, nie podobnego w tym razie nic a nic do bohatera legendy, z której poeta czerpał. Tém też przeistoczeniem, nadane piętno wiecznego życia tragedyi, w której dzisiejszy człowiek, człowiek wieku XIX, siebie odnaleźć może. Hamlet bowiem to prototyp bajronistów i dzisiejszych ludzi nerwowych, zaniepokojonych o najważniejsze kwestye życia i śmierci.

Nie jest on człowiekiem epoki w której mu żyć kazano, ale człowiekiem nowoczesnym. Idealizm jego i pragnienia duszy wiecznie zaniepokojonej, krwawej ironii słowa we wszystkiem co dla człowieka stanowi śmierć i życie, piekło i niebo, są już pragnieniami i wzruszeniami dzisiejszych pokoleń, patrzących się z zadumą na upłynione wieki. Scena na cmentarzu, gdzie Hamlet z czaszką wręku, bada zagadkę śmierci, nie może się odnosić do wieków średnich, w których katechizm był alfą i omegą kwestyj religijnych. Hamlet grzebiąc myślą w najskrytszych tajnikach przyrody, unosząc się duchem po nad tradycyę i ustalony aż do jego czasów porządek moralny i społeczny, wyprzedza wiek swój. Mógł zaś wiek

wyprzedzić na mocy geniuszu Szekspira, z którego serca został poczęty.

*

*

*

Prócz postaci Hamleta najgłówniejszej, wdzięcznie i uroczo rysuje się Ofelia. Brak samodzielności i energii, odbierający jej w tragedji znaczenie pierwszorzędne, nie pozbawił jej jednak czaru, jaką piękność jej i nieszczęścia wywierają na widzu. Ślepe jej posłuszeństwo dla ojca i brata, wzbudziło wprawdzie pogardę w Hamlecie, pragnącym widzieć w niej towarzyszkę swych czynów, myśli i dążeń, ale nie ogołociło ją z poetycznej aureoli, nie wyziębiło serca słuchaczom, litującym się nad tym kwiatem wiotkim i barwnym, podciętym tak okrutnie i tak przedwcześnie!

Ona kocha Hamleta, łzę i modlitwę posła za nim; tylko niema odwagi cierpieć za tę miłość i zginąć dla niej. I Hamlet kochał Ofelię, i kochałby ją zawsze, gdyby nie postannictwo nakazujące mu usuwać z drogi wszystkie przeszkody, a przeszkodą staje się Ofelia, działająca z polecenia ojca swego i intrygi dworskiej. Kochałby ją jeszcze, gdyby się go nie wyrzekła w chwili najbardziej dla niego stanowczej, gdyby dlań umiała postawić czoło jego wrogom.

Niezrozumiała go, i dlatego posyła ją do klasztoru tak szorstko, i dlatego na cmentarzu jeszcze, gdy grzebią jej zwłoki, pyta obojętnie:

— Kogóż to grzebiecie? — „Ofelię!” — Ach tę piękną Ofelię!

Laertes, to charakter wprost przeciwny Hamletowi. Burzliwy dworak, gotów do boju o lada co, ognisty i namiętny, wprzódy spełniający czyn zanim pomyślał.

Sama myśl zemsty, gdy jeszcze nie wie sprawcy zagrzewa go, pobudza do porwania się na majestat królewski. On niema skrupułów, jemu potrzeba czynu, ślepego choćby. Chęć zemsty tak go zaślepia, że nawet nie po rycersku zatrzuwa szpadę którą ma walczyć z Hamletem; dopiero konając przebacza i prosi o przebaczenie.

Polonyusz, typ dworaka, zrodzonego i osiwiiałego w tój atmosferze; humor jego i dowcipy są śmiesznościami, których o sobie nie przypuszcza, a które oświetlają promykiem wesołości ponurą melancholię Hamleta. Usłużność giętka Polonyusza, stanowiąca podstawę jego charakteru, przyczynia się do rozwiązania intrygi, której co prawda sam pierwszy pada ofiarą. Zginął na wyłomie służalstwa, któremu całe życie poświęcił. Bardzo wiele innych jeszcze szczegółów jako i charakterów podrzędnych, ale nieminiej uderzających życiem i logiką swego bytu, zasługiwałyby na rozbiór szerszy, którego w tych ramach podjąć się nie możemy; to pewna jednak, że niema w tój tragedji sceny tak drobnej, któraby nie miała ważnego znaczenia, służąc czy to do ukazania wszystkich postaci w świetle i cieniu, czy też do uwydatnienia głównych momentów intrygi tragicznej. Nawet mnogość wypadków i zdarzeń, która się niektórym

wydała zawikłaniem, jest przecież jednym dowodem więcej mistrzostwa w zawładnięciu przedmiotem.

Sztuka też ta, jakkolwiek tak bardzo odmienna od dramatu realistycznego do któregośmy nawykli, nie mogła nie wywrzeć potężnego wpływu na naszą publiczność. Świat niecodzienny a mimo to psychologicznie najprawdziwszy, treść niezwykła a możliwa, bohaterowie niepospoliccy a przecież zachowujący prawdziwe cechy człowieczeństwa, obudzają mimo przesądów, poczucie pigkna, przygotowując zarazem zrozumienie dalszych tego rodzaju arcydzieł. Przypnieć też trzeba, że artyści teatru warsz. grą swoją, która w takich utworach roztrzyga o powodzeniu, przyczynili się dzielnie do utrzymania sztuki tej w repertuarze. Ograniczamy się pochwałą najszczerzą dla gry pani Modrzejewskiej (Ofelii) i Królikowskiego (Hamleta).

Wspomnieliśmy powyżej, że mamy pomówić o dwóch tylko sztukach oryginalnych: „Mentorze” hr. Fredry (syna), i „Znakomitych” komedyi F. Szobera.

„Znakomici” utwór p. Szobera, nazwany został dosyć zuchwale *komedyą*. Nazwanie to pasując samowolnie, piszącego na autora, mającego wyraźny zamiar postawienia pod pręgierzem śmieszności i wad społeczeństwa mniej lub więcej szkodliwych, podaje zarazem prawo sądenia utworu tego surowiej, aniżeli przy skromniejszej intytulacji, np. *krotochwili* wypadało. Temat tego rodzaju, jaki nazwanie szczęśliwie nasuwa, wymaga nietylko niezwykłego daru obserwacyi, potężnego doświadczenia i znajomości świata, ale nadto owego umiarkowania w satyrze, powściągliwości w malowaniu szczegółów, które zbyt jaskrawo naprężone przemieniają charaktery w chwiejne cienie, poruszające się karykaturalnie. Nawet w *krotochwili*, gdzie karykatura w dozwolonych granicach istnieć może, nawet tam trzeba się umieć zatrzymać, i nie zapominać, że światek dowolnie stworzony, jakiś grunt rzeczywisty pod stopami mieć musi. P. Szober, jako pisarz początkujący, zerwał się do lotu, rozwinął skrzydła, ale skrzydła ani go unieść nie chciały w obłoki, ani mu nie pomogły w krążeniu po ziemi. Z szeregu „Znakomitych,” których wynaleźby można tyłu w każdej gałęzi nauki i sztuki, w każdym stanie społeczeńskim, gdzie próżności jakakolwiek furta się otwiera, zdołał wyszukać zaledwie dwie figury: niejakiego p. Damazego, niby uczonego, niby literata i astronoma, niby Bóg i autor wie co, i panią Berenikę, niby autorkę dramatyczną, której sławę głosi przesadnie i bezustanku mąż jej idiotyczny, istny kandydat do domu waryatów.

Tu już autor popełnił omyłkę; bo jeżeli chciał stworzyć typy komiczne, to ci pseudo-znakomici powinni byli albo szczerze wierzyć w swoją znakomitość, przezco staliby się rzetelnie śmiesznymi i komicznymi, albo grać w lisa, czyli udawać tylko znakomitych *przed światem*, w gruncie dobrze wiedząc o swój niemości. Takie też dwa rodzaje znakomitości napotkać można w świecie, takie więc nadają się doskonale do komedyi. Tymczasem p. Damazy ani jest

tyłe przebiegłym, iżby dla jakichś celów materyalnych udawał znakomitego, ani też wierzy w siebie i w swą wielkość, przeciwnie na zapytanie uczynione żonie: czy jest rzeczywiście znakomitym? ta odpowiada mu szczerze, że go tylko dla sławy i chleba takim głosi. Pani Berenika zaś, jedynie dla pokrycia jakiegoś niezrozumiałego i zawikłanego romansu przed mężem, bawi się w znakomitą. Właściwie przeto jedna jest tylko postać w całej komedyi, a przecież tytuł mamy w liczbie mnogiej. Nareszcie, jakie zdanie chciał autor przeprowadzić, jakie przeprowadził? Jeśli chciał wykazać śmieszność a nawet szkodliwość takich indywidualów, podszywających się pod zasługę, do której nie mają najmniejszego prawa, to należało się, jakeśmy rzekli, zacerpać głębiej i *wszechstronniej*. Jeden najdoskonalszy choćby typ pseudo literata, nie wyczerpuje szeregu tyłu napuszonych powag, zawadzających w drodze prawdziwej pracy i prawdziwej zasłudze. A nadto, niechby się tacy znakomici w komedyi kręcili około jakiejś żywotnej sprawy, którąby właśnie nicością swoją przywiedli do upadku. Przedmiot bowiem winien być zastosowany w kontraście, to jest przedmiot winien być ważny i poważny, a tylko ludzie mali, niedołężni i śmieszni; wtedy rozświeciłyby się niejasnemu oczy, i zaczęłyby umiejętnie odróżniać w życiu. blichtry od prawdy, nędzną blagę od rzeczywistej działalności; wtedy zrozumianoby gdzieżto dałyby się zastosować Molirowskie niezapomniane słowa: *dignus est entrare in nostro docto corpore*.

P. Szober daleko pozostał za postawioném, powtarzamy, zuchwale zadaniem. Zamierzył się herkulesowo, ale ręka opadła mu bezwładnie. ❖ przedmiotu obranego szczęśliwie choć niezbyt oryginalnie, nie wy dobył sztab złota jakie się wydobyć dało, a co gorzej, obrobienie, styl, sposób wyrażenia się, przypomina niestety tak zwany: *genre poissard*. Czemuż nie przykroił rzeczy na krotchwile? wówczas przebaczyłyby się wiele i styło wi, i charakterystyce i sytuacji.

Treść wcale niebogata. Pan Jakób, mąż Bereniki, od pierwszjej sceny dowodzi wszystkim do znudzenia, że żona jego jest znakomitą, a przeto i on znakomity i służący jego; na to zjeżdża z Warszawy p. Damazy, którego rekomenduje żona jego, heród-baba pani Barbara, również jako znakomitego, z czego wywiązuje się kłótnia nienajwytworniejsza i nie odznaczona humorem.

Ta kłótnia prowadzi do intrygi, bo pani Barbara przez zemstę odkrywa romans Bareniki z kuzynem Ernestem. Powikłania mnożą się, jedne nieprawdopodobniejsze od drugich. Mimoto a raczej dla kilku szczegółów w charakterystyce osób, dla kilku zwięzłych dyalogów, okraszonych ową wesołością, która budzi śmiech ogólny, radzimy autorowi wytrwanie, ale wytrwanie w sumiennych studyach prowadzących do wytrawności w poglądach na to życie, które nie tak łatwo pochwyć i przenieść na papier czy na scenę, jak się wielu śmiałkom literackim wydaje.

Od kilku lat czytając na afiszach nową sztukę Al. Fredry сына, spieszymy tłumnie i chętnie do teatru, ażeby się, jak niekiedy

mówią, pośmiać, pobawić i rozweselić. W tém tak prostém określeniu, mieści się już prawie ocena wartości komedyi młodego Fredry. *Pośmiać* się, to rzecz nie mała, a nadewszystko nie łatwa; nie jeden z komedyopisarzy francuzkich dzisiejszych, wnikający do głębi w jakąś kwestyę socyalną, dałby wiele za taką szczerą i serdeczną wesołość publiczności.

Młody Fredro, rozpoczynawszy zawód swój pod wezwaniem głośnego i zasłużonego imienia swego ojca, zrobił odrazu wyłom w sympatyi ogółu. Spadkobierca człowieka tak wielkiego talentu, tak rozgłośnej sławy, pozwalał przypuszczać, że nie zupełnie, a przynajmniej niezbyt daleko pozostanie za swym ojcem. Przypuszczenie to usposobito już uprzejmiej i łaskawiej publiczność, a nawet tych, którzy do utworów oryginalnych przystępują z pewnym niedowierzaniem, a prawie nawet z niechęcią.

W Warszawie dał się poznać młody Fredro komedią jednoaktową p. t. „Przed śniadaniem“, składającą się z kilku scen zaledwie, związanych ze sobą wesoło i zręcznie. Nie można tego nazwać komedią, ale raczej „żartem“ ułożonym dyalogowo. Przez niedostateczną naówczas grę, wypływającą z nieodpowiedniego obsadzenia, sztukę tę zatopiono w falach zapomnienia, co prawda z niezbyt wielką szkodą autora.

Fraszka p. t. „Piosnka wujaszka“ jakkolwiek zakrojem swoim, plastycznością sytuacji, jakoteż jowialnością wyrażeń, razić może delikatne uszy, przywykłe do salonowych pieśzcotliwych frazesów, odznacza się wszakże dwiema zaletami: humorem, który chociaż w tak małej podany dozie, jest jednak szczerym i bogatym, i „swojskością“, czyli tłem wziętém żywcem z naszych towarzysko-kąpielnych stosunków, na którem i postacie wiejskie i małomieszczańskie, zaobserwowane dobrze przez autora, doskonale się rysują. Później ukazał się na scenie warszawskiej utwór większy, bo trzechaktowy, i z zakrojem poważniejszym, bo mający być komedią wyższą p. t.: „Drzemka pana Prospera“, utwór napisany wierszem.

Oczekiwanie publiczności rosło, a z nióm i wymagania. Poważna krytyka zatrzymała się u progu, nie chcąc rzucać wyroku potępienia na niedotrzymanie warunków zapowiedzianych jako *komedyja*, atoli powstrzymać się nie mogła od wyrzeczenia szczerzej pochwały wesołości, tryskającej z każdej niemal sytuacji i z niejednego dyalogu. Poryw widocznie płynął ze źródła nie abstrakcyjnych myśli, ale ze spostrzeżeń schwytych na gorącym uczynku, z życia, tej cudownej księgi, w której tylko ludzie prawdziwie zdolni czytać umieją. Przesada w cieniowaniu niektórych szczegółów w pojedynczych charakterach, piętnująca je na karykatury lubo możebnego istnienia w świecie, nienaturalność niektórych scen i ich niewykończenie, które w tej sztuce stało się grzechem przeciw zasadom wyższego utworu, nie dają jój praw do bytu jako „komedyi wyższej“, ale zawsze dadzą jej niepoślednie miejsce w każdym repertuarze, jako posiadającej niezaprzeczony żywioł komiczny. A nadto pojedyncze charaktery, jak samego pana Prospera, wykończone znamie-

nicie, odlewają postać całą, której nie brak żadnego słowa, żadnego ruchu; kolizye zaś w jakie autor wprowadza tegoż pana Prospera, osobę główną sztuki, są tak obmyślane zręcznie i wesoło, nadają taki tok żywy i barwny całości, że zdolne są pokryć inne niedostatki. „Posażna jedynaczka“ jest również krotochwilą, najczystszej wody, z powikłaniem dowolnym, i z fabułą może nieprawdopodobną, ale z kilkoma charakterami odwzorowanymi z dosadnością malarską, ze znajomością wad i słabości ludzkich psychologiczną. Typy to wzięte z rodzinnego gruntu, na wskrós swojskie i rzeczywiste, pociągające zacnością, bawiące nieszkodliwymi usterkami, nie mającemi nic wspólnego z czarnymi stronami duszy ludzkiej.

Fredro syn, zawładnął samodzielnie i nicograniczenie w dziedzinie krotochwili, czyli w tym rodzaju, gdzie prawdopodobieństwu wolno zastąpi prawdę, gdzie nie chodzi o wyższe tendencje, o nurtowanie w zasadach, ale poprostu o śmiech i rozrywkę. Rozrywka wszakże taka ma swoją głębszą wartość, bo kto wie, czy się nie skuteczniej poprawi kogoś, mówiąc mu prawdę z uśmiechem i łagodnie, aniżeli gorzko i z sarkazmem.

Srodkami wywołującemi śmiech u Fredry syna, są: dowcip oparty na życiowej prawdzie, trafne pochwycenie sytuacji, będące już następstwem wrodzonego daru spostrzegawczego, i śmiałość wypowiedzenia tego, na co nie zawsze pozwala konwenans i maniera przyzwoitości.

Fredro nazywa rzeczy po imieniu, brzydząc się dwuznacznikiem, a ludzi rysuje tak jak ich Pan Bóg stworzył, a jak on szczęśliwie podpatrzeć ich zdołał. Słabostki, śmieszności objawiające się nieraz w jednym ruchu, w jednym słowie, w jednym przyzwyczajeniu, szczegółki które pominię umysł głębszy, ogarniający *przyczyny i skutki*, Fredro zatrzymuje w wyobraźni, przerabia, podając już w formie do pewnego stopnia skończonej, w formie malującej krótkim uczuć orzeczeniem, doskonale osobę, przedmiot lub sytuację.

Powtarzamy, w krotochwili opartej na swojskich nałogach i śmiesznościach, w podbudzeniu wesołości niepowstrzymanej, nie wymagającej objaśnień, okazał się autor ten nie jednokrotnie mistrzem. Czy w „Posażnej jedynaczce“, czy nawet w „Piosnce wujaszka“, czy nareszcie w „Drzemce pana Prospera“ *zakrojonej* jakieśmy rzekli na komedię wyższą, siła komiczna objawia się zwycięzko i niepowstrzymanie. Znać, że to co napisał, napisał swobodnie, w wesołej myśli, bez mocołu, lekko i naturalnie, co wigcej, komiczność ta płynie ze zdrowego źródła, przypominająca cokolwiek starszlachecką żłotego humoru dykteryjkę.

Dary to wrodzone, których nie zastąpi ani praca, ani najsumienniejsze studia, których swoją drogą życzyłyby należało temu utalentowanemu pisarzowi, bo studia przy wrodzonym talencie są tępem, czém kunsztowne szlifowanie dla brylantu.

Po tych uwagach powiedzieć trzeba, że komedia „Mentor“ nie odznacza się tą oryginalnością, jaka cechowała dotychczasowe utwory Fredry syna. Pomysł, charakter, niektóre (Wacława), i często sam bieg akcji, nasuwają pamięci nieustannie „Śluby pańskie“, czcigodnego ojca, i znowu trzy ciotki, śmieszne kobiecin, przypominają „Damy i huzary.“

Treść taka: trzy ciotki, między któremi odznacza się rezonem wojskowym pani majorowa Rówczyńska, *hic mulier*, postanowiły na radzie familijnej napomnieć surowo bratańca swego Władysława Morzanowskiego ex-ufana, przyjemnego hulakę, brnącego w długach bez upamiętania. Ciotki nakazują mu się żenić z panną Jadwigą, córką pułkownika Poryckiego, albo nie liczyć więcej na ich pieniężną pomoc. Władysław niecierpiący stanu małżeńskiego z *zasady*, opiera się tém więcej, że brat jego cioteczny Wacław Rówczyński, śmiertelnie zakochany w téjże pannie Jadwidze. Dla uniknięcia jednak groźby i dopomożenia kuzynowi, układa plan polegający na tém, że pojedą obaj do pułkownika zamieniwszy ze sobą nazwiska, co im się udać powinno, bo ich tam nikt nie zna prócz ciotki Jadwigi pani Rozamundy i panny Jadwigi, naturalnej aljantki, bo również w Wacławie zakochanej. Tak się też dzieje. Młodzieńcy stają u celu podróży. Pułkownik kolega wojskowy ojca Władysława, i wiedzący, że syn nie odrodził się od hulaki ojca, zdumiony zostaje wprawdzie powagą Wacława, źle odgrywającego przybraną rolę, ale może byłby się z tém oswoił, gdyby nie porywczosć Władysława, który zakochawszy się w pani Wandzie Koniewskiej bawiącój w domu pułkownika, wyzywa dwóch konkurentów wiejskich pp. Wrzazgę i Bałagulskiego, rąbie ich, każąc sługusowi pułkownika zaraportować, że pojedynek odbył nie on, ale mniemany poważniej zaczytanego Wacława, dorozumiewa się podstęp, i zamysła dać wszystkim nauczkę, pewnym będąc, że w téj sprawie i pani Rozamunda umoczyła ręce. Napędza wszystkim strachu, posytając po ciotki, i niby nic nie rozumiejąc objaśnień Wacława i córki, chce ich węzłem ślubnym natychmiast połączyć. Rzecz się wyjaśnia, obie pary zakochanych żenią się, a *Mentor* zapomina o swoim wstępie do małżeństwa.

Władysław więc przypomina żywo *Gustawa* z „Ślubów pańskich“, trzpiot jak tamten, i jak on żeniący innych, żeni w końcu i siebie. Wacław zaś mało odrodził się od Albina; również miejsce wujaszka zachwyconego ciągle swym siostrzeńcem, figurują ciotki, a mianowicie ciotka Teressa. Pani Rozamunda jest w téj komedyi jedyną może oryginalną postacią.

A przecież i mimo roboty pospiesznej szkicuującej raczej niż wykończonój, mimo usterków w dyalogach i powtarzań, całość idzie składnie i żwawo do końca, zapewniając sztuce powodzenie state. Pomaga tu, prócz siły komicznej i jej środków pomocniczych, sce-

nieczność, z którą autor ten doskonale obyty, i ciągła pamięć o tém, że ci co przyjść mogą do teatru przysłuchać się jego muzyce, przedewszystkiem ulęknąć się mogą.. nudów. Dlatego z nudami zerwał na seryo, co mu się téż liczy za największą zasługę.

Gra artystów, pomiędzy którymi debiutował p. Felix Benda, artysta teatru krak., zadowolniejszy najzupełniej widzów, byłaby zadowolniła i autora; a cóż może być większą pociechą dla autorów jak przekonanie, że artyści nie tylko chcą tłumaczyć wiernie jego myśli, ale i *umieją?*

Nemo.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Biblia królowej Zofii, żony Jagielly. Z kodeksu Szarospatackiego, nakładem księcia Jerzego Lubomirskiego, wydana przez Antoniego Małeckiego. Lwów, 1871 r.

W pierwszych już latach bieżącego wieku wiadomém było, że w Węgrzech, w miasteczku Szarosz-Patak znajduje się rękopism pergaminowy, zawierający przekład biblij na polski język (1). Pierwszą o niej wiadomość podał Samuelowi Bandtkiemu Józef Dobrowski w r. 1806; lecz Bandtkie do niej nie przywiązywał żadnej wagi, i nawet jęj nie ogłosił. Zwolna jednak wyszło to na jaw; Niemcewicz zdołał już ogłosić wypis i podobiznę biblij w swoich pamiętnikach; potem znalazły się z niej liczne karty w Wrocławiu, w Łomży, które ogłosił Maciejowski; Działyński także dostał sobie podobiznę całej karty i tę ogłosił w *Zabytku*, Kucharski, ale z tego szczęśliwego zdarzenia użytku nie zrobił. Teraz dopiero mamy cały tekst, t. j. ocalałe od zniszczenia szczątki biblij szarospatackiej, który zawdzięczamy staraniom pana Małeckiego i nakładowi księcia Jerzego Lubomirskiego.

Pan Małecki opatrzył tekst biblij przypiskami, słownikiem i obszerną wyczerpującą rozprawą. Oryginału wprawdzie sam nie oglądał, ale polegał na materyałach, których mu dostarczył p. Piekosiński z Krakowa: on był na miejscu biblię przepisał, opisał i podobizny pozdziejował. W istocie p. Piekosiński musi być biegłym paleografem, ale to nie zastąpi przy badaniach własnego oka. Pozostała też nie jedna wątpliwość, którą p. Małecki zaznaczyć tylko musiał, a rozwiązać jęj nie mógł.

(1) Saros-Patak (szary potok) w komitacie Zemplin, liczy przeszło 5,000 mieszkańców; ma od XVII wieku kollegium reformowane z biblioteką przeszło 20,000 tomów.

Na rękopiśmie inną, późniejszą ręką, zaznaczono, że to jest przekład z r. 1455 dokonany dla królowej Zofii, małżonki Jagiełły, z jej rozkazania i przez jej kapłana księdza Jędrzeja z Jaszowic. Z innego źródła, ale z téj samej epoki dowiadujemy się, że biblię tę miał pisać Piotr z Radoszyc. To ostatnie świadectwo jednakże okazuje się całkiem nieprawdziwem. P. Piekosiński odróżnił w pomniku naszym i zdjął aż sześć podobizn rozmaitego pisma, z których każde pochodzi z innéj ręki. Więc nad rękopismem pracowało sześć osób, nie sam tylko Piotr z Radoszyc.

P. Małecki mniema, że ile odmian pisma, tyle niemal jest różnic w języku biblii, a ztąd wnosi, że nad przekładem i pismem naszego pomnika pracowano wiele lat, że początek jej mógł być przygotowany jeszcze dla królowej Jadwigi, więc przed r. 1399, że po przybyciu Zofii w r. 1422, znowu pracę podjęto, a skończono w r. 1455. Przypuszczenie bardzo uzasadnione, jeżeli nie ulega wątpliwości, że ta którą mamy obecnie wydaną biblią, przygotowaną była dla królowej Zofii; a właśnie tego dopiero dowieść potrzeba. Wszystkie świadectwa, które nam p. Małecki w swojej rozprawie przytacza są późniejsze; najpierwsze nawet zjawiło się dopiero w 150 lat po śmierci Zofii. Tym czasem Długosz, który nam zachował wiadomość, że królowa Jadwiga której nie był współczesnym, kazała sobie na polski język tłumaczyć różne pisma duchownej treści, nic nie wie o podobnych zasługach królowej Zofii, której wnuki wychowywał i którą przeżył o lat 17. Dotego Długosz znany przeciwnik nowości w rzeczach religii, nie byłby dopuścił do rąk królowej dzieła tak niedbale dokonanego i dającego łatwość do błędnych rozumowań. Kolejje przypisania tego pomnika królowej Zofii były następujące:

W r. 1590 superintendent wielkopolskich zborów braci czeskich zamieszkały w Ostrorogu ks. Szymon Turnowski, napisał dziełko: (Zwierciadło nabożeństwa chrześcijańskiego), w którym usiłuje dowieść, że zasady reformacyi, to rzecz stara w Polsce, gdzie od początku wielu świątłych ludzi czerpało światło wiary jedynie z Pisma Śgo, że królowa Jadwiga dała sobie biblię na polski język przełożyć, *którą ustawicznie czytała jako prawa ewangeliczka* itd.

To dziełko wydrukowane i ogłoszone było dopiero w r. 1594, i tegoż samego roku ukazała się na nie odpowiedź katolicka: (Okulary na Zwierciadło) księdza Tworzydło. Zbija on wręcz powyższe Turnowskiego twierdzenie o biblii Jadwigi, gdyż kronika żadna o tém nie wspomina.

Zbity z toru ks. Turnowski długo milczał, i odpowiedział dopiero w 1604 roku, już w parę lat po śmierci niebezpiecznego ks. Tworzydło. Odpowiedzią zaś było powtórne wydanie *Zwierciadła*, gdzie w ustęp o Jadwidze wstawił nowe całkiem twierdzenie, że równie bogobojną jak Jadwiga była także Zofia tegoż Jagiełły żona, która dała sobie biblię przełożyć, *na której ustawicznie jako prawa ewangeliczka czytała*, której biblią po polsku pisana na pergaminie jest po dziś dzień w du Ich M. panów Krotoskich. Do

tego wydania dołączył Turnowski dodatek (Jasne oko prawdy), w którym twierdzi, że w tej pergaminowej polskiej biblii czytał dopisek, z którego się okazuje, że była tłumaczoną jak wyżej na rozkaz królowej Zofii przez księdza Andrzeja z Jaszowic, a pisana przez Piotra z Radoszyc 1455 r.

Na tém się gruntuje cała wiadomość o biblii królowej Zofii. Opisany wyżej rodzaj tej wiadomości nastęrcza pytanie, czy to przypisywanie biblii raz Jadwidze, drugi raz Zofii nie jest po prostu chęcią a-katolików nadania swemu wyznaniu pewnego uroku, na którym zbywało mu zupełnie; czy dalej ta biblia pergaminowa królowej Zofii nie jest po prostu *pis fraus* ks. superintendenta Turnowskiego? Jakżeby Długosz nie wiedział o biblii królowej Zofii, jakżeby ks. Turnowski nie wiedział o niej w r. 1590, kiedy pisał swoje *Zwierciadło*? wszak ją znalazł później w swojej parafii.

Nie jestem dostatecznie przygotowany aby na te pytania stanowczo odpowiedzieć; lecz nie mogę się rozstać z myślą, że rękopism szaroszpatacki, sporządzony i przypisany królowej Zofii może dopiero między 1597 a 1604 rokiem, to jest, między odpowiedzią Tworzydły a drugim wydaniem dziełka Turnowskiego. Nie śmiano go przypisać Jadwidze, bo ks. Tworzydło chciał wyraźnego świadectwa: Długosz zaś, jedyne źródło, wyraża się o tłumaczeniach z jój rozkazu w słowach, które się nie dają domyślać tłumaczenia biblii mianowicie. Więc się zwrócono do Zofii, bo o niej nikt nie wspomina w tym względzie.

Podjeżenia moje wspierają przeważnie pismo i język.

Pismo naszego pomnika, jak zaznaczył pan Piekosiński i jak podobizny przezeń dołączone wskazują, jest aż sześciornakie. W ogólności staje ono tuż obok pisma psalterza zwanego Małgorzaty, pierwszój połowy; lecz mniej staranne. Z liter, które mogłyby przedstawiać więcej różności, trzy są *a*, *g*, *z*, w całym rękopiśmie zupełnie jednakowe, bez względu na pisarza i górną część *a* stanowi zawsze lekki zarys, o którego foremności wcale się nie troszczono; *g*, nie przechodzi pod wspólny poziom innych liter, przypominając najczęściej nasze *s*; nakoniec *z* ma postać graj-carka. Te trzy litery stanowią związek między wszystkimi pismami naszego pomnika, i świadczą stanowczo, bez apellacyi, że wszystkie pisma choć różnych rąk, lecz są jednego czasu. Różnice wcale tych lekkich zarysów, któremi zdołały się litery wspomnianego psalterza, a nawet statutu Świętosława, przeczo dawał swemu pismu pozór starszy. Tę samą wstrzeźliwość zachowuje i trzeci pisarz. Reszta: drugi, czwarty i piąty sadzą temi ozdoba-mi w rozmaitej mierze.

Te cechy pisma wspierają naszą nieufność co do pochodzenia biblii od królowej Zofii, gdyż to podobieństwo i różnice dają się wytłumaczyć tylko chęcią naśladowania starego pisma, co nie mogło się udawać każdemu w jednakowym stopniu.

Co do języka, to samo podobieństwo i różnice jak w piśmie, ale z innego powodu. Biblia nasza tłumaczona była z czeskiego tekstu przez polaka, który po czesku bardzo słabo umiał, lecz że robota długa trwała, więc się powoli wprawił. Dlatego z początku zaraz na pierwszej stronie znajdujemy słowa albo czeskie, albo przekręcone, których tłumacz sam nie rozumiał, lub czytać nie umiał. Ulega z początku wpływowi konjugacyi czeskiej; naśladuje czeską formację słów, nawet składnią ze słów, któreby cechowały niewątpliwie język polski starszy od XVI wieku, przytoczyćby można chyba takie, jak np. gospodnia, przymiotnik gospodniowy, i zgłoba. Lecz te słowa używane były jeszcze w XVI wieku w pismach religijnej treści, jako płód nacytania się starych pism i dowód nieprzerwalności historii języka. Wszystkie te chropowatości gęste na początku, znikają stopniowo, w miarę jak tłumacz z czeskim językiem się oswajał; w końcu nawet zdaje się dość czystym i poważnym, ale nie oryginalnym i zawsze pod wpływem czeskiego wzoru.

Pod względem języka więc dzieło jest jednolite, jednej ręki, i może pochodzić tak dobrze z XV jako i XVI wieku, ale z XIV wiekiem nic niema wspólnego.

Bardzo jest prawdopodobne, że tłumaczenia dokonali drukarze, przynajmniej za ich przyczyną się to stało około połowy XVI wieku, każe o tém wnosić związek naszej biblii z Leopolitą, przez p. Małeckiego poświadczony.

Rysunki nawet i herby na pierwszej karcie przychodzą w pomoc naszej niewiarze. Rysunki te bowiem, bardzo zresztą lichy, do XV wieku zaliczone być nie mogą. A jeżeliby to uważać za późniejsze uzupełnienie, na królowej jednakże egzemplarzu, to znowu trudno sobie wytłumaczyć, dlaczegooby w jakie sto lat po jej śmierci naklejano jeszcze jej herby: orła i pogoni, na które pierwotnie nawet miejsca między ozdobami nie pozostawiono, a które nic innego nie są, jak drzeworyty pochodzące z drukarni Hallera z początku XVI wieku. Byłoby widać potrzebne dla nadania dziełu większej powagi.

Cokolwiekby, ponieważ nie ulega wątpliwości, że nasz pomnik tłumaczony jest niewolniczo z czeskiego oryginału i przez nie umiejącego po czesku, może pod względem języka przydać się chyba tylko do porównań.

Do tego pomnika nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi, jak tylko mi się zdarzyła zrzeczność porównania znanych z niego luźnych kart z czeskim tekstem.

W bibliotece Ordynacyi Zamojskich znajduje się jeden wolumen in folio biblii czeskiej. W starój, dość pospolitej oprawie mieści się prawdziwe cacko: na cienkim pergaminie pismo kształtne, drobne, raczej średnie, i tak równe, tak jednakowe i równie staranne od początku do końca, jak piękny świeży druk. Każda wielka litera zaczynająca część jakąś mieści w sobie miniaturę, zrzecznie wykonana często na złotém tle z deseniem. Ta zaś za-

czynająca strona, cała ozdobiona bywa kolorowaniami esami-floresami, które niekiedy ptaszki i złote listki ożywiają. Każda zaś wielka litera zaczynająca wiersz, otoczona jest kalligraficznymi ozdobami pełnymi pracy i wdzięku. Prawda, że widziałem wiele piękniejszych, szczególnież francuzkich, to jednak pewna, że obok tego czeskiego pisma, szaroszpackie ledwie piśmem zwać się może.

Wolumen zawiera biblię do końca psalmów. Części żadnej nie brak, ale tu i owdzie piękność rysunku ośmieliła świętokradzką rękę, zdaje się jeszcze przed oprawą. Psalmi zawierają wszystko to co znamy pod nazwiskiem psalterza i pierwszej i ostatniej karty brakuje. Pismo pochodzi z początku XV wieku, nawet ortografia Hussa; ale język jest starszy. Jestto ten sam tekst, który się znajduje w drezdeńskiej bibliotece i znany pod nazwiskiem biblii Leskowickiej. Tam tylko inna ortografia, starsza. Zapewne tu i owdzie w tekście Zamojskim, muszą być poprawki, lecz to mały jest wagi.

Nie znam historyi tego woluminu, ale mam powód mniemać, że podobny, a może i ten sam egzemplarz służył tłumaczowi naszego pomnika. Mianowicie wiadomość o przekładzie biblii dla królowej Zofii miała się znajdować na końcu księgi Job. Nie można było tego sprawdzić, bo tej księgi niema w szaroszpackich resztach. Jednakże pozostało zdziwienie, dlaczego na końcu tych ksiąg wpisano wiadomość, która staćby powinna na samym końcu dzieła. Otóż tekst Zamojski objaśnia to w połączeniu z moim domysłem. Pod księgą Job w przechodzie do psalterza zostawało do końca stronnicy 27 linii. Tymczasem pisarz potrzebował świeżej całkiem stronnicy, żeby uczcić psalterz pięknym rysunkiem na wstępie. Zostawia więc to miejsce pustem, zaznaczywszy tylko na ostatnich liniach, że poczyna się przedmowa Śgo Hieronima i t. d. To puste miejsce przeszło widać do niewolniczego tłumacza, i na niem to późniejsza sekciarska żarliwość wpisała wiadomość o pochodzeniu biblii od Zofii.

K. M.

*Pamiętnik Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu. Tom I.
Paryż. Nakładem Biblioteki Kórnickiej. 1871. in 4to,
stron. IX i 186.*

Oczekiwany już oddawna tom pierwszy Pamiętników Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, którego wyjście z druku opóźnione zostało skutkiem zaszłych wypadków, ukazał się na widok publiczny. Poprzedza go krótka przedmowa p. W. Folkierskiego, p. o. sekretarza stałego Towarzystwa i redaktora głównego Pa-

miętników, dająca wiadomość o celu i programie tego wydawnictwa.

„Towarzystwo—mówi p. Folkierski—postawiło sobie jako jedno z ważniejszych swych zadań, brać pod uwagę wszelkie prace w polskim języku oryginalnie napisane, a nawet i tłumaczone w razie ich wyjątkowej wartości, dotyczące nauk ścisłych, to jest: matematyki, fizyki, chemii i nauk przyrodzonych, jakoteż i rozlicznych zastosowań tych nauk; prace tak członków Towarzystwa jak i uczonych na zewnątrz Towarzystwa zostających, którzyby wypadki swych poszukiwań Towarzystwu przesłać zechcieli.

Na pierwszym miejscu Towarzystwo stawiać będzie prace oryginalne, nigdzie przedtém nie publikowane; następnie artykuły krytyczne; sprawozdania z ruchu naukowego i postępu nauk w ogólności; wreszcie: wiadomości o zakładach naukowych krajowych i zagranicznych; w ogóle wszystko, co na szerzenie się nauki w kraju wpływać może. Towarzystwo dołoży wszelkich starań, aby dzieła, które wymiarami przekraczają zakres pamiętnika, oddzielnie publikowanemi być mogły.

Nie wątpimy że uczeni nasi, którzyby mieli już gotowe lub zamierzone prace, w interesie dobra ogólnego i nauki zechcą je zakomunikować Towarzystwu pod adresem sekretarza stałego, redaktora głównego pamiętników, *Boulevard Monparnasse 80, w Paryżu.*”

Podaną jest następnie Ustawa Towarzystwa nauk ścisłych, której najważniejszym punktem jest: że Towarzystwo wyklucza ze swych czynności wszelkie cele nie zostające z nauką w bezpośrednim związku. Wyjmujemy z niej tylko następujący artykuł dotyczący się rozbioru prac do pamiętników nadsyłanych:

„Art. 45. Każdy artykuł kwalifikujący się do pamiętników, ma być poprzednio odczytanym na zebraniu ogólném, lub złożonym w czytelni i oddanym w miejscu do przejrzenia członkom którzyby sobie tego życzyli, przez czas dostateczny, w miarę ważności artykułu. Na następném posiedzeniu członkowie czynni mianują komisyję redakcyi *ad hoc*, do której z urzędu wchodzi jako redaktor główny, sekretarz stały. Komisyja redakcyi składa raport, na zasadzie którego członkowie czynni decydują: czy artykuł ma być wydrukowanym bez poprawek, lub też z poprawkami wskazanemi przez komisyję redakcyi, lub wynikającemi z dyskusyi. Artykuły nie wydrukowane składają się w archiwach Towarzystwa i kommuunikowane są członkom, lecz tylko wewnątrz lokalu biblioteki.”

Dość należy jeszcze, że według ustawy „Towarzystwo może wyznaczać nagrody za najlepsze artykuły drukowane w pamiętnikach.” Ustawa przyjęta jednomyślnie na posiedzeniu ogólném Towarzystwa z d. 30 kwietnia 1870 roku, podpisana jest przez prezesa Działyńskiego i p. o. sekretarza stałego Folkierskiego.

Tom pierwszy pamiętników zawiera dalej następujące artykuły:

1) *O sprężystości ciał statycznych jednorodnych* przez Wł. Gosiewskiego. Praca ta w zasadach, metodzie a niekiedy i samych wypadkach, zupełnie oryginalna, różni się od wszystkich prawie w podobnym rodzaju. Porzuciwszy ogólnie przyjęte dzisiaj przypuszczenie, że ciała składają się z cząstek wzajemnie przyciągających się, wolał autor oprzeć swą teorię na znanych zjawiskach sprężystości, aniżeli uciekać się do domniemywanych ich przyczyn. Często także z powodu niemożebności ujęcia faktów rzeczywistych w formuły matematyczne, idealizował je, co wreszcie, jak sam mówi: „we wszystkich podobnych umiejętnościach jest używanem, a wszystkie prawa natury jakie dotąd ludzkość odkryła, taki a nie inny charakter na sobie noszą.” Trzytnaście ustępów stanowią całą rozprawę. Z tych pierwsze jedenaście zawierają ogólną teorię sprężystości, a dwa ostatnie zastosowania jej do teorii ciepła i teorii światła.

2) *O funkcyjach jednoczesnych i jednogatunkowych*, także przez Wł. Gosiewskiego. W rozprawie tej, daje najprzód autor teorię trzech ciągłych, jednoczesnych i jednogatunkowych funkcyj czterech zmiennych niezależnych, z których trzy zmienne są także jednogatunkowemi; a następnie zastosowania tej teorii: analityczne i do teorii sprężystości. Są to rzeczy zupełnie nowe, a wyłożone bardzo jasno i prosto, o ile przedmiot na to pozwalał.

3) *Dowód na twierdzenie Hesse'go o wyznaczniku funkcyjnym.*

4) *Przyczynek do teorii największości i najmniejszości funkcyj wielu zmiennych.*

Autor tych dwóch artykułów, Wawrzeniec Żmurko, profesor matematyki przy akademii technicznej we Lwowie, jest członkiem honorowym Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu.

5) *O względnościach wykreslnych zachodzących między rzutami systemów geometrycznych.* Napisał Jan Nepomucen Franke, korrespondent Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu.

6) *O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyj jednej zmiennej urojonej.*

7) *O nakreśleniu do trzech kół danych leżących na powierzchni jednej kuli, czwartego koła stycznego leżącego na téjże powierzchni.*

8) *O pewnem zastosowaniu wyznaczników funkcyjnych.* Jest to zastosowanie wyznaczników funkcyjnych do dowiedzenia się, czy pomiędzy danemi funkcyjami wielu zmiennych niezależnych, zachodzą lub nie zachodzą pewne związki niezależne od zmiennych, i zarazem jeżeli zachodzą to w jakiej liczbie.

Autorem trzech ostatnich artykułów jest Władysław Trzaska.

9) *Rozbiór krytyczny dzieł p. G. H. Niewęglowskiego pod tytułem: Arytmetyka z teorią przybliżeń liczebnych (tom jeden*

w 8ce, stronnic 352. Paryż 1866) i *Geometrya* (wydanie drugie całkiem przerobione i powiększone, tom jeden w 8ce, str. 780. Paryż 1869). Napisał Adolf Sagajło. Przy tym rozbiorze odbite są nader starannie cztery drzeworyty wielościanów foremnych gwiazdzistych. Przypisek redakcyi mówi: „Figury te, rysowane własnoręcznie przez p. Z. Bertranda członka instytutu Francyi, winniśmy grzeczności p. Gauttier-Villars, wydawcy dzieła pp. Roculié i Comberousse (geometrii elementarnej, w której są zamieszczone), który wyjątkowo nam je udzielił zechciał, zastrzegając jednak wszelką reprodukcję.”

10) *Program przedstawionego do konkursu przez Towarzystwo nauk ścisłych zadania: Ocenienie prac matematycznych H. Wrońskiego.*

Podajemy tu początek tego programu, zawierającego w dalszym ciągu starannie zebrane wiadomości o dziełach Wrońskiego.

„Prace matematyczne Hoene Wrońskiego nie są dotąd u nas należycie ocenione. Jedni je zanadto chwala i bezwarunkowo ubóstwiają; drudzy, przeciwnie znowu, wciąż je z góry systematycznie odrzucają, nieszczędząc nieraz dla ich niesłusznie potępionego autora zbyt poniżających i obelżywych epitetów. Owóż, nie chwalić albo ganić, tylko te prace porządnie roztrząsnąć, spokojnie rozebrać i umiejętnie ocenić, powinno być przedewszystkiem każdej poważnej krytyki naczeluëm prawidłem i główną a jedyną wyższych umiętnych rozpraw zasadą. Tak tę rzecz najwłaściwiej Towarzystwo nauk ścisłych pojmując, na swém posiedzeniu odbytem w Paryżu d. 2 kwietnia 1870 r., przeznaczyło ze swych funduszów *tysiąc franków* nagrody dla tego, ktoby najpóźniej na tydzień przed obchodem czterechsetnej rocznicy urodzin *Kopernika*, to jest akuratnie na dzień 12 lutego 1873 r. pospieszył z przesłaniem na ręce sekretarza Towarzystwa (to jest pod adresem p. Folkierskiego: Boulevard de Montparnasse 80, w Paryżu), najlepiej przezeń rozwiązanego, powyżej przez toż samo Towarzystwo do konkursu przedstawionego zadania, a którego głównym, jak już wiemy, ma być celem: *krytyczne i umiętne dzieł matematycznych Hoene Wrońskiego najprostsze i najściślejsze ocenienie.*

Na témże samém posiedzeniu jednomyślnie przez Towarzystwo przyjętemi zostały *dwa wnioski* następujące:

1ód. Poruczono jednemu z członków zając się niezwłocznie, napisaniem i ogłoszeniem drukiem w Pamiętniku Towarzystwa porządnie rozwiniętego *programu*, zawierającego w swjej części *pierwszej* krótką wiadomość o podaném do rozwiązania przez Towarzystwo nauk ścisłych *zadaniu*; część zaś *druga* programu powinna w sobie mieścić *wszystkie potrzebne warunki* dla chcących mieć udział w tymże konkursie *kandydatów.*

2re. Wybraną została z kilku członków specjalnych *komissya*, posiadająca wszystkie atrybucye zwykle przyznawane *sędziom konkursowym.*

Ci to z grona Towarzystwa wybrani i uważani za kompetentnych sędziów, w dzień obchodu czterechsetnej rocznicy urodzin Kopernika razem się w jedno miejsce na posiedzeniu zgromadzą, gdzie po przeczytaniu i dostatecznym rozpoznaniu rozpraw przesłanych przez przedstawiających się do obecnego konkursu kandydatów, najgodniejszemu z nich przyznają nagrodę *tysiąc franków* przez Towarzystwo nauk ścisłych na ten konkurs ofiarowaną, dołączając przytém zarazem inne fundusze przeznaczone na tenże sam przedmiot a spodziewane z Poznania i Krakowa za pośrednictwem gorliwych starań hr. Jana Działyńskiego.”

11) Kończy wreszcie tom pierwszy Pamiętników: *Nota o funkcjach jednoczesnych i jednogatunkowych* przez Wł. Gosiewskiego. Jest to dodatek do poprzedniej rozprawy tegoż autora.

Taka jest treść książki, o której ukazaniu się podajemy wiadomość czytelnikom naszym. W roku bieżącym 1872, ukaże się tom drugi pamiętników, do którego nadesłane zostały następujące rozprawy, wyliczone na wstępie przez redakcyę:

1) *Kilka uwag o liczbie różnych wartości jakie funkcya może przybierać w skutku przestawień zmiennych do niej wchodzących.* Przez Wł. Gosiewskiego.

2) *Kilka uwag dotyczących się funkcyj wielowymiarowych,* przez Wł. Trzaskę.

3) *Dowodzenie pewnego twierdzenia dotyczącego się funkcyj wielowymiarowych,* przez Wł. Trzaskę.

4) *Rozbiór krytyczny dzieła p. Folkierskiego p. t. Zasady rachunku różniczkowego i całkowego. Tom I-szy. Rachunek różniczkowy.* Przez A. Sągajkę.

5) *O nitroglicerynie i dynamicie,* przez Zalińskiego.

6) *O Astronomii w Polsce,* przez Felixa Kucharzewskiego.

7) *Przegląd krytyczny dzieła p. G. H. Niewęglowskiego p. t. Trygonometria etc.,* przez Wł. Gosiewskiego.

Na końcu redakcyja Pamiętników zawiadamia że tymże nakładem, to jest Biblioteki Kornickiej wyszły już dzieła:

G. H. Niewęglowski. *Arytmetyka z teorią przybliżeń liczebnych i z notami.* 8ka, tom jeden, str. 352. Paryż 1866. Cena fr. 9.

G. H. Niewęglowski. *Geometrya,* wydanie drugie całkiem przerobione i powiększone. 8ka, tom jeden, str. 778. Paryż 1863. Cena fr. 8.

W. Folkierski. *Zasady rachunku różniczkowego i całkowego z zastosowaniami,* wyłożone w sposób przystępny dla początkujących; tom I-szy: wiadomości wstępne; rachunek różniczkowy i zastosowania; powiększony przypiskiem W. Trzaski: O wyznacznikach. 8ka, str. XLIII i 1087. Paryż 1870. Cena fr. 10 (3 rsr.).

Wyjdą zaś wkrótce:

W. Folkierski. Zasady rachunku różniczkowego i całkowego. Tom II. Rachunek całkowity.

G. H. Niewęgłowski. Mechanika rozumowa.

A. Sagajło. Algebra.

A. Sagajło. Geometria analityczna.

Wł. Gosiewski. Wykład mechaniki cząsteczkowej (molekularnej).
F. K.

Pamiętniki Benjamina Franklina przez niego spiswane. Przekład z francuzkiego. Warszawa 1871. W drukarni A. Ginsa.

Zajmująca ta autobiografia ułożona przez Franklina w 65 r. życia, składa się w pięciu pierwszych rozdziałach z listu pisanego do syna, i obejmuje ciekawe ustępy z życia tego znakomitego człowieka, które sam streścił w następujących słowach:

„Urodzony w ubóstwie i bez wychowania doszedłem nie tylko do dostatku ale i sławy; los mi sprzyjał. Nieraz marzyłem, że gdyby ta szczęśliwa gwiazda i nadal mi przyświecała, tobym rad powtórzyć to życie. z warunkiem jednakże, jaki służy pisarzom poprawienia w drugiem wydaniu błędów, w pierwszym popełnionych, również zamienienia niektórych wydarzeń życia mego na przyjaźniejsze. Zresztą i od tego warunku odstąpiłbym, byle tylko odżyć raz drugi; lecz że to rzecz niemożliwa, a przypomnienie przeszłości jest powtórnem życiem, więc ją przebiegam w pamięci, a dla utrwalenia spisuję.”

Po szczegóły odsyłamy do dziełka, wydaniem którego autor zrobił przysługę prawdziwie użyteczną. Przekład jasny, lubo nie zupełnie wolny od usterek językowych: np. wybrałem dla ciebie *stoliczka*, kupilem *kołowrotka* (str. 196), zamiast stoliczek, kołowrotek.

Dołączona w końcu korespondencya Franklina, mniejszego jest znaczenia.

Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych przez A. D. Lwów 1871.

Pani A. D. wychowanie i wykształcenie kobiety wzięła do serca. Nie wystarczyło jej to, co na tém polu pozostawiła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Eleonora Ziemięcka i Wojnarowska w „Pierścionkach Babuni”; pierwsza bowiem zajęła się tylko kwestyą wychowania, a druga wykształcenia; autorka zaś *Kilku myśli* rozumie, że całością samoistną w tym względzie może

być dopiero wychowanie jako udoskonalające wszystkie władze człowieka, a wykształcenie czy to umysłowe, czy moralne jest jedną z jego gałęzi, bez której wychowanie nie byłoby całkowitem i skończonym, ale która sama i swą siłą ostaćby się nie mogła. Niepopularność dzieł p. Ziemięckiej staje na przeszkodzie ku zlaniu owych prac jednostronnych w uzupełniającą się całość, a *Pierscionki Babuni* jako powieść tylko, jakkolwiek cenna i moralna, obudzi jedynie w sercu dziewczęcia kilka zacnych myśli i popędów, stanowczego jednak wpływu na wychowanie kobiet wyrzucić nie zdoła.

P. Roman Bierzyński autor znanego dzieła: „*Somatologie de la femme*,” wydał broszurę p. n.: *Nicco o prawie kobiety do nauki i pracy*. Jestto rozwinięcie zasadniczej myśli, jaką w powołaném dopiero dziele wyłożył. Chłocze on i tu ze zwykłą sobie werwą ekscentryczności emancypantek amerykańskich i europejskich, ale z miłością prawdy i uznaniem praw kobiety w rodzinie i społeczeństwie, ocenia jej właściwe stanowisko, jakie jej Opatrzność, natura jej własna i powołanie nakreśliły. Stanowisko to wyjaśnia podstawami chrystyanizmu, który kobietę chce mieć towarzyszką mężczyzny, i nie połączy on tego w jedno, co Najwyższy rozdzielił na dwoje, aby całość doskonałą i zgodną utrzymać. Niema tu ani mężczyzny, ani kobiety, oboje są równymi (Gal. 3, 28. Św. Paweł do Kor. 11). Mężczyzna (mówi Pismo Św. 1, Cor. 11, 7) jest obrazem Boga i honoru, kobieta honorem domu.

Po bliższe a bardzo nauczające szczegóły, odsyłamy czytelnika do samej broszury, której *Dodatek* zasługuje na uwagę z powodu, iż wylicza ważniejsze z prac nowszych w tym przedmiocie podjętych, a głównie w literaturze niemieckiej. *M.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Syrczeń 1872 r.—Z nowego wydania „*Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego*” przejrzanego i poprawionego przez autora wyszły: „*Dwa światy*” w 4ch tomach i tom pierwszy: „*Chaty za wsią.*” Na czele téj ostatniej znajdujemy ciekawy wstęp autora z datą: „Drezno. Czerwiec 1871 roku.”

„Nieboszczyk Syrokomla (pisze w nim J. I. Kraszewski), Panie mu świeć nad duszą, w jednym z listów do mnie pisanych, żądał na pamiątkę rysunku, ale chciał by mu posłać co domowego, swojego, coby kraj przypominało. I poszły naówczas gdzieś schwyczone w podróży *Stare wrota*, jakie niedawno jeszcze u nas widzieć było można, do gumien i do dworów prowadzące. Z tych starych wrót, poeta stworzył poemat, a rysunek posłużył mu za ilustracyę.

Tak samośmy z widoku lepianki na rozdrożu za wioską wołyńską i ozłoconej ostatnim zachodzącego słońca promykiem, ulepili tę *Chatę za wsią*. Łatwo się domyślcć czytając, że ona pisaną była w tych szczęśliwszych czasach, gdyśmy wsie mieli i na wsi mieszkać mogli, gdy się oczy pasło lasami i zielenią, a o uszy obijały się co dzień rozmowy ludu, i o życie ludu ścierało się dzień cały. To téż „*Chata za wsią*” cała jest na wzorach z natury, na żywych bytu ludowego materyałach osnuta. Od r. 1852 gdy pisaną była, upływa prawie lat dwadzieścia; ludu tego i życia już niema. Co było obrazkiem stało się nicomal historyą. Zmieniły się stosunki dworu i wsi, mienia, pracy, obyczaje, mowa, pozostał tylko krajobraz i tło téż same. Powieść drukowana była najprzód w Bibliotece Warszawskiej, potem wyszła osobno u B. M. Wolffa w Petersburgu. Z tego wydania był dokonany przekład rosyjski w *Bibliotece dla Cztenia* drukowany, a w r. 1856 francuzki miał wyjść w Bruxelli. Tego ostatniego nigdyśmy w rękach nie mieli, dowiadujemy się o nim z notat p. Estrejchera. Cygański język i obyczaj studyowaliśmy podług źródeł nam dostępnych a mało znanych; za onych téż czasów, nietrudno było u nas na Wołyniu spotkać się z cyganami; mieliśmy ich jako kowali osiadłych w wioskach, i wiele się o nich nasłuchać było można. Rzecz jest całkiem z wołyńskiego bytu wzięta, bo i autor naówczas jeszcze w tym pięknym, wesołym i poczciwym kącie mieszkał od r. 1836 począwszy aż do 1859 jako gospodarz wiejski, nieustannie na oczach mając wieś, wieśniaków, krajobrazy i życie ówczesne które już nigdy nie wróci. Z wołą i mimowoli odbiło się ono w téj powieści.”

— Z wydania *zupelnego* poezyj Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli), wyszły dwa tomy dalsze. Piąty obejmuje oryginalne utwory dramatyczne: *Hrabia na Wątorach*; *Kalejdoskop jarmarkowy*; *Franciszek z Assizu*; *Kacper Karliński*; *Wiejszy politycy*; *Wyrok Jana Kazimierza*; *Bohdan*; *Natura wilka wyciąga z lasu*; i *Marko*. Tom VI resztę utworów dramatycznych p. n. *Możnowładzcy i sierota*, ale w samych ułamkach; i *Utwory liryczne*. Zastępuje na uwagę staranność wydawcy, w dziale lirycznym, utwory tego rodzaju mamy chronologicznie przedstawione. Przeto widzimy, jak się rozwijał talent poety. Zapewne i wydawca dzieł J. Korzeniowskiego, przynajmniej utwory dramatyczne chronologicznie nam poda, gdy tego zaniedbał zrobić w dziale powieściowym. Ale tu będzie mógł zaradzić skutecznie, gdy przy zamknięciu tego działu, załączy spis powieści chronologicznie ułożony.

— Nakładem księgarni Gustawa Sennewalda wyszła książka z rycinami dla użytku młodocianego wieku p. n.: „Na spodzie okrętu czyli podróż młodego marynarza wśród ciemności.” Przez kapitana Mayne-Reid. Tłumaczył J. Chęciński. (Warszawa, w drukarni J. Ungra, w 12ce. str. 349).

— Gazeta Polska pisze: Dzień 19 lutego 1873 roku jest czterechsetną rocznicą urodzenia Mikołaja Kopernika. Na tę więc rocznicę zamierzają Niemcy wystawić sławnemu naszemu rodakowi w Frauenburgu, gdzie jak wiadomo, jako kanonik przebywał, pomnik. Szczególniej zajmuje się tém „Historyczne Towarzystwo Warmińskie.” Koszta na pomnik ten postanowiło rzezzone Towarzystwo zebrać w następujący sposób: Król Fryderyk IIgi pisał pod dniem 12 sierpnia 1773 roku do Woltera, „że w małym miasteczku Warmii chce postawić pomnik na grobie sławnego Kopernika.” Biskup i kapituła warmińska biorąc z powyższych słów Fryderyka IIgo inicjatywę, napisała w czerwcu zeszłego roku do cesarza Wilhelma Igo, prosząc go, ażeby spełnił słowo sławnego swego poprzednika. W odpowiedzi na prośbę tę odebrał naczelny prezes, pan Horn, polecenie z góry, aby wszedł z kapitułą w porozumienie, co do sposobu i rodzaju wykonania rzezzonego pomnika.

— *Kraków.* Zawiązana przed półtora rokiem komisyja historyczna przy Krakowskiem Towarzystwie Naukowem, w celu wydawania materyałów do historii polskiej, wkrótce wypuści w obieg pierwszy tom swoich publikacyj, który już od kilku miesięcy się drukuje. Według pierwotnie ułożonego planu przez dyrektora komisyji I. Szujskiego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, materyały historyczne ogłaszane być mają w kilku działach, jakoto: *Diplomataria*, *Scriptores*, *Acta* i t. d. Pierwszy tom należy do działu *Scriptores rerum polonicarum*, i zawierać będzie trzy *Dyaryusze* sejmowe z XVI wieku, mianowicie sejmów z lat 1553, 1548 i 1570. Dyaryusz sejmu krakowskiego w r. 1553 prawdopodobnie ułożony przez Hieronima Ossolińskiego, znanego

w owym czasie posła i jednego z przywódców izby poselskiej, znalazł prof. Szujski w cesarskiem archiwum tajnem w Wiedniu; ztamtąd pochodzi również Dyaryusz sejmu warszawskiego z 1570 r., układany przez Rafała Leszczyńskiego, starostę radziejowskiego, również jednego ze znanych przywódców izby poselskiej. Dyaryusz zaś sejmu piotrkowskiego pochodzi z rękopismu biblioteki Kórnickiej, który został udzielonym przez hr. Jana Działyńskiego komissyji historycznej do tego użytku. Porównano zaś go z innymi odpisami tegoż dyaryusza w posiadaniu innych osób zostającymi. Opracowaniem całego tego tomu i przygotowaniem do druku, bardzo pracowitem i starannem zajmował się sam dyrektor komissyji historycznej I. Szujski; w przypisach i dodatkach pomieszczono wiele nieznanych dotąd aktów i dyplomatów, pochodzących z cesarskiego archiwum tajnego w Wiedniu, lub z rękopismów biblioteki Kórnickiej, zbiorów Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego we Lwowie, rękopismów biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, z metryki koronnej i innych źródeł. Zewnętrzna strona wydania bardzo skromna, stosownie do niewielkich funduszów któremi komissyja historyczna rozporządza. Tom ten pierwszy obejmować będzie mniej więcej dwadzieścia arkuszy druku w średniej osemce. W dalszym ciągu swych publikacyj zamierza komissyja zwrócić się do innego działu, i ogłosić kodeks dyplomatyczny klasztoru jędrzejowskiego; następnie zaś kodeks dyplomatyczny kapituły krakowskiej, posiadającej nadzwyczajnie bogaty zbiór dyplomatów od najdawniejszych czasów. Przygotowywa się także wydanie ciekawego zabytku języka polskiego z pierwszej połowy XV wieku. Są to *Modlitwy ubogiego Wacława*, officium czyli *Brewiarz* na język polski tłumaczony, a dotąd zupełnie nieznan. Rękopism zawierający kart 146, w 16ce znajduje się w Peszcie, gdzie odkrytym został przez ś. p. Alexandra Przeddzieckiego, który go własnoręcznie przepisał. Język tych modlitw podobny zupełnie do tak zwanój *Książeczki Nawojki*. Kilka kartek rękopismu fotograficznie odbitych rozebrał i opracował lingwistycznie prof. Suchecki i drukiem ogłosił. Wydanie tego pomnika jest zapewnione: opracowanie lingwistyczne ma sobie powierzone p. Lucyan Malinowski.

Wyszło z druku dzieło: „*Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski*” przez Franciszka Rychlickiego. Praca nie odpowiada jęjtytułowi, zawsze ma niemało ciekawych szczegółów.

Na tutejszój wystawie Sztuk Pięknych znajduje się portret Adama Mickiewicza wykonany przez Artura Grottgera, obraz słynnego malarza włoskiego Dominichino, ofiarowany Mickiewiczowi przed dwudziestu kilku laty przez mieszkańców Medyolanu i krajobraz „Rankiem w puszczy” p. Chełmońskiego malarza z Warszawy, rokującego świetną artystyczną przyszłość. W galerji portretów podobają się powszechnie dwie prace p. A. Grabowskiego i pastele rysowane przez hr. Wodzicką.

Rzeźbiarz krakowski Henryk Stattler wykonał popiersie Antoniego Zygmunta *Helcla*. Czy nie znajdzie on pomieszczenia w katedrze na Wawelu? Zasługi zgasłego badacza nadają mu prawo do tego.

— *Lwów*. Już przed rokiem Zakład imienia Ossolińskich we Lwowie, zaprzestawszy wydawać czasopismo swoje na XII tomie *Biblioteki*, zapowiedział natomiast publikację materyałów historycznych a w szczególności na początek wydanie *Kodeksu dyplomatycznego Tynieckiego*, zawierającego dokumenta dotyczące dawnego Opactwa Benedyktynów na Tyńcu, które z oryginałów odpisał był ś. p. Aleksander Batowski. Same oryginały zaś złożone w Bibliotece Uniwersytetu Lwowskiego, zgorzały w czasie pożaru tejże biblioteki przy bombardowaniu Lwowa 1848 roku. Obietnica ta właśnie w grudniu 1871 roku została dopełnioną. Opuściła prasę drukarską część pierwsza *Dyplomatarjusza Tynieckiego* wydana z owych odpisów porównanych nadto z dawniejszymi kopijami w kopijaryuszu Tynieckim w posiadaniu hr. Wiktora Baworowskiego będącym. Wydaniem tej części zajmował się Dr. Władysław *Skrzydylka*, którego nazwisko wprawdzie na samém dziele nie jest wymienioném, lecz o którego zajmowaniu się tą pracą wiadomo z dorocznego sprawozdania z czynności *Zakładu*. Część ta zawiera dyplomata z wieku XIII, i XIV, od roku 1105 do 1398 w ilości 93 sztuk, na 198 stronnicach w 4-ce, oprócz przedmowy, spisu, i indeksu. Zewnętrzna strona wydania porządna, a nawet dosyć okazała: co się tyczy strony wewnętrznej, to tak ważne dzieło będzie zasługiwało na oddzielne obszerniejsze sprawozdanie. Na początku r. b. ukończonym zostanie druk inszego *Dyplomatarjusza*, mianowicie tom III, *Aktów Grodzkich i Ziemięskich* z tak zwanego *Archiwum Bernardyńskiego*, wydawanych obecnie z polecenia wydziału krajowego galicyjskiego, przez profesora Uniwersytetu Lwowskiego *Ksawerego Liske*. Już przy wydaniu Tomu 2-go postanowiono rozszerzyć te akta do znaczenia kodeksu dyplomatycznego Rusi, i wciągnięto oryginały znajdujące się po za archiwum Bernardyńskiem. Tej samej zasady trzymano się przy wydaniu tomu obecnego. Podczas, gdy do 2-go tomu, najwięcej dyplomatów dostarczały archiwa duchowne; do tomu III weszły w znacznej liczbie, i część jego przeważną stanowić będą dyplomata z archiwów miast galicyjskich na wezwanie wydziału krajowego dostarczone: z miast zaś najwięcej i najstarszych dostarczyła stolica Lwów. Lwowskim archiwum będzie miał ten tom do zawdzięczenia że się w nim około 70 dyplomatów z XIV wieku znajdować będzie; jak wiadomo w tych stronach niema starszych nad dyplomata Kazimierza Wielkiego. Wszystkich zaś obejmować będzie przeszło 130, czyli przeszło 30 arkuszy druku w 4-ce, ściślejszego niż w tomie II oprócz spisów i indeksów. Do świeżo ogłoszonych zbiorów dyplomatycznych, przybywa nowy, który się ukaże za parę miesięcy: „*Kodeks dyplomatyczny Wielicki*” zbiór nadań, przywilejów, przepisów i. t. p. odnoszących się do żup sol-

nych wielickich, poczynając od Kazimierza Wielkiego, aż pod koniec zeszłego stulecia. Większa część tych dyplomatów drukowaną już była w *Dodatku do Urzędowej Gazety Lwowskiej*, i jest odbitką z takowego; resztę dodrukowano umyślnie, gdy dodatek ów wychodzić przestał. Kodeks Wieliczki zaopatrzone będzie w liczne facsimilia starszych dyplomatów.

Ważnego dzieła: *Monumenta historica Poloniae* wydawanego przez Augusta Bielowskiego, tom drugi musiał się opóźnić nieco, i wyjdzie dopiero w r. b; obecnie druk doszedł do setnego arkusza: po *Kronice Wincentego Kadłubka* opracowanej przez samego wydawcę, następuje kronika *Bogusła*, przygotowana przez W. A. Maciejowskiego, następnie kronika *Janka z Czarnkowa*, którą opracował do druku, zmarły niedawno w Krakowie Jan Szlachtowski. W 95 arkuszu rozpoczęto druk *Roczników* (Annales) zaczynając od wyjątków z *Annales Hildesheimenses*, o ile się do dziejów polskich odnoszą. Oddrukowane te wyjątki będą w *Monumenta Poloniae* według wydania w Pertzowskich *Monumenta Germaniae*.— Nakładem księgarni Czajkowskiego i Seyfarta we Lwowie, wyszło dziełko *Władysława Łozińskiego*, w ozdobnym wydaniu p. n. *Z estetyki i z życia*. Są to wykłady publiczne, które autor miał przesłać zimy, biorąc udział w urządzonych staraniem Towarzystwa pedagogicznego wykładach dla kobiet. Wyszedł także nakładem Alexandra Vogla, zbiór poczty *Aurelego Urbańskiego*, p. n. *Szare ptasze*.— Naukowy *Dodatek do Gazety Lwowskiej*, który od paru lat przestał wychodzić, zostaje obecnie z początkiem 1872 r. wznowionym, w zmienionej tylko zewnętrznej formie, mianowicie, zamiast jednego arkusza *folio*, co tydzień, odtąd ma wychodzić raz na miesiąc w zeszytach czteroarkuszowych w 8-ce, podobnie jak w dawniejszym dodatku, i w tym nowym mają być zamieszczane statystyczne, historyczne i t. p. rozprawy do Galicyi się odnoszące: monografie pojedynczych miejscowości galicyjskich, wreszcie mają być tam ogłaszane dyplomaty i dokumenta dawne; pierwszy zeszyt ma objąć rozprawę o stanie szkół w Galicyi, rozprawę statystyczną o ludności Galicyi, według najnowszego spisu przez T. Piłata Docenta wszechnicy Lwowskiej, oraz dyplomata odnoszące się do Ekonomii Samborskiej z XVI i XVII wieku.

Ma się od 2-go kwartału r. b. rozpocząć wydawnictwo nowego pisma literacko- naukowego p. n. *Swit*, redagowanego przez studentów wszechnicy Lwowskiej.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 19 Января 1872 г.

OSTATNI KLASSYK.

WSPOMNIENIE Z PIĘRWSZEJ POŁOWY NASZEGO STULECIA.

III.

Na pustej i jałowej niwie poezyi polskiej, na której gdzieniegdzie wątłe krzewy i blade sztuczne kwiaty z pod cudzego nieba przeniesione, za ledwie oznaki chorobliwego życia dawały; w tej właśnie dobie ciszy i spokoju przed pojawieniem się Grażyny, już ta niwa, ręką skromnego a umiejętnego oracza sprawiona, bujnie okryła się rodzinnym kwieciami, i przygotowaną została do posiewu i nowych nasion zapewniając im plon pewny. Woń rodzinnych fijołków, macierzanki i konwalii, przepachniała w całej atmosferze, napełniając balsamicznie oddech przechodnia, gdy stanął tu na chwilę; wciągał ją też całemi piersiami, które pierwszy raz odetchnęły z nieznaną swobodą.

Tym oraczem był śpiewak *Wiesława*, który mógł powtórzyć z *Gawińskim*:

„Już śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
Obudwu nas w robocie, dwoje widzi zorze.
Bóg pomóż skowroneczku dodawaj nadzieje,
I tobie z mojej pracy pożytek przyśpieje.“

Dla skowronków orał pługiem, ale wkrótce, i króle ptaków spadły na to pole.

Na rok przedtem zanim nieznanie imię Mickiewicza, jak meteor zajaśniało olśniewającym światłem, wyszły dwa małe tomy poezyj pod napisem: „*Pisma Kazimierza Brodzińskiego*“

go.“ (Warszawa, nakład Natana Glücksberga, 1821 roku w 12ce). Były to utwory znane już po części z pism periodycznych, a głównie z *Pamiętnika Warszawskiego*, ale obok nich pokazały się i nieznanne.

Przekłady z *Gelego*, *Szyllera*, *Herdera*, z greckiego, jak i łacińskiego; pieśni *Ossyana*, jak pieśni *trubadurów*, słowiańskie dumy, obok *Abufara* tragedyi francuzkiej *Ducisa*, pieśni *Madagaskaru* podług *Parny'ego*, obok pieśni *Litewskich*, mamy tu razem w jeden wieniec zebrane.

Oryginalne poezye przeważają te tłumaczenia i naśladownictwo; na czele pierwszego tomu: rozmowa z Włochem odzwierciedla duszę naszego poety.

Nic tak jednakże nie maluje nam wierniej jego charakteru, jak mały wierszyk:

DO KONIKA POLNEGO.

Zkądże to wiejski śpiewaku,
Pod mém oknem twoje głosy;
Jakże cię miły żebraku,
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łany,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił;
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mnie bardzo zasmucił.

Nie tobie śpiewaku polny,
Miejskie przystało schronienie,
Ciche gaje, umysł wolny,
Natchnie tylko lube pienie.

I mnie dzisiaj miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze;
Zawieszoną na gałęzi,
Wiatr moją fletnią kołysze.

Więc gościnę w równym stanie,
Przyjm żebraku w oknie mojem;
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę je zdrojem.

Siądiesz czasem na méj lutni,
Tu samotni w wolnej chwili,

Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziem nucili!“

To upodobanie ku wioskowemu życiu wyniósł Brodziński od lat swoich niemowlęcych, to też mu przez całe życie dźwięczy w duszy bezprzestannie melodya ludowej pieśni wraz z słowami namaszczonej prawdą i prostotą, i jak dzwonek skromnej dzwonnicy plebanii, wzywa gromadę sielską do modlitwy, tak dźwięk ten najczęściej dawał mu natchnienie.

I owóż wyśpiewywa z duszy swego *Wiesława* w sielance krakowskiej, co to:

„Choć pracowity, choć pokorny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
Zajechać drogę choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie.“

I daje nam drugie arcydzieło swego pióra: „*Pieśni rolników polskich*.“ Żaden z poetów nie umiał być wierniejszym malarzem naszego ludu, pochwyć jego najwznioślejsze uczucia i porywy, przy całej prostocie naiwnej formy jak Brodziński. Dziewięć tylko jest tych pieśni, które stanowią jakby łączny poemat, i one odzwierciedlają te postacie, które na tle wioskowem jaśnieją, w tych rysach i charakterystyce, która była ich własną, w owym okresie, gdy te pieśni powstały.

Prawda uczuć i prostota, to główna cecha pióra Brodzińskiego: tego żadna szkoła, żadna nauka nie da. Zdobył on ją mimowiednie, wychowaniem wioskowem, i potrafił w nieskażonej myśli i sercu przechować.

Któż z nas nie pamięta, owego wiersza: *Stas i Halina*, który przyrósł do pamięci ówczesnej młodzieży, co go chciwie się uczyła:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa;
Szły obok matek strojne dziewoje,
Szły i za nimi młodzianów roje,
A ja sam byłem!...“

„Niech więc weseli idą szczęśliwie,
 Ja szedłem miedzą po żytniej niwie,
 I smutny byłem, bo szedłem prawie,
 Jak ten robaczek błędząc po trawie.“

Gdzież możemy w poezji z tego okresu a nawet do roku 1830, znaleźć cudniejszy krajobraz wioskowy, jak w tój *przechadzce wieczornej*:

„Dzień rumiany spuścił oczy,
 Cień kwitnące krzewy mroczy;
 Po wsi ścigają się dziatki,
 Niosąc jagody i kwiatki.

Tam dziewczyna w głębi sioła,
 Błędnej krowki na noc woła;
 Słońce za lasy uchodzi,
 Bramy złożone odwodzi.

Koń opuszcza żółte łany,
 Wraca miedzą popętany;
 Grusze, co w polu się bielą,
 Długi ku drodze cień ścielą.

Już zaporą skrzyła chatka,
 Gdzie przy dziatwie sama matka;
 Pastuch do stawu wesoły,
 Krowki zagania i woły.

Ptaszek śpiewem utrudzony
 Już się zniża na zagony;
 Rolnik, co razem z nim nucił,
 Pole z wołami porzucił.

Żebrak, który koło włości
 Wołał we dnie do litości;
 Już się w spoczynek udaje:
 Spiewa nabożnie przez gaje!

Na kościółku krzyż blaszany,
 Błyszczą blaskiem zórz oblane;
 Ptaszki ruszyły się z wieży,
 Dzwonka wołanie się szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana,
 Pada matka na kolana,
 Z dzwonkiem pod nieba sklepienie
 Maryi szle pozdrowienie.

Wzniosła lipa przy kościele,
Długi cień na pola ściele;
Jakoby łzami żałoby,
Rosa upada na groby.

Krzyż spróchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony;
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutne przerywa zacisze.

Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik smutne śpiewy;
Kwiatkom drzemiącym na łące,
Świecą robaczki błyszczące.

Na pagórku po nad łąny,
Stoi prosty słup drewniany;
Na nim w cierniowej koronie,
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki,
Postawiły w dzbankach kwiatki;
Pod nim okropna mogiła
Ciało nieszczęśne pokryła.

Od przechodnia w noc stroniona,
Hoinami przywalona:
Człowiek z nadzieją zwaśniony
Szukał u śmierci uchrony;

Nie chciał w smutku ufać Bogu,
Nie śpi przy kościołka progu;
W nocy, bez pieśni kapłana,
Jego mogiła sypana.

Wiatry tylko między skały,
Między bory zaszumiały;
Kiedy na trawę rzucona,
Smutna płakała go żona!“

Ileż tu szczegółów połączonych ze sobą dla utworzenia całości pejzażu, na którego tle odbija tak malowniczo dramat życiowy! Jak z drobnych kamyków, ręka biegłego artysty układa cudny obraz mozaikowy, tak Brodziński z pochwyconych maluczkich scen sielskich, ułożył obraz równie cudny, a tak poetyczny! Milkną głosy natury: a w tej ciszy wie-

czornój, słyszysz dzwonek kościelny wzywający do *Ave Maria*, i widzisz matkę jak padłszy na kolana odmawia *anielskie pozdrowienie*, gdy w pobliżu przy samotnej mogile samobójcy, na rosistej trawie, smutna wdowa jego zgon oplakuje. A téj modlitwie i żałobie, którą poeta wypatruje oczyma i sercem, wtóruje śpiew słowika, i przyświecają robaczki błyszczące!

Wspomnienia niedawnej przeszłości, w której sam brał czynny udział, są treścią wielu utworów poetycznych, przypominając wypadki dziejowe.

W lirycznych poezjach, zwrócić musimy uwagę na kantatę p. n. *Sztuki piękne*. W niej tak określa powołanie i znaczenie poezyi:

„Tysiączne z mój krainy już skarby wynieśli,
Lecz nikt całej nie zwiedził, nikt jój nie określi.
Dobroczyńcy na ziemi widzisz we mnie wzory,
Nieznana, niewidzialna, dzieł moje zbiory.
Kto powie, czemu piękność jego zmysły mami,
Czemu w dumaniu serce ludzi marzeniami,
Ten powie: istność moję— kto mnie w sercu mieści,
Zna mnie sam— innym tylko mą bytność obwieści.
Natchnienie duszą moją, sztuka jest mém ciałem,
Oboje równie Boskim otrzymuje działem,
Te razem tylko piękność dokładną wydadzą,
I prócz więzów wzajemnych, gardzą wszelką władzą.
Tworzyć w uczonym świecie czarodziejskie światy,
Rozliczne w zgodny wieniec wić natury kwiaty,
Unieść się w górę, godnie zniżyć do prostoty,
Wielbić czyny rycerskie i domowe cnoty,
Znać tajniki serc ludzkich, swe umieć otwierać,
Z dzieł przodków dla potomnych wzór i sławę zbierać,
To moje powołanie: prawda jest me znamię,
W dymie niknie mój ogień, gdy pochlebstwo kłamię;
Całym moim jest celem i jedyną chwałą,
Być jako kwiat kwitnąca, jak owoc dojrzalą.“

Widzimy więc w tym ustępie jasne pojęcie prawdziwój poezyi, i ostateczny rozbrat z formami zapleśniałej klasycyzności. Śpiewak *Wiesława* poezyę mieści w sercu, natchnienie uważa za jój duszę, jak formę za ciało:—Mickiewicz tych samych zasad się trzyma.

Zbiór *pism* swoich zamyka Brodziński wzniosłym *hymnem* do Boga, namaszczoneym prawdziwą wiarą i pokorą chrześcijańską.

W prelekcyi swojej, mówiąc obszernie o znakomitym XVII wieku poecie, *Samuelu* z Skrzypnój *Twardowskim*, wykazując jego wady i zalety, jakby w widzeniu proroczém, wyrzekł te pamiętne słowa:

„Przeczuwam, iż doczekamy się poety, który pojawiwszy *Twardowskiego*, tam gdzie wspaniałość, obyczaje i czyny rycerskie z historyczną prawdą opisuje, będzie umiał z tych bogatych materyałów korzystać, że zachowa wiele bogactw języka, które tylko *Twardowski* umiał mu nadać.“

I doczekał się ziszczenia swojej wróżby, bo *Pan Tu-deusz* wyszedł z pod prassy, gdy śpiewak *Wiesława* już zstępował na spoczynek do skromnój mogiły na cmentarzu w Dreźnie, ale nie poznał *Mohorta*, który więcéj się zbliżył do *Twardowskiego*.

Byłaż więc oryginalna, narodowa poezya przed pojawieniem się *Mickiewicza*? Tak zaprawdę! *I. Bogdan Zaleski* słusznie wyrzekł to poważne zdanie: „że do 1830 roku, jedynym prawdziwym wieszczem narodowym był *Kazimierz Brodziński*;" a *J. I. Kraszewski* zajmwszy się wydaniem pism jego wszystkich, jak pięknie wyraża o śpiewaku *Wiesława*: „Jako człowiek i jako pisarz zarówno, jest jedną z najsympatyczniejszych postaci nie tak dawnój przeszłości. Cześć innym; *Brodzińskiemu* z czcią miłość się należy, bo on tém uczuciem tchnął dla ludzkości, dla kraju, dla ludu, dla języka swojego. Spokojny i poważny cień jego, unosi się nad pierwszymi latami nowój epoki literatury, jak anioł zwiastowania.“

Nikt téż *Brodzińskiemu* nie może odbierać prawa zasługi, że rzeczywistym jest reprezentantem ostatnój epoki naszój literatury, wraz z *Mickiewiczem*. On przygotował wszystko na téj niwie duchowej, ażeby do razu został pojęty i zrozumiany od ogółu twórcy *Dziadów*.

Równocześnie *Brodziński* wraz z poezyami swymi ogłasza drukiem przekład romansu *Goetego*: „*Cierpienia młodego Wertera*.“ Nie dziw, że po nich *Gustaw* obudził taki zapal w młodych umysłach!

Wraz z poezyami *Brodzińskiego*, a przed wydaniem w dwóch tomikach pierwszych utworów *Mickiewicza*, w Warszawie 1822 roku, wychodzi nakładem jednego z najwięcéj

wówczas przedsiębierczych księgarzy Natana Glücksberga, poemat Walter-Skotta: „*Pani jeziora*,” w przekładzie z oryginału angielskiego *Karola Kalinówki* (1).

Mistrzowskie to tłumaczenie w części wierszem, w części prozą dokonane, należy do arcydzieł w tym właśnie okresie. Przekład tak cudny, wywołał podziw i uwielbienie ogólne; całe wydanie wrędcie rozchwytało. Wyprzedziło ono *Precyozę* J. D. Minasowicza, i w zachwyt porwało młode umysły. Dość nam tu będzie przytoczyć początek pierwszej pieśni:

„Arfo północna! długo wisząca w kurzawie
 Na jaworze, co zdroje Filanu ocienia,
 Tknęta wiatrem przelotnym brzmiałaś w cichej wrzawie,
 Aż póki bluszcz twojego zazdroszczący pienia,
 Nie ujął każdej struny do więzów milczenia.
 Arfo! Minstrelów arfo! do którejże chwili
 Spać będziesz w szumie liści, w mruczeniu strumienia;
 Nigdyż się głos twój dawném pieniem nie umili,
 Ni mężów rozraduje, ni dziewic rozkwili?

Nie tak za Kaledońskich dawnych dni bywało,
 Kiedy głos twój biesiadom rycerskim przewodził;

(1) Pseudonim ten przybrał Jan Karol Sienkiewicz bibliograf, historyk i poeta, od miejsca swego urodzenia wioski *Kalinówka*, w Kijowskiem, powiecie Taraszczańskim. Przyszedł na świat w roku 1792, początkowo nauki pobierał w Humanu i Winnicy, wyższe zaś kursa kończył w liceum Krzemienieckiem. Po odbyciu przez lat kilka podróży po zachodniej Europie, bawiąc najdłużej w Anglii i Szkocyi, zapoznał się bliżej tak z tymi krajami jak językiem, i *Pani Jeziora* jest pierwszym tego owocem; powrócił do Warszawy, a następnie był bibliotekarzem w Puławach, kierował miejscową drukarnią, w której oprócz *Dum podolskich* Tymona Zaborowskiego, wiele szacownych dzieł drukował. Pomiędzy temi wspomnieć musiny o piątym tomie zbioru pamiętników J. U. Niemcewicza, i przedruku nadzwyczaj rzadkiego dzieła Dębołęzkiego o *Lisowczykach*. W następnym roku osiadł w Paryżu, i tu wyłącznie oddał się pracom historycznym i bibliograficznym. Pisma treści historycznej i politycznej już po jego śmierci wydano 1862 r. w jednym tomie, umarł bowiem dnia 7 lutego 1860 roku w Paryżu. Na pole literackie wystąpił jeszcze w roku 1816, i do końca życia wierny swemu zawodowi został. Przekłady jego wierszem, szczególnież niektórych pieśni, są małemi arcydziełami w swoim rodzaju tak co do języka jak i formy poetycznej; są też i jego utwory oryginalne. Mąż to wysokićj nauki, znakomity pisarz, — niezmodernowany badacz historyczny, dziś niesłusznie zapomniany, chociaż we właściwym okresie imię jego zajaśnieć musi.

Gdy miłością nieszczęsną, lub zdobytą chwałą
 Obudzał bojaźliwych lub dumę łagodził.
 Za każdą chętną ciszą z wrzawą się rozchodził
 Śpiew górny, harmonijną pałający zgodą:
 On piękności upiękniak, bohaterów rodził.
 Bo zawsze, zawsze lubił pieścić się nagrodą
 Rycerzów pierwszych bojem, lub dziewic urodą!

O! obudź się raz jeszcze! lubo czuję twrogę
 Puszczając drżącą rękę w ten labirynt brzmienia;
 Obudź mi się raz jeszcze! lubo ledwie mogę
 Słabe przypomnieć echo twego dawniej pienia,
 Lubo głos mój niegodny twójego imienia.
 Ni długiem życiem jego dumy mojej pieścićę;
 Lecz gdy choć w jednem sercu świętsze zbudzi drżenia,
 Już nie daremnie tracę struny twoje wieszczę,
 Więc mi się obudź! obudź; czarodziejko jeszcze!"

Pierwszy to raz i ostatni przed rokiem 1830, tak wierny i artystyczny otrzymaliśmy przekład podług oryginału szkockiego poety i powieścio-pisarza, późniejsze bowiem tłumaczenia wykonywano z francuzkich przekładów (1). Tłumaczenie Sieńkiewicza poprzedziło okres Mickiewiczowski i w większej części prozą dokonane było. Dla sprawdzenia słów naszych podamy tu początek téjże pieśni w przekładzie A. E. Odyńca:

Arfo północna! Długo w mroku zapomnienia
 Nad źródłem San-Fillanu zwieszona z gałęzi,
 Wiatr chyba z gór rodzinnych zbudzi twoje brzmienia,
 Nim bluszcz zawistny pnąc się po strun twych nawięzi
 Ujmie każdą i w pętach milczenia uwiezi!
 Arfo bardów! czyż głos twój nie zasłynie szerzej,
 Jak cichy szelest liści, albo szmer strumienia?
 Nigdyż mistrz biegłą dłonią strun twych nie uderzy,
 Budząc westchnienia dziewic i uśmiech rycerzy?

Nie tak było za dawnych czasów Kaledonu,
 Gdy minstrel z torbą wręku na ucztach przewodził:
 Gdy nucąc bój lub miłość rycerskiemu gronu
 Ośmielał bojaźliwych i dumnych łagodził.

(1) W lat szesnaście później, poemat ten Walter Skotta, A. E. Odyńiec przełożył cały wierszem i wydał w Lipsku (u Breitkopfa i Haertela) 1838. Stanowi on tom pierwszy jego tłumaczeń, Sieńkiewicz w swoim przekładzie utrzymał tytuł jaki poematowi sam autor nadał: *Pani Jeziora* (*Lady of the Laku*): Odyńiec zmienił go na *Dziewicę Jeziora* idąc w tém jak

Za każdą przerwą pieśni grzotem się rozchodził
 Zmieszany z strun twych brzmieniem głośny poklask gości;
 Wszystkie ich czucia tchnęły echem twego tonu,
 Bo treścią każdej pieśni był smutek miłości,
 Wielkie dzieła rycerzy, lub chwała piękności!

O! obudź się raz jeszcze! Lubo dłoń nie wprawna,
 Którą cię z grobu mistrzów ima wieszcz zuchwały,
 Obudź się! choć w niej może trwa potęga dawna,
 Ozwie się ledwo echem swojej dawniej chwały!
 Niech jedną pierś rycerskie przenikną zapały,
 Jedno serce poczuje wieszczych natchnień dreszcze,
 Przed jednem okiem z grobu wstanie przeszłość sławna;
 Nie daremnie już będą brzmieć twe struny wieszcze.
 Sam tu więc czarodziejko! obudź się raz jeszcze!"

Jak w poezyi zwolna i nieznacznie przeobrażały się pojęcia stariej szkoły, toż samo widzimy i w rozwoju pobratymczej jej gałęzi powieściowej. Chciwi tej strawy duchowej, tak przyjemnej dla tych od których nauka była daleką, zaspakajali głód swój w pierwszej połowie naszego stulecia, tuzinkowemi tłumaczeniami utworów powieściowych, oczywiście chwytnych z Francyi. Kraków głównie dostarczał tego rodzaju wyroby. *Floryan, Fani de Genlis, Pani Cottin* rozkwilały nasze niewiasty i niedorostków. Ale i w tej atmosferze pasterzy i pasterek, czułości i egzaltacyi sfer wyższych, nagły przewrót nastąpił. I tu położył zasługę Bruno hr. Kiciński. Na pięć lat przed wydaniem poezyi Brodzińskiego, bo w roku 1817, ogłosił przekład z niemieckiego powieści p. n.: *Rinaldo Rinaldini sławny bandyta włoski* w trzech tomikach. Niesłychanego powodzenia doznał ten utwór, pełen świeżości i życia dramatycznego, jak na owe czasy.

Dzisiaj wspomnienie *Rinaldiniego*, litośny lub szydlerczy uśmiech wywołuje; a jednakże w owęj dobie, żadna książka z taką chciwością nie była rozchwytywaną, jak ta powieść. Kilka wydań wprędce wyczerpano z handlu księgarskiego.

wyraża, za przykładem tłumaczy niemieckich i za późniejszym zdaniem samegoż Waltera Skotta, który go za właściwszy osądził. O wyższości przekładu A. E. Odyńca nad Karola z Kalinówki sprzeczki być niemoże, ale zważmy, iż pomimo wyższości A. E. Odyńca, przyznać bezstronnie musimy, że Sienkiewicz, dał na owe czasy najwyborniejsze tłumaczenie Waltera-Skotta, i dał ogółowi wyobrażenie o wartości jego utworów.

I cóż jój dało tę popularność i tak ogromne powodzenie? Łatwo zrozumieć, że społeczność nasza przesycona ckwiliwými bohaterkami i bohaterami, chciwie chwytiała postaci wyraziste, jak obrazy dramatyczne, które się przewijały na tle uroczej Italii w pełnym ruchu i życiu bandytów włoskich.

Rinaldo, rozbójnik, wyгнаł precz rozczulonych pasterzy z umysłu młodego pokolenia, lubo nie zdołał wypełnić chorobliwego wyobrażenia miłości, tak dalekiego od prawdziwego uczucia i prawdy. Pokazał jednakże nowy kierunek w tego rodzaju utworach, w których dramat życiowy grał w całej pełni: był on zapowiedzią i poprzednikiem arcydzieł powieściowych Walter-Scota, które się przejawiać po *Samotniku d'Arlincourt'a* zaczęły. Zobaczymy dalej jaki one wpływ przeważny wywarły na nasze oryginalne powieścio-pisarstwo.

IV.

Kiedy Brodziński wydrukował swoją rozprawę o *klasy czności i romantyczności*, zwróciliśmy uwagę że praca ta, lubo chętnie czytana, nie zrobiła należytego wrażenia, ani wywarła przeważnego wpływu na umysły inteligencji. Cóż było tego powodem?

Oto wystąpienie olbrzymiej powagi naukowej Jana Śniadeckiego, który przedmiot ten, obcy dla siebie, pochwycił skwapliwie i z wysokości na jakiej stał zasłużenie, rzucił pioruny na *romantyczność!*

Zaledwie ukazała się Brodzińskiego rozprawa 1818 r., Śniadecki pochwycił pióro, i w tymże roku w samą wigilię *Bożego narodzenia*, mając czasu więcej wolnego swoją *replikę* ukończył, biorąc do niej to godło z *Horacyusza*:

„*Wezmę na siebie własność oselki, która zaostrza do krajania żelazo, chociaż sama krajac niezdolna.*”

Ciekawa ta praca znakomitego męża, zasługuje na bliższe poznanie, ona bowiem dała treść do sławnego wiersza Mickiewicza: „*Romantyczność*” oraz do kilku rozpraw Maurycyego Mochnackiego, które cień rzuciły na zając pamięć Śniadeckiego.

Owoż jój początek.

„W roku bieżącym (1818) w pięciu numerach Pamiętnika Warszawskiego od marca aż do lipca, znakomity w języku naszym pisarz Kazimierz Brodziński uczenie i *przyjemnie*, opisał własność pism klasycznych i romantycznych. Są tam zbawienne rady i rozsądne przestrogi dla poezyi polskiej. Przyszły mi w czytaniu tego pisma niektóre myśli, które posłużą może do wyraźniejszego widoku rad podanych od autora, a silniej powściągną młodzież naszą od polubienia i naśladowania przywar sąsiednich.

„Że romantyczność jest oddzielnym i niby nowym rodzajem poezyi, że się zajmuje i ożywia żałosnym wspomnieniem i tęsknotą do rzeczy przeszłych, albo wznowieniem zdarzeń, jakie bawiły ludzi w wiekach rycerskich, wcale to do mojej uwagi nie wchodzi. Uważam ją z jej niezaprzeczoną znamieniem i pod względem jedynie literatury i oświecenia prawdziwie szkodliwym: to jest, jako niesłuchającą prawideł sztuki, i w swobodnym bujaniu *imaginacyi* szukającą zalet, i jakby nowych dróg bawienia i nauczania. Dlatego piękności greckie i rzymskie, jakoby foremne i postrzyżone ogrody, nie tak przypadają do jej smaku, jak bujne stepy i zarośle azyatyizmu: kocha się radziej w dzikięj, jak przyodzabianęj sztuką naturze. W mojem więc rozumieniu, to wszystko jest *Klasycznym*, co jest godne z prawidłami poezyi, jakie dla Francuzów *Boileau* (1), dla Polaków *Dmochowski* a dla wszystkich wypolerowanych narodów, przepisał *Horacy*: *romantycznym* zaś to co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.”

(1) Pomylił się tu Śniadecki, albowiem *Boileau Despro*, był stawiony i dla nas jako główny nauczyciel. Tłumacz *Iliady*, Franciszek *Dmochowski*, w pierwszym wydaniu *Sztuki rymotwórczej* poematu w czterech pieśniach (Warszawa 1788 roku) który przypisał Stanisławowi Augustowi, we wstępie pisze: — „Co język łaciński między pierwszymi ozdobami swymi kładzie, co francuzi u siebie za cudo literatury poczytują, to ja teraz samo polskiemu językowi przywłaszczam.

„Między mnóstwem autorów którzy o sztuce rymotwórczej pisali, ci największą mają sławę: *Arystoteles*, *Horacy*, *Wida*, *Boalo Despro*, i *Pop* angielski poeta. *Arystoteles* filozof idzie porządnie; stanowi powszechne prawidła, a wniosków i stosunków z nich czynienic, każdemu rozumowi zostawia.

Horacy, człowiek wielkiego dowcipu, umyślnie zdaje się nieporządek udawać, a jako poeta, mówi do poetów. *Wida*, pisze podług prawideł sztuki

Owóż mamy krótko a węzłowato rozwiązane pytanie, co do klasycyzmu i romantyzmu, i to ma być określenie które miało dać „wyraźniejszy widok” rozprawy Brodzińskiego.

Daléj uczony matematyk przechodzi na pole literatury dramatycznej.

„Romantyzm — pisze — nie lubi podziału sztuk teatralnych na akty, sceny i znosi je. Jestto prawda nowością ale bez żadnej zalety; bo zapewne mularza zacierającego dawne po murach napisy, nikt wynalazcą nie nazwie.

„Wzorem romantyków stał dziś *Szekspir*. Żył on w drugiej połowie XVI wieku, kiedy Jan i Piotr Kochanowscy, Szymon Szymonowicz postawili poezję naszą w wielkiej świetności.

„Niemasz w dziełach Szekspira żadnej prawdziwej tragedyi, bo we wszystkich prawie wesołość, a często gruba i nieprzystojna żartobliwość, męsza się do rzeczy tkliwych i okropnych. Są to, jak dziś nazywają, *dramy*; rodzaj zły i zamiarom sceny przeciwny; gdzie jedno czucie osłabia

ki o sztuce, ale zdaje się bardziej Wirgiliusza niż natury trzymać. Boalo Despro, jest nauczycielem, który chce razem dać naukę i przykład uczniowi swemu. Pop, myśli oryginalnie, unosi się wysoko, ale nieporządkiem swych wyobrażeń, dużo czytelnika zatrudnia. Moje dzieło nie jest samém tłumaczeniem, ani téż sobie oryginalności nie przyznaję. Zagrzany czytaniem dzieł o sztuce rymotwórczej, osobliwie Horacego i Despra, chciałem podobnym język ojczyzny z bogactwem. Z obudwóch czerpałem myśli: do drugiego układu szczególniej się przywiązałem. Żem wiele winien, dwom tym wielkim nauczycielom, chętnie wyznaję: ale się téż i moich myśli nie zapieram.” Sztuka rymotwórcza Dmochowskiego, była książką elementarną: z niej uczono po szkołach, i młodzież z niej nabierała wyobrażenia o literaturze a zarazem o przepisach w sztuce pisania; Boalo przeto tak przebrany przez Dmochowskiego po polsku, był i naszym nauczycielem, gdyż w Sztuce rymotwórczej, jeżeli jest odrobina z Horacego, to całe garście z francuzkiego poety.

Książk Jan Gorczyzewski przekładał *Satyry* i listy Boala. Dziełko to (jak sam tłumacz wyraża) Dyrekcyi edukacyi naukowej polecila do zbioru książek szkolnych po kraju. Kiedy pierwsze wydanie rozkupiono, Gorczyzewski w tymże samym roku 1818, kiedy swą rozprawę pisał Śniadecki, wydał w Warszawie drugie wydanie swoich przekładów w dwóch tomach p. n. *Satyry Boala Despro, z przystosowaniem, ich do rzeczy polskich, i w powtórném wydaniu poprawione, tudzież dwanaście listów tegoż autora kilka innych innej ręki wierszem polskim przełożone!* I to wydanie wprędce wyczerpaném zostało z obiegu księgarskiego. Że przekłady te nie były bez przeważnego wpływu na naszą inteligencyą owoczesną, przekonywamy się ze słów „Tłumacza do czytelnika” na czele tego dzieła pomieszczonych.

i zaciera drugie: żadne wrażenie ostać się długo niemoże i zdaje się że autor, co jedną ręką napisał, to drugą maże.”

Po takiej ocenie Szekspira, Śniadecki przypomina pisarzom dramatycznym trzy zasadnicze jedności: *rzeczy, czasu i miejsca* i stawia za wzór po Grekach i Rzymianach, *Rasyana* i *Moliera*.

Musimy przywieść tu zakończenie téj rozprawy, gdyż na nią w piérwszym zaraz tomiku swoich poezyi odpowiada Mickiewicz:

„Romantyczność, radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, żeby nabyć znaczenia w niepodległości; my postanówmy sobie unikać bezprawia i rozwiozłości, bo te prowadzą nie do znaczenia, ale do nierządu i barbarzyństwa!

„Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im *duby*, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby nie było prawidła do sądzenia nas! My szanujmy od dwóch tysięcy lat przepisane prawo, które potwierdziła prawda i doświadczenie; bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi jakich jeszcze nie urodziła i podobno nigdy nie urodzi romantyczność.

Romantyczność jeszcze odrzuca doświadczenie, burzy imaginacyę przeciwko rozumowi, i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka. Nie słuchajmy tych poduszczeń spiskowych, bo najpiękniejsze twory ludzkiego umysłu, są to dzieci pokoju, zgody i harmonii między wszystkiemi siłami duszy, które się nawzajem w ich wydaniu łączą i posiłkują.”

Cała rozprawa Śniadeckiego wymierzona była przeciwko Niemcom, bo u nas, słaby nawet i jedyny tylko odzew o romantyczności Brodzińskiego, zgnieciony i przygłuszony został okrzykiem rozgłośnym trwogi Śniadeckiego, który w niej wołał wielkim głosem:

„Uciekajmy od Romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy.” (1).

Głos ten poważny uczonego i zasłużonego dobrze męza silnie oddziałał na umysły naszej inteligencji. Nikt pisać przeciw niemu nieśmiał ani słówka: klassycy przyklasnęli radośnie, i dumnie podnieśli głowy: romantyczność jak

(1) Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego. Tom IV. „O pismach klasycznych i romantycznych.” str. 34.

drobna gwiazka, zaledwie przeblyskujaca na pochmurnem niebie znikla bez sladu z horyzontu literackiego.

Któzby się spodziwał, że w tym samym starym grodzie i w tym samym roku, kiedy drukiem ogłaszał Jan Śniadecki, brzemieną piorunami rozprawę swoją przeciw romantyczności, pojawi się pierwszy jej apostoł, który gardząc gromami klątwy rzuconemi z wysoka, jednym wierszykiem zachwieje wszystkiemi jego rozumowaniami i w proch je rozprószy!

V.

Jak rok 1818 stanowił już ważny przełom w dziejach literatury naszój, tak teraz rok 1822 daje nam nowy okres.

W tymto bowiem roku ukazały się w pierwotném wydaniu dwa pierwsze tomiki *poezyi Adama Mickiewicza*.

Trudno opisać wrażenia, jakie to zjawisko wywołało w młodém pokoleniu. Wszystkie egzemplarze jakie się ukazały rozchwytało w okamgnieniu. Księgarnia Zawadzkiego i Węckiego w Warszawie, nastarczyć ich nie mogła, całe wydanie wyczerpaném zostało, i dziś ta edycja do *białych kruków* bibliograficznych należy.

Tomik pierwszy obejmował: *Ballady i Romanse*, kilka drobniejszych wierszy i jeden *Sonet*; tomik drugi: *Grażynę*, *Upiór* i *Dziady*, część drugą i czwartą.

Co tylko pisać umiało, co kleiło wierszyki, wszystko rzuciło się do bazgrania ballad i romansów. Przewrót w pojęciach poezyi z szybkością błyskawicy nastąpił, a hasłem wszystkich był wiersz Mickiewicza: „*Romantyczność*“ w pierwszym tomiku umieszczony. Głównie był on wymierzony przeciw rozprawie Jana Śniadeckiego. Zbyt przeważne wywołał on następstwa, i dlatego w całości go tu powtarzamy. Godło na nim położył Mickiewicz z *Szekspira*, tak lekko cenił go przez Śniadeckiego:

ROMANTYCZNOŚĆ.

„Zdaje mi się że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.“

Słuchaj dziewczeczko!
—Ona nie słuca—

To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie niema żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
Ona nie słucha.

To jak martwa opoka,
Nie zwróci w stronę oka:
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niba chwyta, coś niby trzyma:
Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty Jasińku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku:
Czasem usłyszysz macocha!
Niech sobie słyszy, już niema ciebie!
Już po twoim pogrzebie.
Ty już umarłeś? Ach ja się boję!
Czego się boję, mego Jasińka?
Ach! to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
Zimny, jakie zimne dłonie;
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mi do ust usta!
Ach! jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!

Weź mnie, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.
Źle mi w złych ludzi tłumie,
Płacę, a oni szydzą:
Mówię, nikt nie rozumie,
Widzę, oni nie widzą!

Śród dnia przyjdź kiedy? To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie mój Jasińku?
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!
Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś? ach! stój Jasińku!
Ja nieszczęśliwa!“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści:
Bieży za nim, krzyczy, pada.

Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludu gromada.

„Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
„Tu jego dusza być musi;
„Jasio być musi, przy swój Karusi,
„On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.
„Słuchaj dziewczeczko! krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
„Nic tu nie widzę dokoła.

„*Duchy karczemnej tworem gawiedzi,*
„*W głupstwa wywarzone kuźni,*
„*Dziewczyna duby smalone bredzi,*
„*A gmin rozumowi bluźni.*“

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawieź wierzy głęboko,
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu
Miej serce, i patrzaj w serce.

Wiersze kursywą drukowane, są złożone z samych wyrazów i wyrażeń, jakich użył Śniadecki uderzając oburącz na romantyczność.

Wiersz ten wywołał stanowczy rozbrat z klasycyzacją starą: hasłem głów młodych była ostatnia w nim zwrotka; stała się ona odtąd jedynym kodeksem literackim.

W *przedmowie* Mickiewicz określił jasno klasycyzację i romantyczność, objaśnił ich nazwy, a zarazem ballad i romansów, które się poraz pierwszy pojawiają w naszej poezji.

Z ballad, do razu stały się najpopularniejszymi: *Powrót Taty* i *Pani Twardowska*, wszyscy umieli je na pamięć. Naśladowców éma powstała, pomiędzy tymi *Stefan Witwicki*, późniejszy znakomity poeta i powieściopisarz, odznaczył się tutaj. Wydał on bowiem dwa tomy *Ballad* i *Romansów* (Warszawa, 1824 roku), ale gdy ochłonął z pierwszego zapалу, i poznał niedorzeczność swoją, a zarazem niezdarność

tych utworów, z równą skwapliwością jak je drukował, tak nie długo wykupywał, i całe wydanie zniszczył.

Jeżeli historyczna powieść *Grażyna*, uderzała każdego, to *Dziady* zachwyciły i porwały w niebiosa dusze młode, zarówno męskie jak dziewicze! Ileż łez nie wycisnął Gustaw! Nie przesadzimy, gdy powiemy, że twórca *Dziadów* mógł mieć nie jedną kąpiel z tych strumieni sercowych. A grunt już dobrze był sprawiony po temu, przez *Cierpienia młodego Wertera*, Goetego.

Gdziekolwiek się zwrócił, zarzucano cię pytaniami: czy-taleś Mickiewicza? A *Dziady*? W każdym domu kiedy brakło drukowanych egzemplarzy, przepisywane skwapliwie, obie-gały z rąk do rąk, wszędy roznosząc zachwyt i wydobywa-ły potoki łez rzewnych.

Scena dramatyczna nocna w kaplicy, której przewodzi *Guślarz*, ma na czele godło także z Szekspira:

„Są dziwy w niebie i na ziemi, o których się ani śniło naszym filozofom.“

Część *czwartą* *Dziadów*, w której odegrywa się dramat pomiędzy *Gustawem* a księdzem i jego rodziną, uczono się na pamięć, powtarzano całe ustępy, słowem, Mickiewicz opano-wał wszystkie umysły młode, nawet poważniejsze, ale mają-ce więcej życia.

Kiedy przypomnę sobie owe chwile i pierwsze wrażenia otrzymane z poezji Mickiewicza, dusza młodnieje, i jakby w orle skrzydła uzbrojona, podrywa się z kału ziemskiego ulatując w eteryczne sfery, napawając oczy swoje widokiem rajskiej krainy, a pierś oddycha całą pełnią swobody, karmi się balsamiczną wonią najcudniejszych kwiatów, i pierwszy raz poczuwa: co to jest życie ducha w niebiesiech!

VI.

Piszemy, jak mówiliśmy wyżej, tylko kroniczkę litera-cką, z owych czasów, kiedy romantyczność, jak róża z pączka zaczęła się rozwijać, i wiernie zdajemy sprawę z ruchu i sta-nu duchowej strony społeczności naszej, ograniczając się je-dynie co do Warszawy.

Był wtedy salon literacki Wincentego hr. Krasińskiego, ojca Zygmunta, w którym bywali: Kajetan Koźmian, Ludwik Osiński, Franciszek Morawski, pierwsze powagi klassycznosci, bywał i młodszy F. S. Dmochowski, i młodszy jeszcze: Konstanty Gaszyński i Dominik Magnuszewski, dwaj ostatni od serca przyjaciele *Zygmunta*; bywał zarazem i A. E. Odyniec, zapalony romantyk, a przyjaciel Mickiewicza.

Ci to jedynie, mogliby nam podać szczegóły ciekawe o tych zebraniach literackich, ale wszyscy już spoczęli w mogiłach, tylko jeden Odyniec żyje. My w nich nie mając żadnego udziału, spisujemy tylko kroniczkę naszego *miasta*, w którym właśnie przerabiał się wyobrażenia nowe literackie, i te miały główne znaczenie, bo wkrótce wzięły przewagę.

Rzadko z salonu hr. Krasińskiego dochodziły nas wieści, bo klassycy, kastę oddzielną stanowiąc, z paryasami literackimi wcale się nie wdawali, a za takich mieli młodzież chudoby i zwolenników romantyzmu.

Zjadłszy smaczny obiadek, i pokosztowawszy win starych pobudzających humor, dowcipkowali pomiędzy sobą poczciwce, żartowali i kpili tak z Mickiewicza jak jego zwolenników. Żadnemu nawet we śnie nie mogła przyjść ta myśl grzeszna, ażeby kiedykolwiek powaga Arystotelesa, Horacego i Boala, nie tylko upadła, ale chociażby chwilowo wzruszoną została.

A klassycy mieli dowcip swój właściwy, i ten dowcip jest typowym rysem każdego z nich. Jeden go miał mniej, drugi więcej; inni wysilali mózg swój, ażeby tylko, jeżeli nie dowcipem to dowcipkiem zabłysnąć. W ogóle można każdego klassyka scharakteryzować, że to były płytkie umysły, które żadnej nietylko literackiej kwestyi najżywotniejszej, poważnie rozbierać, ani się nad nią zastanawiać nie umiały. Najgorętszą rozprawę zaledwie rozpoczętą, gdy nieprzypadła któremu do myśli, zamykał jakimś wierszykiem, żarcikiem, lub dowcipkiem. Tymczasem młodsze pokolenie dojrzewając więcej, nie mogło pojąć téj lekkomyślności w ludziach starszych wiekiem i używających znaczenia, powagi i rozgłosu w całej społeczności. Ten płytki sąd, powierzchowne ślizganie się po przedmiocie do rozwagi danym, musiały się odbić i w ich utworach i pracach literackich; ztąd też nie dzi-

wota, że znalazł się krytyk z ich grona, który uznał: *Świątynie Wenerę w Knidos*, słabą przeróbkę prozy francuzkiej na wiersz polski, za arcydzieło literatury, a raczej poezji naszej!

Od młodych uczestników obiadów u hr. Krasińskiego, a głównie od Gaszyńskiego i Magnuszewskiego, wiemy, jak żywe były na nich rozprawy literackie: jakie wrażenie, jakby w ul dmuchnął, wywołały te dwa tomiki Mickiewicza. Szczegóły zajmujące tych zebrań dobrze pamięta A. E. Odyniec, powinien też wziąć do serca, ażeby nie zagięły w pamięci, jako drogocenny materiał do dziejów literatury naszej. Wtedy bowiem, zaczęliśmy witać *poczęcie* literatury samodzielnej, oryginalnej, która w następnych latach rozwinęła się we wszystkich gałęziach swoich, zrzucając starą pleśń troskliwie przez klasyków szanowaną, jak przez wytrawnych smakoszków pleśń piwniczną na butelce długoletniego węgryzna. Ci się rozkoszowali złocistym węgryzmem, który jaśniał trzema przymiotami, i tymi się odróżniał: *colorem, odorem et saporem*, a klasycy w utworach dramatycznych rozkoszowali się trzema *jednościami działania*, czyli jak wyrażali: *akcyi, czasu i miejsca!*

Zamęt w wyobrazeniach w tej chwili był wielki: ani *romantycy* jasno ostatniego swego słowa nie wypowiedzieli, ani *klasycy* ich pojąć nie mogli czego pragną. Ale ci ostatni zaczęli coś złego przeczuwać, i przejęła ich trwoga. Nic lepiej nie maluje tego stanu klasyków naszych, jak ta ballada A. E. Odyńca p. n.:

ROMANTYCZNOŚĆ.

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego,
Czy ty widzisz psa czarnego?
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Lecz obadwa tak się złąkli,
Że weszli w rów i przyklękli,

Drżą, potnieją, włos się jeży,
 A pies bieży... a pies bieży...
 Bieży, bieży, już ich mija,
 Podniósł ogon i wywija:
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,
 Oni wstali i patrzali:
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Wtém, o dziwy! w oddaleniu,
 Na zakręcie znikł im w cieniu:
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
 Lecz się nic nie dowiedzieli,
 Czy to pies?
 Czy to bies?“

Po długiej rozwadze i odzyskaniu zimnej krwi uznali jednoznacznie: że to *bies*, a nie *pies*, i postanowili obronę przeciw złemu duchowi.

VII.

Ażeby nadać naszej opowieści ciąg nie przerwany, już chronologicznego porządku trzymać się nie będziemy, ale obejmiemy ciąg lat ośmiu, to jest od 1822 do 1830, w nim bowiem *romantyczność* wzięła przewagę stanowczą nad *klasy cznością*, która z upadku swego, nie mogąc się podnieść, skończyła jak starzec bez sił żywotnych, bez nadziei zmartwychwstania, przechodząc we wspomnienie jedynie!

Zwrot ten już widoczny od 1818 r. powoli się rozwijał, jak każdorocznie wiosna, po mrozach i wichurze marcowej, a chociaż słońko przygrzewało, śniegi roztajały, i matka ziemia zdaje się nowym życiem oddychać z pod lodowego pancerza, nie dorazu się rozmai i plonem okryje.

Nie daremnie téż i Mickiewicz na czele pierwszego wydania swych poezyj pomieścił rozmowę swoją z *pierwiosnikiem* (*primula veris*).

Z niebieskich najrańszą piosnek
 Ledwie zadzwonił skowronek,
 Najrańszy kwiatek pierwiosnek,
 Błysnął ze złotych obłonek.

— „Zawczasie kwiatku, zawczasie,
 Jeszcze północ mrozem dmucha;
 Z gór białe nie zeszyły pleśnie,
 Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światelka,
 Ukryj się pod matki rąbek;
 Nim cię zgubi szronu ząbek,
 Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka,
 Życiem wschód, śmiercią południe;
 Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
 Niż w jesieni całe grudnie.

Poezye Mickiewicza były prawdziwym *pierwiosnikiem* na wiosenném niebie 1822 roku, a chociaż *dmuchał* na nie *mróz* klassycyzmu, kwiatek zakwitł i rozbijał, bo *dąbrowa* była sucha i dobrze sprawiona przez *śpiéwaka* *Wiesława*.

Nie pamiętamy dobrze czy wcześniej przed wydaniem tych dwóch tomików poezyi Mickiewicza, czy równocześnie wyszedł z pod prassy wiersz jego: „*Do Joakima Lelewela z okoliczności rozpoczęcia kursu historyi powszechnéj w Uniwersytecie Wileńskim, dnia 6 stycznia 1822 roku* (Wilno w drukarni A. Marciniowskiego 1822 w 8ce, kart VI bez liczbowania). Klassycy przyjęli ten utwór przychylnie, bo najprzód zalecało go godło z Horacjusza po łacinie w nagłówku pomieszczone, a do tego był on bezimiennym. Wkrótce téż w głowę zachodzili, że mógł jego autor (gdy się o nim dowiedzieli) takie *smalone duby* pisać jak ballady, romanse i owe *Dziady* bez sensu i składu!

W cztery lata w Moskwie wydrukował Mickiewicz swoje *Sonet*y (Moskwa w drukarni Uniwersytetu, nakładem autora, roku 1826, w 4ce). Na czele jest umieszczony z *Sonetów Krymskich* piąty „*Widok Czotyrdachu ze stepów Kozłowa*”, który przełożył na wiersz perski *Muza Diafar Topczy-Baszy*, professor adjunkt w Uniwersytecie St. Petersburgskim,

tłumacz w Kollegium Azyatyckiem, w podobiznie litografowanój.

We dwa lata ukazał się *Konrad Walenrod*, wydany w Petersburgu z rycinami Wincentego Smokowskiego (w 8ce, roku 1828) a w rok później wyszło nowe wydanie pomnożone zbiorem poezyi we dwóch tomach, w Petersburgu (Nakładem autora, drukiem Karola Kraya 1829 r., w 16ce), które objęło oprócz utworów w pierwszej edycji wiersz do J. Lelewela, Sonety, Konrada Wallenroda i wiele nowych poezyj, a na czele sławną po wszystkie czasy przemowę „do Czytelnika, o krytykach i recenzentach Warszawskich” z tém satyrycznym godłem, wziętém z komedyi J. U. Niemcewicza: *Powrót posła*:

„Krzyknęli: nie pozwalam! uciekli na Pragę!”

Teraz nietylko poeci klassyczni zadrżeli ale i całe gromno uczonych i literatów zdumiało, nad zuchwałością młodzika, co się porwał, jak wyrażali „z motyką na słońce.” Wkrótce się jednakże przekonali, że to była potężna maczuga, której uderzenie wszystko druzgotało i miażdżyło.

Genialny poeta w tój rozprawie, występując w obronie swoich utworów, pokazał że nie umie zataić gniewu swojego i rozdrażnienia, jakim był przejęty czytając recenzje ich w organach warszawskich. Dolewały zarzewia niemało listy jakie z tego miasta otrzymywał od swoich przyjaciół, troskliwie zbierających dowcipki i żarciki, wierszopisów klassycznych, pochwycone to na bruku ulicznym, to wyniesione z kółka zebrań literackich, a głównie téż z obiadów hr. Krasińskiego.

Było w nich wiele prawdziwych, więcej przetworzonych lub umyślnie wytworzonych przez gorliwych romantyków, którzy nie żałowali i słowa i pióra stanąwszy ostro przeciw zwolennikom klassycyzmu. Teraz dopiero nazwy te, rozróżniające dwa przeciwne obozy, stały się téż hasłem obu stron bojujących. Romantyzm stanął od razu górą, mając już swego hetmana i to takiego, który jasny miał cel do którego dążył, z tém wewnętrzném przekonaniem i wiarą, że dojść do niego musi, wsparty największą potęgą, bo geniuszem.

Rzecz o „*krytykach i recenzentach warszawskich*” rozpowszechnioną została przez *Gazetę Polską*, organ wówczas niemało wzięty, gdy wszystkie egzemplarze tego wydania poe-

zyj Mickiewicza, jakie się tylko w Warszawie ukazały, skwapliwie wykupiono.

Nie wszystko jest prawdą co w niéj napisał wielki poeta, ale pomimo usterków tyle jest tu prawdy, chociaż ostro i z gorczyczą wypowiedzianéj; taka potężna erudycya, nauka i wysoki sąd krytyczny, że przeciwnicy zapomnieli, jak to mówią „języka w gębie.”

Najboleśniejszym razem zadany przez Mickiewicza w téj rozprawie były ustępy, w których mówiąc o smutnym stanie krytyki prawdziwéj jaka od końca XVIII wieku ciągnęła się aż do téj chwili, pisze dalej:

„W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie, w jakim krytycy z sobą i z autorami żyli, uszanowanie z jakim zobopólnie wyroki przyjmowali, i skrupulatność jak ją dosłownie z ust do ust z pióra do pióra przelewali. Zdanie księdza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osieński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historii literatury Bentkowskiego, z kąd w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu, pewna liczba zdań, niemających gdzieindziej żadnej wartości; jak na Żmudzi ciągle krążą stare holenderskie talary i orty.

„Téj krytycznéj szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszém i zabawniejszém względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza Białego zmieniło; oni na poetyce szkolnéj, jak na kotwicy stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuzkich, najmniej we Francyi czytanych. Można by ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucyi, którój nierozumieli, obstających za władzą hetmańską i *liberum veto* i mimo przyjętéj w ościennych krajach nowéj taktyki, sprzeciwiających się zagranicznemu autoramentowi i przekonanych, że oprócz kawaleryi narodowéj wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych *klassyków*:

„Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty!”

„Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została.”

„Autor *Historji literatury* (F. Bentkowski) nie uważa się dzieł oceniać. — „Miałem — powiada — dla osób zwłaszcza żyjących o wszelkich zapomnieć względach? Przez słusność i związki *towarzyskiego pożyicia* uczynić tego nieśmiałem. Natomiast zdanie obce, zwłaszcza tak przyzwolitych sędziów jakimi są: Ludwik Osiński, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam.”

„Wyberzmy losem niektóre. Stanisław Potocki o tłumaczeniu Iliady mówi: Dmochowski przelał *myśli autora* (Homera) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy pieśni z dawniejszych tłumaczeń bez jakiegóś tęsknoty; przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem.” Czytałże kto podobne zdanie w jakiegókolwiek historyi literatury? Jestto właśnie jeden ze szczególnych charakterystycznych przymiotów Iliady, że w nich nigdzie autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć że pieśni téj cudownej epopei, są *to myśli autora* (Homera) o wojnie Trojańskiej. Książd Baka pisał wierszem: *Uwagi o śmierci niechybnej*. Jego biograf twierdzi żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad Rajem utraconym. Nie obrażę tą uwagą szanownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mówca i zasłużony mąż ojczyźnie nie utraci przez to sławy, że niepotrzebnie się wdawał w retorykę i krytykę. Szanowalibyśmy słabość męża i pokrylibyśmy milczeniem jego uchybienia; ale mógłże professor literatury w Warszawie, Osiński, przytaczać owe zdanie jako nader *ważne* a professor historyi powtarzać je jako nader *ważne!*

„Trębecki prawdziwy okazał talent rymotwórczy, łączy bowiem w poezjach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego a słodyczą Safony” (Hist. Lit. Pol. F. Bentkowskiego, str. 306.). Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym że jest razem: Mozartem, Rossynim, Humlem i Orfeuszem! albo o malarzu że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa! O charakterze poezyj Safony wiemy

tylko z podania, bo dzieł jej ledwo drobne zostały ułamki. Wyjaśniać zalety Trębeckiego, porównywając charakter jego poezji do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość ciemną. Dodajmy że słodycz nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony; przyznawano jej: *vim*, *gratiam* i nakoniec *dulcedinem*. Zdanie o Trębeckim zasługuje na uwagę: trudno jest w mniejszej liczbie wyrazów zawrzeć więcej niedorzeczności!

„Kniaźnin w pieśnio-pisarstwie niepoślednie trzyma miejsce: imaginacja żywa, obrazy dowcipne i bardziej przez swą łachotliwość niż śmiałość wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebianie zmyślności, znamionują poezyc Kniaźnina.” Nie wymienił Bentkowski, któryto z *przyzwoitych* sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok! O Józefie Lipińskim słowa Stanisława Potockiego: „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył, jest tak dobrze *wyrobione*, że małym być przestaje.” Nie znamy dobrze języka matematycznego, ale zdaje się nam, że to co przestaje być małym, przechodzi w mniejszość lub nicość. Józef Lipiński nieszczęśliwie *wyrabiał* tłumaczenia Wirgiliusza i Tassa. Dawniej Szymonowicz naśladował i częściami tłumaczył Bukoliki, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównywając dawne tłumaczenia mniej poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym i prozaicznym wierszem, najlepiej możnaby pokazać manierę nowej szkoły i dowieść jak wiele nasi tłumacze na francuzczyźnie tylko zaprawieni przynieśli szkody mowie ojczystej. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdób stylu, zdjęto że tak powiem szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów. Inne zdania u Bentkowskiego są lakoniczniejsze, np: „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirykiem.” „Koźmian okazał się prawdziwym poetą lirycznym.”

Było to uderzenie piorunu w najpierwsze powagi klasycyzmu; Kajetan Koźmian do końca życia, nie mógł Mickiewiczowi przebaczyć tego ciosu, i w swoim drobnym kółku, gromił go zawsze: słowa jego czasem przez usta przyjaciół dobiegały dalej, ale nie zwracały na siebie żadnej uwagi. Puszczono wieść, że Towarzystwo przyjaciół nauk, wzięwszy pod rozwagę czy przyjąć Mickiewicza na członka, nie było

z sobą w zgodzie, albowiem lubo go wielu popierało, głos stanowczy Ludwika Osińskiego z protestacją przeważył, aby ten wniosek odłożono na później. Szczególniej oburzenie twórcą *Dziadów* wywołał na siebie, tém zakończeniem swojej rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich”.

„Nasi uczeni (tak ją zamyka), oprócz literatury francuskiej do połowy XVIII wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boala i wtenczas mniej potrzebne, albo niezgodne, a zatem szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klassycznosci; jakże nie sumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni nieumiejąc łaciny, niemając pojęcia o greczyźnie, chcą uczyć Anglików i Niemców, jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile jej formy naśladować wolno. Dziś kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych, zajmuje uwagę Europy, ażeby je sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi, trzeba talentów i różnorodnej nauki Szległów, Tika, Simondego, Hazlita, Gizo, Wilmena i redaktorów *Globu*. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły księdza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego. Jedni śmieją się z Getego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłumaczono, czytano i ceniono; drudzy cieszą się że *nie umieją po hollendersku i nie czytają Lessynga*: inni radzą nawet wyciągnąć kordon zdrowia, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy. Tęj blokady rozumu, acz potrzebnej do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niej w samą Warszawie niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza owych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawowierni klassycy, przytaczają imiona Getego, Mura, Byrona: imion tych wielkich nienależałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klassyczny. Rozprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezyi w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem, można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiej już się nie godzi. Recenzenci klassyczni warszawscy stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy

nieczytając nawet gazet politycznych, wyrokują o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów: szczęśliwi!"

Odrzuciwszy słowa pełne goryczy, zarzuty stawiane przez poetę, dziś po czterdziestu czterech latach, (albowiem pisał tę rozprawę w Petersburgu 1828 roku) najbezsronniej-sza krytyka uznać za pełne prawdy musi. Klassycy stali w niemém osłupieniu, bo nie mogli znaleźć słów do obrony, ani dowodów żadnych wyższości talentu i nauki złożyć. Franciszek Morawski zachęcał Koźmiana, ażeby wydał z rękopis-mu swe arcydzieło *Ziemiaństwo polskie*, i niem zneutralizował wpływ Mickiewicza. Próżne zachęty, starzec zawzięty, już o niczém słyszeć nie chciał, gdy w poniewierkę idą Wirgili, Boalo i Horacy! w cichości zaś zaczął pisać wielkie niby *epos*, *Stefan Czarniecki*, którym zamierzał, jakby zrzuconiem góry granitowej, zgnieść zaciekłych romantyków, wraz z Mickiewiczem zarazem.

Tymczasem walka gorąca na całej linii wrzała, prassa stanowczo stanęła do razu po stronie nowatorów. Sam Mickiewicz już rozbił główne zastępy klasyków, trzeba było korzystając z zwycięstwa, zgnieść i ich resztki jeszcze poważne liczbą; ale zadanie coraz było łatwiejsze, gdy straciwszy ducha, niemogąc w popłochu zebrać myśli, i na stanowczy opór się zebrać, cofali się bezładnie, i gromadami przechodząc na stronę nieprzyjaciół. Wkrótce pozostała garść tylko maruderów, z wielkiej armii klasyków, — którzy gdzieniegdzie czasem się na harc wysuwali, ale gorącą otrzymawszy odprawę, zmykali do swoich kryjówek.

Zjawił się właśnie w tę dobę, znakomitego talentu pisarz i krytyk Maurycy Mochnacki, który najsilniejszą rękę przyłożył do spiesniejszego upadku klassycyzmu. Jemu ta zasługa należy bezsprzecznie. Onto założył jeden z najpoważniejszych ówczesnych organów prassy: „*Dziennik Warszawski*,” wraz z Michałem Podczaszyńskim; pismo to od 1-go czerwca 1825 r. w zeszytach miesięcznych zaczęło w Warszawie wychodzić. Najgłówniejszymi współpracownikami *Dziennika* byli dwaj redaktorowie pomienieni, Brodziński Kazimierz, Joachim Lelewel, Mickiewicz, J. B. Zaleski.

W następnym roku wydali dwa jeszcze tomy, ostatni wyłącznie pod redakcją samego Podczaszyńskiego, i na nim

zamknęli swoje wydawnictwo, zdawszy je J. K. Ordycowi, który takowe do 18tu tomów doprowadził.

My zwracamy głównie uwagę na cztery pierwsze tomy *Dziennika Warszawskiego*, jako mające przeważny udział w walce romantyków z klasykami.

W pierwszym zaraz tomie Mochnacki w rozprawie swojej: „*O duchu i źródłach poezji w Polsce*,” rozjaśniając estetycznie znaczenie *romantyczności*, tak ją zamyka:

„Brodziński pierwszy z Polaków zaczął rozumować nad poezją, pierwszy pojął jej znaczenie, i pierwszy zadał cios olbrzymiej u nas powadze wzorów francuzkich. Wszędzie gdzie mówi o potrzebie stworzenia narodowej literatury i o wstrzeźliwości w naśladowaniu, głos jego brzmi powagą niepłonną rady lub przestrogi, chociaż jest zbyt umiarkowanym i zbyt ostrożnym w zachęcaniu młodzieży naszej do kształcenia się na drodze, którą tegocześni niemiecscy i angielscy pisarze, ozdobili mnóstwem pomników ręką geniuszu wzniesionych. Dobro literatury ojczystej, nadzieja jej przyszłego powodzenia, i przykład tych dwóch narodów upoważniają nas do postąpienia sobie z większą śmiałością w tej mierze i do wyznania następującej prawdy:

„Że dopóki pod imieniem stronników klassycyzmu, będziemy tłumaczyć lub naśladować francuzkich mistrzów i nie uwolnimy się od szkodliwego wpływu ich języka i literatury, dopóki idąc za zdaniem mniemanych klasyków, to wszystko za niewczesny płód poczwarniej imaginacji poczytywać będziemy, co nosi niezaprzeczone piętno geniuszu, dzikich lub przerażających piękności: dopóty nie będziemy mieli oryginalnej poezji i narodowej literatury. Jeżeli już powołaniem naszym jest we wszystkiem unikać oryginalności, dlaczegoż nie mamy raczej naśladować naszych sąsiadów Germanów w poezji romantycznej, która wzgardzona na dworze Fryderyka Wielkiego, wracając do mglistych dolin, połączyła swój głos z głosem wietrznej harmonii, z wiejskiego zacisza przebiegła krainę pamiątek, a utworzywszy dla siebie ojczyznę w myśli, nakształt cieni Ossyana wzniosła się pod obłoki?”

Rada ta młodego krytyka, była wprost przeciwną przestrodze Jana Śniadeckiego, więc zaraz wziął się do wytoczenia sprawy w tej rzeczy w drugim tomie *Dziennika Warszawskiego*, pisząc:

„*Niektóre uwagi nad poezją romantyczną z powodu rozprawy Jana Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych.*“

„Nie możemy tego zamilczć (pisze Mochnacki), że stając w obronie poezji romantycznej przeciwko największemu jej nieprzyjacielowi, z nieśmiałością wchodzimy w szranki polemiczne. Roztrząsać będziemy najważniejsze zagadnienie w teorii piękności, walczyć w sprawie czucia i imaginacji zagrożonej zbyt wczesnym może tryumfem zimnej rachuby, porównywać sztukę z naturą, natchnienie z rozumowaniem, rzeczywistość z ideą. Ponieważ zaś stronnicy klasycyzności w rozprawie Jana Śniadeckiego, powabem stylu, jasnością i precyzją wyrażen, attyckim a częstokroć rubasznym ozdobionym dowcipem, upatrują okazałe *non plus ultra* niewstrząśnionych dowodów służących do wyśmiania wszystkiego, co z mniemaną ich w poezji i literaturze prawowiernością nie jest zgodne, zamierzaliśmy więc z największą rozwagą, o ile możności z zimną krwią odpowiadać na zarzuty autora, ocenić stanowisko z którego powstawał przeciwko pisarzom romantycznym, porównać zalety stylu z ogółem, cechę logiczną z porządkiem jego myśli, nakoniec rozwiązać to nader ważne i ciekawe zapytanie: jak dalece rozprawa Jana Śniadeckiego uchodzić może za wyrocznie niecofioną w sądzie o rzeczach dotyczących się poezji i literatury, czucia i imaginacji?“

Jakkolwiek Mochnacki podług pierwotnego planu, nie rozwinął wszystkich swoich myśli w rozprawach ogłoszonych w tym piśmie, zawsze było cios nowy a silny zadany klasycyzmowi, który milczeniem głębokim przyjęli.

W tym roku 1825 ukazały się dwa tomiki poezji Antoniego Edwarda Odyńca. Michał Podczaszyński zdając o nich sprawę, kilka wydatniejszych rzuca myśli, które właśnie do pojęć tego okresu należą.

Wspominając Mickiewicza, J. B. Zaleskiego i Ant. Ed. Odyńca, wyraża, że „zjawienie się tych trzech młodych pisarzy będzie pamiętnym.“ O ostatnim mówi:

„Oryginalnym pismom jego nie zbywa na cechach prawdziwej poezji, nie są jednak jak Mickiewicza, Brodzińskiego i Zaleskiego, narodowe.“

Z tych napomknien widzimy, że najpoważniejszy ten literacki organ, nie lekcewał Brodzińskiego, a zasługi jego

należycie oceniał. Mickiewicz z niewiadomych nam powodów nigdy go nawet jednem słówkiem nie wspomniał, tylko w wiele lat później, znalazł dla niego przyczynę, na jego kierunek w poezji więcej sielankowy, poczerpnięty z wychowania pomiędzy ludem krakowskim; wprowadziwszy w *Dziadach* bowiem literata na scenę, te słowa kładzie w usta jego:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;
Śpiewać naprzykład wiejskich chłopów zalecanki,
Trzody cienie— Sławianie, my lubim sielanki!“

Widzimy już w tych pierwszych sporach, że szło tu nietylko o rzucenie jarzma francuzczyzny, które ochotnie z dziwnem zaślepieniem znoszono, ale zarazem o wyrobienie literatury oryginalnej, a głównie mającej cechy i piętna rodowe, czego klassycy zupełnie zrozumieć ani pojąć nie umieli i nie mogli.

Grono zwolenników nowój szkoły tymczasem coraz się powiększało, i rok po roku wzbogacało literaturę naszą utworami swego pióra.

Po Brodzińskim odznaczył się Józef Bohdan Zaleski. Obaj lata dzieciinne na łonie ludu spędzili, z tą różnicą, że pierwszy przy wybrzeżach Wisły, drugi wśród stepu nad Dnieprzańskiego. Brodziński wyśpiewał *Wielawa* i *Pieśni rolników polskich*, Zaleski z wątku dum ludowych: *Dumy Ukraińskie* i *Rusalki*. Nietylko co do treści był wskrós narodowym piewą, ale w jakąż to brylantową szatę języka przystrajał swoje utwory. Żaden przed nim, ani po nim, tak po mistrzowsku, melodyjnym nie śpiewał tonem. Słowacki, w pierwszych utworach, w poemacie *Zmija* chciał go naśladować i naśladował, ale to naśladownictwo nazbyt wyraźnie bije w oczy.

W *Dzienniku Warszawskim* (tom I z r. 1825) czytamy pierwszy Bohdana utwór napisany w roku 1823 p. u.:

ŚPIEW POETY.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę, gonię wspomnień marę,
 Z kwiatów życia wieniec plotę;
 Piękność, miłość, czucie, wiarę,
 Na ogniwa spajam złote.
 Świat odbija moja dusza,
 Jak zielony brzeg krynica,
 Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
 Wszystko tkliwe ją zachwyca.
 Łza na krótko oko ciemi,
 Częścić płoną w niem rozkosze,
 Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
 Co niebieskie w niebo wnoszę,
 Z niewcielonych gdzieś tam światów
 Garnę myśli, uczuć skarby,
 Z nowych dolin, z nowych kwiatów,
 Do obrazów zbieram farby.

* * *

Oto w słońcu płoną łany,
 Tchem wiośnianym pieści ranek;
 Czemuś tęsknie zadumany,
 Czegoś szukam jak kochanek.
 Wszystko kwitnie, wszystko woni,
 Sympatyczne czucia wznieca;
 Kwili słowik u jabłoni,
 Zapłoniony jak dziewica.
 Brzmią śpiewacy polni, leśni,
 Pierś podnosi rzewność błoga,
 I naturę wielbim w pieśni,
 A w naturze wielkość Boga.
 Brzmią śpiewacy... i na przemian
 To na dole, to na górze,
 To dla niebian, to dla ziemian,
 Wtórzą dla mnie— dla nich wtórzę.
 Tak przebiegam różne tony,
 Pierwój z sercem dźwięk pogodzę,
 I czystszy, upiękniony,
 Po samotnej puszczam drodze.
 Myśl mój pieśni nie przekwita,
 Jako niebo, serce wiosna,
 Wiecznie świeża, rozmaita,
 I dziewicza, i miłosna.

* * *

Coraz w gaju śpiew ucicha,
 Wolnie bujam kilka chwilek,

I z wonnego róż kielicha,
 Piję balsam jak motylek.
 Znowu lecę między ziółka,
 Między gaje, łąki, wody,
 Biorę miody, i jak pszczołka
 Nie dla siebie biorę miody.
 Gdy w polocie mym znienacka,
 Coś mnie draśnie, lub ukole,
 Widzę wkoło piękne cacka,
 I jak dziecię koję bole.
 Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
 Błogo w lubym żyję błędzie,
 Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
 Lecz gdzieindziej znowu będzie!
 Czara życia nie wciąż miodna,
 Gdy cykuteę spełnić trzeba,
 Chrześcianin spełnię do dna,
 I wesoło pojrzę w nieba.
 Duch nie zgaśnie przez skonanie...
 A dla ziemi u mogiły,
 Kilka piórek pozostanie,
 Co ku niebu mnie wznosiły!“

Przyznać potrzeba, że ten pierwszy występ J. B. Zaleskiego, był majestatycznym występem na polu poezji naszej. Co za mistrzostwo we władaniu języka, jakimiż brylantami mowy macierzystej nie jaśnieje. Jeżeli Jan Kochanowski był twórcą poetycznego języka, to żaden bez wyjątku tak skarbnicą tą władać nie umie jak pierwszy Zaleski, a po nim Juliusz Słowacki. W tej rzeczy obaj są to mistrze nad mistrzami!

Stefan Witwicki, otrzeźwiawszy z pierwszego zapału do ballad i romansów Mickiewicza, teraz występuje już nie jako naśladowca, ale jako samodzielny poeta.

Poezye swoje biblijne przypisuje J. B. Zaleskiemu, jako swemu przyjacielowi w roku 1829, i rozwija w nich nietylko znakomity talent poetyczny, ale dorazu o władnął stary język pisarzy religijnych z okresu Wujka i Skargi. Dość nam tu przytoczyć początek wiersza „*pokutujący*,” z księgi Hioba:

„Człowiek zrodzon z niewiasty, żywiąc przez czas krótki,
 Krewkości, nędzy pełen, cierpi grzech i smutki.
 Urodził się na pracę, jak ptak na latanie,
 Jak kwiat wschodzi, i nie trwa jako dzień w swym stanie.
 Uleciały dni moje jak pędzący orłowie,
 Jako obłok przelotny znikło moje zdrowie.

Życie moje wiatr próżny; kto dziś przy mnie siedzie,
 Przyjdzie jutro, i miejsca po mnie szukać będzie.
 Przeto mądrością Pana niech się duch poruszy,
 Abym zdołał zfolgować gorzkościom mej duszy,
 Bo którzy się poniżą, przyjdą do niebiosów,
 A pyszni starci będą jako wierzchy kłosów!“

Równocześnie wydał *Piosnki sielskie*, w których prostotę ludową umiał szczęśliwie pochwycić, obok szczególnie po-wabnej formy poetycznej. Dwie najgłówniej pieśni z tego zbioru, do których podłożył muzykę odpowiednią *Fryderyk Szopen*, wprędce się zpopularyzowały i obiegiły kraj cały. Pierwsza: *Hulanka*, z której bije humor i młodzieńczy zapał, druga p. n.: *Życzenia*, tęskna i łzawa, znalazły w melodii Szopena, myśl swą uwydatnioną. Już blisko pół wieku, bo czterdzieści trzy lat upłynęło od owej doby, kiedy te piosnki poraz pierwszy zabrzmiały, a dziś jeszcze serca umiejące czuć, na ich odzew uderzą radośnie, albo westchną smutnie, przypominając poetę i muzyka, którzy oddawna spoczęli w mogiłach na obcej ziemi (1).

Pomiędzy pierwszym występem J. B. Zaleskiego, a Witwickiego *poezjami biblijnymi i piosnkami sielskimi*, przyby-

(1) Zapomniano tych pieśni Witwickiego, dlatego przywołujemy je w przypisku, gdyż ściśle do okresu, o którym mówimy, należą.

I.

HULANKA.

Szynkareczko!
 Szafareczko,
 Bój się Boga, stój!
 Tu się śmiejesz,
 Tu miód lejesz,
 Wprost na kaftan mój!

Nie daruję,
 Wycaluję...
 Jakie oczko, brew!
 Jaka biała,
 Szyjka cała...
 Hej! spali mi cie krew!

Cóż tak bracie,
 Wciąż dumacie?
 Bierz tam smutek czart!

wa do Warszawy *Maurycy Gosławski*, i w tém mieście w roku 1828 ogłasza tom pierwszy swoich *poezyj* (1). Przypisał go Wincentemu hr. Krasińskiemu, u którego znalazł gościnnie przyjęcie, i gdzie poznał ówczesne znakomitości litera-

Pełno nędzy,
 Ot pij prędjéj...
 Świat ten djabła wart!
 Pjane nogi,
 Zbłądzą z drogi,
 Co za wielki srom!
 Krzykiem żony,
 Rozbudzony,
 Trafisz gdzie twój dom!
 Pij! lub kijem
 Się pobijem...
 Biegnij dziewczę wczas!
 By pogodzić,
 Nie zaszkodzić,
 Oblej miodem nas!

II.

ŻYCZENIE.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
 Nie świeciłabym jak tylko dla ciebie:
 Ani na wody, ani na lasy:
 Ale przez wszystkie czasy,
 Pod twém okienkiem, i tylko dla ciebie,
 Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie.
 Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
 Nigdziebym w żadnym nie śpiewała kraju:
 Ani na wody, ani na lasy:
 Ale przez wszystkie czasy,
 Pod twém okienkiem, i tylko dla ciebie...
 Czemuż nie mogę w ptaszka zmienić siebie!

Witwicki w późniejszych latach mniej pisał poezyi, a więcej prozą; wszystko wszelako co wyszło z pod jego pióra, odznacza się zarówno wysokim talentem, jak najzaciejszą dążnością. Złamany ciężką chorobą, po dziesięciu latach cierpienia umarł w Rzymie w m. kwietniu 1847 r.

(1) Poezye Maurycyego Gosławskiego, tom I, w Warszawie, drukiem N. Glücksberga, w 18ce, str. 143. Z godłem na czele następującóm:

„A w dowód méj miłości, bracia moi! teraz
 Czożę was posługą wzajemną:
 Spałem ja nad wami nieraz,
 Zaśnijcież i wy nademną!”

ckie. We wstępie zaraz gorąco zabiera się do rozprawy z klasykami:

„Ponieważ (pisze M. Gosławski) Homer śpiewał tak, nie inaczej, ponieważ w ślady jego z uszanowaniem wstępował Wirgiliusz, że Rzymianie i Grecy wołali na pomoc *Muz*, jako bogiń swojej religii, dlatego dzisiaj Anglik, Szwed lub Kirgiz ma powtarzać te same modlitwy? *Cui bono?* Kiedy bóstw tych nie czcił, żadnych więc łask prawnie domagać się od nich nie może. Śmieszną jest zaiste rzeczą, aby my pod innemi wpływami kształceni i wzrosli, mogący sami przez się czuć, myśleć i działać, abyśmy mówię niewolniczo krążyli ciągle po tym obwodzie, po którym talenta naśladowców wiecznie idą *gesiego*, i jak wyuczony szpak to tylko wymawiać umieli, czego nas mistrz dawny nauczył. Nie! tak być nie powinno i tak być nie może! Usposobienie wieków objawiając się coraz wyraźniej dało uczuć całą niedorzeczność naśladownictwa tego rodzaju. Zwolna tedy zaczęto otrząsać się z uprzedzeń zastarzałych, że to tylko jest piękne, co przekopowane od Greków i Rzymian, z uprzedzeń krępujących wolny lot imaginacji, ścieśniających wolne działanie uczucia, a następnie trzymających poezję w stanie odrętwienia.

„Zaczęły wyższe talenta puszczać się drogą nową, odrębną od klasycznego *chaussé*, i pierwsze usiłowania dość szczęśliwie się powiodły. Schiller, Goethe, dalej Byron, Walter-Scot i inni, pod nowym zupełnie względem okazali nowożytnym poezję. Pierwsi oni, że pominę *Szekspira*, zwrócili poezję na prawdziwy jój kierunek, pierwsi wykazali źródła, z których skarby jój czerpać należy. Otóż mamy i nową poezję, nazwano ją romantycznością: niech i tak będzie. Na ten podział wszakże nie zgadzam się: romantyczność dzisiejsza jestto ta sama piękność, tylko w innej sukni, cała różnica, że zmieniła cisnącą rogówkę i obrony na wygodniejsze stroje, które bardziej jój do twarzy. Niech na balu zajaśnieje nowa piękność, czy ujdzie zawiści i szyderstw? Niech wyceluje nad innych strojem, czyż nie będzie naganiona od wszystkich jupek, czépków, toczków i t. d. dawniejszej mody? Ludzie nie radzi przyznają drugim wyższość, nawet przekonani o niej: to jest w ich naturze. Tak się rzecz ma i w poezji. Ileżto *madrygalów*, *szarad* i *logogryfów* stanęło pod bronią, na odparcie téj romantyczności! pośpie-

szyły ku odsieczy i czułe *Idylki*, i gospodarne *Ziemiaństwa* (1) i poważne tragedye, że nie wspomnę licznych pułków sprzymierzonych krytyków i gazetnych gabinetów, co niewychodząc w otwarte pole, ubocznemi wpływami starają się wroga pognębić. Oczerniono romantyczność, że ona wiedzie do mistycyzmu i ciemnoty, że cel jęj główny zasadza się na wprowadzeniu upiorów i dyabłów, że ona jest znamieniem psującego się smaku.“

Z tego ustępu widzimy jak chciano pojmować romantyczność. M. Gosławski w tym tomiku, dał poemat w czterech częściach: *Podole*. W pierwszej opisuje *piękności* téj części ziemi; w drugiej: *wesele gminne podolskie*, w którym mamy wierny obraz tego obrzędu, najważniejszego w życiu wieśniaka, wraz z wielą ludowemi pieśniami; w trzeciej: *kleński Podola*; a w czwartej: pożegnanie téj okolicy. Nie brak w tym utworze i natchnienia poetycznego i obrazków szczęśliwie pochwyconych z natury; ale obok tego nieraz wybija zbyt usilna staranność o oryginalność w wysłowieniach. Nie masz téj swobody płynącej jak strumień żywej wody, którą w późniejszych utworach tego poety spotykamy; głównie téż w pieśniach jego, które szczególniej w Galicyi stały się tak popularnemi jak dawniej pieśni Franciszka Karpińskiego. Z mniejszych poezyj w tym tomiku zamieszczonych zwraca uwagę *Duma o Nyczaju*, osnuta na tle pieśni ludowej: naśladownictwo *dumek* J. B. Zaleskiego; ale jakże dalekie od wartości tego prawdziwego gęślarza z nad Dniepru!

W tym właśnie czasie, bo po Gosławskim, ukazała się broszura wierszem p. n.: „*Klasycy i Romantycy polscy w dwóch listach*,“ (Warszawa, 1829 r. w 8ce). Utwór ten wyszedł z pod pióra *Franciszka Morawskiego*, ale bezimienne; obudził najprzód nie małą ciekawość, a następnie gniew i niezadowolenie stron obu. Morawski listy te przypisał J. U. Niemcewiczowi, który stał na neutralném literackim polu, a pracami poetycznemi zarówno należał do klasyków jak i romantyków.

Pierwszych oburzył następny ustęp z *Listu pierwszego do klasyków*:

„Wchodzę ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę,
Że śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,

(1) Przymówka do *Ziemiaństwa* K. Koźmiana.

Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
 Wszystko już tak spokojném i tak cichém było,
 Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
 A *Feb*, co się za ledwie raz na wiek przecucił,
 Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,
 Chrapiącą klassycznością zarządzał swobodnie.
 Minał już ten wiek złoty i nie prędko wróci,
 Cały świat się zakłócił, więc i Parnas kłóci;
 Rośnie burza powszechna, i pędząc od Szkotów
 Z całą wrzawą bretońskich piorunów i grzmotów,
 Nietylko prawowierne Franki wam zabiera,
 Lecz nawet do pocziwych już się Lechów wdziera,
 I tak szybko po całej Polsce się pomyka,
 Że raz poraz jakiegoś urwie wam klasyka.

Stary Koźmian po przeczytaniu ostatniego wiersza, już przepowiedział proroczo że Morawski zdradzi klassyczność i że przejdzie do obozu nieprzyjaciół (1). Wróżba nie była daremną, sprawdziła się prędko co do słowa; bo Morawski w niedługim lat przeciągu, zwinąwszy chorągiewkę klassyczną, jawnie przeszedł na stronę romantyków, ową doskonałą *Wizytę w sąsiedztwo*, mistrzowskim przekładem poematów Byrona i zakończył swój zawód poetyczny arcydziełem: „*Dworzec mojego dziadka*” który śmiało może stanowić *prolog* do *Pana Tadeusza* Mickiewicza.

Drugi ustęp *do klassyków*, brzmiał także wcale niepo-
 chlebnie:

„Bo któżby wam w krytyce mógł zrównać na świecie,
 Wy tylko, wy to sami tak trafnie umiecie,

(1) Od roku 1818 kiedy zaczął Bruno Kiciński wydawać swój *Tygodnik*, Franciszek Morawski pomiędzy klassykami pozyskał sobie znakomite miejsce, a w dalszych latach stał się ich chlubą. W salonach *pańskich* powtarzano sobie długo następny czworowiersz. Morawski zimową porą jechał sankami z jedną z zawołanych naówczas piękności, śnieg pruszyć zaczął; poeta ujrawszy gdzie padał i tajał, w natohnieniu zaimprovizował:

„Na pierś twą białą, padł śnieżek mały
 I bielszym od niej się mienił;
 Lecz wkrótce poznał błąd swój zuchwały,
 I z żalu w lżę się zamienił!”

Owóz ten czworo-wiersz był stawiany jako wzór smaku i delikatności klassycznego poety.

We wszystkiem co jest piękne klassycznosc ocenić,
 A kazda śmieszna brednie *romantyzmem* mienić!
 Złapać tam jakieś słowko, dziwaczne, przesadne
 I już wiedziéć że wszystko głupie i szkaradne!
 Tak się wreszcie przecuciem i instynktem rządzić,
 Że nawet bez czytania potraficie sądzić!”

Tu okazał całą nicość krytyków starej szkoły! Tak rozprawivszy się z klassykami pisze list drugi do romantyków, a jak na czele piérwszego položyl godło po łacinie z *listów* Horacego, tak tu w tekście angielskim z Szekspira. Morawski ślad w ślad co do pojęcia *romantycznosci* idzie za Janem Śniadeckim! I on widzi w niej tylko grzebanie po cmentarzyskach, wywoływanie *strzyg* i *upiorów* z mogil:”

„Przebóg! pókiż nam będą wasze głosić dźwięki,
 I czulość tylu zbójców i wisielców wdzięki;
 Kiedy już wszystkie wasze zliczycie bożyszczą,
 Mogiły, mogilniki, kurhanki i zgliszczą?” (1).

Jedyny ustępn prawdziwy znajdujemy w tym liście, to jest wskazanie palcem na ślamazarny *bayronizm*, który poruszył ómę wierszokletów romantycznych, na których nie zbywało pod owe czasy.

„Ledwie że się z *infimy*, a nawet z pieluszek
 Jakiś tam romantyczny wyrwie jeniuszek,
 Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
 Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi;
 Z jakiejś tam urojonéj tęsknoty usycha,
 Jé dobrze, pije dobrze, a do grobu wzdycha!” (2).

W zakończeniu, serdeczném słowem chciał nakłonić obie wojujące strony do zgody; ale obraziwszy i jedną i drugą, głos jego przewiał z wiatrem, a nawet, gdy ten ustępn powtórzony został na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przez sędziwego J. U. Niemcewicza, wywołał cichy gwarg niechęci w licznych tłumach, którzy tylko przez poszanowanie dla siwowłosego starca i autora *Powrotu posta*

(1) Przytyk do ballady Mickiewicza; „*Powrót Taty*” i do *Zamku Kaniowskiego*, który na rok przedtém wyszedł z druku w Warszawie.

(2) Komedyo-pisarz Stanisław Bogusławski przedstawił nam tego rodzaju typową postać w komedyi „*Stara Romantyczka*.”

i *Śpiwów*, nie zawrzał silniejszym głosem, głosem oburzenia ogólnego!

W tym okresie pomiędzy wyjściem pierwszego wydania dwóch tomików poezji Mickiewicza, a temi listami Morawskiego, ukazała się w roku 1825 powieść ukraińska *Maryja*, Antoniego Malczeskiego (1). Mało kto zwrócił na ten utwór uwagę; raz format nie był modny, bo wszystkie romantyków poezye w 16ce lub 18ce wychodziły, a *Maryja* wydrukowaną w 8ce została; powtóre: autor zupełnie był nieznan; po trzecie: poemat pisany trzynasto-zgłoskowym wierszem: naostatek spotkany został przy samém wejściu na świat literacki krytyką chłodną, nie mogącą ocenić nawet prawdziwej wartości tak genialnego zjawiska, w stylu klasycznym w *Bibliotece polskiej* (Tom IV., 1825 roku).

„Powieść ta (mówi recenzent) wierszem napisana z wielu względów zasługuje na uwagę, już to jako utwór oryginalny i pierwsze dzieło autora, któremu talentu odmówić nie można, już to że zdaje się należeć do *szkoły romantycznej*, już nareszcie dla samychże błędów, których wykazanie i zastanowienie się nad ich przyczyną, posłuży nam na poparcie zasad (??), jakich zawsze, w obecnej że tak powiem walce, między klasykami a romantykami, trzymać się będziemy.”

Jakie są te *zasady*, z całego ciągu dalszego dopatrzeć się nie możemy, bo krytyk wedle starej metody, podawszy treściwy zarys tego poematu i kilka drobnych ustępów dowolnie wyrwanych, uderza na niejasność układu i zadaje mnóstwo sobie pytań, które jednakże bez pomocy autora sam rozwiązuje!

„Autor (pisze dalej recenzent) oczywiście chciał naśladować Byrona; którego bohaterowie, jako to: *Korsarz*, *Lara* i t. d. niewiedzieć co są za jedni, gdzie się podziwiają. Widzimy obraz kilku chwil ich życia, a z resztą zostajemy w niepewności. Lecz nie łatwo jest naśladować utwory, którym wielki pisarz nadaje piętno swego geniuszu i pojmowania rzeczy; powiem więcéj, że takie naśladownictwo jest niepodobnym, a nawet szkodliwym.” Dalej wyraża: „że w ogóle stylu *Maryji* pochwalić niepodobna” i przytacza wiersze całe lub wyrażenia, które mu do smaku nie przypa-

(1) *Maryja*, powieść ukraińska, przez Antoniego Malczeskiego, w Warszawie, w drukarni J. N. Glücksberga 1825 roku w 8ce.

dły, lub których dobrze nie rozumiał. Kończy zaś swoją krytykę temi słowy:

„Zadziwi zapewne czytelnika taka nierówność stylu, że obok myśli pięknym wierszem oddanych, podobne uchybienia miejsce mieć mogą. Pierwsze są oznaką talentu, drugie lub niewykształconego smaku, lub téż może są skutkiem i źle zrozumianego wyobrażenia o rodzaju romantycznej poezyi. Albowiem unika ona wykwiutności, lubi nawet pewien rodzaj prostoty, lecz nie przypuszcza gminności i ciągłego zaniedbania; lubi swoje utwory tajemniczą osłoną okrywać, lecz nie idzie ztąd aby całe poema było ciągłą i mordującą zagadką.

„Tak więc Marya pomimo wszystkich błędów swoich, wykazuje nam że jej autor *może* powiększyć szczupłe grono naszych oryginalnych pisarzy, jeżeli przy zdolnościach jakie posiada, ukształci swój gust i sprostuje pojęcie swoje o poezyi, z którego jak nam się zdaje, wyniknęły po większej części wady jego utworu.”

Niestety! autor nie mógł korzystać z tych uwag recenzenta, czasu mu zbrakło do kształcenia swego gustu i sprostowania mylnych pojęć jakie miał o poezyi, albowiem wkrótce po wydaniu poematu zakończył życie dnia 2 maja 1826 roku w Warszawie. Zwłoki Malczeskiego pogrzebano na cmentarzu *powązkowskim* pod Warszawą, ale pomimo najusilniejszych starań, miejsca mogiły jego nie odnaleziono, ażeby uczcić prochy zgasłego pomnikiem grobowym.

Pomścił zapomnienie wielkiego poety niedługo Maurycy Mochnacki, oddzielną rozprawą wykazującą całą wartość *Maryi* i znaczenie Malczeskiego w plejadzie poetów naszych: rzucono się w téż pędy i rozchwymano wszystkie pozostałe egzemplarze téj powieści, która od owéj doby liczy już kilkadziesiąt rozmaitych wydań. Czytelnik może się uśmiechnąć na nasz poczet wyliczonych powodów, które się złożyły na niepowodzenie wydrukowanego poematu Malczeskiego, i zatrwały ostatecznie chwile życia poety, ale powody te były rzeczywiste, zuane nam zblizka i należą do cech wybitnych tego okresu, którego kroniczkę spisujemy.

J. B. Zaleski w napisie grobowym dla autora *Maryi*, najlepiej poświadcza, jak niepozuano się na wartości tego arcydzieła.

VIII.

Wcześniej o całe półrocze 1825 roku, ukazała się przed *Dziennikiem warszawskim* „*Biblioteka Polska. Pamiętnik umiejętności, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony*” z następnym godłem na czele:

„W każdejśmy porze wieku, w każdej życia chwili,
Dobroczytnego nauk wpływu doświadczyli:
W młodości od gwałtownych wstrzymują uniesień,
Świętnymi skarby naszą wzbogacają jesień;
A nawet i w starości, wiernie nam do końca,
Ostatnim naszą zimę zdobią blaskiem słońca.”

Wydawcą i redaktorem tego poważnego organu, był *Franciszek Salezy Dmochowski*, zdolny pisarz, a syn tłumacza *Iliady i Eneidy*, męża wysokich zasług położonych dla kraju.

Pismo to wzięło przeważny udział w walce klasyków z romantykami, a koloryt w tej rzeczy nadawał sam główny redaktor. Ztąd też stanowisko i zapatrywanie jego, przeważało się raczej ku pierwszym, jakkolwiek uznawał talenta młodych poetów pojawiających się z nowej szkoły. Sam wszelako z wychowania i tradycyji klasyk, nie potrafił się z rutyny stariej otrząsnąć, i przyjść do jasnego pojęcia nowego okresu literatury naszej, który już się na dobre zosnował.

Weźmiemy tylko z *Biblioteki polskiej* dział *literatury*, jako mający ścisły związek z naszym przedmiotem.

W pierwszym zaraz tomie „w *Liście do wydawcy*” wyczytujemy sprawiedliwe skargi na brak krytyki.

„Upodobanie w rzeczach lekkich (pisze autor bezimienny) zupełnie odwróciło czytelników od przedmiotów ważnych i użytecznych. *Samotnika* np. już wyszła trzecia edycja, gdy dzieła *Skarbka o Ekonomii politycznej*, tłumaczenie *Seja*, *Dzieje Władysława IV*, i inne leżą jeszcze po magazynach księgarskich a dzieło *Okredycie publicznym*, o przedmiocie tak ważnym, tak nowym dla nas, ledwie jest w rękę kilkunastu osób.

„Zeby skłonić opinią do rzeczy istotnie pięknych istotnie użytecznych, krytyka nieodbita jest potrzebną.“ Było żądanie rozumne, ale niewykonalne, bo nie było ani jednego

krytyka godnego tego nazwiska: pojawił się dopiero Maurycy Mochnacki wraz z *Dziennikiem Warszawskim*.

Zwrócone wszystkie teraz były umysły wyłącznie do objawów nowój poezyi, ztąd wypływało, że najgorętsza polemika, tylko wokoło niej krążyła.

Biblioteka Polska, nie dała się w tój rzeczy innym organom wyprzedzić. F. S. Dmochowski w obszernój rozprawie: „*Uwagi nad terażniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej*” na czele jój przemawia:

„Na samym wstępie, pisze, postrzegam stojące naprzeciw siebie, dwie klasyków i romantyków roty. Zawzięci przeciwnicy niechcą w żadną wchodzić umowę, *wszystko lub nic*, to jest ich hasłem, a może jak jedni tak drudzy zwróca swoje pociski na tego, który z oliwną gałązką w ręku, ich pojednawcą, chce zostać.“

I był dobrym prorokiem dla siebie, bo romantyków oburzył zarówno jak i klasyków. Ci ostatni wyrzucali mu że uznaje talenta nowatorów. F. S. Dmochowski dowcipnie dał im odpawę. Jednę z poezyj Mickiewicza poważniejszych, przerobił w ten sposób, że na kilkanaście jego wierszy, powasuwał z ręcznie po dwa lub cztery czysto klassycznych z bogami mitologicznymi i używanymi zwrotami przez klasyków; i taki przetwór odczytał na obiedzie u Wincentego hr. Krasińskiego, jako pracę nieznanego a młodego poety, wychowanego w prawdziwej *szkole smaku*. Byli wtedy Kajetan Koźmian, Osiński, Franciszek Morawski i wielu innych klasyków. Wszyscy przyklasnęli jednomyślnie tój poezyi. Stary Koźmian przyznał autorowi jój talent, i byle tylko dalej zgłębiał Wirgiliusza i Horacego, będzie mógł być użytecznym dla literatury.

Kiedy Dmochowski jednakże (jak mi sam mówił) wysłuchawszy tych zdań pochlebnych, zwrócił się do słuchających i oświadczył że to poezya Mickiewicza, w którą tylko fragmenta klassycznego kroju wtłoczył, Koźmian do żywego obruszony, rzekł mu wtedy:

— Niegodziło się mój panie, zadrwić sobie ze starego poety!

I od tój chwili już go uważał za renegata czystej klassyczności.

W dalszym ciągu pomienionój rozprawy, F. S. Dmochowski po przedstawieniu rozwoju poezji polskiej od XVI wieku do tego okresu właśnie o którym mówimy, przystępuje do oceny dwóch tomików Mickiewicza pierwotnego wydania 1822 roku.

„Mickiewicz (pisze F. S. Dmochowski) w poezjach swoich okazał wszystkie przymioty, które są udziałem znakomitego poety. Dar wynalezienia i opisywania, głębokie czucie, śmiałość i wzniosłość myśli, świetność i piękność stylu, chociaż *nie zawsze jest poprawnym i wolnym od zarzutu*, przyznało mu jednoznacznie zdanie powszechne. Poezje jego lubo w szczupłej liczbie, tak są rozmaite, i pod tak różnemi względami w korzystnym świetle okazują jego talent, iż zdaje się, że niema rodzaju w którymby Mickiewicz nie mógł celować.

„Tom pierwszy dzieł jego tak jawne, tak uderzające ma zalety, że nawet najzaciętsi przeciwnicy romantyczności zamilknąć musieli i rzekli tylko: „Przyznajemy że Mickiewicz ma wielkie zdolności, lecz dlaczegoż ich na złe używa? Dlaczegoż nie idzie tą samą drogą, którą postępowało tylu znakomitych poetów? Dlaczegoż wyszukuje dziwacznych podań i powieści gminnych, i zamiast wznosić poezję, zniża ją do gminu? Jak łatwą jest odpowiedź na podobne zarzuty! To jest cechą prawdziwego talentu i geniuszu, że nie chce iść drogą naśladowania, że sam dla siebie tworzy nowy rodzaj; a z dzieł jego krytycy i naśladowcy wyprowadzają nowe prawidła.”

Widzimy z tego ustępu że F. S. Dmochowski głośno i szczerze uznawał geniusz młodego poety, zarazem mamy podane, owe klasyków ciasne o poezji pojęcie, które nie dozwalało im poniżyć jój do gminu, chociaż z niego tylko powstała.

Cóż więc zwróciło niechęć romantyków przeciw redaktorowi *Biblioteki polskiej*: oto w tejże rozprawie zarzuty drobnostek, co do zdrobniałych wyrazów i nawet myśli, których naiwność przedstawiał jako śmieszność; rozbiór poezyj A. E. Odyńca w tym samym tomie pisanój, a szczególniej téż niefortunna krytyka *Sonetów* Mickiewicza w ostatnim tomie *Biblioteki polskiej* pomieszczona. Niemało się téż przyłożyły i spory z *Dziennikiem warszawskim*, który wytrwa-

le a wyłącznie stał po stronie romantyczności. F. S. Dmochowski przy całym zdrowym sędzie o literaturze, nie był estetykiem, ani studyum się głębszym nie oddawał: nawyknienie od lat młodych do powierzchownego poglądu, do wyobrażeń klasyków, nie dozwoliło mu się z nich do końca życia otrząsnąć; w krytyce jeżeli rzucił kilka zdrowych, wyższych myśli, równocześnie przechodził do rzeczy nie zasługujących nawet na uwagę myślącego krytyka. Zwolennicy też wielkiego poety, po rozbiórce *Sonetów*, wzniesli przeciw niemu okrzyk oburzenia, a sam ich twórca rozdrażniony do żywego w owęj rozprawie „*O krytykach i recenzentach warszawskich*,” redaktora *Biblioteki Polskiej*, pod najcięższe swoje ciosy wyciągnął, na ówczesne szranki literackie.

F. S. Dmochowski po wydaniu siedmiu tomów tego pisma, zamknął je w roku 1827, ale gdy we dwa lata został tak ostro przez Mickiewicza naciśnięty, wydrukował w oddzielnej książce „*Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza, o krytykach i recenzentach warszawskich*.” W niej pomieściwszy w całości twórcy *Dziadów*, ową rozprawę, odpowiada na główne zarzuty. Że F. S. Dmochowskiego głos miał jeszcze znaczenie i powagę, najlepiej dowodzi szybki pokup tej jego pracy. W ciągu paru miesięcy rozchwymano 1500 egzemplarzy nakładu, w roku przeto 1830 ogłosił swęj odpowiedzi *edycyę drugą*, w której dołączył dwie swoje rozprawy drukowane w *Bibliotece polskiej*: „*Uwagi nad te-
rażniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej*” i „*Uwagi nad Sonetami pana Mickiewicza*.”

Książka ta, dla badacza tego właśnie okresu literatury naszej ma wysoką wartość, bo skryształizowała na swoich kartach ową walkę duchową, jaka się toczyła przez cały prawie lat dziesiątek, wyjawia pojęcia obu stronnictw, nietylko o poezyi, i podaje wiele zajmujących szczegółów w tym *procesie* literackim, którego ostatecznym sędzią była publiczność.

Młode pokolenie nieświadome przeszłości, zerwawszy złotą przędzę *tradycyi* domowej, obwołało F. S. Dmochowskiego, jako najzaciętszego wroga nowszej poezyi naszej! Tak nie było, jak widzimy. To też gdy sędziwy ten, a pełen zasług pisarz w roku zeszłym zakończył życie, Antoni Edw. Odyniec (*Kronika Rodzinna* w Nrze 12 z r. 1871) nad świe-

żą mogiłą zgasłego, w pośmiertném wspomnieniu, ze szlachetném oburzeniem na te zarzuty wyrzekł:

„Jestto fałsz! i niech mi wolno będzie słowem szczeréj a bezstronnéj prawdy, zdjąć zeń tę plamę krzywdzącej potwarzy. A sądzę, że mam prawo do tego, nietylko jako ostatni świadek i uczestnik polemicznych owego czasu zapasów, ale i jako stojący w nich zwykle pod sztandarem przeciwnego obozu.“

Dziennik Warszawski, którego redakcyę objął Jan Kazimierz Ordyniec, przetrwał dłużej niż *Biblioteka polska*. Wychodził bez przerwy w zeszytach miesięcznych, zasilany głównie pracami Joachima Lelewela i K. Wł. Wójcickiego. Co do poezyi, w harmonijnéj zgodzie obok sonetu: *Do Niemna Mickiewicza*, i utworów Maurycego Gosławskiego, Alexandra Chodźki, Juliana Korsaka, Padurry, i *Melodyj ukraińskich* Michała Grabowskiego, drukowano tchnące duchem klasycznym wiersze rozmaite. Gdy *Hulak Artemowski* po małorossyjsku naśladuje balladę Mickiewicza: „Pani Twardowska,“ *Ferdynand Chotomski* daje ustępy z *Eneidy* Wirgiliusza, trawestowanéj. Nie mogło być inaczej, bo żaden redaktor nie był w możności płacenia jakiegokolwiek *honorarium* autorowi, każdy z piszących oddawał chętnie darmo swoje prace.

Nie zapomnę nigdy słów J. K. Ordyńca które wyrzekł do mnie, ukazując obszerny rękopism drobném maczkowém pismem Lelewela: *O Bibliotekach*:

—„Patrzcie, co za skarby wiedzy i nauki!.. przyszedł sam do mnie i prosił, ażeby tę pracę co najprędzej drukować. Daje to darmo, kiedy za granicą kupionoby rzecz taką na wagę złota!”

Wydawnictwo *Dziennika Warszawskiego* doprowadził do końca 1829 roku, i na 18tym tomie go zamknął, mając prenumeratorów stu sześćdziesięciu trzech.

W walce toczonej, dopiero w 12tym tomie (z r. 1828) dał znakomitą rozprawę Michała Grabowskiego p. n. „*Mysli o literaturze polskiej*.“ Jestto ten sam słynny estetyk i krytyk, autor *Koliszczyzny i stepów*, *Stannicy Hulaipolskiej*, *Literatury i krytyki*, oprócz wielu innych, któremi wzbogacał w kilkanaście lat późniéj literaturę naszą.

W tém piśmie wystąpił pierwszy raz jako poeta: z „*Melodyami Ukraińskimi*,” które wysokięj są wartości, i naznaczone prawdziwém natchnieniem poetyczném, a zarazem jako estetyk z pomienioną rozprawą.

Młody, pełen zapału zwolennik nowęj szkoły, wstępuje w otwarte szranki, i śmiało rzucając rękawicę już wystraszonym klasykom, piórem jak maczugą *Wyrwi-debu* wywija na wszystkie strony, i bije na wszystkie strony.

Wrywano sobie z rąk do rąk te zeszyty *Dziennika Warszawskiego*, w których była ta rozprawa, zarówno jak *Melodye* Grabowskiego. On pierwszy *Maryę* Malczeskiego postawił obok *Grażyny*, za nim szczegółowo piękności tego poematu rozwinął i uwydatnił Maurycy Mochnacki. F. S. Dmochowskiego słusznie policzył do *umiarkowanych*: „którzy chcieli obiedwie szkoły pogodzić, i wyszukawszy jak im się zdawało, punkt średni, ztąd już ogłaszali swe zdania, prawdziwie nacechowane niepewnością, tego chwiejącego się i na niczém nie opartego stanowiska.“

Wstęp swój do téj rozprawy w tych słowach zaczyna:

„Niemasz nikogo, kogoby nie zastanawiał dziwny fenomen: że u nas krytyka literacka nie zdąza za postępem literatury, i w czasie kiedy wszędzie w innych literaturach wyraźnie widać, jak teorye i mniemania literackie wpływają, prawie kierują pracami poetów u nas, przeciwnie, geniusz poezyi ciągle się wznosi i rozwija, nie dając się nawet doścignąć krytyce z poziomego stanowiska, którego się ta uparcie trzyma. W przeciągu ostatnich lat kilku, widzieliśmy wychodzące następnie na widok publiczny: *Grażynę* i *Dziady* Mickiewicza, *Maryę* Malczeskiego, *Sonet* Krymskie, ślady coraz piękniejszego rozwijania się talentu naszych pisarzy, bogactw naszego języka i literatury; tymczasem krytyka (*patrz czasowe pisma peryodyczne*) została zawsze taż sama, mierna i bezusłowna, niedbała w naglądaniu za chodem sztuki; a jeżeli kiedy i zwróciła na nią uwagę, to zamiast wznoszenia się razem z pracami poetów, częściej starała się ją sprowadzać w swoją niską sferę i według swojej niedostatecznej skali rozmiarzać.“

Po tym wstępie rozwija z niezwykłą erudycją i znajomością rzeczy obraz literatury, a głównie poezyi w całej Europie. Drwi i słusznie z owych *sztuk rymotwórczych*, któ-

re klassycy przyjęli za swój *Koran* literacki, ale umie oddać cześć prawdziwej zasłudze. Tak podnosi prace estetyczne Kazimierza Brodzińskiego:

„Kursa literatury krajowej przez tego profesora słyszane na prelekcjach Uniwersytetu Warszawskiego, obiecują nam dzieło pełne równie wdzięku jak uczoności, interesu jak wagi, systematyczne i wypracowane, jakim się mało który naród pochlubić może. Słyszeliśmy już rozbiory wielu naszych pisarzy, wszędzie uważanych ze strony nowej i charakterystycznej; słyszeliśmy głębokie i prawdziwe uwagi nad chodem naszej literatury, a imię autora które się spotyka wszędzie, gdzie u nas w tym zawodzie co użytecznego zrobiono, jest nam rękomią, że szczęśliwie zaczęta praca, wytrwale dokonana będzie.“

Otwarcie uderza na ballady Mickiewicza, zarzucając im, że zbyt trącą cudzoziemszczyzną, i dodaje: „Mickiewicz to uczuł, i porzucił swoje ballady.“ Szuka M. Grabowski dla poezji narodowej żywiołu w poezji ludowej, ale sam jeszcze niema jasnego w tej rzeczy widzenia; zarazem zwraca się z całym oburzeniem przeciw dwom powagom klasyków, a głównie przeciw Ludwikowi Osińskiemu, i Kajetanowi Koźmianowi.

„Jeden z naszych klasyków (mówi Grabowski) nie wahał się powiedzieć na publicznej prelekcji, że takie tragedye jak Szyllera, może każdy student napisać! na to nie potrzeba komentarza. Jest między śmiesznościami natury ludzkiej, że o niczem tak chętnie nie mówimy z pogardą, jak o tém, czego nie rozumiemy. Drugi znowu z tych wielkich (swojem własnem zdaniem) pisarzy, oświadczył jeszcze wyraźniej swój wstręt ku wszelkim postępom wieku i sztuki. Mówią, iż on się przechwalał, że od czasu kiedy w szkołach uczuł się zdolnym rozumieć Horacyusza, już nie otwiera żadnego społecznego obcego ani narodowego poety, bojąc się, żeby sobie nie popsuł i nie skaził smaku. To zdanie byłoby tylko zabawne, gdyby nie ukazywało zdala ułożonego, całego systematu przesądów literackich. Jakto? Dzisiaj kiedy ktokolwiek raz tylko z oka spuścił chód i postęp wyobrażeń, już zaraz po kilku latach, mógł się zobaczyć bardzo w tyle stanowiska wieku; dzisiaj ten klasyk chce nam narzucać swoje pomysły, które nie dojrzały od czasu szkół? Jakto? z temizto opó-

źnionemi, innego świata wyobrażeniami, on myśli osiągnąć wpływ, który w rzeczy samej, powinien mieć poeta nad swojemi współczesnymi. Na szczęście, wiek nie daje się zatrzymać złowróżbami klasyków z takowego chodu prognostykami, i może się zabawnie zdziwić, że kiedy właśnie ukończą doskonalić i oczyszczać smak, gładzić i poprawiać, przez trzy razy dziewięć lat, swoje klasyczne utwory, wtedy wiek już będzie tak daleko, że im nie zostanie ani jednego czytelnika, dla tych arcydzieł smaku. My notujmy takowe zdania jako ciekawe pomniki obłędu, w jaki fanatyzm systemu może wprowadzić.“

Grabowski pierwszą część tylko téj rozprawy ogłosił drukiem, którą uważał sam jako przedwstępne uwagi do skreślenia historyi naszej literatury; w niej miał rozważyć wiek Zygmunatów, Stanisława Augusta, i nową literaturę, ale opuściwszy Warszawę już tego zamiaru nie spełnił, i umilknął przed rokiem 1830.



WYPRAWA PODBIEGUNOWA

z r. 1869—1870.

Zawsze jeszcze ten biegun północny panuje w groźnym majestacie wśród nieprzebytych gór i niedostępnych zamków lodowatych! Iletu już wypraw przedsiębrano, żeby się zbliżyć do tego dumnego władcy na dalekiej północy, ileto ofiar złożono, ile poświęcono pieniędzy, pracy ludzkiej i ilu świątłych żeglarzy życie swe dla tego celu oddało i zawsze wszystkie usiłowania płonnie się okazały! A jednak mimo wszelkie niepowodzenia, mimo zawody i nieprzebyte trudności przedsiębiorczość ludzka nie ustaje w swym badawczym zapale. Zawsze jeszcze z nieuleknioną odwagą przystępują do tego samego zadania jedni po drugich podróżnicy. Korzystając z doświadczenia swych poprzedników i ufni w swoją przezorność mówią o nich: „oni płynąć nie umieli” i sami puszczają się z lepszą otuchą w krainy wiecznych śniegów i lodów. Doświadczają tego samego losu, albo giną w zaspach śniegowych, albo wracają, nie dopiąwszy zamierzonego celu. Nauka atoli wynosi niewątpliwą korzyść nawet z tych nie-

ureczywistnionych w całości zamiarów. Jakkolwiek ziszczają się tylko w pewnej niezbyt znacznej części upragnione cele wypraw podbiegunowych, nowe wszakże przybywa doświadczenie, mnożą się nowe wiadomości naukowe; zawsze przecież udaje się żeglarzom posunąć się jeśli nie do samej północnej osi ziemskiej, to przynajmniej o kilka lub kilkanaście mil bliżej pod biegun lodowaty. Cierpliwości potrzeba, wytrwałości, która już tyle dokonała cudów na polu wynalazków; może z czasem ukaże się nowy szczęśliwy Kolumb, który dotrze do bieguna północnego. Ostatnia wyprawa niemiecka z 1869 i 1870 r., lubo nie zjednała sobie głośnej sławy genuezkiego lub portugalskich żeglarzy XV wieku, jej praca wszakże nie pozostała bez plonu; owszem pod wielu względami naukowemi przyczyniła się do zbadania strefy podbiegunowej. W podanej przez nas wiadomości w r. 1869 daliśmy sprawozdanie o pierwszej wyprawie niemieckiej, na czele której stanął młody żeglarz, rodem Hamburgczyk, Koldewey.

Tam też przedstawione zostały te niezbyt bogate zdobycze, jakie na północy poczyniła wyprawa niemiecka. Sam Koldewey przyznawał, że nie odpowiadały one oczekiwaniom, tłumacząc się brakiem odpowiednich środków i zasobów. Nowa wyprawa, którą zaraz przygotowywano, miała zaćmić swą sławą wszystkie inne. Zaczęły się składki po całych Niemczech, znoszono dary od osób prywatnych i różnych towarzystw i instytucyj naukowych. Godną jest zaiste uznania ta gotowość do podtrzymania celów naukowych; nie należy jednak zapominać, że gromadzono środki dla dokonania „dzieła narodowego.” Spodziewano się po nowej wyprawie świetnych rezultatów, któreby imię niemieckie okryły głośną sławą. Było to w 1868 r., w dwa lata po wawrznach z pod Sadowy. W duchu niemieckim budzić się zaczęła silna świadomość siebie samego, poczucie sił własnych, potęgi militarnej i mocy umysłowej. Myśl niemiecka wzbijała się do lotu śmiałego. Zdawało się młodym umysłom niemieckim, że niezwalczona natura lodowatej północy ukorzy się przed potęgą niemieckiego gieniuszu jak hufce na Dannewirku lub pod Sadową. Zagrzewani nadzieją podobnego powodzenia Niemcy, skwapliwie grosz swój na cel ogólny składali. Peterman, znany geograf niemiecki, popierał swą powagą naukowe przedsięwzięcie, którego wykonanie powierzono znowu w ręce doświadczonego naczelnika pierwszej wyprawy, Koldeweya. Dotychczas jeszcze nie zostały ogłoszone szczegółowe badania uczonego grona geografów i naturalistów, którzy w tej wyprawie udział przyjęli; wydrukowano tylko odczyty, miane w Berlinie przez podbiegunowych podróżników.

W nich zawarto ogólne dzieje wyprawy i ciekawsze ustępy z życia na dalekiej północy; skreślono także najważniejsze wypadki badań naukowych. Korzystamy w naszym rysie z tego uboższego co do treści, suchego co do zewnętrznego jej przedstawienia materiału (1). A jakież to wdzięczny przedmiot dla

(1) Die zweite deutsche Nordpolarfahrt 1869—1870. Berlin 1871.

zdolnego pióra: te odległe zimne strony, te nieznanne okolice, odziane dziwnym urokiem tajemniczości! Jakimto powabem słowa odznaczają się północne krajobrazy, skreślone ręką Hayes! To morze lodów, ta głucha noc wśród kilku miesięcy, ta cisza majestatyczna, te pierwsze promienie słońca, ta gra kolorów i tyle innych żywiołów, z których Hayes zachwycającą składa całość! Gdyby przedmiot podobny dostał się był pod pióro Wincentego Pola, jakizby opis zajmujący ztąd powstał!

Z ogólnych składek i zasiłku udzielonego przez rząd pruski wyposażono jeden statek parowy, drugi ofiarowały miasta Hanzeatyckie, z których najwięcej przyczyniły się Brema i Hamburg. Pierwszy nosił nazwę Germania, drugi Hanza. Naczelnym kierunkiem przyjął Koldewey. Statki zostały umyślnie zbudowane według wszelkich wymagań podróży wśród lodów północnych i zaopatrzone we wszelkie potrzeby, przyrządy i naukowe i zapasy żywności. Bogate domy kupieckie Bremy nie szczędziły swych darów: zaopatrzone uczonych podróżników załogę okrętową w wygodne ubrania, we wszelkie potrzeby życia domowego i w bibliotekę naukową. Nawet król pruski przybył do Bremy, by w szczęśliwą godzinę pożegnać odpływające statki, które 15 czerwca 1869 r. odbijały od brzegu.

Przeciwnie wiatry nie sprzyjały szybkości podróży. Dopiero po czterech tygodniach statki, przepłynąwszy mimo wschodniego brzegu Irlandyi, przybyły pod 75° szerok. półn. Było to w połowie lipca. Wtedy gdy w naszej strefie skwarne dopieka słońce, podróżnikom północnym olbrzymie bryły lodu już drogę tamowały. Do wschodniego brzegu Grenlandyi było jeszcze 20 do 30 mil; na całej tej przestrzeni aż do stałego lądu ogromne zatory lodowe nieprzebytą stanowiły przeszkodę. Tymczasem dla obu statków było rzeczą niezbędną przybić do brzegu stałego, zabezpieczyć okręta, zasiąść w spokojnej przystani i rozłożywszy obóz puszczać się pieszo lub na sankach w dalszą północną podróż. Daremne były usiłowania przedostania się wśród zwartych brył lodu: nadspodziewanie nad brzegiem nagromadziły się na tak znacznej przestrzeni lodowate zatory. Do tego niepowodzenia przyłączyła się wkrótce inna nierównieź dotkliwsza przyгода. Jeden i drugi statek zwykle podczas podróży trzymały się w pewnej odległości, takiej jednak, że nie wypywały po za widnokrąg. Zawsze się miały wzajemnie na oku. Tymczasem w pierwszych dniach pobytu w stronie lodowatej nagle gęsta mgła osiadła na morzu i oddzieliła dwa statki od siebie. Hanza straciła z widoku swą towarzyszkę Germanię; zaczęły się wzajemne poszukiwania, które ostatecznie do celu nie doprowadziły. Hanza długo się błąkała, nie przeznaczono jej było spotkać się ze swoją towarzyszką i Hanza zginęła w toni morskiej strzaskana przez lody. O jej losach tragicznych wspomnimy jeszcze niżej, tymczasem rozpatrzmy dzieje i prace szczęśliwszego statku, prowadzonego przez Koldeweya. Zatory lodowe osiadły jako nieprzebita masa wzdłuż

wschodnich brzegów Grenlandyi; w dwóch więc najważniejszych kierunkach: północnym i zachodnim droga była zupełnie zamknięta. Cierpliwość w końcu przełamała przeszkody. Na początku sierpnia bryły lodowe zaczęły tracić swą spójność; morska woda jako wążka sina wstęga tu i owdzie między niemi się ukazywała; przez takie przesmyki, przedstawiające dziwnie pokręconą linię, przesunął się zreszczeniem statek i dotarł niemal do brzegu między 74° a 75° pół. szer.

Statek zarzucił kotwicę i osiadł w dogodnej przystani u południowego brzegu nie wielkiej wysepki Sabiny. Wśród tej bezludnej strony, na łonie tej zimnej, śnieżnej przyrody osiadło grono uczonych podróżników, przygotowane na to, że wkrótce całą przystań pokryją lody zimowe, uwiężą statek i na rok cały odetną wszelką nadzieję powrotu, a może na zawsze stargają węzły, jakie ich łączyły z rodziną, krajem a nawet i z własnym życiem. Robiono wprawdzie jeszcze usiłowania, żeby się posunąć wyżej, ale bryły lodowe zawały drogę; gdy się przytém już nieomylnie znaki nadchodzącej zimy pokazywały, 12 stopniowe bowiem zimno dokuczać zaczynało, postanowiono rozpocząć przygotowania do mieszkań zimowych. Zdjęto żagle, maszty z lin ogołoczone zostały, statek pokryto dachem, przysypano go mchem i śniegiem, boczne ściany okrętu obłożono bryłami lodu i statek zginął zupełnie w tych ramach śnieżno lodowatych, zamienił się na dom zimowy. Sterczące nad śniegiem maszty niby kominy, złudzeniu temu pozor rzeczywistości nadawać mogły.

Na ładzie stałym w niedalekiej odległości od wyspy i przystani urządzono dwa obserwatoria: jedno dla magnetycznych, drugie dla celów astronomicznych. Pomieszczono w jednym z nich także narzędzia meteorologiczne i od tej chwili w ciągu kilku miesięcy co godzina zapisywano zmiany, dostrzegane na termometrach, barometrach i t. d.

Spokojnie teraz, powiada Koldewey w swém sprawozdaniu, mogliśmy czekać na przybycie zimy. Nie brakowało nam żywności, zaopatrzeni zostaliśmy w obfite zapasy, przytém i szczęśliwe nasze polowanie dostarczało nam ciągle nie mało świeżego mięsa. W ciągu niemal całej zimy mieliśmy codziennie na obiad świeżę pieczeń z renifera lub północnego wołu, tak, że nie było potrzeby sięgać do naszych mięsnych zapasów, chyba tylko dla odmiany, ale solonego mięsa zupełnie się nie dotykali.

Przyrządy nasze do ogrzewania były bardzo praktyczne. Nie wymagały zbyt wiele węgla a jednak wśród gwałtownego zimna północnego, zawsze wkajutach utrzymać było można zwykłą pokojową temperaturę od 14 do 15° R.

Spóźniona pora nie pozwalała dalekich czynić wycieczek, dzień stawał się coraz krótszym, słońce tylko chwilowo ukazywało się na horyzoncie, na początku listopada zginęło zupełnie i nieprzerwana trzymiesięczne trwająca noc rozpostarła swe panowanie. Kajuty zamieniły się na prawdziwe więzienie a praca w nich stała się czystą pracą gabinetowych uczonych. Przy nieustanném świe-

tle lampy zapisywano spostrzeżenia naukowe i noc za nocą płynęła jednostajnie, spokojnie, ponuro, przerywana tylko od czasu do czasu świstem śnieżnej zawiei lub niekiedy oświecona błyskiem iskrzących się gwiazd na niebie. Tak minął rok 1869, nastąpił 1870 i tęp samém jeszcze ponurém obliczem witał północną osadę. Styczeń cały minął w tym poępnym zmierzchu. Ponure więzienie podbiegunowej natury niekorzystnie oddziaływać zaczęło na zdrowie osady. Znużenie ogarnęło wszystkich, spostrzegać się dawał powszechny rozstrój nerwowy. Z jakąż to niewystowioną radością, powiada Koldewey, witano ukazujące się 3 lutego słońce. Niebo było czyste i pogodne, żadnej na niem chmurki; słońce wspaniale wznosiło się ponad lodowaty widnokrąg, i jak laską czarodziejską zamieniało ciemność dotychczasową na słoneczną jasność, cały krajobraz ukazał się nagle w powabnych dla oka barwach. Śnieżny całun ziemi lśnił się białością nieskalaną, a w północnej stronie nieba, na które ziemia swe cienie rzucała, łamały się różnobarwne promienie tworząc stopniowo zmieniające się ciemno-modre, fiołkowe i czerwone smugi. Wstąpiłem na sąsiednią górę, żeby zbadać morze lodów, nigdzie śladu wody dostrzedz nie było można, przedemną rozciągał się jednostajny rozległy obraz, okiem nieprzejrzany, to stepy śniegiem kryte, to znowu lodowate pustynie. Na szczycie góry 17-to stopniowe (R.) zimno panowało.

Zaczęliśmy czynić z zapalem przygotowania do wielkiej wyprawy na sankach. Budowaliśmy namioty, szyliśmy odzienia, przykrawaliśmy futrzane kołdry stosując się do wymagań pory i korzystając z doświadczenia, jakiegośmy już sami nabyli, albo przekazanego nam w pamiętnikach poprzednich podbiegunowych podróżników.

Nowe ulepszenia dokonane przez nas okazały się praktycznemi do tego stopnia, że najgwałtowniejsza zawieja nie była w stanie wyrzucić lub zniszczyć naszego namiotu. Dla całego towarzystwa podróżnego służyło jedno ogólne pokrycie, w rodzaju obszernego worka uszytego ze skór bawolich, prócz tego na każde dwie osoby przeznaczono jeden mniejszy wełniany worek, zastępujący miejsce kołdry. Tak opatrzeni i otuleni w podobne worki mogliśmy śmiało stawić czoło podbiegunowym mrozom i tylko przy 27° R. w namiotach naszych w pewnej mierze na zimno wypadło nam się skarżyć.

W początkach marca wszystkie przygotowania do podróży były ukończone. Śmiało już mogliśmy się puścić dalej na północ. Pierwsza jednak próba zupełnie się nie udała, spostrzegliśmy bowiem, że lubo przygotowania nasze były zupełne, atoli wymagały jeszcze w szczegółach pewnego wykończenia. Nadto zbyt wiele dbaliśmy pierwotnie o wygody europejskie, gdy tymczasem należało o nich zupełnie zapomnieć i puścić się w podróż z tą biedną prostotą, z jaką się udają Eskimosy. Na szczęście postanowiono wrócić do przystani. Za ledwieśmy przybyli na dawne miejsce pobytu, alisci gwałtowna zerwała się zamieć śnieżna, wśród której wszelka podróż była niemożliwą. Zawierucha trwała z rzędu dni

kilkanaście. Dopiero 24 marca można było pomyśleć o wyprawie. Ale i teraz niepowodzenia [nas ścigały. Jeden z towarzyszy p. Sengstacke odmroził sobie w pierwszych dniach podróży tak silnie nogę, że musiał na sankach wrócić do statku, gdzie kilka tygodni w łożku przeleżał. Z jedną więc tylko parą sanek, na których zapasy żywności umieszczone zostały, udaliśmy się w podróż. Zimno było dokuczliwe, dochodziło bowiem do —27° R. Śnieg mocno zmarznięty ułatwiał posuwanie się ku północy. Największą jednak przeszkodę stanowiły zawieruchy śniegowe, które nas raz i drugi zaskoczyły i zwykle na kilka dni przykuwały do miejsca. Trzeba się było chronić pod namiot.

Lecz i tu pobyt był przykry. Śnieg bowiem w kształcie drobnego pyłku przenika przez szwy pokrycia namiotu i osiada grubą warstwą na kołdrach i na ubraniu, w skutek ciepła wydzielanego przez ciało, część śniegu topnieje, i otacza człowieka wilgocią, która dreszcz a wreszcie chorobę wywołuje. Wynędzniali, wycieńczeni, znów się podnosimy po takiej śnieżnej burzy, żeby na nowo rozpocząć naszą pracę pociągową; dobry jednak humor i czerstwe zdrowie prędko wracają, kiedy się puszcza my pieszo w podróż wśród jasnego pogodnego nieba, zasileni stosunkowo jeszcze wykwintną żywnością, jakiej nam dostarczał przez kilka dni powalony przez celnego strzelca niedźwiedź. Posuwając się po wschodnim brzegu Grenlandyi, dotarliśmy do najodleglejszego miejsca na północy, położonego pod 77° 1' półn. szerok. Zbudowaliśmy tu z kamieni pomnik i złożyliśmy w nim następujący piśmienny dowód:

„Do tego miejsca, położonego pod 77° 1' półn. szerok. i 18° 50' zach. dług. od Greenwich zbliżyła się niemiecka podbiegunowa wyprawa na sankach (3 ostatnie mile pieszo) odbywszy z swęj zimowej przystani podróż w ciągu 22 dni. Śnieżna zawieja, która zmusiła do ośmiodniowego przebywania w namiocie, niepokonane trudności drogi, brak zapasów żywności, uczyniły dalsze posuwanie się niemożliwem. Brzeg, który się stromo ku południowi pochyla, ciągnie się ku północy jako długa równina na przestrzeni około półtora tysiąca stóp. Morze, o ile się dostrzedz dało (około 12 mil niemieckich), przedstawiało jedną nieprzerwaną lodową powierzchnię. Lód nadbrzeżny, zбитy jak wnosić należy w stałą masę już od lat kilku, ciągnął się przynajmniej na dwie niem. mile od brzegu. Powietrze było jasne i pogodne, zwłaszcza w stronie wschodniej morza, gdzie żadnego śladu wody nie można było zauważyć.

Wielki Piątek, 15 kwietnia 1870 r.

podp. *Karol Koldewey*, naczelnik wyprawy i inni.

Pośpiech w powrocie do namiotu odległego o 3 mile był nakazany. Już się ukazywać bowiem zaczęły niezawodne zwiastuny śnieżnej zamieci i zaledwie podróżnicy wrócić zdołali do bezpieczniejszego miejsca, zerwała się znowu gwałtowna burza, co płatkami śniegu jako liściem jesieni w ciągu dni kilku miotła. Dalsza część podróży odbyła się pomyślnie, już w końcu kwietnia podróż-

nicy przybyli do przystani, w której był statek umieszczony. Teraz dopiero, są słowa sprawozdawcy, pokazywać się zaczęły skutki naszych wysiłków mimo dobrego pożywienia, na którym nam nigdy nie schodziło. Ogólne osłabienie objawiać się zaczynało, gwałtowne kurcze ukazywały się w nogach, zdrowe jednak i posilne pokarmy, spokój i wypoczynek wkrótce nam wszystkim dawne przywróciły siły.

Przedsiębrano także inną jeszcze wyprawę z sankami dla zbadania wnętrza Ardencaple-zatoki (na półn. od przystani pod 75 1/2 szer. pół.), ale to się nie udało w zupełności, ile że niepodobnym było zapuszczać się daleko w głąb zatoki dla zbyt wielkiego i niemal bezdenne go śniegu, porzeczano więc tylko na wymierzeniu nadbrzeżnych przestrzeni i na zebraniu różnych miejscowych geologicznych okazów.

Trzecią wyprawę z sankami urządzili dla swoich celów obaj astronomowie Dr. Copeland i Börgen, w porze już dość spóźnionej. Było to bowiem w maju. Ustawiczne zawieje śniegowe podczas wiosny nie mniej i rany, jakie poniósł Börgen astronom, od niedźwiedzia, wpłynęły na znaczne opóźnienie wyprawy, w skutek zaś odwilży podróżnicy wystawieni byli na największe trudności i przeszkody. Wymierzono jednak łuk o 40° i dokonano wiele ważnych prac. Wyprawa wróciła do przystani 17 czerwca, lubo wielce zmęczona, wogóle jednak zupełnie zdrowa. Na tém się zakończyły wycieczki wśród śniegów na sankach. Zbliżała się pora puszczenia lodów, trzeba było pomyśleć o uwolnieniu statku z zimowych przyborów, przygotować go do morskiej podróży, i czekać sposobnej chwili, żeby się wydostać na pełne morze; proces puszczenia lodów postępował szybkim krokiem naprzód; grubość lodu, która w maju wynosiła 6 stóp 7 cali angielskich, zmniejszyła się o kilka stóp; na wschód, na południe od nas zaczęła się na morzu ukazywać swobodnie poruszająca się morska woda. Przystań jednak pozostawała ciągle jeszcze lodem skrzepowana. Dopiero 10 lipca razem z lodami ruszył i nasz statek, użyliśmy pił lodowych do przepiłowania kanał i wypłynęliśmy wkrótce z naszego lodowatego zamknięcia.

Droga wszakże ku północy nie była otwarta, bryty lodu zalegały całą przestrzeń w stronie ku biegunowi, więc znowu zawiodła nas nadzieja dalszej wycieczki. Wróciliśmy zatem do naszego dawnego portu i korzystaliśmy z wolnej chwili, żeby na łódkach przesuwając się do sąsiednich brzegów i czynić tam wszelkie możliwe naukowe poszukiwania. Wśród jednej z takich wypraw wylądowaliśmy na brzegi wyspy, nazwanej od imienia słynnego żeglarza, Claveringa. Podążyliśmy pieszo, żeby odszukać tę osadę Eskimosów, którą tu zastał przed pięćdziesięciu laty (1823) Clavering; ale tu, jak w ogóle na całym brzegu, zbadanym przez Germanią, nigdzie nie natrafiono na żyjące istoty ludzkie, pozostały tylko ślady, że nawet i w tych dziedzinach odległych, kiedyś człowiek nędzne życie pędził.

Odszukano tu na wyspie Clavering, jako też i na wyspach drobnych Pendulum (pod 75° sz. pół.) niezłe zachowane szczątki osad grenlandzkich i nie mało zabytków życia prywatnego. Wiele z podobnych przedmiotów, odnoszących się do domowego bytu Eskimosów, zgromadzono w jednym z najbogatszych muzeów w Kopenhadze. Dają one dziwnie jasne pojęcie o postępach tej samorodnej cywilizacji, która swe pierwsze kroki stawiała wśród najniegodniejszych warunków, odsłaniają zarazem obraz tych usiłowań, jakie uczynił człowiek dla podtrzymania swego istnienia na łonie niemal wiecznie śnieżnej i w swych darach nader skąpój przyrody. Te namioty, te ubrania, te narzędzia łowieckie i rybkie stawiają nam przed oczy cały sposób życia, jaki Grenlandczyk zmuszony jest prowadzić. Mają wszakże te zabytki bytu domowego prócz etnograficznej strony jeszcze innego rodzaju znaczenie. Uczą nas bowiem te przedmioty zgromadzone w muzeach lub złożone w opisach nie tylko poznawać obecny stopień uspołecznienia jednego z plemion, ale dają zarazem materiał do porównawczych badań.

W stanie takiego plemienia, gdzie cywilizacja w niemowlęcym pozostaje wieku, gdzie nieznanne są nowszych czasów odkrycia i wynalazki, odbija się jasno i wyraźnie kształt pierwotnego społeczeństwa; w nim się zachowuje mniej lub więcej w szczegółach podobna pierwsza doba życia człowieka w walce z przyrodą i nieraz posłużyć może do trafnego objaśnienia pierwotnego stanu, przez jaki przechodziły dziś już ucywilizowane ludy. Obecne uspołecznienie Grenlandczyków, mieszkańców Ameryki północnej, ich narzędzi życia domowego, ich zwyczaje i obyczaje jakże nieraz posłużyły jako żywy materiał dla Nilsona archeologa do zrozumienia celu, przeznaczenia tego mnóstwa kamieni, krzemieni i drzewców znajdujących w grobach Skandynawskich z pierwotnej epoki życia plemion na gruncie europejskim. Dlatego też nie będą, zdaniem naszym zbytecznymi słowa, jakie zapożyczamy ze sprawozdania niemieckiego, dla przedstawienia kilku zabytków odszukanych przez niemiecką wyprawę (1).

Właściwych „chat zimowych” tj. stałych mieszkań znaleziono niezbyt wiele, liczba ich w 7 miejscowościach dochodzi do 16. Zwykle zbudowane są na słonecznej stronie przyłądków wchodzących w morze w kierunku południowo wschodnim, w niezbyt wielkiej odległości od brzegu i zwykle dwie lub trzy tylko chatki stoją obok siebie. Mury napół w ziemię zapuszczone składają się z kamieni szczelnie do siebie przystających, na wewnątrz ściany wygładzonych, w miarę tego jak się wznoszą nad ziemię wzmocnione są przez ziemne nasypy lub stosy innych kamieni. Płaszczyzna murów wewnątrz załamuje się niekiedy tylko w kształcie nisz, które się zwykle w przedniej znajdują ścianie. Podłoga składa się z gładkich kamieni, zwłaszcza w węglach ścian, gdzie się prawdopodobnie mieściło ognisko.

(1) Ueber Ostgrönlands Bewohner von Dr. Pansch.

Wewnętrzna część tych chat wynosi przecięciowo 9 stóp szerokości, 11 stóp długości, wysokość muru, którą za pierwotną uważać należy, dochodzi zaledwie do półczwarta stóp. Przed ścianą przednią zwróconą ku słońcu czyli ku morzu znajduje się wejście do chaty właściwego rodzaju, pod wielu względami wielce praktyczne. Wykopany jest dół mający objętości półtory stopy kwadratowej, tu się zaczyna wchód podziemny w rodzaju tunelu w poziomym kierunku od 6 do 12 stóp długości. Tunel ten dochodzi do przedniego muru w dolnej jego części otwartej, która za drzwi służy. Mieszkaniec więc chaty spuszcza się w dół wzmiankowany i czołgając się wsuwa się do wnętrza swego zimowego domku. Jest to jedyne wejście i wyjście, jedyny otwór, który zastępuje miejsce drzwi i okna. W części domu wystającej nad ziemię, w bocznych ścianach lub dachu żadnego nie masz otworu. Dach przedstawia zwykle kształt poziomy, na zrębie przytwierdzone są poprzeczne łąty drewniane przywalone kamieniami, ziemią, mchem i śniegiem. Praktyczność takiego ustroju zimowej chaty jest widoczną, tym sposobem bowiem otrzymuje się najwyższy możliwy stopień ciepła wewnętrznego, gdyż zimno i wiatr nie przenikają bezpośrednio przez głębokie w ziemię zapuszczone wejście, które znowu z drugiej strony służy jako dostateczny przewodnik światła i prądu świeżego powietrza. Ilu się mieszkańców mogło pomieścić w takiej chacie, trudno oznaczyć, zdaje się jednak, że taki domek zimowy był zwykłym miejscem pobytu jednej tylko rodziny niekiedy tak nazwane lampy (kudłuk) w kształcie najzupełniej pierwotnym; były to kamienie z niewielkiem od natury wydrążeniem, mocno zaczernione i w nich zachowały się jeszcze resztki tłuszczu, kości i mięsa foki.

Odszukano także ślady letnich mieszkań, namiotów, z których tylko pozostały kamienne fundamenta, przedstawiające się w kształcie koła, utworzonego z mocno w ziemi utwierdzonych kamieniami, na których się opierały prawdopodobnie tyczki obwieszone skórami. Koła te mają w średnicy od 10 do 12 stóp, niekiedy przedzielone są rzędem kamieni, tworzących jak gdyby oddzielne komnaty.

Te letnie mieszkania spotykać można po większej części nad brzegiem morskim, w znaczniejszem lub mniej znacznem oddaleniu od chat zimowych. Obok nich znajdują się nieraz kamieniem wykładane głębokie otwory w ziemi, mogące pomieścić siedzącego człowieka, które służyły zapewne za miejsce przechowywania zdobyczy myśliwskiej, mięsa ryb lub zwierząt.

Na szczególną wzmiankę zasługują jeszcze groby, które pod wielu względami przypominają mogiły pierwotnych ludów, zamieszkujących kiedyś Skandynawskie kraje; nie są to właściwe groby tj. wryte, wykopane miejsca do przechowywania zmarłego ciała, ale raczej sklepienia kamienne, w których bądź w leżącej, bądź siedzącej postawie spoczywają zwłoki. Kształt tych sklepień bywa po-

dłużny ($4\frac{1}{2}$ st. dł., $2\frac{1}{2}$ sz., $1\frac{1}{2}$ wys.) albo okrągły. U podłużnych właściwe sklepienie czyli pokrycie składa się z płaskich długich kamieni, lub z krótszych podtrzymywanych przez poprzeczne łaty; w okrągłych wierzchnią część stanowi prawdziwe sklepienie: tu i owdzie zdarzające się szczeliny wypełnione są starannie poukładanymi drobnymi kamykami. Wewnątrz tych grobów znajdowano pewną ilość piasku (wiatrem zanieśonego) i mnóstwo liści trawia-
stych, zpoza których rzadko kiedy albo zupełnie nawet kości nie sterczały. Wśród klimatu grenlandzkiego zwłoki oczywiście prędko niknęły, nawet kości, zwłaszcza w wilgotnym pokładzie ulegały wczesnemu rozkładowi. Podłużne groby zbudowane były w kierunku południka, w wielu z nich dostrzedz było można, że głowa zmarłego umieszczona była w północnym końcu, tak że zmarłego pochowano z twarzą zwróconą ku słońcu południowemu.

Liczba grobów była dość znaczna, nie przedstawiały one wszakże cmentarzyska ogólnego; tu i owdzie rozrzucone samotnie w większej lub mniejszej od mieszkania odległości; rzadko kiedy w nich znajdowano broń lub sprzęty, które jako z kości słoniowej wyrobione, powinny się były zachować, natomiast w większej ilości odszukano różne sprzęty i przedmioty z drzewa, rogu, kości. Prócz pięknego kubka z drzewa wykrajanego, wiosła i kilku rękojeści do sztyletów, wydobyto z grobów dwie figury zwierzęce dość grubej roboty; godnemi jednak przedewszystkiem uwagi są sanki do psiego zaprzęgu, znalezione w zupełnie dobrym stanie nad brzegiem morza.

Kształt ich jest powszechnie znany, zwłaszcza w zachodniej Grenlandyi, składają się bowiem z dwóch dość grubo obrobionych sanic o 7 stopach długości, spojonych z sobą poprzecznymi deseczkami przytwierdzonemi do sanic za pomocą rzemieni. Okucie sanic stanowią zamiast naszych żelaznych prętów, szerokie paski z kości zwykłej lub z fiszbinu, przymocowane za pomocą drewnianych gwoździ.

Wszelkie znajdujące w Grenlandyi drzewo, którego okazy są tam zresztą bardzo nieliczne, jest drzewo napływowce; najczęściej się poławia nad brzegiem sosna i modrzew, trudno oznaczyć miejsce jego pochodzenia, prawdopodobnie przybywa ono na falach morskich z Syberyi i Ameryki.

Nie napotkano żadnych śladów żelaza, wszystkie przedmioty i sprzęty pokazują dość jasno, że do ich wykończenia używano jedynie narzędzi kamiennych; niewielki zaś kawałek żelaza, w rękojeść drewnianą oprawiony, prawdopodobnie pochodził z owego czasu, kiedy Clavering w 1823 r. odszukał te osady grenlandzkie i mieszkańcom w darze częśćkę tego nieznanego w tamtych stronach metalu zostawił.

Z krzemienia nie znaleziono żadnych rzeczy; w ogóle kamień ten bardzo rzadko się tam pokazuje: kilka pięknych strzałek i nożyków było wyrobionych z łupku. W najpowszechniejszym zastosowaniu była kość i ząb grubszego zwierza.

Według obliczeń podróżników drugiej wyprawy niemieckiej, pierwiastkowa liczba mieszkańców wschodniej Grenlandyi pod 73^o-76

pół. szer. mogła około 100 głów wynosić w 16 chatach. W r. 1823 pozostały tylko jeszcze dwie chaty (12 głów) i te także już mniej więcej przed 20 lub 30 laty utraciły swych mieszkańców. Zadawano sobie nieraz pytanie, co mogło stać się przyczyną tego wyludnienia, szukano głównej pobudki w zmianie klimatycznych warunków, przypuszczano, że stopniowo zwiększające się zimno mogło wpłynąć na wyniszczenie tu ludności; prawdopodobniej jednak mieszkańcy tamtejsi wycieńczeni głodem i zimnem, w ciągu kilku lat niekorzystnych (bo bywają i peryody korzystniejsze dla utrzymania życia) częściowo wymarli a częściowo przenieśli się do mniemanych piękniejszych stron.

Podane tu, według sprawozdania p. Panscha wiadomości o za-
bytkach grenlandzkich nie odznaczają się zbytnią nowością; już
wiele z tych rysów znanych było poprzednim podróżnikom, ale
ważności tych opisów lekceważyć nie należy. Stwierdzają one ten
fakt, że na wschodnim brzegu Grenlandyi istniały w ciągu kilkuset
lat osady Eskimosów w zaskakująco rzadkich warunkach. Były
one zupełnie samotnie rzucone na tę daleką północ, odcięte od
wszelkiego obcowania z współplemiennymi lub w ogóle z ludzkiemi
osadami. Grenlandyą bowiem środkową zalegają wyniosłe niedo-
stępne góry, które niemożliwym czynią wszelkie przejście na dru-
gi zachodni (także zamieszkały) brzeg Grenlandyi, na południe
zaś od wzmiankowanych osad po całym wschodnim brzegu, niemal
wiecznotrwale osiadły zatory lodowe, przez które stopa ludzka
nigdy sobie ścieżki utworować nie była mogła.

Po tém krótkim zboczeniu od głównego przedmiotu wraca-
my do przedstawienia dalszych losów naszych podróżników.

Lipcowe słońce zaczęło silny wpływ wywierać na całą pół-
nocną przyrodę. Na lądzie stałym zniknęła śnieżna powłoka,
zieloną murawą pokryły się pola, nad brzegiem zaś morza bryły
lodu rozpląwały się w płynną wodę. Postanowiono więc opuścić
wyspę Clavering w końcu lipca i nowe uczynić usiłowania, żeby
się dalej posunąć ku północy. Daremne jednak były oczekiwania.

Lubo wschodnie brzegi wyspy Shanon, leżącej znacznie wyżej
nad miejscem zimowej przystani, nie tamowały wolnego przejazdu,
to przecież wkrótce znów ukazały się zatory lodowe, które dalszą
drogę niemożliwą czyniły. Pod 75° 29' pół. szerok. zaczynały
się masy zbitego lodu. Wstąpiliśmy, powiada Koldewey, na szczyt
dość znaczny góry wyspy Shannon, i spojrzeliśmy przed siebie ku
północy. Na dalekiej przestrzeni, jak tylko oko zasięgnąć mogło,
rozciągały się pola czystego lodu, z silnego zaś łamania się pro-
mieni wnosić mogliśmy, że całą wschodnią stronę zalegają lodo-
wate skorupy. Nie było żadnej nadziei, żeby się te lody rozplą-
nęły, odejmowało ją nam bowiem zeszlatoroczne nasze doświadczenie,
postanowiono więc było jednogłośnie zaniechać dalszych usiłowań
przedostania się ku północy, natomiast skorzystać z pory roku,
żeby może w południowej stronie ważne poczynić odkrycia. Wśród
gęstiej mgły wróciliśmy do naszej zimowej przystani, po krótkim
w niej pobycie wyruszyliśmy na południe, płynąc wzdłuż wscho-

dnych brzegów Grenlandyi. Zatrzymaliśmy się w przyłdku Franklina. Wstąpiwszy na ląd, zwiedziliśmy najbliższą wyniosłość. Oku naszemu przedstawiła się długa, nieznaną zatoka, po wodach której gdzieniegdzie pływały góry brył lodowych. Puściliśmy się naszym statkiem i wymijając stopy lodów, co raz dalej wnikałiśmy w głąb zatoki. Co chwila stawała się temperatura łagodniejszą i woda cieplejszą być zaczynała. Przed nami powstał obraz prawdziwie alpejski. Nieznana kraina, właściwa środkowa Grenlandya rozwijała się co raz piękniej i wspaniałej przed zdumionym naszym okiem. Lodniki, kaskady, górskie potoki z piętrzących się gór spływały bez liku. Dalej na północy dostrzeżonym został olbrzymich rozmiarów lodnik, z którego zapewne odłamy unosiły się na wodach zatoki w kształcie stosów lodowatych. Płynęliśmy tymczasem ku zachodowi; końca zatoki nie można było jeszcze dostrzedz. Na nieszczęście kocioł parowy, którego rury w kilku miejscach zostały uszkodzone, odmówił nam swych usług, w skutek czego zmuszeni byliśmy przybić do brzegu i zarzucić kotwicę.

Rozpoczęto roboty naukowe celem zbadania miejscowości. Kilku z towarzyszków podróży weszło na olbrzymi lodnik, a ztąd na górę 7000 stóp wysokości mającą. Przekonano się że zatoka ciągnęła się ku zachodowi bez granic. Pod ten czas kocioł został o tyle o ile naprawionym, stan jego jednak był taki, że na trwałe jego usługi zupełnie nie można było liczyć. W takiem położeniu i przy dość spóźnionej porze byłoby wielce lekomyślném wystawiać na szwank całą wyprawę, puszczając się jeszcze dalej w głąb zatoki. Gdyby kocioł nie dopisał, wypadłoby prawdopodobnie całą zimę przesiedzieć w zatoce a na żagle nie można się było spuszczać, w zatoce bowiem w ciągu całego lata trwa jednostajna cisza.

Powrót był postanowiony. Statek nieraz jeszcze, siłą wiatru posuwany, ciężkie przebywał niebezpieczeństwa wśród nadpływających z północy brył lodowych i podróżnicy dopiero swobodniej odetchnęli, kiedy się w końcu sierpnia wydostali na pełne morze pod 72° 5' pół. szer. i 14° wsch. długi.

Nie małe było zdumienie podróżników, kiedy się do ujścia Wezery zbliżali i gdy obce nieznanne dostrzegli statki: były to fregaty francuzkie. Wyprawa bowiem północna opuściła Europę w chwili zupełnego pokoju, po rocznej zaś nieobecności zastała ją wzburzoną gwałtowną wojną dwóch sąsiednich narodów. 11 września zarzucił statek kotwicę w przystani Bremańskiej, podróżnicy wysiedli na ziemię rodzinną, spędziwszy na uczonej wyprawie 453 dni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MIKOŁAJ KOPERNIK I MARCIN LUTER.

Rzecz historyczna, napisana z powodu pracy dr. Hiplera: Nikolaus Kopernikus und Martin Luter, nach ennländischen archivalien; przez dr. Ludwika Kubalę.

W miarę zbliżania się obchodu 400-letniej rocznicy urodzin Kopernika, zaczynają się coraz częściej pojawiać liczne prace i poszukiwania nad jego życiem i dziełami. Publiczność u nas i w Niemczech, zaczyna się nim coraz więcej zajmować; nawet bierze żywy udział w poszukiwaniach, czego dowodem częste wiadomości w dziennikach, prostujące daty, lub podające nowe szczegóły do jego życia. Przy tej szlachetnej rywalizacji w uczczeniu geniuszu Kopernika, odzywa się za nim antagonizm szczepowy na punkcie jego narodowości, który nam nie daje spokojnie odczytać żadnej pracy niemieckiej, a tém samém korzystać z pracowitych poszukiwań naszych przeciwników. A jednak nie powinniśmy im brać za złe, że sobie chcą Kopernika przyswoić, że chcieliby aby był Niemcem; jest to hołdem oddanym jego wielkości, naszego rodaka, że jeden wielki naród dobija się o niego: nie gniewać ale zadawałniać nas to powinno, że go nam zazdroszczą i że w ten sposób pomagają nam do uczczenia jego pamięci i przyczyniają się pracą swą do wyświecenia jego życia i znaczenia w rozwoju cywilizacji. Jeden z nich, Dr. Hipler, znalazł w archiwach warmińskich i w korespondencyach Dantyszka, znajdujących się w Bibliotece Upsalskiej, wiele ciekawych szczegółów do życia Kopernika i bardzo ciekawy list, w którym Dantyszek opisuje wizytę swoją u Lutra. Dr. Hipler zebrał to wszystko, dopełnił własną pracą i wydał pod tytułem: Nikolaus Kopernikus u Martin Luter. Książkę tę polecam wszystkim, co się życiem Kopernika zajmują, a o tytule sam obecnie pisać zamyslałam.

Imiona tych dwóch wielkich ludzi, zestawione przypadkiem ze sobą, uderzają odrazu dziwnym związkiem kontrastu; każdy z nich występuje jaśniej i wyraźniej na tle drugiego a co więcej dopiero przez porównanie ich ze sobą uwydatnia się ich potężny wpływ na rozwój umysłowy następnych wieków, i występują na jaw korzyści, jakie ich działanie przyniosło dla ludzkości.

Obaj rówieśnicy, używają do dziś dnia niezaprzeczonej sławy największych ludzi swego czasu; ale życie ich, społeczeństwo w którym wzrosli, wyobrażenia, cele i sposoby działania, należą do dwóch przeciwnych biegunów. Przedział jest tak wielki, że cała współczesna generacja, i cały wiek może się wygodnie zmieścić pomiędzy nimi.

Mikołaj Kopernik urodził się w zamożnym domu handlowym. Wyobrażenia jakie wyniósł z rodzicielskiego domu a z niemi to wszystko, co stanowi zazwyczaj podstawę naszego charakteru a zarazem największe oparcie, lub największą zawadę w późniejszym życiu, były tego rodzaju, że go mogły aż do śmierci utrzymać w ciągłej harmonii ze sobą samym i ze społeczeństwem w którym się obracał. W domu jego rodziców było dużo religii, ogłady obyczajów, poszanowania dla nauk, pracy, znajomości świata i uczucia dla sztuki, bo domy handlowe dzięki wszechstronnym i stałym stosunkom, były jakby stacyami rozszerzającej się cywilizacji w czasach, kiedy wielkie odkrycia na morzu wzniosły miasta do szczytu bogactw i znaczenia, a kiedy wielkie domy bankierskie i handlowe na Zachodzie, były mecenasami sztuki, nauki i dawały ton w ucywilizowanym świecie. Wszystko co otaczało pierwsze lata Kopernika, składało się na to, by go ochronić od silnych namiętności, dzikich wrażeń i wielkich walk wewnętrznych; nic nie psuło harmonii, tej spokojnej, kontemplacyjnej i poetycznej natury: był jak drzewko w szczęśliwem miejscu wyrosłe: lata go robią silniejszym, dojrzałym, ale się nie gnije, nie łamie, ani się w dziczkę nie zamieni. Dostatek domu mógł w całej pełni zaspoкоїć jego jedyną żądzę, żądzę wiedzy; nie krępowany niczem, obierał swobodnie najlepsze szkoły i najlepszych nauczycieli.

W szkole krakowskiej, której Kopernik, jak sam mówił, wszystko co umiał zawdzięczał, a która liczyła wówczas 15000 uczniów a 17 profesorów do samej literatury klasycznej: zaczął od poezji a skończył na matematyce i astronomii. W Bononii, już jako kanonik Warmiński, uczył się prawa kanonicznego i zajmował się filozofią Platona i Pitagorejczyków. Postanowiwszy sobie wyjaśnić ruch masyzny wszechświata, nauczył się w Padwie greckiego języka na to jedynie, aby przeczytać wszystko, co starzy o tém napisali; słu chał przytém cztery lat medycyny, a powróciwszy po piętnastu latach nauki do domu, skupiwszy w sobie całą potęgę wiedzy, jaką ówczesny świat dać potrafił, osiadł na swojej kanonii we Frauenburgu i pełniąc sumiennie obowiązki swe jako ksiądz i lekarz praktyczny, pracował przez 36 lat nad swoim wielkiem dziełem, o którego wpływie na rozwój umysłowy następnych wieków niżej mówić będziemy.

W tym samym czasie, kiedy 24-letni kanonik warmiński rozpoczął swoje studia w Bononii, chodził do szkoły łacińskiej w Eisenach, 14-letni student Marcin Luter. Głodny, po mieście i po wsiach okolicznych, śpiewał psalmy i żebrał. Wreszcie uboga wdowa w Eisenach przyjęła chłopca do siebie; walka z głodem ustała, a Luter wziął się zapamiętale do nauki. Głównem zajęciem jego byli klasycy i biblia, a kiedy został magistrem i rozpoczął wykłady w szkole erfurckiej, wybrał sobie fizykę i etykę Arystotelesa. Zamiarem jego było zostać prawnikiem i zaczął już się być przygotowywać do studiów prawnych, kiedy wypadek niespodziewany, stanął jak błyskawica pomiędzy nim a życiem jego, oświecił mu przyszłość i zawrócił na inną drogę. Wieść niesie, że w drodze pomiędzy Eisenach i Erfurtem, piorun uderzył tuż przy nim w jego przyjaciela i zabił go

na miejscu. Wypadek ten wstrząsnął całym jestestwem Lutra; opuścił ręce i przestał pracować, milczący i zamyślony błąkał się jakiś czas pomiędzy ludźmi; wreszcie pewnego wieczora, sprosiwszy do siebie wszystkich przyjaciół i kolegów, wyprawił im za cały swój majątek ucztę i wśród najweselszej zabawy, wstał i nie pożegnawszy się z nikim, wyszedł z domu i zapukał do furty pobliskiego klasztoru Augustyanów.

Ale w nikłym ciele jego zaczęły się ruszać wszystkie demony, tłumione dotąd ciągłą walką o chleb powszedni i nieustanną pracą. Wyobrażenia bez granic która mu pozwalała widzieć dyabła w własnej osobie, wybuchła gwałtownym ogniem w samotnej celi. Posty, modlitwy, bierzmowania nie pomagały; geniusz i natura jego nie mogły się przyzwyczaić ani zmienić w murach klasztornych; żądza zbawienia, strach przed piekłem, tęsknota za czemś nieznanem i żal za światem ścisłały serce i przyprowadziły rozum do szaleństwa. Walczył i łamał się ze sobą, wreszcie zachorował śmiertelnie. Luter bał się Boga, to było z jego naturą złączone, bał się jego straszego sądu i wiecznej kary; tymczasem bał się śmierci, która się zbliżała do jego łoża, wił się w śmiertelnej trwodze i duchowych cierpieniach, kiedy pewnego razu stary zakonnik, który przy dogorywającym głośno modlitwy odmawiał, wymówił z większym naciskiem: „wierzę w grzechów odpuszczenie.” Słowa te, które stanowią podstawę całej nauki Lutra, padły wówczas jak błyskawica na jego duszę; uspokoił się i przyszedł do zdrowia. Od tego czasu zmienił się nie do poznania: dawniej hypochondryk i melancholik, stał się potem najweselszym towarzyszem; dawniej milczący i nieśmiały, rozpoczął teraz miewać kazania, któremi porywał słuchaczy. Nie tał się z pogardą swą dla zepsutego i lekkomyślnego kleru, który miał sposobność poznać podczas swojej bytności w Rzymie, również jak z pogardą swą dla wiedzy ludzkiej, dla sztuki, a nawet dla Arystotelesa, którego przedtem tak uwielbiał. Tak stały rzeczy, kiedy dominikanin Tetzel dał pochop do wywieśnienia owych sławnych 95 tez, tego arcydzieła opozycji, które całe masy narodu, mimo potęgi kościoła, przerzuciło na stronę ubożego niemieckiego mnicha.

Jeśli osoba Kopernika odślania świetny charakter ówczesnej cywilizacji tak w Polsce, jak na zachodzie Europy, to Luter jest za to żywym obrazem ówczesnego usposobienia narodu niemieckiego.

Syn ludu niemieckiego nosił w piersiach swoich wszystkie jego wyobrażenia, a z przesądów i zabonów, pomimo całej nauki i bystrości, do końca życia otrząść się nie potrafił. Tak samo jak on widział Boga straszliwego sędziego, który za każdą myśl wiecznym ogniem karze, tak samo jak on nie wierzył aby ręka grzesznego człowieka mogła mu grzechy odpuścić; tak samo czuł cały lud niemiecki: bał się Boga a nie cierpiał Rzymu. Dlatego to kiedy Luter wystąpił z nauką o łasce i ogłosił że sama wiara do zbawienia wystarcza, wystąpił wielki ruch religijny w Niemczech. Tym sposobem powstał

Kopernik był także reformatorem. Przewrót wyobrażeń religijnych, jaki jego teoria za sobą prowadzi, nie robił na razie

wrażenia i do dziś dnia z wyjątkiem kościoła, który dopiero w 1820 r. rozprawić o nim pozwolił, a do 1835 trzymał na indexie, nikt się nań z tego stanowiska nie zapatrywał. A jednak wyobraźmy sobie człowieka który jest przekonany, że ziemia jest płaszczyzną, po pod którą znajduje się piekło, a nad którą niebieskie mieszkanie Boga; że słońce i gwiazdy stworzone są wyłącznie ze względu na nią i że ona jest jedyną racją bytu tego wszystkiego, co się widzi i co niewidzi. Taki człowiek nie będzie się mógł zgodzić na każdym punkcie swęj religii z drugim, który sobie wyobraża ziemię jako ruchomą kulę, obiegającą słońce, małą jak ziarnko grochu w porównaniu z wszechświatem; który wie, że ta ziemia wraz z milionami ciał niebieskich które ją ogromem swym przewyższają, ma stały niezmienny ruch i nakreślone drogi, że Bóg jest stwórcą wielkiej harmonii i wiecznego porządku. Obaj ci ludzie będą mieli zupełnie inne wyobrażenia o stosunku ziemi i o swoim stosunku do świata i do wieczności. Kopernik prawdy swoje zdobywał walką z tajemnicami natury a ludzi zdobywał w spokoju; zdobycze jego przyjął naród jako prawdę która przemawia do rozumu i wyobraźni; wuczonym świecie przyjęto je z radością i zdumieniem, jedni tylko reformatorzy niemieccy ich nie uznali. Opozycja przeciw Kopernikowi wyszła z Wittembergi i tamże aż do najnowszych czasów istniała, a Luter w ten sposób się o Koperniku wyraził; „Mówiono tu o jednym astrologu, który chciał dowieść, że się ziemia obraca a nie niebo i cały firmament ze słońcem i księżycem tak, jak gdyby kto siedząc na wozie lub na okręcie, który się porusza, twierdził, że siedzi nieruchomy i spoczywa a świat i drzewa biegną i ruszają się. Tak to teraz bywa: kto chce być mądrym, musi coś nadzwyczajnego powiedzieć i wszystko musi się tak dziać, jak on mówi. Ten błazen chce całą astronomię do góry nogami wyrzucić, ale w Piśmie S. stoi wyraźnie, że Jozue kazał słońcu stać na ziemi. Tak samo sądził Melanchton, obaj Bekmani i inni” (1). Nauka Lutra, który wiarę w martwą literę postawił jako alfę i omegę zbawienia, była z gruntu sprzeczną wszelkiemu postępowi, a sam reformator był daleko więcej wstecznym aniżeli Papiież któremu Kopernik swoje dzieło dedykował i ówczesny Rzym, który jego teorie przyjął z całym uznaniem.

Nie mam zamiaru zastanawiać się dłużej niż potrzeba nad wartością reformy Lutra lub Kopernika; chodzi mi przedewszystkiem o to, aby za pomocą zestawienia tych dwóch ludzi, zdać sobie sprawę, jakie korzyści ich życie całej ludzkości przyniosło.

Otóż nie uważam reformacyi za dobrodziejstwo dla ludzkości. Aby się przekonać o tём, otworzmy karty historii i porównajmy czasy przed i po reformacyjne; porównajmy generacją wśród której reformacja powstała, z ludami których czasy reformacyjne wydały, a zobaczymy że świat zupełnie inaczej będzie wyglądał, aniżeli w znanęj historii cywilizacyi, która złączywszy te czasy ze sobą, zdumiewa się nad wielkością ludzi i wypadków.

(1) Lutera Tischreden, Halle 1748 ed. Walch S. 2260 (Hipler).

Generacya wśród której żył Luter, Kopernik, Rafael, Michał Anioł, Wasko de Gama, Albuquerque, Kabral i tylninnych, z których każdy mógłby być ozdobą jednego wieku, rosła pod wpływem odkrycia nowego świata i rozpowszechnionej literatury klasycznej. Nowe odkrycia rozszerzały granice wiedzy i doświadczenia; wyobrażenia o świecie nagle się rozszerzyły, ciekawość zaostrożona a z nią zmysł spostrzegawczy, najtępsze umysły z uspienia obudzić były zdolne. To wszystko w połączeniu z świetną cywilizacją klasycznych wieków podniosło naukę i sztuki do potęgi i znaczenia, jakiego w naszych czasach nie używają. Kiedy Karol V dostrzegł niezadowolone na twarzach dworaków z powodu honorów jakie czynił Guiciardiniemu, powiedział owe piękne słowa, których wieść prędko rozeszła się po świecie: „Mogę jednem słowem zrobić stu rycerzy, ale całą potęgą nie zdołam stworzyć jednego takiego pisarza.” W czasach w których monarchowie, nie wyłączając samego sultana, wyrządzali tak nadzwyczajne honory artystom, kiedy miasta illuminowały się na przybycie uczonych, kiedy cesarz podawał z ziemi pędzel Tycyanowi, powstawał z tronu przed Michałem Aniołem: w takich czasach nauka i sztuka mają niewątpliwie znaczenie i niezaprzeczoną wartość. To też czasy te nazywają Włosi i Francuzi wiekiem złotym oświaty w swoim kraju. Omal nie wszystko na czem stoi dzisiejsza cywilizacya, zaczęło się wówczas rozwijać, lub doszło do najwyższej doskonałości. Sztuka a z nią malarstwo, rzeźba, architektura, doszła do niedoścignionych rezultatów. Powstała komedia nowożytna, poezya i powieść przestały być fachowem zatrudnieniem. Geografia, historia naturalna, matematyka, astronomia, fizyka, statystyka, rozpoczęły modyfikacyę, zaczęto zakładać biblioteki, rosły szkoły z niesłychaną szybkością, przemysł i handel ożywiany ciągłemi odkryciami, rosł w olbrzymie rozmiary i w spółce z nauką i sztuką zbliżał ludzi do siebie i oglądał obyczaje; rzetelna siła słabła, zabobon niknął, wszelka słabnąc poczyniała, wolność ludzka zaczynała nabierać realnych podstaw prawdziwej potrzeby i korzyści, wojny same zaczynały przybierać charakter więcej ludzki, wartość człowieka rosła, a czas był tak płochetne uczucia, iż zdaje się, jakby słońce wówczas inaczej grzało na ziemię. Jest to zdumiewającym zjawiskiem a może wyłączną własnością owych czasów, że jeden i ten sam człowiek potrafił wymalować sąd ostateczny, wykuć posąg Mojżesza, budować kościół Sgo Piotra i pisać świetne sonety; że wielki myśliciel grający tak cudownie na srebrnej lirze, którą sobie sam zrobił, mógł tą samą ręką wymalować sławną wieczerzę Pańską, pracować szesnaście lat nad posągami konnym Franciszka Sforzy, pisać o fortyfikacyach, o kanalizacyi Arno, o anatomii i być równie wielkim geometrą, architektem i fizykiem; wyprzedzić Kastellego, Portę i Witeliona. Nie stawiając za przykład ludzi wyjątkowych zdolności, jak wyżej wspomniani, albo jak nasz Kopernik, który był filozofem, poetą, astronomem, księ-

dzem, lekarzem i pisał o biciu monety, możnaby podać mnóstwo przykładów z każdego kraju świadczących o zdumiewającej wielostronnej doskonałości pojedynczych ludzi, jakiej w żadnym okresie cywilizacji napotkać nie można.

Cóż się stało z tą świetną cywilizacją za nadejściem reformacji? Gdziekolwiek się ta wojna teologiczna pojawiła, przyniosła ze sobą spór, nienawiść, prześladowania i wojnę domową.

Były to czasy ciągłej wojny domowej w Niemczech, Francji i Anglii; czasy Filipa II, rzezi Śgo Bartłomieja, wojny trzydziestoletniej, wiek inkwizycji, astrologii, czarownic i powszechnego oglupienia. Prawo publiczne podkopane, bezduszną crudycją w nauce, styl napuszysty; czasy, w których Kepler, Kamoens, Czerwantes umierali w ńędzy, Galileusz więziony za to samo, co Kopernikowi sławę przyniosło...

Wiara wyrodziła się w gruby zabobon i w dziki fanatyzm: mordowano się w imię Chrystusa. Niezliczona ilość sekt podkopała wszelkie uszanowanie dla obrządków,

Nie trzeba tu łączyć wielkich ludzi, jacy się pojawili w tym wieku ze społeczeństwem w którym żyli: tych wielkich ludzi dopiero późniejsze wieki uznały. Nauka i sztuka nie miały żadnego znaczenia, jeśli nie służyły sporom religijnym i nie pochlebiali namiętnościom i sile. Geniusz musiał bawić, albo umierać z głodu. Mówią niektórzy, że to był czas przejściowy; dobrze, ale gdzież on prowadził? cóż chciał naprawić? Czy czasy XVII i XVIII wieku były stosunkowo lepsze? czy cywilizacja, religia, obyczaje stały wyżej niż w XVI stuleciu? Jeśli ludzkość wśród tych ciężkich prześladowań tu i owdzie jakie zdobycze wyniosła, czyż je może reformacji zawdzięczać? Coś podobnego twierdzić, byłoby równie bezrozumne, jak usprawiedliwiać prześladowania Filipa II, lub postępowanie Stuartów, dlatego, że Niderlandy i Anglia dobiły się przez nie swęj wolności.

Obrómy teraz oczy na ostatnie zjawisko kultury XV i XVI wieku, największe i najpiękniejsze, jak słońce które zachodzi, aby po długiej wiekowej nocy, na nowo wejść na niebo.

Z wieży Frauenburgskiej roztacza się daleki widok: w dzień ujrzysz ciemno wody Frischafu i rzeźbiono szczyty katedry Warmińskiej. w nocy wszystkie gwiazdy na pełnej półkuli nieba. Połowa z nich zdaje się spływać w falo Bałtyku, a reszta chce zejść daleko poza Wisłę. Ale potężny geniusz Kopernika stworzył inny widok: on odkrył niezmierzone przestworza wszechświata, wśród których kula ziemiska w wiecznym obrocie przebiega drogę swą na około słońca, a wszędy i wzdłuż i poza temi obszary pędzi mrowisko gwiazd, okrąża i wymija się nawzajem, podobnie jak w wielkiej bani napełnionej wodą, miliony istot, których gołem okiem rozróżnić niepodobna. I tęg maszyny wszech świata w całości zmysłami ująć nie można, a jednak znalazł się człowiek, który ją odkrył, a wiedzy i badaniom ludzkim otworzył obszary, o jakich wyobrażenia żadnego człowieka marzyć nie było w stanie.

Twierdzą niektórzy, że Kopernik nie wynalazł nic nowego, ale ułożył jedynie zasady Pitagoresa w sposób tak prosty, że niemi wytłumaczył zjawiska obrotu ziemi; nadto mówią: wiadomość o obrocie ziemi znajduje się w księdze Joba jak najwyraźniej w słowach: „*Qui commovet terram de loco suo.*”

Twierdzenie, że Kopernik nic nowego nie wynalazł, nie ma racji bytu i przypomina jajo Kolumba. Być może, że już starzy Chaldejczycy wiedzieli o obrocie ziemi na około słońca, cóż z tego, kiedy oprócz nich, nikt o tem nie wiedział. Myśl Kopernika nietylko dla tego jest nową, że jej nikt przedtem nie podniósł, ani nie badał, ale i dlatego, że wieki upłynęły po jego śmierci zanim została uznana. Wielki astronom Tycho Brahe († 1601), dowodził w kilkadziesiąt lat po śmierci Kopernika, że się słońce koło ziemi obraca, Galileusz wyparł się w ostatnich latach z własnej woli teorii Kopernika, Kartezjusz wprost jej zaprzeczył, Gassendi nie śmiał jej głosić, Bakon naigrawał się z niej, i jeden tylko Kepler przyjął ją z całym ogniem swjej natchnionej duszy. Trzeba było długiego czasu, długich doświadczeń, wielkich wynalazków i wielu świadectw, aby teoria Kopernika nieznacznie i prawie przemycanym sposobem rozeszła się po świecie. Do dziś dnia, ogół który ją przyjął, nie zupełnie jeszcze jej ufa; nie zupełnie jeszcze wierzy, aby ta ziemia, która mu się tak niewzruszoną wydaje, obracała się w taki sposób, iżby on stał do góry nogami i razem z nią robił drogę tak szaloną. Ołbrzymie to odkrycie nie wdobyło się jeszcze w wyobrażenia ludu tak, aby skutki jego w całej pełni wykazać się dały, ale zato na rozwój umysłu ludzkiego wywarło wpływ niesłychany. W ogólności człowiek, który ogarnie tak rozległe stosunki i skupi prawdy, rozrzucone po całym obszarze wszechświata w tak ogromne teorie, ośmiela samém badaniem władze umysłowe innych ludzi, zaostrza ich siłę, pobudza do wszelkich pomysłów, daje pewność i zaufanie w sobie, a wzmacniając ich potęgę, ich rozumu władze umysłowe, promieni ztąd na wszystko, co go potrzebuje, i oddziaływa stanowczo na spekulację i rozwój nauki.

Wiadomo, że odkrycie Kopernika stanowi epokę w nauce fizyki, matematyki, a przedewszystkiem astronomii. To téż od czasu tego zaczynają się wielkie badania zjawisk natury i odkrycia takich rozmiarów, o jakich przedtem nie mogło być mowy. Kopernik otworzył stać wszechświata, nauczył człowieka czuć się panem tego co pojmujemy, wzbil się wraz z ziemią ku niebiosom, i okazał, że ma w piersiach siłę wyższą nad wszelką naturę widomą, siłę wiecznego tchnienia Boga.


Zestawiając tych wielkich ludzi, starałem się przedstawić wpływ jaki na nich rodzina, nauka i społeczeństwo w którym wzrosli wywarło, a następnie korzyści, jakie ich życie i działanie ludzkości przyniosło. Starałem się jak najwydatniej rozdzielić czasy przed- i po-reformacyjne: przedstawiłem świetny rozwój cywilizacji przed rewolucją niemiecką, klęski, jakie ta ostatnia na ludzkość sprowadziła, a w końcu znaczenie Kopernika na dalszy rozwój kultury. Zebrawszy to wszystko razem, co mi porównanie tych dwóch ludzi przyniosło,

stawiam następujący wynik: Wszelka rewolucya jest klęską dla ludzkości i nie zaprowadzi nigdy do celu, albowiem wszelkie inne dolegliwościami wynikiem lub pozostałością poprzedniej choroby i dawnych grzechów, i tylko rozwojem sił intelektualnych dadzą się albo zupełnie usunąć, albo tracą swój złośliwy charakter. Zbyt wygórowana cywilizacya jednej części społeczeństwa, która massy pozostawia w ciemnocie, w żaden sposób utrzymać się nie da, a zbyt odmiennie i sprzeczno wyobrażenia, muszą sprowadzić starcie, ze szkodą mniejszości. Nareszcie w obec największej potęgi wiedzy i sztuki, nie wolno zapominać o tём, co powinno być podstawą każdej cywilizacyi, co jęj daje trwałość i sprawia, że nie jest zabawką, ale potrzebą i korzyścią dla wszystkich. Któż nie zna reformacyi Kaulbacha? Reformator stoi na podniesieniu, ponad wszystkiemi geniuszami swego czasu; podniósł biblię, ale nikt na niego nie zwraca uwagi. Zdaje się, mógłby tak stać całe wieki, a niktby ani na niego ani na biblię nie spojrział. Wolałbym widzieć na twarzy Lutra wielki gniew, w podniesionej biblii groźbę dla zgromadzonych mistrzów, a u spodu obrazu napis: „ponieważ zapomnieliście o Bogu, przychodzę potrzaskać wam wasze zabawki, obdrzeć ze świecideł, i pokazać was przyszłemu pokoleniom w całej waszój nagości.“

Podaję w dodatku ciekawy ustęp listu Dantyszka, o którym z początku wspomniałem: „Ztąd udałem się na Kolonię, nie bez niebezpieczeństwa z powodu wielu rabusiów na drodze, i przybyłem szczęśliwie do Lipska. Tu dowiedziawszy się, że J. O. Książę Jerzy saski do Norymbergii wyjechał, nie chciałem, — może zanadto ciekawy, — odjechać nie widziawszy się z Lutrem, który właśnie w Wittemberdze przebywał. Nie bez trudności jednak tam dojechałem, bo wszystkie rzeki, a osobliwie Elba przy Wittemberdze tak wylały, że wszystkie zasiewy niżej, były pod wodą. Słyszałem z tego powodu po drodze wiele przekleństw na Lutra i jego współników, mniemano bowiem w ogóle, że Bóg ukarał całą ziemię saską za to, iż większa część mieszkańców podczas postu mięso jadła. Zostawiłem moje konie na brzegu, a sam na łodzi dostałem się do Wittembergi. Chciałbym mieć teraz podostatkiem wolnego czasu, ażebym ci mógł opisać, co się tam dzieje. Znalazłem tam kilku młodych ludzi, bardzo uczonych i biegłych w hebrajskim, greckim i łacińskim języku, mianowicie: Filipa Melanchtona, któremu wszyscy oddają pierwszeństwo dla gruntownej wiedzy i nauki. Jestto młody człowiek, ma lat 26; był nader ludzki i serdeczny dla mnie przez całe 3 dni mego pobytu. Prosiłem go, aby Lutrowi przedstawił powody mego przybycia w następujący sposób: że kto papieża w Rzymie a Lutra w Wittemberdze nie widział, o tym powszechnie mówią, że nic nie widział; z tego powodu życząc sobie widzieć go i mówić z nim. Aby zaś schadzka nasza mogła bez żadnego podejrzenia z jego strony (1) przyjść do skutku, to oświadczam,

(1) Dantyszek był posłem na dworze Karola V, który 6 marca 1523 r. wydał był szumny edykt na Lutra.

że nie mam do niego żadnego interesu, i nie chcę nic, jak tylko powitać go i pożegnać zarazem. Luter nie przyjmuje chętnie odwiedzin od każdego; mnie jednak przypuścił bez trudności. Przybyliśmy do niego razem z Melanchtonem pod koniec wieczery, na którą kilku braciów swego zakonu był zaprosił. Nosili oni wszyscy sukienkę zakonną, ale iiałego koloru, a włosy z chłopska. Luter powstał nieco zmieszany, podał mi rękę i wskazał mi krzesło. Usiedliśmy wszyscy przez 4 godziny aż do późnej nocy, rozmawialiśmy o różnych przedmiotach. Znalazłem człowieka bystrego dowcipu, uczonego i wymownego. Gdybym to wszystko co mówił chciał spisać, dzieńby nie wystarczył, tymczasem dworzani, który ma oddać moje pismo już gotów, zbieram więc co mogę w krótkości: twarz Lutra taka, jak jego dzieła, oczy bystre, świecą jakimś złowrogim połyskiem, (król duński ma zupełnie takie same oczy, musieli się obaj pod jedną konstellacją urodzić); gwałtowny w mowie, pełen drwin i docinków, ubiera się tak, że nie możnaby go od dworaka odróżnić; mówią jednak, że wychodząc z domu który zamieszkuje, a który był dawniej klasztorem, nosi ubiór zakonnika. Siedząc razem, nie tylko mówiliśmy ze sobą, ale piliśmy wesoło wino i piwo podług tamtejszego obyczaju, i wydawał mi się w ogóle dobrym towarzyszem, po niemiecku: *Ein guter Gesselle*. Co do świętobliwości życia, o której tyle u nas o nim głoszą, w niczem się od nas nie różni; jak mówią: czyta i pisze bardzo wiele; w tych dniach właśnie księgi Mojżesza na łaciński język tłumaczył, w czem mu Melanchton najwięcej dopomaga. Ten młodzieniec najwięcej mi się ze wszystkich uczonych niemieckich podobał; nie ze wszystkiemi zgadza się z Lutrem; ale o tém wszystkiemi inną razą obszerniej i ustnie, czego sobie z całego serca życzę.



AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ,

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Tukumanka.

„*Tucuman* to ogród świata, tak wielką i wspaniałą jest tam przyroda“, pisał kapitan Andrews w swojej: *Podróży po Ameryce południowej*. I zaiste podróżnik ten nie wiele ubliża prawdzie, tém porównaniem na pozór tak przesadném.

Ile tylko wdzięku, przepychu i poezyi zebrać mogła podzwrotnikowa przyroda na ziemi i w powietru, wszystko tu się gromadzi, jak gdyby prowincya *Tucuman* była ulubionym przybytkiem geniuszów téj pustej i dzikiej przestrzeni, rozciągającej się od ciałniny do Boliwii, i od Andów do Urugwayu.

Rozkoszna, wonna i żyzna, przepełniona pięknoscą i zbytkiem światła, kwiatów i ptastwa, przyroda nastroja tutaj ducha swojej dziatwy w harmonią z poetycznemi wrażeniami i widokami, wśród których budzi się i rozwija ich życie.

Serce człowieka z młodu właściwie, klimat swoim zaznacza piętnem, później zaś wychowanie wykończa albo wykrzywia cechę jego pierwotnego ukształtowania. I w *Tucumanie*, jak we wszystkich uprzywilejowanych strefach, tropikalném ogrzewanych słońcem, serce bierze udział zarówno z powietrzem, ze światłem, z roślinnością, w téj pełni życia i ciepła, harmonii i miłości, jaką tam natura w obfitych rozlewa strumieniach.

Wśród tegoto ogrodu pełnego kwiecica i ptasząt, światła i cudnych widoków, powtarza się często ów psychiczny fenomen, z którego szydą Anglicy, w który Niemcy nie wierzą, jak utrzymuje powieściopisarz Bulwer, a który się przytrafia pod włoskiem niebem, i w pośród ludów na południowym skraju hiszpańskiego półwyspu; chcę mówić o tój gwałtownej miłości, co rodzi się, rozrasta i całą potęgą serca owładnie w przeciągu nie wielu godzin, czasem w kilku minutach, i przyszłe losy całego życia rozstrzyga odrazu.

Wśród tego to ogrodu pełnego zapachu i śpiewów, promieni i czarujących obrazów, zrodziła się Amalia Saenz de Olabarrieta, szlachetna wdowa, którą czytelnik ujrzał chwilowo na początku tój opowieści. Wzrosła tam jak rozkwita lilia albo róża, w pełni świeżości, kraszy i woni.

Ojciec jój pułkownik Saenz umarł, kiedy córka miała dopiero sześć lat.

Amalia wszystkimi porami duszy napawała się poetyczną wonią, jaką nasycone do zbytku powietrze jój rodzinnej ziemi, i kiedy w siedmnastym roku życia, skłaniając się ku życzeniom matki, oddawała rękę dawnemu przyjacielowi swojej rodziny, panu Olabarrieta, serce młodej dziewczycy nie rozwinęło się jeszcze w kwiat najczystszych uczuć, w pączku stulonym kryło swoje balsamiczne technienie. Widziała w nim raczej przyjaciela, opiekuna dalszego losu, niżli małżonka.

Lecz powiedziéby można, iż przeznaczeniem Amalii było zwiększyć liczbę owych istot skazanych na boleść i cierpienia przez całe pasmo życia.

Pułkownik do ubóstwienia kochał swoją małą dziewczeczkę, i zstąpił do grobu zanim z lat dzieciństwa wyszła!

Senior Olabarrieta miłował ją jak żonę, jak córkę, i umarł w rok po jój zaślubieniu, to jest na półtora roku przed zaczęciem niniejszój opowieści!

Zostawało już jój na ziemi tylko przywiązanie matki, miłość co wszelkie inne zastąpić zdolna, jedyne uczucie bezinteresowne na tym świecie, które nie słabnie i nie wygasa aż razem z życiem: i matka Amalii skonała w jój objęciach w trzy miesiące po owdowieniu córki!

Dusze poetyczne, u których uczuciowość przemaga nad miarę w całym jestestwie i w życiu, przynoszą z sobą na świat zaród melancholii: rozwija się ona z biegiem czasu i okoliczności, i tak nad umysłem zapanowyywa, iż same o tём nie wiedząc, smętną tęsknością zaprawiają nawet sny szczęścia, nawet szczęsną rzeczywistość.

Sama na świecie, opuszczona jak ten czułokrzew co zwija listki pod dotknięciem ręki lub zhytecznym słońca żarem, tak Amalia zawarła się w sobie, z wspomnieniami lat dziecięcych lub z utworami rozkołysanej wyobraźni, które w blasku przezroczych złotych poezyi promieni, rojami krążą bez kształtów, bez barwy, nieuchwycone, nie dotykalne, a żywe, istotne, dla ducha co je stworzył.

W samotności i opuszczeniu, Amalia nie chciała dłużej pozostać na miejscu, kędy ją tak srogie nawiedziły boleści, i rzucając rodziną krainę przeniosła się do Buenos-Aires, gdzie zamieszkała w odosobnionej willi na uboczu od miasta.

Zostawała już tu od czterech miesięcy, jeżeli nie szczęśliwie, to przynajmniej spokojnie, kiedy nam ją dały poznać wypadki 4go maja. I we dwadzieścia dni po tój smutnej nocy, znów ją ujrzymy w jój mieszkaniu na Barakach.

Była dziesiąta z rana: Amalia dopiero co wyszła z wonnej kąpeli.

Poranne światło wkradało się przez podwójne białe błękitne firanki do znajomój już nam ustroni, i oblekało wszystkie przedmioty barwą miękką i nikłą, jaką pierwszy brzask świtu na wschodzia rozlewa.

Siny płomień z grubego kłoca palącego się na koninku odbijał się na blacie stalowej jakby w zwierciadle, i rzucał jasne błyski na pokój.

Złote kadzielnice na narożnikach roztaczały woń rozkoszną, a kolorowe ptaszki płasząc na pozłacanych pręcikach swojego więzienia, fantastycznemi tony popisywały się z potęgą gardziółka, którą natura obdarowała tenorów w swojej wielkiej operze.

Wśród tego muzeum niewieścich wykwintów, Amalia obwinęta w batystowy podwłóśnik siedziała w trzciniowym fotelu przed wielkiem gotowalniańcem zwierciadłem, z głową na poręczy opartą, z zamkniętymi oczyma, a rozpuszczone jój przepyszne włosy rozczesywała, a raczej pieściła się z niemi dsiesięcioletnia dziewczeczka, ładniutka i świeża jak pączek wiosniany.

Ta sama postać z obnażonemi ramionami, z łonem nawpół odsłoniętym, nie powiedziała byś w tój chwili, iż to jest ziemską kobietą: to jedna z owych bogiń wymarzonych przez mitologiczną Greków poezją. Jakiś niebiański odblask promieni się na tych cudnie regularnych rysach; długa jedwabna rzęsa spoczywa na bladawem licu, lekko po środku tylko policzków różową powleczonych barwą, a wyraz słodki i tęskny na twarzy, maluje wewnętrznej istoty tkliwość.

Nie sen w tój chwili powieki jój przymykał: było pewien rodzaj rozkosznej ekstazy, porywającej w nadziemskie krainy miłości tę duszę wrażliwą i harmonijną, pod wpływem ciepłej i wonnej atmosfery, melodyi i uroczego pół-świata.

Widziadła białe i ulotne, jak te podzwrotnikowe motyle co pieszczą się w przelocie z kwiatem, otrząsają nań złoty pyłek, musiały przemykać się igrając po rajskich ogrodach jój fantazyi, bo po parę razy fizyognomia jój się ożywiła, uśmiech przetwierał usta, jakby dwa listki granatu.

Nagle głową z lekka poruszyła, westchnienie uleciało z jój piersi... Luiza, mała towarzyszka raczej niż służebna Amalii zwołna spuściła jój włosy na poręcz krzesła, przez chwilę popieściła się z niemi wzrokiem, i sunąc jak cień po kobiercu, dorzuciła chilij-

skich pastylek do kadzielnic, zielony ekran przysunęła przed kominek, rączkami potrząsała nad każdą klatką. Blask przyćmił się do reszty, ptaszki weselęj zaświegotały, łagodna wonność napełniła pokój.

Znała Luiza z doświadczenia usposobienie swojej pani, i szybko dopełniwszy tych cichych czynności, przystąpiła do niej i popatrzyła z tryumfującym uśmiechem. Poczem była przesuwać ręce prawie nie dotykając po skroni i włosach uspiętej bogini: magnetyzowała ją bezwiednie. Organizmy subtelne i wrażliwe podlegają tym magnetycznym rozkosznym wpływom, które duszę pogrążają w zachwycie nie określonym, tajemniczym, wstrząsając nią siłą wrażeń sympatycznych dla ich usposobienia. W takich chwilach Amalia napozór śpiąca, bywała całkiem rozbudzoną, tylko siła potężniejsza od jęj woli zmuszała ją do zmrzenia powiek, panowała nad jęj umysłem, nad jęj ruchami. Wtenczas oderwana od ziemi dusza jęj gościła w zaświatowej krainie ułud, widziała to, co w rzeczywistości nie istniało, rozmawiała z otaczającemi jęj wyobraźnię istotami, a jednak nie śniła; radowała się lub cierpiała względnie do wrażeń, którym podlegała, do obrazów, które jęj przedstawiała fantazyja. A obudziwszy się z tego rodzaju zachwycenia, przez czas jakiś jeszcze na jawie pozostawała pod wpływem tych idealnych rojeń, jeszcze fantastyczne utędy na około niej przez chwilę krążyły, zwolna się oddalały, bładły, nikły...

Właśnie Luiza uwieńczyła niby dyademem z warkoczy tę przesliczną głowę, kiedy argentyńskiego ogrodu nadobne dziecię podniosło senne powieki, a z wilgotnych i smętnych oczu rozlały się strumienie światła miękkiego, jakim brzask letnich wieczorów jaśnieje.

Na boczne poręcze krzesła niedbale wyciągnęła ręce zaledwie u ramion wązką przystońiętę koronką: utoczonych kształtów pozazdrościłoby dęto, które medycejską Wenus wyrzeźbiło, a karnację prawie przezroczystą, zaledwie najprzedniejsze warstwy karraryjskiego marmuru poważyłyby się naśladować. Malutka nóżka, naga, tylko w mięciuchnym pantofelku, wysunęła się z pod batystowych draperyj, niby mgłą lekką obwiewających tę uroczą postać.

W tém arcydziele wdzięków niewieścich, obok wszelkich popobów upajających zmysły rozkoszą, górował czar niezemskiego pochodzenia, odbicie najidealniejszego wyrazu poezyi i miłości nadzmysłowej.

W kobiecie powaby fizyczne dają blask, koloryt, życie jęj duchowej piękności; ta zaś na odwrót czarująco okrasza wdzięki jęj ciała. I z tego zespolenia duszy i materyalnej powłoki wytwarza się doskonałość kobieca, taka, w obec której poskramiają się zmysły przez poszanowanie dla jęj duszy, a miłość nie może pozostać przesadnie spirytualnem uczuciem, gdy płomień jęj rozżarzają zewnętrzne poęty.

Amalia była więc tą uprzywilejowaną istotą, zapalającą w sobie dwoistą piękność, niebiańską i ziemską, z których doskonałej harmonii wykwiła anioł-kusiciel, zwany kobietą.

Leniwie i miękko, jak tropikalna lilja wieczornym kołysana powiewem, głowa jęj pochyliła się na krawędź poręczy, łagodne spojrzenie zwróciła na dziewczynkę z pytającym uśmiechem.

— Pani spała, — rzekło dziewczątko z przymileniem.

— Tak ci się zdaje? czy co mówiłam?

— Nie, tylko się pani uśmiechała parę razy.

— Wiem o tém.

— Jakże pani może wiedzieć co przez sen robi?

— Bo ja nie śpię, moje dziecko, — odrzekła Amalia głaszcząc ją pieszczotliwie po główce, — widzę, czuję, słyszę. i pamiętam otworzywszy oczy... i teraz wiem, iż przed chwilą widziałam... oto tu... obok mnie...

— Nie było nikogo, tylko nas dwiel! Co pani widziała?

— Moje zwierciadło... — mówiła Amalia potrząsając głową z uśmiechem, i powstała zwolna. — Ubieraj mnie, moja malutka. Coś ty mi opowiadała przed zaśnięciem?

— Al o panu Belgrano.

— I cóż?... powiedz jeszcze.

— Aha! pani nie pamięta! Rozmawiałam z nim w ogrodzie.

Wczoraj dopiero wyszedł pierwszy raz na dziedziniec, a już dziś od rana kwiaty rwie i bukiet układa.

— O czémże z nim rozmawiałaś?

— O czém?... chyba o kim... o pani. Jeszczem takiego ciekawego człowieka nie widziała w życiu, o wszystko się dopytywał: co pani o której godzinie robi, co i kiedy czyta, czy lepiej lubi fijołki czy hyacenty, czy... już sama nie wiem: tyle pytań!

— A ty o jego zdrowie nie spytałaś?

— Co miałam pytać o to co widzę? Chybabym ślepa była żebym nie widziała, że dzisiaj kuleje gorzej niż wczoraj, i ile razy stąpnie lewą nogą, znać, że okropnie cierpi.

— O mój Boże! nie powinien jeszcze chodzić! ale taki uparty! — zawołała Amalia jakby sama do siebie. Po chwili milczenia dodała: i chce ztąd odjechać! Ten Daniel go zgubi, chce żebym oszalała, doprawdy!.. Luiza, prędko, ubieraj mnie!

I przed zwierciadłem nie patrząc weń, wdziewała ranny szlafroczek fijołkowy, łabędzim puszkciem obłożony.

— Zaraz pobiegnę po mleko, — mówiła Luiza, — pani taka blada! to z czczości; już tak późno, a pani bez śniadania!

— Błada jestem? czy zdaje ci się, że źle wyglądam? — spytała Amalia, zapinając koronki na alabastrowej szyi.

— Źle? o nie, pani zawsze taka śliczna, tylko teraz zbladła, a na dzisiaj wieczór...

— Ach! nie mów mi o tym wieczorze!

— Pani nie chce ładnie wyglądać na wieczór?

— Chciałabym zachorować.

— Al tego nie rozumiem! Ja, jak będę starsza i na bal mnie zaproszą, będę bardzo pragnęła żeby być zdrową i ładnie wyglądać.

— Widzisz, moja mała, — rzekła Amalia, uśmiechając się z naiwności dziewczęcia, — tybyś chciała być zdrową, a ja chcę być chorą.

— Już ja wiem dlaczego, senioro! Czy ja to pani nie znam? O zakład, że wiem.

— No, to powiedz.

— Żeby godła nie włożyć; a co, nie zgadłam?

— Tylko w połowie.

Luiza szczebiotała dalej swoje spostrzeżenia i uwagi, lecz Amalia nie słyszała, przystąpiła do klatki: różane jej paluszki igrały machinalnie z piórkami ptasząt, a jakie tymczasem myśli snuły się po jej wyobraźni, to tylko Bóg jeden mógłby wyjaśnić... Nagle odwróciła się.

— Nie... słuchaj... która godzina?

— Jedenasta.

— A więc idź do pana Belgrano, i proś go, jeżeli może przyjdź do salonu za pół godziny, czekam go.

II.

Trzy klucze do jednych drzwi.

Godzina piąta wybiła na zegarze Śgo Franciszka. Majowe słońce chyliło się za widnokrąg, czas był mglisty; w powietrzu wznosiły się gęste wilgotne wyziewy, tak pospolite w Buenos-Aires w ciągu zimowej pory.

Ulicą prawie pustą dwóch ludzi postępowało śpiesznie zmierzając ku rzece: jeden w płaszczku błękitnym krótkim bez kołnierza, jakich używali dawni *caballeros* hiszpańscy i wenecka szlachta, drugi w białym surducie długim do kostek.

— Pośpieszajmy, — mówił błękitny płaszcz do białego surduta, — bo wieczór zapadnie.

— Gdybyśmy byli zawczasu wyruszyli, nie bylibyśmy zmuszeni do tego chodu nagłego, nużącego, wyczerpującego siły, — odrzekł zagadnięty, biorąc pod pachę indyjską trzcinę o rączce ze słonowej kości i podążając za towarzyszem.

— Nie moja w tym wina: atmosfera La Platy jest jeszcze bardziej fantastyczną niż jej synowie i ona mnie zwiódła. Przed dwoma godzinami niebo było czyste, rachowałem na pół godziny zmierzchu po zachodzie słońca, aż tu nagle schmurzyło się, słońce się zamgliło i straciłem rachunek. Nic to nie szkodzi, już nie daleko, pośpieszysz się pan z robotą.

— Jakież to rodzaj roboty?

— Pośpieszajmy, kochany profesorze, pośpieszajmy.

— Pozwolisz, że ci powiem jedną rzecz, mój drogi i zacny Danielu?

— Tylko bez przystawiania i bez epizodów. Jakaż to rzecz?

— To, że mam obawę najsluszniejszą, wyrozumowaną, konsekwentną.

— Al pan masz zawsze dwie rzeczy nieodstępne od swojej osoby.

— A to jakie?

— Niewyczerpane źródło przymiotników, i dozę strachu w żołądtku, której nie strawisz przez całe życie.

— Dobrze, dobrze: co do pierwszej tém się szczycę, bo jest dowodem, iż głęboko zbadałem nasze bogate, obfite i wymowne narzeczce; co się tyczy drugiej, to ci powiem, że ja nie zażyłem téj dozy, aż dopiero kiedy wszyscy mniej więcej zapadliśmy na jedną chorobę w Buenos-Aires, i...

— Milczenie i pośpiech!— przerwał płaszcz błękitny.

Dwaj towarzysze przeszli w milczeniu kilka ulic w stronę Baraków, zawrócili ku rzecie i zatrzymali się przed domem przy wejściu na ulicę *Cochabamba*.

— Obróć się pan ostrożnie, czy kto nie idzie,— rzekł Daniel.

Natychmiast trzcina indyjska upadła na ziemię, zwykłym manewrem profesora.

— Niema nikogo, drogi Danielu.

Młodzieniec z całym spokojem i zimną krwią wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi, wprowadził swego towarzysza, zamknął napowrót i schował klucz do kieszeni.

Don Candido stał się bielszym niżli wysokim, krochmalny halstuczek perkalowy, tak nie odłączny od jego osoby jak trzcina indyjska, strach i przymiotniki.

— Co to ma znaczyć? cóżto za dom tajemniczy i niedocieczony gdzie mnie wprowadzasz?

— Dom jak każdy inny— odrzekł Daniel podnosząc kłamkę drzwi krużganku i wchodząc do pokoju wraz z ex-professorem przylepionym do fałdów płaszcza swojego ex-ucznia.

— Zaczekaj pan tutaj, i przeszedł do przyległego pokoju gdzie stało ogromne łoże przykryte kołdrą cycową w wielkie kwiaty. Daniel podnosił materace, zaglądał w każdy kąt; tenże sam przegład uczynił w pobocznych dwóch pokojach, a przekonawszy się, że nigdzie nie mógł być nikt ukrytym, wyszedł w podwórko, przystawił do muru małą ręczną drabinkę i wbiegł po nią na taras: mogło być widno przez jaki kwadrans, lub nie wiele więcej. Orlim wzrokiem potoczył na około, o ile można było dojrzeć z tego stanowiska. Żadna wyniosłość nie przewyższała miejsca na którym się znajdował. Na przeciwko widać było ładną willę, w głębi szeroką drogę i liche budowle stanowiące początek ulicy Śgo Jana, na prawo jakieś rudery, na lewo dom stary i próżny. Daniel obejrzał to wszystko w jednéj minucie i zeszedł w dziedziniec.

— Mój miły, i szanowny i najukochańszy professorze!— zawołał.

— Danielu— odezwał się głos drżący z sali.

— Nadeszła chwila roboty, a zwłaszcza odwagi,— rzekł uczeń widząc go bladym jak chusta.

— Ależ ten dom! ta samotność! ta tajemnica! w dzisiejszych okolicznościach!... moje stanowisko poufnego urzędnika Jaśnie W. ministra i...

— Senior Don Candido, pan rozgłosiłeś wiadomość o buncie generała L-Madrid.

— Aj! Danielu!

— Wszak powiedziałeś pan mnie, a taką rzecz powiedziec jednemu jestto samo co tysiącom.

— Ależ ty mnie nie zgubisz, drogi...

— Przeciwnie, dla ocalenia pana dałem mu miejsce, za które w dzisiejszych czasach nie jeden zapłaciłby sto tysięcy *pesos*.

— I za to, jabym ci oddał cały mój burzliwy, sierocy i drżący żywot!— zawołał Don Candido ściskając go z całych sił.

— Dobrze: chciałem właśnie żebyś mi pan to powtórzył. Teraz do dzieła: tylko pięć minut roboty.

— Rok, dwa, ile zechcesz!

— Wleż pan,— rzekł Daniel wskazując drabinkę.

— Mam włączyć?

— Tak, na taras.

— Ależ... cóż będę robił na tarasie? zobaczą nas!

— Włóż pan do tysiąca!...

— Już, już jestem na tarasie.

— I ja także,— rzekł Daniel wskakując w trzech susach,— teraz siadajmy na ziemi.

— Już siedzę.

Młodzieniec wyjął z kieszeni arkusz papieru, cyrkiel i ołówek, rozłożył papier na podłodze, i rzekł głosem stanowczym:

— Senior Don Candido: szkic miejscowości na około tego domu, w dziesięciu minutach, bo za piętnaście będzie noc. Wielkimi zarysami, nie potrzebuję szczegółów, tylko odległości i granice. Za dziesięć minut zejdź pan do sali gdzie mnie zastaniesz.

Zimny pot oblewał czoło kaligrafa, gdyż w miarę jak scena przybierała barwy coraz więcej tajemnicze, przybliżał się ku niemu w jego wyobraźni nóż *Mashorki*. Lecz z drugiej strony przenikliwe spojrzenie Daniela i pamięć na nie rozważne objawienie sekretu, krępowały jego ciało i duszę niewolniczymi więzami.

Dawny nauczyciel początków bywał kiedyś używanym przy komisji topograficznej, jak opiewał jego stan służby, mimo to inżynier z niego był dosyć lichej; lecz obecna robota była tak łatwą, iż ją w dziesięciu minutach wykonał w zupełności.

Tymczasem brzask zmierzchu zagasał na niebie, a tém samym wewnątrz domu rozpostarły się ciemności. Zlaźszy z drabiny, z trzciną, z planem, ołówkiem i cyrkiem w rękach, biedny człecz-

na nie odważył się wstąpić w ciemne pokoje, lecz wprzód zawołał na Daniela:

— Już gotowe— rzekł ujrzawszy ucznia,— ale teraz opuścimy ten dom? co?

— Nie mamy już w nim co robić— odrzekł Daniel idąc przez krużganek zupełnie ciemny.

Lecz w chwili gdy klucz wkładał w zamek, drugi klucz z wewnętrznej strony zakręcił się i drzwi otwarły się tak nagle, że zaledwie miał czas Daniel cofnąć się o kilka kroków, a Don Candido przylepić się jak cień do ściany.

Daniel nie zmieszkał się bynajmniej, spodziewał się bowiem wejścia kobiety, albo kilku kobiet. Tymczasem było mężczyzna.

Nowo przybyty postąpił zupełnie tak samo jak Daniel przy wejściu do tego domu, to jest zamknął drzwi wewnątrz i klucz schował do kieszeni.

Don Candido drżał od stóp do głowy, i robił niesłychane wysilenia by spłaszczyć swoje ciało na ścianie: ale to był dopiero początek.

Nieznamy obrócił się, i za pierwszym krokiem otarł się ramieniem o pierś Don Candida... uskokzył aż w kąt przy drzwiach.

— Kto tu jest?— krzyknął głos silny, i jednocześnie koniec zaostrego noża dotknął ramienia profesora.

Ciemno było jak w grobie, i grobowe milczenie nastąpiło po tém zapytaniu.

— Kto tu?— powtórzył głos, — odpowiedz, albo zabiję jak unitaryusza; gdyż tylko ci plugawcy robią zasadzki na obrońców federacyi...

— Nikt nie odpowiedział.

— Kto jesteś? bo zabiję— powtórzył przyjemny gość, a jednak nie ruszył się ani krok naprzód, owszem wciskał się o ile możności w kąt, wyciągając tylko rękę w nóż zbrojną.

— Sługa pański, mój dostojny i zacny panie, którego znać nie mam zaszczytu, a jednakże wysoce szanuję— odpowiedział głosik tak drżący i miodowy, iż dźwięki jego wzbudziły w nieznanym odwagę, która go przedtém widocznie była opuściła.

— Ale któż jesteś?

— Pokorny sługa szanownego pana.

— Jak się zowiesz?

— Bądź pan łaskaw otworzyć drzwi i pozwolę mi wyjść, zacny i miły panie.

— A! nie chcesz mi powiedzieć nazwiska, boś jest unitaryusz, jakiś szpieg, he?

— Pełen głębokiego dla pana szacunku, jestem zdolny dać się powiesić za prześwietnego Restauratora praw, jeneralnego naczelnika prowincyi Buenos-Aires, pełnomocnika do spraw zagranicznych brygadiera Don Manuela de Rozas, męża swojej nieboszki żony seniory bohaterki Doni Encarnacion Ezcurra de Rozas, niech

odpoczywa w pokoju, ojca seniority federalnej Manuelity de Rozas y Ezcurra, brata Don...

— Do wszystkich dyabłów, czy raz skończysz? pytałem jak się zowiesz?

— I zdolny jestem także zginąć w usługach pańskich i jego przezacnej familii: masz pan familję, najdosłójniejszy panie?

— Ja ci dam familję!... poczekaj: klaskaj w ręce... nuże, prędko, bo zabiję!

— Don Candido nawpół nieżywy, załedwie trzymając się na nogach, nie czekał na drugą groźbę i zaczął klaskać w dłonie, nie wiedząc co miała znaczyć ta pantomina.

Skoro tylko tym sposobem przekonał się nieznanomy, że przeciwnik niema broni w ręku, rzucił się nań, i przykładając koniec noża do piersi zawołał:

— Przyznaj się której w oczy zaglądasz, bo cię przygwoźdźę do ściany!

— Ja!... oczy...

— Tak, ty. Czy do Andrei przyszedłeś?

— Ale nie... nie wiem...

— A, to do Gertrudity, gadaj!

— Ależ senior, ja nie znam ani pani Andrei, ani pani Gertrudity, ani całej zacnej i szanownej familii, ani...

— Przyznaj się, przyznaj, bo zabiję!

— Przyznaj się do której przyszedłeś, bo ci czaszkę roztrząskam! — krzyknął tuż obok niego głos mężki, a silna ręka ujęła go za ramię, pięść przygniotła mu głowę.

— Ratunku!

— Milcz, albo cię poślę do piekieł — rzekł Daniel uderzając silnie pięścią po głowie.

— Litości! litości! jestem duchowny, najlepszy federalista, ksiądz Gaete. Nie popełniaj świętokradztwa rozlewając moją krew!

— Rzuć nóż wielebny ojcze.

— Mnie go daj, — zawołał Don Candido szukając omackiem ręki, której dopiero co ze drżeniem unikał i ujmując za groźną broń.

— Już oddałem, już! — wołał Gaete (ponieważ się takim nazwał imieniem). Puść mnie teraz! — mówił dalej usiłując wydostać się z żelaznej dłoni Daniela, puść mnie! powiedziałem już że jestem duchownym.

— A której w oczy zaglądasz, wielebny ojcze? — mówił Daniel parodując pytanie zadawane niedawno przez wielebnego.

— Ja?... ja?...

— Ty sam, kapłanie zgorzenie, federalisto bez czei i wiary, zbrodniarzu, ty, którego powinienbym natychmiast zdeptać jak zjadliwą gadzinę i oswobodzić od twego widoku ludność mojego miasta; lecz się krwią twoją brzydzę, zdaje mi się, że wyziew z niej zarazilby powietrze którym oddycham. Czuję jak drzysz nędzniku, a jutro podniesiesz w górę twoją szatańską głowę szukając pomiędzy innemi téj, której dojrzeć nie można w téj chwili, a która sama

jedna tak silna, że cię nabawia drżenia, ciebie bezbożny przenie-
wierco, co wstępujesz na stolicę Ducha Świętego ze sztyletem w rę-
ku, i ukazujesz go ludowi by go podniecić do mordowania unita-
ryuszów, chociaż proch pod ich stopą czystiejszy jest i jaśniejszy
od twego sumienia!

— Litości! litości! — bełkotał nędznik zgębiony siłą tego
głosu i wyrazów, które jakby kropla roztopionego ołowiu padały na
jego zgangrenowane sumienie z ust nieznanego strasznego sędziego.

— Na kolana, nikczemny potworze! — zawołał Daniel biorąc
go za kark i przyginając do ziemi. Drżące kolana upadły bez oporu.

— Tak! tak! świętokradzco! kapłanie téj religii krwi, którą
dzisiaj zbzczasz wolność i sprawiedliwość w ojczyźnie mojej.
Błagaj o przebaczenie, w mojej osobie, wszystkich uczciwych któ-
rym złe wyrządzasz, a przekleństwo które ja na twoją rzucam gło-
wę, niech ci będzie przepowiednią kłątwy, która cię w niebiesiech
czeka. Tak, na kolana: i bądź w téj chwili obrazem przedsta-
wiającym tę bezbożną hordę do której należysz, jak klęcząc na ruszto-
waniu prosi o zmiłowanie Boga, ludzi i kata, a Bóg odwróci oko,
ludzie uszy zatkają, a kat spuści miecz sprawiedliwości ludzkiej
na głowę bandytów, bohaterów krwi i zbrodni. Na kolana, tak, jak
będziecie w obliczu dziejów od pierwszego do ostatniego wszyscy,
którzyście przyłożyli rękę do nieszczęść mojej ojczyzny, do obłądu
całych pokoleń. Tak, mnichu renegacie, na kolana!

Daniel silnie wstrząsnął głową klęczącego, który mimowolnie
oparł się o nogi swojego sędziego, gdyż był bliskim omdlenia.

— Litości! — wyjąkał słabnącym głosem.

— Litości? a macie wy litość, wy krwawi kapłani téj here-
zy politycznej, którą zwiecie federacją? któż przez was nie był
gnębionym? kogóż oszczędziła pycha i wściekłość wasza? Czy jest
choć jeden kamień coby nie wolał do was o litość wśród téj nocy
mordów jaką rozpostarliście na widnokręgu waszój ojczyzny?...
A teraz, wstawaj nędzniku!

I podniósł go za suknię jakby wór naładowany, i oparł
o ścianę.

— Dawaj klucz który masz w kieszeni!

Natychmiast klucz zaczął stukać po ramieniu Daniela: ręka
która go podawała trzęsa się okropnie. Daniel wziął klucz, po-
włócił winowając ku drzwiom sali, i z progu pchnął go tak silnie, że
nieborak się zatoczył i z łoskotem padł na środku pokoju. Drzwi
za nim zamknęły się.

— Teraz prędko... gdzie pan jesteś?

— Tutaj, — odrzekł Don Candido z dziedzinią.

— Pójdźże pan do tysiąca dyabłów!

— Wychodźmy z tego domu! — mówił professor czepiając
się ramienia ucznia.

Daniel zbliżył się do bramy i macając szukał zamku u drzwi,
kiedy znów klucz inny z zewnątrz wszedł w zamek i drzwi się
otwały...

— Święci i Cherubini z nieba!—krzyknął Don Candido chwytając wpół Daniela.

— Za drzwi, za drzwi!— rzekł Daniel prawie do ucha osoby ukazującej się we drzwiach, którą w pomrocy poznał: była to kobieta, a za nią trzy inne. Wyciągnął profesora na ulicę, zamknął bramę, i oddając klucz kobiecie, rzekł:

— Nie wejdiesz pani do domu aż za kwadrans: Gaete jest w sali.

— Ksiądz Gaete? o nieba! tragedia pod moim dachem!

— Nie wiem kto jestem, lecz gdybyś pani drzwi otworzyła, mógłbyś w ślad za mną.

— Bogowie nieśmiertelni!

— Utrzymuj pani, że nie wiesz kto jestem, ani jakim sposobem wszedłem,— mówił dalej Daniel cichym głosem, i otulając się płaszczem aby nie być widzianym ani słyszonym przez resztę kobiet. Najmniejszą nieroztropność przypłacisz pani drogo... Lecz spodziewam się, że będziemy z sobą w zgodzie, niechże księżuło odpocznie sobie, a pani tymczasem wstąp do sklepów i kup cośkolwiek dla siostrzenic. Daniel wsunął w rękę kobiety zwitek banknotów, połączył się z professorem czekającym na przeciwległym chodniku, i wraz z nim znikł w pośród ciemności pustej ulicy *Cochabamba*.

III.

Trzydzieści dwa razy dwadzieścia cztery.

— Wolno Danielu, zwolnij kroku, bo już tchu nie mam!

— Dobrze, teraz możemy; zrobiliśmy już tyle obrotów z ulicy w ulicę, a mnich opasły pęk już do tej pory, jeżeli dyabeł wyprowadził go przez dziurkę od klucza.

— Co za mnich, Danielu! co za mnich!

— O mój drogi profesorze, jeszcze go nie znasz.

— Niech mnie Bóg zachowa od jego znajomości!

— Duchowny z nożem. co?

— Ach!.. ale przyznasz żeśmy się dzielnie znaleźli.

— I jak jeszcze!

— Ja sam siebie nie poznawałem.

— Doprawdy!

— Powiadam ci: w innym razie byłbym padł trupem czując ostrze noża na mojej piersi, wierzaj mi Danielu! to jest skutkiem mojej organizacyi czułej, delikatnej, wrażliwej. Krew mnie zgrozą przejmując, a ten szatan mnich...

— Cicho!

— Co? co jest? — pytał Don Candido, obracając głowę na wszystkie strony.

— Niema nic, ale ulice w Buenos-Aires mają uszy.

— Prawda, prawda, zmieśmy tok rozmowy. To tylko ci muszę jeszcze powiedzieć, że przez twoją winę znalazłem się w takim niebezpieczeństwie.

— Pozwalam na to, ale zarazem ja pana uratowałem, więc kwita pomiędzy nami.

— Ach! to prawda Danielu, prawda; toż jesteś moim przyjacielem, opiekunem, zbawcą...

— Amen. Więc teraz znów na pana kolej wyświadczyć mi usługę, najukochańszy professorze, — mówił Daniel przystając na chwilę dla odpoczynku, bo uszli już więcej jak pół mili po najgorszych ulicach miasta.

— Mógłżebyś ci co odmówić, drogi, szanowny Danielu? mów!

— Chodzi o rzecz bardzo prostą. W której z tych pobliskich ulic znajduje się dom pański?

— Ach! czyżbyś chciał dach mój zaszczycić twoją pod nim bytnością?

— Takie właśnie jest moje życzenie.

— Oh! nic łatwiejszego, jesteśmy bardzo blisko.

— O tém wiedziałem, że w tój stronie miasta, i dlatego tu szedłem, a teraz mnie pan prowadź.

Przeszli plac, weszli w poboczną ulicę i postąpiwszy kilka kroków, Don Candido zadzwonił do bramy. Powierzchność domu nosiła szanowny charakter starożytności, objawiający, iż był jeżeli nie synem, to co najwięcej wnukiem budowli, które w tych miejscach zaczęły się wznosić od daty 11go czerwca roku Pańskiego 1580, kiedy namiestnik wielkorządcy Juan de Garay założył miasto Trinidad i port Buenos-Aires.

Kobieta w podeszłym wieku otworzyła drzwi, a dwaj towarzysze przeszedszy dziedziniec weszli do pokoju. Daniel potknął się kilka razy na ceglanej posadzce, przedstawiającej w miniaturze góry i przepaście. Zresztą wszystko w pokoju odpowiedniem było starannemu utrzymaniu podłogi; a krzesła, stoły i zbiór ksiąg w pergamin oprawnych, nie pytane opowiadały, iż pan domu trudnił się obecnie lub dawniej nauczaniem młodego pokolenia, które najpierw nabywa umiejętności strugania drzazeg ze stołków i pisania po stołach scyzorykiem lub rozlanym atramentem.

Największy stół obwieszcział iż Don Candido nie należał do klasy próźniaczęj, lecz czas poświęcał pracom pióra. Widać na nim mnóstwo papieru, kilka szkiców, ogromny słownik języka, kałamazarz i piaseczniczka cynowe, i wszelki chwalebny nieład literatów, u których pospolicie głowa w podobnymże bywa stanie.

— Siadaj, spocznij, odetchnij drogi Danielu, — rzekł Don Candido upadając na wielki fotel z precików, tradycyjalny i dziedziczny sprzęt ustawiony przed stołem.

— Z największą przyjemnością panie sekretarzu, — odrzekł Daniel siadając po drugiej stronie stołu.

— Dlaczegoż mi nie mówisz jak zwykle: kochany profesorze?

— Bo dzisiaj stanowisko pana jest świetniejsze.

— Ja je przeklinam każdej dnia godziny!

— A jednak koniecznym jest dla pana żebyś się na niem utrzymał.

— O tak, ono mi kotwicą zbawienia, dzięki tobie drogi, szacowny Danielu.

— Mimoto pan mi się nie wywdzięczasz, bo przez tydzień sekretarzowania przyniosłeś mi tylko dwie noty pana Arana, na prawdę nie wiele warte.

— Ależ to nie przez niedbałość, wierzaj mi Danielu. Od tygodnia Don Felipe zatrudnia mnie tylko przepisywaniem na czysto rachunków wydatku na wojska z prowincyi, a nic, zupełnie nic z polityki, wyjąwszy tych dwóch ustępów które ci pokazałem z zastrzeżeniem najściślejszego sekretu. Ale *a propos* Danielu, co ci może tak zależeć na tajemnicach stanu? Patrz, słuchaj Danielu: wdawać się w politykę w czasach niefortunnych i opłakanych, jestto narażać się na to, co mnie się przytrafiło w roku 20tym. Oto wychodziłem z domu jednej mojej kumy, rodem z Cordoba, gdzie to jest wyrób najprzedniejszych tortów i najwyborniejszych cukierków na świecie, i gdzie mój ojciec uczył się łaciny. Bo cóż to za uczony człowiek był mój ojciec! Danielu! umiał na pamięć gramatykę Kwintyliana, Owidyusza, na którego ja jednego dnia będąc jeszcze chłopięciem rzuciłem kałamarz, który mój ojciec dostał w spuściznie po dziadku, który pochodził...

— Zkądkolwiek, mniejsza z tém.

— A! nie chcesz żebym kończył, znam ciebie. Otóż pytałem: co ci zależy na wiadomości tajemnic Don Arana?

— Ot tak! ciekawość próżniaka, nic więcej.

— Nic więcej, z pewnością?

— Słyszałeś pan. Ale ja bywam tak niecierpliwy kiedy moja ciekawość nie jest zadowolnioną, iż zwykłem zapominać o wszelkich węzłach łączących mnie z osobami, które mnie rozdrażniają. A zresztą przysługa za przysługę, czyżto nie słusznie, mój kochany profesorze?

— O, słusznie, bardzo słusznie, najdroższy Danielu, — odrzekł sekretarz ministra, ojcowskim uśmiechem starając się zagładzić niekorzystne wrażenie jakie jego poprzednia mowa mogła uczynić na umyśle tego, który mu dał przystań bezpieczną przed burzą huśtającą na widnokręgu Buenos-Aires, i jednocześnie posiadał tajemnicę jego nieostrożności mogącą go o niechybną przyprawić zgubę.

— A więc zgoda między nami — mówił Daniel, — i jako zakład naszego ścisłego przymierza, bądź pan łaskaw wziąć pióro i dać mi arkusz papieru.

— A! będziemy pisać!

— Oczywiście.

— Dobrze, oto masz papier. Ale słuchaj: ty z papierem, ja z piórem, stół pomiędzy nami, słowo ci daję, to nasze pismo będzie prawdziwym cudem.

Daniel zaśmiał się, złożył arkusz wielokrotnie, scyzorykiem poprzecinał na składach, i zrobił tym sposobem trzydzieści dwie kartek wielkości biletu wizytowego.

Don Candido przypatrywał się i suszył sobie mózg nad odgadaniem co to miało znaczyć. W końcu Daniel przesunął przed niego ośm kartek.

— Weź pan dobre, cienkie pióro i na każdej kartce pisz numer 24 pismem angielskiem.

— Danielu, dwadzieścia cztery, to zła liczba.

— A to dlaczego?

— Bo to było *maximum* klapsów jakie moją ręką wymierzałem wszystkim leniwym chłopakom. Dzisiaj te dzieciaki są mężami wielkiego znaczenia w obecnych czasach, właśnie dlatego, że nie mogłem się po nich wiele spodziewać, i mogliby chcieć się mścić na mnie, a jednakże...

— Pisz pan co mówiłem.

— Natychmiast: 24, 24, 24... już jest.

— Dobrze. Teraz na odwrotnej stronie pisz pan: *Cochabamba*.

— *Cochabamba!*

— Cóż takiego? — spytał Daniel widząc, że jego mistrz podskoczył.

— Widzisz słowo przyzywa wspomnienia, a że myśli wiążą się z sobą natychmiast, więc nazwa ta przypomniła mi ulicę, ztąd ów dom, a z domem ów mnich bezbożny, renegat, zbójca i...

— Wiem, wiem; pisz pan kochany professorze.

— Dobrze: *Cochabamba, Cochabamba, Cochabamba...* już wszystkie ośm.

— Teraz weź pan najgrubsze pióro i pisz pismem hiszpańskim....

— Al chcesz żebym udawał pismo?

— A tak.

— Danielu! to rzecz zakazana!

— I mowa bywa zakazaną, pan wiesz? Bądź pan łaskaw napisać ten sam numer i ten sam wyraz na tych tu ośmiu biletach.

— Dobrze, dobrze... już jest.

— Masz pan kolorowy atrament?

— Oto jest: czerwony, przedniego gatunku, jaskrawy.

— Użyj go pan teraz i pisz na tych ośmiu to samo francuzkiem pismem.

— Najgorsze pismo ze wszystkich... już jest.

— Jeszcze ostatnie ośm. Umocz pan pióro po czerwonym w czarnym, i pisz charakterem kobiecym: zawsze to samo.

— Oto jest, wszystkie trzydzieści dwie kartek.

— Tak właśnie: trzydzieści dwa razy dwadzieścia cztery.

— I trzydzieści dwie *Cochabamby!*— dodał Don Candido nie mogący strawić tej nazwy.

— Prześlicznie dziękuję panu sekretarzowi, — rzekł Daniel chowając kartki do pugilaresu.

-- Danielu, czy to jest jaka gra w fanty?

— Jest co jest. Łaskawy panie, i więcej nic.

— To coś mi pachnie miłosną intrygą! ostrożnie, moje dziecko, ostrożnie! Buenos Aires jest zgubione w tym względzie jak w wielu innych! ostrożnie!

— Amen. Ażeby moje zatracenie nie rozciągnęło się aż do mego dawnego mistrza, a obecnego przyjaciela, będziesz pan łaskaw zapomnieć na wieki coś dopiero co pisał.

— Słowo honoru, Danielu, słowo honoru! i ja byłem młodym, i ja wiem co waży cześć niewieścia i dobra sława mężczyzny. Spuść się na mój honor, na moją dyskrecję; idź spokojny, i bądź uszczęśliwiony, uwzględniony, poczczony, jak na to zasługujesz. Bądź zdrów mój zbawco, — dodał ściskając rękę odchodzącego młodzieńca.

Daniel otulony płaszczem szedł spokojnie ulicą i zastanawiał się nad tym człowiekiem, który zaszedłszy już daleko w drugą połowę życia, zachował naiwność i niedoświadczenie dzieciennego wieku, obok niejakiego nawet zasobu wiadomości użytecznych i praktycznych w życiu. W umyśle podobnych ludzi niema miejsca ani na złośliwość, ani na niewiarę, ani na zmysł, intrygi, działalności, ambicji, jakie się pospolicie u ogółu spotykać zdarza; jestto gatunek ludzi wyjątkowy, maluczki zastęp istot niewinnych i spokojnych, które na zawsze pozostają dziećmi, i we wszystkim co je otacza dostrzegają tylko materialną powierzchnię rzeczy.

Takimi to uwagami zajęty był umysł Daniela w pośród spraw ważnych którym był oddany z całą żywością swego usposobienia, z całym patriotyzmu zapałem; bowiem w młodzieńcu tym dziwnie łączyły się z sobą dwie całkiem sprzeczne natury: rozum i stateczność człowieka wyższego, pustota i lekkość pospolitego młokosa. I takim się zawsze okazywał w najtrudniejszych okolicznościach, w przygodach najkłopotliwszych; wszędzie musiał domięszać żart do powagi, śmiech do smutku, i rzecz najwyższej wagi którą sam wysiłkiem rozumu przygotował, kłuć potrochu kółcami śmieszności.

W tej naprzykład chwili, w owych trzydziestu dwóch kartkach niósł na piersi wyrok śmierci dla siebie; bo w jakimkolwiek zamierzał sobie użyć ich celu, sama już tajemnica jaką wyrażały, w takich czasach dostateczną była do pozbawienia go życia. A on jednak zgoła o nich nie myśląc, serdecznie się uśmiechał z oryginalności swego profesora.

Osobliwsza to była natura: serce zimne i odważne w niebezpieczeństwach, gorące i słabe w miłości, wyobraźnia potężna do

najzawilszych pomysłów, lekka i bystra do wynajdywania we wszystkim charakterystycznych kontrastów.

Zbliżał się teraz do swego mieszkania, rzekłbyś ni mniej ni więcej jak młody niewieściuch, którego dusza w zmysłowych zatopiona rozkoszach, umysł pochłonięty żądzami i wspomnieniami. Codziennie o tej godzinie, po ważnych zajęciach, wstępował do domu, jak powiadał, robić przegląd swojej osoby ażeby nie być wyśmianym przez Florencyę. Była to jedyna radość jego serca, jedyne tchnienie szczęścia orzeźwiającej duszę paloną piekielnym ogniem niedoli krajowej, jedyne uczucie w którym wolno mu się było zwać szczęśliwszym od tysiąca ludzi z pokolenia do którego należał.

W tej epoce dyktatury, większa część argentyńskiej młodzieży występując do walki przeciw ciemnicy, zmuszoną była nagle opuścić ojczyznę, a żegnając kraj, rodzinę, przyszłość, nie jeden musiał nadto pożegnać złote sny młodości przerwane zbrodniczą ręką Rozasa. I w pielgrzymce wygnania, w obozach, na morzu, w pustyni, wychodźcy wznosząc oczy ku niebu, na wędrownym obłoku ślali ojczyźnie tęskne wspomnienia, i zarazem westchnienie miłości do anioła swoich marzeń. I choć nadzieje blizkiego tryumfu rozpromieniały myśl tułaczy i duszę hartowały do cierpliwości w oczekiwaniu lepszej dla kraju doli; lecz w życiu serca godzina każda zdala od ukochanego przedmiotu, zamienia się w wiek długi cierpień i tęsknoty.

Pod tym względem wyjątkowo szczęśliwym był nasz Daniel. On, najmocniej trawiony pragnieniem swobody swojej ojczyzny, najboleśniej jej niedolą przejęty, najczynniejszy w krzątaniu się około jej wyzwolenia, mógł jednakże odetchnąć spokojem i szczęściem obok ukochanej, w miłosnym jej spojrzeniu widzieć niebieskiego raję objawienie.

I w tej oto chwili ta głowa wiecznie zajęta i niestrudzona, zwinęła swoje skrzydła i ustąpiła nieco czasu dla życia sercu, które w tej gorączkowej organizacji wiczną staczało walkę z życiem myśli i czynu.

IV.

B i a ł a R ó ż a.

Powracamy na chwilę do rozkosznej na Barakach willi, w tymże samym dniu 24 maja, w którego poranku widzieliśmy przy gotowalni piękną Amalię Saenz de Olabarrieta.

Około południa siedziała na sofie w swoim salonie, w smaczkowym stroju porannym, z twarzą więcej niż zwykle zarumienioną. Oczy utkwiała w białą różę, którą w roztargnieniu pieściła ręką bielszą i delikatniejszą od listków kwiatu.

Obok niej siedział Edward Belgrano, błydy jak marmurowy posąg; siny cień okręzał duże jego oczy, skręty kruczycich włosów

spadały na skroń wychudłą, czarność źrenicy i zarostu na twarzy wydatniała jeszcze bardziej bledość policzków i szerokiego czoła.

— Nie znasz mię pan, — mówiła Amalia — jeżeli przypuszczasz iż usta moje wyrzec mogą to, czego serce nie czuje, co nie jest wyrazem mojej myśli.

— Ależ pani, ja nie powinienem...

— Nie o pańskich tu powinnościach mowa, ale o moich — przerwała mu z czarownym uśmiechem.

— Ach ja już tyle zawdzięczam pani! Potrzebowałem schronienia, pani mi otworzyłaś drzwi swojego domu; wszedłem pod ten dach umierającym, pani mi udzieliłaś ratunku; łaknąłem otuchy i pociechy, i ta rosa niebieska z rąk pani na moje serce spadała.

— Uczyniłam to tylko co Bóg i ludzkość mi nakazywały, i spełnienie tych świętych obowiązków nic mi nie kosztowało. Lecz to nie wszystko; spełniłabym je tylko w połowie, gdybym zezwoliła na zamiar pana opuszczenia teraz mego domu. Nietylko rany pana nie są całkiem zagojone, mogą się otworzyć; lecz mogą także spaść nowe, śmiertelne, skoro tylko odkrytą zostanie tajemnica którą traf szczęścia i czuwanie Daniela dotąd zdołały utrzymać.

— Pani wiesz iż stracili zupełnie ślad zbiega z ówczesnej nieszczęśliwej nocy.

— Właśnie dla tego potrzeba abyś pan tu pozostał do zupełnego wyzdrowienia, a wtenczas... może pan będziesz musiał kraj opuścić, — odrzekła ze spuszczoneym wzrokiem. Po chwili podniosła znów głowę: — A więc panie, ja jestem najzupełniej wolną, nie zdaję sprawy nikomu z moich czynności, i wiem iż spełniam obowiązek nieodzowny, święty, jaki mi sumienie nakazuje. Niemam żadnego prawa wzbronić panu, lecz oświadczam iż całkiem wbrew mojej woli wyjdiesz pan z mego domu przed zupełnym wyzdrowieniem i zapewnieniem bezpieczeństwa... jeżeli tak koniecznie pan pragniesz.

— Ja pragnę! Ach pani! — zawołał Edward przysuwając się do czarodziejki która go do pozostania w swoim państwie nakłaniała, — jabym pragnął przepędzić tu całe życie, wieczność! Od lat dwudziestu siedmiu jestem na świecie, ale żyć zacząłem dopiero wtedy gdy sądziłem że życie tracę; do serca mego wstąpiła rozkosz w chwili kiedy boleść ciało moje oświadczyła: w niebezpieczeństwa godzinie szczęście poznałem. W tym domu wszystko mi drogiem: światło, powietrze, każdy pyłek!... Lecz się o panią lękam, ja panią narażam! Dotąd prawda, Opatrzność czuwała nademną, lecz krwawy szatan co nas prześladowe może odkryć moje schronienie, a wtenczas... Ach Amaliol! ja kosztem mego szczęścia pragnę okupić spokój pani, a szczęście pani okupiłbym wszystką krwią moją.

— A dla czegożby kobieta nie znalazła w duszy swojej dosyć odwagi by się nieco narazić dla ocalenia osoby... ku której ma uczucie przyjaźni?

— Amalio! — zawołał Edward ujmując z zapałem rękę młodej kobiety.

— Czyż pan myślisz że pod naszym niebem niema kobiet zdolnych do zaparcia się i poświęcenia? — mówiła dalej rozpromieniona. — O! kiedy tyłu z pomiędzy mężczyzn zapomniało czém być powinni synowie argentyńskiej ojczyzny; pozwólcie przynajmniej kobietom zachować narodową wielkość duszy i charakteru. Tak, między kobietami znajdują się takie które towarzyszyć będą na wygnanie mężom, braciom, ukochanym; w chwili niebezpieczeństwa zasłonią ich własną pierś od noża zbójców, a gdy za wolność na rusztowanie przyjdzie im wstąpić, na ziemi gdzie się ta wolność dla Ameryki zrodziła, kobieta i na rusztowaniu los drugiej sobie istoty podzieli: wierzaj mi pan.

— Ach, Amalio! Nie doprowadzaj mię pani do bluźnierstwa! Gotówbym prawie przestać złorzeczyć nieszczęściom mego narodu, które w całym blasku objawiają wszystkie skarby szlachetnej i pięknej duszy! — zawołał Edward ściskając w dłoniach jej rączkę. — Lecz przebac mi pani.. ja nie powiedziałem całej prawdy a powinienem był to uczynić, bom ja odgadł iż w sercu pani szlachetność oddała wszelką trwogę. Inna jest pobudka mojego zamiaru oddalenia się ztąd..., honor mi to nakazuje.... Czy pani nie zrozumiałaś co się dzieje w sercu człowieka któremu przywracając życie wlałaś węz czar niebiański jakowie nigdy nie zasnął przedtém? Tak, nigdy!

— Nigdy? — powtórzyła Amalia i bezwiednie dłoń jej odwzajemniła uścisk ręki. Oczy obojga zamieniły z sobą spojrzenia nieokreślone, magnetyczne, któremi tajemne prądy życia przebiegają z jednego jestestwa w drugie, w pewnych chwilach harmonijnego nastroju dusz płonących wspólnym niebieskim płomieniem.

— Nigdy, przysięgam; nigdy życie moje nie należało do serca, a teraz sercem tylko żyję.... Kocham!...

Edward zbladły i drżący rozbudzonem uczuciem poniósł do ust ukochaną rękę kobiety, której sercu powierzał wraz z pierwszym wyrazem miłości, najpierwszą szczęścia nadzieję jaka życiu jego zaświtała. W tém nagłym poruszeniu biała róża w jej ręku wstrząśnięta osypała listki na suknię i posadzkę u nóg Amalii.

Na ostatnie słowa młodzieńca twarz jej spłoniona rozpromieniła się szczęściem!

Lecz raptownie, szybko jak myśli polot, znikła ta błyskawica duszy, i jak kwiat wdzięczny wichrem złamany, pochylila się przesłiczna głowa Tukumanki.

Ręce ich nie rozłączyły się, a milczenie, ten wymowny pośrednik miłości, który tak wielce przysługuje się w pewnych momentach, pozostawiło sercom czas do rozkoszowania się tajemnie lubością wyrzeczonych przez usta wyrazów.

— Przebac Amalio! — rzekł wreszcie Edward wstrząśnięciem głowy odrzucając ze skroni spadające na nią włosy, — przebac, byłem szalony... Lecz nie.... ja się pysznię moją miłością

i w obliczu Boga ją objawiam. Kocham, lecz bez nadziei, to cała moja obrona, jeżeli panią obraziłem.

Słodkie i powłóczyście spojrzenie zakławionych oczu starczyło za najwymowniejszą odpowiedź.

— Dziękuję pani, — zawołał Edward zsuwając się na kolana przed aniołem swego utraconego raju.

— O, na Boga! wstań pan, — rzekła, zmuszając go do powrócenia na dawne miejsce.

— Amalio, jedno słowo, które mógłbym na wieki w sercu przechować!

— Co pan żądaś? — wyjąkała mocno zapłonią jakby się chciała cofnąć z drogi na której za daleko zaszła.

— Jedno słowo potwierdzające to, co serce moje odgaduje!

— Dostyc, panie, dostyc — rzekła wyswabadzając rękę z jego dłoni i przyciskając nią sobie oczy. Była to chwila ciężkiej walki, w której serce chce mówić a usta przymuszają się do milczenia.

— Czy nie wolno mi w obec Boga, co widzi całą szczerłość i ogrom mojej miłości, złożyć przysięgę, poświęcenie całego życia dla ubóstwianej kobiety, która pierwsza w życiu nieznaném mi dotąd uczuciem duszę moją napełniła?

Położyła rękę na jego ramieniu. Oczy jej omdlewały, na koronowych ustach lekki przelatał uśmiech; po chwili nie odwracając spojrzenia, spokojnie opuściła rękę, i palcem wskazała na rozsypane na ziemi listki róży:

— Patrz pan..., jam zabobonna..., smutne przeczucie mię ogarnęło.... ten kwiat się osypał w chwili wyznania miłości....

— I cóżby zdolném było teraz zakłócić szczęście nasze na tym świecie....?

— Jakieś szaleństwo, rzecz mogąca się bardzo łatwo przytrafić niektórym osobom, w niektórych ustępach życia na tym świecie, najlepszym ze wszystkich możliwych światów, jak powiadał... nie wiem kto, — rzekł wchodząc Daniel Bello, którego stapania w przedpokoju nie słyszeli zatopieni w miłosnej rozmowie.

— Niema potrzeby poruszać się, — dodał widząc iż Edward usunął się nieco na sofie od Amalii. — Lecz ponieważ zostawiasz mi miejsce, więc zasiadam pośrodku między dwojgiem.

I jak mówił, usiadł pomiędzy siostrą a przyjacielem, i biorąc każde z nich za jedną rękę, rzekł:

— Na wstępie muszę wam się przyznać, iż nie usłyszałem nic więcej nad ostatnie wyrazy Edwarda, co na jedno wychodzi jakbym ich nie był słyszał, bo już od wielu dni wyobrażałem je sobie.

I z ironiczną powagą ukłonił się Amalii zarumienionej jak wiśnia, i Edwardowi który brwi namarszczył.

— A! kiedy nic nie mówicie, to ja będę dalej mówił: jakże rozkaże moja pani siostra: czy powóz pani Dupasquier ma tu po panią zjechać, czy też raczysz swoim własnym do niej przybyć?

— Pojadę moim,— odrzekła Amalia z przymuszonym uśmiechem.

— Dzięki Bogu, widzę przecież uśmiech! A, i pan także, Senior Edwardzie? Chwałaż Bachusowi patronowi wesela! myślałem już żeście się na prawdę pogniewali za to, żeś usłyszał maluczko z wielości które oczywiście mieliście sobie do powiedzenia w tym samotnym zaczarowanym pałacu, dokąd nim rok minie przybędę któregoś dnia na zamieszkanie z moją Florencją. Wszak użyczy mi w nim schronienia seniora donia Amalia?

— Uchwała stanęła.

— Podpisuję się, wróćmy do rzeczy: punkt godzinę, jak u Anglików, którzy nigdy nie chybują wyjąwszy w Ameryce: jak myślisz, o dziesiątej?

— Oh!, kiedy się koniecznie uparłeś żebyś jechała, to przynajmniej nie tak wcześniej. O dwunastą.

— Niechże i tak będzie; a więc o północy pojedziem zabrać Florencją, bo tylko pod tym warunkiem pani Dupasquier pozwala córce jechać na bal; a któż ci będzie towarzyszył w drodze?

— Ja,— podchwycił prędko Edward.

— Zwolna, zwolna, *caballero*; dziś o północy nie możesz pan służyć za *sigisbeia*.

— A jakże pani sama pojedzie?

— A jakże pan możesz z nią jechać wieczorem *dwudziestego czwartego maja*— odparł Daniel wpatrując się w Edwarda i kładąc przycisk na ostatnie wyrazy.

Edward spuścił oczy, lecz żywa wyobraźnia Amalii pojęła natchmianem iż te słowa jakowas tajemnicę zawierają; jakby dotknięte struny serca drgnęły, zwróciła się szybko do kuzyna:

— Czy mogę wiedzieć dlaczego wieczór 24 maja nie jest to samo co każdy inny, że w nim właśnie pan Edward ze mną jechać nie może?

— Nic słusniejszego jak twoje pytania, moja droga; lecz nie mniej za słusne uważam odmówić ci odpowiedzi na nie.

— W tém musi być coś politycznego: nieprawdaż?

— Być może.

— Nie mam żadnego prawa wymagać żeby pan mi towarzyszył, ale mam prawo zalecić mu ostrożność i tobie także.

— Ręczę ci za Edwarda.

— Za obydwóch,— pośpieszyła dodać Amalia.

— Zgoda, za obydwóch. Z tobą pojedzie służący Edwarda a Pedro za woźnicę; powóz przybędzie po ciebie z powrotem o czwartej z rana.

— O, to za wiele! cztery godziny! dosyć jednej.

— To za mało.

— Nadto na ofiarę, jaką z siebie robię.

— Wiem o tém, ale ofiara to konieczna. Nie być na tym balu wyprawionym na cześć Manueli, na który od niej saméj otrzymałaś zaproszenie, a nadto nalegające próśby Agustyny, jest to na-

rażać się na posądzenie o wzgardę względem tych pań. Pani Agustinie uburdało się koniecznie wejść z tobą w stosunki i skorzystała ze sposobności. Wszedłszy zaś na bal uciekać z niego przed innymi, to niezawodnie byłoby źle widzianem przez wszystkich.

— A cóż mi tam po dobrém widzeniu u *takiego* towarzysza? — odrzekła Amalia z wyrazem niechęci i pogardy.

— To prawda, — wmięszął się Edward, — mam ci jak najbardziej za złe, Danielu, żeś się uparł koniecznie aby pani *taki* bal swoją obecnością, zaszczyliła.

— Brawo! paradnie! — wykrzyknął Daniel kłaniając się z kolei obojgu. — Jesteście w natchnieniu i przekonaliście mię: to wielka niedorzeczność żeby pani na *taki* bal jechała. Więc niech nie jedzie. Tylko siostrzyczko droga, dobrze uczynisz jeśli się zabierzesz do popalenia twoich błękitnych franek, ażeby nie razić niemi drażliwych oczu *Mashorki*, kiedy będziesz miała zaszczyt przyjmować jęj odwiedziny za jakich dni parę.

— Ta hałastrą w moim domu? — zawołała Amalia z błyskiem dumy w oku, podnosząc do góry głowę, którój zdawał się w tój chwili należnym majestat korony, — moja służba wyrzuciłaby ich na ulicę.

— Przepysznie! wspaniale! — mówił Daniel zacierając ręce.

Odrzucił głowę na poręcz kanapy i wpatrując się w sufit, zapytał z lodowatym uśmiechem:

— Jakże twoje rany, Edwardzie?

Amalia drgnęła nagle nerwowém wstrząśnieniem, jakby od iskry elektrycznej: Edward zwiesił głowę i milczał. Oboje natychmiast zrozumieli jak straszne przypomnienie a zarazem groźne przepowiednie zawierało w sobie to pytanie.

— Pojadę i zabawię dłużej, — rzekła Amalia ze łąą w oku wyciśniętą przez trwogę i dumę.

— Ale to coś okropnego, żebym ja był do tego powodem! — zawołał Edward zrywając się z siedzenia i przechadzając szybko po salonie, bez najmniejszego względu na ból dotkliwy jaki mu każdy krok sprawiał.

— Ejże! na miłość Boską, — rzekł Daniel powstawszy i sprwadzając go za rękę napowrót na sofę, — muszę z wami postępować jak z dwojgiem dzieci. Alboż w tém co robię mogę mieć inny cel jak wasze własne bezpieczeństwo? Czyż równie natarczywie nie nalegałem na panią Dupasquier żeby moja Florencya na tym balu się ukazała? A dławczegóż to Amalio, — dławczego Edwardzie? Żeby nieco oczyścić horyzont z tych czarnych chmur podejrzeń i poszlak w których się gotują gromy. W atmosferze dyszy zaguba wszystkim, trzeba ich ratować. Kosztem tych niewielkich ofiar kapujemy ochronę dla wszystkich, a w jęj cieniu i ja znajduję bezpieczeństwo dla siebie. Ja, co potrzebuję dziś swobody, pewności, nawet poręki i dobrego widzenia u tych ludzi, ażeby mózdz kiedyś, lada dzień, lada chwila, zedrzeć maskę z mojęj twarzy i..... a więc to rzecz ułożona, nie prawdaż? — dokończył Daniel przerywając

sam sobie, i dzięki nadzwyczajnej władzy jaką nad sobą panował, uśmiech zaigrał na jego licu przed sekundą tak poważnym i roz-
płomienionym.

— Ułożona, — odrzekła Amalia, — o dwunastą będę u pani Dupasquier. Zawdzięczam ci tę miłą znajomość, ale widzę zamierzy-
łeś sobie abym się im co najrychlej uprzykrzyła.

— Ba! seniora Dupasquier to świeża kobieta, a Florencya oczarowana tobą, odkąd się przekonała że nie jesteś jej rywalką.

— Ależ Agustine, z kądże jej się to wzięło, co za powód ma do chęci zbliżenia się zemną: czy także zazdrość?

— Nieinaczéj.

— O ciebie?

— Niestety! nie omnie... ale o ciebie. Słyszała otwojój pięk-
ności, o twoich wytwornych sprzętach i ubiorach, i królowa wdzię-
ków i fantazy zapragnęła poznać rywalkę swoją na tém polu.
Tak się rzecz ma. A teraz zabieram Edwarda.

— Jakto teraz?

— Alboż nie było ułożoném że mi go na dziś pożyczasz?

— Tak, lecz mowa była o wieczorze.

— Prawda że mi on aż na wieczór potrzebny, ale ja nie będę
mógł po niego wrócić a bezemnie on wyjść nie może.

— Jeszcze czas, — wtrącił Edward nieśmiało, — możesz chwil-
kę tu zabawić.

— Już czas i wielki, mój panie; patrzcie! dwadzieścia dni jest
na wizycie w tym domu i jeszcze mu krótko!

— Lecz, — podchwyciła Amalia — w dzień wyjść nie może,
bo go zobaczą.

— Nie, seniora, nie zobaczą.. mój powóz jest przed domem.

— A! nie słyszałam jak zajeżdżałeś.

— Wiem o tém.

— Czy posiadasz dar dwoistego widzenia, jak Szkoci?

— Nie, prześliczna siostrzyczko, lecz posiadam znajomość
fyzjognomii, i kiedy wchodziłem do tego salonu...

— Czy pani nie będzie łaskawa nakazać milczenie swemu
roztropnemu braciszkowi, żeby się nie wyrwał z jaką niedorzecz-
nością, — przerwał Edward zwracając się z uśmiechem do Amalii.

— Widzisz go! nasz kochany Edward, droga Amalio, sądzi
iż ja przez roztrzępanie powtórzyło co on ci prawdopodobnie prawil
kiedym ja tu wchodził, skoro mianuje niedorzecznością frazes który
mi w usta napowrót wdławił.

— Danielu, — rzekła Amalia, — bądź łaskaw być jutro rano
u Florencyi.

— Dlaczegoż to, seniora?

— Dla otrzymania pożegnalnego posłuchania.

— Co? co? czy z nią znów Marya Józefa mówiła?

— Nie, ale ja z nią będę mówić.

— I z rozmowy z tobą ma wynikać moja odprawa?

— Najniezawodniej.

-- Tam do licha!

— Dzisiejszego wieczora przedstawię bez ogródki biednemu dziewczęciu co ją czeka z tak nieznośnym mężem.

— A! wybornie! za to będę miał odwet naprzód. Edwardzie, otrzymałeś już pożegnalne posłuchanie u pani. Ruszaj.

— To człowiek któremu się oprzeć niepodobna, — rzekł Edward ujmując podaną sobie rączkę.

— Ba! jest to przymiot właściwy całej naszej rodzinie: nikomu z nas oprzeć się niepodobna, — odparł Daniel z uśmiechem, i odwracając się postąpił ku oknu, podczas niemego pożegnania kochanków w długim ręki ścisnieniu.

Usta ani słowa nie wyrzekły, spojrzenia tysiące wypowiedziały wyrazów.

Gdy się Daniel znów obrócił, Edward próg przestępował; Amalia utkwiała oczy w rozproszone u stóp jej białe róży listki.

— Siostrze, — rzekł młodzieniec poważnie, — nikt w świecie nie czuwałby lepiej nad nim odemnie. Ja czuwać nad wszystkiemi, mnie tylko strzeże Opatrzność. Nikt także nie pragnąłby więcej nademnie szczęścia twojego. Odgaduję wszystko i pochwalam. Spuść się na mnie. Zgadzasz się?

Amalia ze łzą w oku ścisnęła mu rękę w milczeniu.

— Edward cię kocha i ja się także zgadzam na to.

— Alboż tak myślisz?

— Alboż ty o tém wątpisz?

— Ja? ... wątpię o sobie.

— Jakto? czyż cię ta miłość nie uszczęśliwia?

— Tak i nie.

— A więc go kochasz i nie kochasz zarazem?

— Nie, Danielu, kocham go, kocham, i szczęśliwą jestem z mojej miłości; lecz drzę nad jego uczuciem dla mnie.

— Zabobonna!

— Być może, nieszczęście mię tego nauczyło.

— Nieszczęście prowadzi do szczęścia. Będziesz szczęśliwa, a teraz bądź zdrowa!

V.

Dwadzieścia cztery.

Słońce 24 maja 1840 roku dobiegło kresu swój éjmetry, i w toń przeszłości straciło dobę poprzedzającą dzień pamiętnój dla Buenos-Aires rocznicy. Trzydzieści lat przedtem promienna gwiazda opuszczając horyzont pożegnała na wieki władzę ostatniego z naszych *vireyów*. W tymże samym dniu r. 1810 rada miejska uczyniła go prezydentem *junt*y rządzącej, a ograniczona ta władza upadła jeszcze niżej w niewielu godzinach, wbrew chęciom rady miejskiej, lecz zgodnie z wolą ludności.

Noc gwiazdzistym płaszczem przestoniła niebiosą, z pałacu dawnych namiestników króla Hiszpanii biły łuny światła na wielkie żdziwienie mieszkańców Buenos Aires, nawyktych od lat wielu widzieć miejską fortecę ciemną i ponurą. Siedziba ta przeszłych władz przed i po rewulucyi, od czasu wandalicznych rządów Rozasa opuszczona i obrócona została na koszary i stajnie.

Przestronne salony, w których seniora *marquesa* de Sobre-Monte dawała świetne bale i gwarne *tertulie*, błyszczące przepychem za czasów prezydentury, obdarte i zniszczone pod Restauratorem praw, zostały wymiecione, wybite kobiercami od Ś-go Franciszka, umeblowane krzesłami których użyczyli prawi federaliści. Gwardya piechoty wydawała bal na cześć gubernatora i jego córki. Jego Excelencya nie mógł się na nim znajdować: wypadłoby mu zaszczyć obecnością swoją bankiet który dnia tego wyprawiał pan Maudeville na uczenie roczniczy urodzin swojej monarchini. A że zdrowie prześwietnego opiekuna federacyi mogłoby być ponieść szwank jakoby przejściem z biesiady na bal, postanowiono zatem iż seniorita jego córka przedstawiać go będzie na uroczystości.

Illuminacye na placu *Victoria*, rześiste oświecenie wewnątrz pałacu przez zwierciadlane szyby długich galeryi aż do placu *25 maja*, powódź jasności rozlewająca, loterya publiczna, karuzela: wszystko to przywabia mieszkańców Buenos-Aires. Dodać do tego należy nadchodzący dzień 25 maja, którego magiczny urok nigdy nie słabnie w umysłach i sercach dziatwy naszego miasta. Toż ku obu placom, toczyły się fale tłumów tego nadrzecznego ludu, który tak snadno przechodzi z płaczu do śmiechu, z powagi do dzieciństwa, z wielkości do błachych drobnostek; tego ludu krwi hiszpańskiej a francuzkiego ducha; ludu co godzien byłby bliższego poznania i zbadania, gdyby możliwemi były systematyczne studia na rozpieczłych kartach księgi bez ładu i planu, przedstawiającej obrazy jego dziejów.

Powozy udające się do domów zaproszonych na bal, zaczynały z trudnością przedzierać się przez ulice równoległe z placami *Victoria* i *25 maja*. Woźnice musieli powstrzymać konie, a lokaje opędzać się napaści uliczników wdzierających się na ich miejsce w najszybszym biegu powozu.

Na jeden raz, koła powozu toczącego się od *Retiro* na plac *Victoria* przeszły po pewnym rodzaju przenośnej cukierni, rozłożonej przed katedralnym kościołem, i straszna wrzawa podniosła się na okół. Oskarżano woźnicę o zatratowanie na śmierć z pół tuzina osób. Bo niema dla pospólstwa nic pożądańszego, jak znaleźć kogoś do obwinienia, w chwilach gdy czuje wyższość swojej zbiorowej potęgi.

Policya nadbiegła, powóz otoczony był morzem ludu. Szukano zabitych, rannych, lecz nic podobnego nie znaleziono. Ale kobiety zawodzą płaczem, dzieciaki wrzeszczą, policjanci płązują na prawo i na lewo, a powóz nie może ruszyć ani kroku.

— Ruszaj! do tysiąca!...— krzyknął ktoś z powozu do wóznicy, — jedź po głowach jeżeli nie chcą ustąpić!

— Panie, — rzekł ktoś drugi wychylając się oknem z powozu i zwracając mowę do jednego z agentów policyi, — zdaje mi się że nikomu krzywda się nie stała. Rozdaj pan te pieniądze ludziom którym zdeptano kilka owoców, i otwórz nam drogę, bo się spieszymy.

— Ja też właśnie to samo mówiłem; to tylko zwyczajne wrzaski o nic, — odrzekł sługus pana Victorica chowając pieniądze do kieszeni. Z drogi, *seniores*, z drogi! to są dobrzy federaliści, i może być że jadą po służbie dla sprawy.

Trąba Jozuego nie tak cudownie mury Jerychu zwała, jak te wyrazy spędziły tłumy pod ściany kościoła i w minucie opróżniły wjazd z placu w ulicę.

Powóz potoczył się szybko, i po kwadransie jazdy stanął na rogu ulic *Uniwersyteckiej* i *Cochabamba*.

Czterech mężczyzn otulonych w płaszcze wysiedli z powozu i udali się wzdłuż ulicy *Cochabamba*, ciemnej w tej chwili i bezludnej jak pustynia.

Szli po dwóch w kierunku ku rzece, gdy nagle mijając jedną z poprzecznych ulic, znaleźli się twarz w twarz z trzema ludźmi również obwinietymi w płaszcze, którzy przybywali od ulicy *Balcarce*.

Obie drużyny zatrzymały się naraz, i przypatrując się zapewne sobie nawzajem, stały jakiś czas w głębokim milczeniu.

— Trzeba raz wyjść z tego położenia, bądź co bądź, jest nas czterech przeciwko trzem, — rzekł jeden z pierwotnych do swoich towarzyszy.

I postąpił krok ku trzem nieznanym.

— Mogę zapytać panowie, czy to na cześć naszą raczyliście przerwać przedsięwzięty pochód?

Śmiech drwiący odpowiedział na to rycerskie wezwanie.

— Bodaj was czart zwodził! po co ludzi straszycie? — rzekł pierwszy który przemówił, a za nim drudzy już się zbliżyli, bo wszyscy się już poznali po głosie i po śmiechu: wszyscy byli swoi.

Razem poszli dalej, i po kilkudziesięciu krokach stanęli przed bramą odosobnionego domu, który może pamiętają nasi czytelnicy, Daniela; nie dzwonili, lecz jeden przyłożył usta do zamku i wyrzekł słowa: *dwadzieścia cztery*.

Woka mgnienu drzwi się otwały, i zamknęły się natychmiast po wejściu siedmiu przybyłych.

I dalej, przez kwadrans, co parę minut przybywały drużyny po dwóch lub trzech, powtarzało się toż samo hasło, i jednakowa ostrożność i cisza.

VI.

N a b a l u.

Tymczasem od dziewiątej wieczorem zjeżdżali się goście sproszeni na bal wydawany dla gubernatora i jego córki, a o jedenastej salony były napełnione i rozpoczynał się pierwszy kadryl.

Główna sala przedstawiała świetny widok. Złoto na mundurach wojskowych i brylanty dam jaśniały przy blasku wieluset świec, wprawdzie najniegodziwiej uszykowanych, wszelako dających światło w obfitości.

Mimo to, dziwna jakaś dysharmonia dawała się spostrzegać we wszystkiem odnośnie do miejsca w którym się bal odbywał i do samejże zabawy. Mnóstwo twarzy jakichś mężczyzn gburowatych, sztywnych i milczących, jawnie okazujących iż się czuli obcymi w zetknięciu z klasą towarzystwa do której nie należeli; kobiet; które się bezustannie wachlowały nie otwierając ust, a głowę podnosiły ostro i chmurno, mniemając iż tém dadzą poznać nazwyczenie do świata wyższego tonu, w duszy zaś czując dobrze iż wcale z nim się nie znają. Wszystko to było w rażącej sprzeczności z miejscem, z temi salonami gdzie się niegdyś zbierało owo wytworne towarzystwo Buenos-Aires, tak demokratyczne w polityce, a tak arystokratyczne obejściem i dobrym tonem; w sprzeczności z samymże balem, przez to milczenie tak niewłaściwe, a które w licznych zebraniach dowodzi iż czegoś albo brakuje lub jest za nadto.

Tańczono w najgłębszém milczeniu.

Wojskowi nowój epoki, dusząc się w ciasno zapiętych mundurach, kurecząc ręce pod uciskiem rękawiczek, pocąc się z bólu sprawianego przez nowo wzute buty, wyobrażali sobie iż w tańcu koniecznie trzeba być sztywnym, napuszczonym i marsowatym.

Młodzi mieszczenie, wyrób nowój hierarchii społecznej zaprowadzonej przez Restauratora praw, z najlepszą w świecie wiarą sądzili iż dowodzą najwyższej elegancyi i grzeczności darząc bezustannie kobiety cukierkami i biszkoptami.

A wreszcie damy: jedne, ponieważ tam się ukazały na grośby swoich mężów, a były to unitaryuszki; drugie, gniewne iż się nie bawią wśród swojego tylko towarzystwa, a trzeci były federalistki; wszystkie znajdowały się w najgorszym humorze: pierwsze z pogardy, z zazdrości drugie.

Kiedy przybyła córka gubernatora, grzmiące oklaski federalne towarzyszyły jej przejściu przez galerye i salony.

Pryncypalne miejsce na którym usiadła, natychmiast otoczoném zostało grubym murem obrońców świętej sprawy, którym obecność córki ich opiekuna tyle dodała odwagi, iż zaczęli ściągać rękawiczki wiążące od kilku godzin ich dłonie, do czystego powietrza wolności nawyktę.

Prawe restauracyi córy, jedna za drugą zbliżały się dla powitania najpierwszego ogniwa cechspołecznego łańcucha.

Co się zaś tyczy innych dam, za wejściem senioryty Manuelity, jednym wypadło przejść do gotowalni, drugie zapotrzebowały przechadzki po salonach, inne wreszcie, mniej oględne, siedziały z gracyą na krzesłach, nie troszcząc się o niczyje wejście.

Manuela nie zwracała bynajmniej uwagi na odsuwanie się jednych, ani się pyszniła z pochlebnego przyjęcia drugich. Uprzejma względem wszystkich, rozmowna i prosta, zwróciła na siebie spojrzenia i zjednała uznanie nielicznej garstki ludzi zdolnych sądzić beznamiętnie tę biedną, napierwszą ofiarę straszego ojca.

W tiulowej białej sukni na różowym atłasie, z wstążkami tegoż koloru u piersi i na głowie, nie błyszczała przepychem jak inne, lecz wyglądała elegancko i ładnie.

Niedługo ukazała się seniora Donia Augustina de Mancilla, i wszystkie spojrzenia zestrzeliły się ku niej. Tu już nie miała miejsca bojaźń ani pochlebstwo, lecz wyraz szczerego podziwu dla piękności, wzbudzającej powszechny zachwyt w mężczyznach a nawet w kobietach.

Nie możemy ograniczyć się na tej ogólnikowej wzmiance, gdyż zaiste przedmiot godzien jest by o nim pisać i czytać.

„Donia Augustina Rozas de Mancilla była najpiękniejszą kobietą swojego czasu.” Słowa te powinna zapisać kronika współczesna, ażeby je kiedyś powtórzyły dzieje naszego kraju; opierając się na powadze pisarzy niezależnych i bezstronnych, zbyt podniosłych umysłem by zniżyć się do poziomych zawiści przez ducha stronnictw lub politycznych wyznań. Mówiliśmy dzieje, bowiem takowe nie będą mogły pominąć całej rodziny Rozasa, której członkowie występowali mniej lub więcej w rozmaitych obrazach i epizakach wielkiego dramatu jego rządów. I taż sama Augustina jakkolwiek w czasie wypadków naszej opowieści, zupełnie obcą była polityce, ograniczając się własną osobistością, otoczona hołdami i zbytkiem, później, kiedy rządy jej brata przybrały postawę dyplomatyczną i królewską, uchodziła za jedną z najwydatniejszych postaci owej epoki. Imię jej równie jak imię Manueli, powtarzały książki, dzienniki, rozmowy wszystkich co się zajmowali sprawami La Platy, wielkich i małych, przychylnych lub nieprzyjaznych.

W ustępie który opisujemy, młodsza siostra Rozasa, małżonka generała Don Lucio Mancilla, nie miała najmniejszego politycznego znaczenia, ani ją obchodzili unitaryusze lub federaliści. I wówczas umysł jej, czyto przez brak sposobności, czy też skutkiem spóźnionego rozwoju, nie objawiał tej działalności i rozmiatora Rozas, która się poczęła wśród zawiązań zewnętrznych.

W roku 1840, rozgłosu swojego imienia nie zawdzięczała ona ani bratu, ani mężowi, ani nikomu na ziemi: winna go była Bogu.

Miała wówczas zaledwie 25 lat życia. Natura hojna i własnym zachwycona dziełem, bez miary szafowała dla niej ze swojej

skarbnicy piękności kształtów i barw. Postać posągowa, najcudniejsze zarysy ramion i tona, cera śnieżna i świetna, usta wdzięczne karminowe a w nich dwa rzędy najśliczniejszych pereł; a jakież pędzel potrafiłby wytworzyć na swojej palecie farby dla naśladowania nieokreślonego koloru jój oczu; raz błyszczących, aksamitnych, to znów mieniących się w pół-cieniu. Pyszny ten kwiat La Platy, kipiący życiem, czerstwością i wdziękiem, błyszczał świeżością pierwszego zarania i czarował wzrok przechodniów.

Była to dla rzeźby majestatyczna Dyanna, przepyszna Rebeka dla płótna; lecz nie był to ideał piękności XIX wieku. Tym rysem skończenie doskonałym, kształtom, rzec można, nazbyt rozwiniętym, brakowało owych linii sentymentalnych, form przezroczych, uduchownionych, owego wyrazu nie dającego się określić, wszystkiego słowem co w harmonijnej całości uważanem jest za typ idealnego piękna w dzisiejszém estetycznym pojęciu, gdzie duch i uczucie nieodłączne od prawideł smaku i sztuki.

Taką była Augustina de Mancilla w roku 1840, kiedy wchodziła na bal niniejszy, jaśniejąca urodą i zbytkownym strojem.

Suknię miała blondynową na białym atlasie, a na włosach utrefionych *à la grecque*, opaska dyamentowa przytrzymywała federalną kokardę. Szyja, ręce i ramiona pokryte były również dyamentami. Mocno ściśnięta kibić powlekała jój lica zbyt żywym rumieńcem, rażącym wzrok unitaryuszek, które skłonne do wyszukania ujemnej strony, krytykowały jój cerę jako nazbyt gminną, zbyt dużą objętość rąk i za małą wysmukłość talii: więcj nie potrafiły nic jój zarzucić mimo najszczerzej chęci.

Lecz większa a mianowicie mężka część zgromadzona w salonach, przyzwyczajona uważać Augustinę za królową piękności argentyńskich, była przekonana że i tego wieczoru nikt nie poważy się pokusić o wydarcie z rąk jój berła.

Czarodziejka przechodziła się po salonach wsparta na ramieniu swojego małżonka generała Mancilla, któremu jakby wracała część minionej młodości, dzięki wytwornemu obejściu i dystyngowanej postawie, jakich ten dawny *caballero* nabrał był w najpolowniejszych towarzystwach, za czasów kiedy jeszcze duszą i ciałem należał do obozu unitaryuszów.

Spojrzenia biegly w ślad za Augustiną, ścigały ją i pożerały. Lecz nagle szmer głuchy rozszedł się po kątach sali. Oczy skierowały się ku drzwiom, i sama Augustina za popędem ogólnego wrażenia, promieniem ślicznych źrenic strzeliła w cel spojrzeń wszystkich. Dwie młode osoby trzymając się pod ręce wchodziły do salonu.

Jedna z nich stosując się do ścisłej etykiety wdowieństwa, miała na sobie suknię atlasową koloru lila, bardzo bladego, ze zwierchnią krótszą tuniką z czarną blondyny. Kancucik czarny blondynowy napót przystaniał jój ramiona, spięty na piersiach wstążką tegoż koloru co suknia; taka sama szarfa opasywała jój kibić wciętą i utoczoną jak grecki posąg, i długimi końcami do kolan

spadała. Włosy nad skronią w ślniących i delikatnych pierścieniach zbiegały aż na alabastrową szyję, reszta spleciona, wieńczyła głowę podwójnym warkoczem przepiętym złotą śpilką z przepysznią perłą; z lewej strony z pod warkocza wymykały się koniuszeczki czerwonej wstążeczki: strój urzędowy pod najcięższą karą nakazany przez przywróciela swobód argentyńskich.

Drużyna z młodych piękności była w krepowej białej sukni z falbanami, nad którymi biegła girlandka z pączków różanych, i naśladując otwartą tunikę z przodu dwoma przedłużonymi gałżkami podnosiła się aż do paska. Uzupełniała to przystrojenie sukienki karmazynowa róża na piersiach. Złociste włosy w drobnych loczkach strzępiły się przy twarzy, bujny warkocz opasywał głowę trzy razy, przeplatany perlami, których dwa sznurki zsuwały się na czyste białe czoło; a równianka z różanych pączków filuternie przypięta na boku, parodowała obmierzły symbol federacji.

Augustina była zgubiona. Spadła z tronu, strącona zwrotem powszechnego podziwu dla nowej wdzięków królowej.

Seniorita Dupasquier była zachwycającą, lecz piękność to już znana; ale jej towarzyszka poraz pierwszy ukazywała się publiczności. A nowość, ta despotyczna towarzystw władczyni, sprzymierzyła się z czarującą pięknością Amalii dla zwabienia wszystkich spojrzeń i wywołania ogólnego uwielbienia.

Nawet Augustina przystanęła długą chwilę przypatrując się i podziwiając swoją zwyciężką rywalkę.

Niektórzy z młodzieży podbiegli dla podania ręki nowo przybyłym, i zaprowadzenia na miejsce któreby sobie wybrały; gdyż na tym balu żadną z pań nie spotykał zaszczyt urzędowego przyjęcia.

Traf, czy też ten instynkt rzadko zawodzący, który zbliża z sobą osoby jednakowego wychowania i towarzyskich zwyczajów, sprawił, iż Amalia z Florencją usiadły w kącie salonu, gdzie się gromadziły damy przybyłe tu gwoździem życzeniom małżonków, nie więcej federalnych jak one, lecz prawdę mówiąc, więcej oględnych czyli bojaźliwych.

Jeden z przyjaciół Daniela zabrakł natychmiast Florencję do poczynających się właśnie kadrylów. Amalii nie zaproszono. Zwykle bywa, iż kiedy piękna a nieznana osoba ukazuje się na balu, mężczyźni ogarnię pewną obawą, jakaś nieśmiałość w zbliżeniu się, gdyż nikt nie wątpi, iż podobna sylfida ma już przynajmniej ze dwadzieścia zamówień naprzód na ten wieczór, i każdy boi narazić się na odmowę.

Tu młodzież się zawiodła. Amalia nikogo nie znała, nie była wcale zamówioną. Pozostała więc na swoim krześle obok jakiejś pani w podeszłym wieku, przypominającej miną i całym układem owe stare markizy z czasów Ludwika XIII lub *vireya* Pezucla w Inkasów grodzie.

— Seniorita późno przybywa— rzekła do Amalii ze skinieniem głowy prawie nieznanym, a mimoto eleganckim, którego tajem-

mnice posiadają tylko osoby wielkiego świata od dziecka tressowane w ruchach głowy i oczu.

— W istocie, lecz niepodobna mi było wcześniej przybyć— odrzekła Amalia oddając wzajemnie ukłon uprzejmy sąsiadce, w której fizygnomii i ubiorze poznała natychmiast osobę lepszego towarzystwa, a zarazem niski stopień egzaltacji dla sprawy federalnej, po malutkiej kokardce czerwonej, prawie ukrytej w stroiku z czarnych koronek na głowie. Do tego bowiem czasu, dwie spotykające się osoby rychło poznawały się obustronnie do jakiego należały obozu: przez rzut oka na dziurkę od guzika u mężczyzny, na głowę u kobiet: wielkość godła była wystarczającym termometrem.

— Zdaje mi się, że poraz pierwszy mam zaszczyt spotykać panią.. Zapewne z Montewideo?

— Nie pani, mieszkam w Buenos-Aires od niedawnego czasu: jestem Tukumanka.

— A! nie mylnie więc wносиłam, że pani nie tutejsza, gdyż moich ziomków znam po większej części.

— Jednakże seniora, zdaje mi się, iż mam zaszczyt należeć do współrodaków pani?

— No tak, jako argentyńska, ale nie z Buenos Aires.

— Prawda, jestem *provinciana* jak nas tu zowią,— odrzekła Amalia ze słodkim uśmiechem, który do reszty podbił poczciwą seniorkę, przekonaną już, iż miała do czynienia z osobą dobrego wychowania.

— Znam się dobrze z matką Florencyi — mówiła, — czy to krewna pani?

— Nie seniora, między nami są tylko stosunki przyjaźni; nazywam się Amalia Saenz de Olabarrieta,— odrzekła Amalia wyprzedzając ciekawość swojej sąsiadki, w której już dostrzegła skłonność do gadatliwości i wypytywań: skłonność takowa nigdzie się nie uwydatnia bardziej jak na balu u pań, które już straciły nadzieję tańcowania.

— A! pani jest wdową Olabarrieta! bardzo miło mi poznać. Ja zaś jestem seniora de N..., wiele słyszałam o pani, i przekonywam się, że wieści nie były przesadne.

— Wyobrażałam sobie, iż w Buenos-Aires zbyt wiele znajduje się przedmiotów godnych zajęcia, ażeby raczono zaprzętać sobie pamięć biedną wdową?

— Biedna wdowa! która nie ma rywalki w piękności, i która jak powiadają uczyniła ze swego domu świątynię samotności i dobrego smaku. Ach! seniora! gdybyś pani wiedziała jak mało rzeczy pięknych i w dobrym smaku pozostało nam w Buenos-Aires, nie poczuwałabyś się do takiej skromności względem siebie.

— Jednakże pani, bal ten wydaje mi się pięknym i świetnym.

— Ten?!...— odrzekła poważna dama z uśmiechem złośliwym i pełnym pogardy, — już dawno jak piękność i świetność zniknęły z tutejszych zgromadzeń! Oh, gdybyś pani była widziała nasze ba-

le z przeszłych czasów! jacy mężczyźni! jakie kobiety! Tam to była elegancja i dobry ton, senioro! Ale dziś!...

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym kierunku. Seniora N. widocznie uwzięła się na krytykowanie wszystkiego. Amalia przekonaawszy się, iż jej sąsiadka posłuży na rozerwanie wielce nieprzyjemnego usposobienia, w jakim się znajdowała, i chcąc wszystko usłyszeć a z niczem się nie wymówić, odpowiadała nic nie znaczącymi frazesami.

— Czy znasz pani — mówiła seniora po jakimś czasie pochylając się ku Amalii, — pewne fizyczne własności w ludziach, po których można poznać ich pochodzenie?

— Naprzykład?

— Rzuć pani okiem na nogi mężczyzn. Co pani dostrzegasz?

— Nie rozumiem co mam w nich dostrzedz?

— Otóż panią objaśnię: to są ludzie o szerokich stopach i o krótkich bótach. Pani się śmiejesz?

— Z tego spostrzeżenia.

— A to jest właśnie najpierwszą cechą gatunkową tych ludzi. O, podobnych nie bywało na naszych dawniejszych zebraniach! Bóty na balu! A widzisz pani to czoło salonu? i ten pierwszy kadryl?

— Widzę doskonale.

— Otóż te panie co siedzą i te co tańczą, są to małżonki lub siostry tych nowoczesnych *caballeros*.

— Pokazuje się, iż pani zna tutaj wszystkich?

— W ogóle rozróżniam ich klasami, w szczególności znam niektórych.

— A! to szczęśliwie rzeczywiście! Ja zaś tu jestem jak gdybym była w Konstantynopolu!

— Tém lepiej.

— Tém gorzej, seniora, bo pani przynajmniej wiedzieć może z kim mówi, gdy ktoś z tych panów lub dam do niej się przybliży.

— Jakże? czy pani niema żadnych krewnych w Buenos-Aires?— spytała dama śledząc okiem szczeroci odpowiedzi jaką miała usłyszeć.

— Nikogo w służbie ani w stosunkach z rządem — odrzekła Amalia pojmując o co tój pani chodziło.

— A! skoro tak, jedno tylko zyskałabyś pani na poznaniu tego co znać pragniesz: nieco śmiechu.

— I to coś znaczy.

— Zwłaszcza w tych czasach. Jakże się pani wydaje ten *caballero* oparty o filar przy drzwiach i poprawiający swoją piękną, jaskrawą kamizelkę?

— Wydaje mi się jak inni. Któż to, jeżeli wolno wiedzieć?

— Jestto Don Pedro Ximeno, tymczasowy komendant portu. Nic szczęśliwszego być nie może jak karyera tego pana: wyobraź sobie pani, w r. 1821 był posługaczem w kawiarni *Victoria*.

— A! od czegoś się zaczyna na świecie, seniora.

— A potem idzie się dalej, nieprawdaż? Otóż tak było z panem Ximeno. Z kawiarni awansował na wędrownego kramarza.

— O! to już parę szczebli wyżej — rzekła Amalia nie mogąc powstrzymać śmiechu.

— Ale nie tu koniec. Z kupiectwa przeszedł do naszego starego teatru.

— Jakto? został aktorem?

— Czemuś mniej.

— Suflerem?

— Jeszcze mniej. Używany był do podnoszenia kurtyny.

— A! w istocie! przedziwna karyera tego pana! Jakimże sposobem z owego stanowiska przeszedł na to, które obecnie zajmuje?

— Bardzo prostym. Generał Zapiola używał go za pisarka przy urzędzie portowym, a federacya uczyniła go komendantem portu.

— A tenże pan, który w tej chwili rozmawia ze szczęśliwym komendantem, któż to jest?

— To generał Mancilla, jeden z najwścieklejszych unitaryuszów jacy zasiadali na ławie kongresu konstytucyjnego. A ten co się teraz do niego zbliża, jest Don Torres: swój swego szuka.

— Do czego pani to mówi?

— Bo Torres także był unitaryuszem, długo jeszcze po rewolucyi Lavalla, — objaśniała dalej seniora N. umiejąca jak widać na pamięć wszystkie biografie polityczne swego czasu.

— Pokazuje się zatem — zauważyła Amalia, — że dzisiaj jest więcej federalistów, aniżeli bywało przedtém?

— Tak jest, niestety!.. Jednakże są tacy, którzy całe życie byli tém samym. Naprzykład patrz pani na tego tu, — i wskazała wzrokiem czterdziestoletniego mężczyznę miedzianej cery z głupawym marsem na czole, — to jest Don Garcia, federalista od pieluch, charakteru ciemniejszego jak jego twarz, pojęć równie splątanych jak jego język. Oho! ściska się za rękę z jedną ze znakomitości dzisiejszych! widzi pani?

— Widzę, lecz nie znam tego pana.

— Nie? a na Boga, to pani nie znasz nikogo! Wszakci to Juan Larrazabal. Boże mnie zachowaj żebym temu wierzyła, ale powiadają, że to szpieg dyktatorski.

— Może to być baśń stronnictw, — odrzekła Amalia, a odwracając się napotkała wejrzenie jakiegoś mężczyzny, który od pewnego czasu przypatrywał się jej z ukosa, bowiem był zezowaty na oba oczy.

— Mogłaby mi pani powiedzieć: kto jest ten pan co młynkuje białą rękawiczką, i odznacza się niepospolitym rozmiarem poussowego godła?

— Cóżto? nie czytujesz pani *Gazety? Gazety Handlowej?*

— Nigdy. A choćbym czytała...

— Tobyś pani zrozumiała, iż pan ten nie może być kto inny jak redaktor *Gazety*. Zowie się Mikołaj Marinio; to ten co woła o wyrzwanie unitaryuszów. W dniu 1 grudnia 1828 roku, patrzyłam z balkonu jak szedł ulicą szafując uściskami dla rewolucjonistów. Potém wszedł jako kancelista do ministerium pod administracją Biamont'a. W r. 1833 wziął się do gryzmolenia dla pism peryodycznych, a późniój pisał do dziennika *Restaurator Praw* i już w tym czasie ścisł tylko federalistów. Teraz redaguje *Gazetę* i ścisła się z dyabłem. Co za oczy! zważała pani te oczy?

Amalia zaśmiała się z tego pytania, z zapału i gadatliwości pani N. Była to widocznie jedna z tych nieugiętych unitaryuszek, z którymi dyktatura nigdy nie mogła sobie dać rady, i które tylko prośby i błagania mężów przyprowadzały na federalne uroczystości, gdzie dla powetowania zadawanego sobie przymusu, z nieubłaganą surowością klasyfikowały te nowe okazy ludzkości, które im przed oczy stawały.

— Lecz cóż ja to spostrzegam?— mówiła dalej seniora.

— Cóż takiego?

— Uważam, iż pan Marinio temi oczami zanadto się pani przygląda, a to rzecz wcale nie pożądana dla młodej osoby tak pięknej jak pani...

— Nadto mi pani pochlebiasz.

— A zwłaszcza takich jak pani zasad: bo, wszak prawda? pani nie dozwoliłabyś wstępu do swego domu podobnej istocie?

— Mam moje małe kółko znajomych, i trudna jestem do zażywania nowych stosunków, — odrzekła Amalia unikając wyraźnej odpowiedzi.

— A mianowicie z kimś takim... Ależ on spogląda! tak, niema wątplenia. O! toż przecie zaszczyt! Redaktor *Gazety*! Komendant straży nocnej! Niestety! już czuła połowica przybywa i kreskładzie tym tęsknym wejrzeniom! Widzisz pani? ta dama w jaskrawej atlasowej sukni, z złotemi i czarnemi garnirunkami, w stroiku ze złotych frandzli na głowie? Ach Boże, co za bale!...

— Czy raczy mi pani objaśnić— rzekła Amalia chcąc odwrócić rozmowę,— kto są ci czterej panowie w mnndurach, którzy tam oddawna stoją bez poruszenia i nic nie mówiąc?

— Tamci? Al najpierwszy z nich jest Santa-Coloma, zarem rzeźnik i pułkownik. Rzeźnik bydląt i ludzi.

— Upośledzenie professyi.

— Ten drugi, to pułkownik Salomon, szynkarz.

— To już trochę lepij.

— A tamten, komendant Maestre, z rzemiosła oszust.

— Nie można wątpić, iż ostatni należy do równie zaszczytnych kategorii.

— Otóż nie, seniora, ten jest generał Pintos, prawdziwy *caballero*, istotny żołnierz republiki; lecz dla sponiewierania galonów jego i jemu podobnych, nowoczesna federacya udarowała wojskowemi ozdobami takich jak trzej pierwsi.

— Pragnęłabym także dowiedzieć się, która z tych pań jest seniora Augustina, ma być to niepospolita piękność.

— Tańcuje w innéj sali. Ja ją nazywam pięknoscią federalną... o ponsowéj twarzy.

Amalia roześmiała się.

— Jednakże jestto piękna osoba?

— Hm! piękna wieśniaczka, ale wieśniaczka: nadto czerwona, ręce nadto grube, nadto nieokrzesała dla dobrego tonu, i nadto czczy dla towarzystwa ukształconego.

— Widzę— mówiła sobie Amalia w duchu,— że ta pani jest prawdziwym skarbem w liczném zebraniu, lecz niebezpiecznie jest jéj się pokazać, bo pogniwana na całą ludzkość.

— Gdyby pani Augustina wiedziała — dodała głośno,— jak pani jéj piękność ocenia, nie przebaczyłaby takiéj obrazy, jak sądzę.

— Ba! czy pani myślisz, że o tém nie wié? że cały ten motłoch nie rozumie w jaki sposób jest przez nas widzianym? Wiedzą oni dobrze, iż my się ukazujemy na ich zabawach tylko ze względu na naszych synów albo mężów. I to właśnie cała nasza zemsta że wiedzą, że czują jaka jest różnica pomiędzy *nami* a *niemi*. A z resztą cóż nam mogą zrobić? Z drugiéj zaś strony, mówimy o nich tylko pomiędzy *nami*.

— Zawsze?— spytała Amalia z żartobliwie złośliwym uśmiechem.

— Zawsze, jak naprzykład w téj chwili, — odparła seniora tonem pewności.

— Przepraszam panią, ja nie miałam zaszczytu objawić pani moich przekonań.

— Przepraszam, objawiasz je pani od pierwszój chwili znalezienia się obok mnie.

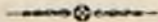
— Co pani chce przez to rozumieć?

— Takiéj fizygnomii jak pani, takiego ułożenia, mowy, obejścia i stroju nie dojrzeć u dam dzisiejszój federacyi. Pani do nas należysz chcąc nie chcąc.

— Pokornie dziękuję, — odrzekła Amalia odwracając nieco głowę dla ukrycia śmiechu. W téj chwili radość błysnęła w jéj oku: we drzwiach stał Daniel i szukał oczami po sali.

Lecz wprzód nim krewni i kochankowie zbliżą się z sobą, my się oddalmy z balu wraz z czytelnikiem, i chwilkę poświęćmy scenie zupełnie różnego rodzaju, w inném miejscu wcale nie podobném do tego, które opuszczamy, a postaramy się, by co najprędzój znów ręka w rękę z sobą powrócić do salonów staréj warowni naszéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Arabowie w Hiszpanii. — Wzajemny wpływ dwóch cywilizacji: semitycko-arabskiej i arya-hiszpańskiej. — Dramat Egilaza: *Grazalema*. — Sprawy akademii francuskiej: członkowie wydalenii od czasów jej istnienia: Furetiere Saint-Pierre, Lucyan Bonaparte, Cambarceres, Książę Bassano, eyes, Arnauld i inni. — Napoleon 1-szy, członek akademii nauk. — Teorya i praktyka: Cuvier i Napoleon.

Z pomiędzy kilkudziesięciu poematów dramatycznych, któremi szczyści się odrodzona literatura hiszpańska, a które wymownie świadczą o jej żywotności, wybieramy dziś nowy utwór Luiza Egilaza. Daliśmy już poznać dramat *Llave di oro* tego znakomitego poety. Dramat *Grazalema* o którym dziś mówić będziemy należy do najoryginalniejszych zapewne piodów dramatycznej literatury europejskiej. Poeta wprowadza nas w świat nowy, w świat arabskiego społeczeństwa, tak silnie wypiętnowanego w dziejach Hiszpanii. Andaluzyjczyk rodem, wzrosł on pod cieniem Alhambry, pisał dzieckiem po ogrodach rozkosznego Generalisfa, błądził nieraz w śród lasu kolumn wspierających takowe sklepienia olbrzymiego meczetu w Kordubie. Widok pomników owęj cywilizacji tak potężnej a tak odrębnej od cywilizacji ludów arya-europejskich, musiał koniecznie oddziałać na poetę, odzwierciedlić się w jego bujnej wyobraźni, musiał dać nowy polot jego twóczemu natchnieniu.

Egilaz nie jest tylko wielkim poetą, jest to niemniej człowiek, naukowo-różnostronnie wykształcony; nie poprzestał też na samych wrażeniach odebranych w młodości, ale badał geniusz arabski pod względem psychologicznym, religijnym, obyczajowym i historycznym, przedstawił on w dramacie, strony dodatnie cywilizacji arabskiej, podniósł ją niemal do apoteozy, a zatem okazał niższość jej w obec ducha jaki ożywiał chrześcijańskich Hiszpanów. Zgięci pod mieczem potężnych zdobywców arabskich, zdumieni blaskiem ich geniuszu, objawiającego się w różnych gałęziach nauk i sztuk pięknych, czuli oni przecież niesłychaną wyższość swoją nad nimi, w tém co stanowi główną podstawę cywilizacji świata.

Autor w dramacie *Grazalema*, z gorącym współczuciem oddał dodatnią stronę geniuszu arabskiego, i to właśnie stanowi obok wysokich zalet dramatycznych oryginalną cechę utworu.

Posłuchajmy jak Egilaz zapatruje się nastosunek Arabów do Hiszpanii.

„Lud wielki i szlachetny, mówi on, lud wysokości cywilizacji, wykształcony w naukach, w artyzmie, w poezji i sztuce rycerskiej, panował przez siedm wieków, nad większą częścią ziemi naszej, porozsiewał tu i owdzie, ku zdumieniu przyszłych pokoleń, owe Alhambry, Giraldy, i Meczety, ślady wiekopomnej potęgi swojej.

„W naszej mowie liczymy tysiące wyrazów wziętych żywcem z arabskiego języka, literatura nasza na wskrós przesiąknęła promieniem twórczej fantazy Arabów; nasze pola i łąki użyzniane po dziś dzień, kopanemi przez nich kanałami; modlimy się w świątyniach, które oni pobudowali: te wieżycy z których dziś rozlega się odgłos chrześcijańskich dzwonów, to też same minarety, z których głos Almuađenów powoływał ich na modlitwę; miasta nasze opasane dotąd obręczą murów, dzwignionych niegdyś ich rękoma; co więcej, w żyłach naszych kipi dotąd potok ich krwi szlachetnej!

„Słowem śmiało powiedzieć możemy: Arabi nie wyszli z Hiszpanii; my to raczej zrzuciliśmy turban i uczcili prawdziwego Bogal Plemię arabskie wyklęte przez historyków, żyje u nas jak żyło w ojcach naszych; szum palm kołysanych wiatrem na polach Andaluzji i Walencji szepta nam jakoby żalowaną skargę na dziadów co rozbijali namioty po pustyniach, słuszną skargę na niewdzięczność i zapomnienie własnych synów.

„Przywykliśmy uważać Arabów jako lud barbarzyński, dziki i krwi chciwy: Wandale nie przedstawiają się gorzej w oczach naszych. Tymczasem lud arabski miał prawa łagodne i dobroczynne; cywilizacją kwitnącą, której do zupełnego rozwoju niedostawało tylko wiary chrześcijańskiej, z tej właśnie przyczyny, zachował on dzikie instynkta; lecz okrucieństwo takiego Muhameda Aben-Abed (bohatera dramatu), było tu wyjątkowem: przejrzymy tylko historią Kalifatu Korduby, a zobaczymy że sztuki piękne i literatura stały tam w pierwszym rzędzie: każdy monarcha, każdy magnat uprawiał tam nauki i poezję. Zwróćmy uwagę na szlachetny ród Beni Omejas od Abderamana do Hixena: przekonamy się, że Abderaman zawsze przebaczał, że Almanzor, powracając z wyprawy wojennej, zasiadał na wypoczynek w akademii posłów, gdzie skłaniał ucho na uroczę kassydy, lub w radzie stanu gdzie dyktował mądre prawa, którym sami królowie musieli być posłuszni.

„Co do mnie, kończy autor wcale nie myślę zapierać się szlachetnego pochodzenia. Syn Andaluzji, Hiszpan sercem i duszą, chlubię się niemniej że w moich żyłach płynie cząstka krwi bohaterów, mędrców i rycerzy arabskich.

„Cywilizacji arabskiej, tej cywilizacji, która mnie zdumiewa i porywa, do zupełnego rozkwitu brakło tylko węgelnego kamienia; bez niego upadła i rosyła się w gruzy; brakło jej wiary chrześcijańskiej, tej religii miłości i poświęcenia.”

Tak to dziś Hiszpanie patrzą na dawnych swych zdobywców, w lat czterysta po skruszeniu ich potęgi, kiedy większość została wygnaną na brzegi afrykańskie, a mniejszość utonęła w masie tubyl-

ów; słowem, kiedy z przeszłości arabskiej w Hiszpanii, zostały tylko pomniki w murach, w języku i w literaturze. To co mówi autor, że Arabi zrzucili turban a zgięli kolano pod krzyżem, odnieść należy tylko do tej garstki zmieszanej z tubylcami; inaczej słowa te byłyby prostą hiperbolą poetyczną.

A teraz przejdźmy do dramatu *Grazalema*.

W roku 461 Hegiry (wiek XI) włada w Sewilli potężny Emir Muhamed Aben-Abed, srogi dla podwładnych, okrutny względem zwyciężonych ludów, postrach sąsiednich państw. Podanie mówi o wielkich skarbach jakie zdobył; o klejnotach i sztukach złota, które przechowywał w czaszkach dostojników muzułmańskich, pomordowanych jego ręką. Ościenne państwa arabskie sprzymierzają się przeciw straszному pogromcy, którego zamiarem opanować całą Hiszpanią. Królowie Almeryi, Granady, Malagi i Toledo równocześnie wypowiadają mu wojnę. Otoczony wrogami moczysz nie upada na duchu, postanawia wydać jedyną córkę Tairę, za młodego i dzielnego króla Algarbii Yahye-Almanzora. Z tym sprzymierzeńcem zburzy on trony wszystkich władców muzułmańskich i posiędzie ich kraje.

Rzecz rozpoczyna się w pysznym ogrodzie Sewilskiego Alkazaru. Słońce tylko co weszło: Emir siedzi pod rozłożystą palmą, wśród róż i wodotrysków. Wódz i zausznik Emira Abdalla, staje przed władczą z orszakiem Naibów; oznajmia mu bunt ludzi w mieście Karkmonie: Muhamed wybucha wściekłym gniewem.

MUHAMED.

Na proroka święte ciało!
Do bezbożnej spieszmy ziemi;
Słońce żary ognistemi
Topi w żyłach krew stężałą
Siedmdziesięciu zim przebiegiem!
Płomień bucha z piersi mojej,
Przysypanej wieku śniegiem!
Niech się wojsko w pochód zbroi,
Buntownikom nie ujęć zguby,
Spiesz Abdallo do Korduby;
W takt mej piersi drgnęła szpada:
Czas ją dobyć.

(*Dobrywa szpadę z pochwy, i wzrok wlepia w jej ostrze*)

Jakżeś blada!

Przebacz, przebacz! zbyt ty długo
Leżysz w pochwie!... Oh! jeżeli
Zbladłaś, wstydu rdzą trawiona,
Ja cię wrzącą spłóczę strugą.
Do czerwonej twój kąpieli,
Krwi pociękiej z stu gardzieli,

Wnet dostarczy nam Karkmona.
 Jutro błysniesz krasą nową,
 Tobie w pochwie zgnuśnieć nie da
 Mściwa ręka Muhameda!
 Hej! Abdallo...

ABDALLA.

Twoje słowo
 Prawem dla nas wielki Cydzie,
 My posłuszną twoją trzodą;
 Gdzie skinienia twe powiodą,
 Bez oporu naród idzie.
 Kiedy głos twój gniewu gromem
 Wśród powietrznych grzmi przestrzeni,
 Upadamy pół-omdleni
 Przed potęgi twój ogromem.
 Mów..., rycerstwo czeka twoje,
 Wodze twarde wdzieli zbroje
 Do wojennych tęskni czynów;
 Już bieguny posiadłali,
 Za nich mówi głos Abdalli:
 Królu wiernych Musselinów!
 Na skinienie twego oka
 My gotowi! niechby ciebie
 Kto nie uczcił? na proroka,
 Tego Allah przeklnie w niebie!

MUHAMED.

Niech na miazgę krnąbrnych zgniota!
 Iluż pójdzie?

ABDALLA.

Pytasz o to?
 Ile ziarnek piasku, panie,
 Gwadalkwiwir w głębi toczy;
 Ile w nocnej tli pomroczy
 Gwiazd na niebie: taki stanie
 Zastęp wiernych niezliczony,
 Na wyprawę do Karkmony!

Wodzem wyprawy mianuje Muhamed Abdallę. Sam król pozostanie na uboczu; nie przystoi mu walczyć przeciwko zbuntowanym. Nakazuje mordy i łupieże, bogate zdobycze rozdaje naprzód wodzom, sam zaś czekać będzie w Sewilli. Tam, do podnóża tronu, zwycięży Naibowie przysła mu tysiąc głów zakamforowanych. Wodzowie odchodzą; Muhamed zostaje sam z powiernikiem. Prawdziwy typ Araba: okrutny a zarazem pełen fantazyi

poetycznej, Emir przerzuca się ciągle z jednej ostateczności w drugą. Tylko co rozkazał zburzyć Karkmonę, i oto znów wypowiada miłość swoją dla miasta, skazanego na miecz i płomień.

O Karkmono ty wyniosłaś
 Wśród niebianek cudna Huri;
 Tyś stopami w skałę wrosła,
 Czołem sięgasz pod laury;
 Twój kobierzec tak zielony
 Tkan w pomarańcz białe kwiecie,
 Zamiast pereł w twe uploty
 Wsnuty promień gwiazdek złoty:
 Andaluzij cudne dziecię!
 O! mój grodzie ulubiony!
 Gołębico moja biała,
 Co ulatasz słońca blisko;
 Ja cię kocham o hurisko
 Abyś zdradnych uszła sidła,
 Byś mi w niebo nie wleciała,
 Muszę tobie podciąć skrzydeł!

Muhamed wydaje polecenia: bratanek jego Izmael, młodzian pełen poetycznego talentu, ma utworzyć gładkim wierszem kasaydę na cześć przyszłego zwycięzcy; najslawniejszy architekt dworski, ma ze swęj strony obmyśleć plan wspaniałego pałacu, który stanie na zgliszczach zburzonego zamku w Karkmonie. Będzie to nowy cud świata. „Niech architekt wystąpi godnie—mówi Emir—niech pamięta że plan pójdzie pod ocenienie pięknej Tairy ukochanej córki mojej.” Taira przezwana Grazelemą, jest najcudniejszym kwiatem Andaluzyi, królową poczuy i sztuk pięknych.

Gdy Emir wyrzekł imię córki, nowy niepokój osiada na dumnym jego czole. Taira przyrzeczona w małżeństwo młodemu królówi Algarbii; matka jego Saura, przybyła na dwór Muhameda: umowa zawarta stanowczo, a jednak nieustraszony Muhamed gotowy zawsze do zapasu przeciw wszystkim mocarzom świata, nieśmię objawie córce swych względem niej zamiarów. Tkliwy ojciec kocha, uobóstwia nawet uroczą swą Tairę, tę bieluchną lilie tak wysmukłą, tak wątłą, ze silniejszy wiatr złamie ją bezwzględnie. Trwoga o życie córki podnieca tém silniej miłość ojcowską. Aby poratować słabe jej zdrowie, król sprowadził z Damaszku mędrca, biegłego w sztuce lekarskiej. Kiedy sławny Alfaki Aben-Bu przybył przed rokiem do Sewilli, gdy ujrzał bladą i chwiejącą Tairę, oświadczył wyraźnie ojcu że jedyny środek ocalić ją może od śmierci; tym środkiem użycie uzdrawiających wód w kastylijskim kraju w Burgos. Muhamed chwycił się tej ostatniej deski ocalenia; zawarł spiesznie pokój z królem Kastylii, wyprawił Tairę w orszaku sług i niewiast dworskich. Boleśń rozłączenia, trwoga o skarb najdroższy w życiu, raniła ciężko serce ojcowskie.

Taira odjeżdżając zostawiła ojca z brodą czarną jak krucze skrzydło, za powrotem zastała tę brodę białą jak puch łabędzi.

Podróż ta ważna za sobą pociągnęła następstwa. Na dworze sewilskim przebywał młody Omar, poseł od pokolenia Almorabi, które tylko co opanowało Afrykę. Troskliwy ojciec poznawszy dzielność Omara, powierzył mu straż nad ukochaną córką w ciągu podróży i długiego pobytu w obcych stronach. Piękny, waleczny Omar, był zarazem poetą. Gorąca miłość zapaliła dwa młode serca. Uczucie to pozostało dotąd w głębokiej tajemnicy. Gońcem miłości pomiędzy kochającą się parą była bieluchna Keryma ulubiona gołąbka Tairy. Inną jeszcze tajemnicę wyniosła królowa w sercu swoim z chrześcijańskiego miasta. Tłumione uczucia szarpiące nią bezustanku, zgubnie oddziaływają na zdrowie poratowane nieco w Furgos. Taira z każdym dniem bleedsza i wątlesza, więdnie iak kwiat bez rosy. „Prorok mi jęj zazdrości, na ozdobę Edenu swego—mówi Muhamed—to już nie świetna róża Fezu, nie świeży to nard Syryjski, raczej lilia Damanhuru, piękna bledością swoją!”

Taira ma jednak zaślubić króla Algarbii, tak być musi, *tak napisano*. Muhamed drży na samą wzmiankę rozłączenia! myśl o tém przejmuje go boleścią.

MUHAMED.

Mnie potrzeba słodkiej woni
Tego kwiatu! ona tylko
Do uśmiechu czasem skłoni
Usta moje pieszczot chwilką.
Jak schnie lilia na łądźdze,
Gdy jęj wietrzyk nie poruszy,
Zdroje życia schną mi w duszy,
Gdy Tairy męj nie widzę.
Mieć ją będę pókim żywy
Przy mém sercu: pod mém okiem
Niech ślubnemi z nią ogniwy
Złączon Algarb jęj urokiem
Pieści oczy, ja nie wzbronię;
Lecz ją zabrać?... na myśl o tém
Rozpacz serce moje ścisła:
Ja mu sypnę raczej złotem,
Oddam liczne te zameczyska,
Drogie perły w mój koronie,
Dam mu ziemi kęs szeroki,
I kwieciste gór tych stoki,
I to morze co się burzy
U Huelwy tam podnóży.
Wprzód nim z oczu ślad jęj zgubię,
Bez namysłu jednej chwili:

Dałbym meczet w mój Kordubie,
I Giralde w mój Sewilli!

Abdalla słucha tych słów, tłumiąc oburzenie w głębi twardego serca. Ośmiela się nawet przypomnieć Emirowi, że zanadto pozwala panować nad sobą ojcowskim uczuciom, że słabość jego rozzuchwała nieprzyjaciół. Wróg widzi w nim ojca tylko, a nie króla Sewilli.

MUHAMED (z uniesieniem).

Na proroka! sił nie starczy,
Będę królem! Nim Adona
Po promieniach srebrnej tarczy,
Nim dziesięćkroć spłynie nocą (1),
Na tej górze gdzie Karkmona
Siadła w gwiazdy uwieńczona,
Krwawe łuny zamigocą.
Na te zgliszczą pójde świeże,
Konającej spojrzę w oczy,
Niech Abdallo twojej wierze
Czyny świadczą, a nie słowa!
Nim ostatnia z karku głowa
Pod twym mieczem się potoczy,
Gniewu mego nie rozbroją
Twe przestawne niegdyś sprawy;
Ja pochwycę ten miecz krwawy:
Zmiotę z karku głowę twoją!

ABDALLA.

Cydzie!

MUHAMED.

Próżno!.. niema rady!
Woli mojej nic nie złamię,
Azrael, anioł śmierci błądę
Czeka łupu... jeszcze ramię
Okrutnego Muhameda,
Nie omdlało!... jeszcze jadem
Zsiąkłe serce kipi do dna,
Gdy Karkmona już nie godna
Łaski mojej, krnąbrną wolą
Stawia opór; z orz w zagony
Pyszne zgliszczą mój Karkmony,
Czarną ziemię posiej solą,
Buntownicy.., ba! to kłosy,
A tyś żencem... dłoń do kosy:
Siecz Abdallo!

(1) Aduna, po arabsku jutrzeńka.

W tej chwili nadchodzi Taira: posłyszała ostatnie słowo, przystępuje bliżej, wita ojca z dziecięcym przymileniem.

„Szczęśliwa wróżba— rzeczce— napęlnia me serce niewymowną otuchą. Wysłałam ujrzeć słońce wschodzące, i oczy moje spytają cię! ojciec i panie mój; jeżeli który z twoich Wallich ma syna i chce mu nadać imię, niechajże dziś zabije cielca, bo to dzień dobrej wróżby! Łaskawem okiem dziś Bóg spogląda na Sewillę. Słońce świeci tak jasno, powietrze pełne woni, kwiatki poją się czystą rosą, skowronki i wilgi ulatują z pieśnią w lazury, wkoło radość i błogi spokój, świat uśmiecha się tak uroczo! a ty jak się masz drogi ojciec?

MUHAMED (z uczuciem).

Ja po mroku nocy głuchęj
Oczy poję zorzę nową!
O Tairo! twoje słowo
Tehnie mi w duszę brzask otuchy,
Mnie tęsknota w więzach trzyma
Gdy odemnie tyś daleko;
Ozém na puszczy dla pielgrzyma
Wielbłądziej słodkie mleko:
Tém dla ojca jesteś dziecię!

Taira pragnie zbadać co znaczą straszne słowa, które potęciły jęć ucho przy wnijsciu. Ojciec waha się... milczy... królewna rozkazuje mówić Abdalli; Emir skinieniem głowy potwierdza rozkaz. Abdalla oznajmia bunt Karkmony.

Na tę wzmiankę, guiew stłumiony chwilowo, zawrzał znów w piersi nieprześląganego Emira.

MUHAMED (gwałtownie do Abdalli).

Głów ich żądam! lub twa głowa
Spadnie z karku!

ABDALLA.

Jam gotowy
Spełnić rozkaz... śpieszę panie:
Allah z tobą niech zostanie!

TAIRA (żywo do Abdalli).

Czekaj!

ABDALLA (do Emira).

Cydzie?

MUHAMED (ostro do Abdalli).

Ona każe.

A więc czekaj!

(do Tairy słodko).

Mów!

TAIRA (boleśnie).

Ich głowy!

MUHAMED (do Tairy surowo).

W mych ogrodach, w Alkazarze,
Tyś królową w każdej chwili;
Lecz w Kordubie i w Sewilli
Ja tam panem!

TAIRA (do ojca pieszczotliwie)

My oboje
Rządzim razem, myśli moje
Czyż nie władną twoją duszą?
(błagalnie)
Krwia, nie szafuj tak sowicie!
Wszak żyć będą? oh! żyć muszą:
Niech im karą będzie życie.

MUHAMED (żywo).

Dość Tairol!

TAIRA.

Godzien chwały
Kto w swém sercu gniew pokona!

MUHAMED (z wahaniem).

Córko moja!

TAIRA.

Bądź wspaniały!
Nie czyn trupem przemieszanie,
Lecz miłością chwyć za serce.

MUHAMED (unikając wzroku córki).

Grazalemo!

TAIRA.

Patrz mi w oczy!

MUHAMED (stanowczo do Abdalli).

Niech więc żyją, lecz ramiona
Skuć im w pęta... w żywym grobie
Noc ich wieczna niech otoczy.

TAIRA (*z boleścią*).

Biedni jeńce!

MUHAMED (*ostro do Abdalli*).

Idź!

TAIRA (*do Abdalli*).

Stój jeszcze!

(*z przymileniem do ojca*)

Chłód poranny żaliż tobie
Nie zaszkodzi?

MUHAMED (*do córki*).

Jakżeś blada!

TAIRA.

Wskrós mnie chłodne zbiegły dreszcze,
Cierpię..

MUHAMED (*powstając*).

Iść nam ztąd wypada,
Pod zasłoną ze szkarłatu
Wiatr nie zmrozi mego kwiatu!

(*prowadzi córkę do altany pokrytej baldachimem.*)

TAIRA (*słodko do ojca*).

Jak cię dobrym stworzył Allah!
Jak oblicze twoje płonie,
Kiedy miłość skrę zapala
W twój żrenicy! Jak uroczo
Promienieją twoje skronie,
W srebrnych włosów aureoli.
Cóżto? chunury czoło mroczą?
Wzrok twój dziki krew mi ścina!

MUHAMED (*niespokojnie*).

Mów co tobie?

TAIRA (*kładąc rękę na piersi*).

Tu mnie boli!

MUHAMED (*z trwogą*).

Słabe zbiegły z lic rumieńce,
Drży jak listek!

TAIRA (*smutno*).

A więc jeńce!

MUHAMED (*uniewinniając się*).

Na nich wielka cięży wina!
Toż inaczej nie poradzę;
Niech mnie Allah sądzi z nieba,
Oni moją depczą władzę!

TAIRA.

Tak, źle czynią, skruszyć trzeba
Tę zawziętość ich szaloną,
Lud do zgody wnet się skłoni:
Daj mi władzę nad Karkmoną!

MUHAMED (*śmiejąc się*).

Ty Tairol...

TAIRA (*pieszczotliwie*).

Powiedz: dziecię!..
Twą łaskawość znająż oni?
Kiedy Hadzid kark im gniecie
W imię twoje twardą nogą!

(*z uczuciem*).

I tam ojciec siwy może
W swą Tairę patrzy z trwogą,
Jak strupiały lica hoże
Jego córki ukochanej,
Gdy zaszczykły te kajdany
Co ojcowskie ręce gniotą!

MUHAMED (*żywo*).

Skończ! Abdallo!..

ABDALLA.

Rozkaż Cydzie!

MUHAMED (*stanowczo*).

Nie kuj w pęta!.. każ niech zniosą
Wszystkie skarby... krnąbrność idzie
W parze z mieniem... zabierz złoto!
Idź!..

TAIRA (*żywo*).

Zaczekaj; patrz Abdallo,
To wezgiłowie zimną rosą
Wskroś przemokło, podaj świeże;

(do Emira).

Mnie Hadzidem mianuj tylko,
Twe się ludy nie pożalą.

MUHAMED.

Więc to nie żart?

TAIRA.

Mówię szczerze!

MUHAMED.

Spiesz Abdallo!

TAIRA (zatrzymując go).

Jedną chwilkę

Wstrzymaj pochód... chcę mieć świadka!

ABDALLA.

Cydzie?

MUHAMED (rozkazująco).

Czekaj, wszak kazała!

TAIRA (do ojca).

Złe wytępię do ostatka,
Gdybym tylko władzę miał!
Daj mi władzę ojcze drogi;
Niech mi serce twe zawierzy:
By nakarmić lud ubogi,
Nie rozemknę złotój wieży,
Jakto było gdy nad grodem
Rozpostarła płaszcz zaraza,
Litość drgnęła w sercu młodém,
Lecz przychodzi rozum z laty...
Daj mi władzę ojcze miły!

MUHAMED (z uśmiechem).

Weź ją dziecię!

TAIRA (wesoło).

Chcesz zapłaty?

Masz! (całuje ojca z uczuciem).

(do Abdalli),

Abdallo! spiesz co siły,
Idź bez wojska, bez żelaza,
Tym szaleńcom rzec w Karkmonie:

Mnie Muhamed śle wspaniały,
 Drżące ludy chylą skronie
 Przed urokiem jego chwały!
 On nie podjął w gniewu szale
 Miecza pomsty ręką twardą,
 Jego miłość nieskończona!
 On przytulić chce do łona
 Wiarołomne swe wasale;
 On roztworzył już ramiona,
 Czas wam skruszyć butę hardą,
 Miłość ojca mieć na względzie,
 Łzę serdeczną zmasać winy.
 Niech wam pycha wzroku nie ęmi,
 Bo inaczej krnąbrne syny:
 Król wasz dobrym ojcem będzie,
 Wy będziecie złemi dziećmi!

Abdalla odchodzi spełnić rozkaz. Muhamed z najwyższą miłością przystępuje do córki:

MUHAMED (*z zachwyceniem*).

O Hurysko wykradziona
 Z nadśłonecznych niebios łona,
 Ja cię kocham duszą całą!
 Przez twe usta słodycz płynie,
 Tyś lilijką dla mnie białą,
 Co woń sieje po dolinie;
 Tyś mi pszczołką tajemniczą,
 Co roztacza miód po świecie.

TAIRA.

Pochwal Boga! On słodyczą
 Zapanować dał kobiecie,
 Mężtwo złożył w serce męża.

MUHAMED.

Twoja słodycz mnie zwycięża,
 Istne cuda ze mną czyni:
 Z czoła mego zgania chmury;
 Jam tygrysem był z pustyni,
 Tyś obcięła mi pazury.

Tygrys ulaskawiony przez gołąbkę, dręczy się stanem zdrowia ukochanej córki; błaga ją niech czuwa pilnie nad sobą, drży na myśl nowej podróży do Burgos. Tam wśród niewiernych, tyle niebezpieczeństw grozi prawym synom proroka! Nie dawno oto, córka władcy Toledo, zawieziona do uzdrawiających kąpieli ka-

stylskich, przepomniała tam ojca i rodu swego, wyrzekła się wiary wyssanej z mlekiem!

— Gdybym u kresu dni moich— rzecze strwożony Emir — posłyszał tak o tobie!.. lecz nie.. Allah jest wielkim!

— I cóżbyś uczynił?— zagadnie słodko Taira.

— Zabiłbym ciebie.. i umarłbym sam!

Przerywa rozmowę nadejście Senzy, królowej Algarbii, matki przyszłego oblubieńca. Senza wykrywa przed Tairą, ślubne układy, których ojciec nie śmiał jęj objawić. Zrozpaczona Taira po odejściu królowej, błaga ojca: niech nie zmusza jęj do nienawistnych związków. Łzy córki poruszają do głębi serce Muhameda.

— Dziecię drogie! — wyrzecze słodko Emir, — nie w mocy mojej zerwać ten układ. Allah tak chce, tak zapisano!

— A więc przygotuj mi ojcze cichy grób — odrzeczce Taira słabym stłumionym głosem.

Muhamed ze łzami tuli córkę w objęciach. Tu nagle wpada Abdalla.

— Czego chcesz?—zawoła król z gniewem. Kto śmie mącić mi spokój!

ABDALLA (*przerażony*).

Biada Emirze!
Pędzę co tchu:
Almorabity
Ród krwi niesyty,
Już tu! już tu!..
Śmierć nam, sromota!
Za miecz kto żywi
Już rozwarł wrota
Gebel Taryf!

MUHAMED.

Ratuj Allah!

ABDALLA.

Wstrzął się z przestrachu
Sewilski lud!
Zawrzał rokoshem...

MUHAMED (*wściekle*).

Tłumy rozpłoszęm,
Krew stoczym w bród!

ABDALLA.

Straszna chyda!

MUHAMED.

Kto podniósł miecz?

ABDALLA.

Abdul-Saida!

MUHAMED.

Na proch go zsiecz!

ABDALLA.

Bila El-faki!

MUHAMED.

Zdusić ten gad!
 Trupy na haki
 Dla kruczych stad!
 Ha! piekielniki!
 Nie szczędzić mąk,
 Łby wiaść na piki
 Obnosić w krąg.
 Do stu piorunów
 Przyplaci gród,
 Zduszę Lamtunów
 Przekłety ród.
 Hejże za miecze
 W szalony wir!
 Niech krwią pociecze
 Gwadalkiwir!
 Któż się ośmieli
 Stanąć mi wbrew!
 Z tysiąc gardzieli
 Wytoczę krew!
 Skarcę tę zradę!
 U grodu bram,
 Straszna biesiadę
 Wyprawię wam!

Muhamed wyrzekł te słowa głosem piorunującym, rozśmieł się piekielnie, ryknął niby lew na pustyni, i obłąkany szałem wpada do Alkazaru. Taira zostaje sama, boleść szarpie jęj duszę. Ona małżonką Maura! niewolnicą harem! raczej śmierć! Uspokaja się zwolna, rozmyśla, modlitwa jedyną jęj otuchą.

TAIRA.

Gdy mi siły już nie starczą
 Pragnę czerpnąć moc z wysoka,
 Czyż mnie wesprze dłoń proroka?
 Czyż mi Allah będzie tarczą?
 Ich moc tylko zabezpiecza
 Tych co walczą ostrzem miecza!

Lecz gdy serce mrze z przestachu,
 Gdy ból zatrął je do głębi,
 Nie ukoiśz go Allahu!
 Kwiliż pieśni ród jastrzębi?
 Grzmiący łoskot morskiej fali
 Czyż się moich łez pozali?

(po chwili namysłu).

W Burgos, w pięknym tym meczecie
 Gdzie rozpostarł krzyż ramiona,
 Jest dziewica uwielbiona,
 Co piastuje Boże dziecię,
 Promienista niby zorza,
 Pełna łaski i słodyczy.
 Ty zrozumiesz matko Boża
 Boleść duszy mej dziewiczej!
 Matko Pana, który w górze
 Dzierży mocną świat prawicą,
 I poskramia morskie burze,
 O przeczysta gołębicu!
 Ty co darzysz świat pokojem,
 I mnie biedną weź na łono;
 Otul białem skrzydłem Twojem
 Moją miłość nieskażoną.

Taira niepokoi się dlaczego Omar nie przybywa. Wstępuje na taras, ogarnia wzrokiem szeroką dolinę, przeciętą modrą wstęgą Gwadalkwiwuru. Otóż i on! serce Tairy uderzyło, lica jej zapłonęły... wlepia oko w Araba, co na dziarskim biegunie pędzi lotem strzały ku miastu.

TAIRA *(patrzac w przestrzeń).*

Z wichrem w pogoni
 Ledwie tknie ziemi,
 Ach! płaszcz go słoni
 Skrzydły czarnemi.
 Spiesz wrony koniu,
 Cwałuj po błoniu
 Co sił... co tchu!
 Pędź bitą drogą,
 Z miłością, z trwogą,
 Ja czekam tu!

(smutno).

Przed moim wzrokiem
 Tuman go skrył
 Kurzu pomrokiem...
 Przekłęty pył!

(z zradością).

Ach! niedaleko
 Błysz mi cień twój!
 Już tu nad rzeką...

(z przerażeniem).

Omarze stój!
 Prądy cię schwyca
 W bezdenną toń!

(podnosi ręce w górę).

Maryo-dziewico
 Skrzydły go słoń!
 Hołdy Ci wiecznej
 Zaniosę czci.
 On tu... bezpieczny.
 Oh! dzięki Ci!

(placze z radości).

Wchodzi Omar, patrzy z zachwyceniem na Tairę, która zbiega chyżo z tarasu.

- Waleczny mój Afrykaninie! — woła dziewica.
- Piękna moja Andaluzko! — woła z zapalem Arab.
- Kochasz mnie?
- Tak szalenie jak Arab kocha piaski pustyni!.. A ty?
- Jak lilie kochają czysty powiew!
- Mów Tairo — doda młodzień z uniesieniem — jam spragnion woni twojego technienia, miodu słodkich słów twoich!

TAIRA.

Śpiewa słowik, ale niemą
 Jest słowiczka wśród tęsknoty!

OMAR.

Chcesz bym śpiewał Grazałemo,
 Skrusz miłości łańcuch złoty!
 Azya była mi kołyską,
 Gdzie słonecznym pędzon skwarem,
 Gniewny tuman mknie obszarem.
 To olbrzymie cmentarzysko
 Gdzie kwiat z ziemi śmierć wysysa,
 I trujące ziemi jady;
 Gdzie brzmi straszny ryk tygrysa,
 Gdzie się gnieźdzą hyen gromady...

(ponuro).

Tam gdy czarna noc zapadła
 Nad pustynią tą szeroką,
 Jam bez trwogi oko w oko
 Patrzał w groźne jej widziadła.
 I chwytalem czar jej dziki,
 I harmonię tę stepową,

Zaklinałem w pieśni słowo
Z tygrysiemi w takt poryki.

TAIRA (*z przerażeniem*).

Ty Omarze!...

OMAR.

Lecz do chwały
Jam się drogą puścił nową;
Już Lamtuni, szczerp zuchwały
Wiatronogie siodła konie,
Lotne wichry z braćmi gonię.
Afrykański brzeg nas wabi,
W czarne mienim białe płaszcze,
Bierzem imię: Almarabi.
Przebiegamy ęmy hulaszczce,
Uraganem step szerokił
Szlak torujem naprzód mieczem,
W bród za nami krwi potoki,
Kto się oprze: walim, sieczem.

(*z dzikiem zachwyceniem*).

Nieraz pomnę kiedy zaćmi
Skrzydło nocy przestrzeń całą,
Gdy na kopii wsparty śmiało
Nad sennymi czuwam braćmi,
Co pijani mordem jeszcze
Z mieczem w dłoni, z szalem w sercu,
Tam na trupów spią kobiercu;
Gdy mi w uchu brzmią złowieszczce
Konających wrogów głosy,
Kiedy chwytam w pierś spaloną
Wyziew struty śmierci pleśnią,
Patrzę w przestrzeń niezmierną,
I pieśń w czarne słę niebiosy.
A do chóru z moją pieśnią
Chmara kruków w takt po stepie
Nad trupami w skrzydła trzepiel

TAIRA (*ze zgrozą*).

Dość Omarze!

OMAR (*spokojnie*).

Los się chyli:
Wróg Lamtunom bije czołem,
Śle mnie Emir do Sewilli,
Po pustyni mknę sokołem.
Morskie fale łódź poniosły,
Przed twym ojcem staję w posły;

Wkoło zbiegam gród w zachwycie,
Ileż cudów, ile czarul

(z uniesieniem).

Drga mi w piersi nowe życie,
Piję wonie azaharu (1).
Zbiegłem gaje cytrynowe,
W Gwadalkwiwir spojrzę do dna,
Dusza moja pieśni głodna!
W struny guzli trącam nowe,
I rozkosznie nad doliną
Słowa moje z wiatrem płyną,
I w błękitnym toną niebie.

TAIRA.

Ha!...

OMAR (słodko).

Ujrzałem wtedy ciebie;
Byłaś bladym pączkiem kwiatu,
Złotolistną tą *alhelii* (2),
Co ku słońcu śle z kielicha
Czar słodkiego aromatu,
Lecz gdy listki szron ubieli,
Na łądydze kona z cicha.

(z zachwyceniem).

Jam cię widział pół omdloną,
Gdy twe czoło potrąciło
Azraela skrzydło czarne (3);
Chciałem wtedy być mogiłą,
Bym cię podjąć mógł na łono,
I utulić w miękką darną.
Anioł śmierci kreślił znaki,
Wśród promieni twego czoła,
Ale przybył tu Al-faki,
Rychło śmierci zmógł anioła;
Zbudził mędrzec leki swemi
W piersi twojej skry gasnące,
Do kastylskiej śle cię ziemi.
Tam łądygę dźwignie śmieliej
Złotolistny kwiat *alhelii!*
Komuż strażę zleci, komu
Stary Emir? kto tysiące
Starł pod stopą, ten uchroni
Drogi klejnot jego domu!
Mnie nad tobą czaty zdaje,

- (1) Azahar, kwiat pomarańczowy.
- (2) Alholi, po arabsku lak.
- (3) Azrael, anioł śmierci.

I w dalekie pędzim kraje
Upojeni czarem woni.

(z najwyższą miłością.)

Czy pamiętasz Grazałemo
Jak płomieniem wzrok mój pała?
Tyś mnie-wzajem ukochała,
Czemuż usta milczą niemo?
Chociaż ujmę gęzł do ręki:
Potrącona nie drgnie struna,
Nie zadzwonią srebrne dźwięki.
Oniemiała pieśń Lamtuna!
Ach! gdy sercem szal załadnie,
Droga perła leży na dnie,
Wyroniona w senniej ciszy
Tajemniczo w głębi łona;
Tylko serce pieśń tę słyszy.
Tam się rodzi, i tam kona.
Miłość niemém serce czyni,
Struna guzli oddaź słaba
To, co czuje syn pustyni:
Jak uderza pierś Araba!

Taira oznajmia Omarowi jak smutny los ją czeka. Żadna siła nie złamie ojca woli, on powiedział: Allah tak chce!

— Mnie ciebie wydrzeć! — zawoła Omar — Allah nie może chcieć tego! a gdyby i chciał, ty i tak będziesz moją!

— Także mocno mnie kochasz — zagadnie z cicha Taira, — że cię nie zraża nawet ta wieść, którą dziś z rana posłałam ci przez moją kerymę?

Omar nie odebrał liściku, nie widział dziś białej gołąbki.

Taira zadrzała.

— Spiesz Omarze! pędź co tchu! — woła z trwogą — to straszna, to śmiertelna tajemnica! nie pora mówić o tém! może wierna keryma czeka ukryta w powojach pod twém oknem!... może czas jeszcze!... leć drogi!... bądź ptakiem... bądź simunem!... Ratuj mnie... ratuj siebie... Gdyby ją schwytano, my zgubieni oboje!

Gołąbica pięknej Tairy wraz z liścikiem uwiązany u dziobka, wpadła w ręce królowej Senzy, która w ogrodach Muhameda bawiła się zastawianiem sideł na ptastwo. Dumna sułtanka pragnie widzieć piękną dziewczę w haremie swego syna; obrażona oporem Tairy, oznajmia, że jest panią jej tajemnicy.

— Bądź mi powolną — rzecze do niej — inaczej oddam list ojcu twemu.

Taira czuje się zgubioną. Z poddaniem przyjmuje los swój; myśli tylko jak ocalić Omara. Spotyka go, nagli aby uciekał jak najspieszniej, w chytre bowiem ręce wpadła skrzydlata posłaniczka.

— Niechajże wiedzą — zawoła Omar — jak wysoko sięgnęły myśli moje! Uspokój się Tairo! król tylko potężny ma prawo

ciebie kochać! Ja nie mam nic jedno ten oręż, lecz orężem tym zdobędę koronę, i uwieczęnię ją twoje czoło!

Taira ma inny powód obawy: odkrycie tajemnych uczuć jej serca przeraża ją, ale stokroć bardziej drży na myśl, że odkryto wielką tajemnicę jej życia, którą powierzyła w liście Omarowi. Śmierć grozi im obojgu. Niechże on ratuje się ucieczką, ona podda głowę pod straszny wyrok.

— Uchodźmy więc do Afryki—zawoła Omar w uniesieniu.— Dla ciebie poświęcę życie moje, dla ciebie gotówbym wyrzec się wiary, przekląć proroka i samego Allaha!

— Dzięki ci Boże!— zawoła Taira z najżywszą radością,— prawdziwie? powtórz jeszcze coś wyrzekł!

Omar ponawia zaklęcia i przysięgi. Taira przyrzeka być powolną.

— O zachodzie słońca— rzecze z cicha — kiedy głos Almuneda ozwie się z minaretu, czekam cię.. przyjdź.. ubiegniem do Afryki!

W ważnych wypadkach, kiedy państwo zagrożone, władca *wiernych* zwołuje *Mexuar* czyli radę mędrców, zwanych Mexeguarami, i w ich ręce oddaje rządy. Skoro ukończona sprawa nad którą obowiązany radzić ów *Mexuar*, król obejmuje znowu władzę. Za rządów Mexuaru, panuje nad krajem sam Allah.

Muhamed widząc ze wszech stron zagrożoną Sewillę, chwycił się tej ostatniej kotwicy.

W pysznej sali sewilskiego Alkazaru, odbywa się obrzęd poświęcony prawem i obyczajem. Muhamed otoczony wkoło Mexeguerami, staje w środku sali, obie ręce wyciąga w górę.

MUHAMED.

Chwała Panu!

Moc Allaha wszystko zmoże,

Wola jego nie zna tam!

Jemu służy ziemia, morze,

On potężny, wieczny sam!

(do Mexeguerów).

Ja Muhamed Aben-Abu,

Król Sewilli i Korduby,

Gdy mój naród w oetłan zguby

Pecha miecz krwawy Almaraba;

Przed potężnym Mexuarem

Me królewskie gnę kolano,

I tę z nieba moc mi daną

Ja na wasze składam bary.

Oto berło i korona,

Władza wasza niewzruszona,

Dziś wyroki głosić wam!

Złóżcie radę Mexeguary,

Przez was rządzi Allah sam!

I Muhamed zdejmuje z głowy koronę, wręcza ją Abdalli; niewolnicy przynoszą złote naczynia pełne wody, zdobne drogiemi kamieniami, i długie ręczniki wyszywane złotem i jedwabiem. Jedno z tych naczyń odbiera król z rąk niewolnika, przybliża się do mędrców.

MUHAMED.

Wyciągnijcie mędracy dłonie,
Woda zmywa ziemski pył,
Oby źródł ten w waszém łouie,
Plam zarody z serca zmył.
Gdy się waży losów szala:
Kto bezprawiem zhańbi dom,
Niech go przeklnie wielki Allah!
(wszyscy)
Niech go zmiecie niebios grom!

Mędracy wyciągają dłonie nad bassenem wodotrysku w pośredku sali. Król oblewa im ręce wodą z czary, podaje następnie ręczniki.

MUHAMED.

Wyciągnijcie ręce społem,
Ja z pochyłém stoję czołem;
Wodę, płótno daję wam,
Szerokiego król obszaru
Jam dziś sługą Mexuaru,
Przez was Allah rządzi sam!

Mexeguary dotykają płótna, ocierają nibyto ręce.

Obrzęd skończony; niema króla w Sewilli, tylko Allah! Narada rozpoczyna się z wielką uroczystością. Państwo w niebezpieczeństwie. Prawowierni wchodzą w ścisłe przymierze z królem Algierbii. Królowa Senza upewnia o najprzyjaźniejszych uczuciach syna. Mexuar w imię Allaha postanawia oddać mu w małżeństwo Tairę. Król pochyła głowę w milczeniu.

— Tairo—rzecze Abdalla— oddaną jesteś w małżeństwo królowi Algierbii. Ukorz się przed Allahem!

— Nigdy! — odpowie uroczyście Taira,— ja jestem chrześciance!

Mexeguary poruszają się gwałtownie, Muhamed stoi jak pionem rażony.

— Przekleństwo Allaha nademną!—zawoła po chwili. Nie! to nieprawda!.. ona nie rzekła tego!.. Tairo powiedz!..

— Wiem, że Mexuar nie przebacza—odpowie dziewica słodkim ale stanowczym głosem.— Chcecie mi dać koronę? ja wybieram koronę męczeńską. Czczę Boga który umarł na krzyżu!

Muhamed wpada w wściekłość, dobywa oręż z pochwy.

— To szal! — zawoła, — ona obłąkana... w gorączce... sama nie wie co mówi!

I przyskoczy znowu do córki, poszeptnie do niej z cicha: Taira! zaklinam cię powiedz: „Niema Boga tylko Allah, a Mahomet jogo prorokiem!”

— Mów! — zakrzyknie głosem piorunującym. Dreszcz trwogi przebiegł po obecnych.

— Niema Boga tylko Bóg chrześcian — odpowie Taira gotowa na męczeństwo.

Muhamed zaśmiał się konwulsyjnie.

Mexuar wychodzi do innej sali na tajemną naradę. Oddalają się strażę i niewolnicy. Król zostaje sam z córką.

Miotany rozpaczą: to grozi, to znów błaga, to zalewa się łzami.

— Grazałem! — woła tuląc ją do piersi, — Hurysko Hurysk! chlubo moja... nadziejo! gwiazdo piątego nieba! patrz na boleść ojca, odwołaj straszne słowo!

Taira nie uległa się groźb, z równą stałością opiera się błaganiom.

Mexeguary powracają do sali. Po trzykrotném wezwaniu Allaha, złożyli naradę tajemną. Wyrok zapadł; przychodzą go ogłosić. Muzułmanka która wyrzekła się wiary, zasługuje na śmierć. Powinnością króla uszanować wyrok i spełnić prawo. Jeśli godzina *Azobi* zastanie Grazałemę przy życiu, sam Mexuar wymierzy sprawiedliwość.

— Śmielizbyście zuchwali! — zawoła Muhamed wściekły z gniewu.

— Cudzie! — odpowie spokojnie Abdalla — zaczęm przyszedłszy do ciebie, rozkazaliśmy naostrzyć żołnierzom topory. Gdy po śmierci Tairy odziedzysz znów królewską władzę, pościnasz nam głowy, z pokorą poddamy je pod topór, ale w tej chwili nikt cię nie posłucha; sam złożyłeś władzę w ręce nasze: prawo musi być dopełnionem. Wiść o odstępstwie nieszczęśliwej rozbiegła się po grodzie. Lud z rykiem domaga się kary. Od uległości uwolnił go Mexuar.

Niema więc nadziei ratunku. Mędracy oddalają się; pozostaje Muhamed sam z córką. Znowu grozi i błaga na przemian. Doremno! W szale gniewu pochwyca sztylet, mierzy w pierś niezłomnej dziewicy. Taira upada na kolana, poleca duszę Bogu. Muhamed cofa się ze zgrozą.

— Nie Allahu! — zawoła, — ty, który dajesz dzieci ojcom, ty tego nie chcesz!.. to kłamstwo!

I porzuca na ziemię sztylet.

TAIRA.

Nie!.. nie, ojczy! Bóg nie chciwy
Mej niewinnej krwi przelewu,

On jak ojciec miłościwy,
 On jak matka nie zna gniewu!
 Otoczony niebios chwałą
 Chciał na ziemskim żyć padole,
 I przyoblekł ludzkie ciało,
 I przecierpiał ludzkie bole.
 I na krzyżu świętym skonem
 Skruszył złęgo moc piekielną;
 Bóg mój dobrem niezmiersoném,
 Bóg miłością nieśmiertelną!
 Ten co gorycz pił z kielicha,
 On krwią ludzką się nie poi!

(*Wlagalnie do ojca*).

Lza miłości starczy cicha,
 Byś miał niebo w duszy twojej!

Muhamed słucha z czołem ponuro schyloném ku ziemi.

— Córko! — zawoła — uchoǳmy ztąd... uchoǳmy na pustynią, zkąd przyszli ojce nasi. Przekleństwo mojej koronie! jej perły, to łzy nieszczęsnych matek!

I rzuca się ku drzwiom, ciągnąc za sobą Tairę. U drzwi zastępuje mu drogę zbrojny Arab. Król może wyjść, ale stopa Tairy nie przekroczy tych progów! Trupa jej wyniosą z tej sali. Tak zawyrokował Mexuar.

— Więc ona musi umrzeć! — woła ojciec z rozpaczą.

Opodał słychać wrzawę.

— To mój lud — zawoła Emir, — hyena głodna krwi! gdy zostanie żywą jeszcze Tairę, rozszarpie ją w objęciach ojca!

Rozpacz podaje mu nową myśl. Przywołuje Araba.

— Niech przyjdzie tu — rzecze — mądry Al-faki Aben Bu. On umie przyrządzać trucizny: sprawię im niespodziankę.

I zaśmiał się okropnym śmiechem.

Taira drży przejęta grozą. Lud z wraskiem okrążył Al-kazar.

Wchodzi wreszcie Al-faki Aben Bu. Muhamed szepcze mu na ucho słów kilka. Mędrzec wydobywa z zanadrza flaszeczkę, wpuszcza z niej do czary kilka kropel. Wrzawa zewnętrzna wzmagą się z każdą chwilą.

— Wiesz-li co to jest? — pyta Muhamed podając czarę Tairze.

— Wiem, — odrzeczę półgłosem.

— Słyszysz te wrzaski? Zaprzyj się Chrystusa albo pij!..

Taira drżącą ręką porywa czarę... pije.

— Ojczy! — błaga — odejdz ztąd!.. niech konając nie widzę twój boleści... umrę spokojnie!

Ojciec skłania się do jej woli.

— Do widzenia! — szepnie córka, składając na czole ojca ostatni pocałunek.

Skoro wyszedł Muhamed, wierna niewolnica wbiega do sali, przynosi potajemnie krucyfiks.

Omar uwiadomiony o wszystkiém, wpada bez tchu: niema już chwili do stracenia!

— Uchodźmy Tairo! — poszeptnie, — mam na rzece łódź, u bramy lotnego bieguna, u boku miecz... uchodźmy!

— Już za późno! uniósłbyś z sobą trupa!

I Taira ukazuje mu próżną czarę.

Omar zrozumiał: wpada w gwałtowną rozpacz.

Taira napół już omdlała, słodkimi słowy mówi mu o nadziei, skłania go do wiary w Chrystusa, upewnia, że się kiedyś zobaczą.

— Wierzę w twój Boga! — woła Arab z zapalem, i zdiera z głowy turban, porzuca go na ziemię.

— Dzięki ci! — zawoła Taira w najwyższym uniesieniu. — O! niechaj przyjdzie śmierć!... jam gotowa!.. do widzenia Omarze!

I życie opuszcza ją pomału... gaśnie z uśmiechem na ustach.

Omar klęka przy martwej. Zrywa się na widok wchodzącego do sali Muhameda. Król nie zwraca nawet uwagi na wściekłość z jaką Omar wyrzuca mu morderstwo; przystępuje z cicha do córki, przykłada ucho do jej piersi:

— Już nie odycha — rzecze i oko jego promienieje radością.

Lud wpada tłumnie do sali.

— Śmierć Tairze! — woła tysiące głosów.

Muhamed ukazuje martwe ciało: tłumy rozbiegają się ze zgrozą.

Omar obłąkany żalem i gniewem rzuca w oczy królowi naj-srozsze obelgi.

— Tyś ją kochał — rzecze Emir spokojnie — tobie należy czuwać nad nią!

— Dobądź oręż okrutny dzieciobójco! — zawoła Arab, — inaczej zamorduję cię!...

— Pilnuj — mówi król, — niech jej wietrzyk nie dotknie. Ty nie wiesz do czego zdolny ojciec!

Omar rzuca się na króla... szpada błysła nad starca głową. Nagle powstrzymuje się młodzian.

— Jestem chrześcianinem! przebaczam ci! — zawoła, i odrzuca precz oręż.

Młody Arab czeka wyroku śmierci. Władca wiernych, który poświęcił własną córkę, może przebaczyć mu odstępstwo?

Emir tymczasem chwytą go w objęcia, przyciska do piersi, zwie ukochanym synem!

Trzeci akt rozpoczyna się od pogrzebu. Wokoło grobowca królów Sewilli, gromadzi się żałobny orszak; muzyka przygrywa smętną melodyę; postępują dziewice w białych zasłonach, dalej fakiry i wojsko. Mexeguary niosą na barkach ciało Tairy po-

kryte białym całunem; ojca tylko nie widać wśród obecnych.
Przy dźwięku harf, poeta Izmael czyta pogrzebową kassydę.

IZMAEL.

Szlachetni Rawie,
Rodzie wspaniały,
Wy syny ptaków i burz!
Spowici w blaski słonecznej chwały,
Syny kipiących mórz!
Syny Allaha! rodzie wspaniały,
Ach! wam nie śpiewać już!
(głosem stłumionym).

Rawie, poeci,
Szlachetne plemię,
Niebiańskie guzle
Skruszcie o ziemię.

Ach! pełne czaru
Z złota Tybaru
Ich dźwięczne struny drżą!
Dziś nie na dobie trącać je słowy!
Guzle z sandału, z konchy perłowej
Jękną boleśniej
Do rzewnej pieśni,
Trącone piewców łzą!

Piękna Esbillo! (1) na twoje mury
Upadł milczenia tuman ponury,
Z twych wież powiewa żałobny znak.
Martwą cię, niemą, boleś twa czyni,
Spalone skwarem piaski pustyni
Jak ty, nie milczą tak!

Hiszpanio! mila niebu kraino!
Smętnym potokiem łzy twoje płyną;
Matka nad grobem jedynej córki
Jak ty, nie płacze tak!

Twój Gwadalkwiwir niesie do morza
W granitowego tajników łoża
Łzy ludu z modrą zmieszane falą;
W dnie głodu, moru, serca się żalą,
Lecz się nie żalą tak!

O Grazalemo! słodka Alhelli
Co rozsiewałaś woń pełną czaru,

(1) Esbilla, po arabsku Sewilla.

Na twojém czole już się nie bieli
 Ozdoba gajów: kwiat Azaharu.
 Tobie ze śmiercią przystał-li ślub?
 Tęskna turkawka już nie zakwili,
 Uroczą Huri skroń jasną chyli,
 Idzie zamieszkać milczący grób!

Zgasły dwie gwiazdy: Huryski oczy,
 Piękna Esbillo! noc cię pomroczy,
 Żałoba wionie od twoich bram!
 Zmilknę ptaszyna w grobowej ciszy
 Już słodkiej pieśni gród nie posłyszysz.

Allaha dzieci!

Rawie, poeci

Niebianskie guzle pokruszyć wam!

Już Grazalema

Martwa i niema,

Wnet grób pochłonie ją!

Dziś nam nie pora potrącać słowy

W guzle z sandału, z konchy perłowej;

Niech drgną boleśniej

Struny do pieśni,

Trącone żalu łąą!

(uniesiony zachwytem).

Cóżto? powietrzne zadrgnęły wiry,
 Płyną topazy, perły, szafiry,
 Z promiennych szlaków woń tajemnicza
 Wybucho tam!

W płaszczu gwiazdzistym spływa tu z góry,
 Trąca powietrze srebrnymi pióry;
 Rozjaśnia przestrzeń słońcem oblicza
 Uryel sam!

Rydwan z topazów wzbił się w niebiosy,
 I uwieńczona perlami rosy,
 Mknie Grazalema, lilia dziewicza
 Do jasných bram!

O! jak uroczą postać jej świeci,
 Potrąćmy w guzle Rawie, poeci,
 Do taktu z szumem Uryela piór,
 Radosne pieśni zadzwońmy w chór!

Milknie muzyka. Abdalla występuje naprzód, nakazuje wszystkim milczenie. Oddala płaczki, daje znak aby ciało Tairy złożono w grób czempredzej. Nad tym grobem nie zabrzmi świę-

te słowo muftego: dla duszy niewiernej zamknięte drzwi Edenu. Tak napisano!

Muhamed ze śmiercią córki, objął znów rządy wszechwładne. Lecz od chwili jej skonu, to jest od wczoraj, zamknął się w głębi królewskich komnat. Pożerany gorączką, płacze, miota klątwy, zrywa się z łoża, wydaje szalone wyroki śmierci. Na jego rozkaz mędrzec Al-faki który podał truciznę, wtrącony w głąb czarnego lochu. Widziano króla na tarasie: oblicze jego straszne, oczy wybiegły na wierzch, w rękę trzyma klepsydrę, przegląda w nią zbląkanym wzrokiem. Lekarze nie znają środka na podobną chorobę. Azrael bije skrzydły nad głową wielkiego Emira.

Kiedy po skończonym obrzędzie, Mexeguary i część pogrzebowego orszaku, otacza w milczeniu grobowiec; nagle pojawia się Muhamed: zstępuje ze schodów białej, siny, w rękę trzyma klepsydrę, wkoło zatacza błędnym wzrokiem, śmieje się na głos. Śmiech jego okropny, konwulsyjny. Na widok króla, wszyscy oniemieli z przestachu.

Abdalla przystępuje wreszcie do Emira:

— Panie! powróć do łoża twego—rzeczę błagalnym głosem.

— Do łoża mego! do męki konania!... oh nie!

I przystąpił do grobu. Zagląda wewnątrz, a potem spoziera wkoło błędnym okiem.

I znów zaśmiał się straszno.

Abdalla chce uprowadzić go z tych miejsc.

— Dajcież mi się zaśmiać — rzeczę król — to ulży trochę sercu. Niechajże tu odetchnę. Jaka tu cisza! jaki spokój, jaka woń, jaka świeżość! Piękna to, miła ustron!

— Panie!— rzeczę Abdalla— pomnij, to ostatni przybytek królów naszych!

— Wy myślicie, że tu śmierć przebywa—zawoła Emir—cha! cha!... śmiech mnie bierze!... śmierć inna obrała siedlisko. Wy to zowiecie grobem?... Tak?... cha! cha! Grób tu?... śmierć tu!..

I ukazał na serce.

— Ależ panie!— rzeczę Abdalla.

— To przybytek żywych!— zawoła Emir z goryczą.— Oh! umarłymi tylko nieszczęśni ojcowie bez córek!

— Panie! miej nadzieję — rzeczę Abdalla podnosząc obie ręce ku niebu.

Muhamed zaśmiał się gorzko, ręką pochwycił się za brodę.

MUHAMED. (z goryczą)

Miej nadzieję!

Była czarną! patrz, dziś biała:

Już mi nigdy nie zczernieje!

W pączek różę zmień uszozknioną!

O nadziejo!... o zwodnico!

Tyś uwił z róż koroną.

Jak twa barwa cudnie pała,
 Kiedy młode wieńczysz skronie;
 Jak uroczy z dna kielicha
 Czarodziejskie siejesz wonie,
 Lecz przemijasz błyskawicą!
 Czemu wdzięk twój nie trwa dłużej?
 Słońce pali, kwiat usycha,
 Każda chwilka strąca listek,
 A myśl jeszcze złudy ściga;
 Az gdy przepadł urok wszystkim,
 Cóż zostanie z pięknych róży?
 Tylko twarda ich łodyga
 Utkwi w skroni starca bladój!
 Czemżeś wtedy o nadziejo?
 Śmiercią, grobem!... pół żywota
 Czyżo gonim twemi ślady,
 A gdy czary twe przebrzmieją,
 Gdy się starga przędza złota,
 Gorzko płaczem za straconą,
 Co bez wieści uleciała!
 W oceanie rzeki toną,
 Tak i człowiek w grób się toczy.

(chwytą się za brodę).

Patrz Abdallo jaka biała,
 Ona nigdy nie zczernieje!
 Miej nadzieję... ba!... nadzieję?
 Wróć lat młodych czar uroczy!
(śmieje się rozpaczliwie).

ABDALLA.

Nie rozdieraj szat Emirze,
 Naszych ojców pomnij czyny:
 Nieodrodne pustyn syny
 Gdy im boleść szarpie łono,
 Myśl w bojowym kąpią wirze,
 Leczą mordem pierś spaloną;
 Nie umierać im z boleści,
 Siec pokosy z trupich ciał:
 Porzuć królu żal niewieści!

MUHAMED *(z uniesieniem).*

Mnież nleczy pomsty szal?
 Takież pomsta cuda czyni?

ABDALLA.

Tys Emirze syn pustyni.

MUHAMED (*pożerając okiem Mexeguaróo*).

Niechże błysnie miecz w prawicy!

ABDALLA.

Wielki Cydzie! przoduj nam!
Twoi wierni karki kłonią...

MUHAMED (*z gorzkim urąganiem*).

Oni moi niewolnicy!
A jam dla nich własną dłonią
Zamordował siebie sam!

Król zaśmiał się znów straszonym śmiechem... patrzy w klepsydrę... z trwogą zagląda w grób Tairy, i znów wlepia wzrok w przesypujący się piasek.

— Chcę być sam!— zawoła grzmiąco— ale słuchajcie: chcę aby wszystkie ulice Sewilli puste były i milczące jak grób... ja sam przebiegnę miasto... niech będzie w niem głucho i ciemno, niechaj boleśń moja przechadza się spokojnie po tym grodzie umarłych. Biada temu kto drzwi uchyli, biada ktoby wyrzał z tarasu. Niech straż ustąpi od bram miasta, niechaj ustąpi z baszt i murów! Wróg czycha... ale widmo króla trzyma czaty nad grodem!

Wszyscy stoją jak skamieniali, z trwogą wlepili oczy w zmienne rysy starca

— Precz ztąd!— zawoła król piorunującym głosem,— precz ztąd!.. ja tak chcę, ja rozkazuję... taka królewska wola moja... wiecie kto jestem!

MUHAMED (*gwałtownie*).

Jam Muhamed z krwawym mieczem!
Jak on mocarz niewzruszony,
Co ssał dzieckiem krew nie mleko,
Ja dziś płaczę gorzką łzą!
Przecz mi losy nie dopuszczą
Skuć na jedną głów miliony.

(*dobywa oręż*).

Onym mieczem, nędzna tłuszczo
Ściąłbym podłą głowę twą!
Paśłbym oczy krwi twój rzeką,
Paśłbym uszy zgrzytem skonu,
U Sewilli siadłbym bram;
I z krwawego śmierci tronu,
W pustym grodzie władłbym sam!

— Precz! zawoła wściekle Muhamed; odtętniały sklepienia grobu. Dostojnicy arabscy z głową na piersi opuszczoną, rozcho-

dzą się milcząco. Król ściga ich wzrokiem pogardy... na czole jego obłąd, na ustach śmiech piekielny.

MUHAMED (z szaloną wściekłością).

(głosem stłumionym i przerywanym).

Jak mu imię?

Neron.. Neron!... król krwi głodny...

Jego ramię tak olbrzymie!

Jego umysł tak swobodny!

Miał on miasto, cudo cudów:

Roma!... Roma! pani świata,

Praw mistrzyni, postrach ludów,

Sztuk skarbnica... tak bogata!

Jednej nocy, dziw nad dziwy:

Upojony krwią do syta,

Widowiska Neron cheiwy,

W dłoń tlejącą głównię chwytą.

Roma gore!.. gród nad grody,

Roma gore!.. drżą narody!

Upowita w dymu słupy

Krwawą łuną swiatu błyska!

Z Romy świątyn... gruzów kupy,

Z Romy cyrków... rumowiska!

Dziesięć nocy trwa biesiada...

Król pobliskie zasiadł wzgórze

Uwieńczony w bluszcz i róże,

W cześć płomieniom rymy składa!

(śmieje się piekielnie).

Ha! ha!... kiedyś nocą czarują,

Gdy ciemności świat ogarną;

Kto wie? może noc ta bliska?

Drzyj Sewillo! cudzie świata!

I tyś sławną sztuk stolicą...

Widzę... wstęgi błyskawicą

Płomień bucha, w górę wzłata,

Coraz wyżej, szerzej, dalej.

I odbłyska w modrej fali.

Gwadalkwiwir wśród płomieni

Purpurowym nurtem ścieka,

Krwia się jeży... krwią się pieni;

Muhameda godna rzeka!

Kiedy król domawia ostatnich słów z wyrazem dzikiej rozkoszy i dumy, staje przed nim Omar. Zrozpaczony Arab postanowił nie przeżyć ukochanej. Ale Taira rzekła mu umierając, że wiara w krzyż zabrania samobójstwa. Chciał on natychmiast stanąć przed Mexuarem wyznać: jako wierzy w Chrystusa. Tysiąc

wieczów spadłoby mu na głowę. Król wymógł przecież na nim, że o dobę całą wstrzyma wykonanie zamiaru. Omar będzie żył, dopóki ostatnie ziarno piasku nie stoczy się na dno klepsydry.

Otoż ubiegła doba. Omar przybiega do Emira... dopomina się o śmierć. Na to przypomnienie Muhamed z szałem porywa za klepsydrę.

— Nie... jeszcze nie!... rzece zaspokojony; jeszcze kilka ziarenek pozostało u góry. Maszli konieczną wolę umrzeć?

— Tak jest! — odrzeczł Omar — z upragnieniem czekam tej chwili. Umierając jako męczennik pójdę do nieba, i tam połączę się z Tairą.

— A gdyby ta wieczność była czczem' urojeniem? — zagadnie Muhamed.

— Nie, to być nie może! ona rzekła: do jutra! Usta konające mówią prawdę!

— Dobrze więc synu — odpowię Muhamed, jeszcze należysz do mnie przez chwil kilka.

I wręcza mu sygnet, rozkazuje przynieść tu niezwłocznie wszystko złoto, wszystkie perły i klejnoty przechowane w skarbcu królewskim.

— O Muhamedziel tyś jój nigdy nie kochał — mówi Omar zdumion obojętnością króla. I oddała się spełnić rozkaz.

Emir pozostał sam, z radością zatoczył wkoło wzrokiem.

MUHAMED.

Sam... sam jestem... wreszcie sam!

Piersz zboliała lżej oddycha...

(Bierze w rękę klepsydrę, wlepią w nią chciwie oczy).

Spadaj piasku... spadaj z cicha:

Prędzój... prędzój...

(słucha pilnie).

Ha! kto tam?

Nie... to złuda... wbrew mej woli,

Któżby zakaz złamać śmiał?

(patrzy w klepsydrę).

Spadaj piasku!... jak powoli

W sercu trwoga, w myśli szat!

Cierpliwości: „gdy ta czarka

Pustą będzie, gdy na dno

Spadną wszystkie piasku ziarka,

Ty odzyskasz twoje dziecię!“

Tak rzekł mędrzec sławny w świecie:

Czemuż boleść miota mną?

Czemu cały mżę z przestraschu?

Spada wolno... ach! tak wolno!

Ty mnie wielki skrzep Allahu!

Dusza wytrwać już nie zdołną.

(przesuwa rękę po czole).

W głowie pożar, w piersi dreszcze,
Co za męka... brak mi tehu!
Tego piasku ileż jeszcze?
Spadaj, spadaj, lecze do dna.

(z trwogą).

On się zmylił Aben-Bul
Ludzka mądrość jakże zwodna!
Precz z tą myślą! on lat tyle
Ssał naukę z ksiąg tysiąca,
Mnieżby zwodził mędrzec ten?..
Jemu znana moc durząca
Ziół, co tępią zmysł na chwilę,
Nie... nie śmierć to, ale sen!
Czuję w piersi skonu męki,
Jeszcze kilka... brak mi sił!

(z uniesieniem).

O Allahu dzięki! dzięki!
Spadł ostatni piasku pył!

(Rzuca klepsydrę, z radością biegnie pod sklepienia grobowca. Tam wydaje krzyk przeraźliwy... i w tejże chwili ukazuje się we drzwiach z obliczem zmienionem, posiniątem).

Córko moja!... biada, biada!
Jaka martwa... trupio-blada;
Jaka zimna, pierś nie drgnie!
Jam twój ojciec, otwórz oczy;
Nie, Bóg tego nie chce... nie!
Jedno słówkoszepnij z cicha:
O Tairu!... nie oddycha;
Mgła śmiertelna wzrok jój ćmi:
Ach! umarła! biada mi!

Po chwili rozpaczliwego milczenia, przychodzi mu na myśl, że powietrze orzeźwi może omdlałą. Uspokaja się... wszak Al-faki zaręczył, że powróci do życia niewątpliwie. Wchodzi znów do grobu, wynosi zeń ciało Tairy ubrane w bieli. Czoło jój zwieńczone w kwiat azaharu. Na pierś jój spada krzyż przytwierdzony do złotego łańcucha.

Ojciec niesie ją w objęciach, zstępuje zwolna ze schodów, łązwe oczy podnosi w niebo:

Wietrze nocny powiej chłodem,
Po tem czole powiej młodem;
Trąc pierścienie kruczych włosów,
Czysta roso spłyn z niebiosów,
Jój bledziuchne orzeźw lica,
Po promieniu spłyn księżycą;

Nim ją śmierci ptak obrzydły
 Szerokiemi przyćmi skrzydły,
 Nim pierś struty spali jad.
 Patrz jak blada, tehu w niej niema,
 Twoja siostra Grazałema:
 Roso! ochłódź zwiędły kwiat!

(Siada na stopniach, trzymając w objęciu Tairę, patrzy w nią rozpaczliwie).

Przez twą matkę, co w Edenie
 Odpozywa błogim snem,
 Na głos ojca rozmruż oczy;
 Jedno serca twego drgnienie
 Zbudzi rozkosz w sercu mém!
 Ona zimna, skrzepła cała,
 Śmierć brzemieniem pierś jej tłoczy;
 Cała martwa, skamieniała
 Ból mi w kęsy szarpie duszę,
 Tchnieniem piersi lód ten skruszę,
 Pod uściskiem mym rozplonie
 Żar zagasły w martwém łonie.

(Ścisła ją w objęciach, podnosi martwą jej głowę i opuszcza napowrót).

Jam ją zabił... nie... jam w błędzie,
 Moje zmysły mąci szal;

(podnosi z kolei obie jej ręce: które opadają bezładnie).

Ona żyje, tak..., żyć będzie;
 Czyżby Azrael tknął ją śmiały?

Chce stawić ją na nogach; Taira osuwa się na ziemię, Muhamed odbiega od niej, z przeraźliwym okrzykiem grozy.

— Ha, umarła! — zawoła obłąkany. — Niewolnicy! do mnie..., biada wam!... Przywiązać niegodziwca Aben-Bu, do czterech rozbukanych biegunów, niech rozszarpia ciało na sztuki.

I zaciska czoło z rozpaczą.

Próżno wołam: nie posłyszają mnie nawet..., sam jestem..., odeszli na mój rozkaz... Co za głos..., jakże straszny..., szepoże mi: dzieciobójca! dzieciobójca!

Upada na kolana u stóp Tairy: ona ciągle zimna i martwa.

— Ach! ocal ją Allahu! zawoła w najwyższej rozpacz. I zaśmiał się..., i z ust wyrzucił straszną klątwę... Allah jej nie ocali... on nie może!

— Ty ją ocal Boże Tairy! — zawoła nakoniec chwytając jak rozbitek zbawczą deskę.

I w téjże chwili Taira z lekka porusza ręką, z piersi jej słabe wybiega westchnienie.

Muhamed odchodzi niemal od zmysłów.

— To złuda zbolałego mózgu — zawoła — Nie!..., nie!..., ręka poruszyła się znowu..., serce bije słabiuchno..., ale bije!

Dziewica otwiera wreszcie oczy.

— Chryste!—wyszeplnie z cicha.

Przerażona widokiem grobu tuli głowę do piersi ojca. Muhamed ścisną ją w objęciu, ręce jej ogrzewa tchnieniem własnym. Taira zrozumiała co zaszło.

Czoło starca promienieje radością.

— Ojcie mój,—rzecze słodko Taira—to czyste szczęście, jakie dziś znów naszym udziałem, Ten tylko dać je może: chwala Mu na wysokościach.

I podjęła z piersi krzyż i przycisnęła do ust.

— Milcz! milcz! —szeplnie Muhamed — jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło.

Omar przynosi złoto i klejnoty z królewskiego skarbcu, spozstrzega Tairę..., nie wierzy własnym oczom.

Po pierwszych uniesieniach radości, czas myśleć o ucieczce: ona tu pozostać nie może! Na rzece czeka łódź, dwa bieguny stoją za bramą..., ulice puste..., na basztach Alkazaru nie czuwa zbrojny Arab.

— Ubiegaj z nią synu!—rzecze Muhamed głęboko poruszony,—zabierz te skarby..., życie szczęśliwi w Burgos.

Święty obowiązek zatrzymuje Omara. Gdy wracał ze skarbcu królewskiego, widział w salach pałacu wielką moc chrześcijańskich niewolników. Wkoło nich stali żołnierze uzbrojeni w włócznie i topory; znać gotowi do mordu. Wolnoż mu nowemu chrześcianinowi, opuszczać braci w chwili męczeństwa? Taira uniesiona zapalem religijnym pochwała myśl Omara.

— Tak jest!—zawoła—zostać tu powinnością naszą, z nimi razem wytoczmy krew za wiarę!

Zatrwożony Muhamed przyrzeka córce ocalenie chrześcian. On znów królem, wola jego samowładną; ale gdyby wydał się podstęp, utraciłby koronę za pogwałcenie praw Mexuaru: Taira i Omar zginęliby oboje nie ocaliwszy drugich!

— Ażaliż ta wiara słodczy i miłosierdzia, którą wysławiają twe usta —mówi Emir —nie nakazuje poświęcenia dla nie-szczęśliwych współwyznawców?

Omar zgadza się z wolą króla, Taira nie może znieść myśli rozstania się z drogim ojcem.

TAIRA (*blagalnie*).

Grazalemie twojej trzeba,
Jak przeczystej rosy z nieba,
Słyszeć słodkie twoje słowo;
Tobie, ojcie służyć wiernie,
Czesać siwe twoje włosy,
W kwiat przemieniać twoje ciernie,
I całować stóp twych ślady;
A jeżeli z woli nieba
W skrzydła śmierci, nad twą głową
Zaszeleści anioł błady:

Niech ja zamknę twe powieki,
 Niech wypłaczę na twym grobie
 Żal sierocy i przy tobie
 Spocznę cichym snem na wieki.

Lecz Taira zostać nie może: gdy lud ją zobaczy, gdy się dowiędze że Muhamed oszukał go, że złamał prawo Mexuaru, targnie się na życie królewskie. Od ucieczki Tairy zależy więc życie ojca, Omara i chrześcijańskich jeńców. Ojciec przyrzeka jej, że skoro tylko ocali chrześcijan od śmierci pośpieszy natychmiast do niej.. złączy się z nią na chrześcijańskiej ziemi w Burgos. Omar ma na łodzi gołąbkę Grazałemy; biała Keryma zna drogę do jej okna. Skoro staną na miejscu bezpiecznym, wypuści ją natychmiast aby widok jej zapewnił ojca, że córka ocaloną.

Muhamed wyprawia co żywo Tairę i Omara, błogosławi oboje.

— Ojczy mój! — rzecze z cicha Taira zalana łzami, — kiedy smutek uciśnie serce twoje, nie będziesz miał przy boku córki, która by je ukołła słodkim słowem; kiedy zgryzota przyciśnie kamieniem pierś twoją, nie będzie tój, której pieśczota spędziłaby chmury z czoła twego i przyniosła ulgę. Za córkę weź sobie w zamian ojca! oto ojciec zboliałych i nieszczęśliwych.

I wsunęła mu w rękę krucyfiks.

Po rzewnym uścisku i pożegnaniu, Omar spiesznie uprowadza Tairę. Muhamed zostaje sam. Stoi jak wryty w ziemię. Obie ręce podniósł ku niebu: oczyma ściga odchodzących. Znikli..., głowa starca opadła na piersi, z ust wybiegło stłumione łkanie. Czuje że chwile jego policzone, że godzina śmierci już bliska.

Abdalla przychodzi po rozkaz: lud gwałtownie domaga się zemsty nad chrześcijańskimi jeńcami.

Widok Abdalli budzi dawną energię w przygnębionj duszy Emira.

— Trzoda moja głodna ich krwi! — zawoła z gniewem, — kiedym rozdarł moją pierś własną, drogo kupiłem prawo zasiadania na tronie. Teraz dzierżę władzę jak niegdyś, panuję sam! Jeżeli mój lud chce korony, niech przeboleje to co ja przeboleiałem!... Powracam jeńcom wolność!

Abdalla cofa się przerażony. Nie może pojąć łaskawości Emira względem tych *psów niewiernych*.

— Życie moje kończy się — rzecze Emir — gdy zaświta brzask dzienny, wolnym będziesz od posłuszeństwa. Ja żyłem tylko Tairą, patrzałem jej oczyma, oddychałem jej tchnieniem: wyście mi ją zabrali. Bez światła mego jestem ślepy! bez mego powietrza brak mi tchu!

— Przebac Cydziel — zawoła Abdalla. — Oto mnie masz! uczyn zemną co chcesz. Zemsta ulży twojej wśoiękości; ale pociesz się... upamiętaj..., alboz nie jesteś królem?

— Tak, królem jestem.

— Wszak dopełniłeś prawa?

— Uszanowałem je z uległością.

— A więc Emirze, podnieś w górę czoło; tyś spełnił twoją świętą powinność!

— Powinność!—zawołał król i zaśmiał się gorzko, i pochwycił Abdallę za ramię.

MUHAMED.

Patrz... królewska ta korona,
Drogi klejnot, cenion w świecie,
Co tak twardo skrocił mi gniece,
Patrz Abdallo... czemuż ona?
Ona kłamstwem!... złudy chwilką!
A te prawa niewzruszone,
Zwane wiecznym państw cementem,
Których młotem wy! morderce
Rozbiliście moje serce:
Straszne prawa! czemuż one?
Ach! Abdallo... kłamstwem tylko!
Holdy ludów..., kłamstw odmętem!
Kłamstwem władza! kłamstwem siła!
A co prawdą?... czy mogiła?;
Jam krwawemi zlał ją łzami!

(pokazuje ręką grób, śmiejąc się szyderczo).

Ona także oczy mami,
Ona kłamstwem! Oblakany
Kto na ziemi prawdy szuka!
Kłamstwem mędrce! kłamstwem sztuka!
Tak Abdallo!..., złud tumany
Tym nikomym rządzą światem,
Obłęd zmysły ęmi człowiecze,
Polot ducha więzi ciało;
Kto chce poznać prawdę całą,
Niechaj z ziemi w grób uciecze!

W tej chwili po nad głową królewską przelatuje biała gołąbka: to znak że Taira bezpieczną. Muhamed w najwyższej radości goni ją wzrokiem. Oblicze jego przemienia się nagle; ton mowy dotąd szyderczy przybiera wyraz gorącego zapału i religijnego namaszczenia.

MUHAMED.

Chcesz-li poznać te odblaski
Nowej zorzy, co przemienia
Życie, cudem Bożej łaski,
Którą nieba znać zesłały
Gdy z uśmiechem w skonu chwili
Rzekła: jutro do widzenia!
Gołąbeczko mojej białej.

Ach! taż prawda nie omylił
 Ona jedna mi nie skłamię;
 Gdy rozpostrze moone ramię,
 Wzręby kłamstwa w proch się wałą,
 Ona tuman z ocz nam zmiata.
 Chcesz ją poznać?... Patrz Abdallo!
 Oto cała mądrość świata!

Ukazuje krzyż, upada na kolana, oczy z wiarą podnosi w niebo. Abdalla stoi osłupiały z głową na piersi pochyloną; obie ręce wyciąga do Emira.

Dramat *Grazalema* jest historycznym. Obyczaje Arabów hiszpańskich oddane w nim z całą wiernością. Pamiętajmy że duch rycerskiej Kastylii oddziaływał silnie na zwycięzców a tém samém złagodził w nich surowe prawa Mahometa. Królowie Korduby, Sewilli i Granady przyjęli w wielu względach obyczaje zachodnich społeczeństw. Upodobanie w sztukach pięknych sprawiło, że przekraczali częstokroć przepisy Koranu: na ich dworach brzmiała kapela, ściany ich alkazarów zdobiły wizerunki ludzi i zwierząt, jak to widzimy dotąd w pałacu Alhambry i Generalifu. Kobiety nawet arabskie używały w Hiszpanii przywilejów zakazanych prawem w Damaszku i Bagdadzie. Egilas usprawiedliwiając się z czynnej roli jaką odgrywa jego królowa Argarbii Senza, przypomina królowę Sobehią, wysoko poważaną w rycerskiej Kordubie.

Sam przedmiot dramatu zaczerpnięty żywcem z tradycji. Emir Muhamed jest postacią historyczną, równie jak i córka jego Taira. „Król ten dziki i krwawy—mówi autor— który przechowywał skarby swoje w czaszkach wrogów pomordowanych własną ręką; ten tygrys ułaskawiony przez gołąbkę, umarł z boleści nazajutrz po skonie ukochanej córki Tairy. Inne znów podanie mówi o chrześciance *Grazalemie*, córce króla Sewilli, którą ojciec przedstawił ludowi jako umarłą, aby uchronić ją od śmierci męczeńskiej.

Te dwie tradycje połączył Eguilas i ułożył z nich swój historyczny dramat.

Dymissya biskupa Orleanu, jako członka akademii poruszyła silnie umysły. Sprawa została odroczoną, kiedy na posiedzeniu akademickim, dyrektor Legouvé odczytał list biskupa, ułożone grodo na mocy wotowania przeszło do porządku dziennego.

W skutek tej dymissy, nastąpiła polemika dziennikarska. Niektóre z pism utrzymywały, że odkąd akademii akademią, nie było podobnego wypadku; inne znów wygrzebały z przeszłości kilka ciekawych zdarzeń.

Wprawdzie żaden akademik w ciągu lat blisko trzechset, nie zrzekł się dobrowolnie raz otrzymanego zaszczytu, ale za to akademii nie jedno imię wymazała z listy swych członków.

Przytaczamy tu wyciąg z pamiętnika, tyczący się akademii francuskiej.

W pięćdziesiąt lat po założeniu tej naukowej instytucji, przez kardynała Richelieu, wymazany został akademik Furetière, za to że śmiał pracować na własną rękę nad wielkim Dykcyonarem, współzawodnicząc z akademią, która z obowiązku układała podobny słownik. Furetière obrany w roku 1662, po dwódziesięciu trzech latach, otrzymał dymisję. Umarł w trzy lata potem. Dotknięty do żywego mścił się jak mógł pisząc złośliwe satyry i epigramata, na dawnych współkolegów. Wydał on wtedy, część znakomitej pracy lingwistycznej p. t. *Essai d'un Dictionnaire universel*. Całość wyszła później w Rotterdamie. Fotel akademicki wakował jednak do śmierci uczonego: akademія nie śmiała nim rozporządzić. Otrzymał go potem Lachapelle. W mowie przy zajęciu miejsca, ubolewał gorąco, iż mu nie było dozwolono uczcić zasług wielkiego poprzednika: akademія zabroniła tego w stanowczy sposób.

Olbrzymie prace pojedynczych ludzi, napotykają zwykle zawisłe lub przynajmniej niedowiarstwo. Los akademika Furetiera przypomina żywo los naszego znakomitego słownikarza Lindego, którego mozolna praca, w pojęciu kilku krytyków przechodząca ludzkie siły, przypisywaną była innym, i ściągnęła jeśli nie prześladowanie na osobę uczonego męża, to przynajmniej zarzut ubliżający czcigodnej jego pamięci. Gdyby niesłuszny zarzut, nie upadł już sam z siebie, Furetière byłby nowem świadectwem, do jak cudownych prawie rezultatów doprowadzić może wytrwała praca człowieka oddanego wyłącznie jednemu przedmiotowi. Dykcyonarz Furetiera wydany później jak *Dictionnaire Treccoux*, jest dla Francji drogocennym pomnikiem językowym. Na podobne dzieło, wyczerpujące do gruntu przedmiot, nie zdobyło się dotąd żadne zbiorowe ciało naukowe.

Prześladowanie akademii nie odebrało zasługi Furetierowi, jak pociski zawistnych krytyków, nie przyćmiły zasług Lindego: dowodem zeszlóroczna manifestacya.

Drugim wyrugowanym z koła akademickiego był St. Pierre: wypadek ten dziwnie charakteryzuje epokę. Było to w roku 1718, Ludwik XIV umarł przed trzema laty, ale widmo króla, który podniósł monarchię do najwyższej apoteozy, panowało jeszcze w pałacu Mazaryniego. Jutrzenka nowych pojęć świeciła już w niektórych umysłach, akademія przeciw dla której konserwatyzm był prawem jak niem do dziś dnia pozostał, nie chciała widzieć tego słabo świejącego światła. Wgromie akademików zasiadał wówczas od lat z górą dwudziestu, urozony mąż, pisarz miernych zdolności ale wielki filantrop, apostoł wiecznego pokoju, książę de St. Pierre. Surowo on sądził dumę Ludwika XIV, potępiał żądę podbojów tego króla, opłakiwał gorzko szereg świetnych wojen, które jak mówił wyczerpywały Francję z ludzi i pieniędzy, obciążały kraj podatkami, słowem naprowadziły klęsk tysiące;

postępowy akademik wypowiadał bez ogródki teorye swoje w różnych pismach, mianowicie w *Annalach politycznych*.

Akademia nie mogła ścierpieć takiego towarzystwa. Kardynał Polignac zaskarżył na posiedzeniu księdza St. Pierre, okazał jego dzieła, pozakreślane w ustępach najdrażliwszych. Na próżno obwiniony chciał wystąpić z własną obroną: nie dano mu głosu. Przyszło do wotowania; z pomiędzy dwudziestu czterech obecnych akademików, dwudziestu objawiło się za wydaleniem winowajcy; czterech tylko protestowało przeciw temu. Historia zapisała ich imiona. Byli nimi: Fontenelle, Fleury, Lamothe, i Sacy. Wotowano powtórnie. Trzech członków uległo pod naciskiem większości; jeden tylko trwał silnie w oporze. Akademicy oburzeni takim odstępstwem, wyrzucali je gorzko Sacemu. Wówczas to Fontenelle wystąpił z całą godnością wbrew wszystkim, i wyrzekł gorące słowa w obronie potępionego. Tym szlachetnym oporem ocalił od hańby akademię. Czyn niegodny spełniony został, ale pozostała niemniej dla przyszłości, protestacya zapisana w Rocznikach akademickich.

Głos Fontenella nie przebrzmiał bez oddźwięku. Opinia powszechna objawiła się za nim. Ulegając jój Rejent państwa księża Orleanu, żądał od akademii, aby nie rozporządzała osamotnioném krzesłem; jakoż krzesło księdza St. Pierre wakowało przez lat dwadzieścia pięć.

Otrzymał je uczony Manpertuis, w r. 1743 gdy St. Pierre umarł dziewięćdziesięcioletnim blisko starcem.

Ćwierć wieku nie złagodziło rozjątrzonych umysłów. Mau-pertuis zajął w milczeniu miejsce potępionego poprzednika. Akademia nie pozwoliła wspomnieć o jego pracach.

Dług winny pamięci St. Piérre, spłacił dopiero d'Alembert w r. 1775. Duch encyklopedyzmu oddziałł nawet na akademię Francuską.

W latach 1815 i 1816, po dwukrotnym powrocie Burbonów, Vaublanc minister oświecenia zajął się z całą gorliwością oczyszczeniem tak akademii jak i wszystkich wydziałów Instytutu, z naleciałości nagromadzonych tam w czasach cesarstwa. Akademia ulegając sile, wymazała wtedy z listy członków imiona które zapisała, ulegając innej sile przed kilku laty. Odebrano wtedy krzesła Lucyanowi Bonapartemu, Cambarceresowi, W. kanclerzowi Państwa księciu Bassano, hr. Rajgnault dr. St. Jean d'Angely; a co ważniejsza odebrano je mężom wielkiej nauki, jak: Garat, Roederer, Etienne, Sieyes, Maury i Arnault.

Z tych Etienne i Arnault przyjęci zostali powtórnie w roku 1829. Ostatni z nich został nawet stałym sekretarzem akademii.

W ciągu tylu przewrotów, od których akademia Francuzka nie mogła się uchronić, żaden z jój członków nie zrzekł się nigdy otrzymanej godności; nie zrzekli jój się nawet kardynałowie i praelaci, zmuszeni zasiadać z Wolterem. List biskupa Orleanu jest pierwszą w tym rodzaju manifestacyą.

W instytucie jednak zaszedł już podobny wypadek. Jedy-ny w pasmie trzech wieków członek naukowego ciała zażądał dy-misyi. Był nim Napoleon 1-szy.

Generał Bonaparte po świetnym powrocie z Włoch, i pokoju podpisanym w Campo Formio, wezwany był na członka akademii nauk, w sekyi mechanicznej; wybór jego nastąpił 5 Nivoza r. VI, (26 grudnia 1796). W dniu przyjęcia, zgromadzenie mianowało go członkiem komisyi naukowej. Imię jego zapisano obok Monge'a.

Zwycięzca chlubił się tym wyborem. Wszystkie depesze z Egiptu podpisywał: „Członek Instytutu nauk naczelny wódz ar-mii.”

Podczas konsulatu Bonaparte nie opuszczał żadnego posie-dzenia; zajmował zwykle ofiarowany mu fotel prezydencki.

Kiedy Napoleon został cesarzem, przestał bywać na zebra-niach Instytutu. Imię jego otwierało przecież listę członków, w rocznikach drukowanych pomiędzy rokiem 1805 a 1815. Dla współkolegów swoich okazywał się zawsze bardzo względny; cieszyły go nad wyraz petycye zaczynające się od słów: Najjaśniej-szy Panie, a prześwietny kolego, (*Sire et illustre Colegue*).

Po powrocie dopiero z Elby, na krótki czas przed Warterloo, w dniu 10 kwietnia 1815, cesarz zażądał aby miejsce jego ogłoszo-ném zostało jako wakujące i oddane komu innemu. Otrzymał je matematyk Molard.

Cesarz nie bywał na zebraniach, gdyż jak mawiał, uczeni lubią bawić się gadaniną, a nie przychodzą do konkluzyi. Zajmo-wały go jednak żywo sprawy traktowane w kole naukowym, przyjmował też chętnie odwiedziny uczonych kolegów.

Dnia jednego sławny Cuvier przyszedł prosto z sesyi do Tuilleries.

— Panie Cuvier, spytał Napoleon, cożeście dziś radzili w aka-demii nauk?

— Najaśniejszy Panie — odparł uczony — zajmowaliśmy się cukrem z buraków.

— Ha! więc akademia sądzi że gleba francuzka odpowiada uprawie buraków? — spytał cesarz.

Cuvier zamiast odpowiedzieć wprost na pytanie, wdał się w uczoną dySSERTACYĄ geologiczną, w szczegółowy rozbiór gleby; przeszedł potem do historii naturalnej buraka. Napoleon wcale nie słuchał.

— Dość już tego, dość panie Cuvier — rzekł z rostargnie-niem, — ale przejdźmy do rzeczy. Więc akademia myśli że gleba francuzka właściwa do uprawy buraków?

Cuvier ciągnął dalej przerwanaą thezę; doprowadził ją wresz-cie do końca.

Gdy odchodził, Napoleon rzekł przy pożegnaniu:

— Jak zobaczę Bertholeta, zapytam go czy gleba francuzka odpowiednia burakom.

Niewiadomo o ile sławny chemik zadowolili cesarza, wątpimy jednak aby i on doszedł prosto do konkluzji: zastosowanie praktyczne nie bywa udziałem uczonych teoretyków.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

O prawie niemieckiem w Polsce i na Litwie, przez Władimirskię—Budanowa. Rozbiór Ad. Pawińskiego.

Pan Budanow wydał dzieło w języku rossyjskim w roku 1868 w Petersburgu pod tytułem: „*Prawo niemieckie w Polsce i na Litwie;*” p. Pawiński ówczesny docent Uniwersytetu Warszawskiego przebrał w tymże języku pracę autora w oddzielnej broszurze, za którą otrzymał medal złoty Uwarowa.

Rzecz o prawie niemieckiem w Polsce i Litwie stanowi dla nas przedmiot interesu naukowego; dlatego przystępujemy do zdania sprawy z recenzji p. Pawińskiego. Rozpoczyna on ją takim ogólnym poglądem:

„Jakkolwiek bogatą jest literatura polska w badania historyczne i monografie, dające obraz politycznego ustroju państwa Polskiego, nie jest jednak wolną od jednostronności. Jednostronność podobna spotyka się zresztą i w innych literaturach w kierunku pewnych przedmiotów, opracowywanych z wyjątkowem zamiłowaniem, a więc z wielką drobiazgowością i systematycznością. Zwykle potomność mimowoli z namiętnością rozpatruje świetne czyny swych przodków, odwracając oczy od strony ciemnej minionych objawów i zostawiając w cieniu to, co boleśnie przypomina błędy ubiegłej chwili. Życie zawsze i wszędzie pociąga ku sobie nieprzepartą siłą. Żywiół przegmagający w ustroju państwowym zostawia i w literaturze ślady swego wpływu i wyciska na nię swe piętno. Tak w rzymskiej historiografii pochłania uwagę historya samego Rzymu, czyli panującego w nim stanu; wpływowi temu uległ i cudzoziemski Polibiusz. W początkach XVII wieku, od chwili rozbudzenia się historyograficznej działalności, kwitnący stan miast włoskich wyrodził bogatą literaturę. Chępliwość narodowa odgrywa bez wątpienia ważną rolę i nadaje silny popęd objawowi wspomnianej dopiero jednostronności, od której

nie pozostała wolną i polska literatura. Na obrazie historyograficznej jej działalności odbijają się wydatnie wypukłości politycznego jej życia, biografie pojedynczych jaśniejszych osobistości, opisy rycerskich czynów i szczegółowy wykład tych form i urządzeń, w których się uwydatniło wyłącznie życie polityczne przeważnego stanu. Dla miast polskich dostał się udział bardzo mały, dlaczego w literaturze zajęły one bardzo skromne miejsce.

Badacz pragnący wkroczyć na nieuprawną jeszcze niwę, dla zapelnienia dającego się uczuć braku, jak dawniej tak i dzisiaj napotyka trudność do niepokonania. Wskażemy tu jedną z przyczyn, która zadławia każdą inicjatywę w samym jej zarodzie... a tą jest brak materiału drukowanego, w którym leżą warunki rozwoju działalności historyograficznej. Takich zbiorów, jakie co do miast Genui i korporacji piemonckich wydała Akademia w Turynie, takich aktów sądowych co do miast niemieckich całych prowincyj i kodeksów miast pojedynczych, jak np. Sztencla dyplomatarjusza dotyczący miast szląskich, w literaturze polskiej nie mamy, z wyjątkiem małoważnych kodeksów ziemi płockiej Gawareckiego, Towarzystwa Wileńskiego (1843 r. w 2 tomach) i Wutke'go prowincji poznańskiej; które posługują raczej do tego, aby jaśniej wykazać, jak mało dotąd zrobiono i co jeszcze do zrobienia zostaje. Dla tego przyczyny i badania w przedmiocie znaczenia miast w Polsce w skutek braku i ubóstwa materiałów nie przedstawiają żadnej całości, żadnego ogólnego przeglądu, któreby postawiły w związku byt i ustrój miast z resztą życia politycznego. W „Zbiorze praw dokumentów i uwag” przedstawionym w roku 1789 przez pełnomocników stanu miejskiego, dopiero znajdujemy pierwszą próbę wykładu w zarysach ogólnych, praw i przywilejów, jakich z dawnych czasów używały miasta. Pełnomocnicy ci, którzy czynili zabiegi w deputacji o rozwiązanie na korzyść stanu mieszczańskiego, kwestyi dotkniętej wówczas na sejmie, zebrali skrętnie dowody dla wyjednania miastom stanowiska politycznego i wskrzeszenia zburzonej samodzielności. Ale memoriał ów, jest raczej suchym spisem praw różnych, jakich używał stan mieszczański, nie zaś wykładem historycznym. *Uwagi* o upadku miast i przemysłu w Polsce Surowieckiego, obracają się w kole lubo trafnych, ale ogólnych myśli; zbiorowa praca Balińskiego i Lipińskiego ułożona w rodzaju słownika geograficznego obejmuje bogate źródło wiadomości geograficznych, statycznych, meteorologicznych, ale pod względem strony politycznej ogranicza się na nieznaczących wskazówkach. Mecherzyński w swem dziele *O Magistratach w dawniej Polsce*, pozbawionóm krytyki, nie wychodzi z granic Krakowa, a zresztą treść uboga nie odpowiada przestronnemu tytułowi; nakoniec monografie pojedynczych miast zamykają się tylko w opisie ważniejszych miejscowości, tak dalece, że z wyliczeniem prac Zubrzyckiego, Barącza, Łukaszewicza (nie Łukaszewskiego jak jest w oryginale), Gawareckiego, Gołębiewskiego, Sobieszczańskiego, Kraszewskiego, Jabczyńskiego, Wutke'go, wyliczyliśmy już wszystkie pomoce, z jakich korzystać może historyk zamierzający pisać o miastach w Polsce, ich urządzeniu,

stosunkach i stanowisku, jakie zajęły w organizmie państwowym (1). Literatura niemiecka nie spuszczająca z uwagi owych żywiołów narodowych naleciałych w cudze kraje, zwróciła swe usiłowania do rozpowszechnienia pierwiastku giermańskiego w krainach słowiańskich, a głównie do jednego skomplikowanego przedmiotu, t. j. usadowienia się ustroju społecznego giermańskiego wpośród staro-słowiańskiego świata. Do takich prac należą badania Reppla a w części i pobieżne uwagi w historii Polski, którą dalej uprawia profesor Karo. Literatura rosyjska nie wychodziła na pole mało obrabione przez tych uczonych, które ich bardziej niż innych interessować było powinno" (2).

W takim położeniu, pisze recenzent, znalazł się i p. Budanow, wydając dzieło p. t. „Prawo niemieckie w Polsce i na Litwie.” Jestto pierwsza i jedyna praca wiążąca w całość części przygotowane historycznie i wyprowadzająca z nieznanych dotąd źródeł nowe wnioski, które o wiele naprzód posuwają kwestyę miast tak w sobie skomplikowaną i otwierają szeroką drogę do badań przyszłych, pod względem rozmaitych części prawa państwowego w dawniej Polsce. Oplakany stan dzisiejszych miast w południowo-zachodnim kraju pobudził p. Budanowa do śledzenia istotnych tego przyczyn. Jeżeli dotąd dawną pomyślność miast przypisywano ich samorządowi i swobodzie ustroju, to podług p. Budanowa upadek ich dzisiejszy ma swoje źródło w ustroju municypalnym na podstawie prawa Magdeburgskiego. Po zaprowadzeniu w końcu XII wieku, Prawa niemieckiego, stosunki na niem oparte dla różnych przyczyn tak się szybko rozwinęły, że już w XIV stuleciu spotykamy szereg nie tylko miast, ale i wsi, które się na wzór niemiecki urządzały. Postęp ten wzrósł jeszcze bardziej w wieku XV. Tymczasem p. Budanow zamierzył wyjaśnić jedną tylko stronę tego wpływu, to jest wykazać, o ile prawo niemieckie wpłynęło na tak zwane prawo państwowe i ustrój społeczny Polski i Litwy. Jeżeli zaś choć w takim zakresie autor dzieła zamierzył wykazać rezultaty wynikłe z zaprowadzenia w Polsce prawa niemieckiego, należało było koniecznie chociaż w krótkości wskazać przyczyny towarzyszące temu historycznemu objawowi, i w tém p. Pawiński widzi pierwszy brak naukowy w dziele przez siebie rozbiieraném, choć nie przypuszcza, aby panu Budanow nie było wiadomém, jakiego znaczenia używało duchowieństwo polskie od XI stulecia, a nawet na dwa wieki przed wprowadzeniem prawa niemieckiego, duchowieństwo po większej części pochodzenia giermańskiego; jak blizkie stosunki wiązały kraj z Czechami ulegającymi mianowicie w wieku XI pojęciom i urządzeniom niemieckim, jak silném było parcie giermańskich szczepów w wieku XII z Zachodu ku Wschodowi w epoce ostatecznego ujarzmie-

(1) Grabowski, Sierpiński, Parczewski.

(2) Dzieło prof. Daniłowicza: Pogląd historyczny na urządzenie miast dawnych słowiańskich a głównie polskich do XIII wieku

W tém miejscu dodać należy i nową pracę Antonowicza „Miasta południowo-zachodnie Rosyi” oraz „Część V archiwum południowo-zachodniej Rosyi,” wydawanego w Kijowie.

nia Słowian nadelbańskich i braniborskich, w jakich wreszcie warunkach ekonomicznych rozsiedlali się niemieccy koloniści na opuszczonych ziemiach polskich, oraz jaka siła w tym kierunku szła z pobratymczego Szlązka niemczonego w owym czasie.

Owocem wprowadzenia prawa niemieckiego było podług pana Budanowa to, że władza książęca w Polsce (a za nią i na Litwie) osłabła przez pozbawienie jej po większej części praw finansowych i poczerpnięcie z prawa prywatnego, poglądu na znaczenie władzy sądowej i administracyjnej; że zmieniło w zupełności byt i prawa osobiste oraz majątkowe obywateli wiejskich i nakoniec, że wyrodziło nowe pojęcia o mieście i stanie mieszczańskim.

P. Pawiński w tém miejscu czyni panu Budanow zarzut, że czerpiąc głównie z dyplomaturyusza Szlązkiego Sztencła, za daleko nieraz zachodził, zapominając że Szlązak wyprzedził Polskę w swém niemczeniu się, że w nim pierwiastki niemieckie przyjęły się głębiej i wszechstronniej i wytworzyły stosunki, nieznane w księstwach czysto polskich; że dalej przytacza pomiędzy źródłami pomocniczemi Codex diplomaticus Majoris Poloniae Raczyńskiego i Warszawski trzech-tomowy Codex diplomaticus Poloniae; tymczasem pokazuje się, że nie mając pod ręką Raczyńskiego, p. Budanow nie skorzystał z jego dyplomaturyusza co do ustaw odnoszących się do Wielkopolski, i dlatego ograniczył się tylko do ustaw objętych w tomie 3 dyplomaturyusza Warszawskiego, a więc podług akt i dokumentów dotyczących wyłącznie Małopolski czynił ogólne wywody co do Wielkopolski i Mazowsza. To są dalsze niedokładności pracy p. Budanowa, które wskazując p. Pawiński, wylicza dodatkowe źródła do prawa niemieckiego w Polsce i Litwie, a mianowicie:

Kodeks dyplomatyczny księstwa Mazowieckiego. Warszawa rok 1863 (ks. Lubomirski).

Przywileje, nadania i swobody udzielone miastom województwa płockiego (1828 r. Gawarecki).

Städtebuch des Landes Posen von Heinrich Wuttke, Lipsk, rok 1854.

Dokumenta i akta dotyczące historii miast gub. Kaliskiej (1869. Dziennik Gubernialny Kaliski).

Starodawne pomniki prawa polskiego przez Z. Helcla.

Pomocnicze prace:

O Sołtysach w polsce L. Ł. (Biblioteka Warszawska 1843 r.).

Rolnicza ludność w Polsce (1857. ks. Lubomirski).

O szlachcie polskiej Szajnochy, 1861 r.

W peryodycznym piśmie *Znicz*, artykuły Marońskiego (1843).
O sołtysach w polsce i kilka monografij miast polskich, oprócz pominiętych przez autora, jako to: Wschowy, Kobyлина, Bydgoszczy, Dulaska, Sandomierza i t. d.

Na tych źródłach opierając się p. P. modyfikuje zdanie p. Budanowa, co do zmian, jakie powstały u nas wskutek zaprowadzenia prawa niemieckiego i uprzedza, że zarzuty czynione nie odnoszą się do rzeczywistych granic prawa książęcego (jus ducale), ani źródeł do-

chodu, ale dodaje, że w końcu XII wieku przy wprowadzeniu prawa niemieckiego, wiele tu mogło być nadużycia, które musiało ustąpić przy powrocie regularnego stanu rzeczy. P. Budanow przytacza, że prawo niemieckie dwojakim sposobem zmniejszyło finansowe źródło Polski: bezpośrednio przez uwolnienie wielkiej liczby duchownych i świeckich własności od podatków i innych powinności, i pośrednio przez liczne wyłączenia od służby wojskowej, co zmuszało książąt i królów zwiększać swe drużyny na koszt własny. Przedmiot jednak tak ważny w skutkach, powstałych z powiększenia się ludności miejskiej przez uposażenie jej prawem niemieckim, nietylko w dzielnicach królewskich ale i duchownych oraz właścicieli prywatnych, p. Budanow obszedł mimochodem. Pan Pawiński jest zdania, że jeżeli dochody książęce zmalały od uposażenia prawem niemieckim własności prywatnych, to korzyści i straty zarówno ważyły się między sobą, bo zwalnianie od opłaty czynszowej, wynagradzało się dochodami zwiększanemi we własnościach prywatnych przez pomnażanie się ludności wiejskiej; należało więc było obie te strony wyjaśnić i wykazać wzajemne ich oddziaływanie.

W szczegółowym rozbiórze istoty prawa książęcego p. Pawiński nie zgadza się z autorem, aby w zwalnianiu od regaliów, książęta byli tak chojnemi, lub aby w zwalnianiu od podwód, książęta szlęczy więcej od polskich okazywali rezygnacyi; ogólnie zaś konkluduje recenzent, że wszelkie zwalniania udzielano albo skąpo, albo z licznemi ograniczeniami, że zwalnianie od powinności wojskowej miało miejsce i przed prawem niemieckim, w skutek zmiany systemu prowadzenia wojen. Jeżeli zaś władza książęca ucierpiała na swém znaczeniu w wieku XIII, to przyczyny tego leżą nietylko w zaprowadzeniu prawa niemieckiego. Jeszcze przed jego wprowadzeniem kościół za pośrednictwem swych *immunitates*, wyszedł z ogólnego państwowego związku, kiedy już i stan rycerski ziemski zdołał zdobyć sobie znaczenie polityczne. Podług świadectw Wincentego Kadłubka, stan szlachecki w ostatniem dziesięcioleciu XII wieku pozyskał przewagę w sprawach krajowych. I właściciele prywatni za przykładem kościoła, po za obrębem prawa niemieckiego zyskiwali w rodzaju wyjątków znaczną część prawa zwanego *jus ducale*, wyłączając się wraz ze swą ludnością już to od służby wojskowej, już w ogóle od jurysdykcyi polskiej. Prawo niemieckie dało tylko szlachcie pomocniczo popęd na drodze zyskiwania przywilejów, jakie im zapewniła uгода Koszycka 1374 r.

Zaprowadzenie prawa niemieckiego przyniosło z sobą urządzenie nowych form w ustroju sądowym i administracyjnym. P. Budanow dając obraz ogólnych podstaw państwowego prawa niemieckiego, tych mianowicie, które się wytwarzały pod wpływem feudalizmu, z uwzględnieniem wyłączości, dozwolonej duchownym i świeckim: utrzymuje, że charakter tych urządzeń przesiąkał na wskroś systematem lenności, jaki następnie przeszedł do Polski w początku XIII w. a potem utrwalił się samodzielnie; gdy tymczasem feudalizm nie doszedł wtedy jeszcze szczytu swego rozwinięcia, co się dopiero stało

w XIV wieku. Z tego powodu recenzent znajduje myśl autora nieco naciągniętą, a przynajmniej nie jasno wyłożoną.

Pomiędzy urządzeniami nowemi p. Budanow widzi *wójtostwo*, jako najgłówniejsze, i właściwą wskazuje różnicę między wójtami i sołtysami we własnościach prywatnych a książęcych, chociaż za nadto posługuje się tu ustawami szlązkiemi. Ale wójtostwa nie były wyłączną instytucją, zaprowadzoną przez prawo niemieckie. Wójci pierwotnie nie mieli wyższej władzy sądowej; jurysdykcyja ich nie rozciągała się na mieszkańców zostających pod prawem polskiem i miała siłę I. Instancyi. Śledzi więc autor w swém dziele początków wyższej instancyi kryminalnej i sądów apellacyjnych podług prawa niemieckiego, a na tej drodze bada początek władzy starościńskiej, w czem mu recenzent przyznaje zupełną nowość i gruntowność wywodów, co jednak pobudza go jednocześnie do krytycznej ich oceny. W tym kierunku łącząc się ze Sztenclem, czyni pierwszy zarzut autorowi, że instytucya wójta prowincyalnego (*advocatus provincialis*) nie była tak jasno w prawie określona, jak twierdzi p. Budanow. Jurysdykcyja jego kryminalna rozciągała się jednak na wszystkich mieszkańców okręgu.

Takiż wójt prowincjonalny podług zdania autora, musiał istnieć w prowincjach polskich. Nazwę jego jednak taką samą spotykamy tylko w nadaniach miejskich (np. Krakowa i Sandomierza) nie zaś w aktach odnoszących się do ogólnego ustroju państwowego; w tych ostatnich nazwę tę zastąpiono wyrazem *procurator*, polskim zaś *wielkorządca*, z czego powstała następnie nazwa *starosty*.

W wywodzie tym p. Budanowa recenzent widzi nowość, która jednak nie wytrzyma krytyki naukowej, bo autor pomysłu z trzech instytucyj najbardziej odrębnych zrobił jedną i w tej połączył trzy oddzielne stanowiska. Wójt bowiem wiejski istniał i dalej niezawisłe od prokuratora, a prokurator od starosty. Instytucya prokuratora ledwo nie dawniejsza od instytucyi wójta, bo dochodzi XI wieku, więc lat sto przed zaprowadzeniem prawa niemieckiego. W tém miejscu recenzent cytuje dowody, czerpane z aktu nadawczego miasta Solca 1325 r., Wschowy 1349 r., zbioru Reppla i Metryki koronnej.

Wzruszywszy tę podstawę wyvodu p. Budanowa, wykazuje dalej recenzent, że mylną również jest jego doktryna, jakoby bezpośredniemi następcami wójtów prowincjonalnych byli starostowie miejscy, a ztąd jakoby urząd starościński powstał z instytucyi prawa niemieckiego.

Przeciwnie cytuje tu p. Pawiński szereg dokumentów na poparcie czynionego zarzutu. Wyraz *starosta* znany w Słowiańszczyźnie, spotyka się pierwszy raz w dokumencie łacińskim z początku wieku XIII, który wynalazł w Elbindze Sierakowski, a objął go w 2 t. Helcel. Był to zarządca osobistych królewskich lub książęcych majątności, o którym wspomina już Marcin Gallus za czasów Bolesława I, mówiąc o królewskich *villiciis ac vicedominis*, którzy w aktach publicznych nazywają się prokuratorami. Polska nazwa starosty,

przeszła w dokumentach łacińskich w nazwę prokuratora. Takiego zarządcę prokuratora spotykamy często wrzędzie świadków w aktach nadawanych przez książąt; często widzieć się daje na dworze książęcym. Prokurator stołeczny, któremu podlegała ziemia krakowska, nazywał się generalnym, albo wielkim (*Generalis, Magnus*) dla odróżnienia go od prowincjonalnych. Prokuratorzy zajmowali się nietylko zarządem majątności książęcych, ale i poborem różnych opłat należących do skarby księżęcej. W objaśnieniu tego twierdzenia p. Pawiński cytuje konstytucyę synodalną arcybiskupa gnieźnieńskiego z roku 1326. Nazwa: *starosta, głowa*, odbija się wyraźnie w nazwie łacińskiej *Capitaneus*; prokuratorom czyli zarządcom niższym oddzielnych majątności przewodniczył główny prokurator starosta, *capitaneus*, co wskazuje nadanie Kazimierza W. z 1368 r., które recenzent cytuje z Helcla „Stare prawa polskiego pomniki.” Zarządcy więc własności królewskich trudnili się poborem podatków i ciężarów na rzecz skarby królewskiej *ad thesaurum regis*; w księztwach udzielnych, np. Kujawskiem trudnili się tём *capitanei*, starostowie, jak przekonywa deklaracya ks. Kujawskiego Władysława z r. 1381, cytowana w tём miejscu przez p. Pawińskiego. Te same obowiązki pozostały przy starostach, kiedy ostatecznie instytucya ich przeszła do ustroju państwowego. Zakres ich działalności rozszerzył się, jak wiadomo, znakomicie w wieku XIV, kiedy zastąpili prawie władzę wojewodów, a głównie kasztelanów. Ale jaką drogą dostała się starostom władza sądowa? Władza wójtowska utrzymana współcześnie nie miała łączności z władzą starościńską, jak mniema p. Budanow, bo odnosiła się do zupełnie innego zakresu działalności. P. Pawiński zbliża się w swym wywodzie do Lelewela, że wzniesienie się władzy starostów i ich sądów, odnieść można do czasów panowania króla Ludwika, następnego bezkrólewia i rządu Jagiellonów. Królowie znaleźli się w konieczności rozszerzyć władzę swych starostów; zlecono im więc załatwianie różnych spraw karnych i zarządzali oni miastem, a kasztelanowie albo musieli się stawać starostami w swych miastach, albo też ustąpić starostwom jurysdykcyę karną.

Na poparcie tego wyvodu Lelewela p. Pawiński cytuje różne dokumenta i wyjaśnia, że początki instytucyi starościńskiej spotykamy w statucie wiślickim 1347 roku; starostowie tu zastępują sąd królewski czyli karny. Poprawia więc zdanie Lelewela w tём, że początek władzy starościńskiej sięga czasów Kazimierza III, połowy wieku XIV, skoro jednocześnie napotyka się nazwy starostów w nadaniach dla oddzielnych ziem: dobrzyńskiej, kujawskiej, sieradzkiej, sanockiej i sandeckiej.

Tą drogą rozszerzania przez królów władzy starościńskiej, starostowie w kolei czasu stali się dostojnikami krajowymi. W początkach XIV wieku wszędzie już stan szlachecki używa praw własnego sądu cywilnego (sądy ziemskie *judicia terrestria*), do którego obierano sędziów z grona szlachty; sądy zaś karne, (*Blutbann*) jako godło najwyższej władzy państwowej, królowie zatrzymali przy sobie, nominując sędziów ze swego ramienia, któremi byli starostowie grodowi (*Capitanei castrenses*).

P. Budanow utrzymuje, iż prawo niemieckie przyczyniło się najskuteczniej do upowszechnienia w Polsce pojęć niemieckich *prawa lennego*, które jak wiadomo, wytworzyło się w Niemczech ze zlania prawa prywatnego z publicznym, i było w ogólności charakterystyczną cechą w rozwoju średniowiecznym zachodnich krajów Europy. W tezie tej p. Budanowa recenzent widzi tylko część prawdy; rzeczywiście pojęcia lenności przeszły do Polski z Czech i Szlązka, ale nie w takim stopniu, jak się zdaje p. Budanow, który nawet z tego powodu do pracy swój o instytucjach z prawa niemieckiego (wójtostwach) dołącza kilka uwag o feudalizmie w Polsce. Nie możemy jednak (słowa recenzenta) pójść w tym względzie za zdaniem autora, który wbrew wywodom Maciejowskiego, utrzymuje, jakoby cały ustroj państwowy Polski przesiąkł duchem feudalności, a nie pojdziem dlatego, iż nie spotykamy głównej cechy instytucji lennej, t. j. zależnego lennego posiadania ziemi, bo owszem górującą formą posiadłości ziemskiej była i pozostała własność allodialna. P. Budanow dał się pociągnąć zanadto analogii urzędzeń wyrosłych na gruncie ziemczono Szlązka, Landfochtów i Hauptamanów tamecznych, przeniósł żywcem do ustroju politycznego Polski, i nie zachował linii demarkacyjnej oddzielającej pierwiastek niemiecki od pierwiastku, jaki się samodzielnie rozwinął na gruncie polskim.

Władza sądowa dostała się w ręce prywatnych posiadaczy ziemskich, mianowali oni dla wymiaru sprawiedliwości swych wójtów czyli soltysów, z którymi sądzili wybierani przez gminę skabini czyli ławnicy.

Jakież gwarancje miały podobne sądy co do swej trwałości i samodzielności? Pytanie to właściwe i ważne. Wójci albo soltysi dążyli do niezawisłości dlatego, że otrzymywali władzę sądowną z przelaniem jej zwykle na spadkobierców, mogli ją ustępować drogą sprzedaży i innym osobom za zezwoleniem panów. Kupowali więc od nich swe prawa tak, że w niektórych miejscowościach dochodzili do samodzielności, w innych zaś, które autor nazywa *wschodniemi* spotykamy zjawisko zupełnie przeciwne — panowie tu skupowali wójtostwa i sami zajmowali miejsce wójtów; sołectwa więc chyliły się do upadku. Losy sołectwa autor opisuje słowami Kromera, który nam dał obraz Polski w drugiej połowie XVI wieku. „Lud (mówi Kromer) po wsiach ma swoje sądy najprostsze, które sprawiają wójci i ławnicy albo soltysi bez *uroczystości i formalności sądowych*.”

Dziwnym jest, że p. Budanow nie dodał tych łącznych słów dalszych Kromera: „Soltysi i wójci, mają jeszcze swe oddzielne sądy w pewnych miejscowościach, od których apellacya idzie do sądu wyższego podług prawa niemieckiego.”

A zatem natrafia się tu na byt oddzielnych zgromadzeń różnych wójtów dla narady w wypadkach wątpliwych (1). Oprócz

(1) O takich gromadzkich wiecach, wspomina S. Gołębiowski: *Czasy Zyg. August.* C. II str. 225.

władzy sądowej, każdy właściciel przenoszący swe majątności z prawa polskiego na niemieckie, otrzymywał jeszcze pewne przywileje i korzyści. A jakie? Tego p. Budanow szczegółowo nie wyjaśnia; twierdzi tylko, że mieszkańcy wsi wcale nie wygrali na tém nowém urządzeniu, przeciwnie prawo niemieckie doprowadziło ich stopniowo do stanu poddańczego, a więc do pańszczyzny, która należy do głównych podstaw prawa niemieckiego. Wiadomo—mówi recenzent—że stosunek włościan do panów ograniczał się na opłacie pieniężnego czynszu i nadzwyczajnych ciężarów (exactiones). Ten stosunek, zdaniem autora, uległ zmianie przez zaprowadzenie prawa niemieckiego, bo z niego wyrodziła się pańszczyzna. Oparł się on w tym względzie na dokumencie z roku 1435, oznaczającym obowiązki włościan względem pewnego klasztoru; ale wziął szczegóły za podstawę ogólną. Recenzent wykazuje mu tę pomyłkę nadaniem Ziemowita księcia Mazowieckiego z roku 1368 i objaśnia, że często bardzo książęta w nadaniach klasztorom, wyłączali dla siebie obowiązek obrabiania przez włościan gruntów dworskich, a nadto przy przenoszeniach na prawo niemieckie zwalniano często włościan od wszelkich powinności z prawa polskiego, z wyjątkiem czynszów i exactiones—mianowicie zaś dawano podobne zwolnienia albo kolonistom niemieckim, albo ludności miejscowej przesadzanéj na prawo niemieckie. A więc pańszczyzna podług p. Pawińskiego istniała niezależnie od prawa niemieckiego, i prawo to często uwalniało od takiej powinności—tym sposobem stosunek rzeczony wyrodził się z innych jeszcze powodów i warunków.

Określiwszy zmiany, jakim w Polsce przez zaprowadzenie prawa niemieckiego, uległ stosunek właścicieli ziemskich do ludności rolniczej, p. Budanow daje obraz stosunków, jakie się wytworzyły na tém prawie w miastach niemieckich, w czasach, kiedy w ogólności w Europie społeczeństwo składało się z dwóch odmiennych słoików: szlachty (rycerstwa) i włościan. Tu rozbióra pytania: jak się utworzyło z ogólnego prawa niemieckiego prawo miejskie (co się stało w Szlązku i częścią we właściwej Polsce), jak się urządził stosunek miast do wsi, jakich praw używały miasta i jaki w nich wyrobił się ustrój wewnętrzny? Podług zdania autora, w krajach, gdzie prawo niemieckie (nie municypalne) wcześniej i stanowczo zmieniło dawny ogólny ustrój słowiański na niemiecki, tam (Szląsk i w części właściwa Polska) wpływ prawa czysto municypalnego na wyraźny rozdział stanów, podobnie jak inne jego zgubne następstwa, nie tyle są widoczne; tam zaś, gdzie prawo niemieckie (nie municypalne) działało zwolna i pośrednio, prawo municypalne zastało jeszcze porządek słowiański prawie nietknięty, okazało się szkodliwém w całej swéj pełności. Tak mianowicie podziało ono w państwie litewsko-ruskiem. I rzeczywiście porządek dawny słowiański nie znał téj granicy, jaka oddziela miasta od reszty pewnej miejscowości. Miasto tu i włość stanowi jedną nierozdzielną całość. Tak było u Słowian połabskich, tak pewno i w Polsce w pierwotnych jej dziejach, o czóm przekonywa instytucya *Opola* (vicinia). A więc bojarowie razem z resztą mieszkańców,

kupców, klasy wyrobnej wchodzili w skład jednej nierozdzielnej powszechności, podlegającej jednemu zarządowi i ponoszący jedne ciężary. W tém miejscu cytuje autor przywileje, które sobie wyrobiło miasto i ziemia Smoleńska i Witebsk w początkach XVI w. Związek ten ziemski runął, kiedy z Polski zaczęły tu przenikać pojęcia zachodnio-europejskie, kiedy wśród bojarów, na wzór szlachty polskiej zaczęło się wyradzać dążenie do wyłączenia się z ogólnego ziemiańskiego układu. Dążności te podsycało tylko prawo magdeburgskie w miastach litewsko-ruskich.

Prawo o miastach wniesione na sejm czteroletni, ułatwiło panu Budanow pracę, w której wykazał stan miast polskich urządzonych na prawie niemieckim, ich prawa i znaczenie i od poglądu zewnętrznego przechodzi do obejrzenia strony wewnętrznej, rozbiegając zarząd i urządzenia miejskie.

W objaśnieniu tego ustępu pracy autora, recenzent przytacza: Jakkolwiek miasta w Polsce były liczne, bogate i ludne, nie wyrobiły się przeciw do tego stopnia, aby na wzór cesarskich niemieckich brały udział w wiedzy prawodawczej kraju, należącej do sejmów. Niektóre tylko miasta uczestniczyły w sejmach, i to z pewnymi ograniczeniami, i nie zdołały zrealizować tego prawa tak, jak to służyło szlachcie jako stanowi przeważnemu. Kraków, Poznań, Kalisz, Sandomierz, Lwów, Płock, Warszawa, Lublin, Grodno, Wilno, Kamieniec Podolski wysyłały różnemi czasy na sejmy swych deputatów; ale liczba ich z upływem czasu malała i już w wieku XVII tylko cztery miasta zostały przy tém prawie, to jest: Kraków, Poznań, Wilno i Lwów; akta zaś sejmowe wykazują, że deputaci miast owych przybywali tylko na sejm elekcyjny, to jest na obiór króla. Co się tyczy udziału miast w sejmach prowincjonalnych, mileżą o tém materyały drukowane. Jednakże zdarzyło się nam znaleźć w Metryce koronnej interesujące ślady, że i miasta brały niekiedy udział w zebraniach ziemskich szlachty. Według konstytucyi lubelskiej sejmu krajowego na zgro madzenia ziemskie krakowskie. Na podstawie tego jednego źródła nie ośmielamy się twierdzić, czy to było ogólną zasadą, czy tylko wyjątkiem.

Władza sądowa miast, w stosunku ze szlachtą, nie rozciągała się do niej. Szlachcic odpowiadał przed sądem ziemskim, mieszczanin przed miejskim; tylko wyjątkowo zarząd miejski mógł sędzić szlachcica, kiedy ten popełnił ważne przestępstwo w granicy murów miejskich; ale tylko w obecności starosty miejskiego, który miał głos stanowczy. Zresztą natrafialiśmy w Metryce koronnej na prawa udzielane przez królów, na mocy których rajcy miejscy mogli sędzić przestępców ze szlachty. Taki np. przywilej otrzymało miasto Kalisz; był on jednak wyjątkiem. P. Budanow chciał obznajmić czytelnika z sądami apelacyjnymi dla mieszczan i szlachty. Już wcześniej, bo w wieku XIV, Kazimierz W. zaprowadził dla miast wyższy Sąd Apelacyjny w Krakowie i sąd sześciu miast (jus supremum sex civitatum) w charakterze najwyższej instancyi. Stan zaś szlachecki

dopiero za Stefana Batorego 1578 otrzymał trybunał jako instancję sądową wyższą.

Dwie te instytucje sądowe poddając swęj kompetencji jeden tylko z dwóch odrębnych stanów, funkcyonowały w charakterze sobie nieprzystajnym. Podobny rozbrat wyrażał się ze stopniowego ograniczania prawa miast co do nabywania własności ziemskiej. Bardzo jest zaciekawiającem śledzenie, jak odsuwano miasta od tego prawa nabywania własności, na mocy której mogłyby pozyskać wpływ nie tylko pod względem ekonomicznym ale i politycznym. Wyłączne prawo do własności ziemskiej stanowiło charakterystyczną cechę szlachectwa polskiego, tak dalece, że szlachectwo i posiadłość ziemska były to pojęcia nierozdzielne, prawie te same.

Z prawem posiadłości ziemskiej, jak wiadomo, łączyły się wszelkie prawa polityczne. Prawo to wkładało obowiązek służby wojskowej, która tym sposobem stała się wyłącznym przywilejem stanu szlacheckiego. Mieszczanie mający własność ziemską, nie wyłączali się od tegoż obowiązku; ale nie mając praw osobistych, nie chętnie zgłaszali się do wojska. Dlatego władza prawodawcza musiała się uciec do środków odpowiednich. Takim środkiem była konstytucya Jana Olbrachta z roku 1496. Miasta W. Ks. Litewskiego nie były pozbawione prawa nabywania własności ziemskich, pomimo usiłowań, aby je w tém ograniczyć. Przynajmniej tak wnosić należy z konstytucyi 1775 roku, w której mieszczanie miast W. K. Litewskiego otrzymali zupełne prawo na posiadłości ziemskie, którego mieszczanie koronni nie nabyli.

W wykładzie form sądowego i administracyjnego zarządu, autor dzieła o prawie niemieckiem wypowiada przebijającą się w całej jego pracy myśl, że samorząd i niezawisłe sądownictwo miasta okupiły ceną praw politycznych; może otrzymany rezultat nie był godzien ofiary, bo zupełny samorząd nie jest możebnym bez praw politycznych, że każde miasto zostawione sobie, było bezbronnem przeciwko samowoli władz innych, a nawet sam ustrój zarządu municypalnego nie może być uważany za obraz samorządu.

W rozbiorze powyższego zdania, recenzent co do stosunku miast do władzy rządzącej a mianowicie co do stanowiska starostów, cofa się z wszelką krytyką przed dowodami czerpanemi przez autora z wiarogodnych źródeł. To co zwyczaj oddał władzy starościńskiej, mówi p. Pawiński, to uświęciła konstytucya 1768 r., w której powiedziano:

„Zachowując w całości i nietykalności dawne rozporządzenia, dotyczące porządku i jurysdykcji, stanowimy: żeby mieszczanie odpowiadali przed swym magistratem, a następnie tak mieszczanie jak i magistraty *in civilibus*, przed starostą”

Władza sądowa w obrębie miasta stanowi istotę municypalnej samodzielności; wójci byli sędziami z prawa niemieckiego, ale pierwotnie wójtostwo zajęło miejsce prawie niezawisłe. Władza ta powierzana była pewnej osobie sukcesyjnie, tak, że wójci za zezwoleniem władzy, mogli ją sprzedawać lub w testamencie nią rozporządzać.

A więc gmina miejska uczestniczyła w sądownictwie tylko za pośrednictwem swych skabinów czyli ławników, których wybierała do sądu wójtowskiego w charakterze przysięgłych — miasta tym sposobem były usuwane od sądownictwa. Dlatego gmina ta starała się usunąć wójta, aby sama mogła używać praw samorządu. P. Budanow a za nim i recenzent, w rozwoju urzędzeń miejskich wskazują trzy momenta, mianowicie: w samym początku władza nie należała do gromady miejskiej; potem po przywłaszczeniu sobie władzy wójtowskiej, rządziła się przez radę zamkniętą; nareszcie władza rady ogranicza się w instytucji reprezentacyjnej gminy. Ale proces taki nie wszystkie miasta przechodziły razem, lecz każde oddzielnie; jedne zaczęły go w XIV, inne w XVIII wieku, niektóre doszły w nim do połowy i tylko starsze dosięgły trzeciego stopnia. Tym sposobem wszystkie trzy fazy gminnego urzędzenia istniały jednocześnie i trzy stopnie historyczne stały się trzema rodzajami gminnego miast urzędzenia.

Takie kupno władzy wójtowskiej zaczęło się wcześniej; autor przytacza tylko Lwów w roku 1388, recenzent zaś objaśnia, że w Metryce koronnej znalazł wiele podobnych przykładów nabywania przez miasta władzy wójtowskiej, poczynających się od XIV i XV wieku (Olkusz, Sandomierz i t. d.). I tu znowu recenzent odstępkuje od szczegółowego rozbioru pracy p. Budanowa, zaregulowanej do trzech powyższych momentów, ale zwraca jego uwagę tylko na niewyczerpienie przedmiotu co do sądów apelacyjnych z prawa niemieckiego. Autor (słowa recenzji) tylko pobieżnie dotknął tego pytania; wspominając o sądzie apelacyjnym zaprowadzonym w Krakowie przez Kazimierza W. (*jus supremum Theutonice provinciale arcis Cracoviensis*) i o ostatniej instancji (sądu królewskiego) podług prawa niemieckiego, to jest o tak zwanym trybunale sześciu miast (*sex civitatum*). Tymczasem ważną kwestyę stanowi rzecz o innych sądach apelacyjnych, powstałych w różnych prowincjach. Każda prowincja miała oddzielne urządzenie. Władza wójta prowincjonalnego, która zdaniem autora przeszła do starosty i dała początek urzędowi starościńskiemu, zachowała się we wspomnianych instytucjach. Wójci prowincjonalni mający pierwotnie wyższą władzę sądową królewską zaczęli stopniowo zaprowadzać sądy stałe, do składu których wchodził wójci już to głównego miasta prowincjonalnego, już innych miast tejże prowincyi. Łatwo jest zgadnąć, że dla wygody mieszczan urzędzały się podobne sądy prowincjonalne. Wspominają o nich już dokumenta z XIII wieku.

Badacze historyczni zwykle dotąd oprócz sądu w Krakowie, ustanowionego w r. 1365 przez Kazimierza W., wspominają sądy w Poznaniu i Sandomierzu (Bandtkie, Reppel). Tymczasem są ślady, że jeszcze przed Kazimierzem W. istniał w Krakowie wyższy sąd prowincjonalny, urządzony na wzór sądów w Poznaniu i Sandomierzu. Ślady te mieliśmy sposobność wynaleźć w prywatnym zbiorze dokumentów senatora Hubego. Najciekawszym z nich w tym względzie jest wyrok sądowy, wydany w Krakowie 1312 r., a drugi ślad odnoszący się do r. 1337, które wykazują, że już przed rokiem 1365,

t. j. zaprowadzeniem wyższego sądu Ap. takż sąd istniał w Krakowie, i widocznie Kazimierz W. okroślił go tylko bliżej.

Ale i w innych prowincyach z władzy pierwotnej wójtowskiej, powstały sądy stałe: w Sanoku, jak pokazują dokumenta cytowane przez p. Pawińskiego z lat 1406, 1415—1512, w Lublinie, w okręgu Łagowskim, jak przekonywają dowody cytowane z r. 1441, w Dąbrowicy, do czego się odnosi dokument z r. 1567. Dowody powyższe przekonywają, że wójei prowincjonalni istnieli w dalszym ciągu w sądach prowincjonalnych, a więc nie mogli swęj władzy przelewać na starostów. Cytując te świadectwa historyczne, p. Pawiński miał na celu wykazać autorowi, jak na wzór Krakowa, Poznania, Sandomierza, Sanoka, Sącza, Lublina i okręgu Łagowskiego, formowały się i w innych miastach sądy apelacyjne prowincjonalne, do których, podług wskazówek Kromera, należy zaliczyć podobneż instytucye w Warszawie, Płocku i innych (Lwów). Sądy te w wewnętrznej historii miast, stanowią rys ważny i zachowały się w nich pomniki prawniczego życia i ślady rozwoju, godne badania (1).

Utrwalony w Polsce ustrój municypalny przeniósł się żywcem do miast południowo-zachodniej Rusi, i tu się rozwijał w innych warunkach historycznych, ale z małemi zmianami. Główne formy municypalności zatrzymały swój pierwotny charakter, a całkowite urządzenie miejskie skompletowało się z początkiem XVIII wieku.

P. Budanow opisał miasta południowo-zachodniej Rusi: 1) te, które miały kompletne prawo magdeburgskie, 2) te, które go w całości nie otrzymały, i 3) miasta królewskie.

Kamieniec-Podolski należący do 1-szej kategorii, ułatwił autorowi pracę, bo już gotowe formy municypalnego urządzenia przejął od Lwowa, które tak szczegółowo i systematycznie wyłożył Zubrzycki w swojej kronice tegoż miasta. Lwów, byłoto jak w kolonizacyach greckich miasto modelowe (Mutterstadt), na wzór którego urzędzały się inne. Gdy podczas panowania tureckiego w XVII wieku, Kamieniec postradał wszystkie swe dokumenta, August II r. 1703 zatwierdził dla niego prawo municypalne Lwowskie — a na podstawie urządzeń municypalnych Kamieńca, p. Budanow podaje szczegółowy przegląd innych, łącząc z niemi sądowe i administracyjne, objaśniając je długimi wypisami treści historycznej lub prawniczej. Źródłem, z którego czerpał, było dlań archiwum centralne kijowskie; dlaczego p. Pawiński wstrzymuje się wobec charakteru urzędowego tego źródła, od wszelkiego rozbioru i oceny, co jednak, wyznać należy, przyjąć przychodzi z mniejszą korzyścią dla nauki.

(1) W miastach osadzonych na prawie Chełmińskim (które było upowszechnione w Mazowszu), od wyroków magistratu odwoływano się do Warszawy albo Płocka, następnie do Chełna albo Torunia, nakoniec do króla. W innych częściach Polski, gdzie było upowszechnione prawo magdeburgskie, apelacya szła do Krakowa, potem do sześciu miast, nakoniec do króla. Mieszkańcy Krakowa mieli ten przywilej, że się wprost odwoływali do króla (S. Gołęb. w cytowanym poprzednio miejscu. (Przyp. spr).

Istotną zaś wartość pracy autora, recenzent widzi nie w nowości i obrobieniu materyałów, ale w jego wywodach, których przecież całkowicie nie przedstawia. Ocenę swoją zresztą p. Pawiński kończy temi słowy:

Jakiemikolwiek były formy municypalnego urzędzenia w miastach południowo-zachodniej Rusi, to wszystkie one podług p. Budanowa, nie gwarantowały samorządu, na co się zgadzamy; ale wątpim czy samorząd wytworzony z prawa magdeburgskiego był jedyną podstawową przyczyną upadku miast?

Nie solidaryzując zdania swego z poglądami i wnioskami p. Pawińskiego, podajemy tu w streszczeniu pracę jego, wyznając, że ujemnemi w niej miejscami zdają nam się te, w których recenzent zaprzeczając autorowi, nie przekonywa go ze swojej strony o zasadności czynionych zaprzeczeń co do powstania pańszczyzny z prawa niemieckiego; do nich należą i te, w których recenzent zupełnie wstrzymuje się od oceny krytycznej, na czém całość jego pracy tracić musi koniecznie. Nie usprawiedliwił również naczelnego zarzutu historycznej literaturze polskiej, co do jej jednostronności; sam więc nie jest w swym poglądzie wszechstronnym. Ale na karb zasługi p. Pawińskiego zaliczyć przyjdzie źródłowy wywód co do początku władzy starościńskiej i instytucji sądów apellacyjnych, o ile ostatnie słowo jego wywodów wytrzyma ostatni wyraz krytyki.

M.

Meteorologia, przez Apolinarego Pietkiewicza, w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1872 r., 600 str. 5 tablic rycin, cena rs. 6.

Tak mało u nas zjawia się książek poważnie i ściśle traktujących rzeczy naukowe, a zwłaszcza rzeczy odnoszące się do nauk fizyczno-matematycznych, że każdą tego rodzaju publikację witamy z sympatją i radością. W żadnym dziale tych nauk nie mamy nie tylko dzieł i rozpraw specjalnych, ale nawet potrzebnych książek elementarnych. Dla tego też z wielką przyjemnością ujrzelśmy na stole księgarskim książkę o meteorologii, która z pierwszego zaraz wejrzenia i objętością i użyciem obszerném matematyki dobrze do siebie uprzedza. Mówimy to nie dla tego abyśmy sądzili że tylko w grubych tomach i wzorach różniczkowych i całkowych może się zawierać coś dobrego; owszem wiemy dobrze że jest wiele genialnych prac i objętością małych i użyciem matematyki skromnych, a jednak genialnych. Ale meteorologia jest ze wszystkich nauk fizycznych najmniej wydoskonaloną; dla tego też zupełny i ściśły wykład jej zasad musi być zawsze obszerniejszy. Tylko nauki stojące na wysokim szczeblu doskonałości, któ-

rych ogólne prawa są już odkryte, które mają zupełnie wyrobione teorie mogą być traktowane krótko, a jednak jasno i ściśle.

O ile wiemy dzieło p. Pietkiewicza jest pierwszym w naszej literaturze, w którym meteorologia jest traktowaną nie w sposób popularny, ale ściśle naukowy. Z dzieł poprzednio ogłoszonych w tym przedmiocie najwięcej może zasługuje na uwagę tłumaczenie z francuskiego meteorologii Foissac'a przez b. dyrektora tutejszego obserwatorium p. Baranowskiego. Jest to jednak, pomimo swojej obszerności dzieło popularne, które dla nas jest przede wszystkim ważne z powodu dodatków, jakie tłumacz w niem porobił, dodatków mieszczących w sobie wypadki dostrzeżeń meteorologicznych robionych w obserwatorium warszawskim od roku 1826 do roku 1858.

Książka p. Pietkiewicza w następujący sposób jest rozłożona: w 1-y m rozdziale autor pomieścił rzecz o atmosferze otaczającej ziemię. Po wyłożeniu nauki o składzie atmosfery, jej prężności, autor wyprowadza wzór do mierzenia wysokości za pomocą barometru i kończy rozbiorem pytania o wysokości atmosfery. W następnym rozdziale, traktującym o teorii wiatrów, znajdujemy obszernie wyboczenie o wzorze Bessel'a służącym do przedstawienia zjawiska peryjodycznie powtarzającego się z kilkoma zastosowaniami. Trzeci rozdział zajmuje się hydrometeorami, w nim więc po wyłożeniu metod służących do oznaczenia prężności pary wodnej w powietrzu, jej ilości, przedstawiają się zjawiska pochodzące ze skroplania się tejże pary, lub towarzyszące skroplaniu się, jak np. rosa, szron, mgła, chmury, deszcz, burza i t. p. Rozdział czwarty najobszerniejszy w całej książce mieści rzecz o temperaturze. W następnym rozdziale czytelnik znajduje naukę o ciśnieniu powietrza i o tém wszystkiém co się odnosi do odmian barometru. Tutaj także są pomieszczone uwagi o przepowiadaniu pogody ze stanu barometru. Nakoniec w rozdziale szóstym jest wyłożona teoria zjawisk optycznych w atmosferze. Na tych rozdziałach kończy się wykład meteorologii jako nauki, tak jak ona jest dziś pojmowaną. Do tego dodany jest rozdział siódmy, w którym autor mówi o wpływie księżyca na pogodę, oraz o przepowiadaniu pogody z zachowania się zwierząt, roślin i t. p. Kończą całe dzieło dwa dodatki zawierające różne liczby odnoszące się do temperatur rozmaitych miejsc na powierzchni ziemi i tablice figur.

Niepodobna nam tutaj w krótkiej wzmiance, i to w piśmie niespecyjalném wchodzić w szczegółowy rozbiór rozmaitych części składających tak obszernie dzieło. A jednak rozbiór taki, zdaniem naszym jest z wielu względów koniecznym, chociażby dla tego że oznaczenie we wzorze Bessel'a stałych dla Warszawy, jest rzeczą zupełnie nową; wymagało ono znacznej pracy i powinno być należycie ocenione przez specjalistów pracujących nad tém. Nadto obznajamia nas w tém dziele p. Pietkiewicz z pracami R. Wiszniewskiego, nieznanemi u nas. Te punkta stanowią zdaniem na-

szém najwybitniejsze miejsca w dziele p. P. i powinny być należycie i sumiennie ocenione i rozebrane, tak jak są owocem sumiennój i dłużej pracy. Każdy choć cokolwiek obznajmiony z rzeczą, wie dobrze, jak rozwlekłe i pracowite są rachunki odnoszące się do oznaczenia statych we wzorze Bessel'a. Potrzeba samemu je przerobić, ażeby można odpowiedzieć stanowczo, czy przy wykonaniu tych rachunków nie wcisnęły się jakie błędy. Piszący te uwagi nie przerabiał sam tych rachunków, nie może więc o nich nic więcej powiedzieć nad ogólnikową pochwałę za to, że nakoniec te rachunki zostały dla warszawskich obserwacyj wykonane i że w zamiłowaniu do przedmiotu, jakie przebija się w pracy p. Pietkiewicza, widzi dostateczną rękomię tego że wypadki tych rachunków są dokładne.

Z wstępu i z całego ducha panującego w książce p. P. należy sądzić, że książka ta jest napisaną dla tych, którzy posiadając dostateczne przygotowanie z matematyki i fizyki, chcą specyjalniej obeznać się z meteorologią. P. Pietkiewicz wyraźnie we wstępie powiada, że opuścił opisanie wielu przyrządów, które można znaleźć w każdym podręczniku fizyki; z czego wypada że przypuszcza w swoim czytelniku znajomość któregośkolwiek z dobrych podręczników fizyki.

Do napisania takiego dzieła posiadamy wielki wzór w dziele Kämtz'a o meteorologii. Dzieło to, nie mówiąc już o specyjalnych odkryciach samego Kämtz'a stoi i pod względem wykładu i systematu na takiej wysokości, że nie sądzimy aby krótkość, jak z istniejących dzieł o meteorologii przewyższało je. P. Pietkiewicz obficie korzystał z niego, z czego nie myślimy robić mu najmniejszego zarzutu; ale czy zawsze korzystał z niego w sposób właściwy, to inna rzecz. Dzieło p. P. zawiera niestychane mnóstwo cytat. Być może że mamy o tém dziwaczne pojęcie, ale sądzimy, że sumienny autor powinien cytować tylko te dzieła i rozprawy, które sam na własne oczy widział. Tymczasem mamy niejaki powody sądzić że przynajmniej niektóre cytaty są u p. P. podane z drugiej ręki. Prawda, zdarza się niekiedy potrzeba cytować taką pracę lub takiego autora, którego piszący nie czytał; ale w takim razie jest obowiązkiem, podług nas zrobić dodatek do cytaty objaśniający z kąd ona jest wziętą.

Meteorologia opiera się na prawach i zasadach fizyki i mechaniki. Ażeby uczyć się mógł należyta korzyść z czytania dzieła o meteorologii odnieść, powinna być przedewszystkiem każda zasada, każde prawo z fizyki lub mechaniki jasno i dokładnie wypowiedziane; a następnie dopiero również jasno i dokładnie zastosowane czy to do opisanie zjawiska meteorologicznego, czy też do jego tłumaczenia. Tylko dzieła robiące przewrót w nauce mogą być inaczej pisane: dla nich nie ma prawideł — ale zwyczajne kompendyum powinno koniecznie zadosyć czynić tym warunkom. Otóż chcemy tutaj kilka słów powiedzieć o niektórych

ustępach dzieła, które wydały się nam wymagającymi pewnych poprawek lub uzupełnień.

O wstępie do samego dzieła nic tu nie chcemy mówić, z tego mianowicie powodu, że autor często wybiega na takie pole, które jest właściwsze naukom teologicznym lub poezji jak naukom fizycznym. Podobne wybożenia przytrafiają się w ciągu samego dzieła w kilku miejscach, np. na stron. 24.

Wykład wzoru na mierzenie wysokości za pomocą barometru nie jest, zdaniem naszym, dostatecznie jasno przeprowadzony, mianowicie od tego miejsca str. 41, gdzie wprowadza się ciśnienie pary wodnej. Wzory na tej stronicy powinny być troskliwiej objaśnione. Do utrudnienia czytania początkującemu przyczyniają się także bardzo liczne omyłki drukarskie, których znaczna liczba jest poprawioną, ale może drugie tyle niepoprawionych. Do tych ostatnich należą np. na str. 40 w drugim wzorze od góry opuszczony znak równości; na str. 44 w wyrażeniu na (g) opuszczona wartość g odnosząca się do 45° szerokości. W tym rozdziale także znajdujemy niektóre nowości językowe, np. zamiast wyrazu „*kolumna*“ autor używa jużto wyrazu „przedział“ już też, „łam“. Że jednak samemu autorowi tak łatwo użycie tych nowych wyrażeń nie przychodzi, dowodem to, że na str. 46 w odstępku kilkowierszowym znajdujemy obok „łamu“ i „kolumnę.“

W rozdziale o wiatrach autor pomieścił, jak już wspomnieliśmy wykład wzoru *Bessela*. Zdaje się że przez to sam ciąg nauki zostaje przerwany; stosowniej może byłoby tak ważny wzór wyłożyć we wstępie, a w tym miejscu i w innych wziąć go już gotowym do zastosowań. O ile przypominamy sobie, w ten sposób wyłożony jest ten wzór w meteorologii *Schmid'a* stanowiącej część ogólnej encyklopedyi fizycznej, wydawanej przez Karstena.

W rozdziale o hydrometeorach na str. 128 autor robi zarzut Janowi Sniadeckiemu za jego zdanie o rozpuszczaniu pary wodnej w powietrzu. Przyjmując za zasadę prawo Daltona o mieszaninach par i gazów, rozumie się zarzut ten jest zupełnie słuszny. Lecz kilka wierszy dalej znajdujemy takie zdanie p. P... „już *De Luc* słusznie utrzymywał, że para powstaje przez połączenie ciepła z wodą“ i t. d. Widocznie to co *De Luc* utrzymuje jest zarzadem i zdaniem autora. Jednak kto stronicę jedną czy dwie przedtém cytował *Clausius'a*, temu, że już powiemy po prostu, nie uchodzi mówić że *De Luc* słusznie tak utrzymywał. Autor nazwał pojęcie Jaua Sniadeckiego o tworzeniu się pary wodnej w powietrzu już za stare, nawet na ten czas, w którym on swoją *Jeografią* pisał; a cóż powiedzieć o zdaniu tak *biegunowo* przeciwném fundamentalnym dzisiejszym zasadom nauki o ciepłe, wyłożonym już w roku 1850, że innych źródeł nie wspomnę, w téjże samój, tyle razy cytowanej przez p. P. rozprawie *Clausius'a*: „Ueber die bewegende Kraft der Wärme etc. umschrieben in Pogg. Ann. T. 79 str. 368 i 500, jako też i w jego *Abhandl. über die mech. Wärmethorie?* Jeżeli autor dzisiejszych

pojęć nie podziela, w takim razie należało nie ograniczać się pro-
stą wzmianką, ale dokładnie wykazać dlaczego dzisiejsi podług
autora mylą się, a dlaczego *De Luc*, a właściwie *Black* mają słusz-
ność.

Cały ten ustęp o *De Luc'u*, *Waleriuszu*, *Black'u* i innych
w tój książce, jest prawie dosłowném tłumaczeniem odpowiednie-
go miejsca w meteorologii *Kämtz'a* (Lehrbuch der Meteor. I. Bd.
s. 301.) z małemi opuszczeniami, a zato z tym dodatkiem przez
p. P. przy *De Luc'u* zrobionym „słusznie.” Ale w *Kämtzu* byłby
on zupełnie naturalnym, bo jego książka była pisaną przed 40-tu
laty około; gdy tymczasem dzisiaj jest on co najmniej dziwnym.

Oczywiście nie pisalibyśmy tyle o tém, gdyby to było wyjąt-
kowe, przypadkowe tylko wyrażenie w tój książce. Ale w całym
tym rozdziale można się często spotkać z takimi wyrażeniami,
które bardzo dziwnie brzmią dzisiaj, mianowicie w pisarzu, o któ-
rym z licznych cytat możnaby sądzić że jest doskonale obznajmio-
ny ze stanem obecnym fizyki. Np. na str. 129 „przybywający
cieplik z parą ulecieć nie może” — na str. 130 „para więc jest
czystem połączeniem wody z cieplikiem” (!!!) i t. p.

Ten rozdział, w ogólności mówiąc wydaje się nam najslab-
szym w całej książce. Można w nim napotykać dowody niedokła-
dności i pewnego zaniedbania, czy tóż pośpiechu. I tak na str.
131, autor zajmuje się obliczeniem gęstości pary wodnej. Odste-
puje w tym punkcie od *Kämtz'a*, i przyjmując za gęstość wodoru liczbę
podaną przez *Biot'a* 0,07321, znajduje na to co nazywa „cięż-
kością pary w stosunku do powietrza” wartość 0,62518. Dzisiaj
(*Clausius*: Abhandl. über die mechan. Wärmet. Bd. I, S. 296; lub
Nauman: Grundriss der Thermochemie 1869 S. 49, i t. p.) przyjmu-
ją za gęstość wodoru 0,0692, a ztąd gęstość pary wodnej 0,6219.
W *Kämtz'u* są daleko bliższe liczby dzisiejszym jak podane przez
autora. Ale cały ten rachunek w tém miejscu książki jest zupeł-
nie nie potrzebny, gdyż autor sam na str. 125 tenże właśnie ra-
chunek, tylko z liczbami dokładnemi już wykonał i znalazł gę-
stość dzisiaj przyjętą 0,6219. Kilka stronnic dalej, mianowicie
na str. 134, znowu autor wraca do dokładnej wartości 0,622.

Na str. 169 autor opisując sposoby mierzenia wysokości,
w jakiej znajdują się obłoki, tak daleko zapatrzył się na *Kämtz'a*
że pisze: „Sposób *Jakóba Bernoulli* zastosowanym być może tyl-
ko o zmroku. Czytelnika *odsylam* do dzieł jego: *Opera*, 4, Genewa
1744, I, 336, oraz *Acta eruditorum* 1688, Febr. 98,” i t. d.
W *Kämtz'u* zaś czytamy: (Lehrb. der Meteor. I Bd. 384 S.)
„Ich will diesen Fall nicht näher betrachten, sondern *verweise*
auf *Bernoulli's* Abhandlung, bemerke jedoch.” etc. Cytata rozu-
mie się też sama co i u p. P.

Na tejsze samój str. 169 słusznie autor mówi że: „w czasie
burzy wysokość obłoków daje się *poniekd* ocenić notując liczbę
upłynionych sekund *n* między błyskawicą a grzmotem” i t. d. i to
właśnie dlatego słusznie, że używa wyrazu *poniekd*. Lecz wy-

padałoby bliżej tę rzecz objaśnić; pokazałoby się z tego rozbioru, że liczba tych przypadków, w których można użyć tej metody jest dosyć ograniczoną, a nadto nie mamy żadnego środka pewnego poznać, czy w danym razie ta metoda daje się czy nie daje zastosować. Mianowicie: skorozmy zmierzili wysokość kątową punktu w którym się zaczęła błyskawica (a nie tak jak w tekście książki powiedziano „kąć wysokości błyskawicy,” gdyż nie jest rzeczą obojętną jakiego punktu błyskawicy wysokość bierzemy) będziemy podaną metodą oznaczyć wysokość chmury wtedy tylko, gdy błyskawica *ciągle się od obserwatora oddala*; w każdym innym razie liczba otrzymana nic znaczyć nie będzie. Oczywiście nie mamy sposobu poznać na pewno kiedy ten ostatni warunek ma miejsce; dla tego też wartość tej metody redukuje się prawie do zera, przynajmniej o ile idzie o ścisłe oznaczenie wysokości chmury.

Na str. 175 i 176 wykład spadania kulek czy też pęcherzyków stanowiących chmury jest do najwyższego stopnia nie jasny. Nie objaśniono wcale ani co znaczy ilość *U*. (wyrażenie bowiem „chyżość końcowa” jest co najmniej nie jasne w tém miejscu), ani też jakie prawo przyjęte jest co do oporu powietrza przy wprowadzeniu wzoru na *U*. Tego rodzaju wzór powinien być bardzo troskliwie wyprowadzony; każda część rachunku, każda ilość starannie wyjaśnioną; nie można tutaj się odwoływać do ogólnych „praw mechaniki” jak to autor robi, gdyż on wypada nie tylko z ogólnych praw mechaniki, ale nadto z tego szczególnego przypuszczenia jakie utworzymy sobie o oporze powietrza. Najlepszym dowodem tego jest to, że autor na tę samą ilość znajdzie w rozmaitych dziełach i inne wyrażenia; jak np. w rozprawie prof. Roerber'a: Brechung und Reflexion des Lichtes durch eine Kugel. Sehlömilch's Zeitschr. f. Mathem. und Physik X. Jahrg, 1865 S. 123, 124.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Na tychże samych str. autor podaje wymiary kropli w miarach angielskich (str. 175); wartość zaś na *g*. daje równą 30,2 stopom. Ale taka jest w samej rzeczy wartość na tę ostatnią ilość w stopach paryzkich; do rachunku zaś, jeżeli on ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, należy wprowadzić wartość na *g*. wyrażoną także w stopach angielskich lub wymiary kulek wodnych zredukować na miarę paryzką dawną. Ta okoliczność zdaje się pokazywać, że autor rachunku tu znajdującego się sam nie robił, tylko przepisał z jakiegoś dzieła; gdyż jeżeli we wzór podany przez autora na *U* podstawimy za *g*. stóp 30,2, otrzymamy na *U* wartość równą 0,6344, i ta wartość nie ma żadnego sensu; a dopiero jeżeli w tenże sam wzór za *g*. wczmiemy 32,17, co jest wartością przyspieszenia siły ciężkości w stopach angielskich, otrzymujemy liczbę taką jaką autor podaje. Toż samo odnosi się do drugiego przykładu, który autor bardzo śmiało napisał. Kto wykona rachunek tak, jak on tam jest wskazany, znajdzie na *U*. wartość równą 73,28, która jest niczem z powodu różnicy w jednostkach wyrażających wymiary kropli i *g*; skoro

zamiast 30,2 podstawimy 32,17, otrzymamy dopiero wtedy wartość podaną przez autora. Czytelnik „meteorologii” nie może się wstrząsnąć od uśmiechu nad uwagą p. Pietkiewicza zbrojoną w tém właśnie miejscu, że Kämtz przez „omyłkę pióra znajduje większą chyżość tak dla pęcherzyków jako i kropel” i mimowolnie zapytuje się siebie do jakiej kategorii zaliczyć omyłkę, przez którą p. P. wpadł w takie zamieszanie w swoich rachunkach.

Aby nie przedłużać zbyt tych uwag zrobimy jeszcze jedną tylko do str. 508. Na téj stronnicy autor objaśnia rzecz o załamaniu się światła w pryzmacie, i gdy dochodzi do tego miejsca gdzie mówi o najmniejszym zбочeniu *b.* sprawioném przez pryzmat, tak się wyraża: „To minimum kąta *b.* odznacza się tém, że przy powiększeniu lub zmniejszeniu kąta wpadania o *wiele nawet stopni*, wartości swojej prawie nie zmienia.” Jeżeli te wyrazy „o wiele nawet stopni” nie są prostą omyłką drukarską (a pomiedzy omyłkami wykazanych ich nie ma), to zawierają gruby błąd, o którym nawet rozpisywać się nie widzimy potrzeby. Przypisek na téj stronnicy odnosi się zapewne do któregoś z dalszych ustępów téjże stronnicy, a nie do tego przy którym jest zrobiony, i, zdaniem naszym, jest zupełnie nie potrzebny, przynajmniej w takiej formie w jakiej jest zrobiony. Warunek, przy którym zбочenie sprawione przez pryzmat, przyjmuje wartość *minimum*, jest prawdą elementarną, znaną każdemu, kto jakie takie pojęcie ma o fizyce; nie potrzeba do tego wcale cytować aż *Biot'a*.

Te i tym podobne myśli nasuwają się przy pierwszym pobieżnym przeglądaniu téj książki: odnoszą się one do rozmaitych drobnych szczegółów, które mogły ująć uwagi autora zajętego jak się zdaje przeważnie opracowaniem niektórych specjalnych punktów „meteorologii.” Jeżeli jednak ma być to dzieło używane jako podręczne dla początkujących, to koniecznie, przynajmniej tak sądzimy, rozmaite ustępy w niem powinny być poprawione i uzupełnione. Nie zmniejsza to bynajmniej zasługi autora w tém co to dzieło zawiera w sobie nowego i pożytecznego, a takich miejsc jest wiele: możemy powiedzieć że przewyższają one te usterki, jakie pod względem samego wykładu miejscami dają się dostrzedz. Pracowite i troskliwe zestawienie wielu liczb, wyciągniętych z wielu dzieł, czyni tę książkę bardzo pożyteczną dla miłośników meteorologii u nas, uwalnia ich bowiem od mozolnego szukania w obcych dziełach tego, co od ogłoszenia meteorologii p. P. posiadamy w naszej literaturze. Wielką także, powtarzamy jeszcze raz, jest zasługą p. P. umiejętne użycie i skombinowanie obserwacji robionych w Obserwatorium Warszawskiem, dokonane, o ile wiemy po raz pierwszy przez niego. Są tam także i niektóre obserwacje nigdzie dotąd nieogłaszane, np. odnoszące się do Wilna.

Dodać należy i to, że autor wszędzie stara się dać poznać czytelnikowi najnowsze wypadki badań i zaznajomić go z ostatnimi pracami.

Dla tych powodów sądzimy, że ta książka, pomimo swojej wygórowanej ceny, wejdzie w skład biblioteki każdego miłośnika meteorologii i będzie przez każdego przyjętą z taką sympatją jak przez nas.

W. K.

*Wykład bajek Krasickiego wraz z tekstem tychże, przez
G. Ehrenberga, Kraków 1871 r.*

Coraz więcej pożytecznych prac przybywa literaturze naszej. Mamy studia nad trenami Jana Kochanowskiego przez Felicyana Faleńskiego, studia nad Kochowskim przez Adama Rządewskiego, studia o Janickim przez Zygma. Węclewskiego, studia o pisarzach XVII wieku A. Tyszyńskiego i inne. Do tego rodzaju książek przybywa teraz wykład bajek Krasickiego wydany nakładem Towarzystwa naukowego krakowskiego. Autor tych studyów z szczególnem zamiłowaniem rozbiiera, ocenia i wyjaśnia każdą bajkę Krasickiego i wyjmuje z niej jak ziarno z łupiny, myśl dla nas po stu latach jeszcze świeżą, jeszcze naszą własną. Nie jest to zdolność malarza który z rzadką zręcznością odnawia i do życia przywodzi utwory dawnych mistrzów. Świeżość ta wynika z zapatrywań się p. Ehrenberga, który z własnego odrębnego stanowiska pokazuje przedmiot z rozmaitych stron, stawia go w właściwe miejsce i czas, i rozwija myśli Krasickiego jako prawdę dla naszej chwili. We wstępie autor tłumaczy się z jakiego powodu podjął swą pracę i oświadcza iż bajki Krasickiego zasługują na bliższe zapoznanie tak ze względu na ich wartość literacką, jak więcej z poglądu poety na obyczaje i sprawy współczesne oraz ze względu na wpływ jaki usiłował wywierać i wywierał na społeczeństwo owego wieku. Społeczeństwo to charakteryzuje autor następującym rysem:

„W połowie osiemnastego wieku potrzeba reformy bez wątpienia nie była powszechnie uznaną. Przeszkadzały temu i przymioty i wady narodowe. Łatwa i serdeczna towarzyskość, otwartość, ufność, nierozbita jeszcze rodzinnych związków spójność, spokój ducha, pogodny pogląd na życie, jednym słowem, słowiańskie sielskiego bytu cechy, znajdowały dostateczne zadowolenie w wyrobionych wiekami stosunkach i odwodziły od pragnienia zmian, mogących naruszyć przyzwyczajenia, które umiłowano i szanowano. W ogólności zdaje się że obyczaje, pojęcia i tradycje narodowego życia, wśród innych warunków niepozbawione moralnej wartości, bardzo skłaniały społeczeństwo do konserwatyzmu, w którym utwierdzały je tém bardziej wady, na tle politycznego upadku w jaskrawej występujące postaci. Próżność, pycha, marnowanie życia, pogarda pracy, ambicya do poziomych celów skierowana, były to chorobliwie rozrosłe pozostałości świetnych czasów, kiedy

wady te ukazywały się zaledwie jak nieodłączone od natury ludzkiej ułomności, osłonięte i przytłumione pięknym rozkwitem cnót publicznych, dodatnich potęg ducha i charakteru. Te ostatnie w miarę degradacyi politycznej zeszyły ze sceny, a tamte wystąpiły na pierwszy plan, ciężąc całą siłą środków swoich i namiętnych poruszeń na stanie społecznym, który pragnęły utrzymać nieruchomym, żeby nie zapaść w zasłużoną nicość.“

Na wady takiej społeczności uderzał Krasicki ostremi pociskami rozsądku i humoru swego. Poemata komiczne, satyry, ucinki trafiały do umysłu i sumienia. Bajki przedewszystkiem odpowiadały ówczesnemu życiu i potrzebom społeczeństwa. „Dowodzi tego (jak autor utrzymuje) ich niezwyčajna i długo utrzymująca się popularność, łatwość z jaką przeniknęły w warstwy narodu wpływom umysłowym mało dostępne, wreszcie żywotność ich taka, że wykwitły z nich przysłowia równosilne z temi, które nam tradycya odległych wieków przekazała. To pewna, że niejedno z tamtąd czerpane pojęcie w życiu ślad swój zostawiło, a chociaż późniejsze czasy sprowadziły znaczne w wyobrazeniach zmiany, a nawet wziętość nadały odmiennę nauce życia, jednakże i z tamtęj niemało jeszcze poglądów w obiegu zostało, a może też przy lepszym w tych bajkach rozpatrzeniu się, bogactwo zastosowań, które z jędrnych myśli wyprowadzić się dadzą, zapewni im niepoślednie i niebezużyteczne jeszcze miejsce w rządzie pomników narodowego ducha.“

Po wstępie obejmującym powyższe myśli, autor przedstawia czytelnikom wyczerpującą wiadomość o wydaniach i przekładach bajek Krasickiego. Od roku 1779 do 1869 wyszło 23 edycye bajek, w Warszawie, w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu, w Wilnie, w Kaliszu, w Sanoku, w Wrocławiu. W samej Warszawie wyszło 13 edycyj. Mnożyły się przekłady w języku francuskim, niemieckim i łacińskim, które niedają wyobrażenia o sile oryginału, chociaż łaciński przekład Markwarta najwięcej ma zalet; kilka bajek Krasickiego przetłumaczono na język arabski i te znajdują się w piśmie poświęconém Towarzystwu naukowemu krakowskiemu pod tytułem: Wybór bajek i przypowieści z Lokmana i Krasickiego.

Wszystkie bajki Krasickiego rozdzielił p. Ehrenberg na cztery księgi, według nowo przyjętego porządku. Do porządku takiego posłużyły mu zasady jakie Krasicki objawił w przemowie do dzieci, bo autor studyów uważa, że poeta w przemowie tój więcej do ludzi dojrzałych się odzywa jak do dzieci, dając poznać że wady umysłu i serca z których powstają nedorzeczne sądy, naganne żądze i występne czyny, źródło swoje mają przedewszystkiem w braku ukształcenia tak umysłowego jak moralnego. Porządkiem więc myśli Krasickiego ułożone zostały bajki i to w takim sposobie, że podobne z myśli lub przedmiotu zebrane są razem w jedną grupę. Do każdej bajki dodane wyjaśnienie jest bardzo trafne i pożądane dla dzisiejszego pokolenia. Prócz tego w tym zbiorze

ogłosił p. Ehrenberg znaczną ilość zdań i ucinków z bajek Krasickiego, które już od dawna stały się przysłowiami całego kraju i są ozdobą mowy naszej. W końcu umieszczony jest przekład łaciński Józefa Joachima Markwarta, obejmujący 158 bajek Krasickiego.

Już czas zaczyna okrywać pleśnią pisarzy epoki Stanisławowskiej, nowe utwory, nowe myśli, nowe kierunki podnoszą ludzkość coraz wyżej. Z tych iskier przesuwają się przed naszymi oczyma pasmo czynów jako objawy cudownej fantasmagoryi na które patrzymy jak na sny, a których przewidzieć nikt nie mógł i nie może. I społeczeństwo nasze porwana tym pełem spieszę do wspólnego celu i pospieszać musi mimowoli. Cywilizacyę jej i dzisiejsze siły do posuwania się naprzód przygotowali dawniejsi pisarze, dawniejsi myśliciele, wśród których jako odznaczająca się postać jaśnieje Krasicki. Jako duchowny okryty świętością swego powołania, jako uczony i poeta uniesiony duchem oświaty zachodu, walczył przeciwko złemu gdziekolwiek je zoczył, i żaden wzgląd nie wstrzymał go od walki. Poeta, w natchnieniu z własnej ziemi czerpanem, uzbrojony potężną loiką i humorem, tępił wady ówczesne, podnosząc dawne cnoty i nową oświatę. Dowcip, satyra, ucinek górowały w jego utworach. Bajki z tego samego źródła wypłynęły. Mało tam jest akcyi lub obrazu dramatycznego ale za to ciągle ucinek ostry, który jak najsilniejszy pocisk, trafia do celu. Styl bajek zaniedbany, przy stylu Trębeckiego porównania nie wytrzyma, bo też bajki te musiałyby być improwizacyami zastosowanemi do okoliczności, a od improwizacyi niepodobna wymagać wykończenia. Wszystkie pisma Krasickiego zasługują na studia, a pożyteczna praca p. Ehrenberga pierwszy do tego daje początek.

A. J. S.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Luty 1872 r.— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły komedye *Jana Aleksandra hrabiego Fredry* (syna) w dwóch tomach z portretem autora. Tom pierwszy obejmuje komedye: *Przed śniadaniem* (prozą), *Drzémka pana Prospera* w 4ch aktach wierszem, *Piosnka Wujaszka*, komedyjka ze śpiewkami w jednym

akcie, *Poznaj nim pokochasz*, przysłowie dramatyczne w jednym akcie prozą. Tom drugi zawiera komedye prozą: *Posażna Jedynaczka* w jednym akcie, *Mentor* w trzech aktach, *Consilium Facultatis* w jednym akcie, (w 12ce). Nakładem tężże księgarni wyszła książka p. n.: *Perły. Zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiej dla młodocianego wieku*. Wolny przekład Władysława Ludwika Anczyca, z 8 rycinami, (w 16ce, drukiem Juliana Klinkhardta w Lipsku). Obiedwie publikacye zalecają się ozdobnym i starannym wydaniem.

— Poezyi Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli), wydanie zupełne na rzecz wdowy i sierot autora, wyszedł tom VII, i obejmuje *Dział III* utworów lirycznych. Mieści się wiele utworów nieznanych, które z różnych stron kraju nadesłano wydawcy Wincentemu Korotyńskiemu.

— *Oskar Kolberg*, nieustając w ciągłych badaniach etnograficznych, wydał obecnie w Krakowie seryę piątą „*Materyałów do Etnografii słowiańskiej*” obejmującą *Krakowskie*. Jest to część dopiero pierwsza, z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona, Tadeusza Konopki i fotografii Rzewuskiego, a wydana została z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. (W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1871 r., w 8ce, str. VIII i 376).

— Otrzymaną notatkę bibliograficzną o Rysińskim i jego przypowieściach, p. Weryhy-Darewskiego dosłownie podajemy:

„W przysłownictwie polskiem nie doliczono się dotąd druków przypowieści Rysińskiego, a nie dopiero ażeby je miano porównać i ocenić. Nie znam obszernego artykułu K. W. Wójcickiego o życiu i pismach S. Rysińskiego (Biblioteka Warszawska, 1842, Lipiec), ale sądzę, że musi być znakomitym, jeżeli po nim W. A. Maciejowski nic nie znalazł do powiedzenia, a tylko dodał wiadomość o odszukaném przez siebie czwartém wydaniu przypowieści 1634 r., nieforemnie przywołując tytuł: (Piśmiennictwo tom III, str. 599).

W tém tak nazwaném czwartém wydaniu 1634 r. jest przypisanie książeczki Stanisławowi Serafinowi Jagodyńskiemu, które podpisał pod d. 20 maja 1620 r. Stanisław Giermański.

Ta data i ten podpis uważnemu czytelnikowi pozwalatyby wnosić, że Stanisław Giermański w 1620 r. drukował takie przypowieści Rysińskiego, i ten domyślny wniosek byłby trafny, gdyby do niego nie zagroził pola Konstanty Wurzbach, który ten rzadki druk znalazł i zapisał, dodając, że „*diese Ausgabe wird weder von Wojcicki, noch von Wiszniewski zitiert.*“

Przeto od r. 1618 do 1634 przypowieści były tłóczzone nie cztery ale pięć razy, a spis bibliograficzny tych druków następujący:

1) Proverbiorum polonicorum, a Salomone Rysinio collectorum, centuriae decem et octo. Lubecae, ad chronum in officina

Petri Blasti Kmitae, A. D. 1618, Decembribus horis. Arkuszy 11 i pół w 4ce. (Bandtkie, *Historia drukarń*, t. I, str. 343).

2) Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane i na centuryi ośmnaście rozłożone. Bez miejsca i roku, tytuł w ramach drzeworytowych arkuszy 10 i pół w 4ce. (Wiszniewski, *Historia literatury*, tom VI, str. 404, w nocie).

3) Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane, a teraz nowo przydane (sic) i na wielu miejscach poprawione. Kraków, 1620. (Wurzbach, *Die Sprichwörter der Polen*, str. 10.)

4) Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane, a teraz nowo wydane i na centuryi ośmnaście rozłożone. Nakładem Jakóba Wirowskiego, bibliopole Lubelskiego. Bez miejsca, 1629 r., ark. 10 i pół w 4ce. (Bentkowski, *Historia literatury*, tom I, str. 224).

5) Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane, a teraz nowo wydane i na wielu miejscach poprawione. Kraków, 1634 r., ark. 9 w 4ce. (Maciejowski, *Piśmiennictwo*, t. III, str. 599, nieforemnie) (1).

Rzeczą godną uwagi, że egzemplarze wszystkich pięciu druków są rzadkie, i to naprowadza na domysł, że były rozmyślnie niszczone. Dotąd egzemplarza całkowitego trzeciego przedruku 1620 r. nie znaleziono, a ten, który Wurzbach widział i opisał, był defektowym, i chciał fatalizm aby wraz potém spłonął w pożarze biblioteki uniwersytetu lwowskiego w 1848 r. Przeto egzemplarze krakowskie z 1620 r. są najrzadsze, a że tłoczone za biskupstwa Marcina Szyszkowskiego, mogły być bez sądu, bez prawa, i co gorsza, bez śladu zabrane ryczałtem i spalone, gdyż za rządów tego prałata bajeczne sprawy broiła duchowna cenzura (zobacz u Bandtkiego: *Historia drukarń*, t. II, str. 251 i następujące).

Jednakowość tytułu z ostrzeżeniem o poprawkach, i pozostawiony list przypisny Stanisława Giermańskiego ze spadłą datą dowodzą, że do przedruku piątego (1634 r.) posługiwał przedruk trzeci (1620 r.) Nie może on go zastąpić, ale daje o nim wyobrażenie, i z niego widzimy, że mieścił w sobie niektóre przypowieści drażliwe, i przyrodzonemu apetytowi OO. Jezuitów bardzo przeciwnie. Jedna z nich niosła: *Kto na ludzie puszcza, ten połowicę traci; kto na Boga, ten wszystko*. Horrendum!

— Przetworzenie się Towarzystwa Naukowego Krakowskiego na *Akademję Umiejętności* już nastąpiło. Cesarz austriacki w dniu 2 lutego r. b. zatwierdził statut tej instytucji; na pierwsze jej potrzeby z prywatnej swój skatkały 20,000 złr. ofiarował, nie uszczuplając przez to budżetu Akademii, który 30,000 złr. wyno-

(1) Mam przed sobą egzemplarz tego haniebnego druku, pochodzący z księgozbioru Tarasa Szewczenki. Przepelniony błędami, należy do książeczek przeznaczonych do straganowego handlu jarmarkowych i odpustnych kramarzy.

sić będzie. Jednocześnie protektorem Akademii mianowany został arcyksiążę Karol Ludwik, a jego zastępcą b. minister Alfred hr. Potocki.

— Dr. Zieleniewski, rządowy lekarz przy zdrojowisku w Krynicy, w *Roczniku Lekarskim* na r. b. *Kisch'a*, wychodzącym w Wiedniu, podał wiadomość o polskich wodach leczniczych. W pracy tej są opisane: Bobrka, Busk, Ciechocinek, Druskienniki, Jaszczurówka, Iwonicz, Krynica, Lubień, Rabka, Solec, Swoszowice, Szczawnica, Truskawiec i Żegestów: w ogóle 14 miejscowości, mało znanych Europie z ich wysoką skutecznością leczniczą. Zwraca autor głównie tu uwagę na stan ich chemiczny, urządzenie każdego zakładu, dogodności dla chorych, podaje zarazem liczbę używających kuracyi. Wiadomość ta w języku niemieckim wyszła równocześnie i w oddzielnój broszurze.

— Dr. Józef Łepkowski, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu oddanem zostało kierownictwo naukowe wydawnictw ś. p. Alexandra Przeddzieckiego, ogłosił przedpłatę (16 złp.) na piątą tom Jagiellonek.— Tom pierwszy oryginalnego tekstu *Dziejów Długosza* ukończony, rozestłanym wkrótce prenumeratom zostanie.

— We Lwowie ogłoszono dwa prospekta na dzieła treści naukowej. Doktor med. Zygmunt Dobieszewski na pismo zeszytowe p. n.: *Służba zdrowia publicznego*, poświęcone głównie sprawom szpitalnym i medycynie publicznej; pp. *Antoni Sokołowski* i *Arnolf Nawrati* na dzieło w trzech zeszytach: *Zarys chemii ogólnej*, opracowany podług Roscoe'go przez wymienionych wydawców a uczniów C. K. Instytutu Technicznego Krakowskiego.

— Dr. Genryk Gottlieb, adwokat i radny miasta Lwowa, za historyczną rozprawę: „*O średniowiecznym słowiańsko żydowskiem państwie Chazarów*,” które w IX i X wieku istniało i świetnie kwitnęło, otrzymał dyplom na członka honorowego od komitetu towarzystwa Orientalistów w Lipsku.

— W Poznaniu, J. K. Żupański drukuje *Historję polską* przez Teodora Morawskiego. Całe dzieło ma objąć sześć tomów. Obecnie wyszedł już tom czwarty.

— Władysław Mickiewicz wydał w jednym tomie nieznaną pracę ojca swego Adama, w języku francuzkim. Zapowiedział zarazem, że ogłosi prelekcye ojca o literaturze łacińskiej miane w Lozannie w Szwajcaryi.

— Konrad Wallenrod, Mickiewicza, został przełożony na język niemiecki przez Dra Alberta Weiss; wyszedł już z pod prasy w *Bremie*, nakładem Kühlmanna.

— Poezyi T. Lenartowicza w tłumaczeniu włoskiem wyszedł tom jeden we Florencyi pod tytułem: „*Posie di Theophilo Lenartowicz recate in versi italiani da Ettore Marcucci. Un volume. Firenze Barbera.*” Literaci włoscy w licznych recenzjach, chwałą powszechnie utwory autora, a zarówno autorowi jak tłumaczowi wynurzają podziękowania znane znakomitości naukowe takie jak:

Giuliani professor wykładający *Danta* w akademii florenckiej, *Maffei* słynny poeta i tłumacz Goetego, Moora i Byrona, *Mazzollo* professor akademii padewskiej, czoło poetów półwyspu *Alcardi*, tak samo *Zannella* pierwszorzędny klasyk, bibliotekarz *Ferruzzi* ceniący rytmy T. Lenartowicza wyżej nad *Leopardego*, *Guerrazzi* jedyny powieściopisarz i publicysta włoski, szczególnież zalecający werwę i poetyczność naszego ziomka i t. p., a wszyscy wypowiadają głośną swą cześć i podziw wzniosłemu twórcy tych poezyj.

Zeszyt styczniowy z r. b., wychodzącego peryodycznie we Florencyi pisma włoskiego „*La Rivista Europea*” oceniając zasługę *Archimedesza Bottesini*, który podał możność Włochom uwielbiania (*ammirare*) wielkiego (*grandioso*) poety *Mickiewicza* w przetłumaczeniu jego poematu „*Konrad Wallenrod*,” niemniej wystawia *Hektora Maruucci*, że obecnie daje swym ziomkom poznać wzniosłe (*eminente*) utwory, słynnego dziś (*illustre*) poety polskiego *Teofila Lenartowicza* „którego Florencya ma zaszczyt w murach swoich gościć.” Recenzent unosi się nad *Haliną* Lenartowicza i uznaje ją godną porównania z *Hermanem* i *Dorotką* Goethego; chwali łąkowość narracyi, uroczy wdzięk i rodzaj malowniczości, ale pełny zalet rodzaj tych poezyi; podaje wreszcie, niektóre z nich wyjątki w tłumaczeniu włoskiem. *La Rivista Europea* wspomina zarazem że i pisma niemieckie zapowiadają przekład pięknego poematu Lenartowicza „*Niemcy a Chrobaci*” z którego ustępy Biblioteka Warszawska w r. z. zamieszczała.

— Syn Otieczestwa (Сын Отечества), wspomina o wyjściu w przekładzie rossyjskim *Wiochny*, Lenartowicza.

— Rzeźbiarz Marcelli Gujski, w Paryżu, wykonał posąg marmurowy *Mickiewicza*. Hr. Konstanty Branicki zamówił u tegoż artysty popiersie naturalisty Antoniego Wagi.

— *Towarzystwo Przyjaciół Nauk* w Poznaniu otrzymało znakomitą pomoc od Seweryna hr. Mielżyńskiego z Miłosławia. Pozbawione stałego lokalu, nie miało gdzie pomieścić swoich zbiorów i ksiąg. Wspaniały opiekun zakupiwszy poprzednio bibliotekę, zbiór rycin i obrazów od E. Rastawieckiego, darował ten drogocenny nabytek Towarzystwu. Obecnie zakupił dom w Poznaniu przy ulicy Młyńskiej, i takowy oddał na własność tegoż Towarzystwa; w nim się pomieszczą wygodnie wszystkie zbiory jakie posiada, i zarazem dla siebie odpowiedni lokal.

Sprawozdanie z czynności ubiegłego półrocza Towarzystwa tegoż mówi, że trzy wydziały Towarzystwa po przerwach z czasów wojennych, ukonstytuowały się na nowo, i że każdy z nich pracę swą prowadzi, i posiedzenia regularnie odbywa.

Obok tego zarząd zajmował się sprawą lokalu; obecny bowiem bezpłatnie przez dyrekcję Spółki bazarowej ofiarowany, jest nie dostatecznym na pomieszczenie wszystkich zbiorów i biblioteki, tak, że część zbiorów archeologicznych i galerya obrazów Rastawieckiego przewiezioną być musiała do Miłosławia. Chcąc więc

tę anormalność usunąć, postanowiło Towarzystwo zakupić dom. Na ten cel rozpoczęły się składki za pośrednictwem członka dra Zyg. Szukdrzyńskiego. Ogólna z nich summa wynosi tal. 2400. Ofiara ta była nie wystarczająca, i niedogodności, jakiej Towarzystwo z braku lokalu podlega, nie usuwała.

Hr. Seweryn Mielżyński, ten sam, który już temuż Towarzystwu ofiarował poprzednio bogate zbiory zakupione przez siebie od bar. Rastawieckiego, uwolnił Towarzystwo z kłopotów o lokal i pomieszczenie jego zbiorów, ofiarując mu na ten cel zakupiony przez siebie dom przy ulicy Młyńskiej.

Towarzystwo postanowiło na wniosek swojego wice-prezesa St. Koźmiana, aby hr. Seweryna Mielżyńskiego obrać i ogłosić prezesem honorowym Towarzystwa Poznańskiego Przyjaciół Nauk, i o nadaniu mu tej godności przez deputacyę z grona zarządu obraną, uwiadomić go.

Sekretarz generalny Towarzystwa p. Feldmanowski odczytał akt darowizny hr. Mielżyńskiego. Dowiedziano się z aktu tego, odznaczającego się skromnością i prostotą redakcyi, że prócz domu, o którym wyżej była mowa, ofiarował on nadto Towarzystwu wszystkie swe zbiory i całą swą galeryę obrazów, a nadto galeryę obrazów zakupioną od bar. Rastawieckiego, jak niemniej całą swą bibliotekę. Zobowiązał się także spłacić z własnego majątku dług w ilości 14 tysięcy talarów na nieruchomości nabytej ciężący, warując tylko, aby w niej było mieszkanie i lokal na pracownię dla malarza, na utrzymanie którego odpowiedni fundusz na dobrach swych Miłosławskich zahypotekuje.

Z kolei roztrząsano sprawę konkursu za najlepsze dzieło. mające za zadanie opowiedzieć historię włościan w Polsce. Do konkursu zgłosiło się z swemi pracami w r. 1869 trzech pisarzy, a pomiędzy tymi W. A. Maciejowski. Sprawę tę powierzono wydziałowi historycznemu w porozumieniu z zarządem.

W sprawie obchodu jubileuszu Kopernikowego, zebrani przyrzekli swą pomoc co do rozpowszechnienia albumu i rozsprzedaży na rzeczne album biletów; nadto jednogłośnie przyjęto propozycyę p. Łyskowskiego, aby użyć kolporterów do rozpowszechnienia jubileuszowego albumu. W końcu polecono do uwzględnienia zarządowi i wydziałowi statystycznemu wniosek p. Łyskowskiego o sporządzeniu statystyki ziem i ludności polskiej pod rządem Prus znajdujących się. Posiedzenie ciągnęło się nieprzerwanie od godziny 5 z południa do 10 wieczorem.

— W dobrach Luszowo o 2 mile od Poznania odległych, przy karczowaniu pola, mającego około 8 morgów powierzchni i łagodnie pochylonego ku jezioru Luszowskiemu, natrafiono pługiem w głębokości jednej stopy na wielkie mnóstwo kamieni. Właściciel dóbr p. Boas, zwróciwszy na tę okoliczność uwagę, zarządził poszukiwania, które doprowadziły do odkrycia, że całe pole jest wielkiem starożytnym cmentarzyskiem, zawierającym urny

grobowe ustawione szeregami, pomiędzy którymi odstęp do 7 stóp dochodzą. Ogółem naliczono około 100 szeregów, a w każdym z nich do 100 urn; odkryto ich przeto przynajmniej 10,000. Urny są różnej wielkości, począwszy od największych mających 3 stopy średnicy, które atoli wszystkie znaleziono pokruszone, aż do najmniejszych mających pół stopy średnicy. Są one z gliny czarnej zawierającej błyszcz a nie polewaną, i tak pod względem formy, jakoteż ozdób składających się z niezgrabnie oznaczonych linii, niczem nie odróżniają się od zwyczajnych urn grobowych. Największa ich liczba miała do $\frac{3}{4}$ stopy na wysokość, i rzadko której średnica większą była jak 3 stopy; każda z nich była okolona i pokryta kamieniami.

Cmentarzysko to dalej się jeszcze ciągnie, jak się przekonało. W urnach znajdujący się w znacznej ilości popiół ze spalonych kości, użyty został do użyznienia gruntu. Broni lub sprzętów nie znaleziono żadnych; tylko bliżej jeziora odkryto liczne ślady zgorzelisk. W celu osuszenia pewnej części dna jeziora, pan Boas spuścił je częściowo; w miarę jak woda opadała, wynurzyło się z niej mnóstwo pali. Wszystkich tych pali ustawionych prawidłowo naliczono 80, z których każdy miał 8 do 10 cali średnicy.

Z brzegiem łączył je szereg innych, na których niegdyś wspierał się zapewne most.

Zwyż opisane pole urn nosi wszelkie znamiona cmentarzysk w Niemczech „grobami wendyjskimi“ zwanych, jak je oznaczył Dr. K. Szulz w swej rozprawie: „Budowle i usypiska pogańskie starożytnych Słowian“, umieszczonej w drugim tomie Rocznika Krakowskiego Towarzystwa Przyj. Nauk. Połączenie tych cmentarzysk z mieszkaniami palowemi, i okoliczność, że są przysypane grubą warstwą ziemi, świadczy o ich wysokiej starożytności i zbija wywody niemieckie, jakoby na wschód Łaby znajdowały się groby i zabytki germańskie, dawniejsze od słowiańskich.

— Korrespondent Gazety Warszawskiej z Rzymu, mówiąc o upadku oryginalnej poezji włoskiej, pisze dalej: „Zaczęto więc zwracać się ku utworom cudzoziemskich wieszczów, tych mianowicie, których literatura włoska, tak bogata w przekłady, nie posiada dotąd tłumaczenia, a jak naturalną było rzeczą, zwrócono się ku poezji polskiej pierwszej między współczesnemi. Hrabia Gwido Carpegna tłumaczy *Przedświt*; Ludwik Delâtre, znany filolog i pisarz włoski, zajmuje się razem z Władysławem Kulczyckim przekładem *Niedokończonego poematu*, Krasińskiego; wreszcie Hektor Marcucci ogłosił przed dni niewiele przekład wierszem poezji Lenartowicza. Tłumaczowi zdarzyło się rzadkie szczęście: to jest, iż mógł pracować przy boku i pod okiem samego wieszca. Jestto wybór, próbka poezji mazowieckiego piewcy, albowiem wytworny nie wielki tomik liczy jeno 172 stronnic, czcionkami słynnego florenckiego wydawcy Barbery. Trudno sobie wyobrazić z jakim poklaskiem i wdzięcznością próbka ta przyjęta została we Włoszech.

Alcardi i Zanella, najlepsi poeci półwyspu, słynny powieściopisarz Guersazzi, talent europejski, Maffei, najznakomitszy włoski tłumacz, Giuliani i Ferrucci, pisarze i krytycy do najlepszych się liczący, pospieszyli wyrazić pisemnie naszemu Teofilowi podziw i cześć swoją. Wszystkie dzienniki włoskie pełne są sprawozdań o tych poezjach, i wszyscy się niemi zachwycają. *Nemo propheta in patria*: dla Lenartowicza, który nie jednokrotnie doznał obojętności a nawet lekceważenia od pewnych krytyków naszych, przenoszących tyle miernych utworów nad poezye jego i głoszących, że niema już pierwszorzędnych poetów w naszym kraju, że wszyscy wymarli, musi być miłą pociechą to świadectwo opinii publicznej, znającój go tylko w przekładzie w ojczyźnie Danta i Tassa, gdzie już dłutem tak znakomite zdobył stanowisko!

— Franciszek Palacky przygotował do druku nowe dzieło: „Dokumentne przyczynki do dziejów wojny hussyckiej od 1419 do 1439 r.“ Zbierał (jak sam wyraża) materiały po temu przez lat blisko pięćdziesiąt, po archiwach europejskich.

† Dnia 13 listopada 1871 r. zakończył życie w Krakowie *Jan Szlachtowski*, doktor filozofii, uczony badacz historyczny i biegły bibliograf. Zmarły od 1847 roku był profesorem literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, kustoszem biblioteki Ossolińskich, oraz redaktorem i wydawcą w r. 1850 *Pamiętnika Literackiego Tygodniowego*. Przygotował krytycznie obrobioną kronikę Marcinna Galla do *Pomników Historji Niemiec, Pertza*, podobnież i kronikę Wincentego Kadłubka.

— Dnia 17 stycznia r. b. w kościele *Opieki Śgo Józefa* odbyło się odsłonięcie wmurowanego w lewy filar głównej nawy tegoż kościoła, pomnika dla zmarłego Juliana Bartoszewicza, wraz z nabożeństwem żałobnym za spokój jego duszy. Pomnik jest dłuta rzeźbiarza Pruszyńskiego.

† Dnia 1 lutego r. b. umarł w Dreźnie jeden z najznakomitszych artystów dramatycznych Bogumił Dawisohn urodzony w Warszawie. Życiorys jego obszerny jest w *Kłosach* (1865 r.) skreślony przez Jana Królikowskiego, towarzysza zgasłego w sztuce, i w Encyklopedyi powszechnej. Jako pisarz pozostawił po sobie pamiętkę w dramacie: „*Noc i poranek*“ w języku polskim, przerobionym ze słynnej powieści Bulwera, i przekładach kilku komedij francuzkich, oraz powiastek i nowelli.

† Dnia 3 lutego r. b. umarł w Warszawie Julian Bayer (urodzony w Krakowie 1806 r.) magister filozofii b. Uniwersytetu Warszawskiego. Od r. 1829 nauczyciel szkół wydziałowych i wojewódzkich w Warszawie i Łukowie, a od r. 1836 został bibliotekarzem Banku Polskiego; następnie mianowany urzędnikiem do szczególnych poruczeń w tymże Banku, używany do ważnych czynności jako biegły matematyk, to jako technik, przysposabiał zdolniejszych urzędników rachunkowych. Obok tego wykładał przez lat cztery w b. Szkole Głównej Warszawskiej rachunek prawdopodobieństwa i teoryę liczb. Był członkiem Towarzystwa Nauko-

wego Krakowskiego, członkiem Towarzystwa Statystycznego w Petersburgu i b. Kommissyi Emerytalnej. Z prac naukowych drukiem ogłosił: 1) *Astronomia popularna*, Warszawa 1861 r. 2) *Pogadanki astronomiczne*, dwa wydania, Warszawa 1863 i 1869 r. 3) *Astrognozya, czyli nauka poznawania gwiazd, z atlasem nieba*, Warszawa 1870 r. 4) *Geometrya Stanisława Grzebskiego*, po polsku napisana, i w r. 1566 w Krakowie drukowana, wydał w podobiznie swoim nakładem. Ponieważ *Encyklopedya powszechna* najmniejszej o tym uczonym pisarzu wzmianki nie podała, spisujemy wszystkie jego prace podług Gazety Polskiej (Nr 38 z r. b.) W *um-druku* są: 5) *Rachunek prawdopodobieństwa*, 6) *Teorya liczb*; są to wykłady w b. Szkole Głównej Warszawskiej. 7) *Rachunkowość stosowana do bankierstwa i buchhalterya podwójna*, (wykłady w Banku polskim). Ze stanowiska *urzędowego*, opracował: 7) *Memoryał o płodności chrześcian i starozakonnych w wieku popisowym od lat 17 do 35*, objaśniony rysunkiem, 1842 r., (wspólnie z B. Niepokojczyckim). 8) *Statystyka przestępstw karnych*, w porównaniu z wypadkami statystyki oświecenia, mapkami na wzór Quetelet'a, wyjaśniona. 9) *Tablice śmiertelności w Królestwie Polskiem*, i na nich oparte składki, ułożone przy wprowadzeniu u nas zabezpieczeń na życie, opracowane łącznie ze Stanisławem Janickim i Józefem Stomińskim. 10) *Prace w r. 1838*, przy konwersyi obligacyj cząstkowych na certyfikaty Lit. A. i B., oraz w r. 1844 przy konwersyi obligów 5^o/_o na 4^o/_o. 11) *Plan udzielania pożyczek na dobra ziemskie, za ubezpieczeniem na papierach publicznych pod kluczem Kommissyi Umorzenia Długu Krajowego* zostających. Wszystkie powyższe prace przyjęte były przez władze i wykonane. Prócz tego w r. 1862 na wezwanie władzy wygotował plany nowej pożyczki procentowo-premiowej i projekt zmiany monety krajowej z zastosowaniem do systemu metrycznego.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Февраля 1872 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1872.

Archeologia.

	stron.
Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologii przedhistorycznej odbyty w Bononii od 1 do 8 października 1871 roku, opisany przez <i>Alexandra hr. Przewdzieckiego</i>	1

Historja powszechna.

Nowe dzieje starożytnej Mezopotamii i Iranu, przez <i>Tadeusza Korzona</i>	223
--	-----

Literatura powszechna.

Mikołaj Kopernik i Marcin Luter. Rzec historyczna, napisana z powodu pracy Dra Hiplera: „ <i>Nicolaus Kopernicus und Martin Luter, nach ennländischen archiwalien</i> ,” przez Dra <i>Ludwika Kubalę</i>	385
--	-----

Podróże i odkrycia.

Wyprawa podbiegunowa z r. 1869—1870, przez <i>A. P.</i>	373
---	-----

Literatura polska.

stron.

- Ostatni klasyk. Wspomnienie z pierwszej połowy naszego stulecia, przez
K. Wł. Wójcickiego 157, 325

Powieść.

- Amalia. Ustęp z wojny domowej w Rzeczypospolitej argentyńskiej, przez
D. José Marmol. Przekład z oryginału hiszpańskiego 30, 173, 394

Sztuki piękne.

- Przegląd teatralny. — Ogólne uwagi co do kierownictwa artystycznego. —
Repertuar i rozporządzenie sił artystycznych. — Przekłady i utwory
oryginalne. — Margrabia de Villemer. — Zameęcie Wiktoryny. —
Pani de Chamblay. — Portrety margrabiny. — Powieści królowej
Nawarry. — Serafina. — Wesele Figara. — Hamlet. — Znałomici. —
Fredro Al. syn. — Mentor. Przez Nemo 287

Handel i przemysł.

- Handel Chin z Europą i Ameryką 71

Korrespondencya.

Kronika zagraniczna, literacka, naukowa i artystyczna:

- Rodzina Thierrych, jój zasługi na polu historyi. — Amadeusz Thierry. —
Nowe opowieści z Historii Rzymskiej Vgo wieku. — Dwie cesarzowe
Byzantyjskie: Fulcherya i Athenais po chrześcijańsku Eudocya. —
Hypatia retorka. — Znaczenie sofistów ateńskich. — Poemata Eudo-
cyi: ŚŚ. Cypryan i Justyna. — Demonologia: Podróż po świecie cza-
rów. — Bogactwa współczesnej literatury hiszpańskiej. — Wydawni-
ctwo Baudrego w Paryżu. — Luis Eguilas, poeta dramatyczny; jego
dramat: *La Llave de Oro* (klucz złoty). — Posiedzenie Akademii fran-
cuzkiej. — Rozdawnictwo nagród. — Dzieła uwieńczone. — Sąd Aka-
demii o dziele prof. Heinrich: *Historja Literatury Niemieckiej*. — Na-
groda przyznana E. Manuelowi za dramacik: *Robotnicy*. — Mowa aka-
demika Legouvé 80
- Józef Eötwoes: pisarz i mąż stanu. Pierwsze prace: przekład z Goe-
tego „Götz z Berlichingen.” Komedy oryginalne: „Krytycy,”

- „Wolni.” Tragedya: „Zemsta.” Przekład dramatu Wiktora Hugo: „Angelo”. Powieść „Kartuz.” Prace ekonomiczne: O reformie więzień; Pauperyzm w Irlandyi. Powieści: „Notaryusz wiejski;” „Węgrzy w r. 1415.” Komedia: „Niech żyje równość!” Wiersz pożegnalny. Wpływ panujących idei XIX wieku na państwo; tomów 2. Powieść: „Siostry.” Poezye: „Sierota.” „Spoczynek.” Eötwoes jako minister oświecenia. — Spory o grobowiec Alexandra Dumasa. Obchód rocznicy jego skonu. Dziełko Janina o Dumasi. — Nowa publikacya Ludwika Figuiet: „Nazajutrz po śmierci.” Wybory akademickie. Mowa Ksawerego Marmier: Lukrecyusz, Wirgili, Milton. Sąd profesora Nicolas o znaczeniu przekładów. — Dramat Dumasa syna: „La princesse Georges.”..... 255
- Arabowie w Hiszpanii.— Wzajemny wpływ dwóch cywilizacyj: semitycko-arabskiej i aryo-hiszpańskiej. — Dramat Eguilasa: *Grazalema*. — Sprawy akademii francuzkiej; członkowie wydaleny od czasów jęj istnienia: Furetiere, Saint-Pierre, Lucyan Bonaparte, Cambarceres, Książę Bassano, Sieyes, Arnauld i inni. — Napoleon Iszy, członek akademii nauk. — Teorya i praktyka: Cuvier i Napoleon..... 429

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

- Historya wyzwołonej Rzeczypospolitej wpadającej pod jarzmo domowe, za panowania Jana Kazimierza (1655 -1660), przez Ant. Walewskiego Ces. Kr. Professora Historyi Powszechnej w Uniwers. Jagiellońsk. Kraków, 1870. Przez X..... 125
- Przekłady Cycerona, przez Piotra Chmielowskiego..... 130
- Dr. Haffner. Materyalizm nowoczesny, z oryginału niemieckiego przez Józefa Majewskiego..... 143
- Codex diplomaticus Universitatis studii generalis Cracoviensis, continet privilegia documenta, que res gestas academiae eiusque beneficia, illustrant. Pars prima, 1365—1440. Kraków, 1870, przez W. Z..... 146
- Biblia królowej Zofii, żony Jagielly. Z kodeksu Szaroszpatackiego, nakładem księcia Jerzego Lubomirskiego, wydana przez Antoniego Małeckiego. Lwów, 1871 r. przez K. M..... 309
- Pamiętnik Towarzystwa Nauk ścisłych w Paryżu. Tom I. Paryż. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1871, in 4to, stron. IX i 156, przez F. K..... 313
- Pamiętniki Beniamina Franklina przez niego spiswane. Przekład z francuzkiego. Warszawa 1871..... 318
- Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych, przez A. D. Lwów 1871..... 318
- Nieco o prawie kobiety do nauki i pracy, przez Romana Bierzyńskiego.... 319

	stron.
O prawie niemieckim w Polsce i na Litwie, przez Władimirskiego Budanową. Rozbiór Ad. Pawińskiego, przez <i>M.</i>	470
Meteorologia przez Apolinarego Pietkiewicza. W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1872 r. przez <i>W. K.</i>	483
Wykład bajek Krasickiego wraz z tekstem tychże przez G. Ehbrenberga. Kraków, 1871 r., przez <i>A. J. S.</i>	490
Ogłoszenie konkursu Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, za napisanie w języku polskim książki dla dzieci.....	150
Wiadomości literackie.....	154 320, 492

SPROSTOWANIE.

Na stronnicy 333, w wierszu 34 :

zamiast: „Gdy Minstrel z torbą w rękę“

czytać należy: „Gdy Minstrel z tobą w rękę.“

